

JEAN M. AUEL

RZEKA POWROTU

(PRZEŁOŻYŁA: MAŁGORZATA KORASZEWSKA)

SCAN-DAL

*Dla Lenory,
ostatniej, która pojawiła się w domu
i której imienniczka występuje
na tych stronach,
i dla Michaela,
który z nią razem patrzy w przyszłość,
i dla Dustina Joyce'a oraz Wendy
- z miłością*

ROZDZIAŁ 1

Przez panującą kurzawę kobieta dostrzegła jakieś poruszenia i pomyślała, że to pewnie Wilk, który przedtem wysforował się przed nich.

Z niepokojem zerknęła na swojego towarzysza i znowu poszukała wzrokiem Wilka, wyciągając oczy, żeby cokolwiek dostrzec wśród tumanów pyłu.

- Jondalar! Patrz! - zawołała, wskazując przed siebie.

Po lewej stronie rysowały się kontury kilku stożkowatych namiotów, ledwie dostrzegalne przez niesiony wiatrem kurz.

Wilk stał ze zjeżonym karkiem naprzeciw kilku dwunożnych istot, które zaczęły wyłaniać się z kurzu, z oszczepami wymierzonymi prosto w nadjeżdżających.

- Chyba doszliśmy do rzeki, ale nie my jedni chcemy tutaj obozować - powiedział mężczyzna i ściągnął lejce, żeby zatrzymać konia.

Kobieta naprężyła mięśnie ud, co było jej sygnałem dla konia, tak odruchowym, że nawet nie zdawała sobie sprawy, iż rozkazuje coś zwierzęciu.

Usłyszała groźny warkot i zobaczyła, że Wilk zmienił postawę z obronnej w agresywną. Był gotów do ataku! Gwizdnęła ostro i przenikliwie. Dźwięk przypominał nawoływanie ptaka, ale takiego ptaka nikt nigdy nie słyszał. Wilk przestał się skradać i skoczył ku siedzącej na koniu kobiecie.

- Wilk! Do nogi! - powiedziała, sygnalizując jednocześnie ręką. Wilk pobiegł truchtem obok bułanej kobyły i razem zbliżali się do ludzi stojących między nimi a namiotami.

Poryw wiatru, podnoszący drobinki lessowej ziemi, zakreślił wokół nich, zasłaniając widok na oszczepników. Ayla przełożyła nogę i ześlizgnęła się z końskiego grzbietu. Uklękła koło Wilka, jedną ręką objęła go za kark, a drugą położyła wzdłuż jego klatki piersiowej, żeby go uspokoić i przytrzymać w razie potrzeby. W jego gardle wzbierał warkot, a mięśnie miał napięte, przygotowane do skoku.

Spojrzała na Jondalara. Cienka warstewka sproszkowanej ziemi pokrywała ramiona i długie blond włosy wysokiego mężczyzny i zamieniała ciemnobrązową sierść jego konia w bardziej pospolitą wśród tego gatunku, jaśniejszą maść. Tak samo wyglądały ona z Whinney. Chociaż był to dopiero początek lata, silne wiatry, wiejące od masywnych lodowców na północy, wysuszyły już stopy na południe od lodu.

Poczuła, że Wilk się napiął i szarpnął w jej ramionach, i zobaczyła nową postać, która wyłoniła się spoza ludzi z oszczepami. Ubrana była tak, jak stary szaman, Mamut, mógłby się

ubrać na jakąś ważną ceremonię: w maskę z rogami żubra oraz ubranie pomalowane i ozdobione tajemniczymi symbolami. Mamut energicznie pomachał w ich kierunku laską i zawołał: - Odejdźcie, złe duchy! Zostawcie to miejsce! Ayli zdawało się, że to był kobiecy głos, ale nie była pewna. Słowa jednak zostały wypowiedziane w mamutoi. Mamutszamanka zrobiła ku nim wypad, znowu potrząsając laską, a Ayla mocno przytrzymała Wilka. Potem przebrana figura zaczęła śpiewać i tańczyć, potrząsać laską, podsuwać się ku nim szybkimi krokami i natychmiast się cofać, jak gdyby próbowała ich wystraszyć i przegnać. Z pewnością udało jej się przestraszyć konie. Aylę zdziwiła gotowość Wilka do ataku; wilki rzadko kiedy groziły ludziom. Przypomniała sobie jednak zachowania dzikich wilków, które dawno temu obserwowała, i zrozumiała sytuację. Kiedy uczyła się polować, często obserwowała wilki i wiedziała, że były czułe i lojalne - wobec własnego stada. Natychmiast jednak reagowały na obcych i odganiały ich od swojego terytorium; czasami nawet zabijały inne wilki w obronie tego, co uważały za swoją własność.

Dla maleńkiego wilczego szczeniaka, którego znalazła i przyniosła do ziemianki Mamutoi, Obóz Lwa stał się jego stadem; innych ludzi traktował więc jak obce wilki. Kiedy jeszcze był szczeniakiem, warczał na obcych, którzy przychodzili z wizytą. Teraz, na nieznanym terenie, należącym być może do innego stada, w naturalny sposób przyjął postawę obronną wobec obcych, szczególnie że ci obcy byli wrogo usposobieni i wymachiwali oszczepami. Dlaczego ludzie tego obozu uzbroili się w oszczepy?

Ayli zdawało się, że w zaśpiewie Mamuta jest coś znajomego, i po chwili to rozpoznała. Były to słowa świętego, archaicznego języka, rozumianego tylko przez Mamutów. Ayla nie rozumiała wszystkiego, ponieważ Mamut dopiero zaczynał ją uczyć tego języka, uchwyciła jednak znaczenie głośniejszej zaśpiewki, zasadniczo takie samo jak uprzednio wykrzykiwanych słów, chociaż wyrażone w nieco uprzejmiejszej formie. Było to napomnienie duchów dziwnego wilka i ludziki, żeby odeszły i zostawiły ludzi w spokoju, żeby wróciły do świata duchów, do którego przynależą.

Mówiąc w języku zelandoni, żeby ludzie z obozu jej nie zrozumieli, Ayla przetłumaczyła Jondalarowi słowa Mamuta.

- Oni myślą, że jesteśmy duchami? No, oczywiście! - powiedział. - Powinienem być wiedzieć. Boją się nas. To dlatego grożą nam oszczepami. Ayla, to nas może czekać przy każdym spotkaniu z ludźmi w czasie tej podróży. Jesteśmy przyzwyczajeni do zwierząt, ale dla większości ludzi konie i wilki zawsze oznaczały tylko jedzenie i futra.

- Mamutowie na Letnim Spotkaniu też byli na początku bardzo zdenerwowani. Trochę to potrwało, zanim przyzwyczaili się do bliskości koni i Wilka, ale w końcu pogodzili się z tym - odparła Ayla.

- Kiedy pierwszy raz otworzyłem oczy w jaskini w twojej dolinie i zobaczyłem, jak pomagasz Whinney przy porodzie, myślałem, że lew mnie zabił i obudziłem się w świecie duchów. Może też powinienem zsiąść i pokazać im, że jestem mężczyzną, a nie jakimś zrosniętym z Zawodnikiem duchem człowieko-konia.

Jondalar zsiadł, ale trzymał postronek przyczepiony do zrobionej przez siebie uprzęży. Zawodnik podrzucał łbem i starał się cofnąć przed posuwającą się do przodu Mamutem-szamanką, która wciąż potrząsała laską i głośno zaśpiewywała. Whinney stała za klęczącą kobietą, ze spuszczonej na jej ramiona łbem. Ayla nie używała postronków ani uprzęży do prowadzenia konia. Kierowała nim wyłącznie uciskiem nóg i ruchami ciała.

Na dźwięk dziwnego języka, którym mówiły duchy, i na widok zsiadającego Jondalara, szamanka zaczęła śpiewać głośniejsz, błagała duchy, żeby odeszły, obiecywała im odprawienie ceremonii, próbowała je zjednać obietnicą podarków.

- Chyba powinniśmy jej wyjaśnić, kim jesteśmy - powiedziała Ayla. - Ta Mamut jest coraz bardziej niespokojna.

Jondalar trzymał postronek tuż przy łbie ogiera. Zawodnik był podniecony i próbował stanąć dęba, a Mamut - z jej laską i krzykami - tylko się do zdenerwowania dokładała. Nawet Whinney wyglądała na gotową do ucieczki, a na ogół była znacznie spokojniejsza niż jej pobudliwy potomek.

- Nie jesteście duchami! - zawołał Jondalar, kiedy Mamut przerwała dla nabrania tchu. - Ja jestem w podróży, a ona... - Tu wskazał na Aylę. - ...jest Mamutoi z Ogniska Mamuta.

Ludzie zerkali na siebie pytająco, a szamanka przestała krzyczeć i tańczyć, chociaż nadal potrząsała laską od czasu do czasu, uważnie im się przyglądając. Może to są duchy, które wyprawiają jakieś sztuczki, ale przynajmniej zmusiła je do mówienia zrozumiałym dla wszystkich językiem. Wreszcie odezwała się:

- Dlaczego mamy wam wierzyć? Skąd mamy wiedzieć, że nie próbujecie nas oszukać? Powiadasz, że ona jest z Ogniska Mamuta, ale gdzie jej oznaka? Nie ma tatuażu na twarzy.

Ayla zabrała głos:

- Nie powiedział, że jestem Mamutem. Powiedział, że jestem z Ogniska Mamuta. Stary Mamut z Obozu Lwa uczył mnie, zanim odeszłam, ale nie dokończyłam treningu.

Mamut poszła naradzić się z dwojgiem stojących opodal ludzi, a potem wróciła.

- Ten - powiedziała, wskazując na Jondalara - twierdzi, że jest gościem. Chociaż mówi zupełnie dobrze, ale słychać w jego mowie tony obcego języka. Ty mówisz, że jesteś Mamutoi, a jednak coś w twoim głosie jest nie-Mamutoi.

Jondalar wstrzymał oddech i czekał. Ayla rzeczywiście wymawiała słowa w niezwyklej sposób. Pewnych dźwięków nie umiała dokładnie odtworzyć i sposób, w jaki je wymawiała, był wyjątkowy. Nie było wątpliwości co do tego, co chciała powiedzieć, i jej sposób mówienia nie był nieprzyjemny - Jondalar go wręcz lubił - ale był inny. To nie całkiem był obcy akcent; to było coś więcej i coś odmiennego. A jednak to było właśnie to: akcent, ale akcent języka, którego prawie nikt nie słyszał, a gdyby słyszał, nie uznałby tego za język. Ayla mówiła z akcentem trudnego, gardłowego, ograniczonego dźwiękowo języka ludzi, którzy przyjęli osieroconą dziewczynkę i ją wychowali.

- Nie urodziłam się wśród Mamutoi - powiedziała Ayla, nadal trzymając Wilka, chociaż już nie warczał. - Sam Mamut zaadoptował mnie do Ogniska Mamuta.

Ludzie w podnieceniu zaczęli mówić wszyscy naraz, a Mamut odbyła kolejną naradę z parą ludzi.

- Skoro nie należycie do świata duchów, to jak panujecie nad wilkiem i nakazujecie koniom, żeby was nosiły na grzbietach?

- To nie jest trudne, jeśli się je znajdzie, kiedy są małe - odparła Ayla.

- Mówisz, jakby to było bardzo proste. W tym musi być coś więcej! - Mamut nie miała zamiaru dać się oszukać tej kobiecie, sama też była przecież z Ogniska Mamuta!

- Byłem przy tym, kiedy przyniosła wilcze szczenię do ziemianki - próbował wyjaśnić Jondalar. - Było takie małe, że jeszcze ssało, i byłem pewien, że zdechnie. Ale ona je karmiła posiekany mięsem i zupą, nawet w środku nocy, jakby to było niemowlę. Wszyscy byli zdziwieni, że przeżyło i zaczęło rosnać, ale to był dopiero początek. Potem nauczyła je zachowywać się tak, jak chciała - nie załatwiać się w ziemiance, nie chapać zębami dzieci, nawet kiedy robiły mu krzywdę. Gdybym przy tym nie był, nie uwierzyłbym, że wilka można tyle nauczyć i że tyle potrafi zrozumieć. To prawda, że potrzeba tu czegoś więcej niż tylko znalezienia za młodu. Ona się nim opiekowała jak dzieckiem. Jest matką tego zwierzęcia i dlatego ono robi to, czego ona chce.

- A co z końmi? - spytał mężczyzna stojący obok szamanki. Przypatrywał się uważnie pełnemu werwy ogierowi i wysokiemu mężczyźnie, który nad nim panował.

- Tak samo jest z końmi. Możesz je nauczyć, jeśli znajdziesz je, kiedy są młode, i zaopiekujesz się nimi. To zajmuje sporo czasu i wymaga cierpliwości, ale jest możliwe.

Ludzie opuścili swoje oszczepy i słuchali z wielkim zainteresowaniem. Nigdy nie słyszano o duchach, które potrafią mówić normalnym językiem, ale te wszystkie opowieści o matkowaniu zwierzętom były dokładnie takie, z jakich znane są duchy-słowa, które nie całkiem są tym, czym się wydają.

Głos zabrała jedna z kobiet:

- Nie znam się na matkowaniu zwierzętom, ale wiem, że Ognisko Mamuta nie adoptuje obcych i nie robi z nich Mamutoi. To nie jest zwykłe ognisko domowe. Jest poświęcone Tym Którzy Służą Matce. Ludzie wybierają Ognisko Mamuta, albo też zostają wybrani. Mam krewnych w Obozie Lwa. Mamut jest bardzo stary, jest chyba najstarszym żywym człowiekiem. Dlaczego miałby kogoś adoptować? I nie sądzę, by Ludę na to pozwoliła. Bardzo trudno uwierzyć w to, co opowiadacie, i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy uwierzyć.

Ayla wyczuła jakąś sprzeczność w sposobie mówienia kobiety, lub raczej osobliwość towarzyszącą jej słowom: zeszywnienie karku, napięcie mięśni ramion, niespokojny wyraz twarzy. Zdawało się, że spodziewa się nieprzyjemności. Nagle Ayla zrozumiała, że to nie była pomyłka; kobieta umyślnie wplotła kłamstwo do swojego stwierdzenia, subtelną pułapkę słowną. Ze względu jednak na swoje wyjątkowe dzieciństwo Ayla wyraźnie to dostrzegła.

Ludzie, którzy wychowali Aylę, znani byli jako płaskogłowi, choć sami nazywali się klanem. Ich sposób porozumiewania się był precyzyjny i pełen niuansów, chociaż zasadniczo bezsłowny. Niewielu tylko ludzi wiedziało, że w ogóle mieli język. Ich zdolność artykułowania słów była ograniczona i często pomawiano ich, że nie są w pełni ludźmi, a tylko zwierzętami nie znającymi mowy. Używali języka gestów i znaków, ale nie był on przez to mniej złożony niż język składający się ze słów.

Te kilka słów, które klan wymawiał - Jondalar miał trudności z powtórzeniem ich, tak jak Ayla nie całkiem potrafiła wymówić pewne dźwięki z języka zelandoni czy mamutoi - były artykułowane w bardzo specyficzny sposób i na ogół używane do podkreślenia gestów albo jako imiona ludzi i rzeczy. Niuanse i odcienie zaznaczano zachowaniem się, postawą, wyrazem twarzy, które przydawały językowi głębi i zróżnicowania, tak jak ton i modulacja głosu czynią to z językiem słownym. Ale przy tak jawnych środkach porozumiewania się powiedzenie nieprawdy było niemożliwe; klan nie umiał kłamać.

W trakcie nauki porozumiewania się gestami Ayla nauczyła się dostrzegać i rozumieć nieznaczące sygnały ruchów ciała i wyrazu twarzy; bez tego nie było pełnego porozumienia. Kiedy na nowo uczyła się słownej komunikacji od Jondalara i potem nabierała wprawy w języku mamutoi, odkryła, że odbiera mimowolne sygnały zawarte w drobnych ruchach mięśni twarzy i postawie ludzi, którzy porozumiewali się słowami, mimo że takie gesty nie były świadomie zamierzone jako część języka.

Odkryła, że rozumie więcej niż słowa, chociaż na początku była tym zmartwiona i zmieszana, ponieważ wymawiane słowa nie zawsze odpowiadały danym sygnałom, a ona nie знаła pojęcia kłamstwa. Najbliższe nieprawdy było dla niej powstrzymanie się od mówienia.

Nauczyła się w końcu, że pewne drobne kłamstwa uważano za uprzejmość. Ale dopiero kiedy zrozumiała humor - polegający na ogół na powiedzeniu jednej rzeczy, ale sugerowaniu czegoś innego - nagle pojęła naturę mówionego języka i ludzi, którzy się nim posługiwali. Dopiero wtedy jej zdolność interpretowania nieświadomych sygnałów dodała nieoczekiwanego wymiaru jej umiejętnościom słownym; uzyskała niemal niesamowitą zdolność rozumienia, co rozmówca rzeczywiście miał na myśli. Dawało jej to niezwykłą przewagę. Chociaż sama nie potrafiła kłamać, wiedziała na ogół, kiedy ktoś inny nie mówił prawdy.

- W Obozie Lwa nie było nikogo o imieniu Lutie, jak długo ja tam byłam. - Ayla zdecydowała się na otwartość. - Tule jest przywódczynią, a jej brat, Talut, jest przywódcą.

Kobieta nieznacznie skinęła głową, a Ayla mówiła dalej:

- Wiem, że na ogół człowiek poświęca się Ognisku Mamuta, nie zaś jest adoptowany. Talut i Nezzie mieli mnie adoptować, Talut nawet powiększył ziemiankę, żeby zrobić zimowe schronienie dla koni, ale stary Mamut wszystkich zaskoczył. Powiedział, że należę do Ogniska Mamuta, że się przy nim urodziłam.

- Jeśli przyszedł z tymi końmi do Obozu Lwa, to rozumiem, dlaczego stary Mamut to powiedział - odezwał się stojący obok mężczyzna.

Kobieta spojrzała na niego z oburzeniem i coś wyszeptowała. Znowu naradzali się we trójkę z szamanką. Mężczyzna wierzył, że obcy to prawdopodobnie ludzie, a nie podstępne duchy - a nawet jeśli duchy, to nieszkodliwe - ale nie wierzył, że są dokładnie tymi, za kogo się podają. Tłumaczenie dziwnego zachowania się zwierząt, jakie dał wysoki mężczyzna, było zbyt proste, ale bardzo go zaciekawiło. Intrygowały go konie i wilk. Kobiecie wydawało się, że mówili zbyt otwarcie i zbyt dużo, i była pewna, że kryło się tam więcej, niż którekolwiek z nich przyznało. Nie ufała im i nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Szamanką zaakceptowała ich jako ludzi dopiero wtedy, kiedy nasunęło jej się inne wyjaśnienie nadzwyczajnego zachowania zwierząt, znacznie bardziej prawdopodobne dla kogoś znającego się na rzeczy. Była pewna, że ta kobieta o jasnych włosach jest potężnym Przywoływaczem, i stary Mamut musiał wiedzieć, że urodziła się z niesamowitym darem panowania nad zwierzętami. Może i mężczyzna też... Później, jak już dotrą na Letnie Spotkanie, warto będzie porozmawiać z Obozem Lwa, a i Mamutowie z pewnością mają coś do powiedzenia na temat tej pary. Łatwiej było uwierzyć w magię niż w nedorzeczny pomysł, że zwierzęta można oswoić.

Nie mogli dojść do porozumienia. Kobieta nie czuła się dobrze w towarzystwie obcych, niepokoiła ją. Gdyby się zastanowiła, musiałaby przyznać, że się ich boi. Nie chciała mieć w

poblizu tak otwartych przejawów nadprzyrodzonej mocy, ale ją przegłosowano. Mężczyzna zabrał głos:

- To miejsce, gdzie rzeki się łączą, jest dobre na obozowisko. Nieraz już udało nam się tu polowanie i stado olbrzymich jeleni, megacerosów, idzie w tę stronę. Powinny tu być za kilka dni. Nie mamy nic przeciwko temu, żebyście rozbili swój obóz w poblizu i przyłączyli się do naszych łowów.

- Wdzięczni jesteśmy za zaproszenie - powiedział Jondalar. - Jeśli możemy, to przenocujemy dzisiaj obok, ale rano musimy ruszyć w drogę.

To było ograniczone zaproszenie, nie tak serdeczne jak te, z którymi spotykał się ze strony obcych w czasie podróży piechotą ze swoim bratem. Formalne przywitanie, dane w imieniu Matki, ofiarowywało coś więcej niż gościnność. Było uznawane za zaproszenie do przyłączenia się, do pozostania na pewien czas wśród gospodarzy. Ograniczone zaproszenie, jakie wypowiedział mężczyzna, wyrażało niepewność, ale przynajmniej nie grożono im już oszczepami.

- W takim razie, w imieniu Matki, podzielcie się przynajmniej z nami wieczornym posiłkiem, jak również zjedzcie z nami rano. - Przywódca uznał, że co najmniej tyle może zaproponować, a Jondalar wyczuwał, że byłby skłonny powiedzieć więcej.

- W imieniu Wielkiej Matki Ziemi z przyjemnością zjemy z wami dzisiaj, kiedy już rozłożymy nasz obóz - zgodził się Jondalar. - Ale rano musimy wyruszyć bardzo wcześnie.

- Dokąd idziecie w takim pośpiechu?

Chociaż żył wśród nich przez długi czas i znał ich sposób bycia, bezpośredniość pytania, tak typowa dla Mamutoi, zaskoczyła Jondalara, tym bardziej że zadał je obcy człowiek. Pytanie przywódcy byłoby uważane za nieco niegrzeczne wśród ludzi Jondalara; nie jakaś niewybaczalna nieuprzejmość, po prostu oznaka niedojrzałości czy też nieznamomości bardziej subtelnego i pośredniego sposobu wyrażania się znajdujących się na rzeczy dorosłych.

Ale Jondalar wiedział, że otwartość i bezpośredniość były uważane za właściwy sposób obcowania wśród Mamutoi, podejrzany zaś był brak otwartości, choć ich sposób bycia nie był aż tak całkowicie szczerzy, na jaki wyglądał. Istniały niuanse. Wszystko zależało od tego, jak wyrażano otwartość, jak była przyjmowana i co pozostało nie wypowiedziane. Ale otwarta ciekawość przywódcy tego obozu była, zdaniem Mamutoi, całkowicie na miejscu.

- Idę do domu i zabieram tę kobietę ze sobą - odpowiedział Jondalar.

- Co za różnicę zrobi jeden czy dwa dni?

- Mój dom jest daleko na zachód. Byłem w podróży... Jondalar przerwał, żeby pomyśleć. - Cztery lata, a powrotna droga zabierze nam rok, jeśli będziemy mieli szczęście. Mamy przed sobą niebezpieczne przejścia, rzeki i lodowiec, i nie chcę dotrzeć do nich o zły porze roku.

- Na zachód? Wygląda, jakbyście podróżowali na południe.

- To prawda. Idziemy do Morza Czarnego i Wielkiej Matki Rzeki. Będziemy podróżować wzdłuż jej biegu.

- Mój kuzyn kilka lat temu poszedł na zachód na wyprawę handlową. Opowiadał potem o ludziach, którzy mieszkają blisko rzeki i też nazywają ją Wielką Matką - powiedział mężczyzna. - Myślał, że to ta sama rzeka. Zależy, jak daleko w górę rzeki chcesz pójść, ale jest przejście na południe od Wielkiego Lodu i na północ od zachodnich gór. Gdybyś poszedł tą drogą, podróż byłaby znacznie krótsza.

- Talut mówił mi o tej północnej trasie, ale nikt nie jest pewien, czy to ta sama rzeka. Jeśli nie, to szukanie właściwej mogłoby zabrać więcej czasu. Przyszedłem drogą południową i znam tę trasę. Poza tym mam krewnych wśród Rzecznych Ludzi. Mój brat wziął za towarzyszkę życia kobietę z Sharamudoi i mieszkałem z nimi. Chciałbym ich jeszcze raz zobaczyć. To chyba ostatnia szansa.

- Handlujemy z Rzecznyimi Ludźmi... Wydaje mi się, że słyszałem coś o jakichś obcych, rok czy dwa lata temu, żyjących z tą grupą, do której przyłączyła się kobieta z Mamutoi. Tak, pamiętam, że to byli dwaj bracia. Sharamudoi mają inne obyczaje, ale o ile dobrze pamiętam, ona i jej towarzysz mieli zostać połączeni z inną parą - chyba jakiś rodzaj adopcji. Zaprośili wszystkich Mamutoi, którzy chcieli przyjść. Wielu wtedy poszło, a jeden czy dwóch jeszcze raz się potem tam wybrało.

- To był mój brat, Thonolan - powiedział Jondalar, zadowolony, że słowa przywódcy potwierdzały jego opowieść, choć nadal nie umiał bez bólu wymówić imienia brata. - To były jego zaślubiny. Połączył się z Jetamio i zostali wspólnymi towarzyszami z Markeno i Tholie. To Tholie nauczyła mnie mówić w mamutoi.

- Tholie jest moją daleką kuzynką, a ty jesteś bratem jednego z jej współtowarzyszy życia? - Mężczyzna zwrócił się do swojej siostry: - Thurie, ten człowiek to powinowaty. Musimy go tutaj przyjąć. - Nie czekając na jej odpowiedź, powiedział: - Jestem Rutan, przywódca Obozu Sokoła. Witaj w imieniu Mut, Wielkiej Matki.

Kobieta nie miała wyboru. Nie mogła przynieść bratu wstydu, odmawiając powitania gości wraz z nim, chociaż miała zamiar powiedzieć mu na osobności kilka celnie dobranych słów.

- Jestem Thurie, przywódczyni Obozu Sokoła. W imieniu Matki witam was tutaj. Latem jesteśmy Obozem Ostnicy.

Nie było to najcieplejsze powitanie, jakie kiedykolwiek otrzymał. Jondalar wyczuł rezerwę. Witania ich "tutaj", w tym konkretnym miejscu, ale to było tylko tymczasowe miejsce postoju. Wiedział, że nazwa Obóz Ostnicy określa każde miejsce pobytu w czasie letnich polowań.

Mamutoi prowadzili zimą osiadły tryb życia, a ta grupa, jak wszystkie inne, mieszkała w stałym obozowisku w jednej lub dwóch dużych półpodziemnych ziemiankach, albo w szeregu małych, które razem nazwane były Obozem Sokoła. Tam ich nie zapraszała.

- Jestem Jondalar z Zelandonii, pozdrawiam cię w imieniu Wielkiej Matki Ziemi, którą my nazywamy Doni.

- Mamy zapasowe miejsca do spania w namiocie mamuta - powiedziała Thurie. - Ale nie wiem... zwierzęta...

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu - powiedział w imię grzeczności Jondalar - to byłoby nam łatwiej rozbić w pobliżu własny obóz niż zatrzymać się w waszym. Doceniamy waszą gościnność, ale konie muszą się paść. Nasz namiot znają i wrócą do niego. Mogą się niepokoić, podchodząc do waszego obozu.

- Oczywiście - z ulgą odparła Thurie. Ona by się także niepokoiła końmi.

Ayla uznała, że też powinna wymienić pozdrowienia. Wilk wydawał się trochę spokojniejszy i ostrożnie rozluźniła uścisk wokół jego szyi. Nie mogę tu wечно siedzieć i trzymać Wilka - pomyślała. Kiedy wstała, próbował na nią wskoczyć, ale dała mu znak, żeby siadł.

Nie wyciągając rąk i nie podchodząc bliżej, Rutan powitał ją w obozie. Odpowiedziała mu zgodnie z obyczajem:

- Jestem Ayla z Mamutoi, z Ogniska Mamuta. Pozdrawiam cię w imieniu Mut.

Thurie dodała swoje powitanie, ograniczając je wyłącznie do tego miejsca, tak jak to zrobiła wobec Jondalara. Ayla odpowiedziała formalnym zwrotem. Pragnęła, by byli bardziej przyjacielscy, ale czuła, że nie może ich winić. Widok zwierząt dobrowolnie podróżujących z ludźmi mógł przestraszyć. Ayla z bólem serca zdała sobie sprawę z tego, że nie wszyscy będą tak otwarci na dziwne nowości jak Talut, i poczuła tęsknotę za drogimi jej ludźmi z Obozu Lwa.

Ayla zwróciła się do Jondalara:

- Wilk już nie jest w agresywnym nastroju. Myślę, że będzie mnie słuchał, ale wolę mieć coś do przytrzymania go, jak długo jesteśmy w tym obozie, a także na potem, jeśli spotkamy innych ludzi - powiedziała to w zelandoni, bo nie sądziła, że może swobodnie mówić w obecności tych ludzi, chociaż tak bardzo by chciała. - Może coś podobnego do upręży Zawodnika, Jondalarze. Jest dużo zapasowych rzemieni i sznurów na dnie jednego z moich koszy. Muszę go nauczyć, żeby nie rzucał się tak na obcych; musi nauczyć się stać spokojnie tam, gdzie mu każe.

Wilk z pewnością rozumiał, że we wzniesieniu oszczepów czaiła się groźba. Nie mogła go przecież winić za to, że rzucił się w obronie ludzi i koni stanowiących jego dziwne stado. Z jego punktu widzenia postąpił słusznie, ale nie można było tego pochwalać. Nie mógł traktować wszystkich ludzi, których spotkają w czasie tej wędrówki jak obcych wilków. Będzie musiała go

nauczyć innego zachowania, większego opanowania przy spotkaniu z obcymi. W trakcie tych rozmyślań zaczęła się zastanawiać, czy istnieją inni ludzie, którzy rozumieją, że wilk może reagować na życzenia kobiety lub że konie mogą pozwolić ludziom na jazdę na swoich grzbietach.

- Zostań tu z nim. Pójdę po postronek - powiedział Jondalar. Nie puszczając wodzy Zawodnika, mimo że ogier już się uspokoił, zaczął szukać sznura w koszu przymocowanym do grzbietu Whinney. Wrogość obozu nieco opadła i ludzie nie wydawali się ostrożniejsi, niż byłiby wobec jakichkolwiek nieznajomych. Patrzyli tak, jakby ich ciekawość przemogła strach.

Również Whinney się uspokoiła. Jondalar drapał ją, klepał i czule do niej przemawiał, przeszukując jednocześnie kosze. Żywił bardzo ciepłe uczucia do krzepkiej kobyły i chociaż kochał bujny temperament Zawodnika, podziwiał też spokój i cierpliwość Whinney. Wywierała uspokajający wpływ na młodego ogiera. Przywiązał wodze Zawodnika do rzemienia przytrzymującego kosze na grzbiecie Whinney. Jondalar często marzył o tym, by móc panować nad Zawodnikiem, jak Ayla nad Whinney, bez upręży czy postronka. Ale w miarę jak dłużej jeździł na zwierzęciu, zaczął odkrywać niezwykłą wrażliwość końskiej skóry i jego podatność na dotyk. Zaczął więc kierować Zawodnikiem uciskiem nóg i zmianami postawy.

Ayla wraz z Wilkiem podeszli do kobyły. Kiedy Jondalar podawał jej sznur, powiedział cicho:

- Nie musimy tu zostawać, Aylo. Jeszcze jest wcześnie. Możemy znaleźć inne miejsce, nad tą rzeką albo nad inną.

- Myślę, że dobrze byłoby, gdyby Wilk zaczął się przyzwyczajać do ludzi, szczególnie obcych ludzi, i chociaż nie są zbyt przyjaźni, nie mam nic przeciwko wizycie u nich. To są Mamutoi, moi ludzie. To mogą być ostatni Mamutoi, jakich kiedykolwiek zobaczę. Ciekawe, czy idą na Letnie Spotkanie. Może wezmą pozdrowienia dla Obozu Lwa.

Ayla i Jondalar rozbili własny obóz niedaleko Obozu Ostnicy, w górę dużego dopływu rzeki. Zdjęli ładunki z koni i puścili zwierzęta wolno na trawę. Ayla przeżyła chwilę niepokoju, kiedy odeszły od obozu i zniknęły jej z oczu w kurzawie.

Podróżowali prawym brzegiem dużej rzeki, ale w pewnej od niej odległości. Rzeka kierowała się na południe, ale płynęła zakosami, i głęboki wąwóz, jaki wyłobowała na równinie, wił się i zmieniał kierunek. Trzymając się stepów powyżej rzecznej doliny, podróżnicy szli prostszą drogą, ale wystawieni byli na nieustanny wiatr, ostre promienie słońca i deszcz.

- Czy to jest rzeka, o której mówił Talut? - spytała Ayla, rozwijając futrzane śpiwory.

Mężczyzna sięgnął do jednego z koszy i wyjął dość duży płat mamuciego kła z naciętymi znakami. Spojrzał w zamglone niebo w kierunku, z którego biło niezwykle jaskrawe, ale

rozproszone światło, a potem na zamazany krajobraz. Było późne popołudnie, tyle mógł powiedzieć, ale niewiele więcej.

- Nie wiem - powiedział, odkładając mapę. - Nie widzę żadnych znaków rozpoznawczych, a normalnie mierzę odległość własnymi nogami. Zawodnik porusza się w innym tempie.

- Czy naprawdę podróż do twojego domu zabierze nam cały rok?

- Trudno powiedzieć z pewnością. Zależy, co znajdziemy po drodze, jakie będziemy mieć kłopoty, jak często będziemy się zatrzymywać. Jeśli dotrzemy do Zelandonii o tej porze w przyszłym roku, możemy się uznać za szczęściarzy. Jeszcze nie doszliśmy do Morza Czarnego, gdzie kończy się Wielka Matka Rzeka, a musimy iść wzdłuż całego jej biegu, aż do lodowca u jej źródeł i jeszcze poza ten lodowiec - odpowiedział Jondalar. W jego oczach o niezwykłym odcieniu błękitu malował się niepokój, a czoło marszczyło się w znajome bruzdy.

- Musimy przeprowić się przez kilka dużych rzek, ale najbardziej martwi mnie lodowiec. Musimy go przejść, kiedy jest solidnie zamrożony, co znaczy, że trzeba tam dojść, zanim zacznie się wiosna, a to tak trudno przewidzieć. W tamtych stronach wieje silny południowy wiatr, który może zamienić mróz w odwilż w ciągu jednego dnia. Wtedy śnieg i lód na szczycie topią się i łamią jak przegniłe drewno. Otwierają się szerokie szczeliny i łamią się śnieżne mosty nad nimi. Strumyki, nawet rzeki stopionej wody, płyną po lodzie i czasami znikają w głębokich dołach. Wtedy jest bardzo niebezpiecznie, a to może stać się nagle. Teraz jest lato i chociaż wydaje się, że do zimy jeszcze daleko, mamy znacznie dłuższą drogę przed sobą, niż sądzisz.

Kobieta skinęła głową. Nie ma sensu nawet myśleć o tym, jak długo potrwa wędrówka ani co się stanie, kiedy już przyjdą na miejsce. Lepiej myśleć tylko o następnym dniu, planować tylko na kolejny dzień lub dwa. Lepiej nie martwić się o ludzi Jondalara i o to, czy ją zaakceptują, tak jak zaakceptowali ją Mamutoi.

- Chciałabym, żeby przestało wiać - powiedziała.

- Też mam już dosyć jedzenia pyłu - rzekł Jondalar. - Chodźmy może do sąsiadów i zobaczmy, czy dadzą nam coś innego.

Idąc do Obozu Ostnicy, wzięli ze sobą Wilka, ale Ayla trzymała go blisko siebie. Dołączyli do grupy zebranej wokół ogniska, nad którym piekł się duży udziec. Rozmowa początkowo nie kleiła się, ale nie potrało zbyt długo, a ciekawość zamieniła się w ciepłe zainteresowanie i pełna obawy rezerwa ustąpiła miejsca ożywionej rozmowie. Niewielu ludzi zamieszkiwało te przylodowcowe stopy i rzadko kiedy mieli okazję spotkania kogoś nowego. To podniecające przypadkowe spotkanie na długi czas dostarczyło tematów do dyskusji i opowieści w Obozie Ostnicy. Ayla rozmawiała przyjaźnie z wieloma ludźmi, szczególnie z jedną młodą kobietą z

malutką córeczką, która właśnie zaczynała sama siadać i śmiała się głośno. Dziecko oczarowało ich wszystkich, ale najbardziej Wilka.

Młoda matka była z początku bardzo niespokojna, że zwierzę wybrało sobie jej dziecko na obiekt troskliwej uwagi. Wszyscy jednak zdumieni się, kiedy jego gorliwe liźnięcia wywołały radosny chichot dziewczynki i kiedy na jej szarpanie go za futro Wilk odpowiedział łagodną powściągliwością.

Inne dzieci też chciały go dotknąć i wkrótce Wilk bawił się z nimi. Ayla wyjaśniła, że wyrósł z dziećmi Obozu Lwa i pewnie za nimi tęskni. Zawsze był wyjątkowo łagodny wobec bardzo małych lub słabych dzieci i zdawał się rozumieć różnicę między nieumyślnym zbyt mocnym uściskiem ze strony malucha a złośliwym szarpnięciem za ogon czy ucho przez starsze dziecko. To pierwsze znosił z cierpliwością, a to drugie przerywał ostrzegawczym warknięciem lub odpłacał ostrożnym uszczyptnięciem, nie tak żeby przeciąć skórę, ale żeby pokazać, iż może to zrobić.

Jondalar wspomniał, że idą prosto z Letniego Spotkania, a Rutan powiedział, że niezbędne naprawy ziemianki opóźniły ich wyprawę; inaczej już dawno by tam byli. Wypytywał Jondalara o jego podróże i o Zawodnika, a wielu ludzi się przysłuchiwało. Wydawali się mniej skłonni do stawiania pytań Ayli, chociaż Mamut chętnie wzięłaby ją na stronę na prywatną rozmowę o bardziej tajemnych sprawach, ale wolała pozostać z obozem. Gdy przyszła pora na powrót do ich własnego namiotu, nawet przywódczyni była bardziej odprężona i przyjazna i Ayla poprosiła ją o przekazanie słów miłości i pamięci Obozowi Lwa, kiedy wreszcie dotrą na Letnie Spotkanie.

Tej nocy Ayla leżała i rozmyślała. Była zadowolona, że pierwotne wątpliwości wobec Obozu, który był mniej niż przyjazny, nie powstrzymały ich od dołączenia się do nich. Kiedy mieli możliwość przełamania swojego strachu przed dziwnym i nieznanym, wykazali zainteresowanie i chęć dowiedzenia się więcej. Ona także dowiedziała się, że wędrowka z tak niezwykłymi towarzyszami może wywoływać ostre reakcje każdego, kto ich przypadkiem spotka po drodze. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać, ale nie ulegało wątpliwości, że ta podróż będzie znacznie trudniejsza, niż to sobie wyobrażała.

ROZDZIAŁ 2

Jondalar spieszył się, żeby wyruszyć wczesnym rankiem, ale Ayla chciała przed odejściem zobaczyć jeszcze raz nowych znajomych z Obozu Ostnicy. Mimo że Jondalar się niecierpliwił, spędziła trochę czasu na pożegnaniach. Kiedy wreszcie ruszyli, było już południe.

Otwarta trawiasta przestrzeń, łagodnie pofałdowana w pagórki i z rozległym widokiem na daleki horyzont, przez którą wędrowali od czasu, gdy opuścili Letnie Spotkanie, wyraźnie szła w górę. Wartki prąd dopływu rzeki, który spływał z wyżej położonych terenów, pędził z większą energią niż wijący się główny strumień, i wyciął głęboki kanał o stromych zboczach w przewianej wiatrem lessowej ziemi. Chociaż Jondalar chciał iść na południe, musieli posuwać się na zachód, a potem na północny zachód, w poszukiwaniu dogodnego przejścia przez rzekę.

Im bardziej zbaczali z drogi, tym bardziej wzrastało zirytowanie i niecierpliwość Jondalara. W myślach podważał sensowność wyboru dłuższej, południowej trasy, zamiast północno-zachodniej, o której mówiono mu kilka razy i w której stronę kierowała ich rzeka. To prawda, nie znał tej trasy, ale skoro jest o tyle krótsza, może powinni nią pójść. Gdyby tylko miał pewność, że dojdą do wyżyny lodowcowej na zachodzie przy źródłach Wielkiej Matki Rzeki, zanim nastanie wiosna, toby się na tę drogę zdecydował.

Oznaczałoby to rezygnację z ostatniej możliwości zobaczenia się z Sharamudoi, ale czy to jest takie ważne? Musiał przyznać, że istotnie chce ich zobaczyć. Jondalar nie był pewien, czy jego decyzja pójścia na południe rzeczywiście wypływała z chęci wyboru znajomej, a więc bezpieczniejszej drogi dla Ayli i siebie, czy też z chęci zobaczenia ludzi, którzy też byli jego rodziną. Martwił się o konsekwencje złego wyboru.

Ayla przerwała te rozmyślenia:

- Jondalarze, myślę, że możemy przeprowić się tutaj. Wygląda, że łatwo będzie się wspiąć na brzeg z drugiej strony.

Byli na zakręcie rzeki i zatrzymali się, by dokładnie zorientować się w sytuacji. Wzburzony, bystry prąd wcinał się tu głęboko w zewnętrzny brzeg, na którym stali, tworząc wysokie, strome zbocze. Ale przeciwny brzeg, po wewnętrznej stronie zakola, wznosił się stopniowo z wody, tworząc wąski pas twardo ubitej, szarobrazowej ziemi porosłej krzewami.

- Czy konie zejdą tym zboczem?

- Chyba tak. Głębina musi być z tej strony, gdzie rzeka wcina się w brzeg. Trudno powiedzieć, jak tu jest głęboko i czy konie będą musiały płynąć. Chyba będzie lepiej, jak zsiądziemy i też popłyniemy - powiedziała Ayla, lecz zauważyła, że Jondalar wydawał się

niezadowolony. - Ale jeśli nie jest zbyt głęboko, to możemy przejechać na koniach. Nie chciałabym zamoczyć ubrania, ale też wcale mi się nie chce rozbierać.

Skierowali konie przez stromą krawędź. Kopyta ślizgały się i zjeżdżały po drobnoziarnistej ziemi zbocza, aż z pluskiem wylądowali w wodzie i zanurzyli się w szybkim prądzie, który ich pociągnął w dół rzeki. Było głębiej, niż Ayla sądziła. Konie przeżyły chwilę paniki, zanim przyzwyczyły się do nowego otoczenia, i popłynęły pod prąd ku nachyleniu przeciwnego brzegu. Kiedy zaczęły wspinać się na łagodne wzniesienie, Ayla rozejrzała się za Wilkiem. Odwróciła się i zobaczyła, że został na stromym brzegu, skomli tam, skowyczy i biega w kółko.

- Boi się skoczyć - odezwał się Jondalar.

- Chodź, Wilk! Chodź! - wołała Ayla. - Umiesz pływać. - Ale młody wilk zaskomlał żałośnie i podkulił ogon między tylne łapy.

- Co się z nim dzieje? Przecież już przeprowiał się przez rzeki - powiedział Jondalar, zły na kolejną zwłokę. Miał nadzieję przejechać tego dnia spory odcinek drogi, ale wszystko jakby się sprzysięgło, żeby ich opóźnić.

Wyruszyli późno, potem musieli zawrócić kawał drogi na północ i zachód, kierunki, których chciał uniknąć, a teraz Wilk nie chce przejść przez rzekę. Wiedział również, że powinni zatrzymać się i sprawdzić zawartość koszy po skąpaniu się w wodzie, mimo że były ciasno plecione i zasadniczo wodoszczelne. Do jego irytacji dokładała się mokra odzież i późna pora dnia. Czuł ziębiący wiatr i wiedział, że powinni zmienić ubranie, a temu dać wyschnąć. Letnie dni były wystarczająco ciepłe, ale porywiste nocne wiatry przynosiły mroźne tchnienie lodu. Efekty potężnego lodowca, który przygniatał północne krainy pokrywami lodu wysokimi jak góry, czuć było wszędzie na ziemi, ale nigdzie bardziej niż na zimnych stepach opodal jego krawędzi.

Gdyby było wcześniej, mogliby podróżować w mokrym ubraniu; wiatr i słońce wysuszyłyby je w trakcie jazdy. Kusiło go, żeby jednak bez zwłoki ruszyć na południe, po prostu, żeby przejechać kawałek drogi... gdyby tylko mogli ruszyć się z miejsca.

- Nie jest przyzwyczajony do tak szybko płynącej wody i tego, że nie może do niej wejść. Musi wskoczyć, a tego nigdy przedtem nie robił - powiedziała Ayla.

- Co zrobisz?

- Jeśli nie uda mi się namówić go do skoku, będę musiała po niego pójść - odpowiedziała.

- Aylo, jeśli tylko odjedziemy kawałek, to na pewno wskoczy i pójdzie za nami. Jeśli mamy dzisiaj zrobić choć kawałek drogi, to musimy się spieszyć.

Pełen oburzenia wyraz niedowiarzy i gniewu na jej twarzy spowodował, że Jondalar chętnie połknąłby z powrotem swoje słowa.

- Chciałbyś, żeby ciebie zostawiono dlatego, że się boisz? Nie chce skoczyć do rzeki, bo nigdy niczego podobnego nie robił. Czego innego można się spodziewać?

- Ja tylko myślałem... To tylko wilk, Aylo. Wilki przepływają rzeki. Potrzebny mu tylko powód, żeby wskoczyć. Jeśli nas nie dogoni, wrócimy po niego. Nie chciałem go tu zostawiać.

- Nie musisz się martwić wracaniem po niego. Ja po niego pójdę. - Ayła odwróciła się i skierowała Whinney do wody.

Młody wilk nadal skomlał, węszył ziemię zdeptaną końskimi kopytami i spoglądał na ludzi i konie po drugiej stronie rzeki. Kiedy koń wszedł do wody, Ayła znowu go zawołała. W połowie przeprawy Whinney poczuła, że grunt umyka jej spod nóg. Zarżała zaniepokojona i próbowała znaleźć lepsze oparcie dla kopyt.

- Wilk! Chodź, Wilk! To tylko woda. Chodź, Wilk! Skocz! - wołała Ayła, próbując namówić przestraszone młode zwierzę do skoku w rwący nurt. Ześlizgnęła się z grzbietu Whinney i zdecydowała, że sama przepłynie do stromego brzegu. Wilk wreszcie zebrał się na odwagę i skoczył. Wpadł w wodę z pluskiem i zaczął płynąć w jej kierunku. - Tak jest! Dobrze, Wilk!

Whinney cofała się, walcząc o utrzymanie gruntu pod nogami, i Ayła z ręką przerzuconą przez kark Wilka starała się do niej dopłynąć. Jondalar już też był w wodzie po pachy, podtrzymując kobyłę i wyciągając ręce w stronę Ayli. Razem dotarli do brzegu.

- Lepiej pospieszmy się, jeśli mamy dzisiaj zrobić choć kawałek drogi - powiedziała Ayła, patrząc gniewnie na Jondalara. Zaczęła dosiadać konia.

- Nie! - Jondalar ją przytrzymał. - Nie ruszymy, dopóki nie zmienisz tych mokrych ubrań. Powinniśmy chyba też wytrzeć konie do sucha, a może także Wilka. Dość już dzisiaj podróżowaliśmy. Tu możemy przenocować. Dotarcie aż tutaj zabrało mi cztery lata. Nie ma znaczenia, czy dalsza droga zajmie kolejne cztery, jeśli tylko doprowadzę cię bezpiecznie na miejsce.

Wyraz troski i miłości w jego niebieskich oczach rozwiął resztki jej gniewu. Gdy pochylił ku niej głowę, wyciągnęła się w jego stronę i poczuła ten sam niewiarygodny zachwyt, który czuła pierwszy raz, kiedy położył swoje wargi na jej i pokazał, czym jest pocałunek, oraz niewymowną radość, że naprawdę podróżuje razem z nim do domu. Kochała go bardziej, niż to umiała wyrazić, tym bardziej że przez całą długą zimę myślała, iż on nie darzy jej uczuciem i odejdzie bez niej.

Bał się o nią, kiedy zawróciła do rzeki, i teraz trzymał ją mocno i przyciskał do siebie. Nigdy nie przypuszczał, że potrafi do tego stopnia kochać drugiego człowieka. Przed Ayła w ogóle nie wiedział, że potrafi kochać. Raz już jej omal nie stracił. Był pewien, że zostanie z tym ciemnym mężczyzną o roześmianych oczach, i nie mógł znieść myśli, że znowu mógłby ją stracić.

Z końmi i wilkiem jako towarzyszami podróży po świecie, w którym nikt przedtem nie wiedział, że daje się je oswoić, mężczyzna stał obok kobiety, którą kochał, pośrodku olbrzymiego, zimnego stepu z mnóstwem różnorodnej zwierzyny, ale bardzo małą liczbą ludzi, i planował wędrówkę przez cały kontynent. A jednak czasami sama myśl, że Ayli mogłaby stać się jakaś krzywda, napawała go takim strachem, że zatykało mu oddech. W takich momentach chciał ją po prostu zatrzymać w objęciach na zawsze.

Jondalar czuł ciepło jej ciała i jej usta na swoich. Poczł, jak obudziło się w nim pożądanie. Ale to mogło poczekać. Była mokra i zmarznięta; potrzebne jej było suche ubranie i ciepło ogniska. Brzeg rzeki jest równie dobrym miejscem na obozowisko jak jakiegokolwiek inne, i chociaż było trochę za wcześnie na postój, no cóż, da im to dość czasu na wysuszenie ubrań i będą mogli wyruszyć wcześniej jutro rano.

- Wilk! Zostaw to! - krzyknęła Ayła i rzuciła się, żeby wyrwać mu zapakowaną w skórę paczkę. - Myślałam, żeś się już oduczyl żucia skóry. - Kiedy próbowała odebrać mu paczkę, zacisnął na niej zęby, zaczął potrząsać łbem i warczeć, zapraszając do zabawy. Puściła paczkę, nie podejmując gry. - Puść to! - rozkazała ostro. Jednocześnie gwałtownie opuściła rękę, jakby miała zamiar uderzyć go po nosie, ale zatrzymała się w ostatniej chwili. Na sygnał i rozkaz Wilk podkulił ogon, pełen unżenia podczołgał się ku niej i położył paczkę u jej stóp, skomlać i błagając o przebaczenie. - To już drugi raz dobrał się do tych rzeczy! - Ayła podniosła paczkę i kilka innych przedmiotów, które porwał. - Dobrze wie, że mu nie wolno, ale po prostu nie umie zostawić skóry w spokoju.

Jondalar podszedł, żeby jej pomóc.

- Nie wiem, co zrobić. Upuszcza je na rozkaz, ale nie możesz wydać mu polecenia, jeśli jesteś gdzie indziej, a nie sposób pilnować go cały czas... Co to jest? Nie pamiętam, żeby to przedtem widział - powiedział, patrząc pytająco na starannie zapakowany w miękką skórę i porządnie związany pakunek.

Rumieniąc się lekko, Ayła szybko odebrała mu paczkę.

- To jest... coś, co wzięłam... coś... z Obozu Lwa - powiedziała i włożyła pakunek do swojego kosza.

Jej zachowanie zdziwiło Jondalara. Oboje ograniczyli swój dobytek podróży do minimum, zabierając niewiele poza niezbędnymi rzeczami. Pakunek nie był duży, ale też i nie mały. Mogła prawdopodobnie wziąć w jego miejsce dodatkową zmianę odzieży. Co też to zabrała ze sobą?

- Wilk! Przestań!

Jondalar obserwował Aylę, która znowu popędziła za młodym wilkiem, i musiał się uśmiechnąć. Nie był pewien, ale to niemal wyglądało, jakby Wilk umyślnie psocił, drażniąc się z

Ayla, zmuszając ją do pogoni i do zabawy z nim. Znalazł jej obozowy but, miękkie okrycie stóp, przypominające mokasyny, które nosiła dla wygody po rozbiciu obozu, jeśli grunt był zamrznięty, wilgotny czy zimny albo kiedy chciała przewietrzyć i wysuszyć swoje normalne, solidniejsze, obuwie.

- Nie wiem, co z nim zrobić! - wykrzyknęła ze złością, podchodząc do mężczyzny. W ręce trzymała obiekt ostatniego ataku Wilka i patrzyła groźnie na winowajcę. Wilk czołgał się ku niej, na pozór pełen skruchy, skomląc żałośnie z powodu jej niezadowolenia, ale w jego rozpaczy kryły się przeblyski wesołości. Był pewien jej miłości i czekał tylko, by dała się przebłagać, żeby natychmiast z podskakiwaniem i piskami zachwytu na nowo rozpocząć zabawę.

Zaledwie wyrósł ze szczeniństwa, ale był już rozmiarów dorosłego wilka, chociaż ciało mu się z czasem jeszcze wypełni. Samotna wilczyca, której partner zdechł, urodziła go w zimie, poza sezonem. Jego futro miało normalny, szarozółtawy kolor - białe, czerwone, brązowe i czarne pasy barwiły każdy zewnętrzny włos, tworząc zamazany wzór i pozwalając wilkom wtopić się w naturalne dzikie otoczenie krzewów, trawy, ziemi, kamieni i śniegu - ale jego matka była czarna.

Jej niezwykle ubarwienie spowodowało, że przywódczyni stada i inne samice niemiłosiernie ją dręczyły, dając jej najniższy status i w końcu wypędzając. Włóczyła się sama, ucząc się przetrwać pomiędzy rewirami wilczych stad, aż wreszcie znalazła innego samotnego wilka, starego samca, który porzucił swoją watahę, bo nie mógł dotrzymać jej kroku. Razem radzili sobie zupełnie nieźle. Ona była lepszym myśliwym, ale on miał większe doświadczenie i zaczęli nawet zakreślać rewir i bronić go. Może sprawiło to lepsze odżywianie, teraz, kiedy oboje pracowali razem i dlatego mogli więcej zdobyć, może towarzystwo i bliskość przyjaznego samca, a może jej własna genetyczna skłonność, w każdym razie weszła w okres rui poza sezonem. Jej starszy towarzysz nie był z tego powodu niezadowolony i, nie musząc zwalczać żadnej konkurencji, zareagował gorliwie i chętnie.

Niestety, jego sztywne, stare kości nie wytrzymały spustoszeń dokonanych przez jeszcze jedną srogą zimę na przylodowcowych stepach. Nie przetrwał długo po nastaniu mrozów. Dla czarnej samicy była to tragiczna strata, bo została sama, żeby sama rodzić - w zimie. Środowisko naturalne nie toleruje zwierząt zbytnio odchylających się od normy. Czarny myśliwy w krajobrazie żółtej trawy, burej ziemi i przewianego wiatrem czy usypanego śniegu jest aż zbyt łatwo widoczny dla sprytnej i niezbyt licznej zimą zwierzyny łownej. Bez towarzysza czy przyjacielskich ciotek, wujków, kuzynów i starszego rodzeństwa, którzy pomogliby żywić karmiącą matkę i opiekować się jej szczeniakami, czarna samica słabła i jej dzieci umierały jedno za drugim, aż zostało tylko jedno.

Ayla znała wilki. Obserwowała je i badała od czasu, gdy zaczęła polować, ale nie mogła wiedzieć, że czarny wilk, który próbował ukraść zabitego przez nią gronostaja, był głodującą, karmiącą samicą; to nie była właściwa pora na szczeniaki. Kiedy próbowała odzyskać swoją zdobycz, a wilk w nietypowy dla siebie sposób zaatakował ją, zabiła go w samoobronie. Potem zobaczyła stan zwierzęcia i zrozumiała, że musiało być samotnikiem. Poczula dziwne pokrewieństwo z wilczycą, którą wyгнаło stado, i postanowiła, że znajdzie osieroczone, pozostawione bez opieki szczeniaki. Idąc wilczym tropem, znalazła gniazdo, wczołgała się do wnętrza i znalazła ostatniego szczeniaka, z zaledwie otwartymi ślepkami. Zabrała go do Obozu Lwa.

Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Ayla pokazała im małego wilczego szczeniaka, ale to ona przecież przybyła do nich z końmi, które jej słuchały. Przyzwyczaili się do koni i do kobiety, która miała dar przyciągania zwierząt, i byli teraz ciekawi wilka i tego, co ona z nim zrobi. Dla wielu było cudem, że potrafiła go wychować i wytresować. Jondalara nadal zadziwiała inteligencja zwierzęcia; inteligencja, która zdawała się niemal ludzka.

- Chyba bawi się z tobą, Aylo - powiedział mężczyzna. Spojrzała na Wilka i nie mogła powstrzymać uśmiechu, na widok którego zwierzę podrzuciło łbem i radośnie zaczęło walić ogonem w ziemię.

- Myślę, że masz rację, ale to mi nie pomoże powstrzymać go od żucia wszystkiego - rzekła, patrząc na poszarpany but obozowy. - Równie dobrze mogę mu to dać. Już to zniszczył i może na trochę zostawi w spokoju inne nasze rzeczy. - Rzuciła mu but, a Wilk podskoczył i złapał go w powietrzu. Jondalar był niemal pewny, że na pysku malował mu się wilczy uśmiešek.

- Pora zacząć się pakować - powiedział, wiedząc, że poprzedniego dnia nie pokonali zbyt wiele drogi na południe.

Ayla rozejrzała się, przesłaniając oczy przed jaskrawym słońcem, które właśnie zaczynało się wspinać na niebo na wschodzie. Zobaczyła Whinney i Zawodnika na trawiastej łące za porośniętym drzewami i krzakami cyplem, i zagwizdała specjalny sygnał, podobny nieco do tego, jakiego używała na Wilka. Bułana kobyła podniosła łeb, zarżała i pogalopowała w stronę kobiety. Młody ogier poszedł za nią.

Zwinęli obóz, załadowali konie i byli niemal gotowi do drogi, kiedy Jondalar zdecydował zmienić rozłożenie pali namiotowych w jednym koszu i oszczepów w drugim, żeby lepiej zbalansować ładunek. Ayla czekała, opierając się o Whinney. Była to wygodna i dobrze znana im obu pozycja; w ten sposób zachowywały bliski kontakt od czasu, kiedy małe źrebię było jej jedynym towarzyszem w bogatej, ale odludnej dolinie.

Zabiła również matkę Whinney. Polowała już wtedy od lat, ale tylko z procą. Ayla nauczyła się używania tej łatwej do ukrycia broni i usprawiedliwiała złamanie tabu klanu przez polowanie wyłącznie na drapieżniki, które konkurowały o tę samą zwierzynę i często kradły ludziom jedzenie. Ale koń był pierwszym dużym mięsnym zwierzęciem, jakiego zabiła, i żeby tego dokonać, po raz pierwszy użyła oszczepu.

W klanie liczyliby się to jako pierwsza zdobycz, gdyby była chłopcem i gdyby wolno jej było używać oszczepu; jako kobiecie, która posłużyła się oszczepem, nie pozwolono by jej żyć. Musiała zabić konia, by przeżyć, ale nie wybrała karmiącej matki na ofiarę - sama wpadła do wykopanej pułapki. Gdy pierwszy raz zobaczyła źrebię, ogarnęła ją litość, bo wiedziała, że umrze bez matki, lecz pomysł wychowania go nie przyszedł jej do głowy. Nie było powodu, dla którego miałby; nikt jeszcze nigdy tego nie zrobił.

Kiedy jednak hieny zaczęły dobierać się do przerażonego źrebaka, przypomniały jej hienę, która próbowała porwać niemowlę Ogi. Ayla nienawidziła hien, może z powodu ciężkich doświadczeń, jakim musiała stawić czoło, kiedy zabiła tamtą hienę i zdradziła tym swoją tajemnicę. Nie były one gorsze od innych drapieżników i padlinożerców, ale dla Ayli stały się symbolem wszystkiego, co okrutne, nienawistne i złe. Zareagowała równie spontanicznie jak tamtym razem i szybko wyrzucone z procy kamienie były równie skuteczne. Zabiła jedną hienę, odpędziła inne i uratowała bezbronne młode zwierzę, ale tym razem, zamiast ciężkich tarapatów, znalazła towarzystwo, które ulżyło jej samotności, oraz radość nadzwyczajnej przyjaźni, jaka się między nimi zrodziła.

Ayla kochała młodego wilka, tak jak kocha się bystre i rozkoszne dziecko, ale jej uczucia do konia były innej natury. Whinney dzieliła z nią samotność; stały się sobie tak bliskie, jak tylko to możliwe dla dwóch tak odmiennych stworzeń. Znały się wzajemnie, rozumiały i ufały sobie. Żółta kobyła była nie tylko pomocnym towarzyszem, wypieszczonym zwierzątkiem czy nawet ukochanym dzieckiem. Whinney była jej przyjaciółką i - przez wiele lat - jedynym towarzyszem.

Kiedy jednak Ayla pierwszy raz wdrapała się na jej grzbiet i popędziła jak wiatr, był to akt impulsywny, wręcz irracjonalny. Powtarzała go potem z czystego zachwyty. Na początku nie starała się kierować klaczy w jakąś określoną stronę, były sobie jednak tak bliskie, że wzajemne zrozumienie wzrastało z każdą jazdą.

Czekając na Jondalara, Ayla obserwowała Wilka, który radośnie gryzł jej but, i marzyła o wymyśleniu sposobu opanowania tego nawyku. Jej wzrok automatycznie rejestrował wegetację na spłachetku ziemi, gdzie obozowali. Położony między wysokimi przeciwległymi skarpami, tam gdzie rzeka zataczała ostre półkole, niski brzeg z tej strony był rokrocznie zalewany. Rzeka zostawiała żyzny szlam, który odżywia bogatą różnorodność krzewów, ziół, nawet małych drzew i

bogatych łąk rozciągających się nieco dalej. Zawsze zwracała uwagę na rośliny rosnące koło niej. Świadomość wszystkiego, co rosło, była jej drugą naturą, i z wiedzą tak zakorzenioną, że była niemal instynktowna, katalogowała i oceniała rośliny.

Zobaczyła krzewinki mącznicy lekarskiej, karłowatą, wiecznie zieloną, wrzosowatą roślinę z małymi ciemnozielonymi, orzęsionymi liśćmi i mnóstwem małych, okrągłych białych kwiatów o różowym odcieniu, które obiecywały bogaty zbiór czerwonych jagód. Mimo że kwaśne i dość cierpkie, smakowały niezłe jako dodatek do innych potraw. Ale Ayla wiedziała, że poza jedzeniem jagody te były również bardzo dobre do łagodzenia pieczenia, jakie zdarzało się przy oddawaniu moczu, szczególnie kiedy był różowawy od krwi.

Niedaleko rósł chrzan, z kępkami małych białych kwiatów na łodygach o drobnych, wąskich liściach u góry, a niżej z długimi, ząbkowatymi, błyszczącymi, ciemnozielonymi liśćmi. Miał gruby i długi korzeń o ostrym zapachu i piekącym smaku. W bardzo małych ilościach był dobrym dodatkiem do mięsa, ale Aylę bardziej interesowały jego lecznicze właściwości: na pobudzenie pracy żołądka, jako środek moczopędny i w okładach na obolałe i spuchnięte stawy. Zastanowiła się, czy nie powinna zatrzymać się i zebrać trochę, ale doszła do wniosku, że nie może marnować czasu.

Kiedy jednak ujrzała szalwię antylopią, bez wahania sięgnęła po swój zaostrzony kij do kopania. Korzeń tej rośliny był jednym ze składników jej specjalnego porannego napoju, który piła podczas każdego czasu księżycowego, kiedy krwawiła. Przez pozostałe dni miesiąca używała innych roślin do swojej herbaty, przede wszystkim złotej nici, która zawsze rosła pasożytniczo na innych i często je zabijała. Dawno temu Iza powiedziała jej o magicznych roślinach, które wzmocnią ducha jej totemu na tyle, że pokona ducha totemu mężczyzny, i wtedy dziecko nie zacznie w niej rosnąć. Iza zawsze ją ostrzegała, żeby o tym nikomu nie mówiła, a już szczególnie mężczyźnie.

Ayla nie była przekonana, że to duchy poczynają dzieci. Uważała, że mężczyzna ma z tym więcej wspólnego, ale tajemne rośliny i tak działały. Kiedy piła swoje specjalne napoje, nie poczęło się w niej żadne życie, czy była w pobliżu mężczyzny, czy nie. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby tylko mogli osiąść na jednym miejscu. Ale Jondalar powiedział wyraźnie, że z perspektywą tak długiej podróży zajście w ciążę byłoby ryzykowne.

Kiedy wrywała korzeń antylopiej szalwii i otrzepywała go z ziemi, zauważyła sercowate liście i długie, żółte, cylindryczne kwiaty wężymorda skorzonery, dobrego na zapobieganie poronieniom. Ze ściśniętym sercem wspominała, jak Iza poszła szukać tej rośliny dla niej. Wstała i podeszła do Whinney, żeby włożyć świeżo zebrane korzenie do specjalnego kosza, przymocowanego do górnej części koszy nośnych. Whinney obgryzała czubki dzikiego owsa. Lubi

także ugotowane ziarna - myślała Ayla i ciągnąc swoje automatyczne, medyczne klasyfikowanie, dodała informację, że kwiaty i łodygi są dobre na trawienie.

Zauważyła muchy bzyzące nad świeżą kupką końskiego łajna. W pewnych porach roku insekty potrafiły być niezmiernie dokuczliwe i Ayla uznała, że musi się rozejrzeć za roślinami odpędzającymi owady. Kto mógł wiedzieć, przez jakie tereny będą szli w tej podróży?

W swoich improwizowanych badaniach miejscowej flory zauważyła ciernisty krzew, odmianę piołunu o gorzkim smaku i silnym zapachu kamfory, nie na płyn odpędzający owady, ale i tak przydatny. Niedaleko rósł bodziszek, dzikie geranium z głęboko wciętymi w ząbki liśćmi i czerwonoróżowymi kwiatami o pięciu płatkach, które dawały owoce podobne do dziobu żurawia. Wysuszone i sproszkowane liście wstrzymywały krwawienie i pomagały w gojeniu się ran; naparzone leczyły rany i wysypki w ustach; korzenie pomagały na biegunkę i inne problemy z żołądkiem. Smak był gorzki i ostry, ale środek był dość łagodny, by dawać go dzieciom i starym ludziom.

Zerkając w kierunku Jondalara, znowu zauważyła Wilka, który nadał gryzł jej but. Nagle jej myśli zatrzymały się na ostatniej roślinie, którą zauważyła. Dlaczego zwróciła na nią uwagę? Coś w niej wydawało się ważne. I nagle zrozumiała. Sięgnęła szybko po swój kij-kopaczkę i zaczęła kopać wokół gorzkiego piołunu o ostrym zapachu kamfory, a potem wykopała ostrego, cierpkiego, ale stosunkowo nieszkodliwego bodziszka.

Jondalar dosiadł konia i był gotów do drogi. Odwrócił się w jej kierunku.

- Aylo, dlaczego zbierasz rośliny? Powinniśmy już ruszać. Czy ich naprawdę teraz potrzebujesz?

- Tak, to nie potrwa długo. - Zaczęła wykopywać korzeń chrzanu o piekącym smaku. - Chyba wymyśliłam sposób na trzymanie go na odległość od naszych rzeczy. - Wskazała na młodego wilka, radośnie obgryzającego resztki jej obozowego buta. - Zrobię "odpędzacz Wilka".

Z miejsca, w którym obozowali, skierowali się na południowy wschód, żeby wrócić do rzeki, wzdłuż której szli. Podniesiony wiatrem pył opadł w ciągu nocy i jasne, przejrzyste powietrze pozwalało zobaczyć daleki horyzont, przesłonięty przedtem przez kurz. Kiedy tak jechali przez tę krainę, od jednego krańca ziemi do drugiego, od północy do południa, od wschodu na zachód, widzieli wyłącznie falującą, wiecznie poruszającą się trawę; jeden olbrzymi, nieskończony trawiasty step. Nieliczne drzewa, które rosły wzdłuż szlaków wodnych, podkreślały tylko dominację trawy. Ale ogromne trawiaste równiny rozciągały się znacznie dalej, niż mogli dostrzec.

Masywne pokrywy lodu grubości trzech do ośmiu kilometrów skuwały krańce ziemi i pokrywały północne krainy, miażdżąc kamienną skorupę kontynentu i obniżając samo podłoże skalne swoją niepojętą wagą. Na północ od lodu były stepy - mroźne, suche trawiaste przestrzenie,

szerokie na cały kontynent, rozciągające się od zachodniego oceanu do wschodniego morza. Cały kraj graniczący z lodowcem był niezmierną trawiastą równiną. Wszędzie, ogarniając cały krajobraz, od nizinnych dolin do owianych wiatrem pagórków, rosła trawa. Góry, a także rzeki, jeziora i morza, które dostarczały drzewom wilgoci, zdawały się intruzami na tych trawiastych obszarach północnych krain epoki lodowcowej.

Ayla i Jondalar poczuli, że teren zaczyna schodzić w dół do doliny większej rzeki, chociaż nadal byli jeszcze dość daleko od wody. Wkrótce znaleźli się wśród wysokich traw. Wyciągając szyję, żeby zobaczyć coś powyżej dwuipółmetrowej trawy, nawet z grzbietu końskiego Ayla widziała niewiele poza głową i ramionami Jondalara między pierzastymi wiechami i kiwającymi się łodyżkami miniaturowych kwiatków, złotawych z delikatnym czerwonym odcieniem, umieszczonych w kwiatostanach na wierzchołkach cienkich niebieskozielonych łodyg. Od czasu do czasu dostrzegała ciemnobrązową sierść Zawodnika, ale poznawała go tylko dlatego, że wiedziała, iż tam jest. Była zadowolona z przewagi, jaką dawała im wysokość koni. Zdała sobie sprawę, że gdyby szli piechotą, przypominałoby to podróż przez gęsty las zielonej, powiewającej na wietrze trawy.

Wysokie trawy nie stanowiły przeszkody; rozsuwały się łatwo przed nimi, ale widzieli niewiele poza najbliższymi łodygami, a za nimi trawa zamykała się z powrotem, nie zostawiając śladu po ich przejściu. Widoczność mieli ograniczoną do obszaru bezpośrednio wokół nich, jak gdyby przenosili ze sobą kawałek własnej przestrzeni. Tylko z pomocą oślepiającego słońca, przemierzającego swoją znaną trasę przez niebo, oraz łodyg trawy uginających się w kierunku wiatru trudniej byłoby znaleźć drogę i bardzo łatwo wzajemnie się zgubić.

W czasie jazdy Ayla słyszała poświsty wiatru i cieniutkie bzyczenie komarów przy uchu. W trawiastym gąszczu było gorąco i duszno. Chociaż widziała falowanie wysokiej trawy, zaledwie wyczuwała podmuchy wiatru. Bzyczenie much i charakterystyczny zapach poinformowały ją, że Zawodnik dopiero co upuścił łajno. Nawet gdyby nie był tylko kilka kroków przed nią, wiedziałyby, że tędy przechodził. Znała jego woń równie dobrze jak woń konia, na którym jechała - i swoją własną. Dookoła unosił się bogaty, próchniczny aromat gleby i zielony zapach pączkującej roślinności. Nie dzieliła zapachów na dobre i złe; używała nosa, tak jak oczu i uszu, z pełną wiedzy wnikliwością jako pomocy w badaniu i analizowaniu namacalnego świata.

Po pewnym czasie monotonia scenerii, jedna długa, zielona łodyga za drugą długą, zieloną łodygą, rytmiczny ruch konia i gorące słońce, niemal dokładnie nad głową, spowodowały ospałość; Ayla nie spała, ale nie była w pełni świadoma. Powtarzające się wysokie, cienkie łodygi traw zlewały się w zamazany obraz, którego już nie dostrzegała. Zaczęła natomiast dostrzegać inne

rośliny. Poza trawą rosło ich tam wiele i, jak zwykle, notowała je w pamięci, bez świadomego o tym myślenia. Był to po prostu jej sposób patrzenia na otoczenie.

Tam - pomyślała Ayla - na tej otwartej przestrzeni, którą jakieś zwierzę musiało zrobić, kiedy się tu tarzało - rośnie komosa biała; Nezzie nazywa to komosą białą jak lebioda, która rosła koło jaskini klanu. Powinnam trochę zebrać - myślała, ale nie zrobiła żadnego ruchu w tym kierunku. A ta roślina, z żółtymi kwiatami i liśćmi zawiniętymi wokół łodygi, to dzika kapusta. Też byłaby smaczna na dzisiaj. Minęła i kapustę. Te czerwono-fioletowe kwiaty z małymi liśćmi to wyka, i ma mnóstwo strąków. Ciekawe, czy już są dojrzałe. Pewnie nie. A tam z przodu, szerokie białe kwiaty, jakby zaokrąglone i różowe w środku, to dzika marchew. Wygląda, jakby Zawodnik nadepnął na kilka liści. Powinnam wyjąć mój kij-kopaczkę, ale tam jest jeszcze więcej. Wszędzie są. Poczekam, jest tak gorąco. Próbowwała odegnać parę much, które latały wokół jej zwilżonych potem włosów. Już od dłuższej chwili nie widziała Wilka. Gdzie się podział?

Rozejrzała się wokół i zobaczyła, jak węszył przy ziemi za kobyłą. Zatrzymał się, podniósł łeb, żeby złapać jeszcze inny zapach, a potem zniknął w trawach na lewo. Spostrzegła dużą niebieską ważkę z nakrapianymi skrzydłami, unoszącą się nad miejscem, gdzie przed chwilą węszył, jakby je oznaczając. W chwilę później skrzek i trzepot skrzydeł poprzedziły nagłe pojawienie się dropia, który wzniósł się w powietrze. Ayla sięgnęła po procę zakreconą wokół głowy. To było poręczne miejsce dla procy, bo łatwo było szybko po nią sięgnąć, a poza tym przytrzymywała jej włosy nad czołem.

Ale potężny ptak - ze swoimi piętnastoma kilogramami wagi najcięższy ptak stepów - był szybki i zanim wydobyła kamień z woreczka, był za daleko na rzut. Patrzyła, jak nakrapiany ptak z białymi skrzydłami o ciemnych końcach piór nabierał prędkości i odlatywał z wyciągniętym do przodu łebkiem i podkurczonymi łapami. Żałowała, że nie wiedziała w porę, co wywęszył Wilk. Drop byłby wspaniałym posiłkiem dla nich trojga i jeszcze dużo by zostało na potem.

- Szkoda, że nie byliśmy szybsi - powiedział Jondalar. Ayla zobaczyła, że odkłada lekki oszczep i miotacz z powrotem do kołczana. Skinęła głową i zawiązała procę.

- Szkoda, że nie nauczyłam się posługiwać tym kijkiem do rzucania od Brezie. Jest o tyle szybszy. Przy bagnach w drodze na polowanie na mamuty, gdzie tyle ptaków miało gniazda, aż trudno uwierzyć, jaka Brezie była szybka. I za jednym razem strącała po kilka ptaków.

- Taak... Zręczna była. Ale prawdopodobnie ćwiczyła tym kijkiem do rzucania tak długo jak ty procą. Takiej sprawności nie nabywa się w ciągu jednego sezonu.

- Gdyby trawa nie była taka wysoka, pewnie dojrzałabym, za czym goni Wilk, i zdążyłabym wyjąć procę i kamienie. Myślałam, że to pewnie mysz.

- Powinniśmy bardziej uważać na wszystko, co Wilkowi jeszcze uda się wypłoszyć - powiedział Jondalar.

- Ja uważałam. Ale i tak nic nie dostrzegłam! - Ayla spojrzała w niebo, żeby sprawdzić pozycję słońca, i wyciągnęła się, próbując zobaczyć coś ponad trawą. - Masz jednak rację. Nie zawadziłoby mieć świeże mięso na kolację. Widziałam najróżniejsze smaczne rośliny. Miałam się zatrzymać i zebrać trochę, ale wygląda, że rosną wszędzie, więc lepiej zbiorę później, żeby mieć świeże, a nie zwiędnięte w tym upale. Zostało nam jeszcze trochę tej żubrzej pieczeni z Obozu Ostnicy, ale wystarczy jej tylko na jeszcze jeden posiłek, a nie ma żadnego powodu zużywać mięso podrózne o tej porze roku, kiedy wszędzie pełno jest świeżej żywności. Jak daleko mamy do postoju?

- Chyba jesteśmy już niedaleko rzeki, jest trochę chłodniej, a taka wysoka trawa na ogół rośnie na niskich terenach obok wody. Jak do niej dotrzemy, możemy zacząć szukać dobrego miejsca na obozowisko - powiedział Jondalar i ruszył dalej.

Łany wysokiej trawy rozciągały się aż do rzeki, chociaż w pobliżu wilgotnego brzegu rosły gdzieśgdzie drzewa. Zatrzymali się, żeby napoić konie, zsiadli i napili się sami. Do nabierania wody używali małych, ciasno splecionych i wodoszczelnych koszyków, które służyły zarówno jako czerpaki, jak i kubki. Wkrótce z traw wyskoczył również Wilk, głośno chleptał wodę, po czym klapnął na ziemię i ciężko dysząc, z wywieszonym jęzorem, obserwował Aylę.

Ayla uśmiechnęła się.

- Wilkowi też jest gorąco. Myślę, że badał okolicę. Ciekawe, co też znalazł. W tych wysokich trawach widzi dużo więcej niż my.

- Chciałbym się z nich wydostać, zanim rozbijemy obóz. Normalnie widzę dużo dalej i tu się czuję jak osaczony. Nie wiem, co tam się kryje, a lubię wiedzieć, co jest wokół mnie - powiedział Jondalar i sięgnął ręką w kierunku Zawodnika. Trzymając się jego grzbietu tuż poniżej sztywnej grzywy, skoczył w górę, przerzucił jedną nogę przez grzbiet i podpierając się rękoma, lekko dosiadł krzepkiego ogiera. Skierował konia na twardszy grunt, nieco dalej od podmokłego brzegu, i ruszył z biegiem rzeki.

Wielkie stopy w żadnym wypadku nie były jednym olbrzymim, niezmiennym krajobrazem wdzięcznie powiewających łodyg. Wysokie trawy występowały w miejscach o wystarczającej wilgotności, na których rosły również najrozmaitsze inne rośliny. Zdominowane przez trawy wysokości ponad półtora metra, ale dochodzące do trzech i pół metra - duże tymotki, ostnice, kostrzewy - łąki mieniły się kolorami różnorodnych kwitnących szerokolistnych roślin: astrów i podbiałów; żółtych, wielopłatkowych omanów i dużych, z białymi lejkami bieluni; orzeszków

ziemnych i dzikiej marchwi, rzepy i kapusty; chrzanu, gorczycy i małej cebuli; irysów, lili i jaskrów; porzeczek i poziomek; malin i jeżyn.

W pólsuchych rejonach, gdzie były małe opady deszczu, rozwinęły się niskie trawy, nie dochodzące do pół metra. Trzymały się bliżej gruntu, w znacznej części rosły pod ziemią i energicznie się pieniały, zwłaszcza podczas suszy. Dzieliły się ziemią z bylicami, jak piotun i szałwia.

Pomiędzy tymi dwoma biegunami były trawy pośrednie, wypełniając miejsca zbyt zimne dla traw niskich i zbyt suche dla wysokich. Te łąki o umiarkowanej wilgoci też potrafiły być kolorowe, z wieloma kwitnącymi roślinami wkomponowanymi w trawiastą pokrywę z dzikiego owsa, wiechliny, jęczmienia i, szczególnie na zboczach i wyższych terenach, niewielkich wyczyńców. Stokłosa rosła na nieco wilgotniejszej glebie, miotła zbożowa w chłodniejszych miejscach o ubogiej, piaszczystej glebie. Było tam również wiele odmian turzycy - łodygi turzycy były pełne, bez kolanek, trawiaste liście wyrastały prosto z łodygi - włącznie z wełnianką, przede wszystkim w tundrze i na wilgotniejszych terenach. Na bagnach pełno było trzciny, sitowia i pałki wodnej.

Przy rzece było chłodniej i w miarę zbliżania się wieczoru Ayla była coraz bardziej niezdecydowana. Chciała iść szybko i wydostać się z duszącej, wysokiej trawy, ale chciała również zatrzymać się i pozbić na kolację niektóre z roślin, jakie widziała po drodze. Jej napięcie rosło i powtarzała rytmicznie w myślach: tak, zatrzymam się, nie, nie zatrzymam się.

Wkrótce sam rytm przeważał znaczenie słów i milczące dudnienie, które zdawało się żądać dla siebie głosu, napełniło ją niepokojem. To poczucie głębokiego, głośnego dźwięku, którego nie dawało się usłyszeć, było drażniące. Czuła się tym bardziej nieswojo, że wokół tłoczyły się wysokie trawy, które co prawda pozwalały jej widzieć, ale niezbyt daleko. Była przyzwyczajona do widoczności na daleki dystans, a w każdym razie dalej niż napierająca na nią ściana zielonych łodyg. W miarę posuwania się naprzód to uczucie stawało się coraz natrętniejsze, jak gdyby zbliżało się, czy też jakby oni zbliżali się do źródła tego milczącego dźwięku.

Ayla zauważyła, że grunt był świeżo poruszony w wielu miejscach, i zmarszczyła nos, gdy poczuła silny, gryzący, piżmowy zapach i próbowała go zidentyfikować. Nagle usłyszała niski warkot w gardzieli Wilka.

- Jondalarze! - zawołała i zobaczyła, że zatrzymał się i dawał jej sygnał ręką, by też się zatrzymała. Coś było przed nimi. Nagle potężny, głośny ryk rozdarł powietrze.

ROZDZIAŁ 3

- Wilk! Zostań tu! - rozkazała Ayla młodemu zwierzęciu, które z ciekawością przepychało się do przodu. Zeskoczyła z Whinney i podeszła do Jondalara, który ostrożnie przesuwiał się przez rzednącą trawę w kierunku, skąd dochodziły ostre odgłosy i łomot. Dogoniła go, kiedy się zatrzymał, i oboje rozsunęli ostatnie łodygi, żeby coś zobaczyć. Ayla przyklękła na jednym kolanie i trzymała Wilka, ale nie mogła oderwać wzroku od sceny na polanie.

Kręciło się tam podniecone stado włochatych mamutów - to one stworzyły polanę na skraju wysokich traw; duży mamut wymaga ponad trzystu kilogramów paszy na dzień. Duże stado potrafi szybko ogołocić pokaźne połacie terenu. Zwierzęta były w różnym wieku i różnych rozmiarów, włącznie z kilkutygodniowymi cielakami. Znaczyło to, że stado zasadniczo składało się ze spokrewnionych samic: matek, córek, sióstr, ciotek i ich potomstwa; rozgałęzioną rodzinę prowadziła mądra i ostrożna stara matrona, która była zdecydowanie większa od wszystkich pozostałych.

Na pierwszy rzut oka mamuty wydawały się jednolitego, czerwawobrazowego koloru, ale przy bliższym przyjrzeniu się można było odróżnić wariacje tej podstawowej maści. U niektórych dominował kolor czerwony, u innych brązowy, niektóre były żółte czy złotawe, a kilka zdawało się z odległości niemal czarne. Grube, dwuwarstwowe futro pokrywało je całkowicie od szerokich trąb i wyjątkowo małych uszu do masywnych nóg i szerokich stóp. Dwie warstwy futra potęgowały różnice w umaszczeniu. Chociaż większość ciepłej, gęstej, zadziwiająco miękkiej sierści zimowej wyliniała na początku lata, nowa zaczęła już rosnąć i była jaśniejsza niż bardziej szorstka, choć puchata, nie przepuszczająca wiatru warstwa zewnętrzna. Dodawała też całej sierści głębi i intensywności barwy. Ciemniejsze włosy zewnętrzne różnej długości, niektóre dochodzące aż do metra, zwisały po bokach jak spódnica. Porastały też gęsto brzuch i podgardle, tworząc zwierzętom podściółkę, kiedy kładły się na zamrażającej ziemi.

Aylę zachwycała para bliźniaków o pięknym czerwawozłotym futrze, podkreślonym przez pasmo sterczącej czarnej sierści, która wyglądała zza potężnych nóg i długiej, ochrowego koloru spódnicy stojącej nad nimi matki. Ciemnobrązowa sierść starej matrony była poznaczona siwizną. Ayla zobaczyła również białe ptaki, nieodłącznych towarzyszy mamutów, tolerowane lub ignorowane zarówno wtedy, kiedy siedziały im na szczycie włochatych łbów, jak i kiedy zgrabnie unikały rozdeptania przez masywne nogi, objadając się robactwem z ziemi poruszonej przez te olbrzymie bestie.

Wilk skowyczał z chęci bliższego zbadania tych ciekawych stworzeń, ale Ayla trzymała go mocno, czekając, aż Jondalar wyjmie jego smycz z kosza Whinney. Siwa matrona przez dłuższy moment patrzyła w ich kierunku - zobaczyli, że jeden z jej długich kłów jest obłamany - a potem znowu skierowała swoją uwagę ku ważniejszym czynnościom.

Tylko bardzo młode samce pozostawały z samicami; na ogół opuszczały rodzinne stado wkrótce po osiągnięciu dojrzałości płciowej, około dwunastego roku życia, ale z tą grupą było wielu młodych kawalerów, jak również kilku starszych. Przyciągnęła ich samica o ciemnokasztanowej sierści. Miała ruję i to było powodem zamieszania, które usłyszeli Ayla i Jondalar. Samica w rui, w estrusie, momencie rozrodczego cyklu, w którym zdolna jest począć młode, jest seksualnie atrakcyjna dla samców, czasami w stopniu większym, niż jej to odpowiada.

Kasztanowa samica właśnie dołączyła do swojej rodzinnej grupy po ucieczce przed trzema młodymi, mniej więcej dwudziestoletnimi samcami, które ją goniły. Samce chwilowo dały za wygraną i stały opodal zbitego stada, pośrodku którego schroniła się samica. Dwuletnie cielę rzuciło się w kierunku tego obiektu męskiej adoracji, zostało powitane delikatnym dotykiem trąby, znalazło jedno z dwóch wymion między przednimi nogami i zaczęło ssać, podczas gdy samica sięgnęła po kępkę trawy. Samce goniły ją i prześladowały przez cały dzień i nie miała dużo możliwości karmienia swojego cielaka ani pasienia się czy napicia. I teraz też nie dano jej szansy.

Średniej wielkości byk podszedł do stada i zaczął trąbą dotykać inne samice, sięgając poniżej ich ogonów między zadnie nogi, wachając i smakując, żeby sprawdzić ich gotowość. Ponieważ mamuty rosną przez całe swoje życie, jego rozmiary wskazywały, że jest starszy niż trzy samce, które przedtem goniły obłązoną samicę, być może miał około trzydziestki. Kiedy był niedaleko kasztanowej samicy, ta szybko zaczęła odchodzić na bok. Natychmiast zostawił wszystkie inne i ruszył za nią. Ayla głęboko zaczerpnęła powietrza na widok jego olbrzymiego organu, który - wypuszczony z osłaniającej pochwy - zaczął nabrzmiewać w długi esowaty kształt.

Młody stojący obok niej mężczyzna usłyszał to nagłe wciągnięcie powietrza i spojrzał na nią. Zwróciła się do niego i przez chwilę patrzyli na siebie zdumionymi i pełnymi zachwyty oczyma. Chociaż oboje polowali na mamuty, żadne z nich nie obserwoowało wielkich, włochatych bestii z tak bliska i żadne nie widziało ich kopulacji. Patrząc na Aylę, Jondalar poczuł ucisk we własnych lędźwiach. Dziewczyna była podniecona, na twarzy miała rumieniec, usta lekko rozchylone, oddychała szybko i jej szeroko otwarte oczy iskrzyły się ciekawością. Zafascynowani budzącym podziw spektaklem dwóch potężnych stworów, gotowych do uczczenia Wielkiej Matki Ziemi tak, jak wymagała tego od wszystkich swoich dzieci, szybko zwrócili wzrok w ich kierunku.

Ale samica pobiegła szerokim łukiem, trzymając się z daleka od byka, aż zawróciła znowu do swojego rodzinnego stada. Nie pomogło jej to jednak. Po chwili znowu ktoś ją gonił. Jeden z

samców ją dopadł i nawet zdołał się na nią wspiąć, ale nie poddała mu się i uciekła spod niego, chociaż opryskał jej zadnie nogi. Kilka razy jej cielak próbował biec za nią, kiedy uciekała przed samcami, ale w końcu zrezygnował i został z innymi samicami. Jondalar zastanawiał się, dlaczego tak usilnie próbuje uciec pełnym zapału samcom. Przecież Matka oczekuje również od mamutów, że będą ją czczyli.

Mamuty jak gdyby zgodnie zdecydowały się na przerwę i popas i wszystko się na chwilę uspokoiło, gdy stado przesuwało się powoli na południe przez wysoką trawę, wrywając kępkę za kępką w stałym rytmie. Korzystając z rzadkiej chwili wypoczynku, kasztanowata samica stała bardzo zmęczona, z nisko pochylonym łbem, i próbowała się paść.

Mamuty nie przestawały jeść przez prawie cały dzień i większą część nocy. Pasza mogła być najniższej jakości - jadły nawet korę drzew, którą obrywały kłami, chociaż to był na ogół pokarm zimowy - ale potrzebowały olbrzymich ilości celulozowej, włóknistej karmy. Jako dodatek do wieluset kilogramów mało strawialnej paszy, którą spożywały codziennie i przepuszczały przez system trawienny w ciągu dwunastu godzin, zjadały niewielkie ilości soczystych, szerokolistnych, bardziej pożywnych roślin lub czasami kilka garści liści wierzby, brzozy czy olchy, o wyższej wartości odżywczej niż kostropate łodygi wyschniętych traw i turzyc, ale spożyte w większych ilościach trujące dla mamutów. Kiedy wielkie, włochate bestie odeszły na pewną odległość, Ayla puściła rzemień przytrzymujący młodego wilka, który wykazywał jeszcze większe zainteresowanie mamutami niż towarzyszący mu ludzie. Chciał podejść do nich bliżej, ale Ayla nie chciała, żeby przeszkodził czy rozgniewał stado. Miała wrażenie, jakby mamucia matrona pozwoliła im zostać, ale pod warunkiem, że nie podejda zbyt blisko. Prowadząc nerwowe i podniecone konie, przeszli brzegiem wysokich traw i podążyli za stadem. Obserwowali je już od dłuższego czasu, ale ani Ayla, ani Jondalar nie mieli jeszcze ochoty odejść. Nadal panowała jakaś atmosfera oczekiwania. Coś miało się stać. Może to tylko nie spełniona kopulacja, na obserwację której czuli się niemal zaproszeni, ale mieli wrażenie, że chodzi o coś więcej.

Kiedy tak wolno posuwali się za stadem, oboje uważnie studiowali olbrzymie zwierzęta, ale każde ze swojego punktu widzenia. Ayla polowała od wczesnej młodości, ale na znacznie mniejsze zwierzęta. Jednostki nie polowały na mamuty; to było zadanie dla dużych, zorganizowanych i współdziałających grup. Gdy poszła na polowanie razem z Mamutoi, znalazła się jeszcze bliżej tych wielkich bestii. Podczas polowania nie było jednak czasu na obserwację i naukę i nie wiedziała, kiedy znowu nadarzy się okazja takiego bliskiego przyjrzenia się stadu złożonemu z samców i samic.

Znała oczywiście ich specyficzny kształt z profilu, ale tym razem szczególnie ją ten widok uderzył. Łeb mamuta był masywny i wysoko sklepiony - z dużymi zatokami, w których ogrzewało

się mroźne zimowe powietrze przy oddychaniu - z garbkiem tłuszczu i okazałą kępą sztywnej, ciemnej szczeciny na szczycie. Tuż poniżej łba było głębokie wcięcie podstawy krótkiego karku, prowadzące do drugiego garbu tłuszczu wysoko na kłębach ponad łopatkami. Od tego miejsca grzbiet obniżał się stromo do małej miednicy i niemal drobnych bioder. Ze swoich doświadczeń z ćwiartowaniem i jedzeniem mamuta wiedziała, że tłuszcz w drugim garbie był innej jakości od blisko ośmio-centymetrowej warstwy słoniny umiejscowionej pod twardą, trzy-centymetrowej grubości skórą. Był delikatniejszy, smaczniejszy.

W stosunku do swojej wielkości włochate mamuty miały dość krótkie nogi, co w pewnym stopniu ułatwiało im zbieranie pokarmu, bo przede wszystkim żywiły się trawą, nie zaś zielonymi liśćmi drzew, jak ich krewni z cieplejszych krajów; na stepach było niewiele drzew. Podobnie jednak do nich łeb mamuta unosił się wysoko ponad ziemią, zbyt wielki i ciężki, szczególnie z powodu olbrzymich ciosów, żeby utrzymał go długi kark i pozwolił na bezpośrednie sięganie po picie i pożywienie, tak jak to robią konie czy jelenie. Ewolucja trąby rozwiązała problem dostarczania pokarmu i wody do pyska.

Porośnięty sierścią ryj włochatego mamuta był dość silny, by wyrwać drzewo czy podrzucić olbrzymi kawał lodu, żeby rozbił się na mniejsze, łatwiejsze do ssania kawałki, a jednocześnie dość zwinny, by rozróżnić i zerwać jeden liść. Był również cudownie przystosowany do wrywania trawy. Na jego końcu wyrastały dwa wybrzuszenia. Podobny do palca wyrostek na górnej części, który pozwalał na dokładność manipulacji, oraz szeroki, spłaszczony, niezmiernie ruchliwy płąt w dolnej części, niemal jak dłoń, ale bez kości czy oddzielnych palców.

Jondalara zadziwiła sprawność i siła trąby, kiedy obserwował, jak mamut owijał muskularny dolny wyrostek wokół kępy gęsto rosnącej trawy i trzymał ją, podczas gdy górny wyrostek zbierał w pęk więcej rosnących dokoła łodyg. Łapiąc wszystko razem przez zamknięcie górnego wyrostka wokół wiązki, jak gdyby kciukiem, owłosiona trąba wyszarpywała z ziemi trawę z korzeniami. Po otrząśnięciu największych grudek ziemi mamut pakował to wszystko do pyska i zaczynał żuć, podczas gdy trąba już sięgała po nową porcję.

Stado, migrujące powoli przez stepy, zostawiało za sobą zniszczenie, albo tak to przynajmniej wyglądało. Mimo całej trawy wyrwanej z korzeniami i drzew odartych z kory zniszczenie spowodowane przez mamuty miało dobre skutki dla stepów i dla innej zwierzyny. Przez oczyszczenie terenu ze zdrewniałych łodyg wysokich traw i małych drzewek mamuty robiły miejsce dla pożywniej szych roślin i młodej trawy; pokarmu niezbędnego dla wielu innych mieszkańców stepów.

Aylę nagle przeszedł dreszcz i poczuła coś dziwnego głęboko w ciele. Zauważyła, że mamuty przestały jeść. Wiele z nich podniosło łby i patrzyło na południe z nastawionymi

włochatymi uszami, kiwając łbami tam i z powrotem. Jondalar dostrzegł widoczną zmianę w kasztanowatej samicy, którą przedtem goniły wszystkie samce. Zniknęło jej zmęczenie; wyglądała, jakby czegoś wyczekiwała z niecierpliwością. Nagle wydała z siebie głęboki, wibrujący ryk. Ayla poczuła rezonans w uszach, a potem gęsią skórę na ciele na dźwięk odpowiedzi, która - jak niski pomruk odległego grzmotu - przysła z południowego wschodu. - Jondalarze! - zawołała. - Patrz tam! Spojrzał w kierunku, który wskazywała. W chmurze podniesionego kopytami pyłu pędził w ich stronę olbrzymi jasnordzawy mamut. Nad wysoką trawą widać było tylko jego wypukłą czaszkę i kłęby. Miał gigantyczne, zakręcone do góry kły. Olbrzymie u nasady w górnej szczęce rozszerzały się w dół i zakręcały z powrotem w górę, zwężając się aż do spiczastych czubków. Jeśli ich nie złamie, spiczaste czubki w końcu skrzyżują się z przodu.

Włochate słonie epoki lodowcowej były dość masywne, rzadko przekraczały trzy i pół metra w kłębach, ale ich kły rosły do niestychanych rozmiarów, najbardziej widowiskowych spośród wszystkich gatunków. Kiedy zdrowy samiec dożywał siedemdziesięciu lat, jego wielkie zakrzywione kły potrafiły dochodzić do pięciu metrów długości i ważyć po sto trzydzieści kilogramów każdy.

Silny, cierpki piżmowy zapach dotarł na długo przed bykiem i spowodował falę oszalałego podniecenia wśród samic. Kiedy zwierz dobiegł do polany, rzuciły się ku niemu, podsuwały mu swój zapach wielkimi rozpryskami uryny, kwiczały, trąbiły i grzmiały na powitanie. Otoczyły go, jedne odwracały się tyłem i parły na niego, inne próbowały go dotknąć trąbami. Przyciągał je, ale i przytłaczał jednocześnie. Samce na jego widok wycofały się na krańce stada.

Kiedy był już dość blisko, by Ayla i Jondalar mogli mu się dobrze przyjrzeć, również oni odczuli pełną podziwu grozę. Olbrzymi łeb trzymał wysoko, dumnie prezentując wspaniałe, żółtawe spirale. Znacznie dłuższe i szersze w przekroju niż małe, proste ciosy samic, jego imponujące kły sprawiały, że nawet duże kły innych, większych, byków w stadzie zdawały się drobne. Małe, gęsto porośnięte, nastawione uszy, ciemny, sztywny kłęb sierści na czubku łba i jasna, czerwonoróżowa sierść z długim, powiewającym włosem dokładały się do i tak imponujących rozmiarów. Górował ponad pół metra nad największymi bykami i ważył dwukrotnie tyle co samice. Był niewątpliwie najbardziej gigantycznym zwierzęciem, jakie którekolwiek z nich widziało w życiu. Przeżył już wiele trudnych momentów i miał przed sobą jakieś czterdzieści - pięćdziesiąt kolejnych lat życia; był w szczytowej formie, dominujący byk mamut w kwiecie wieku; był wspaniały.

Ale nie tylko przewaga jego rozmiarów spowodowała cofnięcie się innych samców. Ayla zauważyła, że miał bardzo opuchnięte skronie i że gęsta sierść między oczyma i uszami była poplamiona czarnymi pasmami piżmowej lepkiej wydzieliny, która skapywała bez przerwy. Z

pyska ciekła mu ślina i od czasu do czasu wypuszczał strugę moczu o silnym cierpkim zapachu, który zielonkawą pianą pokrywał sierść jego zadnich nóg i pochwę jego organu. Zastanawiała się, czy jest chory.

Spuchnięte gruczoły skroniowe i pozostałe symptomy nie były jednak objawami choroby. Wśród włośchatych mamutów nie tylko samice wchodziły w ruję, estrus; co roku w pełni dojrzałe samce wchodziły w okres wzmożonej pobudliwości płciowej, zwanej szałem godowym. Choć samiec mamuta osiągał dojrzałość płciową około dwunastego roku życia, dopiero koło trzydziestki zaczynał wchodzić w okres szału godowego, który normalnie trwał wtedy około tygodnia. Gdy zaś przekroczył czterdziesty piąty rok życia i był w sile wieku, mógł być w szale godowym przez trzy do czterech miesięcy w roku. Mimo że każdy samiec po osiągnięciu dojrzałości mógł kopulować z samicą w rui, udawało się to znacznie częściej bykom w szale godowym.

Wielki, rdzawej maści byk był nie tylko dominującym zwierzęciem, był w pełni szału godowego i przyszedł w odpowiedzi na zew samicy w rui, aby się z nią połączyć.

Na niewielką odległość samce mamutów rozpoznawały gotowe do poczęcia samice po ich zapachu, tak samo jak większość czworonożnych samców. Ale mamuty poruszały się po tak dużych przestrzeniach, że wyewoluował wśród nich dodatkowy sposób przekazywania informacji o seksualnej gotowości. Kiedy samica wchodziła w estrus lub samiec w szalę godową, obniżał się ton wydawanych przez nie dźwięków. Takie niskie dźwięki nie zamierają na dalekich dystansach jak wysokie tony, i głębokie, grzmiące wezwania mamutów nosły się kilometrami przez rozległe równiny.

Jondalar i Ayla wystarczająco wyraźnie słyszeli niskie ryki samicy w rui, ale samiec wydawał tak pozornie ciche, głębokie tony, że był ledwie słyszalny. Nawet w normalnej sytuacji mamuty często porozumiewają się na dużą odległość głębokimi dudnieniami i wezwaniami, których ludzie na ogół nie słyszą. A jednak byk w szale godowym ryczał wyjątkowo głośno i głęboko; wołania samicy były jeszcze głośniejsze. Choć kilku ludzi potrafiło uchwycić dźwiękowe drgania niskich tonów, większość tonów w tym ryku była tak niska, że wykraczała poza zasięg ludzkiego słuchu.

Kasztanowa samica odpędzała stado młodych kawalerów, których też przyciągnęła jej atrakcyjna woń i głębokie tony głosu, dobrze słyszalne na odległość dla innych mamutów, choć nie dla ludzi. Chciała, żeby ojcem jej potencjalnego cielaka został starszy, dominujący samiec, którego sam wiek jest dowodem dobrego zdrowia i instynktu samozachowawczego, i co do którego wiedziała, że ją potrafi zapłodnić; innymi słowy: samiec w szale godowym. Nie formułowała takich myśli, ale jej organizm swoje wiedział.

Teraz, kiedy już przyszedł, była dla niego gotowa. Z długą sierścią powiewającą przy każdym kroku, kasztanowa samica podbiegła do wielkiego byka, wydając donośne ryki i wachlując małymi, włóchatymi uszami. Z wielkim pluskiem oddała mocz, po czym wyciągnęła trąbę w kierunku jego długiego, esowatego członka i powąchała jego mocz. Rycząc ogłuszająco, odwróciła się i z wysoko podniesionym łbem zaczęła napierać na niego zadem.

Wielki byk przełożył trąbę przez jej grzbiet, pieścił ją i uspokajał; jego olbrzymi organ niemal wlokł się po ziemi. Potem wznosił się na zadnie nogi i pokrył ją, umieszczając przednie nogi daleko na jej grzbiecie. Był niemal dwukrotnie od niej większy i wydawało się, że ją zmiażdży, ale większość ciężaru spoczywała na jego zadnich nogach. Haczykowatym końcem podwójnie zakrzywionego, niesłychanie ruchliwego członka znalazł jej otwarcie, uniósł się i wszedł głęboko. Z otwartego pyska wydobył się ryk.

Głęboki grzmot, który dotarł do Jondalara, był przytłumiony i jakby odległy, ale przez ciało mężczyzny przebiegł dreszcz. Ayla usłyszała ryk tylko trochę głośniejszy, ale zatrzęsła się gwałtownie, kiedy poczuła dygoczące wibracje. Kasztanowa samica i rdzawy mamut przez dłuższą chwilę stały w tej pozycji. Długie, czerwone kosmyki jego futra dygotały na całym ciele z napięcia i wysiłku, chociaż ruch był nieznaczny. Wreszcie opadł z niej, wytryskując spermę w trakcie wycofywania się. Samica postąpiła do przodu i wydała niski, przeciągły, pulsujący ryk, od którego Aylę przeszedł dreszcz i dostała gęsiej skórki.

Całe stado podbiegło do ciemnoczerwonej samicy, trąbiąc i rycząc, dotykając trąbami jej pyska i jej wilgotnego otworu, wydalając kał i mocz wielkimi strugami w nieopanowanym podnieceniu. Rdzawy byk wydawał się nieświadomy tego radosnego pandemonium i odpoczywał opodal ze spuszczonego łbem. Wreszcie zwierzęta uspokoiły się i powędrowały się paść. Tylko jej cielak pozostał nieopodal. Kasztanowa samica znowu nisko zaryczała, a potem oparła łeb o kłęby samca.

Żaden z pozostałych samców nie zbliżał się do stada, w którym znalazł się wielki byk, chociaż kasztanka była nie mniej nęcąca. Szał godowy, poza udzielaniem mamutowi nieodpartego czaru w oczach samic, sprawiał, że miał on poczucie dominacji nad innymi samcami, i powodował, iż stawał się agresywny nawet wobec samców większych od siebie, chyba że i one były w takim samym stanie podniecenia. Pozostałe byki unikały go, bo wiedziały, że rdzawy samiec bardzo łatwo może wpaść w irytację. Tylko inny byk w szale godowym mógłby się odważyć na próbę konfrontacji, a i to tylko osobnik podobnych rozmiarów. Wówczas, jeśli obu przyciągnęłyby ta sama samica i znalazłyby się koło siebie, podjęłyby walkę, której rezultatem byłyby ciężkie rany lub śmierć jednego z nich.

Niemal jakby znały konsekwencje, byki w szale godowym starannie unikały spotkań, a więc i walki. Głębokie tony zewu i ostra woń moczu nie tylko oznajmiały gorliwym samicom ich obecność, ale również informowały innych samców o miejscu ich pobytu. Tylko trzy lub cztery byki były jednocześnie w szale godowym w czasie sześciocy siedmiomiesięcznego okresu, w jakim samice mogły wejść w estrus, ale nie było prawdopodobne, by któryś z nich rzucił wyzwanie rdzawemu bykowi i konkurował o jakąś samicę, którą ten wybrał. Rdzawiec był dominującym bykiem w populacji, tak w szale godowym, jak i bez niego, i inne byki wiedziały, gdzie jest.

Ayla kontynuowała swoje obserwacje i zauważyła, że nawet kiedy ciemnoczerwona samica i jaśniejszy samiec zaczęły się paść, nadal przebywały blisko siebie. W pewnym momencie samica odsunęła się trochę, sięgając po szczególnie soczystą kępkę ziół. Jeden z młodych byków, zaledwie wyrosnięty z dzieciństwa, próbował podsunąć się do niej, ale pobiegła z powrotem do swojego małżonka, który zrobił wypad ku młodzikowi, głośno przy tym rycząc. Ostra, cierpka woń i charakterystyczny, głęboki ryk zrobiły wrażenie na młodym byku. Szybko odbiegł, pochylił łeb w wyrazie poddania się i trzymał się już na odległość. Wreszcie kasztanowa samica mogła wypocząć i paść się bez przeszkód, pod warunkiem, że trzymała się blisko byka.

Kobieta i mężczyzna ociągali się z odejściem, chociaż wiedzieli, że już jest po wszystkim, a Jondalar znowu zaczął odczuwać potrzebę pośpiechu. To, czego byli świadkami, przepełniało ich nabożną grozą i czuli się uhonorowani, że dane im było obserwować kopulację mamutów. Co więcej, mieli wrażenie, że nie tylko pozwolono im obserwować, lecz że włączyli się we wzruszającą i ważną ceremonię. Ayla pragnęła móc również podbiec i dotknąć pary mamutów, aby wyrazić swój zachwyt i wspólną z nimi radość.

Zanim odeszli, Ayla zauważyła, że w pobliżu rosło wiele jadalnych roślin, które widziała już przedtem po drodze, i postanowiła je zebrać za pomocą kija-kopaczki oraz specjalnego noża, dość grubego, ale ostrego, do obcinania łodyg i liści. Jondalar przykląkł przy niej, żeby pomóc, ale musiała mu wskazywać, co ma wykopać.

Nadal ją to zdumiewało. Kiedy mieszkali w Obozie Lwa, nauczyła się obyczajów i systemu podziału pracy Mamutoi, które bardzo się różniły od zachowań klanu. Ale tam często pracowała razem z Deegie lub Nezzie, albo też wielu ludzi pracowało razem, i zapomniała o jego umiejętności i chęci wykonywania pracy, jaka w klanie była uważana za pracę kobiecą. A jednak od najwcześniejszych dni w jej dolinie Jondalar nigdy nie zawahał się przed zrobieniem czegokolwiek, co ona robiła, i był zdziwiony, że nie oczekiwała od niego wykonywania części niezbędnej pracy. Teraz, kiedy byli tylko we dwójkę, znowu uprzytomniła sobie tę jego cechę.

Gdy wreszcie wyruszyli, jechali przez dłuższy czas w milczeniu. Ayla nie przestawała myśleć o mamutach; nie mogła wprost oderwać od nich myśli. Rozmyślała również o Mamutoi,

którzy ofiarowali jej dom i miejsce, do którego należała, gdy nie miała żadnego. Nazywali siebie Łowcami Mamutów, choć polowali także na inną zwierzynę, i umieszczali te wielkie, włochate bestie na piedestale, pomimo że na nie polowali. Mamuty dostarczały im tak wiele z tego, co było niezbędne do życia - mięso, tłuszcz, skóry, wełnę na włókna i sznury, kość słoniową na narzędzia i rzeźby - ale polowanie na mamuty miało dla nich również głębokie duchowe znaczenie.

Czuła się jeszcze bardziej Mamutoi teraz, chociaż ich opuściła. Nie było przypadkiem - myślała - że właśnie teraz natknęli się na to stado. Była pewna, że stało się to z jakiegoś powodu, i zastanawiała się, czy Mut, Matka Ziemia, a może też jej totem próbowali jej coś powiedzieć. Ostatnio często rozmyślała o duchu Wielkiego Lwa Jaskiniowego, który był totemem nadanym jej przez Creba, i zastanawiała się, czy nadal ją ochrania, chociaż nie należy już do klanu, oraz nad tym, jak duchowy totem klanu będzie pasował do jej nowego życia z Jondalarem.

Wysokie trawy wreszcie zaczęły się przersedzać. Wędrowcy podchodzili bliżej rzeki, szukając miejsca na obozowisko. Ayla nie żałowała, iż zatrzymali się, żeby obserwować mamuty, ale miała nadzieję, że tego dnia coś upolują. Mięso było potrzebne nie tylko na ich wieczorny posiłek, ale też na kilka następnych dni. Nie chciała zużywać suszonego jedzenia, które mieli ze sobą, o ile nie było to konieczne. Teraz będą musieli zapolować rano, a to zabierze im trochę czasu.

Dolina z żyzną glebą wzdłuż rzeki zmieniała się, a wraz z nią i roślinność. W miarę jak brzegi wartkiego nurtu stawały się bardziej strome, zaczęły pojawiać się inne trawy, które - ku uldze Jondalara - były teraz niższe. Zaledwie sięgały końskich brzuchów. Wolał widzieć, co ma przed sobą. Gdy grunt zaczynał się wyrównywać u szczytu zbocza, krajobraz wydał im się znajomy. Nigdy oczywiście nie byli w tym konkretnym miejscu, ale było podobne do terenu wokół Obozu Lwa, z wysokimi brzegami i wyżłobionymi wązozami prowadzącymi do rzeki.

Wspięli się na nieznaczące wzniesienie i Jondalar zobaczył, że rzeka zakręca w lewo, na wschód. Nadeszła pora porzucenia życiodajnej wodnej żyły, która wiła się z wolna na południe, i ruszenia na przełaj, na zachód. Zatrzymał się, żeby sprawdzić mapę, którą Talut wyrzył dla niego na kawałku kości słoniowej. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Aylę, jak stała na krawędzi zbocza i patrzyła za rzekę. Z jej postawy wywnioskował, że jest zmartwiona czy też nieszczęśliwa.

Przerzucił nogę przez grzbiet wierzchowca, zeskoczył i podszedł do niej. Po drugiej stronie rzeki zobaczył to, co przyciągnęło uwagę Ayli. Wtulony w zbocze, na tarasie w pół drogi do szczytu przeciwległego brzegu, widniał duży, podłużny pagórek z kępkami trawy rosnącymi po bokach. Wydawał się częścią samego zbocza, ale łukowate wejście zakryte ciężką skórą mamucią zdradzało jego prawdziwą naturę. To była ziemianka, taka jak ta, która była domem Obozu Lwa, taka, w jakiej mieszkali przez całą zimę.

Ayla wpatrywała się w znajomą budowlę i żywo stanęło jej przed oczyma wnętrze ziemianki Obozu Lwa. Obszerne, na wpół podziemne pomieszczenie, było mocne i zbudowane tak, by przetrwać wiele lat. Podłoga, wykopana w drobnoziarnistej lessowej ziemi rzeczno-brzeżnej, znajdowała się poniżej poziomu gruntu. Ściany i zaokrąglony dach z darni, pokryte rzeczną gliną, podparto konstrukcją z ponad tony dużych mamucich kości, poprzeplatanych rogami jeleni i mocno związanych przy sklepieniu, z grubą strzechą z traw i trzciny między kośćmi a darnią. Ziemne ławy wzdłuż ścian stanowiły ciepłe posłania, a składy wykopano głęboko, aż do poziomu wiecznej zmarzliny. Dwa duże, zakrzywione kły mamucie, wkopane grubymi końcami w ziemię a szpicami złączone u góry, stanowiły łuk wejściowy. Nie była to żadna tymczasowa konstrukcja, ale trwałe schronienie, wystarczająco duże, by pomieścić pod jednym dachem wiele rodzin. Ayla wiedziała, że budowniczy tej ziemianki wrócić do niej, tak jak Obóz Lwa wracał każdej zimy do swojej.

- Na pewno są na Letnim Spotkaniu - powiedziała. - Ciekawe, czyj to dom.

- Może Obozu Ostnicy? - podsunął Jondalar.

- Może - odpowiedziała Ayla i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w drugi brzeg rwącej rzeki. - Wygląda tak pusto - dodała po chwili. - Kiedy odchodziliśmy, nie myślałam, że nigdy więcej nie zobaczę Obozu Lwa. Kiedy sortowałam rzeczy do zabrania na Letnie Spotkanie, sporo zostawiłam w ziemiance. Gdybym wiedziała, że nie wrócę, pewnie bym je zabrała.

- Czy żałujesz odejścia, Ayla? - Niepokój Jondalara uzewnętrznił się, jak zawsze, zmarszczonym czołem. - Gdybyś chciała, to zostałam tam i też stałbym się Mamutoi. Wiem, że tam znalazłaś dom i byłaś szczęśliwa. Jeszcze nie jest za późno. Możemy wrócić.

- Nie, smutno było od nich odchodzić, ale nie żałuję. Chcę być z tobą. Tylko tego pragnęłam od samego początku. A wiem, że ty chcesz wrócić do domu. Od kiedy cię poznałam, zawsze chciałeś wrócić. Mógłbyś się przyzwyczaić do życia tutaj, ale nigdy nie byłbyś naprawdę szczęśliwy. Zawsze tęskniłbyś do swojej rodziny, do ludzi, wśród których się urodziłeś. Dla mnie to nie jest ważne. Nigdy się nie dowiem, kim była moja rodzina. Klan był moim ludem.

Ayla zamyśliła się i Jondalar zobaczył łagodny uśmiech na jej twarzy.

- Iza byłaby taka szczęśliwa, gdyby wiedziała, że jestem z tobą. Lubiłaby cię. Na długo zanim odeszłam, powiedziała mi, że nie jestem z klanu, chociaż nie pamiętałam nikogo i niczego poza życiem w klanie. Bała się o mnie. Przed śmiercią powiedziała mi: "Znajdź swoich ludzi, znajdź własnego towarzysza życia". Nie mężczyznę z klanu, ale mężczyznę takiego jak ja; kogoś, kogo mogłabym kochać i kto dbałby o mnie. Ale tak długo mieszkałam sama w dolinie, że nie myślałam, iż kiedykolwiek kogoś znajdę. I wtedy ty przyszedłeś. Iza miała rację. Bardzo było trudno odchodzić, ale musiałam znaleźć moich własnych ludzi. Gdyby nie Durc, to byłabym niemal

wdzięczna Broudowi, że mnie zmusił do odejścia. Gdybym nie odeszła z klanu, nigdy nie znalazłabym mężczyzny, który by mnie pokochał i którego ja mogłabym kochać.

- Wcale się tak bardzo nie różnimy, Aylo. Ja też nie sądziłem, że znajdę kogoś, kogo mógłbym pokochać, chociaż znałem wiele kobiet wśród Zelandonii, a jeszcze więcej spotkaliśmy w podróży. Thonolan łatwo zawierał przyjaźnie, nawet wśród obcych, i także mnie to ułatwiało. - Przymknął oczy w chwili bólu i głęboki smutek odmalował się na jego twarzy. Ból był nadal ostry. Ayła widziała to za każdym razem, gdy wymawiał imię brata.

Patrzyła na Jondalara, na jego niezmiernie wysokie, umięśnione ciało, na długie blond włosy związane rzemykiem na karku, na wyraziste, regularne rysy. Obserwowała go na Letnim Spotkaniu i wątpiła, czy naprawdę potrzebował pomocy brata do zawierania przyjaźni, szczególnie z kobietami, i dobrze wiedziała dlaczego. Jeszcze bardziej niż figura czy przystojna twarz jego oczy - żywe, niebieskie, wyraziste oczy, które zdawały się pokazywać wewnątrz tego bardzo zamkniętego w sobie człowieka - przydawały mu nieodpartego uroku.

Właśnie teraz patrzył na nią oczyma pełnymi ciepła i pożądania. Czuła, jak jej ciało reaguje na to spojrzenie. Pomyślała o kasztanowej samicy mamuta, która odmawiała wszystkim innym samcom i czekała na wielkiego, rdzawego byka, a potem nie chciała już czekać ani chwili. Ale w przedłużaniu oczekiwania też kryła się przyjemność.

Uwielbiała patrzeć na niego, napawać oczy jego widokiem. Gdy go pierwszy raz zobaczyła, pomyślała, że jest piękny, mimo że nie miała żadnej skali porównawczej. Od tamtego czasu dowiedziała się, że inne kobiety też lubią na niego patrzeć; uważały, że jest niezwykle, wręcz nieodparcie atrakcyjny; spostrzegła również, że czuł się zażenowany, kiedy mu o tym mówiono. Jego niezwykła uroda przyniosła mu co najmniej tyle samo bólu co przyjemności, a wyróżnianie się zaletami, które nie były jego zasługą, nie dawało mu satysfakcji. To były dary od Matki, a nie wynik jego własnych wysiłków.

Ale Wielka Matka Ziemia nie skupiła się tylko na cechach zewnętrznych. Obdarzyła go bogatą i żywą inteligencją, wrażliwością i zrozumieniem fizycznych aspektów świata oraz sprawnością. Dzięki nauce otrzymanej od mężczyzny, który był towarzyszem jego matki, kiedy Jondalar się urodził, a którego uważano za mistrza w swoim fachu, Jondalar stał się wysoko kwalifikowanym wytwórcą kamiennych narzędzi. Udoskonalił swoją sztukę w czasie podróży, ucząc się nowych technologii od innych łupaczy krzemieni.

Ayli jednak wydawał się piękny nie dlatego, że był wyjątkowo atrakcyjny według standardów jego własnych ludzi, ale ponieważ był pierwszym podobnym do niej człowiekiem, jakiego spotkała. Był mężczyzną Innych, nie klanu. Kiedy przywiozła go do swojej doliny, dokładnie zbadała jego twarz w czasie, gdy spał. Z trwożnym zachwytem patrzyła na twarz o

znajomych, własnych, rysach po tylu latach, w czasie których jedynie jej twarz była odmienna - nie miała ciężkich wałów nadoczodołowych ani skośnego czoła, ani ostrego, garbatego nosa w wypukłej twarzy, ani dolnej szczęki bez podbródka.

Czoło Jondalara, tak samo jak i jej, wznosiło się stromo do góry i było gładkie, bez wałów. Nos i zęby były stosunkowo małe. Jondalar miał kościsty wyrostek poniżej ust - podbródek - tak samo jak i ona. Gdy go zobaczyła, zrozumiała, dlaczego ludzie klanu uważali, że miała płaską twarz i wybrzuszone czoło. Widziała własne odbicie w stojącej wodzie i wierzyła w to, co jej mówili. Pomimo że Jondalar był od niej o tyle wyższy, o ile ona była wyższa od ludzi klanu, oraz tego, że wielu mężczyzn mówiło jej o jej urodzie, w głębi ducha nadal uważała, że jest wielka i brzydka.

Ponieważ jednak Jondalar miał ostrzejsze i wyrazistsze rysy twarzy, w oczach Ayli był bardziej podobny do ludzi klanu niż ona sama. To byli ludzie, wśród których się wychowała, oni stanowili dla niej punkt odniesienia i - w odróżnieniu od innych ludzi jej rodzaju - uważała, że są całkiem przystojni. Jondalar, z twarzą taką jak jej, a jednak bardziej podobną do twarzy klanu, wydawał jej się piękny.

Wysokie czoło Jondalara wygładziło się w uśmiechu.

- Cieszę się, że myślisz, iż Iza by mnie zaaprobowała. Szkoda, że nie poznałem jej i reszty twojego klanu. Najpierw jednak musiałem spotkać ciebie, inaczej nigdy bym nie zrozumiał, że też są ludźmi i że mogę się z nimi porozumieć. Z tego, co o nich opowiadasz, wynika, że to dobrzy ludzie. Chciałbym kiedyś spotkać się z kimś z klanu.

- Wielu ludzi jest dobrych. Klan przyjął mnie po trzęsieniu ziemi, kiedy byłam mała. Po wypędzeniu mnie przez Brouda z klanu nie miałam nikogo. Byłam Aylą bez Ludzi, aż Obóz Lwa mnie przyjął, dał mi miejsce i zrobił ze mnie Aylę z Mamutoi.

- Mamutoi i Zelandoni nie różnią się bardzo. Myślę, że polubisz moich ludzi, a oni ciebie.

- Nie zawsze byłeś taki tego pewien - powiedziała Ayla. - Kiedyś bałeś się, że mnie nie zechcą, bo wyrosłam w klanie, i z powodu Durca.

Jondalar zaczerwienił się ze wstydu.

- Będą nazywać mojego syna ohydą, dzieckiem zrodzonym z mieszanych duchów - półzwierzęciem, sam tak raz powiedziałaś - a ponieważ ja go urodziłam, będą myśleć o mnie jak najgorzej.

- Aylo, zanim odeszliśmy z Letniego Spotkania, kazałaś mi obiecać, że zawsze będę ci mówił prawdę i niczego nie będę przed tobą ukrywał. To prawda, że tego właśnie bałem się z początku. Chciałem, żebyś poszła ze mną, ale nie chciałem, żebyś opowiadała ludziom o sobie. Pragnąłem, żebyś ukrywała swoje dzieciństwo, kłamała, choć sam nienawidzę kłamstw, a ty nie

umiesz kłamać. Bałem się, że cię odrzucą. Wiem, co się wtedy czuje, i nie chciałem, żeby cię dotknęła taka krzywda. Ale bałem się również o siebie. Bałem się odrzucenia za przyprowadzenie cię, i nie chciałem przechodzić przez to jeszcze raz. A jednak nie mogłem znieść myśli o życiu bez cię. Nie wiedziałem, co zrobić.

Ayla aż za dobrze pamiętała własne zagubienie i rozpacz z powodu tych jego konfliktów wewnętrznych. Była bardzo szczęśliwa z Mamutoi i równie nieszczęśliwa z powodu Jondalara.

- Teraz już wiem, ale musiałem cię niemal stracić, zanim to zrozumiałem - ciągnął Jondalar.
- Nikt nie jest dla mnie ważniejszy niż ty, Aylo. Chcę, żebyś była sobą, żebyś mówiła i robiła, cokolwiek uważasz za właściwe, ponieważ to właśnie w tobie kocham. Teraz wierzę już, że większość ludzi powita cię z otwartymi rękoma. Widziałem, że tak właśnie było. Od Obozu Lwa i od Mamutoi nauczyłem się czegoś ważnego. Nie wszyscy ludzie myślą tak samo i potrafią zmienić poglądy. Niektórzy staną po twojej stronie, czasem tacy, po których się człowiek tego najmniej spodziewa, niektórzy będą mieli dość współczucia, by kochać i wychowywać dziecko, które wszyscy inni nazywają ohydą.

- Nie podobał mi się sposób, w jaki traktowali Rydaga na Letnim Spotkaniu - powiedziała Ayla. - Niektórzy nie chcieli nawet pozwolić na pochowanie go we właściwy sposób.

Jondalar słyszał gniew w jej głosie, ale widział również, że była bliska płaczu:

- Mnie też się nie podobał. Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają. Nie chcą otworzyć oczu i spojrzeć na to, co wyraźnie widać. Mnie samemu zabrało to dużo czasu. Nie mogę ci obiecać, że Zelandoni cię zaakceptują, Aylo, ale jeśli nie, to znajdziemy inne miejsce. Tak, chcę wrócić. Chcę pójść z powrotem do moich ludzi, zobaczyć rodzinę i przyjaciół. Chcę opowiedzieć matce o Thonolanie i poprosić Zelandoni, żeby poszukała jego ducha, na wypadek gdyby jeszcze nie znalazł drogi do następnego świata. Mam nadzieję, że wśród nich znajdzie się miejsce dla nas. Ale jeśli nie, to nie jest to już takie ważne. To jest druga rzecz, której się nauczyłem. Dlatego powiedziałem ci, że zgodziłbym się tu z tobą zostać, gdybyś tego chciała. Naprawdę tak jest.

Obiema rękami trzymał ją za ramiona i patrzył jej prosto w oczy z wyrazem determinacji. Chciał być pewien, że go rozumiała. Widziała jego zdecydowanie, jego miłość, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy powinni byli odchodzić.

- A jeśli twoi ludzie nas nie zechcą, to dokąd pójdziemy? Uśmiechnął się.

- Jeśli będziemy musieli, znajdziemy inne miejsce, ale nie myślę, by to było potrzebne. Powiedziałem ci, że Zelandoni nie różnią się tak bardzo od Mamutoi. Pokochają cię, tak jak ja cię kocham. Zupełnie się tym więcej nie martwię. Nie jestem pewien, dlaczego w ogóle miałem wątpliwości.

Ayla uśmiechnęła się do niego, zadowolona z jego pewności, że zostanie zaakceptowana. Pragnęła tylko, by ta pewność udzieliła się i jej. Mógł już zapomnieć, a może nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak silne i trwałe wrażenie wywarła na niej jego pierwsza reakcja, kiedy dowiedział się o jej dziecku i o jej pochodzeniu. Odskoczył od niej i patrzył na nią z obrzydzeniem, jakiego nigdy nie będzie w stanie zapomnieć. Patrzył na nią, jakby była brudną, ohydną hieną.

Poszli dalej, ale Ayla nie przestawała myśleć o tym, co czeka ją na końcu wędrówki. To prawda, ludzie potrafią się zmienić. Jondalar zmienił się całkowicie. Wiedziała, że nie zostało w nim nic z tego poczucia odrazy, ale co z ludźmi, od których się tego nauczył? Jeśli jego reakcja była tak natychmiastowa i silna, tego właśnie musieli go nauczyć ludzie, wśród których wyrósł. Dlaczego mieliby zareagować na nią inaczej, niż on to zrobił? Bardzo chciała być z Jondalarem i była bardzo szczęśliwa, że chce ją zabrać ze sobą do domu, ale niezbyt cieszyła ją perspektywa spotkania Zelandoni.

ROZDZIAŁ 4

Jechali dalej, trzymając się blisko rzeki. Jondalar był niemal pewien, że rzeka skręca na wschód, ale obawiał się, iż to mogło być tylko jedno z szerokich zakoli tego krętego szlaku wodnego. Jeśli rzeka istotnie zmieniała kierunek, to właśnie tu powinni ją porzucić - rezygnując z poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało podążanie wzdłuż jasno wytyczonej trasy - i pójść na przelaj, ale chciał wiedzieć na pewno, że są we właściwym miejscu.

Minęli wiele miejsc, gdzie mogliby zatrzymać się na noc, ale Jondalar szukał obozowiska, które polecił mu Talut, i często sprawdzał mapę. Szukał opisanego miejsca, żeby określić, gdzie są. Miejsce było często używane i miał nadzieję, że się nie myli, sądząc, że to już niedaleko, ale mapa wskazywała tylko ogólnie kierunek, a punkty orientacyjne były w najlepszym wypadku niewyraźne. Talut wyjaśniał mu, jak iść, i - ilustrując swoje słowa - pospiesznie skrobał rylcem na płacie kości słoniowej. Nie była to mapa z dokładnym opisem trasy.

Kiedy skarpa zaczęła się wznosić, pozostali na wysokiej płaszczyźnie ze względu na lepszą widoczność, mimo że odsuwało ich to trochę od rzeki. Poniżej, niedaleko płynącej wody, wysychało rozlewiskowe jezioro i zamieniało się w bagno. Rozpoczęło swoją egzystencję jako wygięty meander rzeki, która przesuwawała się tam i z powrotem, jak to dzieje się z wodą płynącą przez płaską okolicę. W pewnym momencie meander zamknął się, napełnił wodą i utworzył małe jezioro, odcięte od rzeki po kolejnej zmianie jej biegu. Bez żadnego nowego źródła wody jezioro zaczęło wysychać. Odgradzona łacha była teraz mokrą łąką, na której pieniały się bagienne trzciny, pałki wodne i inne błotne rośliny. Z czasem zielone błotnisko stanie się trawiastą łąką, bogatszą niż inne dzięki przejściu przez to stadium nawilgotnienia.

Na widok łosia, który wynurzył się spośród drzew i podszedł do wody, Jondalar odruchowo sięgnął po oszczep, ale wielki płowy zwierz był poza zasięgiem jego rzutu, nawet za pomocą miotacza oszczepów. Ayla patrzyła na wchodzące w moczary niezgrabne zwierzę z obwisłym pyskiem i dużymi, łopatomymi rosochami, jeszcze nadal pokrytymi delikatną skórą - scypułem. Łoś podnosił wysoko swoje długie nogi, kłapiąc szerokimi kopytami, które chroniły go przed zapadnięciem się w błotniste dno, i szedł, aż woda sięgnęła mu do boków. Zanurzył wtedy łeb i wyciągnął pysk pełen ociekającej wodą rzęsy i wodnego rdestu. Wodne ptactwo, gnieźdzące się w trzcinach nieopodal, całkowicie go ignorowało.

Po drugiej stronie bagniska dobrze wydrenowane zbocza z wąwozami i wciętymi brzegami dawały osłonięte od wiatru schronienie komosie białej, pokrzywom i kobiercom gwiazdnicy o włochatych liściach i białych kwiatach. Ayla odwiązała z głowy procę i wyjęła z woreczka kilka

okrągłych kamieni. W najdalszym krańcu jej doliny było podobne miejsce, na którym często widziała wyjątkowo duże popielice. Jedna czy dwie wystarczyłyby na posiłek.

Poszarpany teren, przylegający do rozległych łąnów traw, był ich ulubionym środowiskiem. Pożywne nasiona pobliskich łąk, ukryte w bezpiecznych schowkach na czas snu zimowego, pomagały im przetrwać wiosenny sezon rozmnażania, tak by młode rodziły się w porze, gdy jest pod dostatkiem świeżej roślinności. Bogata w proteiny ruń była niezbędna, by młode mogły osiągnąć dojrzałość przed zimą. Ale żadna popielica nie uznała za stosowne pokazać się przejeżdżającym ludziom, a Wilk wydawał się niezdolny czy niechętny, żeby je wypłoszyć.

Jechali dalej na południe, gdzie wielka granitowa płyta - poniżej szerokiej równiny, ciągnącej się daleko na wschód - zaczęła zakrzywiać się w falujące wzgórza. Kiedyś, w zamierzchłych wiekach, kraj, przez który przejeżdżali, był górskim łańcuchem, który zwietrzał i skruszył się. Pozostały uparte kamienne tarcze, które przeciwstawiały się niezmiernym parciom fałdującym grunt w nowe góry oraz gwałtownym siłom wewnętrznym, mogącym wstrząsnąć i rozłupać mniej stabilną ziemię.

Nowsze skały formowały się na starodawnym masywie, ale pozostałości pierwotnych gór nadal przebijały się przez osadową skorupę.

W czasach, kiedy włochate mamuty pasły się na stepach, trawy i zioła, jak również zwierzęta tej pradawnej krainy znakomicie się tam czuły. Nie dość, że była ich wielka obfitość, ale także zdumiewająca różnorodność i niezwykle zestawy. Inaczej niż późniejsze tereny trawiaste te stepy nie były podzielone na szerokie pasma flory ograniczonego rodzaju, określanego temperaturą i klimatem. Występujące tam rośliny tworzyły złożoną mozaikę wszelakich traw, ziół i krzewów.

Dobrze nawodniona dolina, wysoko położona łąka, szczyt wzgórza czy też nieznaczące zagłębienie terenu - każde zapraszało swoją własną społeczność życia roślinnego, która rosła w pobliżu kompleksów niespokrewnionej roślinności. Na południowym zboczu napotykać było można rośliny wymagające ciepłego klimatu, zdumiewająco odmienne od zaadaptowanej do zimna, arktycznej roślinności północnego zbocza tego samego pagórka.

Gleba poszarpanej wyżyny, którą przemierzali Ayla z Jondalarem, była uboga; pokrywała ją rzadka i krótka trawa. Wiatr doprowadził do erozji głębszych żlebów, a w górnej dolinie starego dopływu rzeki dno wyschło i z braku roślinności piach zebrał się w wydmy.

W tym surowym terenie obok rzecznej niziny normice i szczekuszki pracowicie ścinały trawy do wysuszenia i zmagazynowania. Nie zapadały w sen zimowy; zamiast tego budowały tunele i gniazda pod zaspami śniegu, które zbierały się w zagłębieniach i wklęsnięciach zawietrznej strony skał. Żywiły się zmagazynowanym sianem. Wilk wywęszył małe gryzonie i popędził za

nimi, ale Ayla nie sięgnęła po procę. Były zbyt małe na posiłek dla ludzi, chyba że upolowało ich się bardzo dużo.

Arktyczne zioła, które dobrze się czuły w wilgotniejszej północnej krainie bagien i moczarów, korzystały wiosną z dodatkowej wilgoci topniejących zasp i rosły w niezwyklej kombinacji z małymi, odpornymi krzewami alpejskimi na odsłoniętych skałkach i owianych wiatrem wzgórzach. Arktyczny pięciornik o małych, żółtych kwiatach znalazł osłonę od wiatru w tych samych niszach i zagłębieniach, które lubiły szczekuszki, podczas gdy na odsłoniętych przestrzeniach lepnice z czerwonymi albo różowymi kwiatami tworzyły swoją własną ochronę w postaci poduszkowatych darni z pokrytych liśćmi łodyg. Obok nich krzewinki dębika czepiały się skalistych występów i pagórków tej kostropatej niziny, tak samo jak to robiły na szczytach górskich, ze swoimi wiecznie zielonymi gałązkami z małymi liśćmi i pojedynczymi żółtymi kwiatami, rozrastając się na przestrzeni lat w gęsty kobierzec.

Ayla wyczuła miły zapach różowej smółki, która właśnie otwierała swoje kwiaty. To jej uświadomiło, że zrobiło się już bardzo późno, i zerknęła na słońce obniżające się na zachodzie, żeby potwierdzić sygnał, jaki wyczuła nosem. Kleiste kwiaty otwierały się na noc, oferując ucztę insektom - ćmom i muchom - w zamian za rozprzestrzenianie pyłku kwiatowego. Nie miały właściwie żadnej wartości odżywczej czy leczniczej, ale lubiła przyjemnie pachnące kwiecie i przez chwilę miała ochotę zebrać bukiet. Pora była jednak późna i Ayla nie chciała się zatrzymywać. Wkrótce powinni już rozbić obóz, szczególnie jeśli miała przygotować zaplanowany posiłek jeszcze przed zapadnięciem ciemności.

Zobaczyła niebieskopurpurowe kwiaty sasanki, wyprostowane i piękne, każdy wznoszący się z pokrytych drobnymi włoskami liści, i automatycznie pomyślała o ich medycznych właściwościach - ususzona roślina pomagała na bóle głowy i dolegliwości kobiece - ale zachwycała się w równym stopniu ich pięknem, co ich użytecznością. Kiedy zobaczyła alpejskie astry o długich, wąskich żółto-fioletowych płatkach, wyrastające z koszyczków jedwabistych, pokrytych miękkimi włoskami liści, jej przelotna chęć stała się świadomą pokusą, żeby zrobić wielokwiatowy bukiet. Ale co z nim zrobi? Tylko by zwiędły.

Jondalar zaczął się zastanawiać, czy nie minęli zaznaczonego na mapce miejsca na obóz, albo też czy nie są od niego dalej, niż sądził. Niechętnie skłaniał się do wniosku, że wkrótce będą musieli rozbić obóz, a tamtego miejsca trzeba będzie szukać następnego dnia. Zarówno to, jak i konieczność polowania spowoduje prawdopodobnie stratę jeszcze jednego dnia, a nie sądził, by mogli sobie pozwolić na marnowanie ich zbyt wielu. Był pogrążony w myślach, nadal martwił się, czy podjął właściwą decyzję, idąc dalej na południe, i wyobrażał sobie straszliwe konsekwencje

złego wyboru. Nie zwrócił więc specjalnej uwagi na zamieszanie na wzgórzu na prawo od nich; wydało mu się jedynie, że to stado hien, które zabiły jakieś zwierzę.

Chociaż często żywiły się padliną, a kiedy były głodne, zadowalały się najbardziej obrzydliwym, zepsutym ścierwem, duże hieny ze swoimi potężnymi, miażdżącymi kości szczękami były również sprawnymi myśliwymi. Udało im się położyć rocznego cielaka żubra, niemal dorosłego, ale jeszcze nie całkiem. Brak doświadczenia na temat zachowań drapieżników stał się jego zgubą. Kilka innych żubrów stało niedaleko, teraz już bezpiecznych, skoro jeden padł, i obserwowało hieny, rycząc niespokojnie z powodu woni świeżej krwi.

W odróżnieniu od mamutów i koni stepowych, niezbyt dużych jak na swój gatunek, żubry były gigantyczne. Najbliżej stojący przekraczał dwa metry wysokości w kłębach. Miał potężną klatkę piersiową i kark, chociaż boki były niemal szczupłe, kopyta małe, przystosowane do szybkiego biegu po twardej, suchej ziemi; unikał bagien, w których mógłby ugrzęznąć. Duży łeb ochraniały masywne, długie, czarne rogi, zakręcone na zewnątrz i potem w górę. Jego ciemnobrązowe, włochate futro było ciężkie, szczególnie w kłębach i na piersi. Żubry miały obyczaj zwracania się przodem do lodowatych wiatrów i ich przód był lepiej zabezpieczony, z grzywą włosia dochodzącą niemal metrowej długości, ale nawet krótki ogon porośnięty był gęstą sierścią.

Nie wszystkie trawożerne zwierzęta odżywiały się tymi samymi roślinami. Miały różne systemy trawienne, różne obyczaje, albo też zaadaptowały się w nieco odmienny sposób. Włókniste łądygi, które dawały pożywienie koniom i mamutom, nie wystarczały dla żubrów i innych przeżuwaczy. Im potrzebne były żdzbla trawy i liście o większej zawartości białka, więc żubry wolały nisko rosnącą, pożywniejszą trawę suchszych terenów. Zapuszczały się w rejony średnich i wysokich traw w poszukiwaniu młodych roślin na ogół tylko na wiosnę, kiedy cała kraina pokryta była świeżą runią - zwykle był to również jedyny okres w roku, kiedy przyrastały ich kości i rogi. Długa, wilgotna, zielona wiosna przylodowcowych stepów dawała żubrom i wielu innym zwierzętom długi sezon przyrostu, czego rezultatem były ich olbrzymie kształty.

Jondalar był tak zamyślony i przygnębiony, że zabrało mu kilka chwil, zanim zrozumiał znaczenie sceny na wzgórzu. Sięgnął po miotacz i oszczep, żeby pójść w ślad hien i też ubić żubra, ale Ayla już oceniła sytuację i zdecydowała się na inne działanie.

- Sio! Sio! Wynoście się! Wynocha, brudne stwory! Wynoście się stąd! - krzyczała, galopując ku nim na Whinney, i rzucała w nie kamieniami z procy. Koło niej biegł ogromnie z siebie zadowolony Wilk, który wył i ujadął za umykającym stadem.

Kilka skowytów bólu powiedziało Ayli, że jej kamienie trafiły do celu, chociaż nie rzucała z pełną siłą i nie celowała w vitalne części ciała. Gdyby chciała, jej kamienie mogły być zabójcze; nieraz już zabijała hieny, ale teraz miała inne zamiary.

- Co robisz, Aylo? - spytał Jondalar, zbliżając się do niej i do powalonego przez hieny żubra.

- Odpędzam te ohydne, brudne hieny - odparła, chociaż to musiało być oczywiste.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ muszą się z nami podzielić tym żubrem - odrzekła.

- Miałem właśnie zamiar dobrać się do któregoś z tych, co tu stoją.

- Nie potrzebujemy całego żubra, chyba żebyśmy tu zostali i ususzili mięso. A ten jest młody i jędrny. Te inne to stare, twarde byki - powiedziała. Ześlizgnęła się z Whinney i odpędziła Wilka od padłego zwierza.

Jondalar przyjrzał się uważniej olbrzymim bykom, które też się trochę odsunęły na dźwięk wrzasków Ayli, a potem spojrzął na cielaka leżącego na ziemi.

- Masz rację. To jest stado samców, a ten chyba niedawno opuścił matkę i do nich dołączył. Miał jeszcze dużo do nauczenia się.

- To jest świeża zdobycz - oznajmiła Ayla po zbadaniu cielaka. - Rozerwały tylko gardło i wyciągnęły trochę wnętrzości, a także trochę z boku. Możemy wziąć, co chcemy, i zostawić im resztę. W ten sposób nie musimy marnować czasu na polowanie. Zdaje mi się, że widziałam przy rzece ślady dawnego obozu. Jeśli to jest to miejsce, którego szukamy, jeszcze zdążę ugotować smaczną kolację z tego wszystkiego, cośmy zebrali, i z mięsa.

Rozcinała już skórę na brzuchu zwierzęcia, zanim do Jondalara dotarło, co powiedziała. Wszystko stało się bardzo szybko i nagle zniknęły wszystkie zmartwienia, że zmarnują dodatkowy dzień na polowanie i szukanie obozu.

- Aylo, jesteś cudowna! - wykrzyknął i z uśmiechem zeskoczył z młodego ogiera. Ze sztywnej, skórzanej pochwy, przywiązanej do pasa, wyciągnął ostry nóż krzemienisty z rękojeścią z kości słoniowej i zaczął pomagać jej w ćwiartowaniu zwierzęcia i wycinaniu części, które chcieli zabrać. - To właśnie w tobie kocham. Zawsze jesteś pełna niespodzianek, które okazują się znakomitymi pomysłami. Weźmy też jęzor. Szkoda, że się już dobrały do wątroby, no, ale ostatecznie to jest przecież ich zdobycz.

- Nic mnie nie obchodzi, że to ich - powiedziała Ayla - o ile tylko jest to świeża zdobycz. Zabrały mi wystarczająco dużo. Nic nie szkodzi, że sobie coś od tych obrzydliwych stworów odbiorę. Nienawidzę hien!

- Rzeczywiście ich nienawidzisz, prawda? Nigdy nie słyszałem, żebyś w ten sposób mówiła o innych zwierzętach, nawet o rosomakach, a one też żywią się czasem padliną, są złośliwsze i gorzej śmierdzą.

Hieny zaczęły z powrotem podkradać się do żubra, który miał stanowić ich ucztę, i warczały z niezadowolenia. Ayla rzuciła jeszcze kilka kamieni, żeby je znowu odpędzić. Jedna z hien zawyła, a pozostałe wydały głośny, chichoczący dźwięk, od którego dreszcz przechodził po grzbiecie. Zanim hieny ponownie zdecydowały się wystąpić przeciwko jej procy, Ayla z Jondalarem wzięli już to, co chcieli.

Pojechali wózkiem ku rzece. Prowadziła Ayla. Za nimi pozostał martwy żubr z warczącymi hienami, które natychmiast powróciły i zaczęły go rozdzierać na kawałki.

Znak, który widziała, nie był znakiem samego obozu, ale sygnałowym kopcem, który wskazywał drogę. Wewnątrz usypanej kupki kamieni znajdowało się kilka suchych racji żywności na czarną godzinę, kilka narzędzi i innych przedmiotów, świder do niecenia ognia i podstawa z suchą podpałką oraz dość sztywne futro z wypadającą sierścią. Nadal dawało jakąś osłonę, ale należało je już wymienić. U szczytu kopca, mocno zatknięty w kamienie, tkwił ułamany koniec mamuciego kła z czubkiem wskazującym na duży głaz częściowo zanurzony na środku rzeki. Na nim widoczny był czerwono pomalowany romb z otwartymi ku górze kątami z prawej strony, powtórzonymi dwa razy, które razem tworzyły szewronowy wzór, wskazujący kierunek z biegiem rzeki.

Po włożeniu wszystkiego z powrotem tak, jak to znaleźli, poszli wzdłuż rzeki, aż doszli do drugiego kopca z małym kłem wskazującym na przyjemną polanę, odsuniętą od rzeki i otoczoną przez brzozy, olchy i kilka sosen. Dostrzegli także trzeci kopiec, a kiedy do niego doszli, znaleźli obok małe źródło świeżej, czystej, połyskującej wody. Także tu złożono racje na czarną godzinę, a wewnątrz kupki kamieni schowano przyrządy, jak również dużą skórzaną płachtę, też sztywną, ale zdatną do użytku jako namiot czy zadaszenie. Za kopcem, niedaleko kręgu z kamieni, które otaczały płytki dół czarny od zwęglonego drewna, znaleźli zgromadzony chrust i drewno wyrzucone przez wodę.

- To jest miejsce, o którym warto wiedzieć - powiedział

Jondalar. - Cieszę się, że nie musimy użyć tych zapasów, ale gdybym mieszkał w tych okolicach i musiał ich użyć, bardzo byłbym zadowolony z takiego znaleziska.

- To dobry pomysł - powiedziała Ayla, zachwycając się przezornością tych, którzy zaplanowali i zaopatrzyli to miejsce obozowe.

Prędko zdjęli z koni kosze i uprząż, zwinęli rzemienie i grube sznury, które je przytrzymywały, i puścili zwierzęta wolno, żeby się pały i odpoczywały. Z uśmiechem patrzyli,

jak Zawodnik natychmiast rzucił się na trawę i zaczął tarzać na grzbiecie, jakby coś go tam swędziło i nie mógł się doczekać możliwości podrapania.

- Też mi gorąco i wszystko mnie swędzi - powiedziała Ayla, rozwiązując rzemienie obuwia i zrzucając je z nóg. Rozwiązała pas, który przytrzymał pochwę z nożem oraz wiele woreczków, zdjęła naszyjnik z paciorków z kości słoniowej z przyczepionym do niego ozdobnym woreczkiem, ściągnęła tunikę i nogawice, a potem pobiegła w stronę wody z Wilkiem podskakującym koło niej.

- Idziesz?

- Później - odpowiedział Jondalar. - Wolę najpierw nazbierać drewna, żeby nie nosić do posłania ziemi i kory.

Ayla wróciła wkrótce, zmieniła tunikę i nogawice na inne, które nosiła wieczorami, ale nałożyła z powrotem naszyjnik i pas. Jondalar już rozpakował ich rzeczy i razem zaczęli urządzać obóz. Wypracowali sobie system współpracy i nie potrzebowali bez przerwy uzgadniać decyzji. Razem wznosili namiot; rozciągnęli owalną skórę na podkładkę, wbili smukłe drewniane pale w ziemię do podtrzymania skórzanej płachty namiotowej, zszytej z wyprawionych skór wielu zwierząt. Stożkowaty namiot miał zaokrąglone brzegi i otwór na szczycie do wypuszczania dymu, gdyby trzeba było rozpalić ognisko w środku, chociaż to się zdarzało rzadko, oraz dodatkową klapkę przyszytą z wierzchu, którą można było zamykać dymny otwór na wypadek deszczu.

Wokół dna namiotu przyczepione były sznury, aby przymocować go do kołków wbitych w ziemię. W czasie wichury można było dodatkowymi sznurami przywiązać płachtę podłogową do namiotu. Również kłapa wejściowa mogła być bezpiecznie umocowana. Mieli ze sobą dodatkową płachtę okrywającą na lepiej izolowany, dwuściankowy namiot, ale na razie nie było powodu jej używać.

Rozpostarli swoje futrzane śpiwory i na owalnej podłodze zostało tylko tyle miejsca, by zmieścić kosze nośne i ustawić inne rzeczy wzdłuż ścianek. Było tam również miejsce dla Wilka, na wypadek złej pogody. Z początku mieli dwa odrębne śpiwory, ale szybko udało im się je połączyć i spali razem. Kiedy namiot już stał, Jondalar poszedł zebrać więcej drewna, żeby uzupełnić zastane zapasy o to, co sami zużyją, a Ayla zaczęła przygotowywać posiłek.

Umiała rozniecić ogień za pomocą narzędzi znalezionych w kopcu, przez kręcenie w dłoniach długiego patyka opartego o podstawkę z drewna, co tworzyło żar, który można było rozdmuchać w płomień, ale miała własny, unikatowy zestaw do krzesania ognia. Kiedy mieszkała sama w dolinie, dokonała odkrycia. Przypadkowo podniosła z kamienistej plaży kawałek pirytu żelaza zamiast swojego młotka, którego używała do wyrobu krzemienych narzędzi. Często rozniecała ogień i natychmiast zrozumiała znaczenie dużej iskry, którą wykrzesalała, uderzając o krzemień pirytem żelaza.

Z początku szło jej to opornie, ale już dawno wypracowała sobie najlepszy sposób używania kamienia ognistego. Teraz potrafiła rozpalić ogień szybciej, niż mógł to sobie nawet wyobrazić ktoś, kto ciężkim wysiłkiem niecił ogień za pomocą kijka i podstawki. Za pierwszym razem, kiedy Jondalar to zobaczył, nie wierzył własnym oczom, a uznanie tego za czysty cud przyczyniło się do zaakceptowania jej przez Obóz Lwa, gdy Talut chciał ją zaadoptować. Myśleli, że użyła do tego magii.

Ayla także wierzyła, że to magia, ale uważała, że magia jest w kamieniu ognistym, a nie w niej. Zanim na dobre opuścili dolinę, Ayla z Jondalarem zebrali tyle tych szarżółtych, metalicznych kamieni, ile mogli, bo nie wiedzieli, czy kiedykolwiek znajdą je w innym miejscu. Kilka dali Obozowi Lwa i innym Mamutoi, ale wiele im jeszcze zostało. Jondalar chciał je pokazać swoim ludziom. Możliwość szybkiego rozniecenia ognia była w wielu wypadkach niezmiernie użyteczna.

Pośrodku kręgu kamieni młoda kobieta ułożyła nieduży kopczyk z wysuszonych wiórków kory i puch z wierzbówki jako hubkę, a obok położyła drugi kopczyk z gałązek i drzazgę na podpałkę. Obok leżało kilka suchych gałęzi ze sterty drewna. Pochylając się nad hubką, Ayla trzymała kawałek pirytu żelaza pod kątem, który dawał najlepsze rezultaty, i uderzyła kawałkiem krzemienia w magiczny żółtawy kamień pośrodku rowka, który się wytworzył od długiego użycia. Duża, jasna iskra skoczyła z kamienia i wylądowała na hubce, a w powietrze uniosła się strużka dymu. Szybko osłoniła ją dłonią i delikatnie dmuchnęła.

Mały punkt żaru rozjaśnił się czerwonym błyskiem i rozprysnął w wiele słonecznożółtych iskerek. Następne dmuchnięcie zaowocowało małym płomykiem. Dodała gałązki i drzazgi, a kiedy już się dobrze paliły, dorzuciła suchych gałęzi.

Kiedy Jondalar wrócił, w ogniu grzało się już wiele okrągłych kamieni, zebranych z wyschniętego miejsca koło rzeki, solidny kawałek mięsa żubrzego piekł się na rożnie nad ogniskiem, a kapiące z niego krople tłuszczu skwierczały w zetknięciu z płomieniami. Ayla wymyła i pokroiła kłaczka pałki wodnej i białe, pełne skrobi korzenie z ciemnobrązową skórą, zwane orzeszkami ziemnymi, żeby je włożyć do ciasno splecionego, wodoszczelnego kosza na wpół wypełnionego wodą, w którym czekał obrośnięty tłuszczem ozór. Obok leżała mała kupka dzikich marchewek. Wysoki mężczyzna rzucił na ziemię ładunek drewna.

- Już wspaniale pachnie! - powiedział. - Co robisz?

- Pieczeń z żubra, ale to na podróż. Łatwo jeść zimną pieczeń po drodze. Na dziś wieczór i na rano gotuję zupę z ozora, warzyw i kawałka mięsa, który nam został z Obozu Ostnicy.

Wydobyła patykiem gorący kamień z ogniska i obtarła go z popiołu gałązką z liśćmi. Potem wzięła drugi patyk i używając ich razem jak cęgów, podniosła kamień i wpuściła do kosza z wodą i

ozorem. Syczał i parował, oddając swój żar wodzie. Szybko dodała jeszcze kilka kamieni, trochę pociętych liści, które wcześniej przygotowała, i przykryła kosz.

- Co włożyłaś do zupy?

Ayla uśmiechnęła się. Zawsze lubił znać wszystkie szczegóły jej sztuki kulinarnej, nawet zioła, z których parzyła herbatę. To była jeszcze jedna cecha, która ją zadziwiała, bo żadnemu mężczyźnie klanu nie śniłoby się nawet okazanie takiego zainteresowania czymkolwiek, co znajdowało się w gestii kobiet, chociaż mógł być tego ciekawy.

- Poza korzeniami dodam zielone czubki pałki wodnej, cebulki, liście i kwiaty zielonej cebuli, pokrojone na krążki łodygi ostu, groszki ze strąków mlecznej wyki oraz trochę szaławii i tymianku dla zapachu. A jeszcze może trochę podbiału, bo ma taki słony smak. Jeśli będziemy szli koło Morza Czarnego, to może uda nam się zdobyć trochę soli. Zawsze mieliśmy sól w klanie. Chyba też rozetrę trochę chrzanu, który znalazłam rano, do pieczeni. Nauczyłam się tego na Letnim Spotkaniu. Jest ostry i nie trzeba go dużo, ale nadaje mięsu dobry smak. Chyba ci będzie odpowiadać.

- A na co są te liście? - spytał, wskazując na pęczek, który zebrała, ale teraz o nim nie wspomniała. Lubił wiedzieć, czym przyprawia żywność. Smakowały mu jej potrawy, ale były niezwykle. Były tam smaki i zapachy odmienne od tych, do jakich przyzwyczał się w dzieciństwie.

- To jest podbiał do zawinięcia na drogę gotowej pieczeni. Na zimno są bardzo smaczne razem. - Przerwała i zamyśliła się. - Może posypię jeszcze pieczeń popiołem drzewnym; także ma trochę słony smak. I dodani nieco pieczeni do zupy, jak już będzie rumiana, dla koloru i zapachu. Z ozorem i pieczonym mięsem powinna wyjść pożywna zupa, a na rano dobrze będzie ugotować do niej trochę ziarna, które mamy. Ozór też zostanie, ale owinę go w siano i włożę do torby na mięso, na później. Zmieści się, nawet z resztą surowego mięsa, włącznie z kawałkiem dla Wilka. Dopóki nocami jest zimno, nie powinno się zepsuć.

- To wszystko brzmi tak smakowicie, że nie mogę się doczekać - powiedział Jondalar z uśmiechem pełnym oczekiwania i jeszcze czegoś, czego Ayla nie umiała odgadnąć. - Aha, czy masz zapasowy kosz, którego mogę użyć?

- Tak, ale po co ci?

- Powiem ci, jak wrócę - rzekł z tajemniczym uśmiechem.

Ayla obróciła pieczeń, a potem wyjęła kamienie z kosza i włożyła nowe, gorące. Kiedy potrawy się gotowały, zaczęła sortować zioła, które zebrała na "odpędzacz Wilka", odkładając na bok rośliny przeznaczone do jej własnego użytku. Rozgniotła trochę chrzanu w kilku kropkach rosółu na ich własny posiłek, a potem zaczęła rozcierać resztę ostrego korzenia i ubijać inne ostre,

cierpkie zioła o mocnym zapachu, które zebrała rano, starając się osiągnąć najbardziej niemiłą kombinację, jaką umiała sobie wyobrazić. Sądziła, że ostry chrzan będzie najbardziej skuteczny, ale silny kamforowy zapach piołunu też się przyda.

Myśli miała jednak zaprzątnięte roślinami odłożonymi na bok.

Cieszę się, że to znalazłam - myślała. Nie mam dosyć ziół na poranną herbatę, żeby starczyły na całą podróż. Będę musiała znaleźć więcej po drodze, żeby na pewno nie począć dziecka, zwłaszcza że tak dużo jestem z Jondalarem. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Jestem pewna, że tak właśnie poczynają się dzieci, wszystko jedno, co ludzie opowiadają o duchach. Myślę, że to dlatego mężczyźni chcą wkładać swoje organy w miejsce, z którego wychodzą dzieci, i dlatego kobiety też tego chcą. I dlatego Matka zrobiła z tego Dar Przyjemności. Dar Życia jest także od niej i chce, żeby jej dzieci cieszyły się tworzeniem nowego życia, szczególnie że sam poród nie jest łatwy. Kobiety mogłyby nie chcieć rodzić, gdyby Matka nie uczyniła poczynania dzieci Darem Przyjemności. Niemowlęta są cudowne, ale nie wiesz, jak cudowne, dopóki nie masz własnego. Ayla zaczęła rozwijać te nieortodoksyjne domysły o poczęciu życia w czasie zimy, kiedy uczyła się o Mut, Wielkiej Matce Ziemi, od Mamuta, starego nauczyciela z Obozu Lwa, chociaż pierwotna idea nasunęła jej się dawno temu.

Ale z Broudem to nie było przyjemnością - przypomniała sobie. Nienawidziłam, kiedy mnie zmuszał, ale teraz jestem pewna, że w ten sposób począł się Durc. Nikt nie wierzył, że kiedykolwiek będę miała dziecko. Myśleli, że mój totem Jaskiniowego Lwa był zbyt silny dla totemu jakiegokolwiek mężczyzny. To zaskoczyło wszystkich. Ale to się zdarzyło dopiero potem, kiedy Broud zaczął mnie przymuszać, a później widziałam jego rysy w moim dziecku. To on sprawił, że Durc zaczął we mnie rosnąć. Mój totem wiedział, jak bardzo pragnęłam własnego dziecka - może Matka też wiedziała. Może to był jedyny sposób. Mamut powiedział, że wiemy, iż przyjemności są darem od Matki, ponieważ są takie potężne. Bardzo trudno im się oprzeć. Powiedział, że mężczyznom jest trudniej niż kobietom.

Tak właśnie było z tą ciemnoczerwoną mamucicą. Wszystkie samce jej pragnęły, ale ona ich nie chciała. Czekwała na wielkiego byka.

Czy to dlatego Broud nie dawał mi spokoju? Mimo że mnie nienawidził, Dar Przyjemności Matki był potężniejszy niż jego nienawiść?

Być może, ale nie sądzę, że robił to tylko dla przyjemności. Mógł ją dostać od swojej własnej towarzyszki życia albo od jakiegokolwiek kobiety, której by zapragnął. Myślę, iż wiedział, jak bardzo tego nienawidziłam, i to wzmagало jego przyjemność. Może Broud począł dziecko we mnie - a może Jaskiniowy Lew pozwolił się pokonać, bo wiedział, jak pragnęłam dziecka - ale

Broud mógł mi dać tylko swój organ. Nie mógł dać mi Daru Przyjemności. To potrafi tylko Jondalar.

Musi być w tym darze coś więcej niż tylko przyjemności. Jeśli Matka chciała dać swoim dzieciom Dar Przyjemności, to dlaczego umieściła go tam, gdzie rodzą się dzieci? Miejsce przyjemności mogłoby być gdziekolwiek. Moje nie są dokładnie tam, gdzie Jondalara. Jego przyjemność przychodzi, kiedy jest wewnątrz mnie, ale moja jest w tym innym miejscu. Kiedy daje mi przyjemności tam, wszędzie czuję się cudownie, wewnątrz i wszędzie. Wtedy chcę go mieć w sobie. Kiedy jestem bardzo wrażliwa, Jondalar musi być delikatny, bo inaczej to boli, a poród nie jest delikatny. Gdyby miejsce przyjemności kobiety było w środku, poród byłby jeszcze trudniejszy, a i tak jest już wystarczająco trudny.

Skąd Jondalar zawsze wie, co ma robić? Wiedział, jak mi dać przyjemności, zanim ja wiedziałam, że istnieją. Myślę, że ten wielki mamut też wiedział, jak dać przyjemności tej ładnej kasztance. Chyba dlatego tak głęboko i głośno ryczała, że je czuła, i dlatego jej rodzina taka była zadowolona. Myśli Ayli zaczęły budzić w niej dreszcze i rozgrzewający żar. Zerknęła w kierunku zalesionej przestrzeni, gdzie zniknął Jondalar, i zastanawiała się, kiedy wróci.

Ale dziecko nie poczyna się za każdym razem, kiedy robi się przyjemności. Może duchy są także potrzebne. Czy to są duchy totemów mężczyzn z klanu, czy esencja ducha męskiego, którą Matka wkłada w kobietę, to i tak zaczyna się to wtedy, kiedy mężczyzna wkłada swój organ do kobiety i zostawia w niej swoją cielesną esencję. W ten właśnie sposób Matka daje kobiecie dziecko, nie duchami, ale Darem Przyjemności. Ale Ona decyduje, który z mężczyzn pocznie nowe życie i kiedy się ono rozpocznie.

Skoro Matka decyduje, to dlaczego lek Izy ochrania kobietę przed ciążą? Może nie dopuszcza esencji mężczyzny, czy też jego ducha, do zmieszania się z kobiecym duchem? Iza nie wiedziała, dlaczego ten lek działa, ale na ogół jest skuteczny.

Chciałabym, żeby poczęło się we mnie dziecko, kiedy Jondalar daje mi przyjemności. Bardzo chcę dziecka, które byłoby jego częścią. Z jego esencji albo z jego ducha. Ale on ma rację. Powinniśmy poczekać. Tak ciężko było urodzić Durca. Co bym zrobiła bez Izy? Chcę być pewna, że będą w pobliżu ludzie, którzy potrafią pomóc.

Będę piła herbatę Izy każdego ranka i nic nie powiem. Ona miała rację. Nie powinnam również zbyt dużo mówić o dzieciach, które się poczynają z męskiego organu. Kiedy o tym wspomniałam, Jondalar tak się przestraszył, że chciał, abyśmy nie robili więcej przyjemności. Skoro jeszcze nie mogę mieć dziecka, to przynajmniej chcę mieć z nim przyjemności.

Tak jak te mamuty. Czy to właśnie robił ten olbrzym? Począł dziecko w kasztance? Cieszę się, że to widzieliśmy. Zastanawiałam się, dlaczego uciekała od wszystkich innych, a one jej

po prostu nie interesowały. Chciała sama wybrać towarzysza, a nie pójść z każdym, kto jej chciał. Czekwała na tego dużego, jasnobrązowego byka i gdy tylko się pojawił, wiedziała, że to on. Nie mogła czekać, pobiegła do niego. Czekala już wystarczająco długo. Dobrze znam to uczucie.

Na polankę wbiegł Wilk i z dumą przyniósł starą, gnijącą kość. Położył ją u stóp Ayli i patrzył wyczekująco.

- Uff! Ależ to śmierdzi! Gdzieś to znalazł? Musiałeś rozgrzebać jakieś resztki. Wiem, że lubisz zgniliznę. A może to dobra okazja, żeby zobaczyć, czy lubisz także ostre i cierpkie? - rzekła. Podniosła kość i rozsmarowała na niej trochę mikstury, którą przygotowała wcześniej. Rzuciła posmarowaną kość na środek polanki.

Młode zwierzę gorliwie się za nią rzuciło, ale obwąchało ją ostrożnie przed wzięciem do pyska. Nadal miała cudowny odór zgnilizny, który uwielbiał, ale nie był pewien co do pozostałych dziwnych zapachów. W końcu chwycił ją zębami, ale puścił bardzo prędko i zaczął prychać, parskać i potrząsać łbem. Ayła nie mogła się powstrzymać. Jego zachowanie było tak komiczne, że głośno się roześmiała. Wilk znowu obwąchał kość, cofnął się i prychnął, i bardzo niezadowolony pobiegł do źródła.

- Nie smakuje ci to, co Wilku? Dobrze. Nie ma ci smakować - powiedziała i czuła, jak znowu wzbiera w niej śmiech na jego widok. Chłęptanie wody niewiele pomagało. Podniósł łapę i potarł pysk, jakby myślał, że w ten sposób pozbędzie się ostrego smaku. Prychając i parszcząc, pobiegł do lasu.

Jondalar zobaczył go w lesie, a kiedy wszedł na polankę, znalazł Ayłę zaśmiewającą się do łez.

- Co jest takie zabawne? - spytał.

- Szkoda, że go nie widziałeś - powiedziała, dławiąc się ze śmiechu. - Biedny Wilk, taki był dumny z tej starej, zepsutej kości, jaką znalazł. Nie wiedział, co się z nią stało, i próbował wszystkiego, żeby się pozbyć smaku z pyska. Jeśli możesz wytrzymać zapach chrzanu i kamfory, Jondalarze, to myślę, że znalazłam sposób na trzymanie Wilka z daleka od naszych rzeczy. - Podniosła drewnianą miskę, której użyła do zmieszania składników. - Tutaj to jest. "Odpędzacz Wilka"!

- Cieszę się, że jest skuteczny - powiedział Jondalar. Też się uśmiechał, ale nie Wilk był przyczyną wesołości w jego oczach. Ayła zauważyła wreszcie, że trzymał ręce za plecami.

- Co tam masz? - spytała z nagłą ciekawością.

- No cóż, tak się zdarzyło, że jak szukałem drewna, znalazłem także coś innego. Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna, to może ci trochę dam.

- Trochę czego?

Wyciągnął zza pleców wypełniony koszyk.

- Dużych, soczystych, czerwonych malin! Ayli rozbłyły oczy.

- O, uwielbiam maliny.

- Sądzisz, że o tym nie wiem? Co za nie dostanę? - spytał z błyskiem w oku.

Ayla podeszła do niego z szerokim, pięknym uśmiechem, który nappełnił jej oczy i promieniował miłością do niego, i ciepłem, które czuła, i zachwytem, że chciał jej zrobić niespodziankę.

- Chyba już dostałem. O Matko, jesteś piękna, kiedy się uśmiechasz. Zawsze jesteś piękna, ale najpiękniejsza, jak się uśmiechasz.

Nagle uświadomił sobie jej bliskość, każdy rys jej twarzy i każdy szczegół postaci. Jej długie, gęste, ciemnoblonde włosy, z jaśniejszymi przebłyskami, gdzie wyblakły od słońca, związane były rzemykiem, żeby nie zasłaniały twarzy. Spod skórzanej przepaski wymykały się jednak pasma i skręcały w loki; jedno spadło jej na czoło. Powstrzymał impuls sięgnięcia i odsunięcia go.

Była wysoka, pasująca do jego blisko dwumetrowego wzrostu, a na jej rękach i nogach wyraźnie rysowały się gibkie, płaskie, stalowe mięśnie. Była jedną z najsilniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział; równie silna fizycznie co wielu mężczyzn. Ludzie, którzy ją wychowali, obdarzeni byli znacznie większą siłą fizyczną niż lekkokostni ludzie, wśród których się urodziła, i chociaż według standardów klanu Ayla nie była specjalnie silna, rozwinęła dużo większą siłę, niż miałyby normalnie, po prostu żeby dotrzymać im kroku. Po latach obserwowania, śledzenia i podchodzenia zwierzyny używała swojego ciała z lekkością i poruszała się z niezwykłym wdziękiem.

Skórzana tunika bez rękawów, przepasana rzemieniem i narzucona na skórzane nogawice, była luźna, ale nie ukrywała jej jędrnych, pełnych piersi, które mogłyby się wydawać ciężkie, chociaż nie były, ani jej kobiecych bioder, przechodzących w okrągłe i jędrne pośladki. Stała boso, z rozwiązanymi sznurówkami. Na szyi nosiła mały, pięknie wyhaftowany skórzany woreczek z piórami żurawia wzdłuż dna, w którym widać było zarysy tajemniczych przedmiotów.

U pasa wisiała pochwa na nóż, zrobiona ze sztywnej, surowej skóry, to jest z oczyszczonej i oskrobanej, ale w żaden sposób nie wyprawionej, która zasychała na twardo w nadany jej kształt, chociaż solidne zmoczenie mogło ją znowu zmiękczyć. Procę zatknęła z prawej strony pasa, obok woreczka z wieloma karnieniami. Z lewej strony miała dziwny, podobny do worka przedmiot. Mimo że stara i znoszona, od razu było widać, że to skóra całej wydry, wyprawiona wraz z łapami, ogonem i łbem. Przez przecięte gardło wydobyto mięso i wnętrzności, potem przeciągnięto rzemyk przez otwórki wokół przecięcia i mocno zaciągnięto. Spłaszczony łeb stał się przykrywką. To była

jej torba znachorska, którą dostała od Izy i przyniosła ze sobą z klanu. To nie jest twarz kobiety z Zelandonii - myślał Jondalar. Wygląd był cudzoziemski, ale uroda niewątpliwa. Duże oczy szaroniebieskiego koloru - koloru dobrego krzemienia - otoczone rzęsami odrobinę ciemniejszymi niż włosy; brwi nieco jaśniejsze, pośrednie między kolorem rzęs i włosów. Twarz o kształcie serca, dość szeroka, z wysokimi kośćmi policzkowymi, wyraźnym zarysem szczęki i drobnym podbródkiem. Nos prosty, delikatny i pełne wargi, wzniesione w kącikach, rozchylone i ukazujące zęby w uśmiechu rozświetlającym oczy.

Uśmiech i głośny śmiech wyróżniały ją kiedyś i podkreślały jej odmienność, co sprawiało, że starała się je ukrywać, ale Jondalar je uwielbiał. Jego śmiech, żarty i chęć zabaw budził jej zachwyt, który w magiczny sposób zmieniał i tak już miłe rysy; naprawdę była piękniejsza, kiedy się uśmiechała. Nagle oszołomił go jej widok i miłość do niej, i cicho podziękował Matce raz jeszcze za to, że dostał tyle z powrotem.

- Co chcesz za maliny? - spytała dziewczyna. - Powiedz mi, a będzie twoje.

- Chcę ciebie, Aylo - powiedział ochryplym nagle głosem. Postawił kosz na ziemi, chwycił ją w ramiona i żarliwie zaczął całować. - Kocham cię. Nigdy nie chcę cię stracić - wyszeptał ochryple i znowu ją pocałował.

Przeszła ją fala ciepła. Odpowiedziała równie gorąco:

- Też cię kocham i pragnę, ale czy mogę najpierw odsunąć mięso od ognia? Nie chcę, żeby się spaliło, gdy będziemy... zajęci.

Jondalar patrzył na nią przez chwilę, jakby nie rozumiał jej słów; potem odprężył się, uściskał ją i cofnął się o krok, uśmiechając się przepraszająco.

- Nie miałem zamiaru być taki natarczywy. Po prostu kocham cię tak bardzo, że trudno się powstrzymać. Możemy poczekać.

Czuła nadal gorąco i drżenie, wywołane jego namiętnością i nie była pewna, czy chce się teraz powstrzymać. Żałowała trochę własnych słów, które przerwały nastrój chwili.

- Nie muszę odsuwać mięsa - powiedziała. Jondalar roześmiał się.

- Aylo, zupełnie niebywała z ciebie kobieta - powiedział, kiwając głową z uśmiechem. - Czy masz w ogóle pojęcie, do jakiego stopnia jesteś niezwykła? Zawsze jesteś dla mnie gotowa, za każdym razem, kiedy cię pragnę. I zawsze byłaś. Nie to, że się godzisz, czy ci się to podoba, czy nie, ale jesteś natychmiast gotowa przerwać wszystko, cokolwiek robisz, jeśli ja tego chcę.

- Ależ ja chcę ciebie za każdym razem, kiedy ty chcesz mnie.

- Nie wiesz, jakie to niezwykłe. Większość kobiet woli, żeby je trochę ponamawiać, a jeśli są w środku jakiejś roboty, nie są skłonne się od niej oderwać.

- Kobiety, wśród których wyrosłam, zawsze były gotowe, jak tylko mężczyzna dał znak. Dałeś mi znak, pocałowałeś mnie i powiedziałeś, że mnie chcesz.

- Może kiedyś pożałuję, że ci to powiedziałem, ale ty masz prawo odmówić. - Zmarszczył czoło, próbując jej wytłumaczyć: - Mam nadzieję, że nie uważasz, iż musisz być gotowa za każdym razem. Nie mieszkasz już z klanem.

- Nie rozumiesz - powiedziała Ayla, potrząsając głową i równie usilnie starając się, żeby on ją zrozumiał. - Ja o tym nie myślę. Kiedy dajesz mi sygnał, jestem po prostu gotowa. Może dlatego, że kobiety z klanu zawsze się tak zachowywały. Może dlatego, że to ty nauczyłeś mnie cudu wspólnej przyjemności. Może dlatego, że kocham cię tak bardzo, iż kiedy dajesz mi sygnał, nie myślę o tym, czuję to w środku. Twój znak, twój pocałunek sprawia, że chcę ciebie.

Uśmiechał się znowu z ulgą i zadowoleniem.

- Samo patrzenie na ciebie wystarcza, żebym był gotowy. - Pochylił się ku niej, a ona wyciągnęła ku niemu ręce, mocno się przytulając.

Powściągnął impulsywną niecierpliwość i ogarnęło go zadowolenie, że nadal tak gorliwie potrafi jej pożądać. Niektóre kobiety nudziły go już po jednym doświadczeniu, ale z Aylą każdy raz wydawał się pierwszy. Czuł jej silne ciało przytulone do swojego i ramiona zarzucone na szyję. Przesunął ręce do przodu i trzymał je na jej piersiach, całując jednocześnie szyję.

Ayla opuściła ręce i zaczęła odwiązywać swój pas, rzucając go na ziemię wraz z wszystkimi przyczepionymi doń przedmiotami. Jondalar sięgnął pod jej tunikę, podniósł ją i oparł ręce na okrągłych kształtach z twardymi sutkami. Uniósł tunikę jeszcze wyżej i odsłonił ciemnoróżowe aureole otaczające wzniesione i wrażliwe guzki. Czując w ręku ciepłą pełność, dotknął sutka językiem, a potem wziął go do ust.

Mrowiące strużki ognia przeleciały do miejsca skrytego głęboko w jej wnętrzu, aż cicho jęknęła z przyjemności. Ze zdumieniem zorientowała się, do jakiego stopnia jest gotowa. Podobnie jak kasztanowej mamucicy zdawało jej się, że czekała cały dzień i nie może już czekać ani chwili dłużej. Przez myśli przeleciał jej obraz wielkiego, rdzawego byka z jego długim, zakrzywionym organem. Jondalar puścił ją. Chwyciła za otwór tuniki przy szyi i jednym płynnym ruchem ściągnęła ją przez głowę.

Złapał głęboko oddech na widok jej ciała, głaskał jej gładką skórę i sięgnął po obie pełne piersi. Pieścił jedną twardą pierś, ściskając ją i pocierając, a jednocześnie ssał, ciągnął i smakował drugą. Ayla czuła rozkoszne fale podniecenia i poddała im się z zamkniętymi oczyma. Miała nadal zamknięte oczy, kiedy zaczął ją całować. Rozchyliła wargi, żeby przyjąć jego łagodnie szukający język. Objęła go ramionami za szyję i poczuła fałdy jego skórzanej tuniki na swoich wrażliwych piersiach.

Przesuwał dłonie po gładkiej skórze jej pleców i czuł grę jej silnych mięśni. Jej natychmiastowa reakcja dołożyła się do jego żaru i jego twarda, wzniesiona męskość napierała na okrywającą go odzież.

- Och, kobieto! Tak cię pragnę.

- Jestem gotowa.

- Daj mi tylko to zdjąć - powiedział. Rozwiązał pas i ściągnął z siebie tunikę. Ayla zobaczyła wypukłość, sięgnęła do niej ręką i zaczęła rozwiązywać ściągający go w pasie rzemyk, podczas gdy on rozluźniał rzemyk przy jej spodniach. Objęli się, łącząc się w długim, powolnym pocałunku, ale Ayla nagle osunęła się na kolana i dłonie i spojrzała na niego z uśmiechem:

- Twoja sierść jest żółta, a nie jasnobrazowa, ale ciebie wybrałam - powiedziała.

Też się uśmiechnął i uklęknął za nią.

- A twoje włosy nie są kasztanowe, są koloru siana, ale jest w nich coś jak czerwony kwiat o wielu płatkach. Nie mam jednak owłosionej trąby, żeby cię dotknąć. Będę musiał użyć czegoś innego.

Pchnął ją lekko do przodu, rozchylił jej półkule, żeby odsłonić wilgotny kobiecy otwór, i pochylił się, żeby skosztować jej gorącej słoności. Wysunął język i znalazł twardy wzgórek ukryty w fałdach. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza i zmieniła pozycję, żeby ułatwić mu dostęp, a on zanurzył się głęboko w jej zapraszające otwarcie, żeby smakować. Zawsze uwielbiał jej smak.

Ayla poruszała się, mało świadoma czegokolwiek poza przeszywającymi ją gorącymi falami uniesienia. Była wrażliwsza niż normalnie i każde miejsce, którego dotknął czy pocałował, ogarniał żar przepalający ścieżkę aż do tego najgłębszego miejsca w środku, które dygotało ogniem i tęsknotą. Nie słyszała własnego przyspieszonego oddechu ani jęków rozkoszy, ale słyszał je Jondalar.

Wyprostował się, przysunął bliżej do niej i gorliwą męskością znalazł jej głęboką studnię. Kiedy zaczął wchodzić, pchnęła ciało ku niemu, aż przyjęła go całego. Krzyknął na to niewiarygodnie gorące powitanie, a potem, trzymając jej biodra, trochę się cofnął. Sięgnął ręką do przodu i znalazłszy jej mały, twardy wzgórek przyjemności, pocierał go, znowu w nią wchodząc. Jego odczucia niemal dosięgły szczytu. Jeszcze raz się wycofał, czując jej gotowość, i pocierał mocniej i szybciej, wchodząc na całą długość. Wykrzyczała swoje wyzwolenie, a jego krzyk dołączył się do niej.

Ayla leżała twarzą w trawie, czując przyjemny ciężar Jondalara na sobie i jego oddech z lewej strony karku. Otworzyła oczy i bez żadnej chęci zmiany pozycji obserwowała mrówkę okrążającą źdźbło trawy. Poczwała, że mężczyzna poruszył się i stoczył z niej, nadal trzymając ją w pasie.

- Jondalar, jesteś nadzwyczajny! Czy wiesz, jak bardzo jesteś nadzwyczajny?

- Czy nie słyszałem już tych słów? Zdaje się, że to ja je powiedziałem do ciebie.

- Ale one mówią prawdę o tobie. Skąd znasz mnie tak dobrze? Gubię się sama w sobie, po prostu czując, co ze mną robisz.

- Byłaś gotowa.

- To prawda. To jest zawsze cudowne, ale tym razem... nie wiem. Może to przez mamuty. Myślałam o tej ładnej kasztance i jej cudownym, dużym byku - i o tobie - przez cały dzień.

- Ha! No to może znowu zabawimy się w mamuty - powiedział z szerokim uśmiechem i przewrócił się na plecy.

Ayla usiadła.

- Dobrze, ale teraz idę pobawić się w rzece, zanim się zrobi ciemno. - Pochyliła się, pocałowała go i poczuła na nim własny smak. - Tylko najpierw sprawdzę mięso.

Podbiegła do ogniska, obróciła pieczeń, wyjęła kamienie do gotowania z kosza i włożyła tam jeszcze dwa, które wyjęła z zamierającego ognia, dołożyła kilka kawałków drewna do żaru i pobiegła ku rzece. Woda była zimna, ale to jej nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do zimnej wody. Wkrótce dołączył do niej Jondalar i przyniósł dużą, miękką kozłą skórę. Rzucił ją na ziemię i ostrożnie wszedł do wody, nabrał głęboko powietrza i zanurzył się. Wypłynął i odgarnął włosy z oczu.

- Zimno! - powiedział.

Podbiegła do brzegu i śmiejąc się, ochlapała go wodą. Natychmiast jej oddał i rozpoczęli wodną bitwę. Po ostatnim chlapnięciu Ayla wyskoczyła z wody, złapała miękką skórę i zaczęła się wycierać. Kiedy Jondalar też wyszedł, oddała mu skórę, pobiegła do obozu i szybko się ubrała. Nalewała już zupę do misek, kiedy Jondalar podszedł do ogniska.

ROZDZIAŁ 5

Przez gałęzie drzew przeświecały ostatnie promienie słońca, które chowało się za krawędź wyżyny na zachodzie. Uśmiechając się na widok zadowolonej miny Jondalara, Ayla sięgnęła do swojej miski i włożyła do ust ostatnią dojrzałą malinę. Wstała, żeby poskładać rzeczy i przygotować wszystko do łatwego i szybkiego wymarszu rano.

Dała Wilkowi resztki z misek i włożyła utłuczone i uprażone ziarna - dzikiej pszenicy i jęczmienia oraz nasiona lebiody, które jej na odchodnym dała Nezzie - do ciepłej zupy, postawionej na skraju ogniska. Gotową pieczeń z żubra i ozór z zupy włożyła do torby z niewyprawionej skóry, w której przechowywała żywność. Założyła brzegi tej wielkiej skórzanej koperty wokół mięsa, związała ją mocnymi sznurami i zawiesiła na trójnogu z długich pali, żeby nie mogły się do niej dostać nocne szkodniki.

Spiczaste pale były zrobione z całych drzewek, wysokich i prostych, obdartych z gałęzi i kory; Ayla wozila je na Whinney w specjalnych uchwytach sterczących z tyłu koszy, tak samo jak Jondalar wozil krótsze pale namiotowe. Używali również czasami tych pali do robienia włóków, które konie mogły wlec za sobą i transportować ciężkie czy nieporęczne ładunki. Zabrali ze sobą te długie drągi, bo na otwartych stepach niewiele było drzew, z których można by je zrobić. Nawet w pobliżu rzek na ogół było niewiele więcej niż splątane krzaki.

W miarę zapadania zmroku Jondalar dodawał więcej opału do ognia, a potem wydobył płat kości słoniowej z wyrysowaną mapą i zaczął ją oglądać w świetle ogniska. Kiedy Ayla skończyła i usiadła koło niego, wydawał się zamyślony i na twarzy malował mu się wyraz głębokiego niepokoju, jaki zauważyła niejedną raz w ciągu ostatnich kilku dni. Przypatrywała mu się przez chwilę, a potem włożyła kilka kamieni do ognia, żeby zagotować wodę na wieczorną herbatę. Zamiast jednak wonnych, ale łagodnych ziół, jakich zwykle używała, wzięła kilka paczuszek ze swojej torby znachorskiej.

Może coś uspokajającego pomoże, może złocień marunka albo korzeń orlika w naparze z marzanki wonnej - myślała, ale wolałaby wiedzieć, co go dręczyło. Chciała zapytać, ale nie była pewna, czy powinna. Wreszcie podjęła decyzję.

- Jondalarze, pamiętasz ostatnią zimę, kiedy nie byłeś pewny moich uczuć, a ja twoich? - spytała.

Był tak pogrążony w myślach, że przez chwilę nie rozumiał jej pytania.

- Oczywiście, że pamiętam. Ale teraz już nie wątpisz, że cię Kocham, prawda? Ja nie mam żadnych wątpliwości co do twoich uczuć.

- Nie, ja też nie mam żadnych wątpliwości, ale nieporozumienia mogą powstać z różnych przyczyn, nie tylko z niepewności, czy ty mnie kochasz albo ja ciebie. Nie chciałabym, żeby cokolwiek podobnego jak zeszłej zimy zdarzyło się jeszcze raz. Nie zniósłabym więcej takich problemów, które rodzą się tylko dlatego, że nie rozmawiamy o nich. Zanim odeszliśmy z Letniego Spotkania, obiecałeś, że zawsze mi będziesz mówił o swoich kłopotach. Jondalarze, teraz masz jakieś zmartwienie i chcę, żebyś mi o tym powiedział.

- To nic ważnego, Aylo. Nie masz się czym przejmować.

- Ale to jest coś, czym ty się przejmujesz. Jeśli coś cię martwi, czy nie sądzisz, że powinnam o tym wiedzieć? - spytała. Z wiklinowego pojemnika, w którym trzymała różne miski i przybory, wyjęła dwa małe sitka na herbatę, splecione z cieniotkich, rozciętych podłużnie trzcin. Zatrzymała się na moment, zastanowiła i włożyła suszone liście złoczenia marunki i marzanki wonnej oraz rumianku dla Jondalara, a dla siebie wzięła tylko rumianek i wysypała zioła do sitek. - Jeśli dotyczy to ciebie, to musi dotyczyć także mnie. Podróżujemy przecież razem.

- No tak, ale to ja podjąłem decyzję i nie chcę cię niepotrzebnie niepokoić - powiedział Jondalar i sięgnął po bukłak z wodą, który wisiał na palu koło wejścia do namiotu, rozpiętego kilka kroków od ogniska. Nalał trochę płynu do małej miski do gotowania i włożył gorące kamienie.

- Nie wiem, czy to jest potrzebne, czy nie, ale już mnie niepokoisz. Dlaczego nie powiesz mi, o co chodzi? - Włożyła sitka z ziołami do drewnianych kubków, zalała wrzątkiem i odstawiła, żeby zioła naciągnęły.

Jondalar podniósł płat kości słoniowej z mapką i wpatrywał się weń, pragnąc, by mógł mu powiedzieć, co ich czeka i czy podjął właściwą decyzję. Kiedy podróżował tylko z bratem, nie miało to wielkiego znaczenia. Byli w podróży, przeżywali przygodę i cokolwiek się zdarzyło, było częścią tej przygody. Wtedy nie miał pewności, czy kiedykolwiek powróci; nie wiedział, czy chce powrócić. Kobieta, której nie wolno mu było kochać, wybrała drogę jeszcze ją od niego oddalającą, a kobieta, którą miał wziąć za towarzyszkę życia, była... No cóż, nie była tym, czego chciał. Ale ta podróż była inna. Tym razem był z kobietą, którą kochał bardziej niż samo życie. Nie tylko chciał wrócić do domu, ale pragnął ją tam bezpiecznie doprowadzić. Im więcej myślał o możliwych niebezpieczeństwach, jakie na nich czekały po drodze, tym wydawały mu się groźniejsze, ale jego niepokój nie był łatwy do ujęcia w słowa.

- Martwię się o to, jak długo ta podróż potrwa. Musimy dojść do lodowca przed końcem zimy - powiedział.

- Już mi o tym mówiłeś - odparła. - Ale dlaczego? Co się stanie, jeśli nie zdążymy?

- Wiosną lód zaczyna topnieć i próba przejścia jest zbyt niebezpieczna.

- Dobrze. Jeśli jest zbyt niebezpiecznie, to nie będziemy próbować. Ale jeśli nie pójdziemy przez lodowiec, to co zrobimy wtedy? - spytała, zmuszając go do myślenia o alternatywach, czego dotąd unikał. - Czy jest jakaś inna droga?

- Nie jestem tego pewien. Lód, który musimy przekroczyć, to tylko nieduży, płaski lodowiec na północnej wyżynie wielkich gór. Jest jeszcze łąd na północ od niego, ale nikt nigdy nie szedł tamtą drogą. To jeszcze bardziej sprowadza nas z trasy i tam jest bardzo zimno. Powiadają, że północny lodowiec jest tam bliżej, że wysuwa się w tym rejonie na południe. Kraina między wysokimi górami południa i wielkim lodowcem północy jest najzimniejsza. Tam nigdy nie robi się ciepło, nawet w lecie - powiedział Jondalar.

- Ale czy nie jest zimno na samym lodowcu, który musimy przekroczyć?

- Oczywiście, że jest zimno także na lodowcu, ale to jest krótsza droga, a z drugiej strony jest już tylko kilka dni drogi do Jaskini Dalanara. - Jondalar odłożył mapkę, żeby wziąć kubek gorącego napoju, który Ayla podała mu, i przez chwilę wpatrywał się w parujący płyn. - Może moglibyśmy spróbować północnej trasy, dookoła wyżynnego lodowca, gdyby to było konieczne, ale wolałbym nie. Zresztą to jest kraina płaskogłowych - próbował wyjaśnić.

- Czy chcesz powiedzieć, że ludzie klanu mieszkają na północ od lodowca, jaki mamy przekroczyć? - spytała Ayla i jej ręka, wyjmująca sitko z ziołami z kubeczka, zatrzymała się w pół ruchu. Czuła dziwną mieszaninę strachu i podniecenia.

- Przepraszam. Powinienem ich być chyba nazwać ludźmi klanu, ale nie są tacy sami jak ci, których znałaś tutaj. Oni mieszkają bardzo daleko stąd, niewiarygodnie daleko. Wcale nie są tacy sami.

- Może jednak są - powiedziała Ayla i napiła się gorącego, pachnącego płynu. - Może ich codzienny język i obyczaje są trochę odmienne, ale wszyscy ludzie klanu mają te same wspomnienia, a przynajmniej starsze wspomnienia. Również na Zgromadzeniu Klanu wszyscy znali starodawny język znaków, który jest używany do zwracania się do świata duchów, i wszyscy mogli się ze sobą porozumiewać.

- Ale oni nie chcą nas na swoim terytorium - powiedział Jondalar. - Wyraźnie nam to dali do zrozumienia, kiedy Thonolan i ja znaleźliśmy się na niewłaściwym brzegu rzeki.

- Tak jest z pewnością. Ludzie klanu nie lubią być w pobliżu Innych. No więc, jeśli nie będziemy mogli przekroczyć lodowca, jak już tam dojdziemy, i nie będziemy mogli go obejść dookoła, to co zrobimy? - spytała Ayla, powracając do głównego problemu. - Czy nie możemy poczekać, aż lodowiec znowu będzie bezpieczny?

- Tak. Chyba będziemy musieli, ale to może potrwać niemal cały rok.

- Ale gdybyśmy poczekali przez rok, to wtedy będziemy mogli przejść? Czy jest gdzie czekać?

- No tak, tam są ludzie, u których moglibyśmy mieszkać. Losadunai byli zawsze przyjaźni. Ale ja chcę pójść do domu, Aylo - powiedział z taką udręką w głosie, że zrozumiała, jakie to dla niego ważne. - Chcę, żebyśmy osiedli na jednym miejscu i założyli wspólne ognisko.

- Ja też chcę założyć ognisko i osiąść. Powinniśmy próbować zdążyć na czas, żeby można było bezpiecznie przejść lodowiec. Jeśli jednak się spóźnimy, to nie będzie znaczyło, że nie pójdziemy do twojego domu. To oznacza tylko dłuższe czekanie. I nadal będziemy razem.

- To prawda. - Jondalar przyznał jej rację, ale nie był szczęśliwy. - Może to nie aż taka katastrofa, jeśli przyjdziemy tam późno, ale nie chcę czekać przez cały rok. - Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. - Ale może gdybyśmy poszli tą drugą trasą, zdążylibyśmy na czas. Jeszcze nie jest za późno zawrócić.

- Możemy iść inną trasą?

- Tak, Talut powiedział mi, że moglibyśmy obejść północny kraniec łańcucha górskiego, ku któremu idziemy. I Rutan z Obozu Ostnicy opowiadał o wiodącej stąd trasie na północny zachód. Myślałem, że może powinniśmy pójść tą drogą, ale chciałem jeszcze raz zobaczyć Sharamudoi. Jeśli nie teraz, to obawiam się, że już nigdy ich nie zobaczę, a oni żyją na południowym krańcu gór, nad Wielką Matką Rzeką - wyjaśniał Jondalar.

Ayla skinęła głową w zamyśleniu. Teraz zrozumiała sytuację.

- Sharamudoi to ci ludzie, u których mieszkałeś przez jakiś czas. Twój brat wziął ich kobietę za towarzyszkę życia, prawda?

- Tak, są dla mnie jak rodzina.

- W takim razie, oczywiście, musimy iść na południe i odwiedzić ich po raz ostatni. Kochasz tych ludzi. Jeśli to oznacza, że nie zdążymy na czas do lodowca, no to poczekamy z przejściem do następnej zimy. Nawet gdyby miało to oznaczać dodatkowy rok, zanim dojdiesz do domu, to czy nie uważasz, że zobaczenie twojej drugiej rodziny jest tego warte? Skoro jedną z przyczyn, dla których chcesz wracać do domu, jest powiedzenie matce o twoim bracie, to czy nie myślisz, że Sharamudoi też chcieliby wiedzieć, co się z nim stało? Byli także jego rodziną.

Jondalar zachmurzył się, ale zaraz twarz mu pojaśniała.

- Masz rację, Aylo. Chcieliby dowiedzieć się czegoś o Thonolanie. Tak się zamartwiałem, czy podjąłem właściwą decyzję. Po prostu tego nie przemyślałem. - Uśmiechnął się z ulgą.

Jondalar wpatrywał się w płomienie nad poczerniałymi kawałkami drewna, tańczące i podskakujące w krótkotrwałej radości, że rozproszyły otaczającą ciemność. Popijał herbatę i myślał o czekającej ich długiej podróży, ale już bez takiego niepokoju. Spojrzał na Aylę.

- To był dobry pomysł, żeby to przedyskutować. Myślę, że jeszcze nie przywykłem do obecności drugiego człowieka, z którym mogę rozmawiać o... rzeczach. Chyba zdążymy na czas, bo inaczej nie zdecydowałbym się na pójście tą trasą. Wydłuży to podróż, ale przynajmniej znam drogę. Nie znam północnego szlaku.

- To była właściwa decyzja, Jondalarze. Gdybym mogła, gdyby nie ciążyła na mnie klątwa śmierci, odwiedziłabym klan Brana - powiedziała Ayla, a potem dodała tak cicho, że ledwie ją słyszał: - Gdybym mogła, gdybym tylko mogła, poszłabym zobaczyć Durca ostatni raz. - Beznadziejny, głuchy ton jej głosu uświadomił mu, że ona nadal niezwykle ostro odczuwa swoją stratę.

- Chcesz spróbować go znaleźć, Aylo?

- Tak, oczywiście, że chcę, ale nie mogę. To tylko stworzyłoby problemy dla wszystkich. Rzucono na mnie klątwę. Gdyby mnie zobaczyli, myśleliby, że jestem złym duchem. Dla nich jestem martwa i nic, co mogłabym powiedzieć czy zrobić, nie przekona ich, że żyję. - Oczy Ayli wydawały się spoglądać w dal, ale widziały tylko wspomnienia. - Poza tym Durc nie jest już małym dzieckiem, jakie zostawiłam. Zbliża się do wieku męskości, chociaż ja późno osiągnęłam kobiecość, jak na kobietę klanu. Jest moim synem i może różnić się od innych chłopców. Ale wkrótce przybędzie Ura, żeby zamieszkać z klanem Bruna - nie, teraz to jest klan Brouda - powiedziała Ayla ze zmarszczonym czołem. - Tego lata odbędzie się Zgromadzenie Klanu, a więc jesienią Ura porzuci swój klan i zamieszka z Brunem i Ebrą, a kiedy oboje dorosną, zostanie towarzyszką życia Durca. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Chciałabym tam być i ją powitać, ale tylko bym ją wystraszyła i może zaczęłaby myśleć, że Durca prześladowają nieszczęścia, skoro duch jego dziwnej matki nie chce zostać tam, gdzie jest jego miejsce, na drugim świecie.

- Jesteś pewna, Aylo? Chodzi mi o to, że możemy pójść i ich poszukać, jeśli tego chcesz - powiedział Jondalar.

- Nawet gdybym chciała ich znaleźć - odparła - nie wiedziałabym, gdzie szukać. Nie wiem, gdzie jest ich nowa jaskinia ani Zgromadzenie Klanu. Nie było mi przeznaczone zobaczyć Durca. Nie jest już moim synem. Dałam go Ubie. Jest teraz synem Uby. - Ayla patrzyła na Jondalara. Zobaczył łzy w jej oczach. - Kiedy Rydag umarł, wiedziałam, że nigdy więcej nie zobaczę Durca. Pochowałam Rydaga w noszalnej płachcie Durca, tej, którą wzięłam ze sobą, odchodząc z klanu, i jednocześnie pochowałam w sercu syna. Wiem, że go nigdy więcej nie zobaczę. Dla niego jestem martwa, więc najlepiej, żeby on był też martwy dla mnie.

Łzy moczyły jej policzki, ale zdawała się ich nie zauważać, jakby nie wiedziała, że zaczęły płynąć.

- Naprawdę mam szczęście, wiesz? Pomyśl o Nezzie. Rydag był dla niej synem, wychowała go, chociaż nie urodziła, i wiedziała, że go straci. Wiedziała nawet, że niezależnie od tego, jak długo będzie żył, nigdy nie będzie miał normalnego życia. Inne matki, które tracą swoich synów, mogą ich sobie tylko wyobrażać na drugim świecie, wśród duchów, ale ja mogę sobie wyobrażać Durca tutaj, zawsze bezpiecznego, zawsze szczęśliwego. Mogę myśleć o jego życiu z Urą, o ich dzieciach i ognisku domowym... mimo że nigdy ich nie zobaczę. - Łkanie, które wydarło jej się z gardła, otworzyło tamę rozpaczy.

Jondalar objął ją i trzymał mocno. Myśl o Rydagu jego także zasmuciła. Nic nie można było dla niego zrobić, chociaż wszyscy wiedzieli, że Ayla próbowała. Był słabym dzieckiem. Nezzie powiedziała, że zawsze taki był. Ayla jednak dała mu coś, czego nie mógł dać nikt inny. Kiedy przysła i zaczęła uczyć jego i resztę obozu rozmawiania tak jak klan, sygnałami dłoni, był szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Po raz pierwszy w swoim młodym życiu był w stanie porozumieć się z ludźmi, których kochał. Mógł powiedzieć, co mu było potrzebne i czego pragnął, wyrazić, co czuje, szczególnie Nezzie, która opiekowała się nim od momentu, kiedy jego prawdziwa matka umarła przy porodzie. Wreszcie mógł jej powiedzieć, że ją kocha.

Wszyscy członkowie Obozu Lwa byli na początku zdumieni, lecz gdy raz zrozumieli, że nie jest po prostu dość sprytnym zwierzęciem, bez zdolności mowy, ale innego typu osobą, posługującą się innym rodzajem języka, zaczęli dostrzegać jego inteligencję i akceptować go jako człowieka. Było to nie mniejszą niespodzianką dla Jondalara, chociaż próbowała mu to powiedzieć w dolinie, kiedy nauczył ją mówić słowami. Nauczył się znaków tak jak wszyscy inni i doceniał poczucie humoru oraz głębię zrozumienia u tego dziecka starodawnej rasy.

Jondalar obejmował kobietę, którą kochał, kiedy szlochając, wypłakiwała swój żal. Wiedział, że Ayla powstrzymywała rozpacz z powodu śmierci dziecka na wpół z klanu, które zaadoptowała Nezzie i które tak bardzo przypominało jej syna. Zrozumiał, że w tej chwili rozpacza również po Durcu.

Ale tu chodziło o jeszcze więcej niż o Rydaga czy Durca. Ayla opłakiwała wszystkie swoje straty: tych, których straciła najwcześniej, bliskich z klanu i sam klan. Klan Bruna był jej rodziną, Iza i Creb wychowali ją, dbali o nią, i pomimo wszystkich różnic był okres, kiedy uważała się za kobietę klanu. Chociaż zdecydowała się odejść z Jondalarem, ponieważ go kochała i chciała być z nim, ta rozmowa uprzytomniła jej, jak daleko jest jego dom; podróż zabierze rok albo i dwa lata. Dotarło do niej pełne znaczenie tego faktu: nigdy tu nie wróci.

Nie tylko rezygnowała z nowego życia wśród Mamutoi, którzy zrobili dla niej miejsce w swoim domu, rezygnowała z wątpliej nadziei, jaką jeszcze mogła żywić, że kiedykolwiek zobaczy znowu ludzi ze swojego klanu i syna, którego z nimi zostawiła. Tak długo już żyła z tą starą

rozpaczą, że ból nieco przytępniał, ale Rydag umarł niedługo przed ich odejściem z Letniego Spotkania i jego śmierć była wciąż świeża, żałoba ciężka. Obudzony ból przypominał jej inne straty, a gdy zrozumiała, jaka ją odległość od nich oddzieli, uświadomiła sobie, że nie ma już żadnej nadziei na odzyskanie tej części swojego życia.

Ayla już raz wszystko straciła, całe swoje najwcześniejsze życie; nie wiedziała, kim jest jej prawdziwa matka ani ludzie, do których należała, wśród których się urodziła. Poza mglistymi wspomnieniami - bardziej uczuciami niż czymkolwiek innym - nie pamiętała niczego sprzed trzęsienia ziemi ani żadnych ludzi poza klanem. Ale klan ją wypędził; Broud obłożył ją klątwą śmierci. Dla nich była martwa i teraz w pełni pojęła, że straciła również tę część swojego życia. Nigdy już się nie dowie, skąd pochodzi, nigdy nie spotka przyjaciela z dzieciństwa, nie pozna nikogo, kto w pełni zrozumie okoliczności, które uczyniły ją tym, kim jest.

Ayla zaakceptowała utratę przeszłości, poza tym, co żyło w jej sercu i pamięci, ale rozpaczała za nią i zastanawiała się, co ją czeka u kresu podróży. Cokolwiek by to było, jacykolwiek by byli ludzie Jondalara, nie będzie miała nic innego; tylko swoje wspomnienia... i przyszłość.

Otoczona drzewami polana tonęła w ciemnościach. Nie było widać nic, najślabszego zarysu czy głębszego cienia, poza słabiutką czerwienią dogasających w ognisku drew i roziskrzoną masą gwiazd. Ponieważ tylko lekki wiaterek przebijał się przez osłaniający polanę zagajnik, wyciągnęli swoje śpiwory przed namiot. Ayla leżała pod rozgwieżdżonym niebem, wpatrywała się we wzory konstelacji i przysłuchiwała nocnym dźwiękom: wiatr szumiał w gałęziach, rzeka bulgotała cichutko, świerszcze grały, ropucha rechotała. Słyszała głośny upadek i pluśnięcie, potem niesamowite pohukiwanie sowy, a z oddali głęboki ryk lwa i głośne trąbienie mamuta.

Wcześniej Wilk zadygotał z podniecenia na dźwięk wilczego wycia i gdzieś pobiegł. Niedługo później usłyszała znowu wilcze wycie i dużo bliżej odezwało się drugie w odpowiedzi. Kobieta czekała, żeby zwierzę wróciło. Odprężyła się, kiedy usłyszała jego ciężki oddech - musiał szybko biec, pomyślała - i poczuła, jak układa się w jej nogach.

Właśnie zapadała już w drzemkę, kiedy coś ją nagle obudziło. Leżała bez ruchu, spięta i czujna, starając się zrozumieć, co ją otrzeźwiło. Najpierw poczuła wibracje warczenia, niemal milczącego skowytu, które dochodziło od ciepłego kłębka u jej stóp. Potem usłyszała ciężkie sapanie. Coś było z nimi w obozie.

- Jondalar? - powiedziała cicho.

- Chyba coś wywęszyło mięso. To może być niedźwiedź, ale myślę, że to raczej rosomak albo hiena - odpowiedział Jondalar ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Co zrobić? Nie chcę żadnego zwierza koło naszego mięsa.

- Na razie nic. Cokolwiek to jest, może nie dosięgnie. Poczekajmy.

Ale Wilk doskonale wiedział, co weszło wokół, i nie miał zamiaru czekać. Każde miejsce, na którym rozbijali obóz, uważał za swój rewir i brał na siebie obowiązek jego obrony. Ayla poczuła, że wstał, i w chwilę później usłyszała jego złowrogi warczenie. Przeciągnęła odpowiedź była w zupełnie innym tonie i zdawała się dochodzić z góry. Ayla usiadła i sięgnęła po procę, ale Jondalar był już na nogach i trzymał gotowy do rzutu miotacz.

- To niedźwiedź! - powiedział. - Chyba stoi na zadnich łapach, ale nic nie widzę.

Usłyszeli szurające dźwięki skądś między ogniskiem a palami z zawieszonym mięsem, a potem ostrzegawcze warczenie gotowego do walki zwierzęcia. Nagle, z drugiej strony, zarżała Whinney, a potem Zawodnik dał jeszcze głośniejszy wyraz swojemu zdenerwowaniu. Z ciemności doszły dźwięki poruszających się zwierząt i nagle Ayla usłyszała szczególnie podniecony, głęboki warkot, który oznaczał, że Wilk szykował się do ataku.

- Wilk! - zawołała, chcąc zapobiec niebezpiecznemu zetknięciu zwierząt.

Nagle wśród złowrogich pomruków rozległ się donośny ryk, potem skowyt bólu i w powietrzu rozprysły się jasne iskry, kiedy wielki kształt wpakował się do ogniska. Ayla usłyszała świst prędko lecącego przedmiotu. Po dźwięku solidnego uderzenia rozległo się wycie, a potem hałas czegoś przedzierającego się między drzewami i szybko oddalającego się od obozu. Zagwizdała na Wilka. Nie chciała, żeby poszedł śladem umykającego zwierzęcia.

Uklękała i objęła z ulgą młodego wilka, kiedy do niej podbiegł, podczas gdy Jondalar rozniecał na nowo ognisko. W świetle ognia zobaczyli ślad krwi pozostawiony przez uchodzące zwierzę.

- Jestem pewien, że mój oszczep trafił tego niedźwiedzia - powiedział mężczyzna. - Ale nie widziałem, gdzie uderzyłem. Rano pójde go wytropić. Ranny niedźwiedź może być niebezpieczny, a nie wiemy, kto skorzysta z tego miejsca w przyszłości.

Ayla podeszła, żeby obejrzeć ślady.

- Chyba traci masę krwi. Może nie odejdzie zbyt daleko, ale martwię się o Wilka. To było duże zwierzę. Mogło go zranić.

- Nie jestem pewien, czy Wilk powinien był atakować. Mógł rozdrażnić niedźwiedzia i ten rzuciłby się na kogoś innego. Wykazał jednak dużo odwagi i cieszę się, że tak gorliwie cię broni. Zastanawiam się, co by zrobił, gdyby ktoś naprawdę chciał wyrządzić ci krzywdę - powiedział Jondalar.

- Nie wiem, ale Whinney i Zawodnik denerwowały się z powodu tego niedźwiedzia. Pójde zobaczyć, co z nimi.

Również Jondalar chciał sprawdzić stan koni. Stwierdził, że oba podeszły bliżej do ognia. Whinney dawno temu nauczyła się, że ogień palony przez ludzi na ogół oznacza bezpieczeństwo, a Zawodnik uczył się tego i od niej, i ze swojego własnego doświadczenia. Łatwo się uspokoiły pod wpływem pieszczot i pocieszających słów ludzi, którym ufały, ale Ayla nadal była pełna niepokoju i wiedziała, że trudno jej będzie zasnąć. Postanowiła zaparzyć sobie trochę uspokajającego napoju i weszła do namiotu po znachorską torbę.

Podczas kiedy kamienie do gotowania grzały się w ognisku, głaskała futro znoszonej torby, wspominając moment, kiedy dostała ją od Izy, i swoje życie z klanem, a szczególnie ostatni dzień.

Dlaczego Creb musiał zawrócić do jaskini? - zastanawiała się. Mógłby nadal żyć, mimo że był stary i słaby. Nie brakowało mu jednak sił podczas ostatniej ceremonii poprzedniego wieczoru, kiedy uczynił Goova nowym Mogurem. Czuł się wówczas znów potężny, był jedynym Mogurem, tak jak przedtem. Goov nigdy nie będzie równie potężny jak Creb.

Jondalar zauważył jej melancholijny nastrój. Sądził, że nadal myśli o zmarłym dziecku i o swoim synu, którego już nigdy nie zobaczy; nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Pragnął jej pomóc, ale nie chciał się narzucać. Siedzieli razem blisko ognia i popijali herbatę, kiedy Ayla przypadkiem spojrzęła na niebo. Zatkanęła jej oddech.

- Jondalarze, spójrz na niebo - powiedziała. - Jest czerwone jak ogień, ale wysoko i daleko. Co to jest?

- Ogień Lodowy! - wyjaśnił. - Tak to nazywamy, kiedy jest czerwone jak teraz, a czasami mówimy: Ognie Północy.

Przez chwilę wpatrywali się w świetliste zjawisko zorzy polarnej rozpiętej łukiem przez niebo, jak pajęczne zasłony poruszane kosmicznym wiatrem.

- Tam są białe pasma - powiedziała Ayla. - Poruszają się jak smugi dymu albo przesiąkająca wapienna woda. I są jeszcze inne kolory.

- Dym Gwiazdny - odparł Jondalar. - Tak to ludzie nazywają, albo Chmury Gwiazdne, kiedy jest białe. Ma wiele nazw. Większość ludzi wie, o co ci chodzi, kiedy użyjesz którejkolwiek z nich.

- Ciekawe, dlaczego nigdy przedtem nie widziałam takiego nieba - dziwiła się Ayla, czując zachwyt, ale także odrobinę strachu.

- Może mieszkałaś zbyt daleko na południe. Nazywa się to Ognie Północy. Nie widziałem ich często, a nigdy tak silnych ani tak czerwonych, ale ludzie, którzy odbyli północną podróż, twierdzą, że im dalej pójdziesz na północ, tym częściej to widzisz.

- Ale można dojść tylko do ściany lodu.

- Można podróżować na północ poza lód, jeśli idziesz wodą. Na zachód od miejsca, gdzie się urodziłem, wiele dni drogi, zależnie od pory roku, łód kończy się u krańca Wielkich Wód. Są bardzo słone i nigdy nie zamarzają, chociaż czasami pływają po nich wielkie kawały lodu. Słyszałem, że ludzie podróżowali poza ścianę lodu w łodziach, kiedy polowali na zwierzęta, które żyją w tych wodach - powiedział Jondalar.

- Masz na myśli takie miskowe łodzie, jakich Mamutoi używają do przepraw przez rzeki?

- Chyba są podobne, ale większe i mocniejsze. Nigdy ich nie widziałem i nie byłem pewien, czy można wierzyć tym opowieściom, dopóki nie spotkałem Sharamudoi i nie zobaczyłem ich łodzi. Wiele drzew rośnie wzdłuż Rzeki Matki niedaleko ich obozu, dużych drzew. Robią z nich łodzie. Poczekaj, aż ich spotkamy. Nie uwierzysz, Aylo. Oni nie tylko przepływają się przez rzekę, oni podróżują po niej w górę i w dół w tych łodziach.

Ayla dostrzegła jego entuzjazm. Teraz, kiedy już rozwiązał swój dylemat, naprawdę cieszył się z perspektywy ponownego ich zobaczenia. Ale ona nie myślała o spotkaniu z drugą rodziną Jondalara. Niepokoiło ją dziwne światło na niebie. Niezupełnie była pewna dlaczego. Było nieco denerwujące i wolałaby rozumieć jego znaczenie, ale nie napawało jej takim strachem jak ruchy ziemi. Wszelkie ruchy ziemi przerażały ją, szczególnie trzęsienia ziemi, nie tylko dlatego, że podskoki solidnego gruntu same w sobie były groźne, ale ponieważ zawsze sygnalizowały jakieś drastyczne, bolesne zmiany w jej życiu.

Trzęsienie ziemi oderwało ją od jej ludzi i sprawiło, że jej dzieciństwo stało się całkowicie odmienne od wszystkiego, co знаła uprzednio, doprowadziło także do wygnania jej z klanu, a przynajmniej dało Broudowi do tego pretekst. Nawet wybuch wulkanu daleko na południowym wschodzie, który posypał ich miałkim popiołem, wydawał się zapowiedzią jej odejścia od Mamutoi, chociaż sama się na to zdecydowała i nikt jej nie zmuszał. Nie wiedziała jednak, co oznacza ten znak niebios, ani nawet czy jest to znak.

- Creb uważałby, że takie niebo coś oznacza, jestem tego pewna - powiedziała. - Był najpotężniejszym Mogurem wszystkich klanów. Na widok czegoś takiego na pewno zechciałby usiąść i pomedytować, żeby zrozumieć, jakie to ma znaczenie. Myślę, że również Mamut uznałby to za znak. Co myślisz, Jondalarze? Czy to jest znak czegoś? Może czegoś... niezbyt dobrego?

- Ja... ja nie wiem, Aylo. - Wahał się, czy jej powiedzieć o panującym wśród jego ludu przeświadczeniu, że kiedy zorza polarna jest czerwona, to jest to na ogół ostrzeżenie. Nie jest tak jednak zawsze, czasami to tylko zapowiedź czegoś ważnego. - Nie jestem jednym z Tych Którzy Służą Matce. To może być znak czegoś dobrego.

- Ale Ogień Lodowy jest potężnym znakiem czegoś, prawda?

- Przeważnie. Przynajmniej większość ludzi tak uważa. Ayla domieszała trochę korzenia orlika i marzankę wonną do swojej rumiankowej herbaty, robiąc w ten sposób dość silny uspokajający napój, ale nadal była niespokojna po wizycie niedźwiedzia w obozie i z powodu dziwnego, rozświetlonego nieba. Mimo środka uspokajającego miała wrażenie, że sen przed nią ucieka. Próbowwała wszystkich pozycji, żeby zasnąć, najpierw na boku, potem na plecach, potem na drugim boku, nawet na brzuchu, i była pewna, że to rzucanie się i przewracanie przeszkadzało Jondalarowi. Kiedy wreszcie zasnęła, przyśnił jej się niezwykle wyrazisty sen.

Wściekły ryk rozdarł ciszę i obserwujący ludzie odskoczyli ze strachem. Wielki jaskiniowy niedźwiedź pchnął bramę klatki i z trzaskiem rozbił ją o ziemię. Oszałały niedźwiedź był wolny!

Broud stał mu na ramionach; dwóch innych mężczyzn czepiało się jego sierści. Nagle jeden z nich znalazł się w potwornym uścisku zwierzęcia, ale jego krzyk agonii trwał krótko, bo potężna łapa niedźwiedzia złamała mu kręgosłup. Mogurowie podnieśli jego ciało i z uroczystą powagą wnieśli je do jaskini. Creb, otulony płachtą z niedźwiedziego futra, kuśtykał na przodzie.

Ayla wpatrywała się w biały płyn, chlupoczący na dnie pękniętej drewnianej miski. Płyn zrobił się krwście czerwony i zgęstniał, a białe, świetliste pasma wolno przezeń falowały. Była pełna nerwowego niepokoju; coś zrobiła źle. W misce nie powinien być zostać żaden płyn. Podniosła miskę do ust i wypła wszystko.

Jej perspektywa zmieniła się, białe światło było teraz wewnątrz niej, a ona jakby rosła i patrzyła z wysoka na gwiazdy tworzące ścieżkę. Gwiazdy zamieniły się w małe migocące światełka, które prowadziły przez nieskończenie długą jaskinię. Czerwone światło u jej krańca urosło, wypełniło jej pole widzenia, Z uczuciem zapadania się i mdłości zobaczyła Mogurów, którzy siedzieli wkoło, na wpół schowani za kolumnami stalagmitów.

Zapadała się coraz głębiej w czarną przepaść, sparaliżowana ze strachu. Nagle Creb znalazł się w niej, wraz z oślepiającym światłem, pomagał jej, podtrzymywał, łagodził lęk. Zabrał ją w dziwną podróż w przeszłość, do ich wspólnych początków, przez słone wody i bolesne hausty powietrza, ilastą ziemię i wysokie drzewa. A potem znaleźli się na łądzie, szli wyprostowani na dwóch nogach, szli przez ogromne przestrzenie na zachód ku wielkiemu, słonemu morzu. Doszli do stromej, zwróconej ku rzece ściany i do niewielkiej płaszczyzny z głębokim ustępem pod dużym nawisem skalnym; to była jaskinia jego pradawnego przodka. Ale kiedy zbliżali się do jaskini, Creb zaczął zanikać, zostawiając ją samą.

Scena zamgliała się, Creb zanikał szybciej, już go niemal nie było, a ona wpadła w panikę. "Creb! Nie idź, proszę, nie idź" - wołała. Badała wzrokiem krajobraz, rozpaczliwie go szukając. Nagle zobaczyła go na szczycie skalnej ściany, powyżej jaskini jego przodka, obok dużego głazu narzutowego, długiej, nieco spłaszczonej kolumny kamiennej, która pochylała się trochę nad

krawędzią, jakby zatrzymana w trakcie upadku. Znowu zawołała, ale wtopił się w skałę. Ayla była zrozpaczona; Creb zniknął i została sama, obolała z Żalu. Pragnęła mieć coś należącego do niego, coś, czego można dotknąć, trzymać, ale wszystko, co miała, to przytłaczająca rozpacz. Nagle zaczęła biec, biegła tak szybko, jak mogła; musiała uciekać, musiała się wydostać.

- Ayla! Ayla! Obudź się! - Jondalar potrząsał ją za ramię.

- Jondalar - powiedziała i usiadła. A potem, nadal pełna rozpacz, przywarła do niego i łzy pociekły jej z oczu. - Nie ma go... Och, Jondalarze.

- W porządku, Aylo - powiedział, obejmując ją. - To musiał być okropny sen. Krzyczałaś i płakałaś. Może ci ulży, jeśli mi opowiesz?

- To Creb. Śniłam o Crebie i o tym, co się stało na Zgromadzeniu Klanu, kiedy weszłam do jaskini i zdarzyły się te dziwne rzeczy. Przez długi czas potem bardzo się na mnie gniewał. A potem, kiedy właśnie zaczęliśmy znowu zbliżać się do siebie, umarł, zanim zdążyliśmy porządnie porozmawiać. Powiedział mi, że Durc jest synem klanu. Nigdy w pełni nie zrozumiałam, o co mu chodziło. Było tyle rzeczy, o których chciałam z nim porozmawiać, i teraz o tyle spraw chciałabym go zapytać. Niektórzy ludzie uważali go po prostu za potężnego Mogura, a jego brakujące oko i ramię czyniły go odrażającym i tym groźniejszym. Ale oni go nie znali. Creb był mądry i dobry. Rozumiał świat duchów, ale i ludzi. We śnie chciałam do niego przemówić i myślę, że on próbował coś mi powiedzieć.

- Możliwe, że próbował. Nigdy nie rozumiałem snów - powiedział Jondalar. - Lepiej się czujesz?

- Już jest dobrze, ale chciałabym więcej wiedzieć o snach.

- Nie powinienes sam iść na poszukiwanie tego niedźwiedzia - powiedziała Ayla po śniadaniu. - To ty powiedziałaś, że ranny niedźwiedź może być niebezpieczny.

- Będę ostrożny.

- Jeśli pójdę z tobą, to oboje możemy uważać, a pozostanie w obozie wcale nie jest bezpieczniejsze. Niedźwiedź może tu przecież wrócić, jak cię nie będzie.

- Masz rację. No to chodźmy razem.

Ruszyli w kierunku lasu, idąc śladami niedźwiedzia. Wilk postanowił go wytropić i rzucił się w zarośla na łeb na szyję, kierując się w górę rzeki. Przeszli niewiele ponad kilometr, kiedy usłyszeli zamieszanie, wycie i warczenie. Przyspieszyli kroku i znaleźli Wilka ze zjezoną sierścią, z wydobywającym się głęboko z gardzieli niskim warkotem, ale z opuszczonym łbem i ogonem między łapami, trzymającego się z dala od niedużej watahy wilków, które stały na straży nad ciemnobrązowym martwym niedźwiedziem.

- Przynajmniej nie musimy się martwić niebezpiecznym rannym niedźwiedziem - stwierdziła Ayla, trzymając oszczep i miotacz w pogotowiu.

- Tylko stadem niebezpiecznych wilków. - Jondalar był również gotowy do rzutu oszczepem. - Chcesz trochę niedźwiedziego mięsa?

- Nie, mamy dosyć mięsa. Nie mam miejsca na więcej. Zostawmy im niedźwiedzia.

- Mogą dostać mięso, ale ja chciałbym pazury i wielkie zęby - powiedział Jondalar.

- Dlaczego nie miałbyś ich wziąć? Należą ci się. Ty zabiłeś niedźwiedzia. Mogę odpędzić wilki procą na dość długo, żebyś je sobie zabrał.

Jondalar nie sądził, by sam się na coś takiego odważył. Pomysł odpędzenia watahy wilków od mięsa, które uważały za swoje, wydawał mu się bardzo niebezpieczny, ale pamiętał, że poprzedniego dnia Ayla odpędziła hieny.

- Zaczynaj - powiedział i wyjął ostry nóż.

Wilk niesłuchanie się podniecił, kiedy Ayla zaczęła rzucać kamieniami i odpędziła stado. Stał na straży nad padłym niedźwiedziem, a Jondalar szybko odciął pazury. Zęby było trochę trudniej wydłubać ze szczęki, ale wkrótce trzymał już w rękach swoją zdobycz. Ayla z uśmiechem obserwowała Wilka. Gdy tylko jego "stado" odpędziło dziką watahę, całkowicie zmienił postawę i zachowanie. Łeb uniósł wysoko, ogon wyprostował w postawie dominującego wilka, a jego warkot stał się bardziej agresywny. Przywódca watahy obserwował go uważnie i wydawał się bliski zaczepki.

Oddali padłego niedźwiedzia z powrotem wilkom i właśnie odchodzili, kiedy przywódca stada podniósł łeb i zawył. Dźwięk był głęboki i potężny. Wilk też podniósł łeb i zawył w odpowiedzi, ale jego pieśni brakowało rezonansu. Był młodszy, nie w pełni dorosły, i to było słychać.

- Wilk, chodź. On jest większy od ciebie, nie wspominając o tym, że jest starszy i mądrzejszy. Położyłby cię w mgnieniu oka - powiedziała Ayla, lecz Wilk zawył jeszcze raz, nie w wyzwaniu, ale dlatego, że porozumiewał się ze zwierzętami swojego gatunku.

Inne wilki ze stada dołączyły, aż Jondalar poczuł się otoczony przez chór skowytów i wycia. Wtedy, po prostu dlatego, że taką miała chętkę, Ayla uniosła głowę i zawyla. Dreszcz przeszedł po plecach mężczyzny i na ciele zrobiła mu się gęsia skórka.

Dla jego uszu było to doskonałe naśladownictwo wilków. Nawet Wilk nastawił ku niej uszu, a potem wydał z siebie przeciągłe, pewniejsze siebie wycie. Odpowiedziały im inne wilki i wkrótce las znowu był wypełniony wywołującą dreszcze, piękną wilczą melodią.

Kiedy wrócili do obozu, Jondalar oczyścił pazury i kły, podczas gdy Ayla ładowała Whinney. Skończyła, ale Jondalar jeszcze nie był gotowy do odejścia. Stała oparta o kobyłę,

machinalnie ją drapiąc i czując jej pokrzepiającą obecność, kiedy zauważyła, że Wilk znalazł inną starą, zepsutą kość. Tym razem trzymał się dalekiego krańca polanki, powarkiwał radośnie nad swoją cenną zdobyczą, zerkał na Aylę, ale nie próbował przynieść jej kości.

- Wilk! Chodź tutaj, Wilk! - zawołała. Upuścił kość i podszedł. - Myślę, że pora nauczyć cię czegoś nowego - powiedziała.

Chciała go nauczyć, żeby zostawał w miejscu, które mu wskazała, nawet jeśli ona stamtąd odchodziła. Uważała, że to może mu się bardzo przydać, lecz obawiała się, że nauka potrwa długo. Sądząc z przyjęcia, z jakim dotąd spotykali się ze strony ludzi, i reakcji Wilka, martwiła się, iż rzuci się na obcych.

Ayla obiecała kiedyś Talutowi, że sama zabije Wilka, jeśli zrani kogokolwiek w Obozie Lwa, i nadal czuła się odpowiedzialna za to, żeby drapieżne zwierzę, które wprowadziła między ludzi, nie zrobiło nikomu krzywdy. Poza tym bała się o jego bezpieczeństwo. Jego agresja natychmiast powodowała postawę obronną i jakiś przestraszony myśliwy mógłby próbować zabić dziwnego wilka, który zdawał się zagrażać jego obozowi, zanim uda jej się temu zapobiec.

Zdecydowała zacząć od przywiązania zwierzęcia do drzewa, nakazania mu pozostania na miejscu i odejścia, ale sznur wokół jego karku był zbyt luźny i Wilk uwolnił łeb. Następnym razem zawiązała sznur mocniej, choć martwiła się, że zwierze może się udusić; jeśli pętla będzie za ciasna. Tak jak podejrzewała, skamlał, wył i skakał, próbując pójść za nią. Z odległości kilku metrów powtarzała mu, żeby został, robiąc ręką znak "stop".

Kiedy się wreszcie uspokoił, wróciła i pochwaliła go. Po jeszcze kilku próbach zobaczyła, że Jondalar jest gotowy, i puściła Wilka wolno. Dosyć się naćwiczył jak na jeden dzień. Po mozolnym rozwiązaniu węzłów, które Wilk zacisnął w walce o wyswobodzenie się, uznała pomysł sznura wokół szyi za zły. Najpierw musiała dopasowywać wielkość pętli, żeby nie była ani za luźna, ani za ciasna, a potem miała trudności z rozwiązaniem węzłów. Będzie musiała to sobie przemyśleć.

- Naprawdę sądzisz, że uda ci się go nauczyć, aby nie groził obcym? - spytał Jondalar, obserwując jej pierwsze, niezbyt udane próby. - Czy nie mówiłaś mi sama, iż wilki z natury są podejrzliwe wobec obcych? Jak możesz się spodziewać, że go nauczysz czegoś, co jest sprzeczne z jego naturalnymi inklinacjami? - Dosiadł Zawodnika, a Ayla schowała sznur i wdrapała się na grzbiet Whinney.

- Czy dosiadanie konia jest zgodne z jego naturalnymi inklinacjami? - spytała.

- Myślę, że to nie to samo - powiedział Jondalar po wyruszeniu z obozu. Konie szły koło siebie. - Konie jedzą trawę, nie tykają mięsa. Myślę, że z natury wolą unikać kłopotów. Kiedy widzą obcych albo coś, co je przestraszy, to chcą uciekać. Ogier może czasem walczyć z innym

ogierem albo z czymś, co mu bezpośrednio zagraża, ale Zawodnik i Whinney wolą w nieznannej sytuacji uciekać. Wilk zaś przybiera postawę agresywną. Jest znacznie bardziej skłonny do walki.

- On by też uciekł, gdybyśmy uciekali razem z nim. Przybiera postawę obronną, ponieważ nas ochrania. No tak, jest mięsożerny i mógłby zabić człowieka, lecz tego nie robi. Nie sądzę, by się na to zdobył, chyba że uznałby, iż któregoś z nas jest w niebezpieczeństwie. Zwierzęta mogą się nauczyć, tak samo jak ludzie. Nie jest dla niego naturalne traktowanie ludzi i koni jako swojego "stada". Także Whinney nauczyła się rzeczy, których nie musiałaby umieć, gdyby żyła z innymi końmi. Jak naturalne jest dla konia traktowanie wilka jak przyjaciela? Przyjaźniła się nawet z lwem jaskiniowym. Czy to jest naturalna inklinacja?

- Może nie - powiedział Jondalar - ale nie umiem ci opisać swojego przerażenia, kiedy Maluszek pojawił się na Letnim Spotkaniu, i podjechałaś do niego na Whinney. Skąd wiedziałaś, że cię pamięta? Albo Whinney? Albo że Whinney będzie go pamiętała?

- Wyrosli razem. Maluszek...

Słowo, którego użyła, znaczyło "niemowlę", lecz akcent był niepodobny do żadnego języka, jakim Jondalar mówił, a dźwięk dziwny, szorstki, gardłowy. Jondalar nie umiał go powtórzyć, z trudem wydawał z siebie coś zbliżonego; było to jedno ze stosunkowo nielicznych wymawianych słów języka klanu. Chociaż mówiła je wystarczająco często, żeby umiał je rozpoznać, Ayla przyzwyczaiła się do natychmiastowego tłumaczenia wszelkich słów klanu, których przypadkiem użyła, żeby ułatwić mu zrozumienie. Kiedy Jondalar mówił o lwie wychowanym przez Aylę, używał przetłumaczonej formy imienia, ale zawsze wydawało mu się absurdem, że olbrzymi samiec lwa jaskiniowego ma na imię "Maluszek".

- ...Maluszek był kociakiem, kiedy go znalazłam, niemowlęciem. Nadal jeszcze matka karmiła go mlekiem. Pędzący jeleń kopnął go w łeb i lwiątko było prawie martwe. Dlatego matka go porzuciła. Był jak dziecko, także dla Whinney. Pomagała mi się nim opiekować - to było takie śmieszne, jak się ze sobą bawiły, szczególnie kiedy Maluszek zakradał się od tyłu i próbował złapać ogon Whinney. Wiem, że czasami umyślnie dla niego machała ogonem. Albo łapały skórę, każde ze swojej strony, i starały się ją przeciągnąć. Straciłam w ten sposób wiele skór, ale mnie rozśmieszały. - Ayla się zadumała: - Do tego czasu właściwie nie nauczyłam się śmiać. Ludzie klanu nie śmieją się głośno. Nie lubią niepotrzebnych hałasów i głośne dźwięki normalnie znaczą dla nich ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. A ten wyraz twarzy, który tak lubisz, z pokazanymi zębami, który nazywamy uśmiechem? U nich oznacza nerwowość albo postawę obronną, a z pewnym sygnałem dłoni jest gestem grożącym. Kiedy byłam mała, nie lubili, jak się uśmiechałam albo śmiałam, więc się tego oduczyłam.

Jechali wzdłuż brzegu rzeki, po szerokiej, płaskiej łasze żwiru.

- Wielu ludzi uśmiecha się, kiedy są zdenerwowani albo kiedy spotykają obcych - powiedział Jondalar. - To nie ma jednak oznaczać postawy obronnej czy grożącej. Uśmiechem chcą pewnie pokazać, że się nie boją.

Wysforowując się przed Zawodnika, Ayla pochyliła się na bok, żeby skierować swojego konia dookoła jakichś krzaków, które rosły nad strumyczkiem wpływającym do rzeki. Kiedy Jondalar wymyślił uzdę i wodze, których używał do kierowania Zawodnikiem, również Ayla od czasu do czasu używała uprzęży do prowadzenia Whinney albo do przywiązania jej, żeby została na jednym miejscu, ale nigdy nie robiła tego w czasie jazdy. Nie miała żadnego zamiaru trenować kobyły, kiedy po raz pierwszy dosiadła jej grzbietu, i obopólny proces uczenia się był stopniowy i z początku nieświadomy. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, celowo ćwiczyła konia, by wykonywał pewne rzeczy, ale działo się to zawsze w ramach głębokiego zrozumienia, jakie między nimi panowało.

- Ale jeśli uśmiech ma oznaczać, że się nie lękasz, to czy tym samym nie okazujesz, iż twoim zdaniem nie ma się czego bać? Że czujesz się silny i nic nie budzi twojego strachu? - spytała Ayla, kiedy znowu jechali koło siebie.

- Nigdy o tym przedtem nie pomyślałem. Thonolan zawsze uśmiechał się i wydawał się bardzo pewny siebie, kiedy spotykaliśmy nowych ludzi, choć nie zawsze był taki pewny, na jakiego wyglądał. Próbował sprawiać wrażenie kogoś, kto się nie boi, więc chyba mogłabyś uznać to za gest obronny, sposób powiedzenia: jestem taki mocny, że nie mam powodu się was bać.

- A czy pokazywanie siły nie jest rodzajem groźby? Kiedy Wilk pokazuje swoje kły obcym, to czy nie jest to okazywanie siły? - naciskała dalej Ayla.

- Może jest coś w tym wspólnego, ale widać jednak olbrzymią różnicę między uśmiechem powitania a wyszczerzaniem kłów przez Wilka.

- To prawda - przyznała Ayla. - Uśmiech sprawia, że czujesz się szczęśliwy.

- A co najmniej uspokojony. Jeśli spotykasz obcego i on się do ciebie uśmiecha, to znaczy na ogół, że jesteś mile widziany, a więc znasz swoją pozycję. Nie wszystkie uśmiechy mają na celu uszczęśliwienie cię.

- Może uczucie uspokojenia jest początkiem uczucia szczęścia - powiedziała Ayla. Jechali przez chwilę w milczeniu; potem kobieta dodała: - Myślę, że jest coś podobnego w uśmiechu na powitanie, kiedy człowiek czuje się nieswojo wśród obcych, a klanowym gestem pokazywania zębów, który oznacza, że jesteś zdenerwowany, albo sugeruje groźbę. I kiedy Wilk wyszczerza zęby na obcych, to grozi im, bo jest zdenerwowany i chce nas obronić.

- A więc kiedy szczyrzy zęby do nas, swojego własnego stada, to się uśmiecha - powiedział Jondalar. - Kilka razy byłem przekonany, że się uśmiechał, i wiem, że się z tobą droczy. Z

pewnością cię kocha, ale cały kłopot polega na tym, iż dla niego szczerzenie zębów i grożenie ludziom, których nie zna, jest naturalne. Jeśli uważa się za twojego obrońcę, jak go nauczysz zostawiania na miejscu, kiedy sama odchodzisz? Jak go nauczysz nieatakowania obcych, jeśli zdecyduje, że chce zaatakować? - Jondalar poważnie się tym martwił. Nie był pewien, czy zabieranie ze sobą tego zwierzęcia było dobrym pomysłem. Wilk mógł im przysporzyć wielu kłopotów. - Pamiętaj, wilki atakują, żeby zdobyć pokarm; tak je stworzyła Matka. Wilk jest myśliwym. Możesz go nauczyć wielu rzeczy, ale jak nauczysz myśliwego, żeby nie był myśliwym? Żeby nie atakował obcych?

- Ty byłeś obcy, kiedy przyszedłeś do mojej doliny, Jondalarze. Czy pamiętasz, jak Maluszek przyszedł mnie odwiedzić i cię tam znalazł? - spytała Ayla, kiedy znowu jechali gęsiego w górę wąwozu, który prowadził od rzeki ku wyżynie.

Jondalar poczuł falę gorąca, nie z zażenowania, ale na wspomnienie mocnych wrażeń z tamtego spotkania. Nigdy w swoim życiu nie był tak przerażony; był pewien, że zginie.

Zabrało im trochę czasu znalezienie drogi przez płytki jar, wokół głązów zmytych w czasie wiosennych powodzi i czarnych łądyg piołunu, który pieniał się bujnie w czasie deszczów, a podczas suszy zamierał w suche, pozornie martwe badyle. Myślał o tym dniu, kiedy Maluszek wrócił do miejsca, w którym Ayla go wychowała, i znalazł obcego człowieka na szerokim występie skalnym przed jej małą jaskinią.

Wszystkie lwy były duże, ale Maluszek był największym lwem jaskiniowym, jakiego kiedykolwiek widział; prawie tak wysoki jak Whinney, ale dużo masywniejszy. Jondalar wciąż jeszcze nie wydobrzył z ran, jakie zadał ten właśnie lew lub jego partnerka, kiedy wraz z bratem nierozważnie naruszyli spokój ich legowiska. To była ostatnia rzecz, jaką Thonolan kiedykolwiek zrobił. Jondalar był pewien, że też przeżywa ostatnie chwile swojego życia, gdy lew zaryczał i zebrał się do skoku. Nagle Ayla znalazła się między nimi, trzymała rękę uniesioną w znaku "stop" i lew się zatrzymał! Sposób, w jaki ta wielka bestia skurczyła się i wykręciła, by nie wpaść na Aylę, byłby komiczny, gdyby Jondalar nie był sparaliżowany z przerażenia i mógł to docenić. W następnej chwili głąskała gigantycznego kota i bawiła się z nim.

- Tak, pamiętam - powiedział, kiedy dotarli do wyżyny i znowu jechali koło siebie. - Nadal nie wiem, jak go powstrzymałaś.

- Kiedy Maluszek był kociakiem, urządził sobie zabawę, atakując mnie, ale kiedy zaczął rosnąć, zrobił się za duży na tego typu igraszki. Musiałam go nauczyć zatrzymywania się - tłumaczyła Ayla. - Teraz muszę nauczyć Wilka, żeby nie atakował obcych i zostawał za nami, jeśli tego zechcę. Nie tylko po to, żeby on nie zrobił ludziom krzywdy, lecz również by ludzie go nie skrzywdzili.

- Jeśli ktokolwiek może go tego nauczyć, to tylko ty - powiedział Jondalar. Przekonała go. Jeśli potrafi tego nauczyć Wilka, łatwiej będzie z nim podróżować, ale nadal myślał o tym, ile kłopotów potrafi im przysporzyć. Opóźnił przejście przez rzekę i pogryzł ich rzeczy, chociaż ten problem Ayla chyba rozwiązała. Nie chodziło o to, że nie lubił zwierzęcia. Lubił je. Fascynowało go obserwowanie Wilka z bliska, zadziwiała przyjacielskość i uczuciowość. Wilk wymagał jednak dodatkowego czasu, uwagi, zapasów. Końmi również trzeba było się zająć, ale Zawodnik był ogromnie do niego przywiązany, no i służyły wielką pomocą. Droga powrotna będzie wystarczająco trudna; nie potrzebowali dodatkowego obciążenia zwierzęciem niemal równie kłopotliwym co dziecko.

Dziecko to byłby problem - rozmyślał Jondalar w czasie jazdy. Mam tylko nadzieję, że Wielka Matka Ziemia nie da Ayli dziecka, dopóki nie wrócimy. Gdybyśmy już byli na miejscu, to byłoby zupełnie co innego. Wtedy moglibyśmy myśleć o dzieciach. Co prawda i tak nic nie możemy na to poradzić, poza prośbami do Matki. Ciekawe, jak to będzie mieć dziecko w pobliżu.

A co jeśli Ayla ma rację? Jeśli dzieci poczynają się z przyjemności? Ale już od dłuższego czasu jesteśmy razem i jeszcze nie ma śladu dzieci. To musi być sprawa Doni, która wkłada dziecko do środka kobiety, ale co będzie, jeśli Matka zdecyduje nie dać Ayli dziecka? Już miała jedno, chociaż było mieszane. Jak Doni daje raz, to daje na ogół więcej. Może to ja? Czy Ayla może mieć dziecko z mojego ducha? Czy jakakolwiek kobieta może?

Miałem przyjemności i oddawałem cześć Matce z wieloma kobietami. Czy którakolwiek miała dziecko, które ja począłem? Jak mężczyzna może to wiedzieć? Ranec wiedział. Jego kolor był tak mocny, rysy tak niezwykle, że można było dostrzec jego esencję w niektórych dzieciach na Letnim Spotkaniu. Ja nie mam tak mocnych kolorów ani rysów... czy mam?

A wtedy, kiedy łowcy Hadumai zatrzymali nas po drodze w tę stronę? Stara Haduma chciała, żeby Noria miała dziecko z niebieskimi oczyma, jak moje, i po Obrządku Pierwszej Przyjemności Noria obwieściła mi, że będzie miała syna z mojego ducha, z moimi niebieskimi oczyma. Haduma jej to powiedziała. Ciekawe, czy urodziła to dziecko.

Serenio myślała, że jest w ciąży, kiedy odchodziłem. Ciekawe, czy ma dziecko z niebieskimi oczyma. Serenio ma jednego syna, ale po nim nie miała innych dzieci, a Darvo jest niemal młodym mężczyzną. Co też pomyśli o Ayli i co Ayla pomyśli o niej?

Może nie była w ciąży. Może Matka nie zapomniała jeszcze, co zrobiłem, i to jest jej sposób mówienia mi, że nie zasługuję na dziecko przy ognisku domowym. Ale oddała mi Aylę. Zelandoni zawsze mi powtarzała, że Doni nie odmówi mi niczego, o co poproszę, lecz ostrzegła mnie, bym uważał, o co proszę, bo to właśnie dostanę. Dlatego zmusiła mnie do obietnicy, że nie poproszę Matki o nią, kiedy jeszcze była Zolena.

Dlaczego ktokolwiek miałby prosić o coś, jeśli tego nie chce? Nigdy właściwie nie rozumiałem tych, którzy rozmawiają ze światem duchów. Zawsze mają cień na języku. Często twierdzili, że Thonolan był wybrańcem Doni, kiedy mówili o jego zdolnościach zawierania przyjaźni z ludźmi. Ale potem powiedzieli, żeby strzegł się względów Matki. Jeśli obdarzy cię z nadmiarem, nie chce, byś zbyt długo przebywał daleko od niej. Czy dlatego Thonolan umarł? Czy Wielka Matka Ziemia wezwała go z powrotem? Co to właściwie znaczy, kiedy mówią, że Doni kogoś darzy łaską?

Nie mam pojęcia, czy darzy mnie łaską, czy nie. Ale teraz wiem, że Zoleną podjęła słuszną decyzję, chcąc zostać Zelandoni. To było słuszne także dla mnie. To, co zrobiłem, było złe, ale nigdy nie poszedłbym w tę podróż z Thonolanem, gdyby ona nie została Zelandoni, i nigdy nie znalazłbym Ayli. Może Doni mnie trochę faworyzuje, ale nie chcę wykorzystywać jej dobroci. Już ją poprosiłem, żeby nam pozwoliła bezpiecznie wrócić; nie mogę jej prosić, żeby dała Ayli dziecko z mojego ducha, zwłaszcza nie teraz. Czy jednak kiedykolwiek będzie miała dziecko?

ROZDZIAŁ 6

Ayla i Jondalar zostawili za sobą rzekę, wzdłuż której dotąd szli, i skręcili na zachód na przełaj przez stopy. Natknęli się na dolinę innej dużej rzeki, płynącej na wschód i nieco dalej łączącej się z tą, od której odeszli. Łagodne trawiaste zbocza schodziły ku wartkiej rzece pośrodku płaskiego dna doliny, usianego kamieniami najrozmaitszych rozmiarów, od wielkich głazów narzutowych do drobnego piaszczystego żwiru. Poza kilkoma kępkami trawy i pojedynczymi kwitnącymi ziołami teren wokół był nagi, ogołcony z roślinności przez wiosenną powódź.

Kilka pni, całych drzew obdartych z liści i kory, leżało w poprzek skalnego rumowiska, a splecione olchowe zarośla i krzewy z szarawymi, owłosionymi liśćmi kłębiły się przy brzegu. Małe stado olbrzymich jeleni z pletwistym porożem, przy którym duże rogi łosia wydawały się niewielkie, pasło się wzdłuż zewnętrznego krańca krzewów wierzbin, skupionych na wilgotnej nizinie koło rzeki.

Wilk, pełen entuzjazmu, pędził tam i z powrotem między końskimi kopytami, a zwłaszcza wokół Zawodnika. Whinney ignorowała jego szaleństwa, ale ogiera było łatwiej rozochocić. Ayla sądziła, że młody koń chętnie pobrykałby razem z Wilkiem, gdyby mu na to pozwolono, ale Jondalar kierował nim i błazeństwa Wilka tylko go rozpraszały. Nie był zadowolony, ponieważ musiał bardziej uważać na wierzchowca. Irytował się coraz bardziej i rozważał, czy nie poprosić Ayli o odwołanie Wilka od Zawodnika.

Nagle, ku wielkiej uldze Jondalara, Wilk popędził przed siebie. Złapał woń jelenia i pobiegł zbadać ślad. Pierwsze spojrzenie na długie nogi olbrzymiego jelenia wywarło nieodparte wrażenie; Wilk uznał, że jest to jeszcze jedno duże czworonożne stworzenie, z którym można się pobawić. Ale kiedy jelen, do którego podbiegł, pochylił łeb, żeby odpędzić szarżujące zwierzę, Wilk zatrzymał się. Wspaniałe, rozłożyste poroże potężnego jelenia miało ponad trzy metry długości! Wielki zwierz skubnął szerokolistnej trawy u swych kopyt, świadomy obecności drapieżnika, ale nie zwracał na niego zbyt dużej uwagi, jakby wiedział, że nie musi się obawiać samotnego wilka.

Ayla obserwowała zwierzęta z uśmiechem.

- Popatrz na niego, Jondalarze. Wilk myślał, że ten megaceros to jeszcze jeden koń, któremu może dokuczać.

Jondalar też się uśmiechnął.

- Rzeczywiście wygląda na zdziwionego. Nie spodziewał się czegoś aż tak dużego.

Wolno pojechali w kierunku wody, wiedząc bez słów, że żadne nie chce wystraszyć potężnego jelenia. Oboje patrzyli pełni podziwu na te gigantyczne stworzenia, które górowały nad

nimi, chociaż siedzieli na końskich grzbietach. Kiedy ludzie się zbliżyli, stado odsunęło się z dostojnym wdziękiem, nie ze strachu, ale z ostrożności, skubiąc po drodze liście wierzby.

- Ja też się nie spodziewałam czegoś tak ogromnego - powiedziała Ayla. - Nigdy nie podchodziłam do nich tak blisko.

Chociaż tylko trochę większe od łosia, olbrzymie jelenie ze swoimi wspaniałymi, rozłożystymi porożami, rozchodzącymi się od szczytu ich łbów, wydawały się niezmiernie wielkie. Co roku zrzucały te wspaniałe rogi i nowa para, która wyrastała w ich miejsce, była jeszcze dłuższa i o jeszcze bardziej skomplikowanej budowie, aby w końcu osiągnąć około czterech metrów w czasie jednego sezonu rośnięcia. Ale nawet bez rogów ten największy przedstawiciel rodziny jeleniowatych był ogromny w porównaniu z jakimkolwiek innym swoim krewnym. Kosmata sierść i masywne mięśnie karku i kłębów, które rozwinęły się, aby utrzymać ciężar olbrzymich rogów, składały się na ich imponujący wygląd. Olbrzymie jelenie były zwierzętami równin. Fantastyczne poroże byłoby zawadą w lesie, więc unikały drzew; zdarzało się, że jelen z porożem uwięzionym między drzewami zdychał z głodu.

Po dotarciu do rzeki Ayla i Jondalar zatrzymali się i zaczęli uważnie badać jej nurt i brzegi, żeby znaleźć najlepsze miejsce na przeprawę. Woda była głęboka, a prąd szybki, duże zaś szczyrbate skałki tworzyły miejscami bystrzyny. Sprawdzili, jak rzeka wygląda zarówno w górę, jak i w dół jej biegu, ale wszędzie było mniej więcej tak samo. Wreszcie zdecydowali się na przejście w miejscu, gdzie było stosunkowo najmniej głazów.

Oboje zsiadli z koni, przywiązali boczne kosze nośne do grzbietów wierzchowców i na wierzchu położyli obuwie i ciepłą odzież, którą narzucili na siebie w chłodzie poranka. Jondalar zdjął z siebie koszulę bez rękawów, a Ayla miała zamiar rozebrać się do naga, żeby nie zawracać sobie potem głowy suszeniem ubrania, ale po sprawdzeniu stopą temperatury wody zmieniła zdanie. Nawykła do zimnej wody, lecz ten wartki strumień był tak lodowaty jak woda, którą zostawiła wieczorem w misce i znalazła rano z warstwą lodu na wierzchu. Miękka skórzana tunika i nogawice dadzą trochę ciepła, nawet kiedy będą mokre.

Oba konie były podniecone, w podskokach cofały się od wilgotnego brzegu, rżąc, prychając i zarzucając łbami. Ayla założyła Whinney uzdę z wodzami, żeby łatwiej przeprowadzić konia przez rzekę. Potem, czując rosnący niepokój kobyły, objęła jej kudłaty kark i zaczęła uspokajająco przemawiać w ich prywatnym języku, jaki stworzyła, kiedy żyły same w dolinie.

Rozwinęła ten język nieświadomie, budując go ze skomplikowanych sygnałów i nielicznych słów zaczerpniętych z języka klanu i dodając powtarzające się, nonsensowne sylaby, których zaczynała używać razem ze swoim synem i którym sama nadawała znaczenie. Zawierał on

także dźwięki wydawane przez konie, których znaczenie pojęła i nauczyła się je imitować, okazjonalne warknięcia lwa, a nawet świergot ptaków.

Jondalar odwrócił się i zaczął się przysłuchiwać. Choć był przyzwyczajony, że mówiła do koni, nie wiedział, co im przekazywała. Miała niesamowitą zdolność odtwarzania dźwięków zwierzęcych - nauczyła się ich języka, kiedy żyła samotnie, zanim nauczył ją znowu posługiwać się słowami - i zdawało mu się, że ten język ma dziwną, pozaziemską jakość.

Zawodnik przestępował z nogi na nogę, podrzucał łbem i rżał niespokojnie. Jondalar przemawiał do niego łagodnym głosem, poklepywał go i drapał. Ayla patrzyła na niego, na jego cudownie wrażliwe ręce, pod dotknięciem których młody, płochliwy koń niemal natychmiast się uspokoił. Cieszyła ją bliskość, jaka zrodziła się między mężczyzną a koniem. A potem jej myśli skierowały się na sposób, w jaki te ręce dotykały jej ciała, i lekko się zaczerwieniła. Jej nie uspokajały.

Nie tylko konie były zdenerwowane. Wilk wiedział, co go czeka, i nie cieszyła go perspektywa lodowatej kąpieli. Ze skowytami biegał tam i z powrotem wzdłuż brzegu, aż wreszcie usiadł, podniósł łeb i ponurym wyciem dał wyraz swojemu niezadowoleniu.

- Chodź tutaj, Wilk! - zawołała Ayla, pochylając się, żeby uścisnąć młode zwierzę. - Też się trochę boisz, prawda?

- Czy znowu będą z nim kłopoty przy przechodzeniu rzeki? - zapytał Jondalar, nadal trochę rozdrażniony tym, że Wilk mu przedtem przeszkadzał w jeździe.

- Dla mnie to nie kłopot. On się po prostu trochę boi, tak jak i konie - powiedziała Ayla, zastanawiając się, dlaczego całkowicie rozumiały niepokój Wilka wydawał się gniewać Jondalara, szczególnie że z takim zrozumieniem odnosił się do młodego ogiera.

Woda była zimna, ale konie dobrze pływały i, raz już namówione do wejścia, nie miały żadnych problemów z dotarciem do przeciwległego brzegu wraz z prowadzącymi je ludźmi. Nawet Wilk nie przysporzył kłopotów. Tańczył i skomlał na brzegu, kilka razy wchodził do zimnej wody i wycofywał się, ale wreszcie wskoczył. Z uniesionym nosem popłynął za końmi, których wysoko załadowane grzbiety wystawały ponad wodę, i za towarzyszącymi im ludźmi.

Kiedy już dotarli na drugą stronę, zatrzymali się, żeby zmienić ubranie i wytrzeć zwierzęta, a potem ruszyli dalej. Ayla pamiętała dawne przeprawy przez rzeki, kiedy podróżowała sama po wygnaniu z klanu, i była wdzięczna za krzepkie konie. Przedostanie się z jednego brzegu rzeki na drugi nigdy nie było łatwe. Przy podróżowaniu piechotą oznaczało co najmniej zmoczenie się. Ale z końmi mogli przekraczać wiele mniejszych szlaków wodnych, jedynie nieco się ochlapawszy, a i większe rzeki nastęrczały znacznie mniej trudności.

W miarę jak posuwali się na południowy zachód, teren zmieniał charakter. Pagórki wyżyny, które stopniowo przechodziły w podgórze, gdy zbliżali się do położonego na zachodzie łańcucha górskiego, przecinały głębokie, wąskie wąwozy rzek, przez które musieli się przeprawiać. Czasami Jondalarowi wydawało się, że spędzają tyle czasu na schodzeniu w dół i ponownym wdrapywaniu się na górę, iż niewiele posunęli się do przodu. Doliny jednak dawały im osłonięte od wiatru miejsca do obozowania, a rzeki dostarczały wody niezbędnej w tej suchej krainie.

Zatrzymali się na szczycie wysokiego wzgórza w środkowej części pagórkowatej wyżyny, ciągnącej się równoległe do rzek. Niezmierzona panorama rozciągała się przed nimi, gdziekolwiek spojrzeli. Poza niewyraźnymi, szarawymi kształtami gór daleko na zachodzie nic nie mąciło rozległego horyzontu.

Choć tak inny, przewiany wiatrem suchy ląd z rozpostartymi między dwiema rzekami stepami pokrytymi wiecznie falującą na wietrze trawą przypominał swą monotonią morze. Podobieństwo można było dostrzec i w tym, że mimo pozornej jednolitości starodawne tereny trawiaste były niesłychanie bogate i zróżnicowane i - jak morze - kryły obfite i egzotyczne życie. Dziwaczne stworzenia, wystawiające na pokaz bogactwo swych ozdób w formie luksusowych rogów i poroża, czubów, krawatek i garbów, dzieliły te wielkie stepy z innymi zwierzętami, które rosły do nadzwyczajnych rozmiarów.

Włochate giganty, mamuty i nosorożce, wspaniałe w swoich gęstych, podwójnych futrach - długa, powiewająca sierść pokrywała bowiem gęste, ciepłe warstwy puchu - z grubymi warstwami odżywczego tłuszczu, pyszniły się ekstrawaganckimi kłami czy przesadnie wielkim rogiem na nosie. Olbrzymie jelenie, przystrojone ogromnym, palmiastym porożem, pasły się obok turów, wspaniałych dzikich przodków łagodnego bydła domowego, które były niemal równie wielkie jak zubry z olbrzymimi rogami. Nawet drobne gatunki swymi rozmiarami świadczyły o bogactwie stepów; były tam wielkie skoczki, olbrzymie chomiki i popielice, które należały do największych na całym świecie.

Rozległe trawiaste obszary dawały także pożywienie i innej zwierzynie, częstokroć o zadziwiających proporcjach. Konie, osły i onagery żyły i pasły się na nizinach; dzikie owce, kozice i koziorożce dzieliły się wyżej położonymi terenami. Antylopy suhaki biegały po płaskim terenie. Lasy wzdłuż dolin rzecznych lub w pobliżu jezior i stojących wód, a czasem zalesiony step czy tundra gościły zwierzynę płową we wszystkich jej odmianach, od cętkowatego daniela i łagodnej sarny do łosia, jelenia i renifera - zwanego łosiem amerykańskim, renem albo karibu, w zależności od kraju, do którego się przeniósł. Step obfitował w zajęce i króliki, myszy i nornice, świstaki, susły i lemingi; żaby, ropuchy, węże i jaszczurki też miały tu swoje kryjówki. Ptaki wszelkiego

kształtu i rozmiaru, od wielkich żurawi do małych świergotek, swym ćwierkaniem i kolorami dopełniały obrazu. Nie brakowało również owadów.

Olbrzymie stada zwierząt roślinożernych były przetrzebiane, a ich liczba trzymana w ryzach przez zwierzęta karmiące się mięsem. Zwierzęta mięsożerne, które łatwo adaptowały się do najrozmaitszych środowisk i mogły żyć wszędzie tam, gdzie żyła ich zwierzyna łowna, też osiągały niezwykle rozmiary ze względu na obfitość i jakość dostępnej żywności. Olbrzymie lwy jaskiniowe, dochodzące do dwukrotnej wielkości swoich późniejszych, południowych potomków, polowały na młode i stare zwierzęta największych nawet roślinożernych, chociaż włochaty mamut w sile wieku nie musiał się ich obawiać. Na ogół wielkie koty wybierały olbrzymie żubry, tury i jelenie, podczas gdy stada przerośniętych hien, wilków i psów dholes zadowalały się zwierzyną średniej wielkości. Obfitej zwierzyny łownej nie brak było rysiom, panterom i małym dzikim kotom.

Olbrzymie niedźwiedzie jaskiniowe, zasadniczo wegetarianie, myśliwi zaś tylko w bardzo ograniczonym zakresie, były dwukrotnie cięższe niż mniejsze, brązowe czy czarne niedźwiedzie, także lubiące jeść wszystko, czasami łącznie z trawą, natomiast białe niedźwiedzie lodowatych wybrzeży karmiły się mięsem z morza. Złośliwe rosomaki i stepowe tchórze pobierały swój haracz wśród mniejszych zwierząt, nie wykluczając różnorodnych gryzoni, na które polowały również sobole, łasice, wydry, fretki, kuny, norki i gronostaje, które na śniegu stawały się białe. Niektóre lisy też zmieniały kolor na biały albo szaroniebieski, pozwalający wtopić się w zimowy krajobraz i polować z ukrycia. Orły brunatne i złociste, sokoły, jastrzębie, wrony i sowy porywały niczego nie podejrzewające albo pechowe małe zwierzęta; białe sępy i czarne kanie czyściły resztki pozostawione przez innych.

Wielka różnorodność i duże rozmiary zwierząt, które żyły na tych pradawnych stepach, oraz ich przesadne i bogate ozdoby mogły powstać i przetrwać tylko w wyjątkowym środowisku. A jednak była to lodowata, wyschnięta, surowa kraina, otoczona przez wysoką jak góry barierę lodu i niegościnne oceany zamrożonej wody. Zdawać by się mogło, że w tak surowym środowisku nie ma warunków niezbędnych dla takiego niesamowitego wzrostu zwierząt, ale w rzeczywistości było to środowisko wystarczająco do tego celu bogate. Zimny, suchy klimat wspierał wzrost traw i wstrzymywał wegetację drzew.

Drzewa, takie jak dęby i jodły, osiągają wspaniałą wielkość, ale potrzeba długiego czasu i obfitej wilgoci, żeby dojrzały. Tereny zadrzewione mogą stać się schronieniem dla całego szeregu innych roślin i zwierząt, ale drzewa potrzebują zasobów, aby przetrwać, i nie sprzyjają rozwojowi różnorodnych gatunków dużych zwierząt. Kilka zwierząt może jeść orzechy lub owoce, inne mogą żywić się liśćmi czy nawet czubkami gałązek drzew, ale kora i drewno są na ogół niejadalne, a raz

zniszczone bardzo wolno przyrastają z powrotem. Ta sama energia i składniki odżywcze w glebie, skierowane na wyprodukowanie odpowiedniej wagą ilości trawy, wyżywi dużo, dużo więcej, a trawa nieustannie się odnawia. Las może być najdoskonalszym przykładem bogatego, produktywnego życia roślinnego, ale to trawa dała możliwość rozwoju niezwykłego i bujnego życia zwierzęcego, a złożone środowisko terenów trawiastych utrzymywało je i pozwalało mu przetrwać.

Ayla czuła lekki niepokój, lecz nie mogła dociec jego przyczyny. Nie było to nic konkretnego, po prostu dziwne, drażniące uczucie. Zanim zaczęli schodzić ze wzgórze, obserwowali przez chwilę burzowe chmury, które zbierały się nad górami na zachodzie, widzieli błyskawice i słyszeli odległy grzmot. Niebo nad nimi było jednak czyste, ciemnoniebieskie i słońce nadal stało wysoko, chociaż minęło już zenit. Mało prawdopodobne, żeby deszcz zaczął padać w pobliżu, ale nie podobał jej się grzmot. Niski, przeciągły huk zawsze przypominał jej o trzęsieniu ziemi.

Może to po prostu zbliża się mój czas księżycowy - pomyślała, starając się zlekceważyć uczucie niepokoju. Powinnam przygotować skórzane podpaski i wełnę muflonową, którą dostałam od Nezzie. Powiedziała mi, że to jest najwygodniejsze na podróż, i ma rację. Łatwo to wyprać z krwi w zimnej wodzie.

Ayla nie widziała przedtem onagerów i jadąc w zamyśleniu w dół stoku, nie zwracała uwagi na otoczenie. Zdawało jej się, że zwierzęta, które zauważyła w oddali to konie. Kiedy jednak podjechali bliżej, zaczęła dostrzegać różnice. Były trochę mniejsze, miały dłuższe uszy, a ich ogony nie były długimi, powiewającymi pasmami włosia, ale krótkim, chudym wyrostkiem, pokrytym taką samą sierścią co tułów, z ciemniejszym pomponem na końcu. Oba gatunki zwierząt miały sterczące grzywy, ale u onagerów grzywa była bardzo nierównej długości. Sierść zwierząt w tym niewielkim stadzie jasna, brązowoczerwona po bokach i na grzbiecie, stawała się znacznie jaśniejsza, niemal biała na podbrzuszu, nogach i pysku, wzdłuż kręgosłupa zaś widniała ciemniejsza, brunatna pręga i jeszcze jedna w poprzek łopatek, a na nogach wiele ciemniejszych pasm.

Młoda kobieta porównywała je z maścią koni. Chociaż jasno-bułana kobyła miała sierść nieco jaśniejszą niż przeciętna, ze złotawożółtym odcieniem, większość stepowych koni była takiej samej, szarobrazowej barwy, podobnej do Whinney. Ciemnobrazowa maść Zawodnika należała do rzadkości wśród koni. Sztynna, gęsta grzywa kobyły była ciemnoszara, podobnie jak grzbiet aż po długi, powiewający ogon. Dolna część nóg też była ciemna, niemal czarna, a pręgi powyżej ledwo zaznaczone. Ogier miał typową dla stepowych koni czarną grzywę, ogon i nogi, lecz na ciemnej, gniadej sierści trudno było dostrzec czarną pręgę, biegnącą wzdłuż kręgosłupa.

Ktoś znający się na koniach dostrzegał również odmienność budowy ciała onagerów, lecz mimo to wydawały się końmi. Ayla zauważyła, że nawet Whinney bardziej się nimi interesuje niż innymi napotykanymi zwierzętami, stado zaś przestało się paść i obserwowało ich. Również Wilk wykazywał zainteresowanie i napiął mięśnie, gotowy do popędzenia za nimi, ale Ayla dała mu znak, żeby został w miejscu. Chciała im się przyjrzeć. Jeden z onagerów wydał nagle głośny dźwięk i kobieta zauważyła kolejną różnicę. To nie było rzenie, ale ostry ryk.

Zawodnik podrzucił łeb i zarżał w odpowiedzi, a potem ostrożnie nastawił nozdrza i powąchał dużą stertę świeżego łajna. Zdaniem Ayli wyglądało na końskie i miało podobny zapach. Whinney parsknęła i też obwąchała stertę, a kiedy woń dotarła do nozdrzy Ayli, zdało jej się, że wyczuwa nieznacznie odmienny zapach, może spowodowany nieco inną strawą.

- Czy to są konie? - spytała.

- Niezupełnie. Są tak podobne do koni jak łoś do renifera czy jak jeleni do megacerosa. To są onagery - wyjaśnił Jondalar.

- Dlaczego ich nigdy nie widziałam?

- Nie wiem, ale zdają się lubić tę krainę - powiedział, wskazując głową w kierunku skalistych wzgórz i rzadkiej roślinności suchej, półpustynnej wyżyny, przez którą jechali. Onagery nie były mieszkanką koni i osłów, chociaż takie sprawiały wrażenie, ale odrębnym i zdolnym do samodzielnego życia gatunkiem o podobnych cechach. Należały do zwierząt niezwykle odpornych. Potrafiły przetrwać na pożywieniu jeszcze uboższym niż konie, karmiąc się korą, liśćmi i korzeniami.

Kiedy podeszli bliżej stada, Ayla zobaczyła dwa młode i uśmiechnęła się na ten widok. Przypominały jej Whinney, kiedy była źrebakiem. W tym momencie Wilk szczeknął, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

- No dobrze, Wilk. Jeśli chcesz pogonić te... onagery - wymówiła nieznane słowo powoli, żeby przywyknąć do dźwięku - to jazda! - Była zadowolona z postępów swojej tresury, ale Wilk nadal nie lubił długo stać w jednym miejscu. Zbyt pełen był szczenięcego wigoru i ciekawości. Szczeknął i puścił się za stadem. Zwierzęta poderwały się z przestachem i odbiegły szybkim galopem, zostawiając wkrótce młodego przyszłego myśliwego daleko w tyle. Dogonił Aylę i Jondalara, kiedy zbliżali się do szerokiej doliny.

Chociaż doliny rzek, niosących osad z ulegających powolnej erozji gór, nadal przecinały ich drogę, teren obniżał się z wolna ku niecce delty Wielkiej Rzeki Matki i Morzu Czarnemu. W miarę posuwania się na południe wchodzili w strefę pełnego lata i ciepłe wiatry, spowodowane przejściowymi atmosferycznymi niżami znad morza, przyczyniały się do wzrostu temperatury i zmian pogodowych.

Nie wkładali już wierzchniej odzieży, nawet rankami. Ayla uważała, że najlepiej podróżuje się w chłodnym, rześkim powietrzu poranka. Późnym popołudniem było gorąco, goręcej niż zwykle, i marzyła wówczas o popływaniu w miłym, chłodnym strumieniu. Zerknęła na jadącego przed nią mężczyznę. Był nagi do pasa, z gołymi nogami; miał na sobie tylko przepaskę na biodra. W jego długich blond włosach, związanych rzemykiem na karku, widziała pasma wybielone od słońca, ale i pociemniałe tam, gdzie zwilżył je pot.

Od czasu do czasu dostrzegała jego gładko wygoloną twarz. Podobały jej się silnie zarysowane szczęki i wystający podbródek, chociaż nadal dziwił ją trochę widok dorosłego mężczyzny bez brody. Wyjaśnił jej kiedyś, że na zimę lubi zapuszczać brodę, aby grzała mu twarz, ale zawsze obcina ją na lato, dla ochłody. Używał specjalnego krzemienno ostrza, które sam zrobił, żeby się ogolić każdego ranka.

Również Ayla zrzuciła wszelkie okrycie poza krótkim strojem, wzorowanym na przepasce biodrowej Jondalara. W zasadzie była to niewielka płachta skóry przełożona między nogami i związana rzemieniem w pasie. Tylny koniec stroju Jondalar zapchał za pas, przedni wypuścił w formie krótkiej klapy. Kawałek skóry okrywający Aylę był dłuższy, a oba jego końce, puszczone wolno i ściągnięte po bokach, wisały luźno z przodu i z tyłu jak fartuch. W rezultacie powstał rodzaj krótkiej, otwartej po bokach spódniczki. Na miękkiej skórze można było siedzieć, co ułatwiało długie godziny jazdy na spoconym koniu, podobnie jak płachta na grzbiecie zwierzęcia.

Na szczycie wysokiego wzgórza Jondalar sprawdził, gdzie są. Był zadowolony z tempa jazdy, co złagodziło jego niepokoje związane z podróżą. Ayla zauważyła, że jest bardziej odprężony. Po części przyczyną tego był fakt, że coraz lepiej opanowywał sztukę jazdy na młodym ogierze. Chociaż już wcześniej często jeździł na koniu, ta długa podróż dawała mu nieustanny kontakt z Zawodnikiem i pomagała w zrozumieniu charakteru, upodobań i obyczajów ogiera, pozwalała również koniowi poznać swego jeźdźcę. Nawet muskuły mężczyzny nauczyły się przystosowywania do ruchów zwierzęcia i trzymał się na koniu w sposób dla nich obu wygodniejszy.

Ayla miała jednak wrażenie, że jego łatwa, odprężona jazda wskazuje na coś więcej niż większą sprawność na grzbiecie końskim. Poruszał się z mniejszym napięciem i czuła, iż mniej się niepokoi. Chociaż nie widziała jego twarzy, zgadywała, że zmarszczki niepokoju zniknęły i że się uśmiecha. Lubiała, kiedy się uśmiechał i był wesoły. Obserwowała sposób, w jaki jego muskuły grają pod opaloną skórą, kiedy dopasowywał się do biegu Zawodnika spokojnymi ruchami w górę i w dół, i poczuła żar ciepła nie spowodowanego temperaturą powietrza... Uśmiechnęła się do siebie. Uwielbiała na niego patrzeć.

Na zachodzie nadal widać było wznoszące się w oddali purpurowe góry, zwieńczone lśniąca białą, która przebijała przez wiszące poniżej ciemne chmury. Nieczęsto widywali lodowe szczyty i Jondalar cieszył się z tej rzadkiej przyjemności. Na ogół były schowane za niskimi, mglistymi chmurami, które wisiały jak miękkie, białe futra okrywające połyskującą tajemnicę, i rozchyłały się tylko na tyle, by ukazać ją na moment i uczynić tym bardziej nęcącą.

Jemu także było gorąco i pragnął być bliżej tych ośnieżonych szczytów górskich, a przynajmniej bliżej osiedla Sharamudoi. Kiedy jednak zauważył odbłask wody w dolinie poniżej i spojrzął na niebo, by sprawdzić położenie słońca, uznał, że równie dobrze mogą się tu zatrzymać na noc, chociaż było jeszcze dość wcześnie. Podróżowali w szybszym tempie, niż to przedtem oceniał, a nie wiedział, gdzie znajdują kolejne źródło wody.

Na zboczu rosły liczne trawy, przede wszystkim ostnica, kostrzewa i zioła zmieszane z różnorodnymi łatwo siejnymi gatunkami jednorocznymi. Gruba warstwa lessowego podglebia, przykrytego czarnym, żyznym iłem, wzbogaconym próchnicą z obumarłych roślin, sprawiła, że rosły tu również drzewa, co - nie licząc karłowatych sosen, którym wystarczała podskórna woda - było rzadkością na stepach w tej okolicy. Schodzili ze stoku rzadkim lasem brzoź i modrzewi - drzew iglastych, zrzucających na zimę swoje igły. Nieco niżej natknęli się na olchy i wierzbę. U podstawy zbocza, gdzie grunt wyrównywał się w pewnej odległości od szmerzącej wody, Ayla ze zdziwieniem zobaczyła kilka karłowatych dębów, buków i lip rosnących na otwartej przestrzeni. Nie widziała takiej liczby drzew liściastych od opuszczenia jaskini klanu B runa na dobrze nawodnionym południowym krańcu półwyspu, który wcinał się w Morze Czarne.

Mała rzeczka wiła się wśród krzewów po płaskim dnie doliny, a jedna jej pętla dochodziła blisko kilku wysokich, smukłych wierzb u stóp gęściej porośniętego drzewami zbocza po drugiej stronie. Na ogół woleli przeprowiać się przez rzeki przed rozbiciem obozu, żeby nie trzeba było moczyć ubrań zaraz po wyruszeniu rano, więc zdecydowali, że właśnie tam rozłożą się obozem. Pojechali w dół rzeki, szukając dobrego miejsca do przeprawy, znaleźli szeroki kamienny bród i już drugą stroną zawrócili do wierzb.

Podczas rozbijania namiotu Jondalar przyłapał się na obserwowaniu Ayli, jej ciepłego, opalonego ciała, i pomyślał, że ma dużo szczęścia. Była nie tylko piękna - jej siła, giętkość, gracia, pewność ruchów, to wszystko sprawiało mu przyjemność - ale była także dobrym towarzyszem, na równi z nim dzieląc trudy i ułatwiając podróż. Chociaż czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo i chciał ją ochraniać, cieszył się, że może na niej polegać. Pod pewnymi względami podróżowanie z Ayla przypominało podróżowanie z bratem. Również nad Thonolanem roztoczył opiekę. W jego charakterze leżało opiekowanie się tymi, których kochał.

Ale tylko pod pewnymi względami. Kiedy młoda kobieta podniosła ręce, żeby strzepnąć podłogową płachtę, zauważył, że skóra u spodu okrągłych piersi była jaśniejsza, i naszła go chęć, żeby porównać ten kolor z jej brązowym przedramieniem. Nie myślał, że się gapi, ale przestała pracować i odwróciła się ku niemu. Kiedy ich wzrok się spotkał, Ayla uśmiechnęła się.

Nagle poczuł chęć zrobienia czegoś więcej niż porównywanie tonów opalenizny. Cieszyła go świadomość, że gdyby chciał mieć z nią przyjemności w tej właśnie chwili, byłaby chętna. Także to dawało komfortowe uczucie. Nie musiał chwycić się każdej nadarzającej się okazji. Chęć była silna, ale pośpiech nie był potrzebny, a czasami czekanie jeszcze wzmacniało odczucia. Mógł myśleć o tym i cieszyć się oczekiwaniem. Jondalar odpowiedział jej uśmiechem.

Po rozbiciu obozu Ayla chciała zbadać dolinę. Tak gęsto zalesiona przestrzeń pośrodku stepów była czymś niezwykłym, i Ayla była jej ciekawa. Od lat nie widziała takiej roślinności.

Również Jondalar chciał się rozejrzeć. Po doświadczeniu z niedźwiedziem w obozowisku opodal zagajnika chciał sprawdzić tropy zwierząt, które mogą być w okolicy. Ayla wzięła procę i kosz zbieraczy, Jondalar miotacz i parę oszczepów i poszli w kierunku wierzb. Konie zostawili, żeby się pały, ale Wilk chciał im towarzyszyć. Także dla niego las był niezwykłym, pełnym fascynujących woni miejscem.

Nieco dalej od wody wierzby ustąpiły miejsca olchom, a potem częściej trafiały się brzozy przemieszane z modrzewiami. Znaleźli też kilka sporych sosen. Ayla zorientowała się, że to pinie, i z zapalem podniosła kilka szyszek ze względu na ich duże, smaczne orzeszki. Bardziej jednak niezwykle były rosnące tu i ówdzie drzewa o dużych liściach. W jednym miejscu, jeszcze na dnie doliny, lecz już blisko pochyłości zbocza, rosło kilka buków.

Ayla obejrzała je uważnie, porównując z podobnymi drzewami, rosnącymi niedaleko jaskini jej dzieciństwa. Korę miały gładką i szarą, owalne liście zwężające się w szpic, z płytkimi, ostrymi ząbkami wokół krawędzi i jedwabiście białym spodem. Małe, brązowe orzechy, zamknięte w szczeciniastych łupinach, jeszcze nie dojrzały, ale zeszlóroczna bukiew na ziemi wskazywała na wydajność drzewa. Wiedziała, że trudno rozbić orzechy bukowe. Drzewa nie były tak duże jak te, które pamiętała, ale dość pokaźne. Nagle zauważyła niezwykłą roślinę pod drzewami i przyklękła, żeby się jej bliżej przyjrzeć.

- Chcesz je zerwać? - spytał Jondalar. - Chyba są martwe. Nie mają żadnych liści.

- Nie są martwe. Tak właśnie rosną. Tutaj, popatrz, jakie są świeże - odparła Ayla i odłamała kawałek z ponadtrzydziesto-centymetrowej, gładkiej i bezlistnej łodygi, z której wyrastały na całej długości smukłe odgałęzienia. Cała roślina była matowo-czerwonawa, włącznie z pąkami kwiatów, bez cienia choćby zieleni.

- One rosną z korzeni innych roślin - powiedziała Ayla. - Jak te, których Iza używała do przemywania moich oczu, kiedy płakałam, chociaż tamte były białe i jakby błyszczące. Niektórzy ludzie się ich bali, bo ich kolor przypomina skórę martwego człowieka. Nawet miały taką nazwę. - Zastanowiła się przez chwilę. - Coś jak roślina zmarłego albo trupia roślina.

Zapatrzyła się przed siebie i wspominała:

- Iza myślała, że mam słabe oczy, bo wilgotniały, i bardzo się tym martwiła. Brała taką świeżą, białą trupią roślinę i wyciskała sok z łodygi prosto do moich oczu. Jeśli były obolałe od długiego płaczu, to zawsze pomagało. - Milczała przez chwilę i lekko potrząsnęła głową. - Nie jestem pewna, czy te są dobre na oczy. Iza używała ich na ranki i siniaki oraz na niektóre narośle.

- Jak się nazywają?

- Myślę, że w przekładzie nazwa byłaby... Jak twoi ludzie nazywają to drzewo, Jondalarze?

- Nie jestem pewien. Chyba nie rosną w naszej okolicy, ale Sharamudoi nazywają je "buk".

- No to ich nazwa powinna być "bukowe krople" - powiedziała, wstając i otrzepując ręce z pyłu.

Wilk zamarł nagle z nosem skierowanym w głąb lasu. Jondalar zobaczył jego postawę i pamiętając, jak Wilk wywęszył niedźwiedzia, sięgnął po oszczep. Włożył go w wyżłobienie miotacza oszczepów, ukształtowanego kawałka drewna długości równej połowie drzewca, który trzymał poziomo w prawej ręce. Wpasował wgłębienie na końcu oszczepu w haczyk wycięty u końca miotacza. Przełożył palce przez dwie pętle z przodu przyrządu, żeby przytrzymać leżący na miotaczu oszczep. Wszystko to zrobił szybko, jednym płynnym ruchem, i stanął na lekko ugiętych kolanach, gotowy do rzutu. Ayla sięgnęła po kamienie i szybko przygotowała procę, żałując, że nie zabrała swojego miotacza.

Czołgając się przez skąpe podszycie, Wilk zrobił nagle wypad w kierunku jednego z drzew. Leżąca na ziemi bukwiną gwałtownie się poruszyła i małe zwierzątko zaczęło się szybko wspinać po gładkim pniu. Stojąc na zadnich łapach, jakby też chciał się drapać na drzewo, Wilk oszczekiwał kosmate stworzonko.

Nagle uwagę ich przyciągnęło zamieszanie wysoko na gałęziach drzewa. Dojrzeli ciepłobrazowe futro i podłużny, węzowy kształt kuny w pogoni za głośno skrzeczącą wiewiórką, która sądziła, że właśnie uciekła przed niebezpieczeństwem. Nie tylko Wilk uważał wiewiórkę za wartą zainteresowania, ale duże, łasicowate zwierzę blisko półmetrowej długości, z puszystym ogonem, który dodawał mu jeszcze trzydzieści centymetrów, miało znacznie większe szansę powodzenia. Pędząc przez wysokie gałęzie, było równie zwinne jak jego upatrzona ofiara.

- Myślę, że ta wiewiórka przeskoczyła z pojemnika do gotowania w ognisko - powiedział Jondalar, obserwując rozgrywający się dramat.

- Może ucieknie.

- Wątpię. Nie założyłbym się nawet o złamane ostrze. Wiewiórka głośno skrzeczała. Podniecony ochrypły skrzek sójki dołączył się do zamieszania, a potem sikorka bojowo oznajmiła o swojej obecności. Wilk nie mógł tego wytrzymać, musiał się włączyć. Odchylił łeb do tyłu i zawył przeciągle. Mała wiewiórka wdrapała się na koniec konaru i, ku zdumieniu obserwujących ludzi, skoczyła w powietrze. Rozstawiła łapy, rozpostarła szeroki płat skóry, który rozciągnął się wzdłuż obu stron jej ciała, łącząc przednie i tylne łapy, i poszybowała w powietrzu.

Ayla patrzyła z zapartym tchem, jak latająca wiewiórka omijała gałęzie i drzewa. Puchaty ogon służył jej jako ster, a przez zmianę pozycji łap i ogona, co zmieniało naprężenie membrany poślizgowej, wiewiórka potrafiła omijać zagrażające jej drodze obiekty i ześlizgiwała się w dół pod łagodnym kątem. Jej celem było rosnące w pewnej odległości drzewo i kiedy była już blisko, skierowała ogon i ciało ku górze i wylądowała nisko na pniu, po czym szybko wspięła się w górę. Kiedy dotarła do wysokich gałęzi, zawróciła i znowu zbiegła w dół z łebkiem do przodu i rozczapierzonymi pazurkami wbitymi w korę jak kotwice. Rozejrzała się dookoła i zniknęła w małej dziupli. Dramatyczny skok i powietrzne szybowanie uratowały ją, ale nawet tak zdumiewający wyczyn nie zawsze kończył się powodzeniem.

Wilk nadal stał na zadnich łapach i szukał na drzewie wiewiórki, która tak łatwo mu uciekła. Opadł na cztery łapy, zaczął węszyć poszycie i nagle popędził za czymś innym.

- Jondalarze! Nie wiedziałam, że wiewiórki umieją latać - powiedziała Ayla z uśmiechem zdumionego zachwyty.

- Powinienem być się jednak założyć, ale też tego nigdy przedtem nie widziałem, chociaż słyszałem o nich. Chyba jednak nie bardzo w to wierzyłem. Ludzie zawsze opowiadali o wiewiórkach latających w nocy i sądziłem, że prawdopodobnie był to nietoperz, którego ktoś pomylił z wiewiórką. Ale to tutaj zdecydowanie nie było nietoperzem. - Z krzywym uśmiechem dodał: - Teraz ja będę jednym z tych, którym nikt tak naprawdę nie wierzy, że widzieli latające wiewiórki.

- Cieszę się, że to była tylko wiewiórka - powiedziała Ayla, którą nagle przeszedł dreszcz. Spojrzała w niebo i zobaczyła, że duża chmura nasuwała się na słońce. Dreszcz przeszedł jej po plecach, chociaż nie było właściwie zimno. - Nie wiedziałam, co Wilk wywęszył tym razem.

Czując się trochę głupio, że tak ostro zareagował na wyimaginowane niebezpieczeństwo, Jondalar poluzował uchwyt miotacza, ale nadal go trzymał.

- Myślałem, że to może być niedźwiedź. Szczególnie że las jest taki gęsty.

- Koło rzek zawsze rośnie trochę drzew, ale takich nie widziałam od czasu, jak odeszłam z klanu. Czy to nie jest dla nich dziwne miejsce?

- Jest niezwykle. To miejsce przypomina mi krainę Sharamudoi, ale oni są na południe stąd, jeszcze bardziej na południe niż te góry, które widać na zachodzie, w okolicach Dunaju, Wielkiej Matki Rzeki.

Nagle Ayla zamarła w miejscu. Szturchnęła Jondalara i w milczeniu wskazała ręką. Z początku nie wiedział, co zwróciło jej uwagę, ale po chwili zauważył lekki ruch rudego futra i zobaczył rozgałęzione poroże sarny. Zamieszanie i woń wilka przykuły małe zwierzę w jednym miejscu. Stało bez ruchu, schowane za krzewami i czekało, żeby zobaczyć, czy należy się obawiać tego drapieżnika. Kiedy czworonożny myśliwy odbiegł, ostrożnie zaczęło się wycofywać. Jondalar nadal trzymał w ręku miotacz z oszczepem. Podniósł go powoli, wycelował i cisnął oszczep w podgardle sarny. Niebezpieczeństwo, którego się bała, przyszło z niespodziewanej strony. Silnie rzucony oszczep sięgnął celu. Sarna próbowała jeszcze odskoczyć, zrobiła kilka chwiejnych kroków i runęła na ziemię.

Ucieczka wiewiórki i nieudany pościg kuny poszły w zapomnienie. Jondalar kilkoma susami dopadł sarny, a Ayla tuż za nim. Podczas gdy Ayla trzymała łeb, Jondalar przyklęknął obok wciąż walczącego o życie zwierzęcia i przeciął mu gardło ostrym nożem, żeby szybko zakończyć jego mękę i upuścić krew. Wstał.

- Sarno, kiedy twój duch powróci do Wielkiej Matki Ziemi, podziękuj jej, że dała nam zwierzę twojego rodzaju, abyśmy mogli jeść - powiedział cichym głosem.

Stojąca obok Ayla przytaknęła, a potem pomogła mu obdrzeć ze skóry i poćwiartować ich obiad.

ROZDZIAŁ 7

- Strasznie nie chcę zostawiać tej skóry. Jest zawsze taka miękka po wyprawieniu - powiedziała Ayla, wkładając ostatnie kawałki mięsa do torby. - A widziałeś futro tej kuny?

- Nie mamy czasu na wyprawianie skór i nie możemy zabrać ze sobą więcej, niż już mamy - odparł Jondalar. Montował trójnóg z pali, na którym miała zawisnąć torba z mięsem.

- Wiem, ale i tak nie chcę tego zostawiać.

Zawiesili torbę z mięsem; Ayla spojrzała w kierunku ogniska, myśląc o jedzeniu, które właśnie się tam gotowało, chociaż nie było tego widać. Gotowało się w ziemnym piecu, w dole wykopanym w ziemi i wyłożonym gorącymi kamieniami, w który włożyła sarninę posypaną ziołami razem z grzybami, zawijkami paproci orlicy i kłęczami pałki, jakie zebrała wcześniej, a wszystko owinięte w liście podbiału. Na to nałożyła więcej rozgrzanych kamieni i przykryła warstwą ziemi. Potrwa trochę, zanim będzie gotowe, ale cieszyła się, że zatrzymali się dość wcześnie - i mieli dość szczęścia, żeby upolować świeże mięso - by je w ten sposób ugotować. To była jej ulubiona metoda gotowania, ponieważ mięso nabierało wówczas zapachu i miękkości.

- Gorąco mi. Powietrze jest ciężkie i wilgotne. Idę się ochłodzić - oznajmiła. - Umyję także głowę. Widziałam tu niedaleko mydlnicę. Też się wykąpiesz?

- Tak, chętnie. Może nawet też umyję głowę, jeśli znajdziesz dość mydlnicy, żeby starczyło i dla mnie - powiedział Jondalar z oczyma przymrużonymi w uśmiechu i podniósł pasmo przetłuszczonych włosów, które spadło mu na czoło.

Poszli razem szerokim, piaszczystym brzegiem rzeki. Wilk pobiegł za nimi, wpadając w pobliskie zarośla, badając nowe zapachy. Potem popędził naprzód i zniknął za zakrętem.

Jondalar zobaczył ślady kopyt końskich i łap wilczych, które zostawili wcześniej.

- Zastanawiam się, czy ktokolwiek jeszcze zostawia takie ślady?

- Jak byś je odczytał?

- Gdyby ślady Wilka były wyraźne, powiedziałbym, że wilk tropi dwa konie, ale w kilku miejscach widać wyraźnie, że odcisk konia jest na odcisku wilka, nie mógł więc iść za nimi. Idzie z nimi. To by zbiło myśliwego z tropu - powiedział.

- Nawet gdyby ślady Wilka były wyraźne, zastanawiałabym się, dlaczego wilk idzie za parą koni. Ślady pokazują, że oba są silne i zdrowe, ale popatrz na te odciski, jakie są głębokie, i na układ kopyt. Widać, że konie niosą ciężar - powiedziała Ayla.

- To także zbiłoby myśliwego z tropu.

- O, tutaj są - powiedziała Ayla na widok dość wysokich roślin z różowymi kwiatami i liśćmi w kształcie grotów do oszczepów, które zauważyła wcześniej. Za pomocą kija-kopaczki szybko poluzowała wiele korzeni i wyrwała je.

W drodze powrotnej szukali płaskiego kamienia lub twardego kawałka drewna oraz okrągłego kamienia, żeby zmiażdżyć mydlnicę i upuścić saponiny, pieniące się w wodzie w czyszczące mydliny. Przy zakręcie w górze rzeki, ale niezbyt daleko od obozowiska, mała rzeka wypłukała basen, w którym woda sięgała do pasa. Była zimna i odświeżająca. Po umyciu się poszli zbadać kamienistą rzekę, pływając i brodząc pod prąd, aż zatrzymał ich spieniony wodospad i szybkie bystrzyny tam, gdzie dolina zwężała się, a jej zbocza stawały bardziej strome.

Przypomniało to Ayli rzeczkę w jej dolinie, z jej pieniącym się, rozpryskującym wodospadem, który blokował drogę w górę rzeki, chociaż reszta okolicy przypominała jej bardziej górskie zbocza wokół jaskini, gdzie wyrosła. Tam też był wodospad, ale spokojniejszy, spadający po omszałych kamieniach, nieopodal małej jaskini, którą uznała za swoją własność i w której wiele razy szukała schronienia.

Pozwolili się znieść prądowi wody, opryskując się wzajemnie i zaśmiewając przez całą drogę. Ayla kochała dźwięk śmiechu Jondalara. Chociaż nie szczędził uśmiechów, śmiał się rzadko, zachowując na ogół powagę, ale kiedy się roześmiał, był to taki serdeczny śmiech, że aż zaskakiwał.

Było nadal ciepło, kiedy wyszli z rzeki i wytarli się. Ciemna chmura, którą Ayla zauważyła przedtem, zniknęła z nieba nad nimi, ale słońce obniżało się ku ciemnej masie obłoków wiszących na zachodzie, których ociążały ruch podkreślały jeszcze poszarpane pasma poniżej, szybko płynące w odwrotnym kierunku. Kiedy ognista kula zajdzie za ponure chmury spiętrzone powyżej zachodniego pasma górskiego, ochłodzi się szybko. Ayla rozejrzała się za koźmi i zobaczyła je na otwartej łące na zboczu, w pewnej odległości od obozu, ale w zasięgu jej gwizdu. Wilka nie było widać; uznała, że nadal buszuje wzdłuż biegu rzeki.

Wyjęła grzebień o długich zębach, zrobiony z kości słoniowej, i szczotkę z szorstkiej szczeciny mamuta, które dostała od Deegie, wyciągnęła śpiwory z namiotu i rozpostarła je na ziemi, żeby na nich siedzieć podczas czesania włosów. Jondalar usiadł obok i też zaczął się czesać trójzębnym grzebieniem, męcząc się ze splątanymi włosami.

- Pozwól mnie, Jondalarze - powiedziała, klękając za nim. Czesła jego długie, splątane włosy, trochę jaśniejsze od swoich, i podziwiała ich kolor. Kiedy była mała, jej włosy były niemal białe, ale z czasem pociemniały i teraz przypominały kolorem popielatozłoty odcień sierści Whinney.

Jondalar przymknął oczy, kiedy Ayla zajmowała się jego włosami, ale czuł jej ciepło za plecami i od czasu do czasu dotyk nagiej skóry. Zanim skończyła czesanie, było mu gorąco nie tylko od słońca.

- Teraz moja kolej - powiedział i wstał, żeby usiąść za nią. Najpierw chciała się sprzeciwić. Nie było to konieczne. Nie musiał czesać jej włosów tylko dlatego, że ona uczesała jego, ale kiedy uniósł jej gęste włosy z karku i przesunął przez nie palce, jakby w pieszczocie, zgodziła się.

Jej lekko kręcące się włosy łatwo się plątały, ale cesał ostrożnie, bez szarpania. Potem szczotkował je, aż stały się gładkie i prawie suche. Zamknęła oczy z uczuciem dziwnego, dygoczącego zachwytu. Iza czesała jej włosy, kiedy była małą dziewczynką, rozplątując je delikatnie długim, gładkim, zaostrzonym patykiem, ale nigdy nie robił tego żaden mężczyzna. Czesząc ją, Jondalar dawał jej poczucie, że jest kochana i otoczona opieką.

A on odkrył, że czesanie i szczotkowanie jej włosów sprawia mu przyjemność. Ich ciemnozłoty kolor przywodził na myśl dojrzałą trawę, lecz tu i ówdzie widoczne były niemal białe, wyblakłe od słońca pasma. Kiedy skończył, odłożył szczotkę, podniósł lekko wilgotne sploty, odsunął je i zaczął całować jej ramiona i kark.

Ayla nie otworzyła oczu. Jego gorący oddech i miękkie wargi, które przesunął delikatnie po jej skórze, lekko ją łaskotały. Pieścił jej kark i ramiona, a potem sięgnął do piersi, podniósł je i poczuł w dłoniach ich przyjemny ciężar i jędrne, wzniesione sutki.

Kiedy przechylił się, żeby pocałować ją w szyję, Ayla uniosła głowę i lekko się odwróciła. Poczula jego gorący, sztywny organ przyciśnięty do swych pleców. Odwróciła się do tyłu i wzięła go w dłonie, ciesząc się miękkością skóry, która pokrywała ten ciepły, twardy trzon. Poruszała dłońmi w górę i w dół, a Jondalara przebiegł dreszcz; wrażenia zwielokrotniły się bezmiernie, kiedy poczuł otaczającą go ciepłą wilgoć jej ust.

Z jękiem zamknął oczy pod wpływem wstrząsu. Potem otworzył je, by na nią spojrzeć, i ręka sama mu się wyciągnęła do miękkich, pięknych włosów, rozsypanych na jego kolanach. Kiedy wciągnęła go głębiej, myślał przez moment, że nie potrafi się opanować i skończy natychmiast. Ale chciał czekać, pragnął rozkoszy dawania jej przyjemności. Uwielbiał to robić i wiedział, że potrafi. Byłby niemal gotów zrezygnować z własnych przyjemności, by dać je jej...

Nie wiedząc, jak to się stało, Ayla znalazła się na plecach na wierzchu śpiwora, Jondalar leżał wyciągnięty obok niej. Całował ją. Rozchyliła wargi na tyle tylko, by przyjąć jego język, i objęła go. Lubiła to uczucie, kiedy jego wargi mocno spoczywały na jej ustach, a język badał delikatnie wnętrze. Odsunął się i spojrzał na nią.

- Kobieto, czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

Wiedziała, że to prawda. Widziała to w jego oczach, błyszczących, niebieskich oczach, które pieściły spojrzeniem i potrafiły wywołać w niej dreszcze nawet na odległość. Jego oczy wyrażały uczucia, które tak bardzo starał się opanowywać.

- Wiem, jak bardzo ja kocham ciebie - odpowiedziała Ayla.

- Nadal trudno mi uwierzyć, że jesteś tutaj ze mną, a nie na Letnim Spotkaniu, złączona z Ranekiem. - Na myśl o tym, jak bliski był utraty jej na rzecz czarującego ciemnoskórego rzeźbiarza kości słoniowej, przycisnął ją nagle do siebie w gorączkowej potrzebie.

Obejmowała go, też pełna wdzięczności, że ich długa zima nieporozumień wreszcie się skończyła. Naprawdę kochała Raneca - był dobrym człowiekiem i byłby dobrym towarzyszem życia - ale nie był Jondalarem, a jej miłość do wysokiego mężczyzny, który trzymał ją teraz w ramionach, przekraczała wszystko inne.

Jego przerażenie na myśl o możliwości utraty jej zbladło i pod wpływem ciepłego ciała przytulonego do niego zastąpiło je równie silne pożądanie. Zaczął obsypywać pocałunkami kark, ramiona i piersi dziewczyny, jakby nie mógł dość się jej nadotykać.

Zatrzymał się i głęboko zaczerpnął oddechu. Chciał, żeby to trwało, i chciał użyć swoich umiejętności, żeby dać jej z siebie wszystko to, co najlepsze - a umiejętności miał niemałe. Nauczyła go tego kobieta znająca się na rzeczy, a uczyła go z większą miłością, niż miała prawo odczuwać. Chciał, by była z niego zadowolona, i był gorliwym uczniem. Nauczył się tak dobrze, że wśród jego ludzi krążył dowcip: mówiono o nim, że był mistrzem dwóch rzemiosł; tym drugim było łupanie krzemienia.

Jondalar patrzył na Aylę, słuchał jej oddechu, rozkoszował się widokiem jej pełnych kobiecych kształtów, jak i samym faktem jej istnienia. Jego cień padł na nią, przesłaniając blask słońca. Ayla otworzyła oczy. Jaskrawe promienie przeświecały przez jego jasne włosy, okalając jego zacienioną twarz złotawą otoczką. Pragnęła go, była gotowa na jego przyjęcie, ale kiedy uśmiechnął się i pochylił, żeby pocałować jej pępek, znowu zamknęła oczy i poddała mu się, wiedząc, czego chciał, i znając przyjemność, jaką potrafił jej dać.

Trzymał jej piersi, a potem powoli przesunął rękę wzdłuż jej boku, do wcięcia tali i dalej przez bujną wypukłość biodra, aż do uda. Dygotała od jego dotyku. Przesunął rękę w górę po wewnętrznej stronie jej uda, czując wyjątkową delikatność skóry, i poprzez sprężyste, jasne loki jej wzgórka. Pieścił brzuch, pochylił się, by pocałować pępek, zanim znowu sięgnął do piersi i całował oba sutki. Jego ręce były jak delikatne ognie, dawały ciepło i cudowne uczucie, a zostawiały za sobą palące podniecenie. Znowu ją pieścił, a jej skóra zapamiętywała każde miejsce, którego dotknął.

Pocałował jej usta i ostrożnie, powoli całował oczy, policzki i podbródek, a potem odetchnął ciepłym powietrzem w jej ucho. Jego język znalazł wgłębienie u nasady szyi i powędrował w dół, między piersi. Wziął każdą z piersi w rękę i ścisnął je razem, zachwycając się ich pełnością, lekko słonym smakiem i dotykiem skóry; jego pożądanie wzrastało. Językiem połaskotał jedną brodawkę, a potem drugą. Ayla poczuła głęboko pulsującą falę, kiedy wziął w usta jeden z sutków, zaczął badać go językiem, naciskając, ciągnąc, lekko przygryzając, a potem sięgnął ręką po drugi.

Przyłgnęła do niego, zatraciła się w odczuciach przesywających jej ciało i narastających w miejscu przyjemności, głęboko we wnętrzu. Gorącym językiem znowu znalazł jej pępek, okrążywszy go, prześlizgnął się niżej do miękkiego, kręconego puchu jej wzgórka, a potem na moment do jej gorącej szpary i twardego centrum jej przyjemności. Uniosła biodra ku niemu i krzyknęła.

Ułożył się między jej nogami i rozsunął je rękoma, żeby popatrzeć na jej ciepły, różowy kwiat z płatków i fałd. Pochylił się, żeby posmakować - znał jej smak i uwielbiał go - a potem już bez opanowania rozkoszował się badaniem jej. Jego język znajdował znajome fałdy, sięgał do jej głębokiej studni i sięgał wyżej, do małego, twardego wzgórka.

Kiedy przesuwiał po nim językiem, ssąc i przygryzając, wykrzykiwała raz za razem, oddychała coraz szybciej, czując narastające wewnątrz napięcie. Wszystkie odczucia były zwrócone do środka, nie było wiatru, słońca, tylko wzrastająca wrażliwość zmysłów. Wiedział, że to nadchodziło, i chociaż z trudem się opanowywał, zwolnił i odsunął się w nadziei, że to przeciągnie, ale sięgnęła po niego, niezdolna do dalszego czekania. W miarę jak się zbliżało, rosło, ścisnęło w oczekiwaniu, słyszał jej jęki rozkoszy.

I nagle przyszło, dosięgnęły ją potężne, dygoczące fale i ogarnięta nimi krzyknęła. Wybuchnęła w spazmie wyzwolenia, wraz z którym przyszło nie dające się opisać pragnienie, żeby mieć w sobie jego męskość. Sięgnęła po niego i próbowała go przyciągnąć.

Poczuł przyływ wilgoci i czując jej potrzebę, uniósł się, ujął swój gorliwy trzon i wprowadził go do jej głębokiej i zapraszającej studni. Poczuła, jak wchodził, i uniosła mu się na spotkanie w tym samym momencie, w którym się zanurzał. Jej ciepłe fałdy objęły go, a on wszedł głęboko, nie obawiając się, że jego wielkość może być dla niej zbyt duża. To, że pasowała do niego, też składało się na cud jej istnienia.

Wysunął się, czerpiąc rozkosz z tego ruchu, i bez żadnych już hamulców wszedł znowu, głęboko, podczas gdy ona unosiła się ku niemu. Niemal osiągnął szczyt, ale intensywność odczuć zmalała i wysunął się jeszcze raz, a potem pchnął znowu, i znowu, i znowu, czując, jak nabrzmiewa coraz bardziej za każdym pchnięciem.

Usłyszała jego ciężki oddech, i swój własny, ich krzyki zmieszały się. Wykrzyknął jej imię, podniosła mu się na spotkanie i z wielkim, przelewającym się wybuchem oboje poczuli wyzwolenie równe intensywnością gorejącemu słońcu, które rzucało ostatnie jaskrawe promienie w dolinę i opadło za ciężkie, obramowane złotym blaskiem chmury.

Po jeszcze kilku ruchach odprężył się, leżąc na niej i czując pod sobą jej krągłe kształty. Zawsze uwielbiała ten moment. Nie wydawał się ciężki; to był tylko cudowny ucisk i bliskość, które dawały jej ciepło w czasie odpoczynku.

Nagle gorący jęzor zaczął lizać ją po twarzy, a zimny nos wpakował się między ich ciała.

- Idź sobie, Wilk - powiedziała, odpychając zwierzę. - Idź sobie, odejdz stąd.

- Wilk, odejdz! - odezwał się szorstko Jondalar, również odpychając zimny nos, ale nastrój prysnął. Podniósł się z Ayli i przetoczył na bok. Był odrobinę zirytowany, ale nie mógł naprawdę się rozżłościć; czuł się na to zbyt wspaniale.

Unosząc się na łokciu, Jondalar spojrzał na zwierzę, które cofnęło się o kilka kroków i przysiadło na zadzie, obserwując ich i ziejąc z wywieszonym jęzorem. Byłby skłonny przysiąc, że Wilk szczerzył do nich zęby w uśmiechu i sam uśmiechnął się do ukochanej kobiety.

- Nauczyłaś go pozostawać w miejscu. Czy myślisz, że potrafisz go nauczyć oddalać się, kiedy tego zechcesz?

- Na pewno spróbuję.

- Z Wilkiem jest dużo roboty - stwierdził Jondalar.

- Hmm, tak, kosztuje to trochę wysiłku, zwłaszcza że jest taki młody. Także konie wymagają cierpliwości, ale są tego warte. Lubię mieć je w pobliżu. Są jak bardzo kochani przyjaciele.

Przynajmniej - myślał mężczyzna - konie dają coś w zamian. Whinney i Zawodnik nosiły ich i ich ładunek; dzięki nim podróż może nie potrwa bardzo długo. Ale poza płoszeniem zwierzyny od czasu do czasu, wkład Wilka był żaden. Jondalar zdecydował jednak, że zachowa te myśli dla siebie.

Gdy słońce skryło się za groźnymi, przewalającymi się po niebie chmurami, barwiąc je na jaskrawoczerwone i fioletowe kolory, w zadrzewionej dolinie prędko zrobiło się chłodno. Ayła wstała i jeszcze raz wskoczyła do wody. Jondalar poszedł w jej ślady. Przed laty, kiedy dorastała, Iza, znachorka klanu, nauczyła ją oczyszczającego rytuału kobiecości, mimo że zastanawiała się, czy jej dziwna i brzydka - nawet ona to przyznawała - adoptowana córka kiedykolwiek będzie tej wiedzy potrzebować. Niemniej jednak uważała to za swój obowiązek i między innymi wyjaśniła jej, jak zadbać o siebie po stosunku z mężczyzną. Podkreśliła, że o ile to tylko możliwe,

oczyszczenie wodą jest szczególnie ważne dla ducha totemu kobiety. Mycie się, niezależnie od tego, jak zimna jest woda, było rytuałem, który Ayla zapamiętała na zawsze.

Wytarli się na nowo i ubrali, włożyli śpiwory z powrotem do namiotu i rozpalili ogień. Ayla usunęła ziemię i kamienie z ziemnego piecyka i drewnianymi szczypcami wydobyła gotową żywność. Jondalar przepakowywał ich ładunki, a Ayla szykowała się do porannego wymarszu, łącznie z przygotowaniem posiłku, który jadali na zimno, poza gorącą ziołową herbatą. Potem włożyła kamienie do ogniska, żeby się zagrzały na zagotowanie wody; często robiła herbatę, zmieniając składniki dla smaku lub ze względu na potrzebę.

Konie przywędrowały do obozowiska wraz z ostatnimi smugami zapadającego słońca, które nadawały niebu kolorów. Na ogół pasły się w nocy, ponieważ tak dużo podróżowały w ciągu dnia, a potrzebowały do życia dużych ilości stepowej trawy. Trawa na łące była jednak wyjątkowo obfita i zielona, a w nocy wołały być bliżej ogniska.

Ayla czekała, aż się kamienie zagrzeją, i przyglądała się dolinie, którą z wolna ogarniał mrok, ledwo rozpoznając w zamierającym świetle to, co zauważyła w ciągu dnia: ostro schodzące zbocza, niemal pod kątem prostym przechodzące w szerokie, płaskie dno doliny z małą rzeczką wijącą się pośrodku. To była kwitnąca dolina i przypominała jej dzieciństwo z klanem, lecz nie podobała się jej. Coś tutaj budziło jej niepokój, który wzmógł się z nadejściem nocy. Czuła się trochę ociężała i nieco bolał ją krzyż, co zdarzało się niekiedy przed jej księżycowym czasem. Chętnie poszłaby na spacer, bo ruch na ogół pomagał, ale było już zbyt ciemno.

Przysłuchiwała się jękom wiatru, jak szumiał w kołyszących się gałęziach wierzb, których sylwetki wyraźnie rysowały się na tle srebrzystych chmur. Księżyc w pełni, w wyraźnej świetlnej otoczce, to chował się za chmurami, to jasno oświetlał pokryte chmurami niebo. Ayla poszła naciąć trochę kory wierzbowej, uznawszy, że pomoże na jej dolegliwości. Zdecydowała się zebrać przy okazji nieco giętkich witek wierzbowych.

W końcu wieczorna herbata była gotowa. Jondalar przyłączył się do Ayli. Nocne powietrze było wilgotne i zimne, dość zimne, by warto było wyjąć zewnętrzne okrycia. Siedzieli przy ognisku i popijali gorący napój. Wilk trzymał się blisko Ayli przez cały wieczór, chodząc za nią krok w krok, a teraz z zadowoleniem zwinął się w kłębek u jej stóp, które grzała przy gorącym płomieniu, jakby miał już dosyć wypraw odkrywczych na jeden dzień. Podniosła długie, cienkie witki wierzbowe i zaczęła je splatać.

- Co robisz? - spytał Jondalar.

- Nakrycie głowy, żeby osłaniało przed słońcem. Bardzo się robi gorąco w środku dnia - wyjaśniła Ayla. Przerwała na chwilę pracę i dodała: - Pomyślałam, że by ci się przydało.

- To dla mnie? - spytał z uśmiechem. - Skąd wiedziałaś, że marzyłem dzisiaj o czymś, co by mnie osłoniło od słońca?

- Kobieta klanu uczy się odgadywać potrzeby swojego mężczyzny. A ty jesteś moim mężczyzną, prawda?

Odpowiedział jej z uśmiechem:

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, moja kobieto klanu. I oznajmimy to wszystkim Zelandoni na Ceremonii Zaślubin na pierwszym Letnim Spotkaniu, na którym będziemy. Ale jak można odgadywać potrzeby? I dlaczego kobieta klanu musi się tego nauczyć?

- To nie jest trudne. Musisz tylko myśleć o tym drugim człowieku. Dzisiaj było gorąco i pomyślałam o zrobieniu nakrycia głowy... kapelusza od słońca... dla mnie, więc wiedziałam, że tobie też musi być gorąco - powiedziała, podnosząc kolejną witekę wierzbową, żeby wpleść ją w szeroki, stożkowy kapelusz, który zaczynał nabierać kształtu. - Mężczyźni klanu nie lubią prosić o cokolwiek, szczególnie o rzeczy dla własnej wygody, więc kobieta musi uprzedzać życzenia mężczyzny. On ją ochrania przed niebezpieczeństwami; a to jest jej sposób ochraniać ją, ego, upewnienie się, że ma właściwą odzież i dobre pożywienie. Ona nie chce, żeby mu się coś stało. Kto wówczas ochraniałby ją i jej dzieci?

- A więc to robisz? Ochraniasz mnie, żebym mógł ochraniać ciebie? - spytał. - I twoje dzieci? - W świetle ognia jego niebieskie oczy przybrały fiołkowy kolor i błyszcząły wesołością.

- No cóż, niezupełnie - powiedziała, nie podnosząc głowy. - Myślę, że właściwie jest to sposób, w jaki kobieta klanu mówi swojemu towarzyszowi życia, jak bardzo dba o niego, niezależnie od tego, czy ma dzieci, czy nie. - Nie odrywała wzroku od swoich szybko poruszających się rąk, chociaż Jondalar miał wrażenie, że nie musi patrzeć na to, co robi. Potrafiłaby zrobić taki kapelusz w kompletnej ciemności. Podniosła kolejną witekę i spojrzała mu prosto w twarz: - Ale chciałabym mieć drugie dziecko, zanim będę za stara.

- Daleko ci jeszcze do tego - powiedział, dokładając drewna do ogniska. - Jeszcze jesteś młoda.

- Nie, zaczynam się starzeć. Mam już... - Przymknęła oczy w skupieniu i przyciskała palec za palcem do uda, wymawiając słowa, których ją nauczył, żeby upewnić się co do właściwego słowa na oznaczenie liczby przeżytych przez nią lat - ...Osiemnaście lat.

- To mi starość! - roześmiał się Jondalar. - Ja już mam dwadzieścia dwa lata. To ja jestem stary.

- Jeśli podróż potrwa rok, to będę miała dziewiętnaście lat, jak dojdziemy do twojego domu. W klanie byłoby już niemal za późno na ciążę.

- Wiele kobiet Zelandoni w tym wieku ma dzieci. Może nie pierwsze, ale drugie albo trzecie. Jesteś silna i zdrowa. Nie myślę, żebyś była zbyt stara na rodzenie dzieci. Ale coś ci powiem. Zdziwiasz mnie tym, jak wiele wiesz, i czasami twoje oczy wydają się pradawne, jakbyś w ciągu swojego życia przeżyła znacznie więcej niż te osiemnaście lat.

Zwykle nie mówił takich rzeczy, więc przerwała pracę, żeby na niego spojrzeć. Niemal bał się własnych do niej uczuć. Była tak piękna w świetle ognia, kochał ją tak bardzo, że nie wiedział, co zrobiłby, gdyby coś się z nią stało. Oszołomiony, odwrócił wzrok. A potem, żeby rozładować atmosferę, próbował wprowadzić lżejszy ton do rozmowy.

- To ja powinienem martwić się o mój wiek. Założyłbym się, że będę najstarszym mężczyzną na Zaślubinach - powiedział ze śmiechem. - Dwadzieścia trzy lata to bardzo dużo jak na pierwsze połączenie się. Większość mężczyzn w moim wieku ma już kilkoro dzieci przy swoich ogniskach domowych.

Patrzył na nią i zobaczyła w jego oczach miłość i strach.

- Aylo, ja także chcę, żebyś miała dziecko, ale nie podczas podróży. Dopiero gdy dotrzemy na miejsce. Jeszcze nie teraz.

- Nie, jeszcze nie teraz.

Pracowała przez chwilę w milczeniu, myśląc o synu, którego zostawiła z Ubą, o Rydagu, który w pewien sposób też był jej synem. Obu straciła. Nawet Maluszek, traktowany przez nią niczym syn - a przynajmniej był pierwszym samcem, jakiego znalazła i otoczyła opieką - porzucił ją. Nigdy go już nie zobaczy. Spojrzała na Wilka, nagle zaniepokojona, że mogłaby stracić także jego.

Dlaczego totem zabiera mi wszystkich synów? - pomyślała. Nie mam szczęścia do synów.

- Jondalarze, czy wśród twoich ludzi istnieje jakiś specjalny obyczaj związany z dziećmi, które chcą mieć? - spytała. - Kobiety klanu zawsze powinny chcieć synów.

- Nie, właściwie nie. Myślę, że mężczyzna chce, aby kobieta urodziła syna do jego ogniska, ale kobiety pewnie wolą najpierw mieć córki.

- A co ty byś chciał? W przyszłości?

Odwrócił się i spojrzał na nią uważnie w świetle ogniska. Coś ją najwyraźniej kłopotowało.

- Aylo, mnie jest wszystko jedno. Cokolwiek zechcesz lub cokolwiek Matka ci da.

Teraz ona z kolei bacznie mu się przyjrzała. Chciała być pewna, że naprawdę tak myśli.

- W takim razie będę prosiła o córkę. Nie chcę stracić więcej dzieci.

Jondalar nie bardzo wiedział, o co jej chodzi i co odpowiedzieć.

- Ja też nie chcę, żebyś straciła więcej dzieci.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a Ayła pracowała nad kapeluszem. Nagle spytał:

- Aylo, a co, jeśli ty masz rację? Jeśli to nie Doni daje dzieci? Jeśli poczynają się z przyjemności? Może dziecko poczęło się w tobie teraz i nawet o tym nie wiesz.

- Nie, Jondalarze, chyba nie. Zdaje mi się, że zbliża się mój czas księżycowy - powiedziała.

- A jak wiesz, to znaczy, że dziecko się nie poczęło.

Zwykle nie mówiła o tak osobistych sprawach z mężczyzną, ale Jondalar zachowywał się w tych okresach normalnie, nie tak jak mężczyźni klanu. Kobieta klanu musiała być szczególnie uważna, aby nie spojrzeć bezpośrednio na mężczyznę, kiedy dotknęło ją przekleństwo kobiety. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby właściwie odizolować się czy unikać Jondalara w czasie podróży, a teraz czuła, że potrzeba mu upewnienia się. Przez moment rozważała, czyby mu nie powiedzieć o tajnym leku Izy, który brała, by zwalczyć wszelkie zapładniające esencje, ale nie mogła tego zrobić. Nie potrafiła kłamać, tak samo jak Iza, ale o ile nikt nie zadał bezpośredniego pytania, mogła powstrzymać się przed wspomnieniem o tym. Jeśli sama tego nie powie, nie było prawdopodobne, by mężczyzna wpadł na pomysł zapytania jej, czy robi coś, co przeciwdziała ciąży. Większości ludzi samo istnienie tak potężnej magii wydałoby się niemożliwe.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna. Żadne dziecko nie zaczęło we mnie rosnąć. Odprężył się.

Kiedy Ayła wykańczała kapelusz, poczuła kropelki deszczu. Pospiesznie zakończyła pracę. Wnieśli wszystko do namiotu poza wiszącą na palach torbą na mięso, i nawet zmoczony Wilk wydawał się szczęśliwy u stóp Ayli. Odchyliła u dołu klapę wejściową, na wypadek gdyby musiał wyjść, ale kiedy się rozpadało, zamknęli klapę otworu dymnego. Najpierw leżeli przytuleni, potem odwrócili się od siebie, lecz obojgu trudno było zasnąć.

Chociaż była niespokojna i trochę obolała, Ayła starała się nie rzucać i nie przewracać zanadto, żeby nie przeszkadzać Jondalarowi. Przysłuchiwała się uderzeniom kropel deszczu o ścianki namiotu, ale nie uspiło jej to, jak to się zwykle zdarzało, i po długim, bezsennym leżeniu zaczęła marzyć, by nastał już ranek i by mogli wstać i odejść.

Jondalar, uspokojony zapewnieniami Ayli, że nie została pobłogosławiona przez Doni, znowu zaczął się zastanawiać, czy to w nim nie ma jakiejś skazy. Leżał pogrążony w myślach, zastanawiając się, czy jego duch lub jakaś inna esencja, jaką Doni brała od niego, jest dość mocna i czy Matka przebaczyła mu młodzieńcze grzechy i na to pozwoli.

A może to zależy od niej? Ayła powiedziała, że chce dziecka. Skoro jednak przez ten cały czas, jaki ze sobą spędzili, nie zaszła w ciążę, to chyba nie mogła mieć więcej dzieci. Serenio również nie miała więcej... chyba że spodziewała się, kiedy odchodził... Wpatrywał się w ciemność w namiocie, słuchał deszczu i zastanawiał się, czy którakolwiek z kobiet, jakie znał, doczekała się potomka i czy jakieś dzieci urodziły się z jego niebieskimi oczyma.

Ayla wspinała się coraz wyżej na stromą kamienną ścianę, podobną do stromej ścieżki prowadzącej do jej jaskini w dolinie, choć dużo wyższej, a musiała się spieszyć. Spojrzała w dół na małą rzeczkę, szemrzącą na zakręcie, ale to nie była rzeczka. To był wodospad, spadający w szerokim rozprysku po wystających skalach, porośniętych bujnym, zielonym mchem.

Spojrzała w górę, i tam był Creb! Przyzywał ją i robił znak pośpiechu. Odwrócił się i zaczął się także wspinać, opierając się ciężko na łasce. Prowadził ją stromą, ale dającą się pokonać ścieżką obok wodospadu, ku malej jaskini w skalnej ścianie, ukrytej za krzakami leszczyny. Powyżej jaskini, na szczycie leżał wielki, spłaszczony głaz narzutowy, przechylający się przez krawędź, gotowy do upadku.

Nagle znalazła się w głębi jaskini, idąc wzdłuż długiego, wąskiego przejścia. Tam było światło! Pochodnia z jej wabiącym płomieniem, potem druga, a potem usłyszała wywołujący mdłości ryk trzęsienia ziemi. Wilk zawył. Czowała wirujący zawrót głowy i nagle Creb znalazł się w jej umyśle. "Uciekaj stąd!" - rozkazał. "Spiesz się! Uciekaj teraz!"

Usiadła gwałtownie, odrzuciła futrzane przykrycie i rzuciła się do wyjścia z namiotu.

- Aylo! Co się stało? - zawołał Jondalar i przytrzymał ją.

Nagle jaskrawo rozbłysnęło światło, które widać było przez ścianki namiotu i wyraźniej wokół szwów kłapy na otwór dymny oraz wokół otworu wejściowego. Niemal natychmiast po nim rozległ się głośny, ostry grzmot. Ayla krzyknęła, a Wilk zaczął wyc przed namiotem.

- Ayla, Ayla. Wszystko w porządku - powiedział mężczyzna, trzymając ją w ramionach. - To tylko błyskawica i grzmot.

- Musimy się stąd wydostać! Powiedział, żeby się spieszyć. Uciekać teraz! - powiedziała, niezdarnie narzucając na siebie ubranie.

- Kto powiedział? Nie możemy teraz wyjść. Jest ciemno i pada.

- Creb. We śnie. Znowu śnił mi się ten sam sen, z Crebem. On powiedział. Chodź, Jondalarze! Musimy się spieszyć.

- Aylo, uspokój się. To tylko sen. I może ta burza. Posłuchaj. Brzmi jak wodospad. Nie chcesz przecież wychodzić na taki deszcz. Poczekajmy do rana.

- Jondalarze! Ja muszę iść. Creb mi to powiedział. I nie znoszę tego miejsca - płakała. - Jondalarze, proszę. Szybko. - Łzy ciekły jej po twarzy, ale ich nie zauważała i pakowała rzeczy do koszy.

Uznał, że równie dobrze mogą wyruszyć. Było oczywiste, że nie zamierzała czekać do rana i że już teraz nie zasną. Sięgnął po swoje ubranie, a Ayla otwierała wejściową klapę. Deszcz lał, jakby ktoś wylewał wodę z bukłaka. Wyszła przed namiot i gwizdnęła głośno i przeciągle.

Odpowiedziało jej wycie wilka. Po chwili Ayla gwizdnęła jeszcze raz, a potem zaczęła wrywać z ziemi paliki przytrzymujące namiot.

Usłyszała tętent końskich kopyt i załkała z ulgi na widok koni, a słone łzy zanikały w potokach lejącej się wody. Wyciągnęła ręce do Whinney, przyjaciółki, która przysłała jej pomoc, i przywarła do mocnego karku ociekającej od deszczu kobyły. Poczula, że przestraszony koń dygoce. Whinney biła ogonem i tańczyła nerwowo małymi, okrężnymi krokami; odwracała jednocześnie łeb i strzygła uszami, próbując znaleźć i zidentyfikować źródło niepokoju. Przerazenie konia pomogło kobiecie opanować własny strach. Whinney jej potrzebowała. Zaczęła przemawiać do zwierzęcia łagodnym tonem, głaskała ją i próbowała uspokoić, a wtedy Zawodnik, o ile to możliwe, jeszcze bardziej przerażony niż jego matka, przycisnął się do nich z drugiej strony.

Próbowała go uspokoić, ale wkrótce odsunął się małymi, tanecznymi krokami. Zostawiła oba konie razem i pobiegła do namiotu po uprząż i kosze nośne. Jondalar zwinął śpiwory i wepchnął je do swoich pakunków, zanim jeszcze usłyszał dźwięk końskich kopyt. Teraz miał już uprząż i uzdę Zawodnika w pogotowiu.

- Konie są bardzo wystraszone, Jondalarze - powiedziała Ayla po wejściu do namiotu. - Myślę, że Zawodnik gotów jest nam uciec. Whinney go trochę uspokaja, ale też się boi, a on ją tylko jeszcze bardziej przestrasza.

Podniósł uzdę i wyszedł. Wiatr i fale ulewnego deszczu niemal zwały go z nóg. Padało tak obficie, że miał wrażenie, iż stoi pod wodospadem. Na dworze było znacznie gorzej, niż przypuszczał. Nie potrwałoby długo, a woda zalałaby namiot i deszcz zacząłby wsiąkać w pokrywą podłogową i śpiwory. Cieszył się, że Ayla uparła się, by wstali i odeszli. Przy świetle kolejnej błyskawicy zobaczył ją, jak walczy, by przywiązać kosze do Whinney. Gniady ogier stał koło nich.

- Zawodnik! Zawodnik, chodź tutaj. Chodź, Zawodnik! - wołał. Głośny, przeciągły grzmot rozdarł powietrze, jakby niebiosy pękały na dwoje. Młody ogier stanął dęba i zarżał, potem zatańczył i zawirował w miejscu. Przewrócone oczy ukazywały białka, nozdrza dygotały, ogon bił gwałtownie, a uszy strzygły we wszystkich kierunkach w próbie umiejscowienia źródła strachu. Zwierzę nic jednak nie pojmowało, a wszystko wokół budziło jego paniczny lęk.

Wysoki mężczyzna podszedł do konia, próbując zarzucić mu ramiona na kark i ściągnąć na ziemię, przemawiał do niego łagodnie. Zwierzę miało do niego zaufanie, a znajome dłonie i głos uspokajały. Jondalarowi udało się zarzucić uzdę, mocno trzymał wodze z nadzieją, że budzące grozę błyskawice i grzmoty ustaną na chwilę.

Ayla weszła do namiotu po resztę ich rzeczy. Wilk był tuż za nią, ale go nie widziała. Kiedy wycofywała się ze skórzanego, stożkowego schronienia, Wilk zaskowyczał, zaczął biec w kierunku wierzbowego lasu, przybiegł z powrotem i znowu na nią zaskowyczał.

- Idziemy, Wilku! - I zwróciła się do Jondalara: - To już wszystko. Pospiesz się! - Podbiegła do Whinney i wrzuciła do kosza rzeczy, które niosła w ramionach.

Ayla była zdenerwowana. Jondalar obawiał się, że i Zawodnik już dłużej nie wytrzyma. Nie zawracał sobie głowy rozmontowywaniem namiotu. Wyszarpnął podtrzymujące drągi przez otwór dymny, rwąc przy tym klapę, wrzucił je do kosza, potem zwinął w kłęb ciężkie, namoczone skóry i wcisnął je tam również. Spłoszony koń przewracał oczyma i cofał się, kiedy Jondalar złapał go za grzywę, żeby mu wskoczyć na grzbiet. Chociaż skok był utrudniony, udało mu się dosięść konia, choć natychmiast omal nie spadł, bo Zawodnik stanął dęba. Zrzucił jednak ramiona wokół karku konia i utrzymał się.

Ayla usłyszała przeciągłe wilcze wycie i dziwny, głęboki ryk, kiedy wdrapywała się na grzbiet Whinney. Odwróciła się i zobaczyła Jondalara trzymającego się konia, który stawał dęba. Gdy tylko Zawodnik znów opadł na cztery kopyta, pochyliła się do przodu, dając tym znak Whinney. Kobyła skoczyła naprzód i poszła szybkim galopem, jak gdyby coś ją goniło, jak gdyby nie mogła się doczekać, żeby się stąd wydostać. Wilk skoczył i popędził przez krzaki, a Zawodnik z Jondalarem pędzili tuż za Aylą. Złowrogi ryk stawał się coraz głośniejszy.

Whinney przedzierała się przez las na płaskim dnie doliny, omijając drzewa i przeskakując przeszkody. Z nisko pochyloną głową i ramionami wokół jej karku Ayla pozwalała kobyle na szukanie własnej drogi. Nie widziała niczego w ciemności, ale wyczuwała, że kierują się w stronę zbocza prowadzącego do położonych wyżej stepów. Nagle kolejna błyskawica rozdarła mrok, na moment oświetlając dolinę. Byli w lesie bukowym, do zbocza już nie było daleko. Obejrzała się na Jondalara i gwałtownie złapała oddech.

Drzewa za jego plecami poruszały się! Zanim światło zamarło, zobaczyła wiele wysokich sosen, które niebezpiecznie się pochylały, a potem zapadła ciemność. Nie zwróciła uwagi na coraz głośniejszy łoskot, dopóki nie zaczęła nasłuchiwać huku padających drzew; wówczas uświadomiła sobie, że rosnący hałas zagłusza wszystko. Nawet odgłos grzmotu wydawał się w nim rozplływać.

Wjechali na stok. Ze zmienionego tempa Whinney wiedziała, że wspinają się, ale nadal nic nie widziała. Mogła tylko ufać instynktowi kobyły. Poczwała, że zwierzę się poślizgnęło, a potem odzyskało równowagę. Wypadli spośród drzew i znaleźli się na polanie. Poprzez zasłonę deszczu mogła teraz zobaczyć przewalające się chmury. To musi być ta łąka na zboczu, gdzie pały się konie - pomyślała. Zawodnik z Jondalarem jechali teraz obok niej. Jondalar także pochylał się nad

końskim karkiem, ale było tak ciemno, że widziała tylko ich sylwetki, jak ciemny cień na czarnym tle.

Whinney zwalniała kroku i Ayla słyszała jej wysilony oddech. Las po drugiej stronie polany był rzadszy i Whinney nie pędziła już w tak szalonym tempie. Ayla nieco się wyprostowała, ale nadal trzymała ramiona wokół karku kobyły. Zawodnik wyprzedził je pędem, ale wkrótce zwolnił i Whinney zrównała się z nim. Deszcz zelżał. Drzewa ustąpiły miejsca krzewom, potem trawie, i teren zaczął się wyrównywać. W ciemnościach przed nimi otwierały się stopy majaczące w poświacie księżycy zza zasłony deszczu.

Zatrzymali się i Ayla zsiadła, żeby dać Whinney odpocząć. Jondalar poszedł w jej ślady. Stali obok siebie, starając się wzrokiem przeniknąć ciemność w dolinie poniżej. Zajaśniała błyskawica, ale piorun uderzył gdzieś daleko i grzmot przyszedł po chwili niskim turkotem. Oszołomieni, patrzyli w czarną otchłań doliny, wiedząc, że dokonuje się tam jakieś totalne zniszczenie, ale niczego nie widząc. Zdali sobie sprawę, że ledwo uciekli przed straszliwą katastrofą, ale nie w pełni pojmowali jej rozmiary.

Ayla poczuła na czasce dziwne ukłucia i usłyszała cichutkie trzaski. Zmarszczyła nos na cierpką woń ozonu; to był wyjątkowo palący zapach, ale nie ognia, niczego tak ziemskiego jak ogień. Nagle uświadomiła sobie, że to musi być zapach zygżaku ognia na niebie. Nagle otworzyła szeroko oczy w zdumieniu, strachu i w panice. Chwyliła się Jondalara. Wysoka sosna, rosnąca na niższej części stoku, osłonięta od tnących wiatrów przez kamienny występ i wystająca wysoko ponad stopy, promieniowała niesamowitym niebieskim światłem.

Objął ją ramieniem, chcąc ją osłonić, ale czuł to samo zdumienie i strach. Wiedział, że nie potrafiłby opanować tych pozaziemskich ogni. Mógł ją tylko przytulić do siebie. Wtedy, we wzbudzającym grozę widowisku, zygżakowaty, trzaskający piorun połączył łukiem podświetlone chmury, rozgałęził się w sieć ognistych strzał. W oślepiającym błysku przebiegł w dół i uderzył w wysoką sosnę, oświetlając dolinę i stopy z jasnością księżycy. Ayla podskoczyła na dźwięk trzasku tak głośnego, że dzwoniło jej w uszach, i skurczyła się ze strachu, kiedy grmiący łoskot przetoczył się po niebie. W tej chwili jasności zobaczyli zniszczenie, przed którym uciekli w ostatniej chwili.

Zielona dolina była zdewastowana. Całe dno było teraz wzburzoną, kłębiącą się wirami. Naprzeciwko nich, na drugim zboczach, obsunięte się ziemi spiętrzyło głazy i powalone drzewa w pół drogi przez szalejące wody, zostawiając nagą, surową ranę czerwonawej gleby.

Przyczyną wszystkiego był dość zwykły zbieg okoliczności.

Zaczęło się to od gór na zachodzie i atmosferycznego niżu nad morzem śródziemnym; ciepłe, naładowane wilgocią masy powietrza podniosły się wysoko i zgęściły w wielkie, wełniste

chmury, które zawisły nieruchomo nad skalistymi szczytami. Zimny front wdarł się w ciepłe powietrze i ta kombinacja spowodowała niezwykle silną burzę z piorunami.

Strugi deszczu wypełniły wszystkie zagłębienia terenu, gdzie łączyły się w potoki, przelewały przez skały i wpadały do strumieni, przepelniając je z dziką szybkością. Nabierając rozmachu, wzburzone wody, wspierane przez nieustające potoki deszczu, pędziły w dół ze stromych gór, wytryskiwały ponad przeszkodami, wpadały do sąsiadujących rzek, łącząc się razem w ściany szalonej, niszczącej potęgi.

Kiedy rwąca powódź dotarła do zielonej doliny, buchnęła ponad wodospadem i z żarłocznym wyciem pochłonęła całą dolinę. Ale ta pokryta bujną zielenią depresja gruntu kryła dla spienionych wód niespodziankę. W owej erze rozległe ruchy ziemi piętrzyły teren, podnosząc poziom małego śródlądowego morza na południu i otwierając przejścia do większego morza dalej na południe. W ostatnich dziesięcioleciach takie wypiętrzenie zamknęło dolinę, tworząc płytki basen, małe jezioro zamknięte naturalną tamą. Kilka lat potem przebił się odpływ i wydrenował mały rezerwuar wody, pozostawiając za sobą dość wilgoci na zadrzewioną dolinę pośrodku suchych stepów.

Drugie obsunięcie ziemi, dalej z biegiem rzeki, znowu zamknęło odpływ, zatrzymując szalejące wody w dolinie i powodując wsteczny prąd. Jondalar myślał, że scena, na jaką patrzy, musi pochodzić z koszmaru sennego. Trudno mu było wierzyć w to, co widzi. Cała dolina była dzikim, wzburzonym, oszalałym kłębowiskiem wody, błota i kamieni, przewalającym się tam i z powrotem, wrywającym krzaki i całe drzewa z korzeniami i rozbijającym je na drzazgi.

Żadne żywe stworzenie nie mogło przeżyć w takim miejscu. Wzdrygnął się na myśl, co by się stało, gdyby Ayla się nie zbudziła i nie nalegała na opuszczenie doliny. Wątpił, czy udałoby im się uciec bez pomocy koni. Rozejrzał się; oba stały ze spuszczoneymi łbami, rozstawionymi nogami i wyglądały na całkowicie wyczerpane. Wilk stał koło Ayli i kiedy zobaczył, że Jondalar patrzy na niego, podniósł łeb i zawył. Przez głowę mężczyzny przeleciała myśl, że wilcze wycie zakłóciło jego sen tuż przedtem, nim obudziła się Ayla.

Uderzył kolejny piorun; na dźwięk grzmotu Ayla zadrżała gwałtownie w ramionach Jondalara. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Byli przemoczeni i przemarznięci, wszystko ociekało wodą. Pośrodku otwartej równiny, w czasie burzy z piorunami, nie mieli pojęcia, gdzie szukać schronienia.

ROZDZIAŁ 8

Wysoka sosna, w którą uderzył piorun, paliła się, ale gorąca żywica, która podsycala ogień, musiała walczyć z ulewnym deszczem i trzaskające płomienie dawały mało światła. Było go jednak wystarczająco, by oświetlić ogólne zarysy najbliższego otoczenia. Na otwartej równinie niewiele było miejsc, które dałyby schronienie, poza kilkoma niskimi krzakami, rosnącymi obok przepelnionego wodą parowu, zwykle suchego przez większą część roku.

Ayla wpatrywała się w ciemność doliny, jakby zaczarował ją obraz, który tam widziała. Kiedy tak stali, deszcz znowu przybrał na sile, zalewał ich wodą, wdzierał się pod przemoczone ubranie i wygrał wreszcie walkę z płomieniami palącego się drzewa.

- Chodź, Aylo - powiedział Jondalar. - Musimy się gdzieś schronić przed deszczem. Jesteś przemarznięta. Oboje jesteśmy przemarznięci i mokrzy.

Wpatrywała się jeszcze przez chwilę i wstrząsnął nią dreszcz.

- Byliśmy tam na dole. - Podniosła na niego oczy. - Jondalarze, zginęlibyśmy, gdyby nas tam złapało.

- Ale wydostaliśmy się w porę. A teraz potrzebujemy schronienia. Jeśli nie znajdziemy miejsca, w którym można się ogrzać, nie będzie miało znaczenia, że uciekliśmy z doliny.

Wziął wodze Zawodnika i zaczął iść w kierunku krzaków. Ayla dała znak Whinney i poszła za nim z Wilkiem przy nodze. Kiedy doszli do parowu, zobaczyli, że na stepie, nieco dalej od doliny, niskie krzaki przechodziły w gęstą kępę wyższych zarośli, niemal niskich drzew, i poszli ku nim.

Przedzierali się ku środkowi kępy przez gęsto rosnącą łożynę. Ziemia wokół wąskich, wielolodygowych krzaków srebrzysto-zielonej wierzby była mokra i deszcz nadal przeciekał przez zasłonę z wąskich liści, ale już nie tak mocno. Oczyszczili z łodyg małą przestrzeń pod krzakami i zdjęli kosze z koni. Jondalar wyciągnął ciężki kłęb przemoczonego namiotu i strzepnął skóry. Ayla chwyciła pale i rozstawiła je w koło wewnątrz tego naturalnego szałas z krzaków, a potem pomogła rozpiąć na nich skóry namiotu, nadal przywiązane do płachty podłogowej. Było to zrobione byle jak, ale teraz chcieli tylko ukryć się przed deszczem.

Wnieśli kosze i inne rzeczy do tego tymczasowego schronienia, narwali liści z drzew, żeby wymościć mokry grunt, i rozpostarli swoje wilgotne śpiwory. Zdjęli zewnętrzne okrycia, razem wyżełli wodę z przemoczonych skór i zawiesili je na gałęziach. Wreszcie, dygocząc z zimna, położyli się blisko siebie i okryli futrami. Wilk wszedł do namiotu i otrząsnął się gwałtownie, rozpryskując wodę, ale wszystko było i tak mokre, więc nie miało to znaczenia. Stepowe konie, ze

swoją gęstą, kudłatą sierścią zdecydowanie wolały chłodną, suchą zimą od przeinaczających do suchej nitki letnich burz, ale przyzwyczajone były do życia na świeżym powietrzu. Stały obok siebie koło kępy krzewów i pozwalały zalewać się deszczem.

W wilgotnym namiocie, zbyt mokrym, by marzyć nawet o rozpaleniu ognia, Ayla z Jondalarem przytulili się ciasno do siebie, okryci grubymi futrami. Wilk zwinął się na wierzchu śpiworów, przycisnął blisko i wreszcie połączone ciepło ciał nieco ich rozgrzało. Kobieta i mężczyzna drzemali trochę, chociaż żadne z nich nie spało wiele. Przed świtem deszcz ustał i wówczas zasnęli głębiej.

Ayla nasłuchiwała i uśmiechnęła się do siebie, zanim otworzyła oczy. W różnorodności ptasich śpiewów, które ją obudziły, rozpoznała wyraźnie, skomplikowane trele świergotki. Potem usłyszała melodyjne ćwierkanie, zdawać by się mogło coraz głośniejsze, ale kiedy próbowała wzrokiem odkryć źródło owej wibrującej pieśni, musiała dobrze się przypatrzeć, żeby dostrzec właśnie siadającego na ziemi brązowego, niepozornego skowronka. Przewróciła się na bok, by móc go obserwować.

Skowronek maszerował szybko po ziemi, z łatwością utrzymując równowagę za pomocą długich pazurów na tylnym palcu nóg, nagle skłonił ozdobiony czubkiem łebek i podniósł dziobkiem gąsienicę. Szybkimi, gwałtownymi krokami rzucił się ku nagiemu skrawkowi ziemi w pobliżu pni wierzbowego krzewu, gdzie nagle dała znak życia ukryta gromadka świeżo wyklutych, puchatych piskląt z otwartymi dziobami, zebrzącymi o wypełnienie ich smacznym kąskiem. Wkrótce drugi ptak, podobny, ale jeszcze bardziej niepozorny i niemal niewidoczny na tle płowej ziemi stepów, pojawił się ze skrzydlatym insektem w dziobie. Podczas kiedy wkładał insekta w nadstawione dziobki, pierwszy ptak wzbił się w powietrze i zaczął się wznosić zakolami, aż niemal zniknął z oczu. Wciąż jednak krążył w pobliżu, wyśpiewując niewiarygodnie piękną melodię.

Ayla cichutko zagwizdała muzyczny zew, odtwarzając dźwięki z taką dokładnością, że matka ptak przestała dziobać ziemię w poszukiwaniu pożywienia i zwróciła się w jej kierunku. Ayla zagwizdała znowu, żałując, że nie ma ziarna, które mogłaby dać ptakom, tak jak to robiła, kiedy żyła w dolinie i zaczęła naśladować ptasie śpiewy. Kiedy już się tego nauczyła, przylatywały na jej zew, niezależnie od tego, czy sypała im ziarno, czy nie, i dotrzymywały jej towarzystwa podczas tych samotnych dni. Matka skowronek zbliżyła się, szukając ptaka, który wtargnął na terytorium w pobliżu jej gniazda, lecz nie znalazłszy żadnego innego skowronka, powróciła do karmienia piskląt.

Wygwizdywane monotonne frazy, bardziej aksamitne i kończące się gruchającym dźwiękiem, szczególnie zainteresowały Aylę.

Stepówki są wystarczająco duże na przyzwoity posiłek i tak samo te gruchające turkawki - pomyślała, rozglądając się dookoła za tymi piersiastymi ptakami, które wielkością i kształtem przypominały piaskowobrazową stepówkę. Na niskich gałęziach zobaczyła proste gniazdo z gałązek z trzema białymi jajkami w środku, a potem dostrzegła tłusciutką turkawkę z małym łebkiem i na krótkich łapach. Miękkie, gęste upierzenie piersi było jasnobrązowe, niemal różowawe, a ciemne znaki na grzbiecie i skrzydłach, przypominające skorupę żółwia, połyskiwały mieniącymi się łatkami.

Jondalar przewrócił się na plecy i Ayla skierowała wzrok na leżącego obok niej mężczyznę, który oddychał rytmicznie w głębokim śnie. Potem poczuła, że musi pójść za potrzebą. Bała się, że jeśli się poruszy, to go zbudzi, a ogromnie nie chciała mu przeszkadzać, ale im bardziej próbowała o tym zapomnieć, tym bardziej gwałtowna stawała się ta potrzeba. Może go nie obudzę, jeśli będę się poruszać bardzo wolno - pomyślała, próbując się wyslizgnąć z ciepłych, lekko wilgotnych futer, które ich owijały. Parsknął, sapnął i odwrócił się na drugi bok, ale zbudził się dopiero, kiedy sięgnął w jej kierunku i jej nie znalazł.

- Ayla? A, tutaj jesteś - wymamrotał.

- Śpij, Jondalarze. Jeszcze nie musisz wstawać - powiedziała i wyczołgała się z ich gniazda w krzakach.

Był jasny, świeży poranek, niebo niebieskie, bez żadnej chmurki w polu widzenia. Wilk zniknął. Pewnie poszedł na polowanie albo wyprawę krajoznawczą - pomyślała Ayla. Także konie zmieniły miejsce; zobaczyła je, jak się pasły koło krawędzi doliny. Chociaż słońce jeszcze było nisko, para już się podnosiła z mokrego gruntu i Ayla poczuła wilgoć, kiedy przykucnęła, żeby oddać mocz. Wtedy zauważyła czerwone plamy na wewnętrznej stronie ud. Mój czas księżycowy - pomyślała. Spodziewała się tego; będzie się musiała umyć i wyprać odzież, ale najpierw potrzebna jej muflonowa wełna.

Odpływowy rów wypełnił się tylko do połowy, ale płynąca nim woda była czysta. Pochyliła się, opłukała ręce, wypila kilka łyków zimnego płynu ze złożonych dłoni i pospieszyła z powrotem do miejsca, gdzie spali. Jondalar już był na nogach i uśmiechnął się, kiedy przepchała się do ich schronienia wśród wierzbowych krzaków, żeby wydostać jeden z nośnych koszy. Mężczyzna wyniósł oba swoje kosze i zawrócił po resztę rzeczy. Chciał zobaczyć, jakie szkody uczynił ulewny deszcz. Wilk właśnie wtedy podbiegł w podskokach i rzucił się prosto na Ayle.

- Wyglądasz na całkiem zadowolonego z siebie - powiedziała, targając go za sierść na karku, tak gęstą i grubą, że niemal przypominała grzywę. Kiedy przestała, skoczył na nią, kładąc zabłocone łapy na jej piersi, niemal na poziomie ramion. Zaskoczył ją i omal nie przewrócił, ale odzyskała równowagę.

- Wilk! Patrz na to całe błoto! - strofowała go, a on polizał jej szyję i twarz, a potem z niskim, przeciągłym pomrukiem rozwarł pysk i ujął zębami jej szczękę. Jednak przy całym potężnym wilczym uzbrojeniu jego ruchy były opanowane i delikatne, jakby dotykał szczeniaka. Żaden ząb nie naruszył skóry; nawet nie zostawił na niej znaku. Zanurzyła znowu obie ręce w sierści na karku, odepchnęła łeb i spojrzała w oddane wilcze oczy z takim samym uczuciem, jakie on jej okazywał. Potem złapała zębami jego szczękę i pomrukując, oddała mu pełne miłości ugryzienie.

- A teraz na ziemię, Wilk. Popatrz coś narobił! Będę musiała to też wyprać. - Otrzepta luźną skórzaną tunikę bez rękawów, którą nosiła wypuszczoną na krótkie nogawice, używane jako dolna część ubrania.

- Gdybym nie wiedział, to bym się solidnie bał o ciebie, kiedy Wilk tak skacze - powiedział Jondalar. - Zrobił się taki duży i jest drapieżnikiem. Mógłby kogoś zabić.

- Nie musisz się niepokoić o Wilka. W ten sposób wilki witają się wzajemnie i okazują miłość. Myślę, że on także się cieszy, iż w porę zbudziliśmy się i uciekli z doliny.

- Patrzyłaś, jak tam wygląda?

- Jeszcze nie. Wilk, odejdz - nakazała, odpychając go, kiedy zaczął węszyć między jej nogami. - To jest mój czas księżycowy. - Odwróciła wzrok i lekko się zaczerwieniła. - Przyszłam po wełnę i nie miałam okazji popatrzeć.

Podczas gdy Ayla zajmowała się swoimi osobistymi potrzebami, myjąc się i piorąc ubranie w małym strumyczku, przywiązując paski, które przytrzymały wełnę na miejscu, i wyjmując inne ubranie, Jondalar podszedł do krawędzi doliny, żeby oddać mocz i spojrzeć w dół. Nie dostrzegł ani śladu po obozowisku, ani żadnego miejsca, gdzie można by je rozbić. Dolina była częściowo wypełniona wodą, a nagie pnie, całe drzewa i inne szczątki kołysały się i zanurzały we wzburzonej wodzie, która nadal się podnosiła. Mała rzeka, która płynęła przez dolinę, miała zablokowane ujście i nadal tworzyła wsteczny prąd, ale nie szalała już takimi zamaszystymi falami w tył i w przód jak poprzedniej nocy.

Ayla cicho podeszła do Jondalara, który wpatrywał się w napięciu w dolinę i zastanawiał. Podniósł głowę, kiedy poczuł jej obecność.

- Ta dolina musi się zwięzać poniżej i coś musi zagraadzać rzekę, pewnie głązy albo obsunięta ziemia. To zatrzymuje odpływ wody. Może dlatego jest tam na dole tak zielono, może to zdarzyło się nie pierwszy raz.

- Sama powódź by nas zmyła, gdyby nas złapała na dole - powiedziała Ayla. - Każdej wiosny powódź zalewała moją dolinę i już to było dość okropne, ale to... - Nie umiała znaleźć

słowa na wyrażenie swojej myśli i nieświadomie zakończyła zdanie gestem w języku klanu, który oddał ostrzej i dokładniej uczucie przerażenia i ulgi.

Jondalar zrozumiał. Jemu także brakowało słów i odczuwał to samo co ona. Oboje stali w milczeniu, obserwując widok poniżej; Ayla zauważyła, że mężczyzna zmarszczył czoło w skupieniu i niepokoju. Wreszcie przemówił:

- Jeśli zapora z obsuniętej ziemi, czy cokolwiek tam jest, ustąpi zbyt szybko, spływ wody w dół rzeki może być niebezpieczny. Mam nadzieję, że nie mieszkają tam po drodze żadni ludzie.

- Nie będzie to bardziej niebezpieczne niż ostatniej nocy - powiedziała Ayla. - A może tak?

- Ostatniej nocy padało, więc ludzie mogli się spodziewać zalania wodą, ale jeśli zapora się nagle przerwie, bez ulewy, która by ostrzegła, zaskoczy to ludzi i może dojść do katastrofy - wyjaśnił.

Ayla potaknęła, ale potem powiedziała:

- Jeśli jednak ludzie znają tę rzekę, to czy nie zauważą, że przestała płynąć, i nie zechcą sprawdzić dlaczego?

Odwrócił się twarzą do niej.

- Ale co z nami, Aylo? Jesteśmy w podróży i nie możemy wiedzieć, czy jakaś rzeka przestała płynąć. Możemy znaleźć się nad rzeką poniżej czegoś takiego jak tutaj i nic nas nie ostrzeże.

Ayla znowu popatrzyła na wodę w dolinie i nie odpowiedziała od razu.

- Masz rację, Jondalarze - rzekła chwilę później - Następna taka nagła powódź mogłaby nas zaskoczyć. Albo piorun mógłby uderzyć w nas zamiast w drzewo. Albo trzęsienie ziemi mogłoby otworzyć szparę w ziemi i pochłonąć wszystkich poza małą dziewczynką, zostawiając ją samą na świecie. Albo ktoś mógłby zachorować, albo urodzić się z wadą czy zniekształceniem. Mamut powiedział, że nikt nie wie, kiedy Matka zdecyduje się zawołać z powrotem do siebie jedno ze swoich dzieci. Niczego się nie osiąga, zamartwiając się o takie rzeczy. Nie możemy temu zaradzić. To jest jej decyzja.

Jondalar słuchał, nadal pełen niepokoju; potem odprężył się i objął ją ramieniem.

- Za dużo się martwię. Thonolan mi to często powtarzał. Po prostu zacząłem myśleć o tym, co by się zdarzyło, gdybyśmy byli nad rzeką poniżej tej doliny, i rozpamiętywałem ostatnią noc. A potem myślałem o utracie ciebie i... - Zaciśnął wokół niej ramiona. - Aylo, nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię kiedykolwiek stracił - powiedział z nagłą zarliwością, mocno ją trzymając. - Nie jestem pewien, czy chciałbym w ogóle żyć.

Poczuła ukłucie niepokoju.

- Mam nadzieję, że żyłbyś dalej, Jondalarze, i że znalazłbyś kogoś innego do kochania. Jeśli coś zdarzyłoby się tobie, kawałek mnie, mojego ducha, odszedłby razem z tobą, ponieważ cię kocham, ale żyłabym dalej i kawałek twojego ducha na zawsze żyłby ze mną.

- Nie byłoby łatwo znaleźć kogoś innego do kochania. Nie myślałem, że kiedykolwiek spotkam ciebie. Nie sądzę, żebym nawet chciał szukać.

Poszli razem z powrotem. Ayla milczała przez chwilę w zamyśleniu, po czym powiedziała:

- Zastanawiam się, czy tak się właśnie dzieje, kiedy kogoś kochasz z wzajemnością. Czy wymienia się kawałki dusz? Może to dlatego utrata ukochanego człowieka tak boli. - Przerwała na chwilę i potem ciągnęła dalej: - To jak z mężczyznami klanu. Oni są polującymi braćmi i wymieniają się kawałkami ducha, szczególnie kiedy jeden uratuje życie drugiemu. Nie jest łatwo żyć dalej, kiedy brakuje ci kawałka twojego ducha, a każdy myśliwy wie, że kawałek jego samego pójdzie do następnego świata, jeśli pójdzie tam inny myśliwy, więc pilnują i ochraniają swojego brata, robią niemal wszystko, byle tylko uratować mu życie. - Zatrzymała się i spojrzała w twarz Jondalara. - Czy myślisz, że wymieniliśmy kawałki naszych dusz, Jondalarze? Jesteśmy przecież myśliwskimi partnerami.

- I kiedyś uratowałaś mi życie, ale jesteś kimś więcej niż moim myśliwskim bratem - skwitował z uśmiechem ten pomysł. - Kocham cię. Teraz rozumiem, dlaczego Thonolan nie chciał żyć po śmierci Jetamio. Czasami wydaje mi się, że szukał drogi do następnego świata, aby tam znaleźć Jetamio i dziecko, które się nigdy nie urodziło.

- Ale jeśli coś mi się stanie, to nie chciałabym, żebyś poszedł za mną do świata duchów. Chciałabym, żebyś został tutaj i znalazł kogoś innego - powiedziała Ayla z przekonaniem. Nie podobała jej się ta rozmowa o następnych światach. Nie wyobrażała sobie, jak taki drugi świat miałby wyglądać, a nawet - w głębi serca - nie była pewna, czy w ogóle istnieje. Wiedziała jedynie, że aby dostać się do następnego świata, trzeba najpierw umrzeć na tym świecie, a nie chciała słyszeć o umieraniu Jondalara, niezależnie od tego czy przed jej śmiercią, czy po niej.

Rozmyślania o świecie duchów podsunęły jej kolejną myśl.

- Może tak się dzieje na starość. Jeśli wymienisz kawałki swojego ducha z ludźmi, których kochasz, a oni umierają, tak wiele cząstek twojego ducha odchodzi wraz z nimi do następnego świata, że nie zostaje ci dość, aby cię utrzymać tutaj przy życiu. To jak dziura wewnątrz, która się robi coraz większa, więc chcesz pójść do następnego świata, gdzie już jest większość twojego ducha i ci, których kochałeś.

- Skąd wiesz tak wiele? - spytał Jondalar z uśmiechem. Przy całym jej braku wiedzy na temat świata duchów jej prostolinijne i spontaniczne uwagi nie były, jego zdaniem, pozbawione

sensu i wskazywały na prawdziwą i głęboką inteligencję, chociaż nie miał pojęcia, czy te koncepcje mają jakąś wartość. Gdyby była tu Zelandoni - pomyślał - można by jej zapytać.

I nagle zdał sobie sprawę z tego, że idą do domu i że któregoś dnia w niedalekiej przyszłości będzie mógł to zrobić.

- Straciłam kawałki mojego ducha, kiedy byłam mała i ludzie, wśród których się urodziłam, zginęli w trzęsieniu ziemi. Potem Iza zabrała kawałek umierając, i Creb, i Rydag, Nawet Durc, chociaż nie jest martwy, ma kawałek mnie, mojego ducha, którego już nigdy nie zobaczę. Twój brat także zabrał ze sobą część ciebie, prawda?

- Tak - odpowiedział Jondalar. - Zabrał. - Zawsze będzie mi go brakować i zawsze to będzie bolesne. Czasami nadal myślę, że to moja wina, że powinienem był coś zrobić, aby go uratować.

- Nie sądzę, byś mógł zrobić cokolwiek. Matka go wezwała, a decyzja należy do niej, nie do kogoś, kto sam chce znaleźć drogę na następny świat.

Doszli do wysokich krzaków wierzbowych, w których spędzili noc, i zaczęli przeglądać swój bagaż. Niemal wszystko było wilgotne, a wiele rzeczy nadal wręcz ociekało wodą. Rozwiązali nabrzmiałe węzły, które nadal związywały pokrywę naziemną z górną częścią namiotu, i chwycili namiot za przeciwległe krańce, każde kręcąc skórę w odwrotnym kierunku, wyzymając w ten sposób wodę. Zbyt długie skręcanie mogło jednak naruszyć szwy. Zdecydowali rozpiąć namiot, żeby wysechł, i odkryli, że zgubili kilka palików namiotowych.

Rozciągnęli pokrywę podłogową na krzakach i sprawdzili stan swoich zewnętrznych okryć, które nadal okazały się dość mokre. Rzeczy zapakowane w nośnych koszach były w nieco lepszym stanie. Wiele było wilgotnych, ale prawdopodobnie szybko by wyschły w ciepłym, suchym miejscu. Otwarty step w ciągu dnia znakomicie się do tego nadawał, ale był to czas, w którym mieli podróżować, a nocą robiło się chłodno i wilgotnie. Nie uśmiechała im się perspektywa kolejnej nocy pod mokrym namiotem.

- Chyba pora na gorącą herbatę - powiedziała nieco przygnębiona Ayla. Już było później niż zwykle. Rozpaliła ogień i włożyła kamienie do gotowania, zastanawiając się nad śniadaniem. Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że nie mieli żywności zostawionej z poprzedniego wieczornego posiłku.

- Och, Jondalarze, nie mamy nic do jedzenia - poskarżyła się. - Zostało w dolinie. Odłożyłam ziarna w tym dobrym koszu do gotowania obok gorącego żaru ogniska. Kosz do gotowania też przepadł. Dobrze, że przynajmniej mam torbę znachorską - powiedziała z wyraźną ulgą, kiedy ją znalazła. - A skóra wydry nie przepuszcza wody, bez względu na to, jaka jest stara. Wszystko wewnątrz jest suche. Przynajmniej mogę zrobić nam herbaty. Mam trochę ziół o bardzo przyjemnym smaku. Zaczepnę wody - powiedziała i rozejrzała się. - Gdzie jest kosz do robienia

herbaty? Czy też przepadł? Zdawało mi się, że wniosłam go do namiotu, kiedy zaczęło padać. Musiałam go upuścić, jak pakowaliśmy się do ucieczki.

- Zostawiliśmy jeszcze coś i zupełnie nie będziesz szczęśliwa z tego powodu.

- Co? - spytała Ayla z niepokojem.

- Torbę na mięso i długie pale.

Przymknęła oczy i z rozpaczą potrząsnęła głową.

- Och, nie! Taka dobra torba na mięso i pełna sarniny. I jeszcze pale. Były dokładnie właściwych rozmiarów. Trudno je będzie zastąpić. Lepiej sprawdzę, co jeszcze przepadło, i upewnię się, czy nic się nie stało naszej żywności podróźnej.

Sięgnęła do kosza, w którym miała swoje osobiste rzeczy oraz ubrania i wyposażenie do użycia w późniejszej części podróży. Chociaż wszystkie kosze były mokre i obwisłe, zapasowe sznury i powrozy, trzymane na dnie tego kosza, uchroniły jego zawartość przed wilgocią i zniszczeniem. Żywność, zbieraną po drodze, schowała tuż pod pokrywą; leżące pod nią żelazne racje podróźne były nadal bezpiecznie opakowane i w zasadzie suche. Uznała, że to dobry moment na przejrzanie zapasów i przekonanie się, czy nic się nie zepsuło, jak również ocenę, na jak długo wystarczą im ocalałe zapasy.

Wyjęła suszoną żywność i rozłożyła ją na rozpostartych ściworach. Były tam różne rodzaje jagód - jeżyny, maliny, borówki, jagody czarnego bzu, czarne jagody, poziomki, osobno lub zmieszane razem, które zostały rozgniecione na miazgę i ususzone w krążkach. Inne słodkie odmiany jagód były gotowane i wysuszone na twarde placuszki o konsystencji skóry, czasem z dodatkiem małych, twardych jabłek, kwaśnych, ale o wysokiej zawartości pektyny. Całe jagody i dzikie jabłka, razem z innymi owocami, takimi jak dzikie gruszki i śliwki, były pokrojone w plasterki albo zostawione w całości i wysuszone na słońcu, co dodawało im słodkiego smaku. To wszystko nadawało się do zjedzenia w takiej postaci albo po namoczeniu i ugotowaniu, i Ayla często używała tych owoców jako przypraw do zup i mięsa. Były tam również ziarna i nasiona, niektóre podgotowane i uprażone; trochę obranych z łupek i upieczonych orzechów laskowych oraz szyszki piniowe pełne pożywnych orzeszków, które zebrała w dolinie poprzedniego dnia.

Warzywa były także suszone - łodyżki, pąki i korzenie zawierające skrobię, takie jak: korzenie pałki wodnej, ostu, lukrecji i różne bulwiaste kłącza liliowca. Niektóre Ayla przed suszeniem gotowała na parze w ziemnym piecu, ale inne po wykopaniu nadziewała na sznurki zrobione z włóknistej kory roślin albo ze ścięgien różnych zwierząt. Grzyby także były nanizane na sznurki i często suszone dla dodatkowego zapachu nad dymem ogniska, a pewne gatunki jadalnych porostów, ugotowane na parze, po wysuszeniu stworzyły ścisłe, pożywne bochny. Ich zapasy uzupełniał duży wybór suszonego i wędzonego mięsa oraz ryb, a w specjalnych paczuszkach

została odłożona na krytyczną sytuację mieszanka zmielonego, ususzonego mięsa, przetopionego tłuszczu i suszonych owoców, uformowana w małe placuszki.

Suszona żywność nie zabierała dużo miejsca i można ją było długo przechowywać; niektóre z zapasów przygotowano ponad rok wcześniej i pochodziły z poprzedniej zimy, ale ich ilość była dość ograniczona. Nezzie zebrała zapasy dla nich od krewnych i znajomych, którzy zabrali ze sobą suszoną żywność na Letnie Spotkanie. Ayla bardzo oszczędnie nimi gospodarowała; na ogół żywili się tym, co znajdowali lub upolowali po drodze. To była właściwa pora roku. Jeśli nie potrafiliby wykarmić się darami Wielkiej Matki Ziemi teraz, kiedy oferowała taką ich obfitość, nie mieliby szans na przeżycie, podróżując w chudszych czasach.

Ayla zapakowała wszystko z powrotem. Nie miała zamiaru używać suszonej, podróżnej żywności na śniadanie. Po ich porannym posiłku stopy miały o kilka tłustych ptaków mniej do wyżywienia. Para stepówek, strącona jej procą, piekła się na rożnie nad ogniskiem; kilka jaj gołębich, które już nigdy się nie wylęgą, zostało lekko nadtłuczonych i włożonych do ogniska w skorupkach. Na pożywne śniadanie złożyła się również zawartość szczęśliwym trafem odkrytego schowka świstaka - bulwy i kłącza. Ziemny schowek znajdował się dokładnie pod ich śpiworami i wypełniony był słodkimi i bogatymi w skrobię warzywami, zebranymi przez to małe zwierzątko wcześniej, kiedy podobne do korzeni bulwy były najbardziej pożywne. Ayla ugotowała je razem z piniowymi orzeszkami, które wydobyla z szyszek przez rozgrzanie w ogniu i potłukła kamieniem. Kilka świeżych, dojrzałych jeżyn popielic zakończyło posiłek.

Po odejściu z zalanej doliny Ayla z Jondalarem ruszyli dalej na południe, skręcając lekko ku zachodowi; zbliżali się nieznacznie do górskiego łańcucha. Chociaż nie był szczególnie wysoki, niektóre szczyty pokrywał wieczny śnieg i często otulały mgły i chmury.

Znajdowali się w południowym rejonie zimnego kontynentu i charakter trawiastych przestrzeni nieznacznie się zmienił. Nie tylko obfitość traw i ziół tłumaczyła istnienie takiej różnorodności zwierzyny na tych zimnych równinach. Same zwierzęta ewoluowały w taki sposób, że powstały różnice w sposobie ich odżywiania, szlakach migracyjnych, wymaganiach przestrzennych i sezonowych odmianach, a to składało się na bogactwo życia. Jak w późniejszych czasach na wielkich równinach w strefie równikowej daleko na południe - jedynym miejscu, które dorównywało bogactwu stepów epoki lodowcowej - liczne i różnorodne gatunki fauny dzieliły się bogatą w pokarm krainą w sposób skomplikowany i wzajemnie się uzupełniający.

Jedne specjalizowały się w konsumpcji określonych roślin, inne w określonych częściach roślin; niektóre karmiły się w miejscach, do jakich pozostałe nie zaglądały albo przychodziły później czy migrowały w inny sposób. Dzięki tej wielorakości egzystencji gatunki wspierały się wzajemnie, ponieważ żerowanie czy sposób życia jednych dopasowane były do trybu życia innych.

Włochate mamuty potrzebowały ogromnych ilości włóknistej, celulozowej stawy, chropowatych traw, łądyg i turzyc, a ponieważ grzęzły w głębokich śniegach, moczarach i torfowych łąkach, trzymały się twardego, owianego wiatrem gruntu blisko lodowców. Migrowały wzdłuż ściany lodowca, tylko wiosną i latem zapuszczając się na południe.

Stepowe konie też musiały mieć dostęp do dużej ilości sycącej je paszy; podobnie jak mamuty szybko trawiły chropowate łądygi i trawy, ale były nieco bardziej wybiórcze, wołały średnie rodzaje traw. Potrafiły dokopać się do karmy pod śniegiem, ale to kosztowało je więcej energii, niż jej zyskiwały, a marsze przez wysokie zasy stanowiły nie lada wysiłek. Nie mogły przetrwać długo w głębokim śniegu i wołały twarde, owiane wiatrem równiny.

W odróżnieniu od mamutów i koni żubrom potrzebne były liście i zielona trawa ze względu na wyższą zawartość białka i wołały niskie trawy, korzystając z obszarów średnich i wysokich traw w okresie nowego przyrostu, co normalnie dzieje się na wiosnę. Latem jednak dochodziło do niezamierzonej, a niesłychanie ważnej współpracy. Konie przecinały zębami niczym nożycami sztywne łądygi. Przejście stada ścinających łądygi koni dawało bodziec gęsto rozkorzenionej trawie do wypuszczenia nowych liści. W kilka dni po przejściu koni pojawiały się tam często olbrzymie żubry, które pasły się na tych nowych pędach.

Zimą żubry przenosiły się na południe, w strefę zmiennej pogody i większej ilości śniegu, gdzie liście niskiej trawy były wilgotniejsze i świeższe niż na suchych, północnych równinach. Umiały sprawnie odgarniać śnieg nosami i bokami pysków, żeby dostać się do ulubionej paszy nisko przy ziemi, lecz na śnieżnych stepach południa czyhały też niebezpieczeństwa.

Ciężkie, włochate futro żubrów i innych zwierząt o grubej sierści, które migrowały na południe, gwarantowało utrzymanie ciepła w stosunkowo suchym, zimnym klimacie - a nawet na południu, gdzie padało więcej śniegu - mogło jednak stanowić zagrożenie, czy nawet spowodować śmierć, na terenie mokrym i zimnym, z częstymi przeskokami od mrozu do odwilży. Jeśli futra przemokły w czasie odwilży, zwierzęta były narażone na śmiertelne oziębienie w czasie następującego po niej mrozu, szczególnie jeśli przymrozek złapał je, gdy odpoczywały na leżąco. Wówczas, jeśli ich długa sierść przymarzła do podłoża, nie mogły się podnieść. Wyjątkowo głęboki śnieg albo skorupa lodowa na warstwie śniegu też mogły być zgubne, jak również zimowe śnieżyce, wpadnięcie do rozlewiska pokrytego cienką warstwą lodu czy też powodzie w rzecznych dolinach.

Także muflony i suhaki selekcjonowały pokarm, żywiąc się niektórymi dostosowanymi do bardzo suchych warunków klimatycznych roślinami, nisko rosnącymi ziołami i płożącymi się, liściastymi trawami,. Odmienne niż żubry suhaki nie dawały sobie rady na nierównym terenie i w głębokim śniegu, bo nie umiały zbyt dobrze skakać. Biegały szybko na daleki dystans i potrafiły

umknąć drapieżnikom, lecz tylko po twardej, płaskiej powierzchni wystawionych na wiatr stepów. Muflony - dzikie owce - były natomiast znakomitymi wspinaczami i bez trudu uciekały po stromiznach, ale nie umiały odgarniać śniegu. Wolały zatem wietrzne, skaliste wyżyny.

Podobne do kóz gatunki, spokrewnione z muflonami, kozice i koziorożce, podzieliły górskie środowisko na strefy o różnej wysokości i stopniu pofałdowania, przy czym koziorożce zamieszkiwały najwyższe tereny z najbardziej stromymi skałami, na nieco niższych poziomach przebywały mniejsze i bardzo zwinne kozice, a muflony jeszcze niżej. Wszystkie je można było spotkać na nierównym gruncie najniższych nawet części suchych stepów, ponieważ wszystkie były przystosowane do zimna, pod warunkiem, że było sucho.

Woły piżmowe także należały do rodziny pustorożców, chociaż były większe i miały podwójne, ciężkie futra, które przypominały sierść mamutów i włochatych nosorożców, co dodawało im objętości i czyniło bardziej "wołopodobnymi". Skubały bez przerwy niskie krzewy i turzycę i były szczególnie dobrze przystosowane do najzimniejszych regionów; preferowały więc skrajnie mroźne, wietrzne, otwarte równiny blisko lodowca. Mimo że na lato gubiły zimowy puch, źle znosiły ciepłą pogodę.

Olbrzymie jelenie i renifery trzymały się stadami otwartych przestrzeni, ale większość pozostałej zwierzyny płowej karmiła się liśćmi drzew. Łosie samotniki trafiały się rzadko. Lubiły letnie liście drzew i soczystą rdestnicę, jak również wodne rośliny moczarów i jezior, a ze swoimi szerokimi kopytami i długimi nogami dawały sobie radę na błotnistym, bagnistym podłożu. Zimą odżywiały się gorzej strawialnymi trawami lub gałązkami wysokiej wierzby, rosnącej na niskich terenach dolin rzecznych, z łatwością pokonując zaspę śnieżną swoimi długimi nogami o płaskich kopytach.

Renifery dobrze czuły się zimą. Odżywiały się porostami, które pieniały się na nagiej ziemi i na skałach. Potrafiły wyczuć węchem ulubione rośliny nawet pod śniegiem i z dużej odległości, a ich kopyta były przystosowane do rozkopywania głębokich zasp, jeśli zaszła tego potrzeba. Latem karmiły się zarówno trawą, jak i liściastymi krzewami.

Wiosną i latem łosie i renifery chętnie przebywały na alpejskich łąkach lub trawiastych wyżynach, ale poniżej poziomu wypasu owiec, przy czym łoś jadł chętniej trawy niż krzewy. Osły i onagery nieodmiennie wolały suche, wysokie wzgórza, podczas gdy żubry miały swoje środowisko nieco niżej, choć na ogół wspinały się wyżej niż konie, których wybór terenu był z kolei szerszy niż mamutów czy nosorożców.

Pierwotne równiny ze swoimi złożonymi i zróżnicowanymi terenami trawiastymi dawały pożywienie ogromnej liczbie nadzwyczaj różnorodnych zwierząt. W późniejszej historii Ziemi żadne miejsce temu nie dorównało. Mimo pewnych podobieństw suche, chłodne środowisko

wysokich gór było nieporównywalne. Kiedy zmienił się klimat nizin, mieszkające w górach owce, kozy i antylopy rozszerzyły swój rewir na niżej położone obszary, ale duże stada równinnych zwierząt nie potrafiły przeżyć w stromym, skalistym terenie wysokich gór.

Rozmokłe północne moczary były inne. Na zbyt mokrym gruncie nie rosła trawa, a ubogie, kwaśne gleby powodowały, że wrażliwe i wolno tu wegetujące rośliny produkowały trucizny, broniąc się przed zniszczeniem przez pasące się stada. Występowało tu niewiele gatunków flory, niezbyt zresztą pożywnych dla wielkich stadnych zwierząt; nie było więc wystarczająco dużo karmy. Mogły tu żyć tylko zwierzęta o dużych, płaskich kopytach, jak renifer. Olbrzymie stworzenia o wielkiej wadze z krótkimi, grubymi nogami, jak i szybkobiegacze z wąskimi, delikatnymi kopytami, grzęzły w miękkiej, mokrej ziemi. Potrzebny im był stały, suchy, solidny grunt pod nogami.

Później, na trawiastych równinach cieplejszych krain o bardziej umiarkowanej temperaturze, rozwinęły się odrębne strefy bardziej jednolitej roślinności, kontrolowanej przez klimat. Dawaly zbyt małą różnorodność latem i zbyt dużo śniegu zimą. Zwierzęta, które wymagały twardego gruntu, grzęzły w śniegu, a innym trudno było usunąć śnieg, żeby dostać się do paszy. Jelenie mogły żyć w lasach z głębokim śniegiem, ale tylko dlatego, że pasły się liśćmi i czubkami gałązek drzew wystających ponad poziom śniegu; renifery mogły przekopać się przez śnieg, żeby dosięgnąć porostów, którymi karmiły się w zimie. Żubry i tury utrzymywały się przy życiu, ale skarłały i nie rozwijały się już więcej do pełni swoich możliwości. Liczebność innych zwierząt, takich jak konie, zmniejszyła się znacznie w miarę kurczenia się ich ulubionego środowiska.

Wyjątkowa kombinacja wielu elementów na stepach epoki lodowcowej sprzyjała nadzwyczajnej mnogości gatunków, a każdy z nich był niezbędny, włącznie z okrutnym mrozem, wysuszającymi wiatrami i samym lodowcem. A kiedy wielkie lodowce skurczyły się do regionów polarnych i zniknęły z niższych stref, tak samo wielkie stada i olbrzymie zwierzęta skarłały lub całkowicie zniknęły ze zmienionej krainy, krainy, która nie mogła ich już dłużej utrzymać.

W czasie jazdy Ayle męczyły myśli o utraconej torbie na mięso i długich palach. Były bardziej niż użyteczne, mogły się okazać niezbędne podczas długiej podróży. Chciała zrobić nowe, ale trzeba by było pozostać na miejscu dłużej niż przez jedną noc, a wiedziała, że Jondalarowi bardzo zależy na pośpiechu.

Jondalar z kolei był niezadowolony z powodu mokrego namiotu oraz z faktu, że muszą w tym namiocie szukać schronienia na najbliższą noc. Ponadto nie powinno się składać i pakować mokrych skór; mogą zacząć gnić. Powinny zostać rozłożone do wyschnięcia i chyba należałoby nad nimi popracować w czasie schnięcia, żeby zachowały elastyczność, mimo że podczas wyprawiania były wędzone w dymie. To z pewnością zajmie więcej niż jeden dzień.

Po południu zbliżyli się do głębokiej doliny innej dużej rzeki, która oddzielała równinę od gór. Ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego na płaskowyżu, powyżej szerokiej doliny z dużą, szybko płynącą rzeką, widzieli tereny po drugiej stronie. Podnóże gór za rzeką było pożłobione wieloma suchymi parowami, pozostałościami powodzi i licznymi wąwozami dopływów rzecznych. To była główna rzeka, która zbierała znaczną część nie wchłoniętych przez glebę deszczy, i stanowiła główny spływ do morza dla wody ze wschodniej ściany gór.

Przedostali się przez zaokrągloną krawędź stepowego płaskowyżu i zjeżdżali zboczem. Okolica przypominała Ayli teren wokół Obozu Lwa, chociaż bardziej górzysty krajobraz za rzeką był odmienny. Ale po tej stronie widziała ten sam rodzaj głęboko wciętych wąwozów, wyrytych w lessowej glebie przez deszcze i topniejące śniegi, jak również wysoką trawę, która wyschła w stojące siano. Na dnie doliny pojedyncze modrzewie i sosny rozrzucone były między liściastymi krzewami, a kępy pałki wodnej, trzciny i sitowia zaznaczały brzeg rzeki.

Zatrzymali się po dojściu do rzeki. To był główny szlak wodny, szeroki i głęboki, wezbrany od niedawnych opadów. Nie wiedzieli, jak przedostać się na drugą stronę. Wymagało to zastanowienia.

- Szkoda, że nie mamy miskowej łódki - powiedziała Ayła, wspominając obciążone skórą, okrągłe łodzie, jakich Obóz Lwa używał do przeprawy przez rzekę koło ich ziemianki.

- To prawda. Sądzę, że będzie nam potrzebny jakiś rodzaj łodzi, żeby przedostać się na drugą stronę bez przemoczenia wszystkiego do suchej nitki. Nie wiem dlaczego, ale nie przypominam sobie, byśmy mieli takie problemy z przeprawą przez rzeki, kiedy podróżowałem z Thonolanem. Pakowaliśmy po prostu wszystko, co mieliśmy, na dwa pnie i przepływaliśmy. Ale chyba nie mieliśmy tak dużo rzeczy, tylko każdy po jednym plecaku. Tylko tyle mogliśmy nieść. Z końmi możemy więcej zabrać ze sobą, ale też musimy martwić się o więcej.

Jechali z biegiem rzeki, zastanawiając się nad sytuacją, kiedy Ayła nagle zauważyła wysokie, wysmukłe brzozy tuż nad wodą.

Miejsce miało tak znajomy wygląd, że niemal spodziewała się zobaczyć długie, półpodziemne domostwo Obozu Lwa wepchnięte w zbocze u krańca rzeczno tarasu, z trawą rosnącą po bokach, zaokrąglonym dachem i doskonale symetrycznym łukiem wejściowym, który tak ją zdziwił, kiedy go pierwszy raz ujrzała. Kiedy jednak istotnie zobaczyła taki łuk, widok wywołał wstrząs.

- Jondalarze! Patrz!

Spojrzał w górę zbocza, gdzie pokazywała ręką. Był tam nie jeden, ale kilka doskonale symetrycznych łuków wejściowych, każdy prowadzący do okrągłej, kopulastej budowli. Zsiedli z koni, znaleźli ścieżkę i zaczęli wspinać się do obozu.

Aylę zdziwiło, że tak bardzo zapragnęła spotkać ludzi, którzy tu mieszkali, i uświadomiła sobie, od jak dawna na nikogo się nie natknęli. Miejsce było jednak puste, a między dwoma zakrzywionymi kłami mamucimi, których czubki łączyły się u szczytu, tworząc łukowe wejście do jednego z domostw, była wbita w ziemię mała figurynka wyrzeźbiona z kości słoniowej, przedstawiająca kobietę o obfitym biuście i rozłożystych biodrach.

- Musieli gdzieś pójść - powiedział Jondalar. - Zostawili Doni na straży.

- Pewnie polują albo są na Letnim Spotkaniu, lub też poszli z wizytą. - Ayla czuła głębokie rozczarowanie, że nie było ludzi. - Jaka szkoda! Tak chciałam kogoś spotkać. - Odwróciła się, żeby odejść.

- Poczekaj, Aylo. Dokąd idziesz?

- Z powrotem do rzeki. - Spojrzała zdziwiona na niego.

- Ależ tu jest idealnie. Możemy zostać tutaj.

- Zostawili muti - Doni - żeby pilnowała ich ziemianek. Ochronia je duch Matki. Nie możemy tu zostać i zakłócić jej spokoju. To nam przyniesie nieszczęście - powiedziała, wiedząc doskonale, że on też wie o tym wszystkim.

- Możemy zostać, jeśli to konieczne. Nie wolno nam tylko brać niczego, co nie jest niezbędne. Tak to zawsze było rozumiane. Ayla, potrzeba nam schronienia. Nasz namiot ocieka wodą. Musimy go wysuszyć. A jak będzie schnął, możemy zapolować. Jeśli upolujemy właściwy rodzaj zwierzęcia, możemy użyć skóry na miskową łódkę do przeprawy przez rzekę.

Ayla rozchmurzyła się i uśmiechnęła, gdy zrozumiała, o co mu chodzi, i uświadomiła sobie wszystkie korzyści z pozostania w tym miejscu. Istotnie potrzebowali kilku dni, żeby pozbierać się po nocnej katastrofie i uzupełnić stracone rzeczy.

- Może będzie dosyć skóry na nową torbę na mięso - powiedziała. - Po oczyszczeniu i odwłosieniu, niewyprawiona skóra nie schnie długo, nie dłużej niż mięso. - Zerknęła w dół, ku rzece. - I popatrz na te brzozy, Jondalarze. Myślę, że dałoby się z kilku zrobić dobre pale. Masz rację. Potrzebujemy kilkudniowego postoju. Moglibyśmy zostawić trochę suszonego mięsa dla ludzi, którzy tutaj mieszkają, żeby im podziękować, iż mogliśmy użyć ich obozu... jeśli nam się powiedzie polowanie. W której ziemiance możemy się zatrzymać?

- Z Ogniskiem Mamuta. Tam zwykle zatrzymują się goście.

- Myślisz, że mają Ognisko Mamuta? Chodzi mi o to, czy myślisz, że to Obóz Mamutoi? - spytała Ayla.

- Nie wiem. Tu nie ma jednej wielkiej ziemianki, w której wszyscy mieszkają, jak w Obozie Lwa - powiedział Jondalar, patrząc na siedem okrągłych ziemianek, pokrytych gładką warstwą utwardzonej ziemi i rzecznej gliny. Zamiast jednego dużego, wielorodzinnego domostwa, jak to, w

którym mieszkali zimą, w tym miejscu było wiele małych budowli, jedna obok drugiej, ale cel był ten sam. To było osiedle, społeczność mniej lub bardziej spokrewnionych rodzin.

- Nie, to przypomina Obóz Wilka, gdzie było Letnie Spotkanie - orzekła Ayla, stając przed wejściem do jednej z małych ziemianek, wciąż trochę ociągając się przed odsunięciem ciężkiej zasłony i wejściem bez zaproszenia do obcego domu, mimo ogólnie przyjętych obyczajów, które rozwinęły się z konieczności, by umożliwić przeżycie w godzinie potrzeby.

- Niektórzy młodszy ludzie na Letnim Spotkaniu mówili, że te duże ziemianki są staromodne - powiedział Jondalar. - Woleli pomysł indywidualnych ziemianek na jedną albo dwie rodziny.

- Chcieli mieszkać sami? Tylko jedna ziemianka na jedną czy dwie rodziny? Na zimowy obóz? - spytała Ayla.

- Nie. Nikt nie chciał mieszkać sam przez całą zimę. Nigdy nie widzisz tych małych ziemianek osobno; zawsze jest ich co najmniej pięć albo sześć razem. To właśnie o to chodzi. Ludzie, z którymi rozmawiałem, uważali, że łatwiej jest zbudować małą ziemiankę dla nowej rodziny niż tak tłoczyć się w dużej, aż trzeba zbudować drugą. Ale chcieli budować blisko swoich rodzin i zostać w swoim obozie, razem pracować i razem jeść żywność, którą wspólnie zebrali i składowali na zimę.

Odsunął ciężką zasłonę zwisającą z połączonych kłów, stanowiących wejście, pochylił głowę i wszedł. Ayla stała przy wejściu, trzymając zasłonę, żeby dać mu trochę światła.

- Jak myślisz, Aylo? Czy to wygląda jak ziemianka Mamutoi?

- Być może. Trudno powiedzieć. Pamiętasz Obóz Sungaea, w którym zatrzymaliśmy się po drodze na Letnie Spotkanie? Nie różnił się tak bardzo od Obozu Mamutoi. Ich obyczaje były troszkę inne, ale pod wieloma względami byli podobni do Łowców Mamutów. Mamut powiedział, że ich ceremonia pogrzebowa też jest bardzo podobna. Myślał, że kiedyś byli spokrewnieni z Mamutoi. Zauważyłam jednak, że wzory na ich ozdobach były inne. - Przerwała, próbując uświadomić sobie jeszcze jakieś różnice. - I niektóre z ich ubrań - jak ta piękna narzuta na ramiona, zrobiona z wełny mamuciej i innych wełen na tej dziewczynce, która umarła. Ale obozy Mamutoi też mają różne wzory. Nezzie zawsze wiedziała, z jakiego obozu ktoś pochodzi, tylko po małych różnicach w stylu i kształcie ozdób na tunikach, chociaż ja nie umiałam się ich dopatrzeć.

Przy świetle wpadającym przez otwór wejściowy widać było wyraźnie podtrzymującą konstrukcję. Ziemianka była wsparta nie drewnem, chociaż kilka pali brzoźowych podparła ją w strategicznych punktach; zbudowana była z kości mamucich. Duże, solidne kości tych potężnych bestii były najobfitszym i najłatwiej dostępnym materiałem budowlanym na bezdrzewnych w zasadzie stepach.

Większość kości mamucich, użytych jako materiał budowlany, nie pochodziła ze zwierząt zabitych umyślnie w tym celu, lecz ze zwierząt umarłych z przyczyn naturalnych. Zbierano je w miejscach, w których mamuty padły na stepie, lub znacznie częściej korzystano ze szczątków niesionych przez powódź i gromadzących się w sterty na zakrętach rzek czy takich przeszkodach jak powalone drzewa. Stałe zimowe schronienia budowano często na rzecznych tarasach niedaleko od takich stert, ponieważ kości i kły mamuta są bardzo ciężkie.

Na ogół potrzeba kilku osób do podniesienia jednej kości i nikt nie chciał ich nosić zbyt daleko; waga wszystkich mamucich kości użytych do budowy jednej małej ziemianki wynosiła tysiąc do półtora tysiąca kilogramów, a czasem więcej. Wzniesienie takiego schronienia nie było zajęciem dla jednej rodziny, lecz musiało być wspólnym wysiłkiem grupy, kierowanej przez kogoś z wiedzą i doświadczeniem, i zorganizowane przez kogoś z umiejętnością przekonania innych, by przy tym pomogli.

Miejsce nazywane obozem stanowiło wioskę i ludzie, którzy w niej żyli, nie byli nomadami wędrującymi za migrującymi zwierzętami, lecz prowadzili zasadniczo osiadły tryb życia myśliwych i zbieraczy. Można było opuścić obóz na krótki czas w lecie, kiedy mieszkańcy szli polować czy zbierać żywność, którą przynosili z powrotem i trzymali w pobliskich dołach składowych, czy też wybierali się z wizytą do krewnych i przyjaciół z innej wioski, żeby wymienić plotki i dobra, tutaj jednak było ich stałe miejsce.

- Nie sądzę, żeby to było Ognisko Mamuta, czy jak to ognisko jest tu nazywane - powiedział Jondalar i pozwolił opaść zasłonie. Podniosła się z niej chmura kurzu.

Ayla wyprostowała małą figurkę kobiety, której stopy były celowo ledwie zaznaczone, przez co nogi kończyły się spiczasto i można je było wepchnąć w ziemię, żeby stała na straży przed wejściem, a potem poszła za Jondalarem do następnego domostwa.

- To chyba jest ziemianka przywódcy albo Mamuta, a może obu - powiedział Jondalar.

Ayla zauważyła, że ziemianka była trochę większa, a figurka kobieca przed wejściem bardziej dopracowana, i przytaknęła.

- Chyba Mamuta, jeśli to są Mamutoi lub ludzie do nich podobni. Ogniska domowe przywódcy i przywódczyni Obozu Lwa były mniejsze niż Mamuta, ale jego ogniska używali goście i wszyscy inni też się tam gromadzili.

Stali oboje u wejścia i przytrzymywali zasłonę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Wewnątrz zarzyły się dwa małe światełka. Wilk zawarczał, a nos Ayli wyczuł woń, która ją zaniepokoiła.

- Nie wchodź tam, Jondalarze! Wilk! Zostań! - rozkazała, czyniąc jednocześnie znak ręką.

- Co to jest, Aylo?

- Nie czujesz? Tam jest zwierzę potrafiące wydawać silną woń, chyba borsuk. Jeśli go przestraszymy, narobi strasznego smrodu, którego trudno potem się pozbyć. Nie moglibyśmy skorzystać z tej ziemianki, a i mieszkający tu ludzie mieliby kłopoty. Może gdy odsuniesz zasłonę na bok, Jondalarze, sam wyjdzie. One ryją tunele i nie lubią światła, chociaż czasem polują w dzień.

Wilki wydał niski warkot z głębi gardła i było oczywiste, że spina się, aby skoczyć za tym fascynującym stworzeniem. Jak większość członków rodziny łasicowatych, borsuk potrafił spryskać napastnika niesłychanie silnym i gryzącym płynem z gruczołów przyodbytnicznych. Ayla absolutnie nie chciała mieć w pobliżu cuchnącego mocnym piżmowym odorem wilka, ale nie była pewna, jak długo potrafi go powstrzymać. Jeśli borsuk nie wyjdzie za chwilę sam, będzie musiała użyć bardziej drastycznego sposobu na pozbycie się go z ziemianki.

Borsuk nie widział zbyt dobrze swoimi małymi i niepozornymi oczkami, ale z natężoną uwagą wpatrywał się w jasne wejście. Kiedy zdawało się pewne, że zwierzę samo nie wyjdzie, sięgnęła po procę owiniętą wokół głowy i po kamienie z woreczka wiszącego u pasa. Włożyła kamień w wypukłą kieszonkę procy, wzięła na cel dwa odbijające światło punkciki, szybkim ruchem mistrza zakreśliła procę, żeby nadać jej pęd, i rzuciła kamień. Usłyszała głuchy odgłos i dwa małe światełka zgasły.

- Chyba go trafiłaś, Aylo! - powiedział Jondalar, ale odczekali jeszcze chwilę, żeby się przekonać, czy nic się nie rusza w ziemiance.

Po wejściu stanęli jak wryci. Dość duże zwierzę, długości około siedemdziesięciu pięciu centymetrów od nosa do czubka ogona, leżało rozciągnięte na ziemi z krwawą raną na łbie, ale bez wątplenia długo już przebywało w ziemiance, niszcząc wszystko, co znalazło. Wszystko było zrujnowane! Klepisko rozdrapane i pełne wykopanych dołków, w niektórych zaś leżały odchody zwierzęcia. Plecione maty, które pokrywały ziemię, były podarte na strzępy, jak również najrozmaitsze plecione pojemniki. Skóry i futra na wzniesionych platformach-poślaniach zostały pożute i poszarpane na części, a pierze, wełna i trawy, stanowiące wypchanie materaców na poślaniach, porzucane były wszędzie. Nawet w grubej, twardo ubitej ziemnej ścianie widniała dziura; borsuk zrobił sobie własne wejście.

- Popatrz na to! To straszne wrócić i zastać coś takiego - powiedziała Ayla.

- To jest zawsze ryzyko, kiedy się zostawia miejsce puste. Matka nie ochrania ziemianki przed innymi swoimi stworzeniami. Jej dzieci muszą zwrócić się bezpośrednio do ducha zwierzęcia i same dać sobie radę ze zwierzętami tego świata - odezwał się Jondalar. - Możemy trochę oczyścić im ziemiankę, ale nie naprawimy wszystkich szkód.

- Obedrę ze skóry borsuka i zostawię dla nich, żeby wiedzieli, co spowodowało zniszczenie. Przynajmniej będą mogli użyć futra do czegoś - zdecydowała Ayla, złapała borsuka za ogon i wyniosła na dwór.

W lepszym świetle widać było szary grzbiet ze sztywnym, stojącym włosiem, ciemniejsze podbrzusze i charakterystyczne czarno-białe pręgi na głowie, co potwierdziło jej wcześniejsze przypuszczenie, że istotnie był to borsuk. Przecięła mu gardziel ostrym krzemiennym nożem i zostawiła, żeby się wykrwawił. Wróciła do ziemianki, zatrzymując się na moment przed wejściem, żeby popatrzeć na pozostałe kopulaste domostwa tuż obok. Próbowała wyobrazić sobie, jak by to miejsce wyglądało z ludźmi, i bardzo żałowała, że mieszkańcy odeszli. Bez innych ludzi było się bardzo samotnym. Nagle poczuła wielką wdzięczność za istnienie Jondalara i ogrom swojej miłości do niego.

Dotknęła amuletu wiszącego u szyi, wymacała znajome przedmioty wewnątrz ozdobnego skórzanego woreczka i pomyślała o swoim totemie. Nie myślała o swoim opiekuńczym duchu Lwa Jaskiniowego tak często jak kiedyś. To był duch klanu, choć Mamut zapewnił ją, że jej totem nigdy jej nie opuści. Jondalar zawsze mówił o Wielkiej Matce Ziemi, kiedy poruszał temat świata duchów, i ona też więcej teraz myślała o Matce, od czasu kiedy Mamut zaczął ją uczyć, ale nadal uważała, że to Lew Jaskiniowy sprowadził Jondalara, i odczuła potrzebę zwrócenia się do swojego duchowego totemu.

Ayla posłużyła się pradawnym, świętym językiem milczących gestów, jakim zwracano się do świata duchów, jak również używano przy komunikacji z innymi klanami, których nieliczne mówione słowa oraz sygnały rąk były odmienne, przymknęła oczy i skupiła myśli na totemie.

”Wielki Duchu Lwa Jaskiniowego - gestykulowała. - Ta kobieta jest wdzięczna, że uznałeś ją za godną; wdzięczna za to, że wybrał ją potężny Lew Jaskiniowy. Mogur powtarzał tej kobiecie, że trudno jest żyć z potężnym duchem, ale zawsze warto. Mogur miał rację. Chociaż testy i próby były czasami trudne, otrzymane dary odpowiadały trudnościom. Ta kobieta jest najbardziej wdzięczna za dary wewnętrzne, za dar uczenia się i rozumienia. Ta kobieta jest także wdzięczna za mężczyznę, którego wielki totem Duch do niej przyprowadził i który zabiera teraz tę kobietę do swojego domu. Ten mężczyzna nie zna duchów klanu i nie w pełni rozumie, co to znaczy być wybranym przez Ducha Wielkiego Lwa Jaskiniowego, ale ta kobieta jest wdzięczna, że również on został uznany za godnego”.

Już miała otworzyć oczy, kiedy przyszła jej do głowy myśl. “Wielki Duchu Lwa Jaskiniowego - ciągnęła w myślach swym milczącym językiem. - Mogur powiedział tej kobiecie, że duchy totemów zawsze chcą domu, miejsca, gdzie są mile widziane i chcą zostać. Ta podróż się skończy, ale ludzie mężczyzny nie znają duchów totemów klanu. Nowy dom tej kobiety nie będzie

tym samym domem, ale mężczyzna czci ducha wszystkich zwierząt i jego ludzie muszą znać i czcić Ducha Lwa Jaskiniowego. Ta kobieta powiada, że Wielki Duch Lwa Jaskiniowego zawsze będzie witany i zawsze będzie miał miejsce tam, gdzie przyjeta zostanie kobieta”.

Ayla otworzyła oczy i zobaczyła, że Jondalar ją obserwuje.

- Wydawałaś się... zajęta - powiedział. - Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Ja... myślałam o moim totemie, o Lwie Jaskiniowym - odpowiedziała. - I o twoim domu.

Mam nadzieję, że będzie mu tam... dobrze.

- Wszystkim duchom zwierząt jest dobrze koło Doni. Wielka Matka Ziemia stworzyła i urodziła je wszystkie. O tym mówią legendy.

- Legendy? Historie o tym, co było?

- Myślę, że można o nich powiedzieć “historie”, ale opowiada się je w pewien specjalny sposób.

- Klan też ma legendy. Zawsze ogromnie lubiłam, kiedy Dorv je opowiadał. Mogur nazwał mojego syna od mojej ukochanej legendy, “Legendy o Durcu” - powiedziała Ayla.

Jondalar poczuł zdumienie i niedowierzanie na myśl, że ludzie klanu, płaskogłowi, mogą mieć legendy i historie. Nadal było mu trudno przezwyciężyć pewne zakorzenione przesady, wśród których wyrósł, ale wiedział już, że byli znacznie bardziej złożoną społecznością, niż sądził; dlaczego nie mieliby również mieć legend i opowieści?

- Czy znasz jakieś legendy Matki Ziemi? - spytała Ayla.

- Hm, chyba pamiętam kawałki z jednej. Mówi sieje w taki sposób, żeby było łatwiej zapamiętać, ale tylko specjalne Zelandonie znają je wszystkie. - Zatrzymał się na chwilę, a potem zaczął śpiewnie skandować:

Wylały się wody płodowe, wypełniając rzeki i morza, Drzewa wyrosły wysokie, gdy lądy obmyła woda. Z każdej kropli rozlanej liście wyrosły i trawy, Aż zielone rośliny świat wypełniły cały.

Ayla uśmiechała się:

- To cudowne, Jondalarze! Ten sposób opowiadania jest taki przyjemny i melodyjny, coś jak rytmy pieśni Mamutoi. Bardzo to będzie łatwo zapamiętać.

- Często się to śpiewa. Różni ludzie robią z tego czasem odmienne pieśni, ale słowa na ogół zostają te same. Niektórzy potrafią śpiewać całą historię, z wszystkimi legendami.

- Pamiętasz więcej?

- Tylko trochę. Słyszałem wszystko i znam opowieść, ale wiersze są długie, bardzo dużo do zapamiętania. Pierwsza część jest o tym, jak Doni była samotna i urodziła słońce, Bali, “Radość Matki wielka, syn jasny, światłość wszelka”, a potem mówi o tym, jak Matka go traci i znowu jest

samotna. Jej kochankiem jest księżyc, Lumi, ale jego także stworzyła. Ta opowieść jest jedną z legend kobiecych; jest o czasie księżycowym i stawaniu się kobietą. Są jeszcze legendy o tym, jak urodziła wszystkie duchy zwierząt oraz ducha mężczyzny i kobiety, a także wszystkie Dzieci Ziemi.

Wilk szczechnął przymilnym, szczenięcym tonem, którym na ogół skutecznie zwracał na siebie uwagę, i dlatego posługiwał się nim nadal, choć już wyrósł ze szczenięcego wieku. Oboje spojrzeli w jego kierunku i zobaczyli przyczynę podniecenia. Poniżej, skąpo zadrzewioną, trawiastą doliną, przeciągało małe stado turów. Były wielkie, z zagiętymi do przodu rogami i kudłatą sierścią, na ogół brązowego koloru, tak ciemną, że niemal czarną. Ale w stadzie była para zwierząt, które odbiegały od normy - miały białe plamy, przede wszystkim wokół pyska i na przednich częściach ciała, niewielkie genetyczne odchylenie, które ujawniało się sporadycznie, szczególnie wśród turów.

Niemal w tym samym momencie Ayla z Jondalarem spojrzeli na siebie, kiwnęli znacząco głowami i przywołali konie. Szybko zdjęli z nich kosze, wnieśli do ziemianki, zabrali miotacze i oszczepy, dosiedli koni i ruszyli ku rzece. Kiedy zbliżyli się do pasącego się stada, Jondalar zatrzymał konia, żeby zorientować się w sytuacji i zdecydować, jaki jest najlepszy sposób podejścia zwierząt. Idąc w jego ślady, Ayla także się zatrzymała. Znała się na zwierzętach mięsożernych, szczególnie niedużych, chociaż polowała również na zwierzęta tak duże jak ryś czy tak silne jak hiena jaskiniowa, a i lew mieszkał z nią kiedyś, jak teraz Wilk, ale nie była obeznana z roślinożernymi, które normalnie były zabijane na mięso. Chociaż kiedy żyła samotnie, wymyśliła własne sposoby polowania na nie, to Jondalar wychował się polując, i miał znacznie większe doświadczenie.

Być może dlatego, że dopiero co zwracała się do swojego totemu i do świata duchów, Ayla z dziwnym przeczuciem obserwowała stado. Wydawało jej się czymś więcej niż przypadkiem, że stado turów pojawiło się nagle, właśnie kiedy uznali, że Matka nie będzie miała obiekcji, jeśli zostaną tu kilka dni, żeby odtworzyć straty i zapolować na zwierzę z solidną skórą i mnóstwem mięsa. Zastanawiała się, czy jest to znak od Matki, a może od totemu, i czy zostali tutaj specjalnie doprowadzeni.

Nie było w tym jednak nic niezwykłego. Przez cały rok, a szczególnie w ciepłych porach, różne zwierzęta, pojedynczo i stadami, migrowały przez rzadkie lasy i bujne pastwiska dużych dolin rzecznych. W każdym miejscu wzdłuż głównych rzek można było co kilka dni zobaczyć jakiś gatunek wędrującej zwierzyny, a w pewnych sezonach codziennie przechodziły całe procesje. Tym razem było to stado dzikiego bydła, rodzaj zwierzęcia dokładnie odpowiadający ich potrzebom, chociaż wiele innych posłużyłoby równie dobrze.

- Aylo, widzisz tę wielką krowę? - spytał Jondalar. - Tę z białą łatą na pysku i na lewej łopacie?

- Tak.

- Myślę, że spróbujemy ją ubić. Jest w pełni dorosła, ale sądząc z rozmiarów rogów - niezbyt stara, i chodzi osobno.

Aylę przeszedł dreszcz. Teraz była już pewna, że to znak. Jondalar wybrał niezwykle zwierzę! Zwierzę z białymi plamami! Kiedykolwiek w życiu stała przed trudnym wyborem i po długim namyśle podejmowała wreszcie decyzję, jej totem potwierdzał, że była ona prawidłowa przez pokazanie znaku, jakiegoś niezwykle przedmiotu. Kiedy była małą dziewczynką, Creb opowiedział jej o takich znakach i poradził, żeby je zabierała ze sobą na szczęście. Większość małych przedmiotów, które nosiła w ozdobnym woreczku na szyi, była znakami od totemu. Nagłe pojawienie się stada turów, kiedy już zdecydowali się zostać, oraz decyzja Jondalara, żeby zapolować na niezwykle zwierzę, zdumiewająco przypominały taki znak.

Chociaż decyzji o pozostaniu w tym obozie nie musiała podejmować sama, była ona jednak bardzo ważna i wymagała dokładnego przemyślenia. To był stały, zimowy dom grupy ludzi, którzy odwołali się do potęgi Matki, aby strzegła go podczas ich nieobecności. Mimo że potrzeba przeżycia pozwalała obcemu wejść do domu w razie konieczności, musiał on mieć uzasadniony powód. Nikt nie chciał ściągnąć na siebie możliwego gniewu Matki bez zastanowienia się.

Żywe stworzenia gęsto zamieszkiwały ziemię. W swoich podróżach spotkali ogromną liczbę najrozmaitszych zwierząt, ale niewielu tylko ludzi. W świecie tak ubogim w życie ludzkie pociechą była myśl, że niewidzialne królestwo duchów wiedziało o ich istnieniu, obserwowało ich czyny i, być może, kierowało ich krokami. Nawet srogi i nieprzyjazny duch, którego obchodzili w wystarczającym stopniu, by wymagał od nich pewnych czynności dla przebłagania go, był lepszy niż bezduszne ignorowanie przez surowy i obojętny świat, w którym ich życie spoczywało całkowicie w ich własnych rękach i nie było nikogo, do kogo można by się zwrócić w godzinie potrzeby, choćby tylko myślami.

Ayla uznała, że jeśli polowanie im się powiedzie, będzie to oznaczało, że wolno im skorzystać ze schronienia w obozie, jeśli jednak im się nie uda, muszą odejść. Pokazano im znak, niezwykle zwierzę, i żeby im się poszczęściło, muszą zatrzymać jego część. Gdyby nie mogli, gdyby polowanie się nie udało, byłby to znak dany przez Matkę, że powinni natychmiast odejść. Młoda kobieta była ciekawa, co z tego wyniknie.

ROZDZIAŁ 9

Jondalar obserwował rozciągnięte wzdłuż rzeki stado turów. Zwierzęta rozproszyły się między dolną krawędzią zbocza a brzegiem rzeki i pasły się na małych łąkach z bogatą, zieloną trawą, oddzielonych od siebie krzakami i drzewami. Łaciata krowa pasła się sama na małym pastwisku z gęstymi zaroślami brzozowych i olchowych krzewów z jednego krańca, które odgradzały ją od kilku innych członków stada. Krzaki ciągnęły się wzdłuż podnóża stoku, ustępując stopniowo miejsca kępom turzycy i ostrolistnej trzciny na mokrym, niskim gruncie z drugiej strony, schodzącym do bagnistej zatoczki, zarośniętej trzcina i pałką wodną.

Odwrócił się do Ayli i wskazał na bagnisko.

- Jeśli pojedziesz wzdłuż rzeki, poza te trzciny i pałki, a ja podejść do niej przez ten rozstęp w krzakach, to znajdzie się między nami i będziemy mogli ją powalić.

Ayla oceniła sytuację i kiwnęła głową. Zsiadła z konia.

- Zanim zaczniemy, przywiążę kołczan - powiedziała, umocowując długi pojemnik, zrobiony z niewyprawionej skóry, do rzemyków, które przytrzymywały derkę z miękkiej skóry jeleniej. Trzymała w nim kilka dobrze zrobionych, smukłych oszczepów z wąskimi kościanymi grotami, zastruganymi i wypolerowanymi do wielkiej ostrości oraz rozdzielonymi na dwoje u podstawy, gdzie przyczepione były do długiego drzewca. Każdy oszczep miał przyczepione z tyłu dwa proste pióra i nacięty rowek w grubym zakończeniu.

Podczas gdy Ayla przywiązywała kołczan, Jondalar wyjął oszczep z pojemnika na plecach, przyczepionego do rzemienia przechodzącego przez jedno ramię. Zawsze tak nosił swoje oszczepy, kiedy polował pieszko, i był do tego przyzwyczajony, chociaż kiedy podróżował na swoich własnych dwóch nogach i nosił plecak, trzymał oszczepy w specjalnym pojemniku zrobionym z boku plecaka. Włożył oszczep do miotacza i trzymał go w pogotowiu.

Jondalar wynalazł miotacz oszczepów latem w dolinie Ayli. Była to wyjątkowa i niesłychana innowacja, natchnione dzieło geniuszu, jakie wyrosło z jego naturalnych technicznych uzdolnień i intuicyjnego pojmowania zasad fizycznych, które dopiero po wiekach zostaną zdefiniowane i skodyfikowane. Miotacz był genialny w swej prostocie.

Uformowany z jednego kawałka drewna, mierzył około pół metra długości i czterech centymetrów szerokości, ze zwężeniem na przedzie. Trzymało się go horyzontalnie. Pośrodku na całej długości miał rowek, gdzie wkładało się oszczep. Haczykowaty wspornik u końca pasował do wyżłobienia w podstawie oszczepu i hamował oszczep przed zsunięciem się, jak również

przytrzymał go podczas rzucania, co zwiększało celność tej broni myśliwskiej. Z przodu miotacza były dwie pętle z miękkiej skóry.

Jondalar kładł oszczep na miotacz, z podstawą wpasowaną w haczyk wspornika. Przekładał wskazujący i środkowy palec przez skórzane pętle z przodu miotacza, który sięgał niemal do połowy drzewca, i lekko przytrzymał oszczep. Ale właściwa funkcja miotacza ujawniała się podczas rzutu. Wtedy mocny uchwyt z przodu powodował uniesienie się końca, który stawał się przedłużeniem ramienia, zwiększając jego zasięg. To zwielokrotniało siłę i pęd rzucanego oszczepu.

Miotanie oszczepem przypominało rzucanie go ręką; różnicę widać było po rezultatach. Z miotaczem długie drzewca z ostrymi grotami można było wyrzucać na dwukrotną odległość rzutu ręką i to ze zwielokrotnioną siłą.

Wynalazek Jondalara wykorzystywał zalety mechanicznego przeniesienia i wzmocnienia siły mięśni, ale nie był pierwszym urządzeniem wykorzystującym te zasady. Wśród jego ludzi powstało wiele pomysłowych wynalazków, a podobne idee wykorzystywano na różne sposoby. Na przykład ostry kawałek krzemienia trzymany w ręku był sprawnym przyrządem do rozcinania, ale wpasowany w trzonek dawał użytkownikowi o wiele większą siłę i precyzję. Ten pozornie prosty pomysł dodawania rękojeści do przedmiotów - noży, siekier, toporów i innych tnących, nacinających i borujących narzędzi, oraz dłuższych - do łopat i grabi, czy wręcz rodzaju zdejmowanej rękojeści do rzucania oszczepu - wielokrotnie zwiększał ich skuteczność. Wynalazek był prosty, ale ważny - ułatwiał pracę i zwiększał szansę przeżycia.

Ci, którzy byli przed nimi, też powoli rozwijali i ulepszali różne przyrządy i narzędzia, ale dopiero ludzie tacy jak Jondalar i Ayla mieli do wielkiego stopnia rozwiniętą wyobraźnię i zmysł wynalazczości. Ich umysły z łatwością poruszały się w dziedzinie abstrakcji. Potrafili wymyślić koncepcję i zaplanować jej zastosowanie. Poczynając od prostych pomysłów, które wykorzystywały intuicyjnie rozumiane, skomplikowane zasady, wyciągali wnioski i potrafili je stosować w innych okolicznościach. Robili coś więcej niż wynajdowanie użytecznych narzędzi; wynajdowali naukę. I dzięki temu samemu twórczemu źródłu, wykorzystując tę samą umiejętność abstrahowania, potrafili zobaczyć otaczający ich świat w symbolicznej formie, potrafili wydobyć jego esencję i odtworzyć ją; dali początek sztuce.

Ayla przywiązała kołczan i dosiadła konia. Zobaczyła, że Jondalar już trzyma oszczep w pogotowiu, więc także umieściła oszczep w miotaczu i trzymając go z łatwością, ruszyła w kierunku wskazanym przez Jondalara. Dzikie bydło, pasąc się, powoli przesunęło się wzdłuż rzeki, a krowa, którą sobie upatrzyli, znajdowała się już w innym miejscu. Nie była też już taka izolowana. Niedaleko pasło się cielę i inna krowa. Ayla jechała wzdłuż rzeki, kierując Whinney

ruchami kolan, ud i ciała. Gdy zbliżyła się do upatrzonej ofiary, przez otwór w krzakach po drugiej stronie łąki zobaczyła zbliżającego się wysokiego mężczyznę na koniu. Trzy tury były między nimi.

Jondalar podniósł rękę, w której trzymał oszczep, z nadzieją, że Ayla zrozumie, iż jest to znak do zatrzymania się. Może powinien był dokładniej przedyskutować z nią strategię, zanim się rozdzielili, ale trudno było planować wszystkie szczegóły. Tak wiele zależało od zastanej sytuacji i ruchów zwierzyny. Dwa dodatkowe zwierzęta, które teraz pasły się obok łaciatej krowy, komplikowały nieco sprawę, ale nie było żadnego powodu do pośpiechu. Zwierzęta nie wydawały się zaalarmowane ich obecnością, więc chciał wypracować jakiś plan, zanim ruszą do ataku.

Nagle krowy podniosły łby i ich pełna zadowolenia obojętność przerodziła się w nerwowy niepokój. Jondalar spojrział i poczuł przypływ niezadowolenia graniczący z prawdziwym gniewem. Zbliżał się Wilk. Podchodził w kierunku bydła z wywieszonym językiem, wyglądał groźnie, ale i zdawał się zapraszać do zabawy. Ayla go jeszcze nie zauważyła i Jondalar z trudem się powstrzymał, by nie zawołać do niej, każąc zabrać pupila. Ale krzyk przestraszyłby tylko krowy i prawdopodobnie spłoszone zerwałyby się do biegu. Zamiast tego, kiedy machaniem ręki ściągnął jej wzrok, wskazał oszczepem Wilka.

Ayla dostrzegła Wilka, ale nie była pewna, czego Jondalar chce, i próbowała prosić go gestami klanu, żeby jej to wyjaśnił. Chociaż miał elementarną znajomość języka klanu, nie pomyślał w tym momencie o jej gestach jako o języku i nie rozumiał jej sygnałów. Koncentrował się na tym, jak poprawić pogarszającą się sytuację. Krowy zaczęły ryczeć, a cielę, wyczuwając ich strach, również zabeczało. Cała trójka wyglądała, jakby za chwilę miała rzucić się do ucieczki. To, co z początku wydawało się niemal idealnymi warunkami do łatwej zdobyczy, prędko stawało się zmarnowanym wysiłkiem.

Zanim sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, Jondalar popędził Zawodnika. Jednobarwna krowa rzuciła się do ucieczki przed nadbiegającym koniem i mężczyzną w kierunku drzew i krzaków. Ryczący cielak popędził za nią. Ayla czekała tylko, by się upewnić, za którym zwierzęciem pójdzie Jondalar, a potem ona także pogalopowała za łaciatą. Zbliżali się do tura, który nadal stał na pastwisku, rycząc nerwowo, kiedy zwierzę nagle poderwało się do biegu i skierowało na mokradła. Popędzili za nim, ale kiedy już byli blisko, krowa zrobiła zwrot i pobięła z powrotem, przebiegając między koźmi ku drzewom po drugiej stronie łąki.

Ayla zmieniła położenie ciała i Whinney szybko zawróciła. Kobyła była przyzwyczajona do nagłych zmian. Ayla od dawna polowała z grzbietu końskiego, choć zazwyczaj na mniejszą zwierzynę, którą kładła strzałem z procy. Jondalar miał więcej kłopotów. Wodze nie przekazywały tak szybko rozkazu jak zmiana położenia ciała, a mężczyzna i młody ogier mieli znacznie mniej

doświadczenia we wspólnym polowaniu. Jednak po kilku sekundach wahania także popędzili za łaciatym turem.

Krowa w największym pędzie kierowała się ku niewielkiemu laskowi i gęstym krzewom. Jeśli uda jej się dopaść zarośli, niełatwo ją tam dogonią i będzie miała duże szansę ucieczki. Ayla na Whinney i Jondalar na Zawodniku powoli doganiali tura, ale wszystkie zwierzęta trawożerne szybkością biegu ratowały się przed drapieżnikami i kiedy zachodziła potrzeba, dzikie bydło było niemal tak szybkie jak konie.

Jondalar popędził Zawodnika i koń rzucił się gwałtownie do przodu. Próbuąc ustabilizować chwiejący się oszczep, żeby zamierzyć się w uciekające zwierzę, Jondalar zrównał się z Ayla i popędził naprzód, ale na nieznaczny sygnał ze strony kobiety kobyła też przyspieszyła kroku. Ayla również trzymała oszczep gotowy do rzutu, lecz nawet w galopie jechała lekko, z pozbawioną wysiłku gracją, co było rezultatem praktyki i początkowo niezamierzonej tresury konia. Miała wrażenie, że wiele z jej sygnałów dla konia było raczej przedłużeniem myśli niż aktem kierowania. Wystarczyło, by pomyślała, jak i dokąd chce, by kobyła poszła, a Whinney to wykonywała. Tak dobrze się rozumiały, że nie zdawała sobie sprawy z tego, iż nieznaczne ruchy jej ciała, które towarzyszyły myślom, dawały sygnał wrażliwemu i inteligentnemu zwierzęciu.

Ayla wycelowała oszczep, kiedy nagle pojawił się Wilk i zaczął biec obok uciekającej krowy. Tur skierował uwagę na tego bardziej mu znanego drapieżnika i skręcił w jego stronę, przez co zwolnił pęd. Wilk skoczył, a wielka krowa odwróciła łeb, żeby odparować atak dużymi, ostrymi rogami. Wilk odskoczył, a potem rzucił się znowu i próbując znaleźć wrażliwe miejsce, złapał ostrymi zębami i potężnymi szczękami jej miękką, odsłoniętą nos. Wielka krowa zarzycała, podniosła łeb, uniosła Wilka w powietrze i potrząsnęła nim, próbując pozbyć się przyczyny bólu. Dyndając jak pusty futrzany worek, oszołomiony Wilk trzymał się mocno.

Jondalar natychmiast zauważył zmianę tempa i był gotów to wykorzystać. Pogalopował ku nim i z wielką siłą cisnął oszczepem z małej odległości. Ostry kościany grot przebił bok krowy i wślizgnął się między żebrami głęboko do wewnętrznych, żywotnych organów. Ayla była tuż za nim i moment później jej oszczep znalazł cel, wbijając się ukośnie tuż za klatką piersiową z drugiej strony, penetrując głęboko. Wilk wisiał na nosie krowy, dopóki nie runęła na ziemię. Z ciężarem ściągającym ją w dół, upadła ciężko na bok, łamiąc oszczep Jondalara.

- Ale przecież pomógł - protestowała Ayla. - Zatrzymał krowę, zanim dobiegła do drzew. - Mężczyzna i kobieta z wysiłkiem przewracali olbrzymiego tura, żeby odsłonić podbrzusze, przestępując przez kałużę gęstej krwi, która wyciekła z głębokiego nacięcia w gardle, zrobionego przez Jondalara.

- Gdyby jej przedtem nie pogonił, krowa pewnie nie zaczęłaby biec, dopóki nie znaleźlibyśmy się tuż obok. To mógł być łatwy łup - powiedział Jondalar. Podniósł drzewce swojego połamanego oszczepu i rzucił je z powrotem na ziemię. Pomyślał, że oszczep może by ocalał, gdyby Wilk nie ściągnął krowy na tę stronę. Zrobienie dobrego oszczepu wymagało wielkiej pracy.

- Nie możesz być tego pewien. Ta krowa sprawnie nas unikała i była szybkim biegaczem.

- Nic a nic nie przeszkadzaliśmy krowom, dopóki nie pojawił się Wilk. Próbowałem ci powiedzieć, żebyś go odwołała, ale nie chciałem wystraszyć ich krzykiem.

- Nie wiedziałam, czego chciałeś. Dlaczego nie powiedziałeś mi znakami klanu? Pytałam, ale nie zwracałeś na to uwagi - przypomniała Ayla.

Znakami klanu? - pomyślał Jondalar. Nie przyszło mu do głowy, że Ayla używała języka klanu. To byłby dobry sposób porozumiewania się. Potem potrząsnął głową.

- Wątpię, czy to by się na coś przydało. Prawdopodobnie nie zatrzymałby się, nawet gdybyś próbowała go odwołać.

- To możliwe, ale myślę, że Wilka można nauczyć, aby pomagał. Już pomaga w wypłaszaniu małej zwierzyny. Maluszek nauczył się polować ze mną. Był dobrym partnerem na łowach. Jeśli lew jaskiniowy może nauczyć się polować z ludźmi, to Wilk także mógłby - powiedziała Ayla, stając w obronie Wilka. W końcu zabili przecież tura i Wilk naprawdę się do tego przyczynił.

Jondalar uważał, że Ayla całkowicie nierealistycznie ocenia możliwości Wilka, ale sprzeczenie się z nią nie miało sensu. Traktowała zwierzę jak dziecko i tylko by go bardziej broniła.

- Dobrze, ale lepiej wypatroszmy tę krowę, zanim zacznie się psuć. Musimy tutaj zdjąć z niej skórę i poćwiartować mięso, by móc przewieźć je do obozu. - Nagle Jondalar uświadomił sobie dodatkowy problem. - Ale co zrobimy z Wilkiem?

- Co takiego z Wilkiem?

- Jeśli poćwiartujemy tura i część mięsa zabierzemy do obozu, zacznie żreć mięso, które zostawimy tutaj - powiedział mężczyzna ze wzrastającą irytacją. - A kiedy wrócimy po resztę, dobierz się do mięsa, które już zanieśliśmy do obozu. Jedno z nas będzie musiało zostać tutaj i pilnować go, a drugie tam, ale w takim razie jak przeniesiemy wszystko? Musimy tutaj rozbić namiot, żeby wysuszyć mięso, zamiast użyć ziemianki obozu, i to tylko przez Wilka! - Był wyprowadzony z równowagi problemami, które jego zdaniem powodował Wilk, i nie myślał jasno.

Ale teraz rozgniewała się Ayla. Może Wilk dostałby się do mięsa, gdyby jej nie było, ale nie tknie niczego w jej obecności. Będzie po prostu musiała trzymać Wilka przy sobie. To

niewielki problem. Dlaczego Jondalar tak się go czepia? Zaczęła mu odpowiadać, lecz zmieniła zdanie i zagwizdała na Whinney. Płynnym ruchem wskoczyła na konia i zwróciła się do Jondalara:

- Nie martw się. Ja przywiozę krowę do obozu - powiedziała i odjechała, wzywając do siebie Wilka.

Pojechała szybko z powrotem do ziemianki, zeskoczyła z konia, wbiegła do środka i wyszła stamtąd z kamienną siekierą z krótką rączką, którą zrobił dla niej Jondalar. Znowu dosiadła konia i popędziła Whinney w kierunku brzozonego lasu.

Jondalar obserwował jej odjazd, zobaczył, jak wraca i jedzie w kierunku lasów, i zastanawiał się, co planuje. Zaczął rozcinać brzuch, żeby wyjąć wnętrzności i żołądek krowy, ale pracował z mieszanymi uczuciami. Uważał, że jego niepokój o zachowanie młodego wilka był uzasadniony, ale żałował, że powiedział o tym Ayli. Wiedział, co czuła dla tego zwierzaka. Jego skargi nie mogły niczego zmienić, a musiał przyznać, że jej tresura już dokonała wiele więcej, niż uważał za możliwe.

Kiedy usłyszał odgłos rąbania drzewa, zrozumiał nagle, co zamierzała zrobić, i także poszedł w kierunku lasu. Zobaczył, że Ayla gorączkowo wali siekierą w wysoką, prostą brzozę pośrodku zagajnika ciasno rosnących drzew, wyładowując przy tym swoją złość.

Wilk nie jest taki niedobry, jak sądzi Jondalar - myślała. To prawda, że omal nie spłoszył tura, ale potem pomógł. Zatrzymała się na moment, opuściła ręce i zmarszczyła czoło. Co by się stało, gdyby jej nie ubili, czy nie znaczyłoby to, że nie są tu miłe widziani? Że duch Matki nie chce, aby zostali w obozie? Gdyby Wilk przeszkodził w polowaniu, nie myślałaby teraz, jak przetransportować krowę; odjeżdżałoby stąd. Jeśli jednak było im przeznaczone zostać, to nie mógł przecież przeszkodzić. Znowu zaczęła rąbać. To wszystko jest zbyt skomplikowane. Zabili łaciątką krowę, mimo że przyłączył się do nich Wilk - a nawet przy jego pomocy - a więc mogli skorzystać z ziemianki. Może jednak zostali umyślnie doprowadzeni do tego miejsca?

Nagle podszedł Jondalar i próbował wyjąć jej z rąk siekierę.

- Poszukaj innego drzewa, a ja dokończę ścinania tego - powiedział.

Chociaż największa złość już jej przeszła, Ayla nie chciała przyjąć pomocy.

- Powiedziałam ci, że przeciągnę krowę do obozu. Mogę to zrobić bez twojej pomocy.

- Wiem, że możesz, w ten sam sposób, w jaki dociągnęłaś mnie do jaskini w dolinie. Ale jeśli będziemy pracowali oboje, to szybciej będziesz miała pale - powiedział i dodał: - I tak miałaś rację. Wilk pomógł.

Zatrzymała siekierę w powietrzu i spojrzała na niego. Czoło miał zmarszczone w wyrazie szczerzego niepokoju, ale w wyrazistych niebieskich oczach malowały się mieszane uczucia. Chociaż nie rozumiała jego obaw co do Wilka, widziała w nich miłość do niej. Przyciągały ją te

oczy, urok, z którego nie całkiem zdawał sobie sprawę ani nie wiedział, jak jest silny, i poczuła, że jej opór znika.

- Ty też masz rację - przyznała z niejaką skruchą. - Rzeczywiście popędził je, zanim byliśmy gotowi, i mógł nam zmarnować polowanie.

Jondalar uśmiechnął się z ulgą.

- No to oboje mamy rację - skwitował. Odpowiedziała mu uśmiechem i w następnym momencie obejmowali się i całowali. Przytulali się do siebie, pełni ulgi, że sprzeczka się skończyła.

Gdy nadal stali objęci, Ayla zauważyła:

- Myślę, że Wilk mógłby pomagać nam przy polowaniu. Musimy go tylko tego nauczyć.

- Nie wiem. Może. Ale skoro podróżuje z nami, myślę, że powinnaś go nauczyć wszystkiego, co tylko możliwe. Jeśli już niczego innego, to może choć tego, by nie przeszkadzał nam w polowaniu.

- Powinieneś mi przy tym pomóc, żeby słuchał nas obojga.

- Wątpię, czy zwróci na mnie uwagę - powiedział Jondalar. A kiedy spostrzegł, że gotowa była mu zaprzeczyć, dodał: - Ale jeśli chcesz, to spróbuję. - Wziął od niej kamienną siekiere i zdecydował się poruszyć jeszcze jeden temat, który wspomniała wcześniej. - Powiedziałaś coś o używaniu gestów klanu, kiedy nie chcemy krzyczeć. To może być użyteczne.

Ayla z uśmiechem poszła szukać drugiego drzewa o właściwym kształcie i rozmiarze.

Jondalar przyjrzał się drzewu, przy którym pracowała, żeby zobaczyć, ile jeszcze rąbania jest potrzebne. Trudno było ściąć twarde drzewo kamienną siekiere. Kruchy krzemień siekiery był dość gruby, by się zbyt łatwo nie łamał od siły uderzenia, i nie wchodził głęboko, a tylko odłupywał małe kawałki. Drzewo wyglądało bardziej na obgryzione niż rąbane. Ayla słuchała rytmicznych dźwięków kamienia uderzającego o pień i dokładnie badała drzewa w zagajniku. Kiedy znalazła odpowiednie, naznaczyła jego korę i zaczęła się rozglądać za trzecim.

Kiedy wybrane drzewa zostały zrąbane, wyciągnęli je na polankę i za pomocą noży i siekiery oczyścili z gałęzi, po czym ułożyli na ziemi. Ayla oceniła potrzebną długość i zaznaczyła ją, a potem razem przycięli równe pale. Podczas gdy Jondalar wyjmował wnętrzości z tura, wróciła do ziemianki po sznury i urządzenie, które zrobiła ze skórzanych pasów i rzemieni splecionych razem. Wyniosła również jedną z podartych mat podłogowych, przywołała Whinney i zamocowała na niej specjalną uprząż.

Dwa długie pale - trzeci był potrzebny tylko do trójnoga, którego używała do przechowywania żywności poza zasięgiem szkodników - przymocowała cieńszymi końcami do uprzęży, krzyżując je powyżej kłębów. Grubsze końce ciągnęły się po ziemi po obu stronach

kobyły. Sznurami przymocowała matę w poprzek szerzej rozstawionych pali włók, blisko ziemi, i dodała dodatkowe sznury, żeby przywiązać i przytrzymać na miejscu tura.

Patrząc na rozmiary potężnej krowy, Ayla zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to jednak zbyt dużo nawet dla silnego stepowego konia. Mężczyzna i kobieta z wysiłkiem wpakowali tura na włók. Mata dawała minimalną tylko podpórkę, ale przywiązali zwierzę bezpośrednio do pali, tak że cielsko nie ciągnęło się po ziemi. Po tych wszystkich wysiłkach Ayla zaczęła się tak niepokoić, że ładunek jest zbyt ciężki dla Whinney, iż niemal zmieniła swój plan. Jondalar wyjął dotąd żołądek, kiszki i inne organy, może więc powinni na miejscu zdjąć skórę i podzielić mięso na poręczniejsze kawałki? Nie odczuwała już potrzeby pokazania mu, że potrafi sama dostarczyć tura do obozu, ale skoro załadowali go w końcu na włók, zdecydowała się pozwolić Whinney na próbę.

O ile Ayla zdziwiła się, kiedy koń zaczął ciągnąć ciężki ładunek przez nierówny teren, to zdumienie Jondalara było jeszcze większe. Tur był potężniejszy od Whinney, więc musiał to być dla niej nie lada wysiłek, ale dzięki temu, że prawie cały ciężar tura spoczywał na palach, ładunek stawał się możliwy do uciągnięcia. Nieco trudniej było na zboczu, ale krzepki stepowy koń podołał zadaniu. Na nierównym gruncie włók był najbardziej skutecznym sposobem transportowania ciężarów.

Urządzenie było wynalazkiem Ayli; zrodziła go potrzeba, okazja i nagły przyptyw intuicji. Gdy mieszkała sama i nie miała nikogo do pomocy, często znajdowała się w sytuacji, kiedy musiała przenieść rzeczy zbyt dla niej ciężkie - takie jak całe dorosłe zwierzęta - i na ogół musiała je dzielić na mniejsze części, a potem zastanawiać się nad sposobem uchronienia tego, co zostawiła, przed drapieżnikami. Wychowanie kobyły stworzyło wyjątkową okazję wykorzystania siły konia do pomocy w transporcie. Jednak prawdziwą przewagę dawał jej własny umysł - dzięki niemu analizowała możliwości i znajdowała rozwiązania.

Kiedy dotarli do ziemianki, odwiązali tura i podziękowawszy kobyle słowami i uściskami, poprowadzili ją z powrotem na dół, żeby zabrać wnętrzności. Były także użyteczne. Na polance Jondalar podniósł złamany oszczep. Przednia część drzewca obłamała się; grot nadal tkwił w ciele zwierzęcia, ale długa, prosta tylna część była cała. Może się do czegoś nada - pomyślał, i zabrał ją ze sobą.

Po powrocie do obozu zdjęli uprząż z Whinney. Wilk obwąchiwał wnętrzności; najbardziej lubił kiszki. Ayla wahała się przez moment. Gdyby były potrzebne, mogłaby użyć ich do wielu celów, od pojemników na tłuszcz do uszczelniaczy na wodę, ale nie mogli zabierać ze sobą więcej, niż już mieli.

Dlaczego zdawało się, że gdy mają konie i mogą zabrać ze sobą więcej rzeczy, więcej ich również potrzebują? Odchodząc z klanu, szła piechotą i wszystko, co było jej potrzebne, niosła w

koszu na plecach. To prawda, że ich namiot był dużo wygodniejszy niż schronienie zrobione z jednej płachty, jakiego wtedy używała, i mieli zmianę odzieży, i zimową odzież, której teraz nie używali, i więcej żywności i sprzętu, i... Nigdy nie dałaby rady ponieść wszystkiego w koszu na plecach.

Rzuciła niepotrzebne im teraz kiszki Wilkowi i razem z Jondalarem zabrali się do oprawiania dzikiej wołowiny. Po zrobieniu szeregu nacięć zaczęli razem ściągać skórę, co było lepszym sposobem niż oddzielanie skóry nożem. Ostrych narzędzi używali tylko po to, żeby przeciąć ją w kilku miejscach, w których była przyczepiona. Błona między skórą a mięśniami oddzieliła się gładko i została im w rękach doskonała skóra, przedziurawiona tylko w dwóch miejscach oszczepami. Zwinęli ją, żeby nie wyschła zbyt szybko, i odłożyli na bok łeb. Język i mózg były miękkie i pożywne, i zamierzali zjeść te smakołyki wieczorem. Czaszkę z dużymi rogami postanowili zostawić w obozie. Może mieć dla kogoś szczególne znaczenie, a jeśli nie, to i tak było dla niej wiele pożytecznych zastosowań.

Ayla wzięła żołądek i pęcherz do małego strumyczka nieopodal obozu, aby je umyć, a Jondalar zszedł nad rzekę w poszukiwaniu krzaków i smukłych drzew, które można by wygiąć na okrągłą ramę małej łódki. Szukali także chrustu i drewna spływowego. Potrzeba im było kilku ognisk, żeby utrzymać z daleka od mięsa zwierzęta i owady, jak również ognisko w środku ziemianki.

Pracowali, aż zrobiło się niemal zupełnie ciemno, dzieląc krowę na duże części, a potem krojąc mięso na małe, trójkątne kawałki i wieszając je do wyschnięcia na tymczasowych stelażach z gałęzi, ale nie udało im się uporać ze wszystkim. Wnieśli na noc stelaże do ziemianki. Namiot był nadal wilgotny, ale też go złożyli i schowali. Rozłożą go znowu następnego dnia, kiedy wyniosą mięso, żeby wiatr i słońce dokończyły suszenia.

Rano, po pocięciu reszty mięsa, Jondalar zaczął budować łódkę. Używając zarówno pary, jak i kamieni rozgrzanych w ognisku, wyginał drewno na ramę łódki. Aylę bardzo to interesowało i chciała się dowiedzieć, kto go tego nauczył.

- Mój brat, Thonolan. On wyrabiał oszczepy - tłumaczył Jondalar, przytrzymując koniec małego, prostego pnia, z którego uformował koło, a Ayla umocowywała je ścięgami z zadnich nóg tura.

- Ale co robienie oszczepów ma wspólnego z robieniem łodzi?

- Thonolan potrafił zrobić idealnie proste drzewce oszczepu. Żeby nauczyć się usuwania krzywizn z drewna, musisz najpierw nauczyć się, jak je zakrzywiać, a to potrafił robić równie dobrze. Znacznie lepiej niż ja. Naprawdę miał wielkie wyczucie drewna. Myślę, że jego rzemiosło można nazwać nie robieniem oszczepów, lecz kształtowaniem drewna. Potrafił robić najlepsze

rakiety śnieżne, a to oznacza zrobienie kompletnego koła z prostych gałęzi. Może dlatego tak dobrze czuł się wśród Sharamudoi. Oni są specjalistami w kształtowaniu drewna. Używają gorącej wody i pary do wyginania swoich dębanych łodzi do pożądanego kształtu.

- Co to jest dębana łódź? - spytała Ayla.

- To łódź wycięta z całego pnia. Przód jest uformowany w ostry czubek, tył także. Ślizga się po wodzie tak gładko i łatwo, jakby ją cięto ostrym nożem. To są piękne łodzie. Ta, którą robimy, jest niezdarna w porównaniu z nimi, ale tu nie ma dość dużych drzew. Zobaczysz takie łodzie, kiedy dojdziemy do Sharamudoi.

- Daleko jeszcze do nich?

- Jeszcze dość daleko. Za tymi górami - odparł, spoglądając na zachód, ku wysokim szczytom niewyraźnym w letniej mgiele.

- Och - powiedziała z rozczarowaniem. - Miałam nadzieję, że to już niedaleko. Miło byłoby zobaczyć ludzi. Żałuję, że nikogo nie ma w tym obozie. Może wróca, zanim odejdziemy.

Jondalar zwrócił uwagę na tęsknotę w jej głosie.

- Brakuje ci ludzi? - spytał. - Tak długo byłaś sama w dolinie, że myślałem, iż przywykłaś.

- Może właśnie dlatego. Już dosyć czasu spędziłam w samotności. Nie mam nic przeciwko temu na trochę, czasami to lubię, ale nie widzieliśmy żadnych ludzi już od tak dawna... Po prostu myślałam, że miło byłoby z kimś porozmawiać - powiedziała i spojrzała na niego. - Jestem taka szczęśliwa, że ty jesteś ze mną. Byłoby tak samotnie bez ciebie.

- Ja też jestem szczęśliwy. Szczęśliwy, że nie jestem w tej podróży sam, szczęśliwszy, niż to potrafię wyrazić, że poszłaś ze mną. Też chciałbym spotkać ludzi. Kiedy dojdziemy do Wielkiej Matki Rzeki, powinniśmy się na kogoś natknąć. Teraz podróżujemy z dala od wody. Ludzie mieszkają na ogół w pobliżu świeżej wody, rzek czy jezior, nie na otwartej przestrzeni.

Ayla skinęła głową i przytrzymała jeszcze jedno smukłe młode drzewko, które grzało się na gorących kamieniach i na parze, podczas gdy Jondalar ostrożnie wygiął je w koło, a potem pomogła mu przymocować je do innych. Sądząc z rozmiarów, zaczęła podejrzewać, że do pokrycia tego potrzebna będzie cała skóra tura. Zostanie zaledwie kilka skrawków, zbyt mało, żeby zrobić nową torbę na mięso, w miejsce tej, którą straciła w powodzi. Łódź była im potrzebna do przeprawy przez rzekę, więc będzie musiała wymyślić coś innego. Może kosz się nada - pomyślała - ciasno spleciony, podłużny i dość płaski, z pokrywką. Były tu pałki wodne, trzciny i wierzby, pełno materiału na zrobienie kosza, ale czy kosz się nada?

Problem z przewożeniem świeżego mięsa polegał na tym, że nadal sączyła się z niego krew, i niezależnie od tego, jak ściśle był upleciony, kosz w końcu zaczynał przeciekać. Dlatego gruba,

twarda, surowa skóra była do tego celu najlepsza. Wchłaniała krew i nie przeciekała, można ją było myć po użyciu i ponownie wysuszyć. Ayla potrzebowała czegoś o tych samych właściwościach.

Problem zastąpienia torby na mięso zaprzętał jej myśli i kiedy ukończyli ramę i zostawili ją, żeby poczekać, aż ścięgna wyschną na twardo, Ayla ruszyła w kierunku rzeki zebrać materiał na zrobienie kosza. Jondalar poszedł z nią razem, ale tylko do brzozowego lasu. Skoro już zajmował się kształtowaniem drewna, postanowił zrobić kilka nowych oszczepów, żeby zastąpić złamane.

Przed odjazdem dostał od Wymeza trochę dobrego krzemienia, z grubsza już obrobionego i uformowanego. Zrobienie nowych grotów nie będzie trudne. Zanim odeszli z Letniego Spotkania, zrobił kilka kościanych grotów, żeby pokazać technikę ich wyrabiania. Takich grotów używali jego ludzie, ale nauczył się również robienia krzemiennych grotów Mamutoi, a ponieważ był sprawnym łupaczem krzemienia, szło mu to szybciej niż kształtowanie i wygładzanie kościanych.

Po południu Ayla zaczęła robić specjalny koszyk na mięso. Kiedy mieszkała w dolinie, spędziła wiele długich zimowych wieczorów na pleceniu koszy i mat i nabrała w tym wielkiej wprawy. Niemalże mogłaby zrobić kosz po ciemku. Jej nowy pojemnik do noszenia mięsa był gotowy, zanim przyszła pora na spanie. Był bardzo dobrze wykonany, dokładnie przemyślała potrzebną wielkość i kształt, materiał i ścisłość splotu, lecz nie była w pełni zadowolona.

W zapadającym zmierzchu poszła do małego strumienia, żeby zmienić wchłaniającą wełnę i wyprać tę, którą nosiła. Położyła ją koło ogniska, ale z dala od zasięgu wzroku Jondalara. Unikając jego oczu, położyła się na futrach obok niego. W klanie uczono kobiety, żeby na tyle, na ile to tylko możliwe, unikały mężczyzn podczas krwawienia i nigdy nie patrzyły bezpośrednio na nich. Dziwiło ją, że Jondalarowi to zupełnie nie przeszkadza, ale nadal czuła się nieswojo i starała się dbać o swoje potrzeby w ukryciu.

Jondalar zawsze był bardzo troskliwy w czasie jej księżycowego cyklu, ponieważ wyczuwał jej niepokój, ale kiedy już leżała koło niego, pochylił się i pocałował ją. Nie otworzyła oczu, ale odpowiedziała mu z żarem, a kiedy znowu położył się na plecach i leżeli obok siebie, patrząc na tańczące odbłaski ognia na suficie i ścianach wygodnego domostwa, rozmawiali, choć bardzo uważała, żeby na niego nie spojrzeć.

- Chciałbym pokryć czymś tę skórę po naciągnięciu na ramę - odezwał się Jondalar. - Jakbym pogotował kopyta, skrawki skóry i trochę kości przez dłuższy czas, zrobiłaby się bardzo gęsta i klejąca maź, która zasycha na twardo. Czy mamy coś, w czym mógłbym to gotować?

- Na pewno coś wymyślę. Czy to się ma długo gotować?

- Tak. Woda musi się wygotować, żeby zgęstniało.

- W takim razie najlepiej chyba gotować bezpośrednio nad ogniem, jak zupeł... może w kawałku niewyprawionej skóry. Będziemy musieli tego doglądać i dodawać wody, ale jak długo

skóra będzie mokra, nie spali się... Poczekaj. A co z żołądkiem tego tura? Trzymam w nim wodę, żeby nie wysechł i żeby mieć na podorędziu wodę do gotowania i mycia, ale byłby z tego świetny pojemnik do gotowania - powiedziała Ayla.

- Nie sądzę - odparł Jondalar. - Nie chcemy dodawać wody. Chcemy, żeby to zgęstniało.

- No to może dobry kosz do gotowania i gorące kamienie będą najlepsze. Mogę go spleść rano.

Ayla leżała spokojnie, lecz nie mogła zasnąć. Myślała o tym, że istnieje lepszy sposób na wygotowanie masy, którą chciał zrobić Jondalar. Prawie już spała, kiedy nagle jej się przypomniało.

- Jondalarze! Przypomniało mi się.

On także już drzemał, ale natychmiast się poderwał.

- Hmm! Co się stało?

- Nic się nie stało. Właśnie przypominałam sobie, jak Nezzie topiła tłuszcz, i myślę, że to byłby najlepszy sposób ugotowania twojej gęstej mazi. Wykopujesz w ziemi płytki dołek o kształcie miski, wykładasz go kawałkiem surowej skóry - chyba został wystarczająco duży kawałek z tura. Łamiesz trochę kości i zasypujesz nimi dno, potem dodajesz wody, kopyt i co tam jeszcze chcesz. Możesz to gotować tak długo, jak długo zechce ci się grzać kamienie, a małe kawałki kości nie dadzą kamieniom dotknąć skóry, a więc jej nie przepalą.

- Dobrze. Tak zrobimy - powiedział Jondalar, na wpół śpiąc. Odwrócił się na drugi bok i wkrótce zaczął chrapać.

Jeszcze coś kłębiło się w myślach Ayli i nie dawało jej zasnąć. Miała zamiar zostawić żołądek tura ludziom z tego obozu, żeby mogli go używać jako bukłaku, ale trzeba go cały czas trzymać w wilgoci. Jeśli raz wyschnie, zesztynieje i już nie powróci do swojej elastycznej, wodoszczelnej postaci. Nawet jeśli napełni go wodą, w końcu przecieknie i wyparuje, a nie wiedziała, kiedy ci ludzie wrócą.

Nagle ją olśniło. Omalże znowu zawołała, ale powstrzymała się w porę. Spał, nie było powodu go budzić. Wysuszy żołądek i użyje go do wyłożenia nowego pojemnika na mięso, dopasowując go dokładnie do wymiarów kosza, kiedy jeszcze będzie mokry. Ayla była bardzo zadowolona, że wymyśliła sposób zastąpienia bardzo potrzebnego przedmiotu, który straciła.

Przez kilka następnych dni, podczas których mięso się suszyło, oboje byli bardzo zajęci. Dokończyli miskową łódkę i pokryli ją klejem zrobionym przez Jondalara z wygotowanych kopyt, kości i skrawków skóry. Kiedy łódka schła, Ayla plotła kosze: na mięso, które zostawiali mieszkańcom obozu w darze, do gotowania i do zbierania roślin, z których trochę miała zamiar

zostawić w ziemiance. Codziennie zbierała rośliny jadalne i lecznicze zioła, susząc część, żeby zabrać ze sobą.

Pewnego dnia Jondalar wybrał się z nią razem, żeby poszukać czegoś do zrobienia wiosła do łodzi. Niemal od razu znalazł czaszkę olbrzymiego jelenia, który zginął przed zrzućciem pletwiastego poroża. Znalezisko bardzo go ucieszyło, bo w ten sposób miał dwa wiosła jednakowej wielkości. Było jeszcze wcześniej, ale został z Ayla na resztę przedpołudnia. Uczył się rozpoznawać rośliny jadalne i w trakcie nauki zaczął rozumieć, ile właściwie wie Ayla. Jej znajomość roślin i wiedza o ich zastosowaniu była nieprawdopodobna. Kiedy wrócili do obozu, Jondalar przyciął odnogi szerokich rogów i przyczepił je do solidnych, dość krótkich drągów, robiąc w ten sposób bardzo praktyczne wiosła.

Następnego dnia postanowił użyć zestawu do kształtowania drewna, który skonstruował do zaginania gałęzi na ramę łodzi, żeby wyprostować drzewca na nowe oszczepy. Nadawanie im pożądanego kształtu i wygładzanie zabrało mu dwa kolejne dni, chociaż pracował specjalnymi narzędziami, które miał ze sobą i przechowywał w zwoju skóry związanej rzemieniami. Jednak za każdym razem, kiedy przechodził obok ściany ziemianki, gdzie leżało obłamane drzewce jego oszczepu, który przyniósł z doliny, czuł falę irytacji. Że też nie było innego sposobu wykorzystania tego prostego drzewca poza zrobieniem z niego za krótkiego i źle zbalansowanego oszczepu! A każdy z oszczepów, nad którymi tak ciężko pracował, mógł się złamać równie łatwo.

Kiedy uznał, że drzewca są wystarczająco proste, użył jeszcze jednego narzędzia: wąskiego noża krzemienego z podobnym do dłuta koniuszkiem i oprawką z rogu, żeby wyłobić głębokie nacięcie na grubszym końcu drzewca. Potem zrobił nowe grotty i przymocował je do oszczepów gęstym klejem pozostałym z pokrywania łodzi oraz przywiązał świeżymi ścięgami. Ścięgna kurczyły się w trakcie schnięcia i trzymały bardzo solidnie. Na zakończenie przyczepił po parze długich, znalezionych nad rzeką piór orłów, sokołów i kani, które żyły w tych okolicach i żywiły się licznymi tutaj susłami oraz innymi małymi gryzoniami.

Ustawili sobie cel, zrobiony z wypchanego trawą, poszarpanego i zniszczonego przez borsuka siennika. Połatany skrawkami skóry tura siennik absorbował siłę rzutu i nie niszczył oszczepów. Obydwoje ćwiczyli codziennie. Ayla po to, żeby nie stracić celności rzutu, a Jondalar eksperymentował z różnej wielkości drzewcami i grotami, żeby zobaczyć, które najlepiej nadają się do miotacza oszczepów.

Nowe oszczepy, wykończone i suche, zabrali na miejsce ćwiczeń, żeby wypróbować je z miotaczem i podzielić między siebie. Chociaż oboje bardzo sprawnie posługiwali się tą bronią myśliwską, niektóre z ćwiczebnych rzutów nieuchronnie omijały ustawiony, wymoszczony cel, na ogół lądując nieszkodliwie na ziemi. Kiedy jednak Jondalar potężnym zamachem rzucił świeżo

zrobiony oszczep i nie tylko nie trafił w cel, ale uderzył w dużą kość mamucią, używaną jako ława, aż wzdrygnął się cały. Usłyszał trzask, oszczep zgiął się i odbił. Drzewce pękło w słabym punkcie, około trzydziestu centymetrów od grotu.

Podszedł, żeby je dokładnie zbadać, i zobaczył, że również krucha krzemienna końcówka pękła wzdłuż krawędzi i odłupał się duży kawałek. Z koślawej resztki grotu niczego już nie można było zrobić. Wściekły był na siebie za zmarnowanie oszczepu, w którego zrobienie włożył tyle czasu i wysiłku, i to jeszcze zanim mógł posłużyć do czegoś pożytecznego. W nagłym przypływie złości przełamał na pół zakrzywione drzewce na kolanie i rzucił kawałki na ziemię.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Ayla mu się przygląda. Odwrócił się, zacerwienił ze wstydu za swój wybuch, pochylił i podniósł połamane kawałki, marząc o tym, by móc się ich niepostrzeżenie pozbyć. Kiedy znowu spojrzął na Aylę, przygotowywała się do rzutu kolejnym oszczepem, jak gdyby niczego nie widziała. Poszedł do ziemianki i położył połamany oszczep obok drzewca, które złamało się w czasie polowania, a potem z zażenowaniem patrzył na leżące kawałki. Taki wybuch złości z powodu złamanego oszczepu ośmieszał go.

Ale tyle czasu zabrało zrobienie go - myślał, patrząc na długie drzewce z ułamanym końcem i kawałek drugiego oszczepu ze złamanym krzemiennym ostrzem, który akurat leżał obok. Jaka szkoda, że nie można złożyć razem tych kawałków w jeden cały oszczep!

Przypatrzył im się i zaczął się zastanawiać, czy naprawdę nie można. Podniósł znowu oba kawałki i zaczął badać obłamane miejsca. Przyłożył je do siebie i przez chwilę rozszczepione końce trzymały się razem, po czym znowu się rozpadły. Zbadał całe długie drzewce i zauważył wyżłobienie, jakie zrobił na jego końcu, żeby wpasowywać weń haczyk miotacza, a potem obrócił je i jeszcze raz przyjrzał się obłamanemu końcowi.

Gdybym wyżłobił głębszy rowek w tym końcu - pomyślał - zaostrzył ten kawałek z obłamanym grotem i zestawil je razem, to czyby się tak trzymały? Pełen podniecenia wszedł do ziemianki po swój zwój z narzędziami i wyniósł je na zewnątrz. Usiadł na ziemi, rozwinął go i spośród najróżniejszych, świetnie zrobionych krzemiennych narzędzi, wybrał dłuto. Odłożył je na bok, zbadał złamane drzewce, sięgnął po swój krzemienny nóż i zaczął odcinać drzazgi, żeby wygładzić koniec.

Ayla przestała ćwiczyć i włożyła miotacz wraz z oszczepami do kołczanu, który przystosowała do noszenia na plecach przez jedno ramię, tak jak to robił Jondalar. Szła ku ziemiance, niosąc kilka właśnie wykopanych roślin, kiedy mężczyzna wyszedł jej naprzeciw z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Patrz, Aylo! - powiedział i podniósł oszczep. Kawałek ze złamanym grotem był wprawiony w czubek długiego drzewca. - Naprawilem to. A teraz zobaczę, czy działa!

Zawróciła z nim razem do miejsca ćwiczeń i patrzyła, jak wkłada oszczep do miotacza, celuje i wyrzuca go z wielką siłą. Długi pocisk uderzył w cel i odbił się. Ale kiedy Jondalar poszedł sprawdzić, zobaczył, że złamany grot, przyczepiony do małego, zaostrego drzewca, mocno wbił się w siennik. Przy uderzeniu długie drzewce odłączyło się i odbiło, ale kiedy je obejrzał, stwierdził, że jest nie uszkodzone. Dwuczęściowy oszczep działał.

- Aylo! Rozumiesz, co to znaczy? - Jondalar niemal krzyczał z podniecenia.

- Nie jestem pewna.

- Spójrz, grot wbił się w cel i oddzielił od drzewca, ale bez połamania. To znaczy, że następnym razem będę musiał zrobić tylko nowy grot i przytwierdzić go do takiego krótkiego kawałka. Nie muszę robić całego nowego, długiego drzewca. Mogę zrobić dwa takie groty, a właściwie wiele grotów, i będę potrzebował tylko kilku długich drzewc. Możemy nosić dużo więcej krótkich trzonek z grotami niż pełnych, długich oszczepów, a jeśli jakieś stracimy, nie będzie tak trudno zrobić nowe. Trzymaj, spróbuj sama - powiedział i wyciągnął złamany grot z siennika.

Ayla obejrzała go uważnie.

- Niezbyt dobrze umiem robić proste drzewce długiego oszczepu, a moje groty nie są tak piękne jak twoje, ale myślę, że nawet ja potrafiłabym zrobić coś takiego. - Była równie podekscytowana jak Jondalar.

W przeddzień odejścia sprawdzili jeszcze raz, co naprawili ze szkód uczynionych przez borsuka, umieścili jego skórę w taki sposób, żeby mieszkańcy mogli odgadnąć przyczynę zniszczeń, i wyłożyli swoje dary. Kosz z suszonym mięsem zwieszał się z krokwi z kości mamuciej, żeby utrudnić dostęp jakimś zwierzęcym maruderom. Ayla rozstawiła również inne kosze i powiesiła szereg wiązanek wysuszonych ziół leczniczych i roślin jadalnych, szczególnie tych, które były powszechnie używane wśród Mamutoi. Jondalar zostawił właścicielom ziemianki szczególnie dobrze zrobiony oszczep.

Wzniesli również na wysokim palu przed ziemianką częściowo wysuszoną czaszkę krowy, wraz z jej olbrzymimi rogami, aby również do niej nie dobrały się szkodniki. Rogi i inne kostne części były pożyteczne, a jednocześnie był to sposób wyjaśnienia, jakie mięso jest w koszu.

Młody wilk i konie zdawały się wyczuwać zbliżającą się zmianę. Wilk skakał dokoła nich, pełen podniecenia i energii, a konie były niespokojne, przy czym Zawodnik, wierny swemu imieniu, robił krótkie, szybkie wypadki, ale Whinney trzymała się bliżej obozu, szukała wzrokiem Ayli i rżała za każdym razem, kiedy ją zobaczyła.

Przed położeniem się spakowali wszystko poza śpiworami i rzeczami niezbędnymi do śniadania. Schowali również wysuszony namiot, choć skóra była twardsza i trudniej go było złożyć

oraz umieścić w koszu. Wyprawione skóry wędzono przed zszyciem ich w namiot, żeby nawet po solidnym zmoczeniu zachowały jaką taką elastyczność, ale ich przenośne schronienie nadal było dość sztywne. Zmięknie znowu w miarę używania.

Tej ostatniej nocy w wygodnej ziemiance Ayla obserwowała dogasające ognisko, które rzucało tańczące odblaski na ściany, i miała wrażenie, że targające nią uczucia migocą podobnym tańcem blasków i cieni. Chciała już znowu być w drodze, ale żal jej było zostawiać to miejsce, które - w tym krótkim czasie - już sprawiało wrażenie domu, choć nie było w nim ludzi. W ciągu ostatnich dni kilka razy przyłapała się na tym, że wpatruje się w szczyt zbocza w nadziei, że zobaczy powracających ludzi obozu.

Chociaż nadal życzyła sobie, by niespodziewanie wrócili, straciła nadzieję, że ich spotka, i nastawiła się na dojście do Wielkiej Matki Rzeki oraz ewentualne spotkanie kogoś na tym szlaku. Kochała Jondalara, ale tęskniła za ludźmi, za kobietami i dziećmi, za starcami, za śmiechem i rozmowami oraz wspólnotą z ludźmi własnego rodzaju. Jednak nie chciała wychodzić myślami poza następny dzień czy następny obóz z ludźmi. Nie chciała myśleć o ludziach Jondalara ani o tym, jak długo muszą podróżować, zanim dojdą do jego domu, i nie chciała myśleć o tym, jak przeprowią się przez dużą, wartką rzekę w swojej małej, okrągłej łódce.

Również Jondalar leżał bezsennie, niespokojny o ich podróż i gotowy do drogi, choć uważał, iż warto było się tu zatrzymać. Mieli suchy namiot, zapasy mięsa i zastąpili stracone czy zniszczone wyposażenie. Cieszył się również wynalazkiem dwuczęściowego oszczepu oraz tym, że mieli łódkę do przeprowy przez rzekę, chociaż sama przeprowa napawała go niepokojem. Rzeką była duża, szeroka i o wartkim prądzie. Znajdowali się już prawdopodobnie dość blisko morza i z pewnością nie będzie mniejsza dalej. Wszystko może się zdarzyć. Wolałby już być po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 10

Ayla budziła się często w ciągu nocy i miała otwarte oczy, kiedy pierwsze przebłyski świtu wpełzły przez otwór dymny i wysłały ledwo widoczne macki do mrocznych zakątków, rozpraszając ciemność i wydobywając ukryte kształty. Zanim głęboka ciemność nocy zamieniła się w półmrok świtu, kobieta była całkowicie obudzona i nie mogła już zasnąć.

Wyśliznęła się ostrożnie z ciepłego posłania i wyszła na dwór. Nocny chłód wraz z powiewem idącym od masywnych pokładów lodu na północy dotknął jej nagiego ciała i pokrył ją gęsią skórą. Patrząc przez zamgloną dolinę rzeki, zobaczyła niewyraźne zarysy drugiego brzegu, nadal pogrążonego w ciemności, rysującego się na tle jaśniejszego nieba. Pragnęła już być po drugiej stronie.

Ciepłe, szorstkie futro otarło się o jej nogi. Poklepała łeb i podrapała kark Wilka, który pojawił się koło niej. Powęszył, znalazł coś ciekawego i popędził w dół zbocza. Rozejrzała się za końmi i dostrzegła żółtawą sierść kobyły, pasącej się na jednej z trawiastych polanek koło wody. Nie widać było ciemnobrązowego konia, ale była pewna, że jest gdzieś w pobliżu.

Dygocząc z zimna, poszła po wilgotnej trawie w kierunku małego strumyka. Obserwowała, jak niebo na zachodzie zmienia barwę z jasnoszarej na pastelowo niebieską, jak nieliczne chmury przybierają różowy kolor, odbijając promienie porannego słońca, ukrytego za skarpią na wschodzie.

Aylę kusiło, by wejść na zbocze i zobaczyć wschodzące słońce, ale zatrzymał ją oślepiający błysk z drugiej strony. Chociaż pocięte wąwozami zbocze po przeciwległej stronie rzeki nadal tonęło w ponurej szarości, góry na zachodzie skąpane były w jasnym świetle słonecznym i odcinały się tak żywo na tle nieba, a każdy ich szczegół był tak wyraźnie widoczny, że zdawały się w zasięgu ręki. Oblodzone wierzchołki iskrzyły się w słońcu jak diadem i rzucały blaski na niższe, południowe stoki. Pełna podziwu, zapatrzyła się w tę grę światła, zafascynowana wschodem słońca.

Zanim doszła do małego strumyka przejrzystej wody, który pędził i pluskał po zboczu, poranny chłód zelżał. Położyła na ziemi zabrany z ziemianki bukłak i sprawdziwszy podkładkę z wełny, ucieszyła się, że jej czas księżycowy przeminał. Odpięła przytrzymujące paski i weszła do płytkiego stawku, żeby się umyć. Po umyciu się napełniła bukłak wodą z rozpryskującego się strumienia, który wpadał do stawu, po czym wyszła, obcierając rękami wodę z ciała. Zawiesiła amulet na szyi, podniosła wypraną wełnę i paski i pospieszyła z powrotem do ziemianki.

Kiedy weszła do półpodziemnego domostwa, Jondalar zawiązywał rzemień wokół śpiworów. Spojrzał na nią z uśmiechem. Zauważył, że nie ma na sobie skórzanych pasków, i jego uśmiech nabrał zdecydowanie innego znaczenia.

- Może nie powinienem był się tak spieszyć ze zwijaniem śpiworów - powiedział.

Zaczerwieniła się, kiedy zrozumiała, że wie o ustaniu księżycowego czasu. Potem spojrzała mu prosto w oczy, które pełne były radości i rosnącego pożądania, i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Zawsze możesz je znowu rozwinąć.

- Tak się skończyły moje plany wczesnego startu - rzekł i pociągnął koniec rzemienia, żeby rozwiązać węzeł przytrzymujący futra. Rozwinął je i wstał na jej spotkanie.

Po śniadaniu dokończenie pakowania nie zabrało im dużo czasu. Wzięli cały swój dobytek oraz łódź i razem ze zwierzęcymi towarzyszami podróży poszli w dół, ku rzece. Wpatrywali się w pędzącą wodę, nurt tak szeroki, że trudno było dokładnie zobaczyć brzeg z drugiej strony. Porywisty prąd załamywał się i wirował, tworząc małe, wzburzone fale, a odgłos wartkiej rzeki był niemal groźniejszy niż jej wygląd. Mówiła o swojej potędze przytłumionym, bulgocącym rykiem.

Podczas pracy nad okrągłą łódką Jondalar często myślał o rzece i o przeprawie. Nigdy przedtem nie robił łodzi, a pływał w niej tylko kilka razy. Nabrał nieco wprawy w posługiwaniu się długimi dłubankami, kiedy mieszkał z Sharamudoi, ale niezbyt dobrze dawał sobie radę z okrągłymi łódkami Mamutoi. Dobrze utrzymywały się na wodzie, trudno je było przewrócić, lecz równie trudno było nimi sterować.

Te dwa ludy nie tylko miały dostęp do różnego materiału do konstrukcji łodzi, ale również używały ich do różnych celów. Mamutoi byli przede wszystkim myśliwymi otwartych stepów; łowieniem ryb zajmowali się tylko z rzadka. Łodzi używali do przepraw przez zagradzającą im drogę wodę, czy to przez małe dopływy, czy też rzeki spływające w dół kontynentu od lodowców na północy do śródlądowych mórz na południu.

Ramudoi, połowa ludu Sharamudoi zwana Rzecznyymi Ludźmi, łowili ryby w Wielkiej Matce Rzece - choć mówili o tym jak o polowaniu, kiedy wybierali się na olbrzymie jesiotry - podczas gdy połowa zwana Shamudoi polowała na kozice i inne zwierzęta, które mieszkają na wysokich skałach i w górach nad rzeką, niedaleko ich domu zamkniętego w wielkiej kotlinie górskiej. Podczas cieplej pory roku Ramudoi żyli na rzece, w pełni wykorzystując jej zasoby, włącznie z wielkimi dębami, rosnącymi wzdłuż brzegów, których używali do wyrobu swoich pięknie wykonanych i łatwych do manewrowania łodzi.

- Chyba powinniśmy wszystko włożyć do łodzi - zauważył Jondalar, podnosząc jeden z koszy. Zastanowił się, odłożył kosz i wziął inny. - Chyba lepiej będzie włożyć na dno najcięższe rzeczy, a w tym są buty krzemienne i narzędzia.

Ayla przytaknęła. Także zastanawiała się nad przeprawą z rzeczarni i próbowała przewidzieć czekające ich trudności na podstawie doświadczeń wyniesionych z kilku wycieczek w łodziach Obozu Lwa.

- Powinniśmy zostawić miejsce dla siebie po bokach, żeby zachować równowagę. Wilka posadzę obok siebie.

Jondalar zastanawiał się, jak zachowa się Wilk w kruchej pływającej misce, ale powstrzymał się przed wyrażeniem swoich obaw. Ayla zobaczyła jego ściągnięte brwi, ale też nic nie powiedziała.

- Każde z nas musi mieć wiosło - orzekł i podał jej jedno.

- Mam nadzieję, że zostanie dla nas miejsce. - Wkładała namiot i zastanowiła się, czy nie mogłaby na nim siedzieć.

Chociaż było ciasno, udało im się zmieścić w łodzi wszystko poza palami.

- Chyba będziemy musieli je zostawić. Nie ma dla nich miejsca. - Twarz Jondalara znowu się zachmurzyła. Dopiero co je zrobili, żeby zastąpić te, które utonęły.

Ayla uśmiechnęła się i podniosła pęk sznurów, które zostawiła na wierzchu.

- Nie, nie będziemy musieli. One popłyną. Po prostu przywiążę je do łódki, żeby nam nie uciekły.

Jondalar nie był pewien, czy to dobry pomysł, i już miał zamiar wyrazić swoje zastrzeżenia, kiedy następne pytanie Ayli skierowało jego myśli na inne tory.

- Co zrobimy z końmi?

- A co mamy zrobić? Potrafią przecież przepłynąć rzekę.

- Tak, ale wiesz, jakie są nerwowe, szczególnie jeśli mają zrobić coś, czego nigdy nie robiły. A co zrobimy, jeśli przestraszą się czegoś w wodzie i zdecydują zawrócić? Nie zechcą spróbować przeprawy jeszcze raz, i to same. Nie będą nawet wiedziały, że jesteśmy po drugiej stronie. Będziemy musieli wrócić i je przeprowadzić, więc dlaczego nie poprowadzić ich od razu? - tłumaczyła Ayla.

Miała rację. Konie prawdopodobnie się wystraszą i mogą równie dobrze zawrócić, jak płynąć naprzód - pomyślał Jondalar. Ale jak je będziemy prowadzić siedząc w łodzi? To wszystko zaczynało się bardzo komplikować. Sterowanie łodzią będzie wystarczająco trudne, bez dodatkowej konieczności poskromienia przestraszonych koni. Czuł coraz większy niepokój przed tą przeprawą.

- Nałożymy im uprząż z lejcami i przywiążemy lejce do łodzi - zaproponowała Ayla.

- Nie wiem... To może nie jest najlepszy sposób. Może powinniśmy się nad tym zastanowić.

- Nad czym się tu zastanawiać? - spytała Ayla, związując trzy pale sznurem. Drugi koniec sznura umocowała do łodzi. - To ty chciałeś wcześniej wyruszać - dodała i założyła uprząż na Whinney, przyczepiła do niej postronki, które umocowała przy łodzi, po przeciwnej stronie niż pale. Trzymając luźny sznur, stanęła obok łodzi i zwróciła się w kierunku Jondalara: - Jestem gotowa.

Zawahał się, ale nagle podjął decyzję.

- Dobrze - rzekła. Wyjął uprząż Zawodnika z kosza i przywołał konia. Młody ogier rzucił łbem i zarżał, kiedy mężczyzna próbował narzucić na niego rzemienie, ale Jondalar zaczął do niego mówić, głaskać i klepać go, co uspokoiło konia i pozwolił założyć sobie uprząż. Jondalar przywiązał postronek do łodzi i spojrzał na Aylę: - Chodźmy.

Ayla dała znak Wilkowi, żeby wszedł do łodzi. Trzymając lejce, żeby zachować możliwość kierowania zwierzętami, zepchnęli łódkę do wody i wgramolili się do niej.

Problemy zaczęły się od razu. Szybki prąd złapał łódkę i porwał ją ze sobą, ale konie nie były jeszcze w pełni gotowe, żeby wejść do szerokiej rzeki. Kiedy łódka ruszyła, stanęły dęba, szarpiąc ją tak gwałtownie, że była bliska wywrócenia. Wilk omal nie stracił równowagi i niespokojnie oceniał sytuację. Ładunek był jednak tak ciężki, że łódka prędko się wyprostowała, choć była bardzo głęboko zanurzona w wodzie. Pale wrywały się z przodu, ciągnięte przez silny prąd.

Konie, pociągane przez łódkę i popędzane niespokojnymi słowami zachęty Ayli i Jondalara, wreszcie zdecydowały się wejść do wody. Najpierw Whinney wystawiła próbnie kopyto i znalazła dno, potem Zawodnik, aż oba weszły wreszcie głębiej. Dno przy brzegu opadało gwałtownie i wkrótce musiały popłynąć. Ayla i Jondalar nie mieli wyboru, musieli pozwolić, by znosił ich prąd, dopóki cała nieprawdopodobna kombinacja trzech pali, okrągłej, ciężko przeładowanej łódki z dwójgim ludzi i bardzo przestraszonym wilkiem, oraz dwóch koni z tyłu, nie ustabilizowała się. Puścili wtedy lejce i chwycili za wiosła, próbując odwrócić łódkę w poprzek nurtu.

Ayla, która siedziała twarzą do przeciwnego brzegu, miała kłopoty z posługiwaniem się wiosłem. Zabrało jej kilka chwil - podczas których Jondalar dawał jej instrukcje, a sam próbował wiosłować od brzegu - zanim złapała rytm i mogła użyć wiosła w takt z Jondalarem. Jednak i tak posuwali się bardzo wolno, hamowani przez długie pale z przodu i konie z tyłu. Konie przewracały ze strachu oczyma, a wszystkich razem prąd ściągał w dół biegu rzeki.

Zaczęli posuwać się nieco ku przeciwnemu brzegowi, chociaż podróżowali dużo szybciej w dół rzeki. Tuż przed nimi jednak rwąca rzeka, spływająca przez stopniowo opadający grunt, zakrecała gwałtownie na wschód. Wsteczny prąd, odbijający się od wystającej piaszczystej ławy brzegu, pochwyił pale, które szarpały przód łódki.

Długie drągi z brzozonego drewna, przywiązane do łódki tylko w jednym miejscu, obróciły się i uderzyły w miskową łódkę tuż koło Jondalara z taką siłą, że bał się, iż ją przedziurawią. Wszystkich podrzuciło, a łódka wpadła w ruch obrotowy, co z kolei szarpnęło przywiązanymi lejcami koni. Konie zarżały w panice, zaczęły połykać hausty wody i rozpaczliwie próbowały odpłynąć, ale nieustępliwy prąd ciągnął łódkę, do której były przywiązane, i porywał je także.

Wysiłki nie poszły jednak na marne. Szarpnięciem odwrócili łódkę z powrotem, lecz to spowodowało, że fale ponownie uderzyły mocno w burtę. Miotający się na burzliwym nurcie przeladowany stateczek kiwał się, huśtał i nabierał wody. Groziło im zatonięcie.

Przestraszony Wilk kulił się obok Ayli z ogonem między łapami, podczas gdy ona gorączkowo starała się ustabilizować łódź wiosłem, nie wiedząc, jak go użyć, a Jondalar wykrzykiwał instrukcje, których nie umiała zastosować. Rzenie przerażonych koni przyciągnęło jej uwagę i - widząc ich strach - zrozumiała nagle, że musi je odciąć i puścić wolno. Upuściła wiosło na dno łódki i wyjęła nóż z pochwy przy pasie. Wiedziała, że Zawodnik jest bardziej podekscytowany, więc najpierw zajęła się jego rzemieniem. Przy bardzo niewielkim wysiłku ostry nóż krzemienny przeciął skórę.

Uwolnienie konia spowodowało nowe uderzenia i obroty, czego już było zbyt dużo dla Wilka. Wyskoczył z łódki do wody. Ayła popatrzyła na jego gorączkowe ruchy, szybko przecięła postronek Whinney i wskoczyła za nim.

- Ayła! - krzyknął Jondalar, ale nagle uwolniona i lżejsza łódka zaczęła kręcić się i walić w pale. Zanim mógł spojrzeć, Ayła była już daleko i przywoływała Wilka, który płynął w jej kierunku. Whinney i przed nią Zawodnik kierowały się do przeciwległego brzegu, a prąd gnał łódkę jeszcze szybciej w dół rzeki i odciągał Jondalara od Ayli.

Odwróciła głowę i w przelocie zobaczyła Jondalara i łódkę, znikających za zakrętem rzeki. Serce zamarło jej na moment ze strachu, że nigdy go już nie zobaczy. Przez głowę przemknęła jej myśl, że nie powinna była wyskakiwać z łódki, ale nie miała teraz czasu się tym martwić. Podpływał do niej Wilk, walcząc z prądem. Zrobiła kilka ruchów w jego kierunku, ale kiedy dotarła do niego, próbował oprzeć jej łapy na ramionach i polizać w twarz. W swej gorliwości zanurzył ją pod wodę. Wynurzyła się, plując wodą, objęła go jedną ręką i rozejrzała się za końmi.

Kobyła płynęła do brzegu i oddalała się od niej. Ayła nabrała powietrza i gwizdnęła, głośno i przeciągle. Koń nastawił uszu i zawrócił na południe. Gwizdnęła znowu, Whinney zmieniła kierunek i próbowała płynąć w jej stronę, podczas gdy dziewczyna silnymi pociągnięciami starała się do niej zbliżyć. Ayła była dobrym pływakiem. Kosztowało ją niemało wysiłku przecięcie prądu, mimo że płynęła z nurtem rzeki. Kiedy dotarła do kudłatej kobyły, omal nie rozpląkała się z ulgi. Wilk wkrótce znalazł się obok nich, ale nie zatrzymał się i płynął dalej.

Ayla odpoczywała przez moment, trzymając się karku Whinney. Dopiero teraz zauważyła, jak zimna była woda. Zobaczyła wlokący się w wodzie rzemień, nadal przymocowany do uprzęży Whinney, i uświadomiła sobie niebezpieczeństwo dla konia, gdyby zahaczył się o jakieś pływające szczątki. Spędziła kilka minut na próbie rozwiązania węzła, ale mokry rzemień był nabrzmiąły i nie mogła go rozwiązać zeszywniałymi palcami. Odetchnęła głęboko i znowu zaczęła płynąć. Nie chciała zmuszać konia do dodatkowego wysiłku i miała nadzieję, że ruch ją rozgrzeje.

Kiedy wreszcie dotarli do przeciwległego brzegu, Ayla, potykając się, wyszła z wody, wyczerpana i dygocząca, i upadła na ziemię. Wilk i koń nie były w dużo lepszym stanie. Oba otrząsnęły się, rozpryskując wodę wokół, a potem Wilk upadł, ciężko oddychając. Kosmata sierść Whinney była gęsta również latem, chociaż nie tak jak zimą, gdy wyrastało jej futro zimowe. Klacz stała z szeroko rozstawionymi kopytami i dygoczącym ciałem, zwieszonym łbem i spuszczonej uszami.

Na szczęście letnie słońce stało wysoko i dzień był ciepły. Ayla przestała dygotać i wkrótce wypoczęła. Wstała i rozejrzała się za Zawodnikiem, pewna, że skoro jej się udało przepłynąć na drugą stronę rzeki, to ogier jest tu również. Zagwizdała najpierw gwizdem przywołującym Whinney, ponieważ Zawodnik na ogół też przychodził, kiedy wołała jego matkę. Potem gwizdnęła gwizdem Jondalara na Zawodnika i poczuła nagłe ukłucie niepokoju. Czy Jondalarowi udało się przepłynąć w tej lichej, małej łódce? A jeśli tak, to gdzie jest? Zagwizdała znowu w nadziei, że mężczyzna usłyszy ją i odpowie. Ucieszyła się, kiedy przygalopował ciemnobrązowy ogier, nadal w uprzęży i z krótkim postronkiem u karku.

- Zawodnik! - zawołała. - Dałeś radę. Wiedziała, że dasz.

Whinney przywitała go radosnym parsaniem, a Wilk entuzjastycznym szczenięcym szczekaniem, które powoli przeradzało się już w pełne wilcze wycie. Zawodnik odpowiedział głośnym rżeniem, w którym - zdaniem Ayli - słychać było ulgę z powodu znalezienia przyjaciół. Kiedy ich dopadł, potarł nosem o Wilkia, a potem stanął koło Whinney i położył łeb na jej karku, szukając pociechy po przerażającej przeprawie przez rzekę.

Ayla dołączyła do nich i objęła Zawodnika, potem go poklepała i pogłaskała, zanim zdjęła z niego uprząż. Był już tak do niej przyzwyczajony, że zdawała się w ogóle mu nie przeszkadzać. Mógł się też w niej swobodnie paść, ale Ayla bała się, że zwisający postronek może spowodować problemy, i wiedziała, że sama nie chciałaby bez przerwy nosić czegoś takiego. Potem zdjęła rzemień z Whinney i wetknęła wszystko za pas przy tunice. Pomyślała, że warto byłoby zdjąć mokre ubranie, lecz spieszyło jej się, więc zostawiła je do wyschnięcia na sobie.

- Dobrze, znaleźliśmy Zawodnika. Teraz pora znaleźć Jondalara - powiedziała głośno. Wilk patrzył na nią wyczekująco i do niego skierowała rozkaz: - Wilk! Znajdź Jondalara! - Dosiadła Whinney i ruszyła w dół biegu rzeki.

Po wielu obrotach, podskokach i uderzeniach dzięki wysiłkom Jondalara mała, pokryta skórą łódka znowu spokojnie płynęła z prądem, tym razem ciągnąc pale za sobą. Z dużym wysiłkiem zaczął jednym wiosłem popychać mały stateczek w poprzek wielkiej rzeki. Odkrył, że drewniane drągi, ciągnące się z tyłu, stabilizowały tę pływającą miskę, powstrzymywały ją przed kręceniem się w kółko i ułatwiały kierowanie.

Przez cały czas, starając się dotrzeć do brzegu, który się przed nim przesunął, wymyślał sobie, że nie skoczył za Ayla. Ale wszystko zdarzyło się tak szybko. Zanim zorientował się, co się dzieje, już była w wodzie, a jego znosił wartki prąd. Nie miało sensu skakanie do wody, gdy stracił ją z oczu. Nie mógłby dopłynąć do niej pod prąd i straciliby łódkę oraz wszystko, co w niej było.

Próbował pocieszać się świadomością, że Ayla jest świetnym pływaczką, ale pełen niepokoju zwielokrotnił swoje wysiłki, by przedostać się przez rzekę. Kiedy wreszcie dotarł do przeciwległego brzegu, daleko w dół od punktu startu, i poczuł dno szorujące o kamienistą plażę w zakolu, oddech miał urywany. Wylazł na brzeg i wciągnął ciężko wyładowaną małą łódkę, po czym opadł na ziemię, poddając się wyczerpaniu. Po kilku chwilach wstał jednak i zaczął iść w górę rzeki w poszukiwaniu Ayli.

Trzymał się blisko wody i gdy doszedł do małego strumienia wpadającego do rzeki, po prostu przeszedł go w bród. Nieco później jednak doszedł do kolejnego dopływu, znacznie większego, i zawahał się. To nie była rzeczka, przez którą można było przejść w bród, a gdyby próbował ją przepłynąć tak blisko ujścia, prąd by go z pewnością zniósł. Będzie musiał pójść pod prąd, aż znajdzie lepsze miejsce do przeprawy.

Ayla, jadąc na Whinney, dotarła niedługo potem do tej samej rzeczki i także poszła pod prąd. Kiedy jednak jest się na koniu, przechodzi się rzekę w innym miejscu, niż gdy idzie się piechotą. Pokonała znacznie krótszy odcinek drogi niż Jondalar i skierowała konia do wody. Zawodnik i Wilk poszły za nią i przepłynąwszy tylko mały odcinek pośrodku nurtu, znalazły się po przeciwległej stronie. Ayla ruszyła z powrotem ku wielkiej rzece, ale zobaczyła, że Wilk idzie w odwrotnym kierunku.

- Chodź, Wilk. Tędy idziemy! - zawołała. Gwizdnęła niecierpliwie i dała Whinney znać, żeby szła dalej. Wilk zawahał się, ruszył w jej stronę, potem znowu zawrócił, ale wreszcie poszedł za nią. Kiedy doszli do dużej rzeki, zawróciła z jej biegiem i puściła kobyłę galopem.

Serce Ayli zabiło szybciej na widok okrągłego, miskowatego przedmiotu na kamienistej plaży.

- Jondalarze! Jondalarze! - wołała, pędząc ku niemu. Zeskoczyła, zanim koń się zatrzymał, i rzuciła się w kierunku łodzi. Zajrzała do środka, a potem rozejrzała się po plaży. Wszystko wydawało się być tutaj, nawet trzy drągi; wszystko poza Jondalarem. - Jest łódź, ale nie mogę znaleźć Jondalara - powiedziała głośno. Wilk pisnął, jakby w odpowiedzi. - Dlaczego nie mogę znaleźć Jondalara? Gdzie on jest? Czy łódka tu przyplynęła sama? Czy nie dał rady przepłynąć się?

Nagle uderzyła ją myśl, że może poszedł jej szukać. Jeśli jednak szedł pod prąd, a ja z prądem, to jak mogliśmy się minąć...

- Rzeka! - niemal krzyknęła. Wilk znowu pisnął. Nagle przypomniała sobie jego wahanie, gdy przepławili się przez duży dopływ. - Wilk! - zawołała.

Podbiegł do niej i skoczył, kładąc łapy na jej ramionach. Obiema rękami chwyciła gęste futro na jego karku, spojrzała na długi pysk i inteligentne ślepie i wspomniła słabego chłopca, który tak przypominał jej syna. Rydag wysłał kiedyś Wilka, żeby jej poszukał, a Wilk przemierzył olbrzymią odległość i ją znalazł. Wiedziała, że potrafi odnaleźć Jondalara, gdyby tylko zrozumiał, czego chce od niego.

- Wilk, znajdź Jondalara! - powiedziała. Zeskoczył na ziemię i zaczął węszyć wokół łódki, a potem ruszył z powrotem drogą, którą przyszli, w górę rzeki.

Jondalar zanurzony po pas w wodzie ostrożnie stawiał nogi, przechodząc przez rzeczkę, kiedy z oddali usłyszał gwizd ptaka, który brzmiał jakoś znajomo i niecierpliwie. Zatrzymał się i przymknął oczy, próbując go zlokalizować, ale po chwili potrząsnął głową, niepewny nawet, czy rzeczywiście coś słyszał, i poszedł dalej. Kiedy dotarł do drugiego brzegu i zaczął iść ku głównej rzece, nie mógł przestać o tym myśleć. Jego niepokój o znalezienie Ayli wzrósł, lecz myśl o gwizdzie nie opuszczała go.

Szedł przez dłuższą chwilę w mokrym ubraniu, z pełną świadomością, że Ayla też jest przemoczona. Wówczas przyszło mu do głowy, że może powinien był zabrać namiot albo cokolwiek innego na osłonę. Robiło się późno, a wszystko mogło jej się przydarzyć. Mogła być ranna. Na tę myśl zaczął uważniej przyglądać się brzegowi i rosnącym tu zarośłom.

Nagle znowu usłyszał gwizd, tym razem dużo głośniejszy i bliżej, a po nim szczeknięcia i odgłos końskich kopyt. Odwrócił się i uśmiechnął szeroko na widok Wilka, za którym biegł Zawodnik i - co najważniejsze - Ayla na Whinney.

Wilk skoczył na mężczyznę, oparł łapy na piersi Jondalara i wyciągnął się, żeby polizać mu szczękę. Wysoki mężczyzna złapał go za grzywę, tak jak to robiła Ayla, i uściskał czworonożną bestię. Potem odepchnął Wilka, bo Ayla pędziła w jego kierunku, zeskoczyła i podbiegła do niego.

- Jondalar! Jondalar! - krzyczała, kiedy złapał ją w objęcia.

- Ayla! Och, Ayla!

Wilk podskakiwał i lizał oboje po twarzach, ale żadne go nie odepchnęło.

Wielka rzeka, przez którą przepawiło się dwoje ludzi, dwa konie i wilk, wpadała do słonawego śródlądowego morza, które

Mamutoi nazywali Morzem Berana albo Morzem Czarnym, na północ od rozległej delty Wielkiej Rzeki Matki. W miarę jak podróżnicy zbliżali się do rozdzielonego na wiele ramion ujścia wodnego szlaku, który przemierzał całą szerokość kontynentu i płynął przez niemal trzy tysiące kilometrów, dotychczasowy spadek gruntu zaczął się wyrównywać.

Wspaniałość trawiastych terenów w tej płaskiej południowej krainie zdumiała Aylę i Jondalara. Wszędzie pączkowały nowe bujne rośliny, których wzrost był niezwykle o tak późnej porze roku. Owo nietypowe zazielenienie spowodowała gwałtowna burza z ulewnymi deszczami, które zalały bardzo duże przestrzenie. Niczym na wiosnę odrodziły się trawy - nie tylko trawy, ale i kolorowe kwiaty: karłowate irysy, żółte i szkarłatne, ciemnoczerwone, wielopłatkowe piwonie, nakrapiane, różowe lilie i wyki w najrozmaitszych kolorach od żółtego, przez pomarańczowy, do czerwonego i purpurowego.

Głośne ćwierkania i gwizdy skierowały uwagę Ayli na wrzaskliwe czarno-różowe ptaki, które zataczały koła i nurkowały, rozdzielając się i zbiegając w wielkie stada, powodując zamieszanie swą nieustanną aktywnością. Tak wielkie zgromadzenie hałaśliwych towarzyskich szpaków pasterzy różowych, które zebrały się w pobliżu, sprawiła, że młoda kobieta poczuła się nieswojo. Wiedziała, że gnieździły się w koloniach, żerowały stadami i razem spędzały noce, ale nigdy nie widziała takiej ich chmary.

Zobaczyła również stada pustulek i innych ptaków. Hałas się wzmacniał, a w ogłuszającym szumie słychać było ton wyczekiwania. Nagle zauważyła dużą, ciemną chmurę, chociaż niebo było czyste. Zdawała się zbliżać do nich, poruszana wiatrem. Olbrzymie stado szpaków podnieciło się jeszcze bardziej.

- Jondalarze! - zawołała do mężczyzny, który jechał przed nią. - Popatrz na tę dziwną chmurę.

Mężczyzna spojrzął i zatrzymał konia, żeby na nią poczekać. Obserwowali chmurę, która najwyraźniej rosła, a może się zbliżała.

- Nie myślę, żeby to była chmura deszczowa - powiedział Jondalar.

- Też nie sędzę, ale co to może być innego? - spytała Ayla. Miała nieprzeparte wrażenie, że powinni poszukać jakiegoś schronienia. - Nie uważasz, że powinniśmy rozbić namiot i to coś przeczekać?

- Wolałbym iść dalej. Może przed nią umkniemy, jak się pospieszymy.

Popędzili szybciej konie przez zielone pola, ale zarówno ptaki, jak i chmura prześcignęły ich. Przerażliwy hałas przybrał na intensywności. Nagle coś dotknęło ramienia Ayli.

- Co to jest? - spytała, ale zanim jeszcze skończyła mówić, poczuła kilka ponownych uderzeń. Coś wylądowało na Whinney i odskoczyło, ale natychmiast wylądowało tego jeszcze więcej. Kiedy spojrzała na jadącego przed nią Jondalara, zobaczyła więcej tych latających, podskakujących rzeczy. Jedna wylądowała tuż przed nią i zanim odleciała, Ayła przykryła ją dłonią.

Podniosła to ostrożnie, żeby się dokładnie przyjrzeć. To był owad długości jej środkowego palca, o krępym tułowiu i długich tylnych nogach. Wyglądał jak duży świerszcz, ale nie był jednolitego zielonego koloru, który łatwo wtapia się w otoczenie, jak te, które widziała skaczące w trawach. Ten owad wyróżniał się jaskrawymi pasami czarno-żółto-pomarańczowymi.

Przyczyną był deszcz. Podczas normalnie suchego sezonu były to świerszcze, nieśmiałe, samotne stworzenia, które tolerowały inne owady swojego rodzaju wyłącznie na czas potrzebny do kopulacji, ale pod wpływem ulewnego deszczu zaszła w nich zdumiewająca zmiana. Wraz ze wzrostem delikatnej, świeżej trawy samice wykorzystywały obfitość żywności i złożyły więcej jaj, i znacznie więcej larw przeżyło. W miarę wzrostu populacji świerszczy doszło do zaskakującej przemiany. Młode świerszcze przybrały nowe barwy i zaczęły szukać wzajemnego towarzystwa. Nie były już świerszczami; stały się szarańczą.

Wkrótce olbrzymie chmury jaskrawo ubarwionej szarańczy łączyły się z innymi w jeszcze większe stada i kiedy wyczerpały zasoby lokalnej żywności, unosiły się w powietrze. Rój składający się z pięciu miliardów owadów nie był czymś niezwykłym, i łatwo pokrywał obszar stu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, zjadając osiemdziesiąt tysięcy ton roślinności w jedną noc.

Kiedy przednia krawędź "chmury" zaczęła się obniżać, żeby paść się na zielonej trawie, Ayła i Jondalara ściśle otoczyła chmura owadów, rojących się wszędzie wokół nich, uderzających i odbijających się od nich i od koni. Nie musieli przynaglać Whinney i Zawodnika do galopu; nie było raczej możliwości zatrzymania ich. Biegły w najwyższym pędzie, zasypywane gradem owadów. Ayła próbowała wypatrzeć Wilka, ale powietrze było gęste od fruujących, odbijających się, podskakujących owadów. Gwizdnęła najgłośniejszym, jak potrafiła, w nadziei, że usłyszy ją w tym ogłuszającym huku.

Niemal zderzyła się z różowym szpakiem, który pikował w dół i złapał owada tuż przed jej twarzą. Zrozumiała, skąd taka liczba ptaków. Przyciągnęła je nieograniczona ilość karmy, łatwo widocznej dzięki wyraźnym barwom. Te ostre kolory, przyciągające ptaki, umożliwiły również szarańczy wzajemne odnajdywanie się, kiedy zbierała się do lotu na nowe żerowiska, a nawet

olbrzymie stada ptasie nie były w stanie w poważnym stopniu zmniejszyć chmar szarańczy, dopóki starczało roślinności dla wyżywienia nowych pokoleń. Dopiero kiedy ustaną deszcze, stepy na powrót staną się suche i będą mogły wyżywić tylko niewielką liczbę owadów, wówczas szarańcza zamieni się z powrotem w dobrze zamaskowane, niewinne świerszcze.

Wilk znalazł ich wkrótce po ich ucieczce z terenów opanowanych przez szarańczę. Kiedy żarłoczne owady osiadły na ziemi na przenocowanie, Ayla i Jondalar mieli rozbite obozowisko bardzo daleko od nich. Następnego ranka wyruszyli znowu na północ i lekko na wschód, ku wysokiemu wzgórzu, żeby stamtąd mieć lepszy widok na równinę i móc ocenić odległość od Wielkiej Rzeki Matki. Ze wzgórza zobaczyli obszar nawiedzony przez chmarę szarańczy oraz rojącą się masę zwiewaną w kierunku morza przez silne wiatry. Przytłoczyły ich rozmiary zniszczenia.

Zniknęła piękna wiosenna kraina, pełna kolorowych kwiatów i świeżej trawy. Jak okiem sięgnąć, ziemia była naga, obdarta do czysta. Żaden liść, żadne źdźbło trawy, żaden strzęp zieleni nie ozdabiał nagiej ziemi. Cała roślinność została zniszczona przez żarłoczną hordę. Jedyne oznaki życia były szpaki, które wyszukiwały nieliczne pozostałe owady. Ziemia była spustoszona i nieprzyzwoicie naga. A jednak odzyska życie po tej zagładzie wyrządzonej przez jej własne stworzenia w ich naturalnym cyklu rozwojowym i z podziemnych korzeni oraz wiatrem przywianych nasion znowu przyrodzie się w zieleń.

Kiedy mężczyzna i kobieta spojrzeli w drugą stronę, powitał ich zupełnie inny widok, który spowodował przyspieszenie bicia serc. Olbrzymia przestrzeń wody połyskiwała w słońcu na wschodzie; to było Morze Czarne.

Przypatrując mu się, Ayla zrozumiała, że to jest to samo morze, które знаła w dzieciństwie. Na krańcu półwyspu, który od północy wrzynał się w wodę, była jaskinia, gdzie mieszkała jako dziecko z klanem Bruna. Życie z ludźmi z klanu było często trudne. A jednak miała wiele szczęśliwych wspomnień z dzieciństwa, chociaż myśl o synu, którego musiała zostawić, przygnębiła ją. Wiedziała, że już nigdy nie będzie bliżej swojego dziecka niż tutaj, syna, którego już nigdy nie zobaczy.

Dla niego było najlepiej, że mieszka z klanem. Z Ubą jako matką i starym Brunem, który uczy go polować oszczepem, bołą, procą i wpoi mu obyczaje klanu, Durc będzie kochany i akceptowany, a nie obrzucany obelgami i wyśmiewany jak Rydag. Nie przestawała jednak o nim myśleć. Czy jego klan nadal mieszka na półwyspie, czy też przenieśli się bliżej innych klanów, które mieszkały na lądzie albo w wysokich górach na wschodzie?

- Aylo! Patrz, tam na dole. To jest delta i widać Dunaj, a przynajmniej jego małą część. Z drugiej strony tej dużej wyspy widzisz tę brązową wodę? To chyba jest główna, północna odnoga. To jest koniec Wielkiej Rzeki Matki! - W głosie Jondalara słychać było podniecenie.

Również jego ogarnęły wspomnienia zabarwione smutkiem. Kiedy poprzednim razem widział tę rzekę, był z bratem, a teraz Thonolan poszedł już do świata duchów. Nagle przypomniał sobie opalizujący kamień, który wziął z miejsca, gdzie Ayla pochowała jego brata. Powiedziała mu, że w tym kamieniu zawarta jest esencja ducha Thanolana. Zamierzał dać go swojej matce i Zelandoni po powrocie. Miał go w koszu nośnym. Może powinien go wyjąć i nosić przy sobie?

- Och, Jondalarze! Tam, koło rzeki, czy to dym? Czy ludzie mieszkają nad rzeką?

- Może tak.

- No to się pospieszmy. - Ruszyła w dół zbocza, a Jondalar jechał koło niej. - Kto to może być? - spytała. - Ktoś, kogo znasz?

- Może. Sharamudoi wyprawiają się czasem tak daleko w swoich łodziach. W ten sposób Markeno spotkał Tholie. Była z Obozem Mamutoi, który przyszedł po sól i muszle. - Przerwał i rozejrzał się wokół, przypatrując się uważnie delcie i wyspie po drugiej stronie wąskiego kanału; potem obejrzał teren w dół biegu rzeki. - Właściwie myślę, że jesteśmy niedaleko miejsca, gdzie Brece rozbiła Obóz Wierzby... zeszłego lata. Naprawdę nie dawniej niż zeszłego lata? Zabrała nas do swojego obozu po uratowaniu Thanolana i mnie z lotnych piasków...

Jondalar przymknął oczy, ale Ayla dostrzegła jego ból.

- Byli ostatnimi ludźmi, jakich widział mój brat... poza mną. Podróżowaliśmy razem jeszcze przez pewien czas. Ciągle miałem nadzieję, że przezwycięży żalobę, ale nie chciał żyć bez Jetamio. Chciał, żeby go Matka zabrała. - Jondalar spojrział w ziemię i dodał: - I wtedy spotkaliśmy Maluszka.

Podniósł wzrok na Aylę. Dostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy. Nadal gościł na niej ból, ale rozpoznała ten specjalny wyraz, kiedy jego miłość do niej niemalże przekraczała to, co był w stanie znieść; co ona była w stanie znieść. Ale było w jego twarzy jeszcze coś innego, co ją przestraszyło.

- Nie rozumiałem, dlaczego Thonolan chce umrzeć... wtedy. - Odwrócił się i popędzając Zawodnika do szybszego biegu, zawołał: - Chodź! Powiedziałaś, że chcesz się spieszyć.

Ayla dała Whinney sygnał do szybkiego biegu i nieco ostrożniej ruszyła za mężczyzną galopującym na ogierze ku rzece. Szybka jazda podziałała ożywczo i przepędziła dziwny, ponury nastrój, jaki to miejsce wzbudziło w obojgu. Wilk, podniecony szybkim tempem, biegł razem z nimi, a kiedy wreszcie zatrzymali się nad wodą, uniósł łeb i zadźwięczała melodyjna wilcza pieśń.

Ayla z Jondalarem spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Oboje uważali, że to stosowny sposób oznajmienia, że dotarli do rzeki, która będzie im towarzyszyła przez większą część ich podróży.

- To jest to? Doszliśmy do Wielkiej Rzeki Matki? - Oczy Ayli błyszczały z podniecenia.

- Tak. To jest to - powiedział Jondalar i spojrział na zachód, w górę rzeki. Nie chciał studzić jej radości, że wreszcie doszli do rzeki, ale wiedział, jak daleka jeszcze czeka ich droga.

Musieli pokonać szlak, który on już przeszedł - przez całą szerokość kontynentu do płaskiego lodowca pokrywającego wyżynę przy źródłach rozległej rzeki, i poza nie, niemal do Wielkich Wód na krawędzi ziemi, daleko na zachodzie. Wzdłuż swego krętego biegu, długości niemal trzech tysięcy kilometrów, Donaj - rzeka Doni, Wielkiej Matki Ziemi ludu Zelandoni - zasilany był ponad trzystu dopływami, wodą z dwóch pokrytych lodem łańcuchów górskich, i niósł ze sobą zebrane osady rzeczne.

Często rozdzielając się na wiele koryt w swych meandrach przez bardziej płaskie odcinki drogi, olbrzymi szlak wodny transportował kolosalną ilość osadów, zawieszonych w jego wodnej masie. Przed osiągnięciem końca trasy drobnoziarnista, piaszczysta gleba osadzała się w formie olbrzymiego wachlarzowatego stożka napływowego, mulistej płataninie niewysokich wysepek oraz mierzei otoczonych płytkimi jeziorami i krętymi strumieniami, jak gdyby Wielka Matka wszystkich rzek była tak zmęczona długą podróżą, że upuściła swój ciężki ładunek osadów tuż przed celem, a potem, zataczając się, wolno docierała do morza.

Szeroka delta, do której doszli, długości dwukrotnie przekraczającej szerokość, zaczynała się na wiele kilometrów przed morzem. Rzeka, zbyt wielka, by utrzymać się w jednym łożysku na płaskiej równinie między skalistymi masywami na wschodzie i łagodnie zaokrąglonymi pagórkami, które stopniowo schodziły od gór, na zachodzie, dzieliła się na cztery główne ramiona, każde o własnym kierunku. Przetoki łączyły rozchodzące się ramiona, tworząc labirynt krętych strumieni, które rozszerzały się w wiele jezior i stawów. Wielkie przestrzenie porośnięte szuwarami mokradeł otaczały stały ląd, który zmieniał się od nagich ławic piasku do dużych wysp z lasami i stepem, zamieszkałych przez tury i jelenie oraz polujące na nie drapieżniki.

- Skąd wznosił się ten dym? - spytała Ayla. - Tam musi być obóz w pobliżu.

- Zdaje mi się, że na tej dużej wyspie, którą widzieliśmy nieco niżej, za tą odnogą. - Jondalar ręką wskazał kierunek.

Ayla spojrzała, ale z początku zobaczyła tylko ścianę trzciny z pierzastymi, sinymi wiechami wyginającymi się na wietrze, ponad cztery metry nad przesiąkniętą wodą gruntem, na którym rosły. Potem dostrzegła ponad nimi piękne, srebrzystozielone liście łoży. Trwało chwilę, zanim dotarła do niej niezwykłość tej obserwacji. Łozy - wierzby szare - rosły normalnie jako krzaki tak blisko wody, że ich korzenie były często pod wodą w czasie wilgotnych pór roku. Przypominały

wierzby, ale nigdy nie osiągały wysokości drzew. Czy może się mylić? Czy to są wierzby? Rzadko zdarzały jej się tego typu pomyłki.

Ruszyli z biegiem rzeki i kiedy byli naprzeciwko wyspy, weszli do wody. Ayla obejrzała się, żeby się upewnić, iż pale z przywiązaną między nimi łódką, o nic się nie zaczepiły; następnie sprawdziła, czy ich skrzyżowane końce przed nią poruszają się swobodnie, zgodnie z ruchem noszonych przez wodę drągów za kobyłą. Kiedy przepakowywali się po przeprawie przez tamtą rzekę, mieli zamiar zostawić łódkę. Spełniła już swoje zadanie, ale włożyli w nią tyle pracy, że oboje nie chcieli jej porzucać, chociaż sama przeprawa nie wyszła dokładnie tak, jak planowali.

Przymocowanie do drągów było pomysłem Ayli. Chociaż znaczyło to, iż Whinney będzie musiała stale nosić uprząż i ciągnąć, Jondalar zorientował się, że ułatwi to przeprawę przez rzeki. Mogliby załadować swoje rzeczy do łódki, chroniąc je przed zamoczeniem, ale zamiast kierować koniem przywiązanym do łódki pozwolić Whinney przepłynąć we własnym tempie, a lekki, unoszący się na wodzie ładunek ciągnąłby się za nią. Wypróbowali to przy następnej rzece, którą musieli przekroczyć.

Prąd wody ściągał łódkę i pale, co niepokoiło Aylę; pamiętała paniczną reakcję koni podczas przeprawy przez tę dużą rzekę, kiedy znalazły się w sytuacji, nad którą nie panowały. Postanowiła tak przewiązać skórzane rzemienie uprzęży, by można było się ich pozbyć natychmiast, jeśli tylko zauważy, że kobyła jest w niebezpieczeństwie. Whinney jednak dawała sobie radę z prądem i bez protestu zaakceptowała dodatkowy ciężar. Ayla poświęciła trochę czasu na zaznajomienie jej z tym nowym pomysłem, lecz Whinney była przyzwyczajona do włoka i ufała kobiecie.

Duża, otwarta miska była pojemnikiem, który wręcz dopraszał się, żeby go zapłacić. Zaczęli jej używać do przewożenia drewna, suchego łąjna i innego opału, zbieranego po drodze na wieczorne ognisko. Czasami zostawiali w niej kosze nośne po przeprawie przez wodę. Wiele strumieni różnej wielkości znajdowało własną drogę do śródlądowego morza, a Jondalar wiedział, że na szlaku wzdłuż Wielkiej Rzeki Matki napotkają wiele dopływów.

Gdy wchodzili do czystej wody zewnętrznego ramienia delty, ogier spłoszył się i zarżał nerwowo. Zawodnik bał się trochę rzek po swojej przerażającej przygodzie, ale Jondalar wykazał wiele cierpliwości, przeprowadzając wrażliwe młode zwierzę przez mniejsze szlaki wodne, na które się natknęli, i koń przezwyciężył strach. Mężczyzna był z tego zadowolony, ponieważ będą musieli jeszcze przekroczyć bardzo wiele rzek, zanim dojdą do domu.

Płynąca wolno woda była tak przejrzysta, że widać było ryby poruszające się wśród wodnych roślin. Przeszli przez wysokie trzciny i doszli do długiej, wąskiej wyspy. Wilk pierwszy wskoczył na ląd. Otrząsnął się energicznie i pobiegł skośnie schodzącym brzegiem z twardo

ubitego, mokrego piasku zmieszanego z gliną w stronę lasu pięknej, srebrzystozielonej łoży, która urosła do wielkości drzew.

- Wiedziałam - rzekła Ayla.

- Co wiedziałaś? - spytał Jondalar, uśmiechając się z jej pełnego satysfakcji wyrazu twarzy.

- Te drzewa są dokładnie takie jak krzaki, w których spaliśmy w tamtą ulewną noc. Myślałam, że to łoży, ale nigdy nie widziałam łoż wielkości drzew. Zazwyczaj są to krzaki, ale te mogłyby być wierzbami.

Zsiedli z koni i poprowadzili je do przewiewnego i chłodnego lasu. Idąc w milczeniu, patrzyli na cienie rzucane na trawiaste, oświetlone słońcem poszycie przez liście kołyszące się w lekkim powiewie. Przez niezbyt gęsto rosnące drzewa dostrzegli tury, które pasły się w oddali. Stali pod wiatr, kiedy więc dzikie bydło poczuło ich zapach, szybko uciekło. Znają ludzi, już na nie polowali - pomyślał Jondalar.

Konie chwyciły zębami zieloną paszę w trakcie spaceru przez ten zachwycający, zadrzewiony teren, co skłoniło Aylę do zatrzymania się. Zaczęła rozwiązywać uprzęż Whinney.

- Dlaczego się zatrzymujesz? - spytał Jondalar.

- Konie chcą się paść. Myślałam, że moglibyśmy tu chwilę odpocząć.

Jondalar był zaniepokojony.

- Myślę, że powinniśmy pójść jeszcze trochę dalej. Jestem pewien, że na tej wyspie są ludzie. Chciałbym wiedzieć, kim są, zanim się zatrzymamy.

Ayla uśmiechnęła się.

- Racja! Przecież powiedziałeś, że to stąd szedł dym. Tu jest tak pięknie - niemal zapomniałam.

Grunt wznosił się stopniowo. Między szarymi wierzbami zaczęły pojawiać się olchy, topole i białe wierzyby, przydając odmiany jasnemu, srebrzystozielonemu listowiu. Nieco dalej kilka jodeł i starodawna odmiana sosen, która istniała na tych terenach tak długo jak same góry, dołożyły się do mozaiki ciemnozielonego tła, z modrzewiami, dającymi jaśniejszy odcień, a wszystko podkreślone przez zielonozłote wiechy dojrzewającej trawy stepowej, powiewającej na wietrze. Bluszcz piał się po pniach drzew i pnącza opadały z gałęzi gęściejszego sklepienia lasu, a na oświetlonych słońcem polanach niskie krzewy pokrytego puszką, młodziutkiego dębu i nieco wyższe krzaki leszczyny dodawały swoich kolorów do pulsującego życiem krajobrazu.

Wyspa wznosiła się nad wodę nie więcej niż osiem metrów. Jej powierzchnię pokrywał miniaturowy step z kostrzewą i ostnicą złocącymi się w słońcu. Przeszli całą szerokość wyspy i spojrzeli w dół znacznie bardziej urwistego zbocza z piaszczystych wydm, porośniętych wydmuchrzycą, szczotlichą i modrakiem morskim. Piaszczyste zbocza prowadziły do głęboko

wciętej zatoki, okolonej wysokimi trzcinami, przemieszanyymi z pałką wodną, sitowiem i wieloma odmianami mniejszych wodnych roślin. W zatoce tarczowate liście lili wodnych były tak gęste, że z trudem widziało się między nimi wodę, a na nich rozsiadły się niezliczone czaple.

Za wyspą znajdowało się szerokie, błotnistobrazowe koryto - północne ramię wielkiej rzeki. Blisko krańca wyspy zobaczyli, jak strumień czystej wody wpływa do głównego łżyska, i Ayla ze zdumieniem patrzyła na dwa strumienie, jeden przejrzysty, a drugi brązowy od osadów, płynące obok siebie, zachowujące odrębność kolorów. W końcu jednak brązowa woda przeważała i woda głównego łżyska zabłociła czysty strumień.

- Spójrz na to - powiedziała Ayla, wskazując na ostre, kolorystyczne odgraniczenie wspólnie spływających wód.

- Stąd wiesz, że jesteś nad Wielką Rzeką Matką. To ramię poprowadzi cię bezpośrednio do morza. Ale popatrz tutaj.

Poza zagajnikiem, nieco z boku zatoki, wąska strużka dymu unosiła się do nieba. Ayla uśmiechnęła się z nadzieją, ale Jondalar miał zatrzeżenia. Jeśli to dym z ogniska, to dlaczego nikogo nie widać? Ludzie musieli ich już zauważyć. Dlaczego nie wyszli na powitanie? Jondalar ściągnął wodze Zawodnika i poklepał go uspokajająco.

Kiedy zobaczyli zarysy stożkowatego namiotu, Ayla wiedziała, że doszli do obozu, i zastanawiała się, jacy ludzie w nim mieszkają. Mogli to nawet być Mamutoi - pomyślała i dała sygnał Whinney, żeby szła blisko niej. Zauważyła, że Wilk przybrał postawę obronną, i zagwizdała sygnał, którego go nauczyła. Był u jej boku, kiedy weszli do małego obozowiska.

ROZDZIAŁ 11

Whinney szła tuż za Ayla. Razem weszły do obozu i zbliżyły się do paleniska, z którego nadal unosiła się chwiejna smużka dymu. Stało tam w półkolu pięć namiotów, a przed środkowym wykopany był niegłęboki dołek na ognisko. Ogień palił się żwawo, był najwyraźniej dopiero co używany, ale nikt nie oznajmił swych praw do tego miejsca przez wystąpienie i powitanie ich. Ayla rozejrzała się wokół, zerknęła do środka otwartych namiotów, ale nikogo nie dostrzegła. Zaskoczona, przyjrzała się bliżej schronieniom i obozowi, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o tym, kim są jego mieszkańcy i dokąd poszli.

Podstawowa część każdej z budowli przypominała stożkowate namioty używane przez Mamutoi na letnich obozach, ale były też wyraźne różnice. Podczas gdy Mamutoi często powiększali przestrzeń mieszkalną przez doczepianie do głównego namiotu półokrągłych, bocznych namiotów ze skór, używając dodatkowych pali do ich podtrzymania, dobudówki namiotów tego obozu zrobiono z trzciny i bagiennych traw. Niektóre były po prostu skośnymi daszkami, opartymi na smukłych palach, inne były całkowicie zamknięte i zaokrąglone, zrobione ze słomy i plecionych mat.

Tuż przed klapą wejściową do najbliższej takiej przybudówki Ayla zobaczyła stertę brązowych kłaczy pałki na macie splecionej z trzciny. Obok maty stały dwa kosze. Jeden ciasno spleciony, pełen lekko zmaconej wody, i drugi wypełniony do połowy białymi, świeżo obranymi kłaczami. Ayla podeszła i wyjęła jedno z kosza. Było nadal mokre; musiało być obrane dopiero co.

Odkładając je z powrotem, zauważyła na ziemi dziwny przedmiot. Był zrobiony z liści pałki splecionych tak, żeby przypominały postać człowieka, z dwiema rękami wystającymi po bokach i dwiema nogami oraz kawałkiem miękkiej skóry owiniętej dokoła jak tunika. Na twarzy węglem narysowano dwie krótkie kreski jako oczy, a jeszcze jedna kreska była zagięta w uśmiech. Kępki ostnicy, przyczepione do głowy, zastępowały włosy.

Ludzie, wśród których Ayla wyrosła, nie robili żadnych podobizn, poza prostymi znakami totemu, takimi jak zadrapania na jej nodze. Jako mała dziewczynka została pokaleczona przez lwa jaskiniowego, który zostawił na jej lewym udzie cztery proste linie. Podobny znak był używany przez klan, żeby oznaczyć totem Lwa Jaskiniowego. Dlatego też Creb był tak pewien, że Lew Jaskiniowy jest jej totemem, mimo że uważany był za męski totem. Duch Lwa Jaskiniowego wybrał ją i sam oznaczył, będzie więc ją ochraniał.

Inne totemy klanu oznaczano w podobny sposób, prostymi znakami, często pochodzącymi od ruchów czy gestów milczącego języka. Ale pierwszym prawdziwie realistycznym

wyobrażeniem, jakie widziała, był zarys zwierzęcia, który Jondalar narysował na kawałku skóry używanej jako tarcza. Z początku zdziwił ją ten przedmiot na ziemi. Nagle, w przebłysku zrozumienia, pojęła, co to jest. Nie miała lalki, kiedy była mała, ale przypominała sobie podobne przedmioty, którymi bawiły się dzieci Mamutoi, i zrozumiała, że to jest dziecienna zabawka.

Nagle stało się dla niej oczywiste, że przed kilku chwilami siedziała tu kobieta ze swoim dzieckiem. Teraz jej nie było, musiała odejść w wielkim pośpiechu, skoro porzuciła przygotowywaną żywność i nawet nie zabrała ze sobą zabawki swojego dziecka. Dlaczego odeszła tak spieszenie?

Odwróciła się i zobaczyła, że Jondalar, nadal trzymając postronek Zawodnika, przykłęka wśród rozrzuconych odłamków krzemienia i ogląda jeden z nich. Spojrzał na nią.

- Ktoś zmarnował bardzo dobry grot złym ostatnim uderzeniem. Powinno to być tylko lekkie stuknięcie, ale wylądowało w złym miejscu i zbyt mocno... jak gdyby łupaczowi ktoś nagle przerwał. A tu leży młotek! Po prostu rzucony! - Szczerby na twardym, owalnym kamieniu wskazywały, że od dawna był używany, i doświadczonemu łupaczowi krzemienia trudno było wyobrazić sobie kogoś, kto rzuciłby i zostawił ulubione narzędzie.

Ayla rozejrzała się jeszcze raz i zobaczyła rybę suszącą się na stojakach oraz kilka innych leżących obok. Jedna była już rozcięta, ale też zostawiona na ziemi. Było więcej dowodów przerwanych zajęć, ale ani śladu ludzi.

- Jondalarze, tu dopiero co byli ludzie, ale odeszli w pośpiechu. Nawet ogień jeszcze się pali. Gdzie się podziali?

- Nie wiem, ale masz rację. Odeszli w pośpiechu. Po prostu rzucili wszystko i... uciekli. Jakby... jakby się bali.

- Ale dlaczego? - powiedziała Ayla i popatrzyła wokół. - Nie widzę niczego strasznego.

Jondalar pokiwał głową, ale nagle zauważył Wilka obwąchującego opuszczony obóz, pakującego nos w otwory namiotów i w miejsca, gdzie pozostawiono rzeczy. Potem jego uwagę ściągnęła pasąca się opodal kobyła koloru siana, która ciągnęła urządzenie z pali i miskowej łódki, dziwnie nie przejmując się bliskością ludzi i Wilka. Mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć na ciemnobrązowego ogiera, który tak chętnie szedł tuż za nim. Zwierzę było przyozdobione koskami nośnymi i płachtą jeździecką i stało cierpliwie koło niego, trzymane za jeden tylko sznur przytwierdzony do rzemieni na jego łbie.

- Myślę, że w tym może tkwić problem. My tego nie widzimy - powiedział. Wilk przerwał nagle obwąchiwanie, spojrzął z napięciem w stronę lasów i ruszył w tym kierunku.

- Wilk! - zawołał Jondalar. Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na mężczyznę, machając ogonem. - Aylo, lepiej go zawołaj z powrotem, bo znajdzie ludzi tego obozu i jeszcze bardziej ich wystraszy.

Gwizdnęła i Wilk podbiegł do niej. Poklepała go po łbie, ale ze zmarszczonym czołem zwróciła się do Jondalara:

- Chcesz powiedzieć, że my ich przestraszyliśmy? Że uciekli, bo się nas boją?

- Pamiętasz Obóz Ostnicy? Jak się zachowywali przy spotkaniu? Pomyśl, co muszą sobie wyobrazić ludzie, którzy nas widzą po raz pierwszy. Podróżujemy z dwoma końmi i wilkiem. Zwierzęta nie towarzyszą ludziom, na ogół ich unikają. Nawet Mamutoi na Letnim Spotkaniu potrzebowali czasu, żeby się do nas przyzwyczaić, a przybyliśmy tam z Obozem Lwa. Jak się zastanowić, to Talut był niezmiernie odważny, że nas zaprosił razem z końmi do swojego obozu, kiedy nas spotkał - powiedział Jondalar.

- Co powinniśmy zrobić?

- Myślę, że powinniśmy odejść. Ludzie tego obozu chowają się prawdopodobnie w lesie i obserwują nas, sądząc, że pewnie przyszliśmy z jakiegoś dziwnego miejsca, jak świat duchów. Sam bym tak myślał, gdybym bez żadnego ostrzeżenia nas zobaczył.

- Och, Jondalarze - jęknęła Ayla, czując zawód i samotność, kiedy tak stała pośrodku opuszczonego obozu. - Tak się cieszyłam na spotkanie z ludźmi. - Raz jeszcze rozejrzała się po obozie i kiwnęła głową. - Masz rację. Skoro ludzie uciekli i nie chcieli nas powitać, powinniśmy odejść. A tak chciałabym spotkać tę kobietę z dzieckiem, które zostawiło tu zabawkę, i porozmawiać z nią. - Ruszyła w kierunku Whinney, która stała tuż poza Obozem. - Nie chcę, żeby ludzie się mnie bali. Czy uda nam się porozmawiać z kimkolwiek w czasie tej podróży?

- Nie wiem, jak z obcymi, ale na pewno będziemy mogli zostać na trochę z Sharamudoi. Mogą być ostrożni na początku, ale znają mnie. I wiesz, jacy ludzie są. Gdy przezwyciężą początkowy strach, bardzo ich ciekawia zwierzęta.

- Przykro mi, że wystraszyliśmy tych ludzi. Może zostawimy im jakiś dar, mimo że nie skorzystaliśmy z ich gościnności. - Ayla zaczęła przeszukiwać swoje kosze. - Chyba jakieś jedzenie będzie najlepsze, sądząc, że mięso.

- Tak, to dobry pomysł. Mam kilka zapasowych grotów. Zostawię jeden w zamian za ten zniszczony przez łupacza. Nie ma nic gorszego niż zniszczyć dobre narzędzie, kiedy właśnie je kończysz.

Sięgając po swój zestaw owiniętych w skórę narzędzi, Jondalar wspominał, że kiedy podróżował razem z bratem, spotkali po drodze wielu ludzi i na ogół byli mile widziani. Udzielano im też pomocy. Kilka razy obcy uratowali im życie. Ale jeśli ludzie będą się ich bali z powodu

towarzyszących im zwierząt, co się stanie, jeśli Ayla lub on sam będą kiedyś potrzebowali pomocy?

Opuścili obóz i wspięli się z powrotem przez piaszczyste wydmy na płaskowyż długiej, wąskiej wyspy. Zatrzymali się na skraju trawy. Spojrzeli w dół na cienką smuzkę dymu, unoszącego się z obozu, i na brązową, zamuloną rzekę poniżej, która kierowała się ku niebieskim przestrzeniom Morza Czarnego. Nie umawiając się, dosiedli koni i zawrócili na wschód, żeby mieć lepszy - i ostatni - widok na wielkie morze śródziemne.

Kiedy osiągnęli wschodni kraniec wyspy, chociaż nadal na brzegu rzeki, byli tak blisko wzburzonych wód morza, że widzieli fale zalewające ławice piasku słoną pianą. Ayla wyteżała wzrok i miała wrażenie, że niemalże dostrzega zarysy półwyspu. Jaskinia Bruna, w której wyrosła, była na jego południowym krańcu. Tam urodziła syna i tam go musiała zostawić, kiedy ją wypędzono.

Ciekawe, jaki duży jest teraz. Jestem pewna, że jest wyższy niż inni chłopcy w jego wieku. Czy jest silny? Zdrowy? Szczęśliwy? Czy mnie pamięta? Gdybym tylko mogła go zobaczyć jeszcze jeden raz - pomyślała i uświadomiła sobie, że jeśli kiedykolwiek miała go jeszcze zobaczyć, to jest jej ostatnia szansa. W tym miejscu skręca na zachód. Już nigdy więcej nie będzie tak blisko swojego klanu i Durca. Dlaczego nie mogliby zamiast tego pójść na wschód? Tylko na krótką wycieczkę, zanim ruszą dalej? Gdyby poszli północnym brzegiem morza, w ciągu kilku dni doszliby do półwyspu. Jondalar powiedział przecież, że pójdzie z nią, jeśli ona zechce spróbować znaleźć Durca.

- Aylo, patrz! Nie wiedziałem, że w Morzu Czarnym są foki! Nie widziałem tych zwierząt od czasu, kiedy jako chłopiec poszedłem na wyprawę z Willomarem - powiedział Jondalar głosem pełnym podniecenia i tęsknoty. - Zabrał Thonolana i mnie, żebyśmy zobaczyli Wielkie Wody, a potem ludzie, którzy mieszkają niedaleko krańca ziemi, zabrali nas łodziami na północ. Widziałas je przedtem?

Ayla spojrzała we wskazywanym przez niego kierunku. Wiele ciemnych, gładkich stworzeń o opływowych kształtach, z jasnoszarymi podbrzuszami, przewalało się niezdarnie wzdłuż ławicy piasku uformowanej za kilkoma niemal zanurzonymi w wodzie skałkami. Nagle większość fok dała nurka do wody w pogoni za ławicą ryb. Patrzyli na kiwające się na falach łebki, dopóki ostatni z nich, mniejszy i młodszy, nie zanurkował z powrotem. I już ich nie było, zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

- Tylko z dużej odległości - odparła Ayla. - Podczas zimnej pory roku lubiły pływać przy brzegu. Klan Bruna nie polował na nie. Nikt nie mógł ich osiągnąć, chociaż Brun opowiadał kiedyś, że je raz zobaczył na skałach niedaleko jaskini. Niektórzy uważali, że to są zimowe duchy

wody, nie zaś zwierzęta, ale ja kiedyś zobaczyłam ich dzieci na lodzie, a nie sądziłam, by duchy wody mogły mieć małe. Nie wiedziałam, gdzie się podziewały na lato. Musiały przychodzić tutaj.

- Gdy wrócimy do domu, zabiorę cię, żebyś zobaczyła Wielkie Wody, Aylo. Sama nie uwierzysz. To tutaj jest duże, większe niż jakiegokolwiek jezioro, które widziałem, i powiedziano mi, że jest słone, ale to jest nic w porównaniu z Wielkimi Wodami. One są jak niebo. Nikt nigdy nie osiągnął drugiej strony.

Ayla słyszała zapał w głosie Jondalara i wyczuwała jego tęsknotę, by być już w domu. Wiedziała, że nie zawahałby się pójść z nią na poszukiwanie klanu Bruna i jej syna, gdyby mu powiedziała, że tego chce. Z miłości do niej. Ale ona także go kochała i wiedziała, że przykro by mu było z powodu opóźnienia podróży. Spojrzała na wielki obszar wody i zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

I tak nie wiedziałabym, gdzie szukać klanu - pomyślała. I to przestał już być klan Bruna. Teraz to jest klan Brouda i nikt by jej tam nie powitał. Broud rzucił na nią klątwę śmierci; dla nich wszystkich była martwa, była duchem. Skoro wraz z Jondalarem tak przestraszyli obóz na tej wyspie, bo towarzyszyły im zwierzęta, nad którymi sprawowali pozornie nadnaturalną kontrolę, o ile bardziej wystraszyliby klan? Włącznie z Ubą i Burkiem? Dla nich byłaby powracającym duchem, a towarzyszące zwierzęta - dowodem tego. Wierzyli, że duchy powracające z krainy zmarłych przychodzą, by wyrządzić krzywdę.

Gdy raz już skręca na zachód, będzie to ostateczne rozstanie. Od tej chwili, aż po kres jej życia, Durc będzie dla niej tylko wspomnieniem. Nie będzie żadnej nadziei, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Takiego oto wyboru musiała dokonać. Sądziła, że uczyniła go już dawno temu; nie wiedziała, że ból będzie nadal tak ostry. Odwróciła głowę od Jondalara, żeby nie zauważył łez w jej oczach, wpatrywała się w niebieski bezmiar wody i po raz ostatni milcząco żegnała się z synem. Przepęłniła ją na nowo rozpacz i wiedziała, że już zawsze będzie nosić swój ból w sercu.

Odwrócili się plecami do morza i poszli piechotą przez wysoką do pasa stepową trawę, dając koniom możliwość odpoczynku i czas na skubanie trawy. Słońce stało wysoko na niebie, jasne i gorące. Dygoczące fale żaru podnosiły się z pokrytej pyłem ziemi, niosąc ze sobą ciepły zapach gleby i roślinności. Szli płaskowyzem, chroniąc się w cieniu plecionych kapeluszy, ale parowanie wody z pobliskich ramion rzeki nawilgotniło powietrze i strużki potu ściekały po ich pokrytych kurzem ciałach. Byli wdzięczni za każdy chłodniejszy oddech morza, kapryśne podmuchy wypełnione bogactwem zapachów życia w głębinach.

Ayla zatrzymała się, odwiązała z głowy skórzaną procę i zatknęła ją za pas tuniki; nie chciała, żeby zbyt nawilgła. Zastąpiła ją zwiniętym kawałkiem miękkiej skórki, podobnym do tego, jaki nosił Jondalar, przechodzącym przez czoło i zawiązanym z tyłu, żeby wchłaniał pot.

Idąc dalej, zauważyła niepokąźnego, zielonkawego świerszcza. Skoczył, spadł z powrotem i roztopił się wśród trawy. Po chwili zobaczyła jeszcze jednego. Kilka innych wydawało dźwięki, które przypominały jej rojącą się szarańczę. Ale tutaj był to tylko owad jeden z wielu, obok motyli migoczących jaskrawymi kolorami w drgającym tańcu na czubkach kostrzewy, czy też kołującego nad jaskrem niegroźnego trutnia, który przypominał żądłącą pszczołę.

Chociaż teren, po którym szli, był znacznie mniejszy, przypominał im suche stepy, ale kiedy doszli na jego skraj i spojrzeli w dół, zdumiał ich niezmierny, dziwny, mokry świat potężnej delty. Na północ, na prawo od nich, znajdował się łąd stały; za obramowaniem z rzecznych krzaków - trawiasta kraina przyćmionego, zielonożółtego koloru. Ale na południe i zachód ciągnęło się aż po horyzont bagniste, choć z odległości równie solidne i mocne jak stały łąd, ujście wielkiej rzeki. Była to rozległa połać ciemnozielonych trzcin falujących w rytm porywów wiatru niczym morze. Gdzieś wyrastające nieliczne drzewa rzucały cień na kołyszącą się zieleń i wijące wstążki wody.

Schodząc przez porośnięte lasem zbocze, Ayla zobaczyła ptaki, więcej gatunków, niż kiedykolwiek widziała w jednym miejscu, niektóre zaś zupełnie jej nie znane. Wrony, kukułki, szpaki i gołębie nawoływały się swoimi łatwymi do rozpoznania głosami. Jaskółka, goniona przez sokoła, zanurkowała w powietrzu, zakręciła i zniknęła w trzcinach. Wysoko latające czarne kanie oraz ślizgające się tuż nad ziemią błotniaki szukały martwych i zdychających ryb. Małe gajówki i muchołówki fruwały od zarośli do wysokich drzew, podczas gdy siewki, pleszki i dierzby przelatywały z gałęzi na gałąź. Mewy unosiły się na prądach powietrznych, nie poruszywszy niemal jednym piórem, a niezgrabne pelikany, majestatyczne w locie, szybowwały nad głowami ludzi, machając potężnymi skrzydłami.

Ayla i Jondalar doszli do rzeki w nieco innym miejscu niż poprzednio, koło kępy krzewów szarej wierzby, gdzie gnieździła się razem mieszana kolonia wodnych ptaków: czaple biała i purpurowa, ślepowrony, kormorany oraz połyskujące ibisy. Uplecione z trawy gniazda różnych gatunków często sąsiadowały ze sobą tylko na szerokość gałęzi, a w wielu były jaja lub pisklęta. Ptaki zdawały się tak ignorować ludzi i zwierzęta, jak ignorowały siebie wzajemnie, ale to tętniące życiem miejsce stanowiło atrakcję niemożliwą do zignorowania przez ciekawskiego Wilka.

Podszedł powoli, próbując się skradać, ale nie mógł się zdecydować, w którą stronę się obrócić. Zrobił wreszcie wypad na małe drzewo. Z głośnym skrzeczeniem i biciem skrzydeł pobliskie ptaki wzniosły się w powietrze i natychmiast poszły za nimi inne, które zauważyły

ostrzeżenie. A potem kolejne. Powietrze zapełniło się wodnym ptactwem, najwyraźniej dominującym ptasie życie delty, aż ponad dziesięć tysięcy ptaków wielu różnych gatunków zataczało koła i robiło uniki w dramatycznej ucieczce.

Wilk popędził z powrotem w kierunku lasu, z ogonem między nogami, piszcząc i skomląc ze strachu przed zamieszaniem, które spowodował. Na dodatek nerwowe i przestraszone konie stanęły dęba i zarżały, po czym pogalopowały do wody.

Włók hamował kobyłę, i tak spokojniejszą od Zawodnika. Uspokoiła się wkrótce, ale Jondalar miał sporo kłopotów z młodym ogierem. Wbiegł do wody za koniem, zaczął płynąć i wkrótce zniknął z oczu. Ayli udało się przeprowadzić Whinney przez wodę na stały ląd. Uspokajała i pocieszała kobyłę, odczepiła wlokące się drągi i zdjęła uprząż, żeby dać kobyle swobodę ruchu i możliwość uspokojenia się na własny sposób. Potem gwizdnęła na Wilka. Musiała gwizdać jeszcze wiele razy, zanim przyszedł, a pojawił się z innego kierunku, znacznie dalej w dół biegu rzeki, bardzo daleko od miejsca, gdzie gnieździły się ptaki.

Ayla zdjęła mokre ubranie i zmieniła je na suche z kosza nośnego. Potem zgromadziła drewno i rozpałała ognisko, czekając na Jondalara. On także będzie musiał się przebrać. Na szczęście jego kosze nośne przypadkiem znalazły się w miskowej łódce, co je uratowało przed zamoczeniem. Minęło sporo czasu, zanim wrócił. Nadjechał z zachodu, dogonił bowiem Zawodnika daleko w górze rzeki.

Mężczyzna był nadal rozgniewany na Wilka. Było to widoczne nie tylko dla Ayli, ale i dla samego zwierzęcia. Wilk poczekał, aż Jondalar zmienił ubranie i usiadł wreszcie z kubkiem gorącej herbaty, a wtedy podszedł do niego na ugiętych przednich łapach, machając ogonem jak szczeniak, który chce się bawić, i błagalnym tonem zaskowytał. Kiedy był już dość blisko, próbował polizać twarz Jondalara. Mężczyzna z początku go odepchnął. Kiedy jednak dopuścił wreszcie bliżej nalegające zwierzę, Wilk wydawał się taki szczęśliwy, że Jondalar musiał dać się ubłagać.

- To tak wygląda, jakby próbował powiedzieć "przepraszam", ale w to trudno uwierzyć. Czy to możliwe? Jest zwierzęciem. Aylo, jak sądzisz, czy Wilk wie, że się źle zachował, i jest mu przykro z tego powodu?

Ayla nie była zdziwiona. Widziała takie zachowania, kiedy uczyła się polować i obserwowała mięsożerne zwierzęta, które wybrała na swój łup. Zachowanie Wilka wobec mężczyzny było podobne do sposobu, w jaki młode wilki zachowywały się wobec przywódcy stada.

- Nie wiem, co on wie ani co myśli. Mogę to tylko oceniać po jego zachowaniu. Ale czy nie jest tak samo z ludźmi? Nigdy nie możesz wiedzieć, co ktoś inny rzeczywiście wie lub myśli. Musisz sądzić po zachowaniach, prawda?

Jondalar przytaknął, ale nadal nie był pewien, co o tym myśleć. Ayla nie wątpiła w skrucę Wilka, lecz nie uważała, by to miało duże znaczenie. Zachowywał się w taki sam sposób, kiedy próbowała go nauczyć, żeby zostawił w spokoju skórzane obuwie ludzi w Obozie Lwa. Zabrało jej to dużo czasu, a nie sądziła, że jest teraz gotów do zaprzestania płoszenia ptaków.

Słońce oświetlało niedostępne szczyty południowego krańca długiego łańcucha górskiego na zachodzie, roziskrzając ich lodowe pokrywy. Łańcuch, wysoki na południu, opadał ku północy, a ostre kanty wygładzały się aż do zaokrąglonych czubków, pokrytych skrzącą się bielą. Na północnym wschodzie szczyty górskie znikwały za kurtyną chmur.

Ayla skierowała się ku prześwietlającej wśród drzew polanie i zatrzymała się. Jondalar poszedł za jej przykładem. Stąd droga wiodła wprost do spokojnej zatoki.

Chociaż główne ramiona wielkiej rzeki pełne były mulistego osadu, zawiła sieć jej porośniętych szuwarami kanałów i odnóg miała wodę czystą i zdatną do picia. Kanały te rozszerzały się od czasu do czasu w duże jeziora czy spokojne zatoki, otoczone trzciną, sitowiem, turzycą i innymi wodnymi roślinami. Ich powierzchnie często pokrywały lilie wodne, których mocne liście dawały miejsce do odpoczynku mniejszym czaplom i ogromnej liczbie żab.

- To wygląda na dobre miejsce - powiedział Jondalar. Przerzucił nogę przez grzbiet Zawodnika i lekko wylądował na ziemi. Zdjął kosze, derkę oraz uprząż i puścił luzem konia, który poszedł natychmiast ku wodzie, a w chwilę potem dołączyła do niego Whinney.

Kobyła pierwsza weszła do rzeki i zaczęła pić. Po chwili zaczęła bić kopytem w wodę, silnie ją rozchlapując i mocząc pierś młodego ogiera, który stał obok. Pochyliła nisko łeb i z nastawionymi uszami powąchała wodę. Następnie uklękła na przednich nogach, opadła niżej i przewróciła się na bok, a potem na grzbiet. Trzymając łeb wysoko i bijąc kopytami w powietrze, skręcała się zachwycona, ocierając tułów o dno zatoki, po czym przewróciła się na drugi bok. Zawodnik, który obserwował, jak jego matka tarza się w chłodnej wodzie, nie mógł dłużej czekać i w podobny sposób położył się oraz tarzał na płyciźnie niedaleko brzegu.

- Można by sądzić, że miały dosyć wody na dzisiaj - powiedziała Ayla, podchodząc do Jondalara.

Odwrócił się do niej, na twarzy nadal miał uśmiech, jaki wywołały igraszki koni.

- Naprawdę lubią tarzać się w wodzie, żeby już nie wspomnieć błota czy kurzu. Nie wiedziałem, że konie tak się lubią tarzać.

- Wiesz, jak lubią, żeby je drapać. Myślę, że w ten sposób robią to same. Czasami czochrają jeden drugiego i mówią sobie nawzajem o swędzących miejscach.

- Jak mogą to sobie mówić, Aylo? Czasami mam wrażenie, że traktujesz konie jak ludzi.

- Nie, konie to nie ludzie. Konie to konie, ale popatrz na nie kiedyś, gdy stoją obok siebie. Jeden podrapie drugiego zębami i czeka, żeby ten drugi zrobił to samo - powiedziała Ayla. - Chyba wyczesezę Whinney porządnie ostami. Musi jej być gorąco i z pewnością swędzi ją skóra pod tymi rzemieniami, które nosi przez cały dzień. Czasami myślę, że powinniśmy zostawić łódkę... ale jest tak użyteczna.

- Mnie też gorąco i też mnie swędzi. Chyba pójde popływać. Tym razem bez ubrania - powiedział Jondalar.

- Ja też, ale najpierw chcę rozpakować rzeczy. Ubrania, które zmoczyliśmy, nadal są wilgotne. Chcę je powiesić na tamtych krzakach, żeby wyschły. - Wyjęła wilgotny węzełek z jednego ze swoich koszy i zaczęła rozwieszać ubranie na gałęziach olchowego krzewu. - Nie załuję, że zamokły. Znalazłam mydlnicę i wyprałam moje, kiedy czekałam na ciebie.

Jondalar strzepnął jeden kawałek odzieży, pomagając ją wieszać, i rozpoznał w nim swoją tunikę. Podniósł ją, żeby pokazać Ayli.

- Mówiłaś, zdaje się, że czekając na mnie, wyprałaś swoje ubranie.

- A twoje, gdy się przebrałaś. Za dużo potu sprawia, że skóra butwieje, i były już bardzo poplamione.

Nie pamiętał, żeby martwiły go pot czy plamy, kiedy podróżował z bratem, lecz poczuł zadowolenie, że zatroszczyła się o to Ayla.

Zanim byli gotowi do kąpieli, Whinney wyszła z wody. Stała na brzegu na szeroko rozstawionych nogach i zaczęła energicznie potrząsać łbem; fala wstrząsów przeszła przez cały jej tułów aż do ogona. Jondalar podniósł ręce, żeby osłonić się przed kroplami wody. Ayla ze śmiechem wbiegła do wody i nabrawszy jej obiema rękami zaczęła ochlapywać brodzącego mężczyznę. Gdy tylko wszedł po kolana, oddał jej z nawiązką. Zawodnik też otrzymał porcję strumieni wody i cofnął się, po czym uciekł na brzeg. Lubił kąpiel i zabawę w wodzie, ale na swoich własnych warunkach.

Kiedy zmęczeni się zabawą i pływaniem, Ayla zaczęła rozglądać się za czymś na kolację. Z wody wystawały lancetowate liście i białe trzypłatkowe kwiaty, których kolor ciemniał w samym środku aż do purpury. Wiedziała, że pełne skrobi, bulwiaste korzenie tej rośliny są pożywne i smaczne. Wygrzebała kilka z błotnistego dna palcami nóg; roślina miała kruchą łodygę, która łamała się zbyt łatwo, by można ją było wyciągnąć. Brodząc w kierunku brzegu, wyrwała również wodną babkę do ugotowania i aromatyczną rzeżuchę wodną do jedzenia na surowo. Jej uwagę przyciągnęły pływające na powierzchni rośliny o równomiernie rozłożonych krótkich, szerokich liściach.

- Jondalarze, uważaj, żeby nie nadepnąć na te kotewki - powiedziała, wskazując na kolczaste orzechy wodne, porozrzucane na piaszczystym brzegu.

Podniósł jeden, żeby mu się przyjrzeć. Cztery kolce były rozstawione w taki sposób, że jeden zawsze wbijał się w ziemię, pozostałe zaś sterczały do góry. Pokiwał głową i wyrzucił orzech. Ayla schyliła się po niego i nazbierała jeszcze wiele innych.

- Nie należy po nich chodzić - odpowiedziała na jego pytające spojrzenie. - Ale są bardzo smaczne.

Na brzegu, w cieniu nieopodal wody, zobaczyła znajomą wysoką roślinę z niebieskozielonymi liśćmi i chcąc ją zerwać, rozejrzała się za jakąś inną o dużych, elastycznych liściach do owinięcia rąk. Kłująca pokrzywa jest pyszna po ugotowaniu, ale trzeba ją ostrożnie zrywać. Wodny szczaw, rosnący tuż przy wodzie i niemal równie wysoki jak człowiek, miał u nasady liście blisko metrowej długości, znakomicie nadające się do jej celów, a które potem też będzie można ugotować. W pobliżu rósł również podbiał i wiele rodzajów paproci o jadalnych korzeniach. Delta dawała żywności w bród.

Na brzegu Ayla zauważyła kępę trzciny, obramowaną pałkami wodnymi. Pałki prawdopodobnie będą stanowiły ich podstawową żywność podczas całej podróży. Rosły wszędzie i było ich mnóstwo, a wiele części było jadalnych: stare korzenie, tłuczone dla usunięcia włókien ze skrobi, którą można było zagnieść na ciasto lub zagęścić nią zupę, i młode, jedzone na surowo lub gotowane, razem z podstawą łądyg kwiatowych, żeby już nie wspomnieć o dużej koncentracji pyłku, z którego też można było zrobić rodzaj wyjątkowo dobrego chleba. Świeżo rozkwitłe kwiaty, wyrastające pęczkami z końca wysokich łądyżek jak kawałek puchatego ogona kociego, też były bardzo smaczne.

Pozostałe części rośliny nadawały się do innego zastosowania: liście do wplatania w kosze i maty, puch z kwiatów po wejściu w stadium owocowania na wchłaniające podkłady lub znakomitą podpałkę. Chociaż dysponując rozgrzanymi kamieniami z pirytu żelaza, Ayla nie potrzebowała ich używać, wiedziała jednak, że kręcąc w dłoniach zeszłoroczne zdrewniałe łądygi, można było wykrzesać ogień albo też użyć ich na opał.

- Jondalarze, popłynijmy łódką na tę wyspę i nazbierajmy trochę pałek - powiedziała. - Tam jest jeszcze dużo innych dobrych do jedzenia rzeczy, które rosną w wodzie, jak strąki tej lilii wodnej i jej korzenie. Korzenie tych trzciny też nie są złe. Są pod wodą, ale i tak jesteśmy mokrzy, więc możemy ich trochę nazbierać. Wszystko będziemy mogli przewieźć łódką.

- Nigdy tu nie byłaś. Skąd wiesz, które rośliny są jadalne? - spytał Jondalar, odwiązując łódkę z włoka.

Ayla uśmiechnęła się.

- Niedaleko naszej jaskini na półwyspie były mokradła podobne do tych tutaj. Nie takie duże, ale tam także robiło się latem gorąco, a Iza znała rośliny i wiedziała, gdzie je znaleźć. Nezzie powiedziała mi jeszcze o kilku innych.

- Myślę, że znasz wszystkie rośliny, jakie tylko istnieją.

- Znam wiele, ale nie wszystkie, a szczególnie nie tutaj. Chciałabym, żeby był tu ktoś, kogo mogłabym zapytać. Choćby ta kobieta z dużej wyspy, która zostawiła obrane kłacza, ona by pewnie wiedziała. Żałuję, że nie udało się nam z nimi spotkać.

Rozczarowanie Ayli było widoczne, a Jondalar wiedział, jak tęskniła za ludźmi. Czuł zresztą to samo.

Przynieśli łódkę na brzeg i wsiedli do niej. Choć wolny, prąd w tym miejscu był dość mocny, więc zaczęli wiosłować, żeby się nie dać znieść. Dalej od brzegu woda była tak przejrzysta, że widzieli ławice ryb śmigających wokół podwodnych roślin. Niektóre miały okazałe rozmiary i Ayła pomyślała, że później kilka złapie.

Zatrzymali się przy skupisku lilii wodnych, tak gęstym, że z trudem widzieli powierzchnię zatoki. Kiedy Ayła ześlizgnęła się do wody, Jondalarowi nie było łatwo samemu utrzymać miskową łódkę w jednym miejscu. Obracała się w kółko, kiedy próbował wiosłować, lecz gdy Ayła wymacała stopami grunt i chwyciła się jednej burty, uspokoiła się. Ayła przesuwała palce nóg wzdłuż łodyg, wyszukiwała korzenie i obluzowywała je w miękkim gruncie. Zbierała je, kiedy wypływały na powierzchnię w chmurze szlamu.

Wdrapując się z powrotem, wprawiła łódkę w ruch obrotowy, ale teraz oboje używali wiosel i prędko ją opanowali. Powiosłowali do wyspy gęsto pokrytej trzcinami. Z bliska Ayła spostrzegła, że była to mniejsza odmiana pałki wodnej, obok której rosły krzewy łoży, niektóre niemal wielkości drzew.

Skierowali łódkę w zarośla, szukając brzegu czy piaszczystej plaży, torując sobie drogę przez gęstą roślinność. Gdy jednak rozsunęli trzciny, nie znaleźli solidnego gruntu ani nawet zalanej wodą ławicy piasku, a po każdym przesunięciu się do przodu trzciny szybko zamykały drogę za nimi. Ayła przeczuwała coś złego, a Jondalar miał dziwne uczucie, jak gdyby zostali uwięzieni, kiedy gęszcz wysokich trzcin całkowicie ich otoczył. Nad głowami zobaczyli przelatujące pelikany, lecz im się zdawało, że ciągle krążą nad nimi. Kiedy spojrzeli w tył między duże łodygi, w kierunku, z którego przybyli, przeciwległy brzeg zdawał się powoli przesuwać przed ich oczyma.

- Aylo, my się poruszamy! Obracamy! - powiedział Jondalar, nagle zdając sobie sprawę z tego, że to nie ląd się obraca, ale że prąd okręca łódkę wraz z całą wyspą.

- Wydostaliśmy się z tego miejsca - powiedziała, sięgając po swoje wiosło.

Wyspy delty ciągle ulegały zmianom, poddane kaprysom Wielkiej Matki wszystkich rzek. Nawet te, które były podtrzymywane przez gęste zarośla trzcinowe, mogły zostać podmyte od spodu, lub też roślinność pokrywająca wysepkę mogła rozrosnąć się w gąszcz na wodzie.

Niezależnie od pierwotnej przyczyny korzenie unoszących się trzcin plątały się razem i tworzyły platformę dla rozkładającej się materii zwierzęcej i roślinnej, a jej żyzność stymulowała dalszy rozrost trzcin. Z czasem stawały się pływającymi wyspami o różnorodnej florze. Były tam duże pałki wodne i wąskolistne, mniejsze ich odmiany, sitowie, paprocie, nawet krzaki wierzby migdałowej, które potrafiły osiągać wielkość drzew, ale przeważały niezwykle wysokie trzcinę, dochodzące do niemal czterech metrów wysokości. Niektóre z tych trzęsawisk rozwinęły się w duże pływające ogrody, zdradzieckie przez swą splątana iluzję solidności i trwałości.

Za pomocą małych wiosł i ze sporym wysiłkiem wypchnęli okrągłą łódkę z pływającej wyspy. Gdy jednak znowu znaleźli się na skraju trzęsawiska, odkryli, że nie są naprzeciw lądu. Byli zwróceny ku otwartym wodom jeziora, za którym rozpościerał się tak nadzwyczajny widok, że zaparło im dech. Na tle ciemnej zieleni odbijała się biała chmara pelikanów; dziesiątki tysięcy ptaków stało jeden obok drugiego, siedziało, leżało na pływających gniazdach z kęp trzcin. Nad nimi latały inne ptaki z tej samej olbrzymiej kolonii, jak gdyby zabrakło miejsca na ich gniazda... i szybując na swych wielkich skrzydłach, czekały na zwolnienie się miejsca.

Duże ptaki o białym upierzeniu, jedynie z niewielkim nalotem różowego i z ciemnoszarymi na końcu lotkami, z długimi dziobami i obwisłymi workami podgardla, pielegnowały stadka puchatych piskląt. Hałaśliwe maluchy syczały i chrząkały, a dorosłe odpowiadały im niskimi, ochryplymi okrzykami. Przy tak wielkiej ich liczbie hałas był ogłuszający.

Częściowo zakryci trzcinami, Ayla z Jondalarem zafascynowani obserwowali tę olbrzymią gnieźdzącą się kolonię. Usłyszeli niski, ochryply krzyk, spojrzeli w górę i zobaczyli, jak nisko lecący, podchodzący do lądowania pelikan żeglował im nad głowami na skrzydłach o rozpiętości trzech metrów. Doleciał do mniej więcej połowy jeziora, złożył skrzydła i spadł jak kamień, uderzając z rozpryskiem w wodę. Nieopodal inny pelikan z rozpostartymi skrzydłami biegł po wodzie, próbując unieść się w powietrze. Ayla zaczęła rozumieć, dlaczego gnieździły się na jeziorze. Potrzebowały bardzo dużej przestrzeni, żeby się podnieść w powietrze, chociaż kiedy już im się to udało, latały z wielką gracją.

Jondalar dotknął jej ramienia i wskazał na płytkie wody koło wyspy, gdzie wiele dużych ptaków pływało jeden obok drugiego, przesuając się bardzo powoli. Ayla patrzyła przez chwilę, a potem uśmiechnęła się do mężczyzny. Co kilka chwil cały rząd pelikanów jednocześnie zanurzał łebki w wodzie i razem, jak na rozkaz, podnosił je, a woda ociekała im z długich dziobów. Kilku z

nich, ale nie wszystkim, udało się złapać rybę z ławicy, którą naganiały. Następnym razem może się to udać innym, ale wszystkie nadal zgodnie poruszały się i zanurzały.

Kilka par innej odmiany pelikanów, z różniącym się nieco upierzeniem i wcześniej wyklutymi, bardziej dojrzałymi pisklętami, gnieździło się na obrzeżach wielkiej kolonii. Wewnątrz i dokoła tego zbitego zgromadzenia miały swoje gniazda inne gatunki wodnych ptaków: kormorany, perkozy i najrozmaitsze kaczki, włącznie z podgorzałkami i zwykłymi krzyżówkami. Moczary roiły się od ptaków, a wszystkie łowiły i pochłaniały ogromne masy ryb.

Cała olbrzymia delta była ekstrawaganckim, ostentacyjnym pokazem płodności natury; bogactwo życia afiszowało się bezwstydnie. Nie skażona, nie uszkodzona, rządzona wyłącznie przez swoje własne prawa natury i podlegająca tylko swojej własnej woli, Wielka Matka Ziemia czerpała przyjemność z tworzenia i utrzymywania życia w całej jego obfitej różnorodności. Ale splądrowana przez panoszących się rabusiów, ograbiona ze swoich zasobów, sprofanowana przez niepohamowane zanieczyszczenia i skalana przez nieumiarkowanie i zepsucie, jej płodna zdolność tworzenia i podtrzymywania życia może zostać zniszczona.

Nawet obezwładniona przez niszczycieli, z wyczerpanymi zdolnościami dawania życia, będzie miała ostatnie, ironiczne słowo do powiedzenia. Nawet jałowa i ogołocona, Matka posiada moc zniszczenia tego, co stworzyła. Nie można jej narzucić panowania; nie można odbierać jej bogactw bez starania się o jej przyzwolenie, zabiegania o jej współpracę i respektowanie jej potrzeb. Nie można stłamsić jej chęci życia bez zapłacenia ostatecznej kary. Bez niej aroganckie życie, które stworzyła, nie potrafi przeżyć.

Chociaż Ayla mogłaby długo jeszcze przyglądać się pelikanom, zaczęła wreszcie wyciągać pałki i wkładać je do łodzi, ponieważ one były powodem, dla którego tu przyszli. Zaczęli wiosłować dokoła masy pływających trzcin. Kiedy znowu zobaczyli łąd, znajdowali się już znacznie bliżej swojego obozowiska. Gdy tylko się pokazali, przywitało ich długie, przeciągłe wycie, pełne tonów rozpacz. Po powrocie z myśliwskiej wyprawy Wilk poszedł ich tropem i bez kłopotu znalazł obóz, ale kiedy odkrył, że ich tam nie ma, zaniepokoił się.

Ayla gwizdnęła mu w odpowiedzi, żeby uśmierzyć jego obawy. Podbiegł do krawędzi wody, podniósł łeb i znowu zawył. Potem obwąchał ich ślady, przebiegł tam i z powrotem po brzegu, wskoczył do wody i zaczął płynąć w ich stronę. Gdy był już blisko, wyminął łódkę i popłynął ku masie unoszących się na wodzie trzcin, sądząc, że to wyspa.

Wilk próbował znaleźć nie istniejący brzeg, tak jak to robili Ayla i Jondalar, ale z pluskiem szamotał się między trzcunami, nie znajdując stałego gruntu. Wreszcie popłynął z powrotem do łódki. Mężczyzna i kobieta złapali go za nasiąkniętą wodą sierść i z trudem wciągnęli do środka. Wilk był tak podniecony i szczęśliwy, że wskoczył na Aylę i polizał jej twarz, a potem zrobił to

samo z Jondalarem. Kiedy się wreszcie uspokoił, stanął na środku łódki, otrząsnął się i znowu zawył.

Ku swojemu zdumieniu usłyszeli w odpowiedzi wilcze wycie, potem ujadanie i znów wycie. Za chwilę rozległ się kolejny skowyt, tym razem z bardzo bliska. Ayla i Jondalar patrzyli na siebie przejęci lękiem, siedząc w małej łódce i słuchając wycia stada, które dochodziło nie z wody, ale z pływającej wyspy bez gruntu!

- Jakim sposobem znalazły się tam wilki? - spytał Jondalar. - To nie jest wyspa, tam nie ma ziemi, nawet ruchomej ławicy piasku. - Może to wcale nie są prawdziwe wilki - pomyślał ze strachem. Może to jest... coś innego...

Wpatrując się uważnie w trzciny, w miejscu, skąd dochodziło ostatnie wilcze zawołanie, Ayla dostrzegła migknięcie wilczego futra i dwoje obserwujących ją żółtych ślepiów. Potem kątem oka zobaczyła ruch powyżej. Spojrzała w górę i spostrzegła częściowo ukrytego w listowiu wilka, który z wystawionym językiem przypatrywał im się z rozwidlenia drzewa.

Wilki nie łążą po drzewach! Przynajmniej żaden z wilków, które do tej pory widziała, nie wdrapywał się na drzewa, a widziała ich niemało. Trąciła Jondalara i pokazała palcem. Zobaczył zwierzę i zaparło mu dech ze zdumienia. Wyglądało jak prawdziwy wilk, ale jak weszło na drzewo?

- Jondalarze - szepnęła. - Chodźmy stąd. Nie podoba mi się ta wyspa, która nie jest wyspą, z wilkami umiejącymi łązić po drzewach i chodzić po ziemi, której nie ma.

Mężczyzna był także niespokojny. Energicznie powiosłowali z powrotem. W pobliżu brzegu Wilk wyskoczył z łódki. Równie szybko i oni ją opuścili, wciągnęli na suchy ląd i wydobyli swoje miotacze i oszczepy. Oba konie stały zwrócone ku pływającej wyspie, z nastawionymi uszami i napięciem widocznym w postawie. Na ogół wilki ich unikały, zwłaszcza że zmieszana woń koni, ludzi i innego wilka była dla nich czymś nie znanym, te jednak wydawały się dziwne. Czy były to zwykłe, prawdziwe wilki, czy coś... nienaturalnego?

Gdyby ich na pozór nadnaturalna zdolność panowania nad zwierzętami nie wystraszyła mieszkańców dużej wyspy, mogliby się dowiedzieć od ludzi obeznanych z tymi mokradłami, że dziwne wilki nie były bardziej nienaturalne niż oni sami. Kraina wód wielkiej delty stanowiła dom dla wielu zwierząt, w tym trzciniowych wilków. Żyły na ogół w lasach na wyspach, ale na przestrzeni tysięcy lat tak dobrze zaadaptowały się do przesiąkniętego wodą środowiska, że z łatwością potrafiły poruszać się po pływających trzcinach. Nauczyły się nawet wlaźć na drzewa, co w tej zmiennej, zalewanej wodą krainie dawało im niesłychane korzyści, jeśli powódzie odcinały im drogę.

Ta sama zdolność adaptacji pozwoliła im nauczyć się tak dobrego współżycia z ludźmi, że z czasem - choć nadal zdolne do posiadania potomstwa ze swoimi dzikimi pobratymcami - w pełni się oswoiły i zdawały się niemal odrębnym gatunkiem, a wiele w ogóle nie przypominało swych przodków.

Na pływającej wyspie za kanałem widać teraz było wiele wilków, z których dwa siedziały na drzewach. Wilk spoglądał na Aylę i Jondalara, jak gdyby oczekując instrukcji od przywódców stada. Jeden z trzciniowych wilków zawył; reszta się dołączyła, aż Ayla się wzdrygnęła. Dźwięk był odmienny od wilczej pieśni, do jakiej była przyzwyczajona, choć nie umiała sprecyzować, w jaki sposób. Być może to pogłos od wody zmieniał tony, ale niepokój dziewczyny wzmógł się jeszcze bardziej.

Nagle wilki zniknęły, odchodząc równie bezszelestnie, jak się pojawiły. W jednym momencie naprzeciw mężczyzny i kobiety z miotaczami oszczepów oraz Wilka stało stado dziwnych wilków po drugiej stronie kanału wodnego, a w następnym już go nie było. Ayla i Jondalar, nadal trzymając broń w rękach, stwierdzili, że wpatrują się z napięciem w niegroźne trzciny i pałki, i poczuli się nieco głupio i nieswojo.

Chłodny powiew, który wywołał gęsią skórkę na ich nagich ciałach, uświadomił im, że słońce opadło za góry na zachodzie i zbliżała się noc. Odłożyli broń, spieszenie się ubrali, szybko rozpalili ognisko i dokończyli rozbijania obozu, ale nie byli w najlepszym nastroju. Ayla często sprawdzała, gdzie są konie, i była zadowolona, że zdecydowały się paść na zielonej łące przy obozowisku.

Gdy ciemność otoczyła złotawy poblask ogniska, para ludzi w milczeniu nasłuchiwała dźwięków delty, które wypełniały powietrze. Skrzekliwe ślepowrony odezwały się o zmroku, a potem zagrały świerszcze. Sowa wydała serię żalonych pohukiwań. Ayla usłyszała pochrząkiwania z pobliskiego lasu i pomyślała, że to pewnie dzik. W oddali rozległ się chichot hieny, a bliżej pełen zawodu skowyt dużego kota, któremu uciekła zdobycz. Zastanawiała się, czy był to ryś, czy może śnieżna pantera, i cały czas czekała na wycie wilków, ale żadnego nie było słyhać.

W miarę jak aksamitna ciemność zacierała wszystkie cienie i zarysy, narastał towarzyszący dźwiękom akompaniament. Z każdej odnogi i z brzegu rzeki, jeziora i porośniętej liliami zatoki chór żab wyśpiewywał do swych niewidzialnych słuchaczy. Niskie, basowe głosy wodnych żab jadalnych stanowiły ziemno-wodny chór, podczas gdy ropuchy paskówki dodawały swoją rechotliwą, podobną do dzwonu melodię. Kontrapunktowe odzywały się cienkie trele żab rogatych, pomieszane z łagodnym nuceniem zielonych ropuch, a wszystko do taktu ostrego turkotu rzekotek.

Zanim Ayla i Jondalar wpełzli do swoich futer, nieustanny śpiew żab stanowił już tylko znajome tło, ale na dźwięk wyczekiwanego wycia wilczego, kiedy wreszcie nadeszło z oddali, ponownie przebiegł po nich dreszcz. Wilk usiadł i odpowiedział na wezwanie.

- Zastanawiam się, czy brakuje mu wilczego stada - powiedział Jondalar, obejmując Aylę. Przytuliła się do niego, wdzięczna za jego ciepło i bliskość.

- Nie wiem, ale czasami się martwię. Maluszek opuścił mnie, żeby znaleźć towarzyszkę życia, ale lwy samce zawsze opuszczają rodzinny rewir, żeby poszukać samic z innych stad.

- Myślisz, że Zawodnik też zechce to zrobić?

- Whinney odeszła na trochę i żyła ze stadem. Nie jestem pewna, jak ją traktowały inne kobyły, ale wróciła, kiedy zginął ogier. Nie wszystkie ogiery żyją ze stadami kobył. Każde stado wybiera tylko jednego, który musi wtedy odpędzać inne samce.

Młode ogiery, a i starsze też, żyją na ogół w swoim własnym stadzie, ale pociągają je kobyły, kiedy nadchodzi ich sezon przyjemności. Jestem pewna, że będą również pociągały Zawodnika, ale musiałyby wtedy walczyć z ogierem przywódcą stada - tłumaczyła Ayla.

- Może powinienem go przywiązywać w tym okresie.

- Myślę, że jeszcze nie musisz się tym martwić. Konie mają przyjemności na ogół na wiosnę, wkrótce po urodzeniu źrebaków. Bardziej martwię się o ludzi, których możemy spotkać w tej podróży. Oni nie rozumieją, że Whinney i Zawodnik to specjalne konie. Ktoś może je zranić. Ci ludzie nie robią również wrażenia przyjaznych wobec nas.

Leżąc w objęciach Jondalara, Ayla zastanawiała się, co jego ludzie pomyślą o niej. Zauważył, że jest cicha i zamyślona. Pocałował ją, ale nie zareagowała tak jak zwykle. Może jest zmęczona - pomyślał. - To był pracowity dzień. Sam też czuł się wyczerpany. Zasnął przy dźwiękach chóru żab. Obudziła go rzucająca się i krzycząca kobieta, którą trzymał w ramionach.

- Aylo! Aylo! Obudź się! Wszystko jest w porządku.

- Jondalarze! Och, Jondalarze! - krzyczała Ayla, kurczowo się go trzymając. - Miałam sen... o klanie. Creb próbował powiedzieć mi coś ważnego, ale był głęboko w jaskini, a wokół panowały ciemności. Nie zrozumiałam, co mówił.

- To chyba dlatego, że myślałaś o nich dzisiaj. Mówiłaś o nich, kiedy byliśmy na tej dużej wyspie z widokiem na morze. Zdawało mi się, że ci przykro. Czy myślałaś o tym, że zostawiasz ich na zawsze?

Zamknęła oczy i przytaknęła, niepewna, czy potrafi coś powiedzieć bez rozpłakania się, i wahała się wspomnieć o swoich obawach co do jego ludzi, nie tylko czy zaakceptują ją, ale także konie i Wilka. Straciła klan i syna, nie chciała stracić również swojej zwierzęcej rodziny, jeśli uda

im się bezpiecznie do jego domu. Bardzo chciałaby wiedzieć, co Creb próbował jej powiedzieć w tym śnie.

Jondalar obejmował ją, dawał pociechę swoim ciepłem i miłością, rozumiał jej smutek, ale nie wiedział, co powiedzieć. Jego bliskość musiała wystarczyć.

ROZDZIAŁ 12

Północne ramię Wielkiej Matki Rzeki, wraz z jego siecią wodnych odgałęzień, stanowiło wijącą się górną granicę rozległej delty. Krzewy i drzewa rosły blisko brzegu, ale poza tą wąską przestrzenią, z dala od bezpośredniego źródła wilgoci, leśna roślinność ustępowała wkrótce stepowym trawom. Ayla i Jondalar trzymali się blisko porośniętego drzewami pasma, ale jechali przez suche stopy, unikając w ten sposób meandrów rzeki.

Często zapuszczali się na podmokłe tereny - na ogół rozbijali obóz blisko rzeki - i podziwiali ich różnorodność. Z odległości, kiedy patrzyli na nie z dużej wyspy, potężne ujście rzeki wyglądało jednolicie, ale z bliska ujawniała się szeroka gama krajobrazów i roślinności, od nagiego piasku do gęstego lasu.

Jednego dnia przejeżdżali obok nie kończących się pól pałek wodnych, z brązowym kwiatostanem zebrany w kształt kielbaski, pokrytym włoskami z masą żółtego pyłku. Następnego dnia widzieli połacie wysokiej trzciny pospolitej, ponaddwukrotnie wyższej od Jondalara, pospołu z krótszą, wdzięczniejszą odmianą; smukłe rośliny rosły bliżej wody i były gęściejsze.

Wyspy, uformowane przez akumulację osadów, na ogół w kształcie długich, wąskich języków z piasku i gliny, były zalewane przez prąd rzeczny oraz przyływy i odpływy morza. Rezultatem była zróżnicowana mozaika szuwarów, bagnisk, stepów i lasów na różnym etapie rozwoju, poddana gwałtownym zmianom i pełna niespodzianek. Podróżnicy niespodziewanie trafiali na starorzecza, całkowicie odcięte od delty, których pochyłe brzegi rozpoczęły swoją egzystencję jako osadowe wyspy na rzece.

Wiele wysp umocniły wydmowe rośliny i olbrzymia wydmuchrzyca piaskowa, długości ponad półtora metra, którą bardzo lubiły konie - wysoka zawartość soli przyciągała również inne zwierzęta. Jednak krajobraz zmieniał się tak gwałtownie, że w granicach potężnego ujścia rzeki znajdowali czasami wyspy z niskimi wydmowymi roślinami, które przetrwały obok potężnych drzew.

W czasie podróży wzdłuż wielkiej rzeki Ayla i Jondalar często musieli przeprowiać się przez małe dopływy, lecz takie strumyki nic nie znaczyły dla koni, które przebiegały je z pluskiem, a małe rzeczki pokonywały bez trudu. Mokre niziny powoli wysychających odnóg, pozostałych po zmianie biegu rzeki, były czymś zupełnie innym. Jondalar na ogół obchodził je dokoła. Ze względu na złe doświadczenie, wyniesione z podróży z bratem, był w pełni świadomy niebezpieczeństwa bagnistych topielisk i piasków lotnych, jakie często formowały się w takich miejscach. Nie wiedział jednak, że niebezpieczeństwa kryła czasami również bujna zieleń.

Był to męczący, upalny dzień. W poszukiwaniu miejsca na nocleg Ayla i Jondalar skręcili ku rzece i zobaczyli teren, który wydał się im odpowiedni. Poszli zboczem w dół w kierunku chłodnej, zapraszającej dolinki z wysokimi łożami ocieniającymi wyjątkowo zieloną polankę. Nagle z drugiej strony ukazał się duży, brązowy zając. Ayla pognała Whinney i sięgnęła jednocześnie po zatkniętą za pas procę. Kiedy jednak dotarli do chaszczki, kobyła zawahała się; solidna ziemia pod kopytami stała się gąbczasta.

Kobieta niemal natychmiast poczuła zmianę tempa i na szczęście instynktownie poszła za reakcją kobyły, chociaż myśli skupione miała na zającu. Zatrzymała się w momencie, kiedy dogonili ją Jondalar i Zawodnik. Ogier także zauważył miększy grunt, lecz rozpędzony pognął jeszcze kilka kroków dalej.

Mężczyzna omal nie zleciał na ziemię, kiedy przednie kopyta Zawodnika zapadły się w papkę z gęstego osadowego mułu, ale chwycił się grzywy i zeskoczył. Z przenikliwym rzeniem i olbrzymim wysiłkiem młody ogier, wsparty nadal tylnymi kopytami na twardym gruncie, zdołał wyciągnąć jedną przednią nogę z wysysającego grzęzawiska. Cofnął się, znalazł pewniejsze oparcie i tak długo ciągnął, aż drugie kopyto nagle z chlupnięciem wyskoczyło z błota.

Młody koń dygotał i Jondalar najpierw poklepał go uspokajająco po wygiętym w łuk karku, a potem urwał gałąź z pobliskiego krzaka i dźgnął ziemię przed sobą. Kiedy ziemia połknęła gałąź, wziął trzeci pał, którego nie używali do włóka, i próbował zbadać grunt za jego pomocą. Mimo że małe pole pokryte było trzcina i turzycą, okazało się głęboką topielą z przesyconej wodą gliny i mułu. Szybka reakcja koni zapobiegła katastrofie, ale od teraz traktowali Wielką Matkę Rzekę z większą ostrożnością. Jej kapryśna różnorodność mogła kryć niemiłe niespodzianki.

Ptaki nadal dominowały w faunie delty, szczególnie różne odmiany czapli i kaczek, liczne pelikany, łabędzie, gęsi, żurawie, kilka czarnych bocianów oraz kolorowe, połyskliwe kormorany, gnieźdzące się na drzewach. Okres lęgowy przypadał u różnych gatunków w innym czasie, ale wszystkie musiały rozmnażać się w cieplejszej porze roku. Podróżnicy zbierali ptasie jaja na szybkie i łatwe posiłki - również Wilk nauczył się rozbijać skorupki - i zasmakowali w odmianach o nieco rybnym smaku.

Po pewnym czasie przyzwyczaili się do ptaków tej krainy. Delta miała dla nich mniej niespodzianek, w miarę jak uczyli się, czego mogą oczekiwać, ale pewnego wieczoru natknęli się na fantastyczną scenę. Drzewa otwierały się na dużą zatokę, niemal jezioro, chociaż w pierwszej chwili sądzili, że to stały grunt, ponieważ całkowicie pokrywały ją duże lilie wodne. Ich uwagę przykuły setki czapli bączków, najmniejszego gatunku tych ptaków, które - z wygiętymi długimi szyjami i dziobami przygotowanymi do uderzenia w rybę - stały na każdym niemal zielonym liściu otaczającym pachnący, biały kwiat.

Oczarowani, patrzyli przez chwilę, a potem zdecydowali się odejść, w obawie, że Wilk może nadbiec i wystraszyć ptaki z ich grzęd. Niedaleko stamtąd rozkładali właśnie swoje obozowisko, kiedy zobaczyli setki długoszyich czapli wzbijających się do lotu. Jondalar i Ayla przerwali swoje zajęcia i patrzyli, jak bijące dużymi skrzydłami ptaki stawały się tylko ciemnymi sylwetkami na tle różowych chmur nieba na wschodzie. Wilk wpadł do obozu i Ayla podejrzewała, że to on je spłoszył. Chociaż nie próbował na poważnie złapać żadnego ptaka, tak bawiło go gonienie ptasich stad, że zastanawiała się, czy nie robi tego dla przyjemności oglądania, jak wzlatają w powietrze. Ją samą ten widok napełniał podziwem.

Następnego ranka Ayla obudziła się zgrzana i spocona. Żar przybierał na sile i nie chciało jej się wstawać. Pragnęła jednego dnia odpoczynku. Nie chodziło o to, że była zmęczona fizycznie; była po prostu znużona podróżowaniem. Pomyślała, że również konie potrzebują odpoczynku. Jondalar popędzał je i czuła, że coś go gna, ale skoro jeden dzień mógł zaważyć na pomyślnym przekroczeniu lodowca, o którym nie przestawał mówić, to już byli spóźnieni. Będzie im potrzeba więcej niż jednego dnia właściwej pogody, by mogli być pewni bezpiecznej podróży. Kiedy jednak wstał i zaczął się pakować, ona też się ruszyła.

W miarę jak mijały godziny poranka, upał i wilgotność powietrza, nawet na otwartej równinie, stawały się coraz uciążliwsze. Ayla z entuzjazmem przyjęła więc propozycję Jondalara, żeby zatrzymać się i popływać. Skierowali się ku rzece i ucieszyli na widok zacienionej łąki schodzącej do samej wody. Sezonowy strumyk, którego dno nadal było lekko wilgotne i wypełnione zeszłorocznymi liśćmi, zostawił nieduży tylko spłachetek trawy, ale stworzył chłodną, zapraszającą dolinkę, otoczoną przez pinie i wierzy. Prowadził do rowu pełnego zamulonej stojącej wody, ale niedaleko stamtąd, przy zakręcie rzeki, wąska kamienista plaża okalała spokojny zbiornik, nakrapiany słońcem prześwitującym przez gałęzie wierzb.

- Tu jest doskonale! - zawołała Ayla z szerokim uśmiechem. Kiedy zaczęła odczepiać włók, Jondalar zapytał:

- Naprawdę myślisz, że to konieczne? Nie będziemy tu długo.

- Konie też potrzebują odpoczynku. Może chcą się wytarzać albo popływać - powiedziała, zdejmując kosze i płachtę z Whinney. - I chciałabym poczekać na Wilka. Nie widziałam go cały ranek. Pewnie wywęszył jakiś wspaniały zapach i popędził za tropem.

- Dobrze. - Jondalar zaczął odwiązywać rzemienie koszy nośnych Zawodnika. Włożył je do łódki leżącej koło Ayli i przyjaźnie klepnął ogiera po zadzie, dając mu znak, że jest wolny.

Młoda kobieta szybko zrzuciła z siebie odzież i weszła do wody. Jondalar zatrzymał się, żeby oddać mocz. Spojrzał na nią i nie mógł odwrócić wzroku. Stała w migoczącej wodzie po kolana, w promieniu słońca, który przedostał się przez koronę drzewa i skapał ją w świetle,

rozjaśniając włosy w złocistą aureolę i pobłyskując na nagiej, opalonej skórze giętkiego ciała. Jondalara znowu uderzyła jej uroda. Pochyliła się, żeby nabrać wody w dłoń i opłukać sobie twarz, co podkreśliło krągłą pełność pośladków i odsoniło jaśniejszą skórę po wewnętrznej stronie ud, a przez niego przeszła fala żaru i pożądania. Spojrzał na swój członek, który nadal trzymał w ręku, i uśmiechnął się na myśl o czymś więcej niż tylko pływanie.

Kiedy zbliżył się do wody, Ayla zobaczyła jego uśmiech i znajomy, zniewalający wyraz niebieskich oczu oraz zmianę kształtu jego męskości. W odpowiedzi poczuła silne podniecenie; potem odprężyła się i napięcie, z którego nie zdawała sobie nawet sprawy, zniknęło. Dalej dzisiaj nie pojedą, jeśli to tylko będzie w jej mocy. Oboje potrzebowali zmiany, jakiegoś miłego, podniecającego urozmaicenia.

Zobaczył, że jej oczy prześlizgnęły się po jego ciele, dostrzegł również jej żywą reakcję i nieznaczną zmianę postawy. W jakiś sposób, nie przybierając właściwie innej pozycji, jej poza stała się bardziej zapraszająca. Jego poruszenie było widoczne. Nie mógłby go ukryć, nawet gdyby chciał.

- Cudownie jest w wodzie - odezwała się. - Miałeś dobry pomysł, żeby popływać. Zrobiło się bardzo gorąco.

- Tak, czuję żar - powiedział z uśmiechem, brodząc w jej kierunku. - Nie wiem, jak ty to robisz, ale przy tobie zupełnie nad sobą nie panuję.

- A dlaczego miałbyś? Ja też nie panuję nad sobą. Wystarczy, że spojrzysz na mnie w ten sposób, a już cię chcę. - Uśmiechnęła się swoim szerokim, pięknym uśmiechem, który kochał.

- Och, kobieto - wyszeptał, obejmując ją. Wyciągnęła się do niego, podczas gdy on się pochylił, żeby dotknąć jej miękkich warg w mocnym, niespiesznym pocałunku. Uwielbiała jego dotyk i zareagowała na tę pieszczotę natychmiastową i niespodziewaną gotowością.

Sięgnął niżej, do jej gładkich, krągłych pólkul i przycisnął ją do siebie. Poczuła na brzuchu pełną długość jego ciepłej twardości, ale ruch spowodował, że straciła równowagę. Próbowała ją odzyskać, ale poślizgnęła się na kamieniu. Chwyciła Jondalara, szukając w nim oparcia, i również on stracił równowagę. Z pluskiem upadli do wody i usiedli, śmiejąc się.

- Nic ci się nie stało? - spytał Jondalar.

- Nie, ale ta woda jest zimna i próbowałam powoli się przyzwyczaić. Teraz, jak już jestem mokra, to chyba popływam. Czy nie po to tutaj przyszliśmy?

- Tak, ale to nie znaczy, że nie możemy robić także czegoś innego - odparł. Zauważył, że woda sięgała jej tuż poniżej pach i jej pełne piersi unosiły się na wodzie, przypominając mu półokrągłe dzioby dwóch łódek z twardymi, różowymi czubkami. Pochylił się, połaskotał jedną brodawkę językiem, czując jej ciepło w zimnej wodzie.

Ayla zadygotała i odrzuciła głowę do tyłu, pozwalając wrażeniu rozlać się po całym ciele. Objął ręką drugą pierś, a potem przyciągnął ją bliżej. Była tak wrażliwa, że pod samym naciskiem jego dłoni po całym jej ciele rozeszło się nowe mrowie rozkoszy. Całował jej piersi, kark i szyję. Dmuchał delikatnie w jej ucho, a potem znowu znalazł usta. Rozchyliła wargi i poczuła dotyk jego języka.

- Chodź - odezwał się, kiedy odsunęli się od siebie. Wstał i wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy popływać.

Poprowadził ją do głębszej wody, aż sięgała jej pasa, przyciągnął ją blisko do siebie i zaczął całować. Poczuała jego rękę między swoimi nogami i chłód wody, kiedy otworzył jej fałdy, a potem znacznie silniejsze emocje, kiedy znalazł mały, twardy guzek i zaczął go pocierać.

Poddała się wrażeniom. Nagle uznała, że wszystko dzieje się zbyt szybko, że jest prawie gotowa. Zaczepnęła głęboko oddechu, wyslizgnęła się z jego objęć i ze śmiechem ochlapała go wodą.

- Myślę, że powinniśmy popływać - rzuciła i zrobiła kilka ruchów. Miejsca do pływania było niewiele, basen zamykała z jednej strony pokryta gęstymi szuwarami wyspa. Podpłynęła do niej, stanęła i odwróciła się do mężczyzny. Uśmiechał się i zobaczyła w tym uśmiechu miłość i pragnienie. Kiedy zawróciła w stronę plaży, zaczął płynąć w jej kierunku.

Stanął na płyciźnie i powiedział:

- No dobrze, już się napływaliśmy. - Wziął ją za rękę i wyprowadził z wody na plażę. Pocałował ją i objął, a ona przycisnęła się do niego całym ciałem. - Teraz pora na coś innego.

Oddychała szybko i głos jej nieco drżał.

- Co innego? - spytała z przekornym uśmieszkiem. Ukląkł na płachcie podłogowej i wyciągnął rękę.

- Chodź tutaj, to ci pokażę.

Usiadła obok niego. Popchnął ją na plecy, pocałował i bez żadnych innych wstępów zsunął się nisko, rozwarł jej nogi i przejechał ciepłym językiem po jej wilgotnych, zimnych fałdach. Na moment szeroko otworzyła oczy i zadygotała od nagłego dreszczu rozkoszy, który przeszył ją całą, aż do najgłębszego miejsca. Potem poczuła cudowne pulsowanie, kiedy ssał jej miejsce przyjemności.

Chciał ją smakować, pić ją i wiedział, że jest gotowa. Jego własne podniecenie narastało w odpowiedzi na jej gotowość i czuł nieznośne napięcie, kiedy jego duża, lekko zakrzywiona męskość napęczniała do swych maksymalnych rozmiarów. Pieścił ją, dotykał językiem, sięgnął do środka. Mimo swojej własnej potrzeby chciał, by to trwało bez końca. Uwielbiał dawać jej przyjemność.

Czuła, jak narastało w niej szaleństwo podniecenia, jęczała, a potem krzyknęła, kiedy poczuła podnoszącą się falę i niemal sięgnęła szczytu.

Gdyby sobie na to pozwolił, mógłby skończyć nawet bez wchodzenia w nią, ale to uwielbiał najbardziej. Chciał, by istniał jakiś sposób na posiadanie tego wszystkiego naraz.

Chwyliła go i uniosła się na jego spotkanie; narastała w niej dygocząca burza, która nagle wybuchła bez ostrzeżenia. Poczł jej wilgoć i ciepło, uniósł się, znalazł jej zapraszające wejście i silnym pchnięciem wypełnił ją całkowicie. Jego męskość była tak gotowa, że nie był pewien, jak długo jeszcze potrafi czekać.

Wołała go, chwytła, pragnęła, naprężając się na spotkanie jego pchnięć. Wszedł znowu i poczuł jej pełne objęcie. Potem, dygocąc i jęcząc, wycofał się, czując napięcie w lędźwiach, kiedy wrażliwy organ wzbudzał w jej ciele niezwykłą rozkosz. I nagle tam był, nie mógł czekać dłużej, pchnął znowu, poczuł, jak zalał go wybuch przyjemności, który oboje przyjęli okrzykiem.

Poruszył się jeszcze kilka razy i opadł na nią. Odpoczywali po radosnym podnieceniu i burzliwym wyzwoleniu. Po chwili podniósł głowę, a ona go pocałowała, świadoma zapachu i smaku siebie samej, co jej zawsze na nowo przypominało niesłychane uczucia, jakie umiał w niej wzbudzić.

- Tak dobrze mnie znasz. Chciałam, by to trwało jeszcze bardzo długo, ale byłam taka gotowa.

- To nie znaczy, że to nie może trwać - powiedział, patrząc na jej coraz szerszy uśmiech.

Jondalar przesunął się na bok, a potem usiadł.

- Ta kamienista plaża nie jest zbyt wygodna. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie zauważyłam, ale teraz, jak o tym mówisz, to czuję, że jeden kamień wpija mi się w biodro, a drugi w łopatkę. Powinniśmy chyba znaleźć wygodniejsze miejsce... żebyś się mógł położyć - stwierdziła z szelmowskim uśmieszkiem i błyskiem w oku. - Ale najpierw chcę pójść i naprawdę popływać. Może niedaleko jest głębsza woda.

Weszli do rzeki, przepłynęli krótki odcinek basenu i poszli pod prąd, przedzierając się przez płytko rosnące szuwały. Po drugiej stronie woda była chłodniejsza i grunt uciekł im nagle spod nóg. Znaleźli się w korycie czystej wody, wijącej się wśród trzciny. Ayla zaczęła energicznie płynąć i wyprzedziła Jondalara, ale sprężył się i ją dogonił. Oboje byli świetnymi pływakami i wkrótce rozgorzały przyjacielskie zawody. Poruszali się mniej więcej w tym samym tempie i raz jedno, raz drugie wysuwało się na czoło. Przy rozgałęzieniu, gdzie oba kanały gwałtownie zakręcały, Ayla była akurat pierwsza i kiedy Jondalar podniósł głowę, już zniknęła mu z oczu.

- Aylo! Aylo! Gdzie jesteś? - Nie było odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz i zaczął płynąć jednym z kanałów. Kanał zakręcał bardzo ostro z powrotem i jedyne, co widział, to trzciny;

gdziekolwiek się obrócił, napotykał tylko ścianę trzcin. W nagłej panice zawołał znowu: - Aylo! Gdzieś się podziała w tych zimnych podziemiach Matki?

Nagle usłyszał gwizd, którym Ayla przywoływała Wilka. Poczł wielką ulgę, ale dźwięk dochodził ze znacznie większej odległości, niż się tego spodziewał. Zagwizdał w odpowiedzi, usłyszał ponownie jej gwizd i zawrócił. Dopłynął do miejsca, w którym koryta się rozdzielały, i popłynął drugim.

Ono także zakręcało niemal dokoła i wpadało w kolejny kanał. Poczł silny prąd, który go porwał, ale przed sobą zobaczył Aylę, płynącą z wysiłkiem pod prąd. Nie przestała płynąć, nawet kiedy się z nią zrównał, z obawy, że prąd znowu zniesie ją w złe koryto. Zawrócił razem z nią. Kiedy dotarli do rozwidlenia, zatrzymali się, żeby odpocząć.

- Aylo! Co ci przyszło do głowy? Dlaczego się nie upewniłaś, w którą stronę masz płynąć?

- Jondalar beszał ją gniewnie.

Uśmiechnęła się do niego, bo wiedziała, że w jego gniewie kryła się ulga po przeżytych strachu i niepokoju.

- Po prostu starałam się ciebie wyprzedzić. Nie wiedziałam, że to koryto tak w kółko zakręci ani że prąd będzie tak silny. Zniosło mnie. Dlaczego ten prąd jest taki silny?

Gniew Jondalara szybko się rozproszył. Człł tylko ulgę, że jest bezpieczna.

- Nie jestem pewien. To dziwne. Może jesteśmy blisko głównego ramienia albo grunt jest tutaj bardziej pochyły.

- Wracajmy. Ta woda jest zimna i dojrzałam do słonecznej plaży - powiedziała Ayla.

Dali się znosić prądowi i już nie ścigając się, popłynęli z powrotem. Prąd nie był tak silny jak w drugim korycie, ale ich popychał. Ayla odwróciła się na plecy i dała się znosić, obserwując zielone trzciny i czyste niebieskie sklepienie nad nimi. Słońce nadal stało na wschodzie nieba, lecz dość wysoko.

- Pamiętasz, gdzie weszliśmy do wody, Aylo? Wszystko wygląda dokładnie tak samo.

- Trzy wysokie sosny stały obok siebie nad brzegiem, środkowa była największa. Były tuż za zwisającymi wierzbami - odrzekła i odwróciła się, żeby znowu płynąć.

- Tutaj jest dużo sosen wzdłuż brzegu. Może powinniśmy wyjść z wody? Może już je minęliśmy.

- Nie sądzę. Jedna sosna miała taki zabawny, pogięty kształt. Jeszcze jej nie widziałam. Czekaj... tam z przodu... tam jest. Widzisz? - powiedziała i zaczęła płynąć w stronę brzegu.

- Masz rację. Tędy weszliśmy. Trzciny są przygięte.

Przedarli się przez trzciny do małego basenu, który teraz wydawał się ciepły. Wyszli na spłachetek kamienistego gruntu z uczuciem powrotu do domu.

- Rozpalę ognisko i zrobię herbaty - powiedziała Ayla, rękami ocierając wodę z ciała. Zebrała włosy i je wyżeła, a potem poszła w kierunku koszy nośnych, zbierając po drodze kilka kawałków drewna.

- Chcesz się ubrać? - spytał Jondalar, dorzucając więcej drewna.

- Wolę najpierw trochę wyschnąć - odpowiedziała i zobaczyła, że konie pasły się na pobliskim stepie. Po Wilku nie było śladu. Poczowała ukłucie niepokoju, ale już niejedną raz Wilk pobiegł gdzieś sam i nie było go przez pół dnia. - Może rozłożysz płachtę na trawie na słońcu. Odpocznij, a ja zrobię herbatę.

Kiedy Jondalar poszedł po wodę, Ayla rozpałało ognisko. Starannie wybrała zioła z zapasów. Uznała, że herbata z lucerny będzie odpowiednia, ze względu na jej ogólnie pobudzające i odświeżające właściwości, z dodatkiem liści i kwiatów ogórecznika, które uczynią z tego zdrowotny napój, oraz z kwiatami goździka dla dodania słodczy i delikatnego, ziołowego smaku. Dla Jondalara wzięła również kilka ciemnoczerwonych, męskich bazi olchy, które zebrała bardzo wczesną wiosną. Pamiętała swoje mieszane uczucia, jakie miała przy ich zbieraniu, kiedy myślała o obietnicy danej Ranecowi, podczas gdy marzyła, by złożyć ją Jondalarowi. Dodawała teraz bazie do jego kubka z uczuciem głębokiego szczęścia.

Gdy napój był gotowy, zaniósła oba kubki na oświetloną słońcem trawiastą polankę, gdzie odpoczywał Jondalar. Część płachty leżała już w cieniu, ale Ayla była z tego zadowolona. Upał zdążył już wygnać chłód pozostały po kąpieli. Podaała kubek i usiadła obok. Odpoczywali razem, popijali odświeżający napój i wiele nie rozmawiali, obserwując konie, które stały obok siebie, pyskiem do ogona, i wzajemnie odganiały sobie muchy.

Kiedy wypili, Jondalar położył się na plecach i podłożył ręce pod głowę. Ayla była zadowolona, że się odprężył i nie popędzał od razu w dalszą drogę. Odstawiła swój kubek i wyciągnęła się koło niego, kładąc mu głowę we wgłębieniu ramienia i przekładając rękę przez jego pierś. Zamknęła oczy i wdychała jego zapach. Poczowała, że objął ją ręką i przesunął ją po jej biodrze w nieświadomej, delikatnej pieszczocie.

Odwróciła głowę i pocałowała jego ciepłą skórę, a potem dmuchnęła mu delikatnie w kark. Poczował lekki dreszcz i zamknął oczy. Pocałowała go znowu, uniosła się i delikatnymi pocałunkami pokryła jego ramiona i kark. Łaskotały niemal nie do wytrzymania, ale jednocześnie niesłychanie go podniecały; zmusił się jednak do leżenia bez ruchu.

Całowała jego kark, szyję i policzki, czując zarost, który kłuł ją w wargi; uniosła się, aż sięgnęła jego warg i zaczęła je muskać delikatnymi, miękkimi dotknięciami. Odsunęła się i spojrzała na niego. Leżał z zamkniętymi oczyma i wyrazem oczekiwania na twarzy. Wreszcie otworzył oczy i zobaczył ją pochyloną nad sobą z uśmiechem zachwytu. Włosy miała nadal

wilgotne, przerzucone na jedno ramię. Pragnął ją objąć, mocno przycisnąć do siebie, ale tylko się uśmiechnął.

Pochyliła się i przesunęła językiem po jego wargach, tak lekko, że zaledwie to poczuł, ale wiatr, który ochłodził zwilżone miejsce, przeszył go niewiarygodnymi dreszczami. Wreszcie, kiedy uznał, że dłużej już nie może czekać, mocno go pocałowała. Poczul jej język szukający wejścia, i rozchylił usta na jej przyjęcie. Wolno badała wewnętrzną stronę jego warg, język i podniebienie, smakując, dotykając, łaskocząc, a potem znowu zaczęła całować jego wargi ledwo wyczuwalnymi dotknięciami, aż nie mógł dłużej wytrzymać. Wyciągnął ręce, chwycił jej głowę i przyciągnął do siebie, żeby ją pocałować mocnym, solidnym, zadowolającym pocałunkiem.

Kiedy ją puścił, uśmiechała się przekornie. Zmusiła go do reakcji i oboje o tym wiedzieli. Patrzył na nią, tak niestęchanie zadowolony z siebie, i też czuł się uszczęśliwiony. Była w nastroju do zabawy i odkryć i zastanawiał się, jakie inne rozkosze jeszcze mu przygotowuje. Na samą myśl przeszył go dreszcz. To może okazać się bardzo interesujące. Uśmiechnął się i czekał, obserwując ją swymi ciemnoniebieskimi oczyma.

Pochyliła się i znowu pocałowała go w usta, kark, ramiona, piersi. Potem zmieniła nagle taktykę, uklękła przy nim i pochyliła się nad nim w drugą stronę, sięgnęła w dół i ujęła jego powiększony organ. Kiedy wzięła tyle, ile mogła, do ust, poczuł wilgotne ciepło okružające wrażliwy koniuszek jego męskości. Pociągnęła powoli i zdawało mu się, że to pociągnięcie wypływa z jakiegoś miejsca głęboko w nim i rozlewa się po całym ciele. Zamknął oczy i poddał się narastającemu podnieceniu, kiedy przesuwiała ręce i gorące usta w górę i w dół jego długiego trzonu.

Badawczo dotykała koniuszka językiem, wodziła wokół szybkimi dotknięciami, aż zaczął jej pragnąć z większą niecierpliwością. Sięgnęła ręką do miękkiego woreczka poniżej i delikatnie - powiedział jej, że zawsze musi tam być ostrożna - wyczuła dwa tajemnicze, miękkie, okrągłe kształty. Zastanawiało ją, do czego one służą, i czuła, że w jakiś sposób są bardzo ważne. Kiedy jej ciepła ręka objęła ten wrażliwy woreczek, poczuł odmienne wrażenia, przyjemne, ale zabarwione niepokojem o to czułe miejsce, co zdawało się podniecać go w inny sposób.

Odsunęła się i spojrzała na niego. Widoczna na jego twarzy i w oczach intensywna przyjemność z tego, co robiła, zachęciła ją. Bardzo jej się podobało dawanie mu przyjemności. Stymulowało ją w inny, ale głęboki i podniecający sposób, i zrozumiała trochę, dlaczego tak uwielbiał dawać jej przyjemności. Pocałowała go długim, przeciągłym pocałunkiem, przełożyła nogę i usiadła na nim twarzą do jego stóp. Siedząc na jego piersiach, pochyliła się i objęła jego twarde, pulsujący członek obiema rękami, jedna nad drugą. Mimo że był twarde i napęczniały, skóra była miękka i w ustach zdawała się gładka i gorąca. Zaczęła pokrywać go drobnymi,

delikatnymi pocałunkami. Kiedy dotarła do podstawy, sięgnęła niżej, do woreczka, i ostrożnie wzięła go w usta, czując twarde okrągłości w środku.

Zadygotał, kiedy wstrząs niespodziewanej przyjemności przeszył mu ciało. Tego było niemal zbyt dużo. Nie tylko burzliwych odczuć, ale i jej widoku. Uniosła się, żeby go dosięgnąć, a ponieważ siedziała na nim okrakiem, widział jej wilgotne, ciemno-różowe płatki i fałdy. Puściła woreczek i cofnęła się, żeby wziąć w usta podniecającą, pulsującą męskość, i nagle poczuła, że przesunął ją jeszcze trochę do tyłu. Z niespodziewanym szokiem podniecenia poczuła, że jego język znalazł jej fałdy i miejsce przyjemności.

Badał ją z zachwytem, w pełni, używając rąk i ust, ssąc, dotykając, czując radość dawania jej przyjemności, a jednocześnie czując podniecenie wywołane pocieraniem i ssaniem męskości. Wkrótce była gotowa i nie mogła dłużej czekać, ale on starał się to przedłużyć, jeszcze się nie poddać. Mógłby to zrobić z łatwością, ale chciał więcej i był zadowolony, kiedy wyprężyła się i krzyknęła. Poczul jej wilgoć i zacisnął zęby. Był pewien, że nie potrafiłby się opanować bez ich wcześniejszych przyjemności, ale powstrzymał się.

- Aylo! Odwróć się! Chcę cię całą.

Skinęła głową, rozumiejąc. Też chciała go całego. Cofnęła się i obróciła dokoła. Uniosła się, wsunęła jego członek w siebie i obniżyła ciało. Jęknął i wykrzyczał jej imię, kiedy przyjęła go w swoją gorącą głębię. Czula naciski we wrażliwych, odmiennych miejscach, kiedy poruszała się w górę i w dół, kierując twardą męskością, którą miała w sobie.

Teraz jego potrzeba nie była tak nagła. Mógł trochę poczekać. Pochyliła się pod jeszcze innym kątem. Przyciągnął ją blisko, żeby móc dosięgnąć jej piersi, wziął jedną do ust i mocno pociągnął; potem sięgnął po drugą i wreszcie po obie razem. Jak zawsze, kiedy ssał jej piersi, czuła dygoczące podniecenie w głębi ciała. Ogarnęła ją znów rosnąca fala podniecenia, kiedy poruszała się w górę i w dół, w tył i w przód. Jondalar czuł coraz gwałtowniejszą potrzebę i kiedy odchyliła się, chwycił jej biodra i kierował jej ruchami, ściągając i popychając ją w dół. Poczul przyływ, kiedy się uniosła, i nagle dotarł. Przesunęła się znowu w dół, krzyknął z dygotem, który podniósł się głęboko z jego lędźwi, podczas gdy ona jęczała i trzęsła się w porywie wyzwolenia. Jondalar poruszył nią w górę i w dół jeszcze kilka razy, a potem przyciągnął do siebie i pocałował w piersi. Ayła zadygotała jeszcze raz, a potem upadła na niego. Leżeli bez ruchu, oddychając ciężko.

Ayła właśnie zaczęła odzyskiwać normalny oddech, kiedy poczuła coś wilgotnego na policzku. Przez moment myślała, że to Jondalar, ale to było nie tylko wilgotne, lecz i zimne, i miało inny zapach. Otworzyła oczy i zobaczyła wyszczerzone w uśmiechu zęby Wilka. Dotknął jej jeszcze raz nosem, a potem wepchnął nos między nich.

- Wilk! Odejdź! - powiedziała, odpychając jego zimny nos, i przetoczyła się na bok. Wyciągnęła ręce i złapała Wilka za grzywę, przeciągając palcami po futrze. - Ale cieszę się, że cię widzę. Gdzieś się podziewał przez cały dzień? Już się trochę zaczynałam martwić. - Usiadła, trzymając obiema rękami wilczy łeb, i zwróciła się do mężczyzny: - Zastanawiam się, od jak dawna już tu jest.

- No cóż, cieszę się, że nauczyłaś go, aby nam nie przeszkadzał. Gdyby nam przerwał, nie wiem, co bym mu zrobił - powiedział Jondalar.

Wstał i podał jej rękę. Pomógł jej się podnieść i objął ją.

- Aylo, to było... nie wiem, co powiedzieć. Nie mam na to słów.

Zobaczyła w jego oczach tyle miłości i uwielbienia, że musiała powstrzymać łzy.

- Też mi ich zabrakło, a nawet nie znam żadnych znaków klanu, które pokazałyby ci, co czuję. Nie wiem, czy w ogóle istnieją.

- Właśnie mi pokazałaś, Aylo, i to czymś więcej niż słowami. Pokazujesz mi codziennie, na tak wiele sposobów. - Nagle objął ją mocniej i poczuł ucisk w gardle: - Moja Ayla. Gdybym cię kiedykolwiek stracił...

Ayla poczuła dreszcz strachu na te słowa, ale tylko silniej do niego przywarła.

- Jondalarze, skąd ty zawsze wiesz, czego ja właściwie chcę? - spytała Ayla.

Siedzieli w kręgu żaru z ogniska, popijali herbatę i obserwowali, jak smoliste drewno pęka i wyrzuca iskry w nocne powietrze. Jondalar dawno już nie czuł się tak wypoczęty, zadowolony i odprężony. Po południu łowili ryby - Ayla pokazała mu, jak wyciągnąć rybę z wody ręką, potem znalazła mydlnicę i oboje się wykąпали oraz umyli głowy. Właśnie zakończyli wspianą posiłek, składający się z ryb, jaj wodnych ptaków o lekko rybim smaku, różnych warzyw i placków z ciastowatych kłaczy pałki, upieczonych na gorących kamieniach wraz z kilkoma słodkimi jagodami.

Uśmiechnął się do niej.

- Po prostu zwracam uwagę na to, co mi mówisz.

- Za pierwszym razem myślałam, że chcę, by to trwało, lecz ty sam lepiej wiedziałeś, czego właściwie pragnę. A potem wiedziałeś, że chcę ci dawać przyjemności, i pozwoliłeś mi na to, póki znów nie byłam gotowa dla ciebie. I wiedziałeś, kiedy to nastąpiło. Nie powiedziałam ci nic.

- O tak, powiedziałaś. Tyle tylko że nie słowami. Nauczyłaś mnie, jak mówić na sposób klanu, znakami i gestami, nie słowami. Ja po prostu staram się je zrozumieć.

- Przecież nie nauczyłam cię żadnych znaków tego oddających. Nie znam ich. A jednak wiedziałeś, jak dać mi przyjemności, jeszcze zanim nauczyłeś się mówić językiem klanu. - Czoło miała całe zmarszczone w próbie zrozumienia, co wywołało jego uśmiech.

- To prawda, lecz między ludźmi porozumiewającymi się słowami istnieje niemy język, używany przez nich w znacznie większym stopniu, niż zdają sobie z tego sprawę.

- Tak, zauważyłam to - powiedziała Ayla, myśląc o tym, ile była w stanie dowiedzieć się o ludziach tylko przez zwracanie uwagi na nieświadomie dawane przez nich sygnały.

- A czasami uczysz się, jak robić pewne rzeczy tylko dlatego, że tego chcesz, no więc koncentrujesz się na tych znakach - ciągnął.

Patrzyła mu prosto w oczy, dostrzegła w nich miłość i przyjemność, jaką mu sprawiały jej pytania, gdy nagle zauważyła, że zapatrzył się gdzieś w wielką dal. Patrzył w przestrzeń, jakby coś zobaczył w oddali, i wiedziała, że myśli o kimś innym.

- Szczególnie kiedy osoba, od której chcesz pobierać naukę, jest chętna do jej udzielania. Zolena dobrze cię nauczyła.

Krew uderzyła mu do twarzy. Spojrzał na nią z zaskoczeniem, a potem zaniepokojony odwrócił głowę.

- Ja też się od ciebie nauczyłam - dodała, wiedząc, że jej słowa zaniepokoiły go.

Przez chwilę zdawało się, że nie może spojrzeć jej w oczy. Kiedy to wreszcie zrobił, twarz miał zaszepioną.

- Aylo, skąd wiedziałas, o czym myślałem? Ja wiem, że masz szczególne dary. To dlatego Mamut wziął cię do Ogniska Mamuta podczas adopcji, lecz czasami wydaje mi się, że znasz moje myśli. Czy wzięłaś te myśli z mojej głowy?

Wyczuła jego niepokój i niemal strach przed nią. Spotkała się z czymś podobnym ze strony Mamutoi na Letnim Spotkaniu. Sądziła, że miała jakieś niesamowite zdolności, a wszystko na ogół opierało się na nieporozumieniu. Choćby to, że miała szczególną władzę nad zwierzętami, a ona jedynie znalazła je, kiedy były oseskami, i wychowała jak własne dzieci. Jednak od czasu Zgromadzenia Klanu coś się zmieniło. Nie miała zamiaru wypić specjalnego napoju z korzenia, który przygotowała dla Mogurów, ale to zrobiła, nie chciała też wchodzić do jaskini i znaleźć Mogurów, to się po prostu zdarzyło. Kiedy ich zobaczyła, siedzieli w koło w skalnej niszy i... nagle wpadła w czarną otchłań. Myślała, że jest na zawsze stracona i nigdy nie znajdzie drogi z powrotem. Wtedy, w jakiś sposób, Creb pojawił się w jej świadomości i przemówił do niej. Od tego czasu zdarzało się tak, że wiedziała rzeczy, których nie potrafiła wyjaśnić. A Mamut zabrał ją na Poszukiwania i czuła, jak się unosi i podąża za nim przez stopy. Kiedy jednak skierowała wzrok na Jondalara i zobaczyła jego dziwne spojrzenie, obudził się w niej strach, że może go stracić.

Spojrzała na niego w świetle ogniska i odwróciła oczy. Nie mogło być między nimi żadnych niedomówień... żadnego kłamstwa. Co prawda nie potrafiłaby umyślnie powiedzieć czegoś niezgodnego z prawdą, ale nawet "powstrzymanie się od mówienia", dozwolone w klanie,

nie mogło wchodzić w rachubę między nimi. Musi mu powiedzieć prawdę, nawet za cenę ryzyka utraty go, i musi spróbować dowiedzieć się, co go niepokoi. Spojrzała mu prosto w oczy i zaczęła, szukając słów:

- Nie znałam twoich myśli, Jondalarze, ale mogłam je zgadnąć. Dopiero co mówiliśmy o sygnałach, jakie wysyłają ludzie mówiący słowami. Ty też to robisz, i ja... ja na nie zwracam uwagę i często je rozumiem. Może dlatego, że cię tak kocham i chcę cię znać, jestem taka wyczulona. - Na moment uciekła oczyma w bok i dodała: - Tego uczą się kobiety klanu.

Znowu na niego spojrzała. W jego oczach widać było ulgę i ciekawość, więc ciągnęła dalej:

- Ale to nie tylko to. Nie wyrosłam z... moim rodzajem ludzi i jestem przyzwyczajona do doszukiwania się znaczenia w owych sygnałach. To mi pomogło zrozumieć tych, których spotykałam, chociaż z początku to było bardzo mylące, ponieważ ludzie, którzy posługują się słowami, często mówią jedną rzecz, a ich nieświadome sygnały coś zupełnie innego. Kiedy to wreszcie zrozumiałam, zaczęłam rozumieć więcej niż wypowiedane słowa. Dlatego też Grozie nie mogła mnie pokonać, gdy grałyśmy w grę "w której ręce?" Zawsze wiedziałam, w której ręce trzyma oznakowaną kostkę, po sposobie, w jaki ją trzymała.

- Zastanawiałem się nad tym. Uważano, że ona jest bardzo dobra w tej grze.

- I jest.

- Ale skąd wiedziałaś... skąd mogłaś wiedzieć, że wspomniałem Zolenę? Ona jest teraz Zelandoni. Tak teraz o niej myślę, a nie imieniem, które nosiła, kiedy była młoda.

- Patrzyłam na ciebie i twoje oczy mówiły mi, że mnie kochasz i że jesteś ze mną szczęśliwy, i czułam się cudownie. Gdy jednak zacząłeś mówić o chęci nauczania się pewnych rzeczy, przez moment mnie nie widziałeś. Wyglądało, jakbyś patrzył gdzieś daleko. Opowiedziałeś mi przedtem o Zolenie, o kobiecie, która cię nauczyła... twojego daru... sposobu, w jaki potrafisz obchodzić się z kobietami. Właśnie o tym mówiliśmy, więc wiedziałam, o kim musisz myśleć.

- Aylo! To nadzwyczajne! - powiedział z szerokim uśmiechem ulgi. - Przypominaj mi, żebym nigdy nie próbował mieć przed tobą tajemnic. Może nie potrafisz dosłownie wyjąć człowiekowi myśli z głowy, ale z pewnością jesteś tego bliska.

- Jest jednak coś jeszcze, co powinieneś wiedzieć. Zmarszczki wróciły na czoło Jondalara.

- Co?

- Czasem myślę, że mam... jakiś rodzaj daru. Coś się ze mną stało podczas Zgromadzenia Klanu, kiedy Durc był malutki. Zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. Nieumyślnie, ale wypita napój, który przygotowałam dla Mogurów, i potem znalazłam ich w jaskini. Nie szukałam ich. Nie wiem nawet, skąd się wzięłam w jaskini. Byli... - Przeszedł ją dreszcz i nie mogła

dokończyć zdania. - Coś się ze mną stało. Zgubiłam się w ciemności. Nie w jaskini, w ciemności wewnątrz siebie. Myślałam, że umrę, ale Creb mi pomógł. Włożył swoje myśli do mojej głowy...

- Zrobił co?

- Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć. Włożył swoje myśli do środka mojej głowy i od wtedy... czasami... to tak jakby coś we mnie zmienił. Czasami myślę, że może to jakiś... dar. Zdarzają się rzeczy, których nie rozumiem i nie umiem wyjaśnić. Mamut chyba wiedział.

Jondalar milczał przez chwilę.

- A więc miał rację, kiedy cię zaadoptował do Ogniska Mamuta, zrobił to za coś więcej niż twoje umiejętności uzdrowicielskie.

Kiwnęła głową.

- Może. Tak myślę.

- Ale teraz nie znałaś moich myśli?

- Nie. Ten dar to jest coś innego. Bardziej przypomina podążanie za Mamutem, kiedy poszukuje. Albo wędrowanie do głębokich czy dalekich miejsc.

- Do świata duchów?

- Nie wiem.

Jondalar spojrział w górę i rozważał ewentualne konsekwencje tego, co powiedziała. Potem potrząsnął głową i spojrział na nią z ponurym uśmiechem.

- Matka sobie chyba ze mnie żarty stroi. Pierwsza kobieta, którą kochałem, została powołana, żeby jej służyć, i nie myślałem, że kiedykolwiek obdarzę kogoś miłością jeszcze raz. A teraz, kiedy znalazłem kobietę, którą Kocham, okazuje się, że i jej przeznaczeniem jest służba Matce. Czy ciebie także stracę?

- Dlaczego miałbyś mnie stracić? Nie wiem, czy jestem przeznaczona jej służyć. Nie chcę służyć nikomu. Chcę tylko być z tobą, mieszkać z tobą przy jednym ognisku i mieć twoje dzieci - głośno protestowała Ayla.

- Mieć moje dzieci? - spytał Jondalar, zdziwiony jej doborem słów. - Jak możesz mieć moje dzieci? Mężczyźni ich nie mają. Wielka Matka daje dzieci kobietom. Może użyć ducha mężczyzny do stworzenia dziecka, ale ono nie jest jego. On ma tylko obowiązek zaopatrywać potomków swojej towarzyski życia. I wtedy są to dzieci jego ogniska domowego.

Ayla mówiła już wcześniej o mężczyznach budzących życie wewnątrz kobiet, ale wtedy nie w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że naprawdę jest córką Ogniska Mamuta. Że potrafi odwiedzać świat duchów i może być przeznaczona do służby Doni. Może naprawdę coś wie?

- Możesz nazywać moje dzieci dziećmi twojego ogniska, Jondalarze. Chcę, by tak się stało. Ja po prostu zawsze chcę być z tobą.

- Ja też tego pragnę, Aylo. Pragnąłem ciebie i twoich dzieci, jeszcze zanim cię spotkałem. Nie wiedziałem tylko, czy cię znajdę. Mam jednak nadzieję, że Matka nie obudzi w tobie dziecka przed naszym powrotem do domu.

- Wiem, Jondalarze. Też wolałabym zaczekać.

Ayla wzięła oba kubki, żeby je wypłukać, a potem dokończyła przygotowania do wczesnego wymarszu, podczas gdy Jondalar pakował wszystko z wyjątkiem ich futrzanych śpiworów. Przytulili się do siebie, przyjemnie zmęczeni. Mężczyzna Zelandoni przypatrywał się śpiącej obok niego kobiecie, ale sam nie mógł zasnąć.

Moje dzieci - myślał. Ayla powiedziała, że jej dzieci będą moimi dziećmi. Czy poczynaliśmy życie, kiedy mieliśmy dzisiaj przyjemności? Jeśli z tego zaczęło się nowe życie, to będzie ono wyjątkowe, ponieważ te przyjemności były... lepsze niż jakiegokolwiek... kiedykolwiek... Dlaczego były lepsze? Nie jest przecież tak, że nigdy tych rzeczy przedtem nie robiłem, ale z Aylą są inne... nigdy nie mam jej dość... coraz bardziej jej chcę... sama myśl o niej czyni, że znów jej pragnę... i uważa, że wiem, jak dać jej przyjemność... Ale co zrobimy, jeśli zajdzie w ciążę? Jeszcze nie zaszła... a jeśli nie może? Niektóre kobiety nie mogą mieć dzieci. Ale przecież już ma syna. Czy to może być przeze mnie?

Długo mieszkałem z Serenio. Nie zaszła w ciążę przez cały czas mojego pobytu, a miała przedtem dziecko. Może zostałem z Sharamudoi, gdyby była brzemienna... tak myślę. Przed moim odejściem powiedziała mi, że może jest w ciąży. Dlaczego więc nie zostałem? Powiedziała, że nie chce być moją towarzyszką życia, mimo że darzy mnie miłością, ponieważ ja nie odwzajemniam jej uczucia w równym stopniu. Powiedziała, że kochałem mojego brata bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Ale naprawdę dbałem o nią, może nie tak, jak Kocham Aylę, ale gdybym naprawdę tego chciał, to została by moją towarzyszką życia. I już wtedy o tym wiedziałem. Czy użyłem tego jako wymówki, żeby odejść? Dlaczego to zrobiłem? Ponieważ Thonolan odchodził i martwiłem się o niego? Czy to był jedyny powód?

Jeśli Serenio była w ciąży, kiedy odchodziłem, jeśli urodziła jeszcze jedno dziecko, czy poczęło się ono z esencji mojej męskości? Czy to... moje dziecko? Tak powiedziała by Ayla. Nie, to nie jest możliwe. Mężczyźni nie mają dzieci, chyba że Wielka Matka użyje ducha mężczyzny do zrobienia dziecka. Dziecko mojego ducha?

Gdy tam dojdziemy, będę przynajmniej wiedział, czy urodziła dziecko. Jak Ayla będzie się czuła, jeśli Serenio ma dziecko, które jakoś może być częścią mnie? I co Serenio pomyśli, kiedy zobaczy Aylę? A co Ayla pomyśli o niej?

ROZDZIAŁ 13

Następnego ranka Ayla była gotowa do dalszej podróży, chociaż było równie parno jak poprzedniego dnia. Krzesząc iskry uderzeniami krzemienia o kamień ognisty, marzyła, by nie trzeba było zawracać sobie głowy ogniskiem. Żywność, którą przygotowała poprzedniego wieczoru, i trochę wody wystarczyłyby na poranny posiłek, a wspomniawszy wczorajsze przyjemności z Jondalarem, chciała móc zapomnieć o magicznym leku Izy. Gdyby nie wypiła specjalnej herbaty, to może dowiedziałyby się, czy poczęli dziecko. Ale Jondalar był tak zaniepokojony samą myślą, że mogłaby zajść w ciążę w czasie tej podróży, iż postanowiła ją jednak wypić. Młoda kobieta nie wiedziała, w jaki sposób lek działał. Wiedziała tylko, że jeśli codziennie rano piła kilka gorzkich łyków mocnego wywaru złotej nici aż do początku czasu księżycowego, a potem małą miseczkę płynu z wygotowanego korzenia antylopiej szałwii każdego dnia podczas krwawienia, to nie zachodziła w ciążę.

Nie byłoby tak trudno opiekować się dzieckiem w czasie wędrówki, ale nie chciała być sama przy porodzie. Nie wiedziała, czy przeżyłaby poród Durca bez pomocy Izy.

Ayla zabiła komara na ramieniu i zaczęła sprawdzać swoje zapasy ziół, czekając, aż woda się zagotuje. Miała dosyć składników na poranną herbatę, żeby starczyło jej na dość długo jeszcze, z czego się ucieszyła, bo nie widziała tych roślin na mokradłach. Wolały większą wysokość i suchsze warunki. Przeglądając woreczki i paczki w swojej znoszonej torbie znachorskiej, Ayla uznała, że ma wystarczające ilości większości leczniczych ziół, jakich mogła potrzebować w nagłym wypadku, chociaż chciałaby wymienić niektóre, zebrane w zeszłym roku, na świeże. Jak dotąd, na szczęście, nie miała wielu okazji do używania ich.

Wkrótce po wyruszeniu na zachód doszli do sporego, wartkiego strumienia. Jondalar odczepił kosze, które wisały dość nisko po bokach Zawodnika, i włożył je do łódki umocowanej na włóku, po czym ruszył przyjrzeć się rzekom. Mniejsza łączyła się z Wielką Matką pod ostrym kątem.

- Aylo, zauważyłaś, jak ten dopływ wpada do Matki? Idzie prosto, nawet się nie rozszerzając. Myślę, że to jest przyczyną tego szybkiego prądu, który nas wczoraj złapał.

- Chyba masz rację - powiedziała, widząc, o co mu chodzi. Potem uśmiechnęła się. - Lubisz znać przyczyny zdarzeń, prawda?

- No cóż, woda nie zaczyna nagle pędzić bez powodu. Myślałem, że musi być na to jakieś wytłumaczenie.

- Znalazłeś je.

Ayla pomyślała, że Jondalar jest w wyjątkowo dobrym humorze, i to ją ucieszyło. Wilk biegł przy nich, zamiast wybierać się na samotne wycieczki, i z tego też była zadowolona. Nawet konie zdawały się mieć więcej animuszu. Odpoczynek dobrze zrobił im wszystkim. Ayla też czuła się wypoczęta, a być może dlatego, że dopiero co sprawdzała swoje leki, szczególnie zwracała uwagę na objawy życia roślinnego i zwierzęcego u ujścia rzeki oraz na przylegających terenach trawiastych, przez które podróżowali. Chociaż różnice były ledwo uchwytny, dostrzegała je. Ptaki nadal stanowiły dominującą grupę, a wśród nich przeważały osobniki z rodziny czapli, ale obfitość innych gatunków wydawała się mniejsza tylko przez porównanie. Duże stada pelikanów i pięknych, milczących łabędzi przelatywały nad głowami, jak również wiele ptaków drapieżnych, w tym czarne kanie, orły o białych ogonach, pszczołojady i podobne do jastrzębi sokoły kobuzy. Mnóstwo małych ptaków podskakiwało, latało, śpiewało i pokazywało swoje jaskrawe ubarwienie: słowiki, gajówki ogrodowe i cierniówki, muchołówki, złotawe wilgi i wiele innych.

Małe bąki zamieszkiwały deltę w ogromnych masach, ale te nieuchwytne, dobrze zakamuflowane ptaki było słychać, nie widziało ich się jednak często. Przez cały dzień wyśpiewywały swoje charakterystyczne, dość głucho brzmiące nuty, pod wieczór zwiększając ich intensywność. Kiedy jednak ktoś się zbliżał, wyprostowywały szyje i dzioby pionowo i tak dobrze wtapiały się w trzciny, że wydawały się znikać. Wiele z nich latało jednak nad wodą i łowiło ryby. Bąki wyróżniały się również w locie. Małe, bardzo jasne piórka na boku skrzydeł i nad podstawą ogona silnie kontrastowały z resztą ciemnego ubarwienia.

Podmokłe tereny gościły także zaskakującą liczbę zwierząt, które wymagały różnych środowisk, jak na przykład jelenie i dziki w lasach; zające, chomiki olbrzymie i megacerosy na obrzeżach. Podczas jazdy napotykali wiele stworzeń, których nie widzieli już od dawna, i pokazywali je sobie: suhak przebiegł obok idącego powolnym krokiem tura; mały, dziki kot w bure paski wystawiał ptaka, a z drzewa obserwowała go cętkowana pantera; rodzina lisów z małymi; para tłustych borsuków; kilka niezwykłych tchórzy z futrem nakrapianym biało, żółto i brązowo. W wodzie spostrzegli wydry i norki wraz z ich ulubionym przysmakiem - piżmakami.

Nie brakowało również owadów. Duże, żółte ważki, które przelatywały koło nich z wielką szybkością, oraz delikatne niebieskozielone świtezianki uczezione niczym ozdoby na niepozornych kwiatach babki budziły ich niekłamany podziw, lecz z kolei irytację wywołały chmary komarów, jakie się nagle pojawiły. Miało się wrażenie, że stało się to w przeciągu jednego dnia, mimo że w wilgotnym i ciepłym powietrzu nad strumieniami i cuchnącymi bajorkami przez cały czas dojrzewały maleńkie jajeczka. Pierwsze ich chmary pojawiły się rano i zawisły nad wodą, ale suche stepy obok były od nich nadal wolne, więc zapomnieli o tej pladze. Wieczorem nie dało się już o nich nie myśleć. Komary wkręcały się w ciężką, nasiąkniętą potem sierść koni, bzyczały koło oczu,

właziły do nozdrzy i pysków. Także Wilk ich nie uniknął. Biedne zwierzęta szalały z powodu tych milionów owadzich ukłuć. Irytujące owady obłaziły również ludzi i Ayla z Jondalarem pluli oraz przecierali oczy, żeby pozbyć się napastników. Chmury komarów były gęstsze w pobliżu delty, i zaczęli się zastanawiać, gdzie rozbiją na noc obóz.

Jondalar wypatrzył pokryty trawą pagórek po prawej stronie i uznał, że wzniesienie da im lepszy widok. Wjechali na szczyt i spojrzeli w dół, na skrzącą się wodę starorzecza. Nie miało bujnej roślinności delty - ani zastałej bagiennej wody, która karmiła wyłaniające się dorosłe owady - ale kilka drzew i krzaków rosnęło nad brzegami, obramowując szeroką plażę. Wilk pognął na dół, a konie poszły za nim bez potrzeby popędzania ich. Z trudem utrzymali je dość długo, by zdjąć kosze nośne i odczepić włók Whinney. Zwierzęta z pluskiem wpadły do czystej wody. Nawet nerwowy Wilk, który nie lubił przepraw przez rzeki, bez wahania pływał w jeziorku.

- Czy myślisz, że wreszcie polubił wodę? - spytała Ayla.

- Mam nadzieję. Mamy jeszcze wiele rzek przed sobą.

Konie zanurzyły łby, żeby napić się wody, prychnęły, wydmuchując wodę z nozdrzy i pyska, i zawróciły na płyciznę. Przewróciły się na błotnistym brzegu, żeby się wytarzać i podrapać, a Ayla nie mogła powstrzymać głośnego śmiechu na widok ich grymasów i przewracania oczyma z czystej rozkoszy. Kiedy się podniosły, ich sierść była pokryta błotem, ale po wyschnięciu pot, jaja owadzie i inne przyczyny swędzenia odpadną razem z wyschniętym błotem.

Obozowali na brzegu jeziora i wyruszyli wcześniej rano. Pod wieczór marzyli, by znaleźć kolejne miejsce na nocleg, równie przyjemne co poprzednie. Oblegała ich fala komarów, które zostawiały czerwone, swędzące ślady. Ayla z Jondalarem musieli naciągnąć na siebie cięższe, ochronne ubranie, mimo że było im nieprzyjemnie gorąco, szczególnie po chodzeniu niemal nago. Żadne nie było całkiem pewne, kiedy pojawiły się muchy. Zawsze latało wokół nich kilka końskich much, ale teraz nagle wzrosła liczba innych - maleńkich, gryzących. Mimo że wieczór był ciepły, wcześniej wpełzli do swoich futrzanych śpiworów, po prostu, żeby uciec przed dokuczliwymi chmarami owadów.

Następnego dnia udali się w drogę późnym przedpołudniem, ponieważ Ayla szukała ziół potrzebnych do przemycia pogryzień oraz do zrobienia "odpędzacza owadów". W wilgotnych i zacienionych miejscach nad wodą znalazła ziele z dziwnie ukształtowanymi, brązowymi kwiatami. Zerwała całe, żeby zrobić z tego płukanekę leczącą skórę i uśmierzającą świąd. Zobaczyła duże liście babki i też je zerwała, żeby dodać do roztworu; były znakomite na wszelkie stany zapalne skóry, od ukąszeń komarów po czyraki, a nawet duże wrzody i rany. Na stepie, gdzie było bardziej sucho, znalazła piołun i zerwała kwiaty jako ogólną odtrutkę.

Była bardzo zadowolona ze znalezienia jaskrawożółtych nagietek, ze względu na ich antyseptyczne i gojące właściwości, łagodzenie ugryzień, jak również dlatego, że nasmarowanie się wywarem z nich tak skutecznie odpędzało owady. Na nasłonecznionym skraju lasu natknęła się na majeranek, którego wywar nie tylko dobrze odstraszał owady; dodany do herbaty nadawał potowi ludzkiemu specyficzny, korzenny zapach, który zupełnie nie odpowiadał większości komarów, pcheł i much. Spróbowała nawet namówić konie i Wilka, żeby trochę wypily, lecz nie była pewna, czy jej się to udało.

Jondalar obserwował ją, zadawał pytania i z zainteresowaniem słuchał wyjaśnień. Kiedy ugryzienia przestały go piec oraz swędzić, i poczuł się lepiej, uświadomił sobie, jakie ma szczęście, że podróżuje z kimś, kto potrafi coś na to zaradzić. Gdyby był sam, musiałby po prostu zacisnąć zęby.

Przed południem byli znowu w drodze i zmiany w krajobrazie, które Ayla zauważyła wcześniej, stały się bardziej widoczne. Widzieli teraz mniej moczarów i wysp, a więcej wody. Północne ramię delty traciło swoją sieć wijących się dopływów i stawało się jedną rzeką. Potem, bez zapowiedzi, północne ramię złąło się z jednym ze środkowych, podwajając szerokość koryta i tworząc olbrzymią przestrzeń płynącej wody. Wkrótce potem rzeka spotężniała znowu, kiedy południowe ramię, połączone z innym dużym korytem, zbiegło się razem i wszystkie cztery ramiona uformowały jeden głęboki nurt.

Podczas swej drogi przez całą szerokość kontynentu wielka rzeka przyjmowała wodę z setek dopływów oraz wody odpływowe z dwóch łańcuchów górskich, ale granitowe kikuty pradawnych gór blokowały jej drogę do morza dalej na południe. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać nieubłaganego naporu wody, ustępowały, aczkolwiek niechętnie. Wielka Matka przeciskała się przez wąskie przejście, a potem skręcała ostro i uchodziła przez masywną deltę do oczekującego jej morza.

Ayla po raz pierwszy zobaczyła pełen ogrom wspaniałej rzeki, a chociaż Jondalar przeszedł już kiedyś tę trasę, widział ją wtedy z innej perspektywy. Byli oszołomieni, przykuci tym widokiem. Wzbudzająca grozę masa wody przypominała raczej płynące morze niż rzekę, ze swoją migoczącą, falującą powierzchnią, która zaledwie dawała do zrozumienia, jak wielkie siły kryją się w jej głębi.

Ayla dostrzegła w oddali złamaną gałąź płynącą w ich kierunku, właściwie patyk unoszony szybkim prądem, ale coś w nim przykuło jej uwagę. Trwało dość długo, zanim gałąź do nich podpłynęła, a wtedy Ayli dech zaparło ze zdziwienia. To wcale nie była gałąź; to było całe drzewo! Kiedy spokojnie przepływało koło nich, Ayla ze zdumieniem wpatrywała się w jedno z największych drzew, jakie kiedykolwiek widziała.

- To jest Wielka Matka Rzeka - powiedział Jondalar.

Przeszedł już raz wzdłuż całego jej biegu, znał teren, który przemierzył, i wiedział, jak długa podróż ich jeszcze czekała. Chociaż Ayla nie w pełni to rozumiała, czuła, że wezbrana u kresu swej długiej wędrówki olbrzymia, potężna, głęboka Matka Rzeka osiągała tutaj swój punkt kulminacyjny; tu była tak Wielka jak nigdzie indziej.

Szli dalej pod prąd obok wezbranego koryta rzecznego i zostawiali za sobą pełne wilgoci ujście rzeki wraz z owadami, które im tak dokuczyły. Odkryli, że porzucają również otwarte stępy. Rozległe tereny trawiaste i płaskie mokradła ustępowały miejsca falującym pagórkom, pokrytym lasem i zielonymi łąkami. Chłód w cieniu lasu był tak przyjemną odmianą, że kiedy doszli do dużego jeziora i otoczonej drzewami pięknej, zielonej łąki, kusiło ich, żeby się zatrzymać i rozbić obóz, chociaż było dopiero wczesne popołudnie. Pojechali wzdłuż strumyczka ku piaszczystemu brzegowi, ale w jego pobliżu Wilk wydał głęboki gardłowy warkot, zjeżył sierść i przybrał postawę obronną. Ayla i Jondalar uważnie się rozejrzeli, szukając przyczyny niepokoju zwierzęcia.

- Niczego groźnego nie widzę - powiedziała Ayla. - Ale musi tu być coś, czego Wilk nie lubi.

Jondalar jeszcze raz spojrzął na jezioro.

- I tak jest za wcześnie na rozkładanie obozu. Jedźmy dalej. - Zawrócił Zawodnika i pojechali z powrotem w kierunku rzeki. Wilk został jeszcze przez chwilę, a potem ich dogonił.

W czasie dalszej jazdy przez zalesione tereny Jondalar był zadowolony, że nie zatrzymali się wcześniej. W ciągu popołudnia minęli wiele innych jezior o najróżniejszych rozmiarach; okolica była ich pełna. Pomyślał, że powinien był o tym wiedzieć ze swojej poprzedniej wędrówki z biegiem rzeki, ale przypomniał sobie, że spłynęli z Thonolanem w łodzi Ramudoi, od czasu do czasu tylko zatrzymując się przy brzegu. Uważał jednak, że było to idealne środowisko dla ludzi, i zaczął szukać w pamięci, czy któryś z Ramudoi mówił o jakichś innych rzecznych ludach mieszkających tutaj. Nic jednak nie powiedział Ayli. Jeśli się nie pokazywali, to znaczy, że nie chcą się z nimi spotkać. Nie przestawał jednak zastanawiać się, co spowodowało tak gwałtowną reakcję Wilka. Czy wyczuł woń ludzkiego strachu? Ludzkiej wrogości?

Kiedy słońce zaczęło obniżać się nad górami, które wyłaniały się przed nimi, zatrzymali się przy niedużym jeziorku, niecce spływowej wielu strumyków, schodzących z okolicznych pagórków. Jezioro miało bezpośrednie połączenie z rzeką, i duże pstrągi oraz rzeczne łososie wpływały do niego, podążając pod prąd.

Od czasu, gdy dotarli do rzeki i zaczęli regularnie dodawać rybę do swojego jadłospisu, Ayla robiła sieć, podobną do tych, jakich klan Bruna używał do połowu dużych ryb morskich.

Najpierw musiała zrobić sznury i wypróbowała wiele różnych roślin, które miały ciągnące się, włókniste części. Konopie i len równie dobrze się nadawały, chociaż konopie były grubsze.

Uznała, że ma już dość duży kawał sieci, aby wypróbować ją w jeziorze. Jondalar trzymał jeden koniec, ona drugi i weszli dość głęboko, zanim zaczęli iść z powrotem do brzegu, ciągnąc sieć za sobą. Kiedy złapali dwa duże pstrągi, podekscytowany Jondalar zaczął się zastanawiać, czy istnieje jakiś sposób na przyłączenie uchwytu do sieci, żeby jeden człowiek mógł złapać rybę bez wchodzenia do wody. Ta myśl na długo zaprzątęła mu głowę.

Rano ruszyli w kierunku rysującego się przed nimi łańcucha górskiego. Podążali przez bogate i zróżnicowane tereny leśne. Rosły tam najrozmaitsze drzewa liściaste i iglaste, które - jak na stepach - tworzyły mozaikę lasów przecinanych przez łąki i jeziora, a na niższych terenach przez torfowiska lub moczary. Jedne drzewa rosły w zagajnikach tego samego gatunku, inne pomieszane, zależnie od drobnych różnicowań w klimacie, wzniesieniu w dostępie do wody czy rodzaju gleby, która miejscami była ilasta lub piaszczysta albo gliniasta z domieszką piasku, czy też bardziej przemieszana.

Wiecznie zielone drzewa wolały północne zbocza i bardziej piaszczystą glebę. Kiedy było wystarczająco wilgoci, potrafiły wyrosnąć do okazałych rozmiarów. Gęsty las potężnych świerków, dochodzących do pięćdziesięciu metrów wysokości, zajmował najniższe części stoków i mieszał się nieco wyżej z sosnami, które - choć osiągały tylko czterdzieści metrów - zdawały się równie wysokie, ponieważ rosły nieco wyżej na zboczach. Wysokie, ciemnozielone jodły ustępowały miejsca gęstym zagajnikom wysokich brzoź o białej korze. Nawet wierzby przekraczały dwadzieścia metrów wysokości. Na południowych zboczach pagórków, gdzie ziemia była wilgotna i żyzna, liściaste drzewa rosły do zadziwiających wysokości. Gigantyczne dęby o doskonale prostych pniach i bez odchodzących gałęzi, poza koroną z zielonymi liśćmi na szczycie, wspinały się do ponad czterdziestu metrów. Olbrzymie lipy i jesiony osiągały niemal te same wysokości, a wspaniałe klony nie pozostawały daleko w tyle.

W pewnej odległości przed sobą podróżnicy zobaczyli srebrzyste liście białych topoli, stojących razem z dębami, i kiedy doszli do tego miejsca, stwierdzili, że las roił się od wróbli mazurków, które gnieździły się w każdej możliwej szczelinie. Ayla znalazła nawet ich gniazda z jajami i pisklętami, zbudowane wewnątrz równie pełnych gniazd srok i myszołowów. W lesie było także wiele rudzików, ale ich pisklęta już wyfrunęły z gniazd.

Na pochyłych zboczach wzgórz, gdzie przerwy w liściastej pokrywie dopuszczały światło słoneczne do ziemi, w bogatym poszyciu kwitł powojnik i inne pnącza, często zwieszające się z wysokich gałęzi koron drzew. Jeźdźcy zbliżyli się do kępy wiązków i białych wierzb, obrośniętych roślinami, które oplatały ich pnie i zwieszały się z gałęzi. Znaleźli tam wiele gniazd cętkowanych

orłów i czarnych bocianów. Minęli osiki, trzęsące się nad krzakami jeżyn, oraz gęste zarośla wiklinowe koło strumienia. Mieszany gaj majestatycznych wiązów, wytwornych brzoź i pachnących lip wspinał się po zboczu i zacieśniał gęszcz jadalnych roślin, po które się zatrzymali: malin, pokrzyw, leszczyn z nie całkiem dojrzałymi orzechami, jakie Ayla lubiła najbardziej. Rosło tam również kilka pinii o pożywnych, schowanych w twardej łupince orzeszkach. Nieco dalej kilka grabów wypychało buki, po to tylko, by im potem znowu ustąpić, a jeden olbrzymi pochyły grab, gęsto pokryty żółtopomarańczowymi podpieńkami, zachęcił Aylę do grzybobrania. Jondalar dołączył się do zbierania tych nadzwyczaj smacznych grzybów. Sam odkrył w pobliżu drzewo z pszczelim ulem. Z dymiącą pochodnią i siekierą wspiał się po prowizorycznej drabinie, zrobionej z powalonego pnia jodły z kikutami solidnych gałęzi, i za cenę kilku pszczelich użądleń zdobył plastry miodu. Pochłonęli większość tego wyszukanego przysmaku od razu, połykając wraz z miodem wosk oraz kilka pszczoł i zaśmiewając się jak dzieci ze swych klejących się i umorusanych twarzy i rąk.

Owe południowe tereny od dawna były naturalnymi rezerwatami drzew, roślin i zwierząt wymagających umiarkowanego klimatu, a zepchniętych tutaj przez suche, mroźne warunki, jakie panowały na pozostałych obszarach kontynentu. Na tych małych przestrzeniach, w sprzyjającym im środowisku, te relikty flory trwały i kiedy klimat znowu się zmienił, rozprzestrzeniły się szybko na nowo otwarte dla siebie tereny.

Mężczyzna i kobieta wraz z parą koni i wilkiem kontynuowali swoją podróż na zachód wzdłuż szerokiej rzeki, kierując się ku górą. Widzieli je nieco wyraźniej, ale pokryte śniegiem grzbiety górskie tak bez przerwy stały im przed oczyma, tempo zaś zbliżania się do nich było tak powolne, że niemal nie zauważali, o ile są już bliżej. Od czasu do czasu robili wyprawy w zalesione pagórki na północ, gdzie teren bywał urwisty i stromy, ale na ogół trzymali się płaskiej równiny obok koryta rzeki. Były to bardzo odmienne tereny, a jednak na porośniętej lasem równinie rosło wiele drzew i roślin takich samych jak w górach.

Podróżnicy zorientowali się, że doszli do miejsca, w którym rzeka drastycznie zmieniała charakter, gdy dotarli do jej dużego dopływu, pędzącego z gór. Przeprawili się przezeń łódką, ale zaraz potem natknęli się na kolejną wartką rzekę, właśnie kiedy zakręcali na południe, skąd sphywała Wielka Rzeka Matka po okrążeniu dolnego krańca łańcucha górskiego. Rzeka, niezdolna wspiąć się na północne wyżyny, zakręcała ostro i przebijała się przez pasmo górskie, aby dojść do morza.

Łódka znowu dowiodła swojej przydatności, chociaż musieli pójść spory kawałek w górę dopływu od miejsca, w którym wpadał do większej rzeki, żeby znaleźć mniej burzliwy odcinek na przeprawę. Tuż poniżej zakrętu do Matki wpadało wiele innych, mniejszych strumieni. Idąc wzdłuż

lewego brzegu, podróżnicy zakręcili nieco na zachód, a potem podążali z powrotem wzdłuż nurtu. Chociaż wielka rzeka nadal była po ich lewej stronie, nie mieli już przed sobą gór. Górski łańcuch znajdował się teraz na prawo od nich, a przed nimi rozpościerały się na południu suche, otwarte stepy. Daleko z przodu odległe purpurowe wzniesienia zamykały horyzont.

Kierując się w górę biegu rzeki, Ayla obserwowała ją bez przerwy. Wiedziała, że minęli już wszystkie większe dopływy i że wielka rzeka była mniej wypełniona niż przedtem. Szerokie masy płynącej wody wcale nie wyglądały inaczej, a jednak wyczuwała, że Wielka Matka jest mniejsza. To było raczej uczucie niż wiedza i próbowała dostrzec, czy niezmierna rzeka zmieniła się w widoczny sposób. Wkrótce istotnie wielka rzeka nabrała innego wyglądu.

Głęboko pod lessem - żyzną ziemią, która rozpoczęła swoją egzystencję jako skalny pył zmielony przez potężne lodowce i przywiany przez wiatry wraz z gliną, piachem i żwirem nanoszonymi przez tysiąclecia przez płynącą wodę - pogrzebany był starodawny maszyn górski. Trwałe podstawy archaicznych gór formowały mocną tarczę, tak nieustępliwą, że niepodatna skorupa granitu, wpychana na nią przez nieubłagane ruchy ziemi, wypiętrzyła się i wzniosła w postaci gór, których lodowe szczyty błyszczały teraz w słońcu. Ukryty maszyn górski rozciągał się pod rzeką, ale odsłonięta krawędź, zdarta przez czas, nadal jednak wystarczająco wysoka, by zablokować rzece przejście do morza, zmusiła Wielką Matkę do zmiany kierunku na północ, żeby tam szukała możliwości odpływu. Wreszcie nieugięta skała niechętnie oddała wąskie przejście, ale przed wciśnięciem się w nie olbrzymia rzeka płynęła równoległe do morza przez płaską równinę, ociążale rozlewając się w dwa ramiona połączone krętymi kanałami.

Pozostawiwszy za sobą las, Ayla z Jondalarem jechali obok potężnych rzecznych moczarów na południe przez rejon płaskich nizin i niewielkich wzgórz, pokrytych suchą trawą. Okolice przypominała stepy nieopodal delty, ale było tu goręcej i ziemia była suchsza, z obszarami piaszczystych wydm, na ogół porośniętych odpornymi na suszę trawami. Rosło tu mniej drzew, nawet nad wodą. Zarośla, przede wszystkim piołunu, szaławii łąkowej i aromatycznego estragonu, próbowały egzystować na suchej glebie, czasami wypierając skarłowaciałe oraz pokrzywione sosny i wierzby, które przyciskały się do brzegów strumieni.

Mokradła - często zalewana przestrzeń między ramionami rzeki - ustępowały rozmiarami tylko wielkiej delcie, lecz były równie bogate w trzciny, bagna, wodne rośliny i ptactwo. Niskie wyspy z drzewami i małymi, zielonymi łąkami okalały błotniste, żółte ramiona główne lub boczne kanały czystej wody, pełnej ryb, na ogół niezwykle dużych.

Jechali przez otwartą przestrzeń niedaleko wody, kiedy Jondalar ściągnął cugle Zawodnika i zatrzymał go. Ayla stanęła obok. Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny, lecz zanim się odezwała, przyłożył palec do ust na znak milczenia i wskazał jej czysty basen wodny. Widać w nim

było podwodną roślinność, poruszaną przez niewidzialny prąd. Z początku nie zobaczyła niczego niezwykłego; nagle, wyslizgując się bez wysiłku z zielonkawych głębi, pojawił się olbrzymi i piękny, złocisty karp. Innego dnia zobaczyli w zatoce wiele jesiotrów; olbrzymie ryby dochodziły do dziesięciu metrów długości. Jondalarowi przypomniała się żenująca przygoda, jaką przeżył w związku z jedną taką olbrzymią rybą. Pomyślał, że opowie o tym Ayli, ale zmienił zdanie.

Szuwary, jeziora i zatoki wzdłuż meandrów rzeki zapraszały ptactwo do zakładania gniazd i wielkie stada pelikanów przepływały nad głowami, unoszone prądem gorącego powietrza, zaledwie poruszając szerokimi skrzydłami. Ropuchy i jadalne żaby wyśpiewywały swoje wieczorne pieśni, a czasami dostarczały podróżnym posiłku. Ignorowali małe jaszczurki, przemykające po błotnistym brzegu, i starali się unikać węży. Zdawało się, że w tych wodach jest więcej pijawek, wybierali więc miejsca do kąpieli ostrożnie i starannie, choć Aylę intrygowały te dziwne stworzenia, które przysysały się do skóry i wyciągały krew. Najwięcej kłopotów mieli jednak z najmniejszymi stworami. W pobliżu błotnistej mokradła prześladowały ich owady, których zdawało się więcej niż gdzie indziej, i często zmuszały ich oraz konie i Wilka do szukania ulgi w rzece.

Góry na zachodzie odsuwały się, w miarę jak zbliżali się do południowego krańca pasma, zostawiając szerszą płaszczyznę między wielką rzeką, wzdłuż której szli, a poszarpaną granią ciągnącą się na południe po ich lewej ręce. Pokryty śniegiem łańcuch górski ostro zakręcał w miejscu, gdzie stykało się z nim inne odgałęzienie pasma, idące ze wschodu na zachód i zakreślające południową granicę. Obok najdalszego, południowego krańca dwa wysokie szczyty wystawały ponad wszystkie inne.

Posuwając się wzdłuż rzeki na południe i odchodząc dalej od głównego łańcucha, uzyskali szeroką perspektywę. Patrząc wstecz, zaczęli dostrzegać pełne rozmiary długiego szeregu wyniosłych szczytów. Lód błyszczał na najwyższych partiach, podczas gdy śnieg okrywał bielą ich strome zbocza i połączone z nimi pasma gór - stałe przypomnienie, że sezon letniego gorąca na tych południowych równinach trwa krótko w owej krainie, którą rządził lód.

Kiedy zostawili za sobą góry, widok na zachód wydawał się pusty; jak okiem sięgnąć, rozpościerała się monotonna równina - nie zakłócone niczym, suche stopy. Bez różnorodności zadrzewionych pagórków, które zmieniały tempo ich marszu, czy poszarpanych szczytów urozmaicających krajobraz, jeden dzień zlewał się z następnym. W jednym miejscu rzeka podeszła trochę bliżej, spostrzegli spoza szuwarów po drugiej stronie stopy i więcej drzew.

Zanim dzień przeminął, Wielka Matka Rzeka znowu rozlała się szeroko. Idąc wzdłuż niej, podróżnicy szli na południe, skręcając tylko nieznacznie na zachód. Zbliżali się do purpurowych wzgórz i mogli się im już przyjrzeć. W odróżnieniu od ostrych szczytów na północy wierzchołki na południu były łagodniejsze i sprawiały wrażenie wyżyny. Niemniej jednak były dość wysokie, by

zachować pokrywą z lodu i śniegu niemal do pełni lata. Południowe góry wpływały także na trasę obraną przez rzekę. W ich pobliżu zauważyli zmiany w masach wodnych, które już widzieli wcześniej. Wijące się odnogi zeszyły się razem, wyprostowały, łączyły z sąsiednimi, aż wreszcie zlały się z głównymi ramionami. Zniknęły szuwary i wyspy, a wiele strumieni tworzyło teraz jeden, głęboki i szeroki kanał, który szerokim zakrętem zawracał w ich kierunku.

Jondalar i Ayla szli po wewnętrznej stronie zakrętu, aż znowu stali twarzami na zachód, w kierunku słońca, które obniżało się na ciemnoczerwonym, zamglonym niebie. Jondalar nie widział żadnych chmur i zastanawiał się, co powodowało ten jednolity kolor, który odbijał się od skalistych wieżyc na północy i poszarpanej wyżyny za rzeką, zabarwiając fale wodne na odcień krwi.

Szli dalej lewym brzegiem w górę biegu rzeki i szukali dobrego miejsca na obozowisko. Ayla znowu obserwowała rzekę, zafascynowana jej ogromem. Wiele dopływów najróżniejszych rozmiarów wpływało do szerokiej rzeki z obu stron, a każdy dokładał się do jej kolosalnych rozmiarów. Ayla wiedziała, że Wielka Matka Rzeka była teraz mniejsza, pomniejszona o masę wodną każdego dopływu, który mijali, ale nadal była tak potężna, że ubytek wody trudno było dostrzec.

Ayla zbudziła się przed świtem. Lubiła poranki, kiedy nadal było chłodno. Przygotowała gorzki antykonceptyjny napój oraz po kubku herbaty z estragonu i szaławii dla siebie i dla śpiącego mężczyzny. Popijała herbatę i obserwowała poranne słońce, które budziło góry na północy. Zaczęło od pierwszych, różowych przebłysków świtu, które powoli wydobywały z ciemności dwa ośnieżone szczyty odbijające różowawy blask ze wschodu. Jeszcze zanim żarząca się kula ognia wysłała pierwsze promienie ponad horyzont, płonące szczyty górskie oznajmiły jej nadejście.

Kiedy Ayla i Jondalar wyruszyli w drogę, spodziewali się, że rzeka znowu się rozleje; zdziwiło ich więc, że nadal płynęła w jednym szerokim korycie. Pośrodku szerokiego nurtu widniało kilka porośniętych krzakami wysp, ale rzeka nie rozdzielała się już na odrębne ramiona. Byli tak przyzwyczajeni do jej meandrów na trawiastej równinie i rozlanej, zmiennej trasy, że zdumiewał ich widok olbrzymiej rzeki w jednym korycie na dłuższym odcinku. Wielka Matka w swej podróży przez kontynent nieodmiennie wybierała najniżej położone tereny wokół wysokich gór i pomiędzy nimi. Płynąc na wschód przez południowe równiny, znalazła najniższy poziom u stóp zwietrzałych gór, które ją więziły i wyznaczały jej prawy brzeg. Na lewym brzegu, między rzeką a ostro pofałdowanymi, połyskliwymi grzbietami z granitu i łupków krystalicznych na północy, leżała płaszczyna przedgórza z przeważnie wapiennych skał, pokryta lessową ziemią. Była to kraina o surowym, pełnym skrajności klimacie; zimą wysokie ciśnienie nad północnym lodowcem miotало podmuchy mroźnego powietrza przez jej otwartą przestrzeń; gwałtowne sztormy, rodzące się nad morzem, często atakowały ze wschodu. Okresowe ulewy i wysuszające

wiatry, wraz ze skokami temperatur, powodowały pęknięcia wapiennej skały pod porowatą, lessową ziemią, co tworzyło strome skarpy na płaskich, otwartych wyżynach.

W tej suchej, przewianej wiatrem krainie rosły trawy, ale niemal zupełnie nie było drzew. Jedyne trochę zarośli potrafiło przetrwać suche upały i przenikliwy mróz. Od czasu do czasu można było zobaczyć krzak tamaryszku z cienkimi gałęziami, łuskowatymi liśćmi i wiechami małych różowych kwiatów, albo szakłak z okrągłymi czarnymi jagodami i z kolcami, a nawet kilka małych, rozrośniętych krzewów czarnej porzeczki. Najwięcej było różnych rodzajów bylic, w tym nie znanej Ayli odmiany piołunu. Jego czarne łodygi wyglądały jak nagie i martwe, ale kiedy kilka zerwała, sądząc, że nadadzą się na opał, odkryła, że nie były wyschnięte i kruche, lecz zielone i żywe. Po krótkim, ulewnym deszczu z łodyżek wyrastały ząbkowane liście ze srebrzystym puchem od spodu, a na spiczastych odgałęzieniach pojawiały się liczne małe, żółtawe kwiaty, podobne do ciasno zebranych środków stokrotek. Poza tym, że miały ciemniejsze łodygi, przypominały dobrze jej znane, jaśniejsze odmiany, które często rosły obok kostrzewy i wiechowatych traw, póki wiatr i słońce nie wysuszały równiny. Wówczas znowu wydawały się martwe.

Południowe równiny, ze swoją różnaitością traw i zarośli, były w stanie wyżywić wiele zwierząt. Wszystkie je widzieli już na stepach na północy, ale w innych proporcjach, kilka zaś bardziej przystosowanych do mrozu odmian, jak na przykład wół piżmowy, nigdy nie zapuszczało się tak daleko na południe.

Z drugiej jednak strony Ayła nigdy nie widziała takiej liczby antylop suhaków jak tutaj. Zamieszkiwały niemal wszystkie otwarte równiny, ale na ogół nie było ich aż tyle.

Ayła zatrzymała się i przyglądała stadu tych dziwnych, niezgrabnych zwierząt. Jondalar poszedł zbadać ujście przy rzece z kilkoma smukłymi pniami drzew na brzegu, które wyglądały, jakby nie tu było ich miejsce. Z tej strony rzeki nie rosły żadne drzewa i wyglądało to na rozmyślnie pozostawiony znak. Kiedy dogonił Aylę, wpatrywała się daleko przed siebie.

- Nie jestem pewien - powiedział. - Te pnie mogły być wetknięte przez rzecznych ludzi. Ktoś mógł tam przywiązywać łódkę. Ale równie dobrze mogą to być pnie, które zniosła woda.

Ayła kiwnęła głową, a potem wskazała na suchy step.

- Popatrz na te suhaki.

Jondalar z początku ich nie zauważył. Miały kolor ziemi. Potem zobaczył zarysy ich prostych rogów z lekko zakrzywionymi czubkami.

- Przywodzą mi na myśl Izę. Duch Suhaka był jej totemem - wyjaśniła z uśmiechem Ayła.

Niezgrabne antylopy suhaki, ze swoimi długimi, obwisłymi nosami i szczególnym chodem, który jednak nie przeszkadzał im w szybkim biegu, zawsze wywoływały jej uśmiech. Wilk lubił za

nimi gonić, ale były tak szybkie, że bardzo rzadko udawało mu się podejść do nich bliżej, gdyż zaraz uciekały.

Suhaki zdawały się lubić czarne łodygi piołunu i gromadziły się tu w znacznie większych stadach niż zazwyczaj. Zwykle stado suhaków składało się z dziesięciu do piętnastu zwierząt, na ogół samic z jednym, a częściej dwoma jelonkami; niektóre matki same nie miały wiele ponad rok życia. W tym regionie jednak stada przekraczały pięćdziesiąt sztuk. Ayla zastanawiała się, co się działo z samcami. Jedynie podczas sezonu godowego widziała ich wiele. Każdy z nich próbował wtedy kopulować z tak dużą liczbą samic, i tak często, jak tylko mógł. Potem zawsze napotykało się padłe samce. To było niemal tak, jakby samce szukały śmierci podczas sezonu godowego i na resztę roku zostawiały niezbyt obfitą karmę samicom i młodym.

Na równinach żyło także trochę koziorożców i muflonów, które na ogół trzymały się w pobliżu stromych skarp, łatwych do wspinaczki dla tych dzikich kóz i owiec. Olbrzymie stada turów występowały na całym terytorium, większość z nich z jednobarwnym futrem o ciemnoczerwonym kolorze, ale zadziwiająco wiele miało białe łaty, niektóre dość duże. Widzieli też lekko nakrapiane daniela, jelenie, żubry i wiele onagerów. Whinney i Zawodnik z zainteresowaniem śledziły wszystkie czworonożne, trawożerne zwierzęta, ale onagery szczególnie przyciągały ich uwagę. Konie obserwowały stada tych podobnych do koni osłów i długo węszyły przy stertach ich łajna.

Były tu także zwykle spotykane małe zwierzęta stepowe: susły, świstaki, skoczki, chomiki, zajace i rodzaj grzebieniastych jeżozwierzy, których Ayla dotąd nie spotkała. Ich liczba utrzymywana była w ryzach przez zwierzęta, dla których stanowiły łup. Widzieli małe, dzikie koty, większe rysie i potężne lwy jaskiniowe, jak również słyszeli chichot hien.

W ciągu kilku następnych dni podróży wielka rzeka często zmieniała kierunek biegu. Podczas gdy krajobraz na lewym brzegu, po którym podróżowali, pozostawał mniej więcej taki sam - pokryte trawą, niskie wzgórza i płaskie równiny z ostrymi skarpami oraz poszczerbione góry za nimi - przeciwległy brzeg stawał się bardziej dziki i zróżnicowany. Dopływy rzeczne wycinały głębokie wąwozy, drzewa wspinały się na zwietrzałe zbocza górskie, pokrywając czasami całe stoki, aż do krawędzi wody. Wcięte podnóża gór i nierówności terenu, które odgraniczały południowy brzeg rzeki, powodowały, że rzeka płynęła szerokimi zakolami, kierując się jednak ciągle na wschód, ku morzu.

Przy tych potężnych zakolach wody istotnie rozlewały się i dzieliły na odrębne koryta, ale już nie tworzyły się moczary podobne do tych przy delcie. Była to po prostu olbrzymia rzeka lub - na bardziej płaskim terenie - kręte, płynące równoległe do siebie strumienie o gęściejszych zaroślach i zieleńszej trawie w pobliżu wody.

Ayli brakowało nieco chóru bagiennych żab, chociaż cienkie trele żab rogatych nadal stanowiły refren do zróżnicowanej nocnej muzyki. Miejsce żab zajęły jaszczurki i stepowe żmije, a wraz z nimi wyjątkowo piękne żurawie stepowe, żerujące na płazach, owadach i ślimakach. Ayła z przyjemnością obserwowała parę tych długonogich ptaków, niebieskoszarego koloru z białymi kępkami piór za każdym okiem, jak karmiły swoje pisklęta. Nie tęskniła jednak za komarami. Bez bagien, na których się rozmnażały, te uprzykrzone, gryzące owady właściwie zniknęły. Niestety, nie dotyczyło to maleńkich gryzących muszek. Chmary ich nadal dręczyły podróżników, szczególnie tych pokrytych sierścią.

- Aylo, patrz! - zawołał Jondalar i wskazał na budowlę z pni i desek na brzegu rzeki. - To jest pomost dla łodzi. Zrobili go rzeczni ludzie.

Chociaż nie wiedziała, co to jest pomost dla łodzi, było oczywiste, że nie jest to przypadkowy stos drewna. Ktoś to wznosił celowo. Poczwała falę podniecenia.

- Czy to znaczy, że niedaleko są ludzie?

- Chyba nie tutaj; nie ma żadnej łodzi, ale nie są daleko. Muszą często używać tego miejsca. Nie zadaliby sobie trudu zbudowania pomostu, gdyby go rzadko używali, i nie przypływaliby często do miejsca, które jest bardzo daleko od obozu.

Jondalar przyglądał się przez chwilę pomostowi, a potem spojrzął w górę rzeki i na jej przeciwległy brzeg.

- Nie jestem pewien, ale powiedziałbym, że ci, co to zbudowali, mieszkają po drugiej stronie rzeki i przybijają tutaj, kiedy przepływają się na ten brzeg. Może przychodzą tu, żeby polować albo zbierać korzenie, albo jeszcze po coś innego.

W czasie dalszej drogi w górę rzeki oboje nieustannie zerkali na przeciwległy brzeg. Dotąd nie zwracali szczególnej uwagi na drugą stronę rzeki i Ayła uświadomiła sobie, że mogli tam być ludzie, których nie zauważyli. Nie uszli daleko, kiedy Jondalar dostrzegł ruch na wodzie, w sporej odległości w górę biegu rzeki. Zatrzymał się, żeby popatrzeć uważnie.

- Aylo, spójrz tam. To chyba łódź Ramudoi.

Spojrziała i coś zobaczyła, ale nie była pewna, co. Popędzili konie. Kiedy podjechali bliżej, Ayła zobaczyła łódź niepodobną do niczego, co kiedykolwiek widziała. Znała tylko łodzie robione przez Mamutoi, pokryte skórą ramy w kształcie miski, jak ta, którą ciągnęli na włóku. To, co zobaczyła na rzece, było zrobione z drewna i zwęzowało się z przodu w szpic. Wewnątrz siedziało w rzędzie kilkoro ludzi. Kiedy zrównali się z łodzią, Ayła zobaczyła jeszcze więcej ludzi na przeciwległym brzegu.

- Hej! - zawołał Jondalar, machając rękami. Wykrzyknął jeszcze kilka słów w nie znanym jej języku, który nieco przypominał mamutoi.

Ludzie w łodzi nie zareagowali i Jondalar zastanawiał się, czy go nie słyszą, chociaż uważał, że musieli go widzieć. Zawołał znowu i tym razem był pewien, że go usłyszeli, ale nie pomachali w odpowiedzi. Zamiast tego zaczęli wiosłować do przeciwległego brzegu tak szybko, jak tylko potrafili.

Ayla zauważyła, że również jeden człowiek z drugiego brzegu ich spostrzegł. Podbiegł do kilku innych ludzi i zaczął pokazywać przez rzekę na nich, po czym odszedł szybko wraz z nimi. Na brzegu zostało dwoje, którzy czekali na łódź; potem też odeszli.

- To znowu konie, prawda? - powiedziała. Jondalarowi zdawało się, że widzi łzy w jej oczach.

- Przeprawa przez rzekę i tak nie miałyby sensu. Jaskinia Sharamudoi, których znam, jest z tej strony.

- Chyba tak - odparła, dając znak Whinney do dalszego marszu. - Ale oni mogli przeprowić się tutaj w łodzi. Przynajmniej mogli odpowiedzieć na powitanie.

- Aylo, pomyśl, jak dziwnie musimy wyglądać, siedząc na koniach. Musimy wydawać się jak stwory ze świata duchów, z czterema nogami i dwiema głowami. Nie możesz mieć za złe ludziom, że boją się czegoś nieznanego.

Przed sobą, po drugiej stronie wody, zobaczyli szeroką dolinę, która schodziła od gór niemal do poziomu, po którym płynęła potężna rzeka. Jej środkiem pędził solidny potok i wpadał z impetem do Wielkiej Matki, tworząc wiry i poszerzając koryto rzeczne. Na dodatek, tuż za ujściem dopływu, południowa grań, która stanowiła prawy brzeg, odchodziła od rzeki.

W dolinie, niedaleko tego miejsca, ale wyżej na zboczach, zobaczyli kilka domostw zrobionych z drewna, najwyraźniej osiedle. Koło nich stali mieszkający tam ludzie i przypatrywali się podróżnikom po drugiej stronie rzeki.

- Jondalarze, zjeźdźmy z koni.

- Dlaczego?

- Żeby zobaczyli, iż jesteśmy ludźmi, a konie to po prostu konie, nie zaś jakieś dwugłowe stwory na czterech nogach. - Ayla zsiadła z konia i zaczęła iść przed kobyłą.

Jondalar skinął głową, przerzucił nogę przez koński grzbiet i zeskoczył. Ujął postronki i poszedł za nią. Zaledwie ruszyli, gdy do Ayli podbiegł Wilk i przywitał się z nią w normalny sposób, to jest podskoczył, położył jej łapy na ramionach, polizał ją i delikatnie chwycił jej podbródek zębami. Kiedy opadł ponownie na cztery łapy, coś, może woń unoszona w powietrzu przez szerokość rzeki, uświadomiło mu obserwujących ich ludzi. Podbiegł do krawędzi, uniósł łeb i zaczął ujadać, przechodząc w zawodzące wycie wilczej pieśni.

- Dlaczego to robi? - spytał Jondalar.

- Nie wiem. On także od dawna nikogo nie widział. Może cieszy się na ich widok i w ten sposób się z nimi wita. Też bym się przywitała, ale my nie możemy przedostać się na drugi brzeg, a oni nie chcą przyjść tutaj.

Odkąd minęli zakręt rzeki, który zmienił kierunek ich marszu na zachodni, zносиło ich z lekka na południe. Minąwszy jednak dolinę, poszli prosto na zachód. To był najbardziej na południe wysunięty odcinek ich podróży i najgorętsza pora roku. Podczas pełni lata, gdy rozżarzone słońce piekło nagie równiny, na południowych krańcach kontynentu panował dręczący upał, mimo że lód o wielokilometrowej grubości pokrywał jedną czwartą Ziemi. Sytuację pogarszała silny, gorący, nieustanny wiatr, który działał na nerwy. Ayla i Jondalar, jadąc obok siebie albo idąc piechotą przez wypalone stepy, żeby konie mogły odpocząć, wpadli w rutynę, która nawet jeśli nie ułatwiała podróżowania, to je przynajmniej umożliwiała.

Budzili się wraz z pierwszymi przebłyskami świtu, gdy promienie słońca odbijały się od najwyższych szczytów na północy, i po lekkim śniadaniu, złożonym z gorącej herbaty i zimnej żywności, byli już w drodze, zanim nastał dzień. Gdy słońce podnosiło się wyżej, uderzało w otwarte stepy z taką intensywnością, że migotliwe fale gorąca unosiły się nad ziemią. Warstwa potu błyszczała na opalonych ciałach ludzkich, moczyła sierść Wilka i koni. Wilk wiecznie dyszał z upału i jęzor miał wywieszony. Nie kusił go samodzielne wyprawy krajoznawcze czy myśliwskie i trzymał się blisko koni, które ciężko brnęły przed siebie z nisko zwieszonymi łbami. Jeźdźcy pochylali się apatycznie i pozwalali koniom na marsz w ich własnym tempie, nie rozmawiając wiele podczas duszącego żaru południa. Kiedy nie mogli już tego dłużej wytrzymać, szukali płaskiej plaży, najlepiej w pobliżu czystej stojącej wody albo przy wolno płynącej odnodze Wielkiej Matki. Nawet Wilk nie opierał się powolnemu prądowi, chociaż nadal wahał się nieco, gdy nurt był szybszy. Kiedy skręcali ku rzece, zsiadali i zaczęli odczepiać kosze, pędził naprzód i pierwszy wpadał do wody. Jeśli to był dopływ, wchodzili na ogół do chłodnej, odświeżającej wody i przekraczali go, zanim zdjęli kosze nośne i odczepili włók.

Po pływaniu czuli się lepiej i zaczęli się rozglądać za czymś do zjedzenia, jeśli nie mieli dość resztek lub nie znaleźli czegoś wcześniej po drodze. Żywności było w bród, nawet na tych gorących, zakurzonych stepach, szczególnie w wodzie - jeśli człowiek wiedział, gdzie szukać. Niemal zawsze udawało im się złowić jakąś rybę metodą Ayli lub Jondalara. Czasem używali długiej sieci Ayli, brodząc po wodzie i ciągnąc ją między sobą. Jondalar skonstruował do niej trzonek, tworząc rodzaj podrywki. Nie był jeszcze z niej całkowicie zadowolony, ale przydawała się w pewnych sytuacjach. Łowił również za pomocą linki i dławika - kawałka kości, którą zastrugał z obu stron w ostre szpice i przywiązał w środku mocnym sznurkiem. Nabijał na to kawałki ryby, mięsa lub dżdżownic na przynętę. Kiedy ryba to połykała, ostre szarpnięcie

powodowało na ogół, że dławik wbijał się obydwoma końcami w jej przełyk. Kilka razy Jondalar złapał dławikiem dość duże ryby i po utracie jednej z nich zrobił oścień, którym nadziewał złapane okazy. Wziął rozdwajającą się gałąź i obciął ją tuż poniżej rozwidlenia. Dłuższego ramienia używał jako trzonka; na krótszym wystrugał na końcu haczyk i nim holował rybę. Koło rzeki rosło kilka małych drzew i wysokich krzaków i z nich zrobił pierwsze oścień, ale nigdy nie udało mu się znaleźć rozwidlonej gałęzi dość mocnej, by mogła posłużyć przez dłuższy czas. Pod wpływem ciężaru wrywających się dużych ryb często łamał mu się oścień, ciągle więc szukał mocniejszego drewna.

Natknął się na poroże, zauważył je i pomyślał, że prawdopodobnie zostało zrzucone przez trzyletniego jelenia, ale nie zwrócił właściwie uwagi na jego kształt. Obraz poroża został mu jednak w głowie i nagle uświadomił sobie zakręcony w tył wyrostek czołowy. Zawrócił i zabrał je. Kość była bardzo twarda i trudna do złamania, a miała właściwy rozmiar i kształt. Trochę podostrzona będzie znakomitym ościeniem.

Ayla nadal od czasu do czasu łowiła ręką w sposób, którego nauczyła ją Iza. Jondalar nie przestawał zdumiewać się tym widokiem. Powtarzał sobie, że to jest proste, ale sam nie potrafił opanować tej sztuki. Wymagało to wprawy, zręczności i cierpliwości - nieskończonej cierpliwości. Ayla najpierw szukała w wodzie korzeni, drewna napływowego albo skałek, które przewieszały się nad brzegiem, a potem szukała ryb, które lubiły odpoczywać w takich zakamarkach. Zawsze ustawiały się pod prąd, poruszając płetwami na tyle tylko, żeby utrzymać się w miejscu i nie dać się znieść.

Kiedy zobaczyła pstrąga albo małego łososia, wchodziła do wody, trzymała luźno zanurzone ręce i brodziła wolno pod prąd, w kierunku ryby. Gdy była już blisko, zaczynała poruszać się jeszcze wolniej, starając się nie rozbełtać mułu ani nie rozpryskiwać wody, bo to mogło spłoszyć odpoczywającą rybę. Ostrożnie podsuwała rękę od tyłu pod jej brzuch, lekko jej dotykając czy ją łaskocząc, czego na ogół zdawała się nie zauważać. Kiedy docierała do skrzel, błyskawicznie łapała rybę i wygarniała ją z wody na brzeg. Jondalar zdążył na ogół dobiec, zanim plusnęła z powrotem do rzeki.

Ayla odkryła także słodkowodne małże, podobne do tych, które były w morzu koło jaskini klanu Bruna. Szukała roślin o wysokiej naturalnej zawartości soli, takich jak lebioda, podbiał i krzewy solanki kolczystej, żeby odtworzyć nieco uszczuplone zapasy, oraz innych korzeni, liści i nasion, które zaczynały dojrzewać. Na otwartej przestrzeni, a także w zaroślach nad wodą dużo było przepiórek, które łączyły się rodzinami w duże stada. Tłuste ptaki były bardzo smaczne i nietrudne do schwytania.

Odoczywali po południu, podczas najgorszych upałów, a w tym czasie gotowała się żywność na ich główny posiłek. Koło rzeki rosły tylko karłowate drzewa, rozpinali więc namiot jako zadaszenie, żeby mieć trochę cienia od palącego słońca. Późnym popołudniem, kiedy zaczynało się ochładzać, ruszali w dalszą drogę. Jadąc w kierunku zachodzącego słońca, osłaniali oczy stożkowymi kapeluszami. Zaczynali rozglądać się za miejscem postoju, gdy rozżarzona kula chowała się za horyzontem; rozbijali obóz o zmroku, a czasami podczas pełni księżyca, który oświetlał stepy swoim zimnym blaskiem; jechali również nocą.

Wieczorny posiłek był lekki, często składały się nań resztki z obiadu, z dodatkiem może kilku świeżych warzyw, ziarna czy mięsa, jeśli zdobyli coś po drodze. Wtedy też przygotowywali coś, co można było rankiem szybko zjeść na zimno. Na ogół karmili również Wilka. Chociaż polował nocami, lubił gotowane mięso, a nawet ziarno i jarzyny. Rzadko rozbijali namiot, chociaż wdzięczni byli za ciepłe śpiwory. Nocą ochładzało się gwałtownie, a porankami często unosiła się wilgotna mgła. Nieczęste burze letnie i ulewne deszcze przynosiły nieoczekiwany i na ogół mile widziany chłodny prysznic, chociaż czasami powietrze było po nich jeszcze cięższe, a Ayla nienawidziła grzmotów. Zanadto przypominały jej dźwięk trzęsienia ziemi. Trzaskające błyskawice, które rozświetlały nocne niebo, napełniały ich zawsze nabożną grozą, ale Jondalar naprawdę niepokoił się piorunami, które uderzały niedaleko od nich. Nie lubił wtedy być na otwartej przestrzeni i zawsze miał ochotę wpełznąć do śpiwora i nakryć się płachtą namiotową. Nigdy tego jednak nie robił i za nic by się do tego nie przyznał.

W miarę upływu czasu najbardziej, poza upałem, dokuczały im owady. Motyle, pszczoły, osy, nawet muchy i kilka komarów nie były szczególnie dokuczliwe. Prawdziwe kłopoty mieli z najmniejszymi z nich, z chmarami maleńkich gryzących muszek.

Ale o ile dokuczały ludziom, to życie zwierząt czyniły nieznośnym. Te natrętne owady były wszędzie, wlażyły im do oczu, nozdrzy, pysków i dostawały się do spoconej skóry pod kudłatą sierścią. Stepowe konie latem na ogół migrowały na północ. Ich grube futro i nabite ciało były przystosowane do zimna. Wilk pochodził z północnego szczepu, chociaż na południowych równinach też żyli jego pobratymcy; żaden drapieжник nie miał szerszego zasięgu zamieszkiwania niż ten gatunek. Z czasem wilki południowych rejonów zaadaptowały się do krańcowości warunków południa, z gorącym, suchym latem i zimą niemal równie mroźną co w pobliżu lodowców, ale ze znacznie większymi opadami śniegu. W ciepłych sezonach ich futro liniało znacznie bardziej niż sierść ich północnych krewnych, a zianie z wywieszonym jęzorem skuteczniej ich chłodziło.

Ayla robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby ulżyć cierpiącym zwierzętom, ale nawet codzienne zanurzanie się w rzece i najrozmaitsze leki nie chroniły ich przed maleńkimi muszkami.

Otwarte, jątrzące się rany, zakażone szybko dojrzewającymi jajami muszek, powiększały się mimo starań znachorki. Tak konie, jak i Wilk traciły garściami sierść, po której zostawały nagie kawałki skóry, a reszta ich grubego futra była matowa i bez życia.

Przemywając łagodzącym roztworem otwartą ranę koło ucha Whinney, Ayla powiedziała:

- Dostyc mam tego upału i tych okropnych muszek! Czy już nigdy nie będzie chłodno?

- Jeszcze będziesz marzyła oupałach, zanim ta podróż się skończy.

Stopniowo, w miarę jak podróżowali w górę biegu wielkiej rzeki, zbliżali się ku poszarpanym wyżynom i wysokim szczytom na północy, a zwietrzały łańcuch górski na południu wznosił się wyżej. Wędrując ciągle na zachód, mimo częstych zmian kierunku, nieznacznie kierowali się na północ. Następnie ostro skręcili na południe, zanim kolejny zakręt nie poprowadził ich na północny zachód, skąd łukiem poszli na północ, a wreszcie nawet na wschód przez pewien odcinek drogi, aż znowu zawrócili na północny zachód.

Jondalar nie umiał powiedzieć dlaczego - nie było żadnych punktów orientacyjnych, które by poznawał - ale okolica wydawała mu się znajoma. Podążanie z biegiem rzeki zawiodłoby ich na północny zachód, ale był pewien, że potem znowu rzeka zakręci. Po raz pierwszy od czasu, kiedy dotarli do wielkiej delty, zdecydował się porzucić bezpieczeństwo, jakie dawała Wielka Matka Rzeka, i jechać na północ wzdłuż jej dopływu, w kierunku podnóża wysokich gór o ostrych wierzchołkach, które teraz znalazły się znacznie bliżej rzeki. Dopływ, wzdłuż którego poszli, łagodnie zakręcał na północny zachód.

Góry przed nimi schodziły się razem; grań, łącząca długim łukiem pokryte lodem wierzchołki północnego łańcucha, zbliżała się do zwietrzałej południowej wyżyny, która stawała się ostrzejsza, wyższa i bardziej oblodzona, aż rozdzielał je tylko ciasny wąwóz. Góry zamykały kiedyś głębokie morze śródlądowe, całkowicie otaczając je wyniosłymi szczytami. Na przestrzeni niezliczonych tysiącleci nadmiar wody, który przelewał się rokrocznie przez niewielkie ujście, zaczął zmywać wapień, piaskowiec i łupek gór. Poziom śródlądowego morza powoli obniżał się do poziomu korytarza wyrzynanego w skale, aż w końcu morze zostało wydrenowane, zostawiając po sobie płaskie dno, które z czasem stało się morzem trawy.

Ciasny wąwóz osaczał Wielką Matkę Rzekę poszarpanymi, urwistymi ścianami z krystalicznego granitu. Wulkaniczna skała, która kiedyś wtargnęła między miększe, bardziej podatne na erozję skały, wznosiła się po obu stronach. To był długi przełom przez góry do południowych równin i do Morza Czarnego. Jondalar wiedział, że w tym wąwozie nie można iść obok rzeki. Nie było innego wyboru jak pójść dookoła.

ROZDZIAŁ 14

Zawrócili i ruszyli wzdłuż małego dopływu. Teren był taki sam: suche, trawiaste stepy z karłowatymi zaroślami przy wodzie, ale Ayla miała wrażenie, że coś utraciła. Szeroka przestrzeń Wielkiej Matki Rzeki towarzyszyła im tak długo, że niepokoił brak jej uspokajającej obecności, która wskazywała im drogę. W miarę marszu w kierunku podgórze i nabierania wysokości zarośla rozrastały się, stawały się wyższe i miały więcej liści oraz rozprzestrzeniały się dalej na równinę.

Oddalenie się od wielkiej rzeki wpłynęło także na Jondalara. Podczas podróży obok jej bogatych wód w letnim upale jeden dzień zlewał się z drugim w pełną bezpieczeństwa monotonię. Pewność, że mogą korzystać z jej rozrzutnej obfitości uspiła jego niepokoje o bezpieczny powrót do domu z Aylą. Po odejściu od hojnej matki rzek jego zmartwienia wróciły, a zmieniający się teren nasuwał myśli o tym, co ich jeszcze czeka. Zaczął zastanawiać się nad zapasami i martwić, czy mają ich ze sobą dosyć. Nie był pewien równie łatwych połowów w mniejszych rzeczkach i strumieniach, a jeszcze mniej możliwości zdobycia pożywienia w pokrytych lasami górach. Nie znał aż tak dobrze zwierząt leśnych. Zwierzęta równin miały tendencje do zbierania się w stada i można je było wypatrzeć na odległość, ale te, które mieszkały w lasach, wiodły bardziej samotniczy żywot i łatwo im było chować się za drzewa i krzaki. Kiedy mieszkał z Sharamudoi, zawsze polował z kimś, kto znał krainę.

Połowa tego ludu, zwana Shamudoi, polowała na wysokich skałach na kozice. Zнали się także na niedźwiedziach, dzikach, leśnych żubrach i innej płochliwej zwierzynie leśnej. Jondalar pamiętał, że Thonolan polubił te górskie polowania. Połowa zwana Ramudoi żyła z rzeki, polując na mieszkające w niej stworzenia, szczególnie na olbrzymie jesiotry. Jondalara bardziej interesowały łodzie i nauczenie się sposobów poruszania po rzece. Mimo że kilka razy wspinał się po górach wraz z łowcami kozic, niespecjalnie lubił wysokości.

Dojrzał nieduże stado jeleni i uznał, że to dobra okazja do zdobycia zapasów mięsa na kilka następnych dni, aż dojdą do Sharamudoi. Może nawet uda się przynieść im trochę mięsa w darze. Ayla chętnie przyjęła tę propozycję. Lubiła polować, a ostatnio nie mieli do tego zbyt wiele okazji, poza strąceniem kilku przepiórek i złowieniem innej małej zwierzyny, do czego na ogół używała procy. Wielka Matka Rzeki dawała im tyle, że nie było potrzeby polować.

Znaleźli miejsce na obóz niedaleko małej rzeki, zostawili tam kosze nośne i włók i ruszyli w kierunku stada z miotaczami i oszczepami. Wilk był podniecony; zmienili ustalony porządek dnia, a oszczepy i miotacze poinformowały go, co zamierzają zrobić. Whinney i Zawodnik również

wydawały się bardziej ożywione, nawet jeśli było to tylko dlatego, że nie niosły pakunków i nie ciągnęły drągów.

Stado jeleni składało się z samców; ich poroże pokryte było grubym scypułem. Jesienią, przed okresem godowym, kiedy rozgałęzione rogi osiągną swoje pełne rozmiary, ta miękka pokrywa ze skóry i dostarczających pożywienia naczyń krwionośnych wyschnie i złuszczy się - na skutek ocierania rogów o drzewa i kamienie.

Ayla i Jondalar zatrzymali się, żeby ocenić sytuację. Wilk był pełen oczekiwania, skomlał i wrywał się do przodu. Ayla musiała mu rozkazać, żeby stał spokojnie, bo bała się, że popędzi za stadem i je spłoszy. Jondalar, zadowolony, że Wilk się uspokoił, pomyślał z podziwem o tresurze Ayli, a potem znowu skierował uwagę na jelenie. Fakt, że siedział na koniu, dawał mu lepszą widoczność, mógł również dzięki temu poruszać się szybciej. Wiele jeleni przestało skubać trawę, świadomych obecności obcych, ale konie nie stanowiły zagrożenia. Jako roślinożerni koledzy, były na ogół tolerowane lub ignorowane, chyba że same okazywały strach. Mimo obecności ludzi i wilka jelenie jeszcze nie były na tyle przejęte, by uciekać.

Jondalar przyglądał się zwierzętom, żeby zdecydować, które wybrać na łup. Skusił go wspaniały samiec z olbrzymim wieńcem. Zdawał się patrzeć bezpośrednio na niego, jak gdyby też oceniał mężczyznę. Może gdyby był razem z grupą myśliwych i potrzebował żywności dla całej jaskini, a przy tym chciał się pochwalić swoją odwagą, zdecydowałby się zapolować na to majestatyczne zwierzę. Wiedział jednak, że kiedy przyjdzie ich sezon przyjemności, wiele łań będzie chciało dołączyć się do stada, które jego wybierze na przywódcę. Jondalar nie chciał zabijać takiego dumnego i pięknego zwierzęcia tylko po to, żeby zdobyć trochę mięsa. Wybrał innego jelenia.

- Aylo, widzisz tego, tam obok wysokich krzaków? Na skraju stada? - Kobieta skinęła głową. - Chyba będzie go dość łatwo oderwać od innych. Spróbujmy go ubić.

Przedyskutowali strategię polowania i rozeszli się. Wilk śledził uważnie kobietę na koniu i na jej sygnał poderwał się i pobiegł w kierunku jelenia, na którego wskazała. Ayla na kobyle była tuż za nim. Jondalar podchodził z przeciwnej strony z miotaczem i oszczepem w pogotowiu. Jeleń wyczuł niebezpieczeństwo, reszta stada też rozpierzchły się we wszystkich kierunkach. Ten, którego wybrali, odskoczył od atakującego wilka i szarżującej kobiety, prosto na mężczyznę na ogierze. Podszedł tak blisko, że Zawodnik spłoszył się i cofnął.

Jondalar miał przygotowany do rzutu oszczep, ale nagły ruch konia uniemożliwił celny rzut i rozproszył jego uwagę. Jeleń zawrócił, próbując uciec przed blokującymi mu drogę koniem i człowiekiem, lecz z tyłu natknął się na olbrzymiego wilka. Pełen strachu, odskoczył na bok, żeby uniknąć warczącego drapieżnika, i przemknął między Aylą a Jondalarem. Gdy jeleń zrobił unik,

Ayla zmieniła postawę i wzięła zwierzę na cel. Whinney zrozumiała ten sygnał i popędziła za nim. Jondalar odzyskał równowagę i cisnął oszczepem w uciekającego jelenia w tej samej chwili, w której Ayla rzuciła swoim. Dumne poroże szarpnęło się raz i drugi. Oba oszczepy trafiły do celu niemal jednocześnie. Duży jelen próbował znowu odskoczyć, ale było już za późno. Zachwiał się i upadł w pół kroku.

Równina opustoszała. Stado zniknęło, ale myśliwi tego nie zauważyli. Zeskoczyli z koni na ziemię obok jelenia. Jondalar wyjął z pochwy nóż z kościaną oprawką, złapał za poroże, odchylił do tyłu łeb i przeciął gardziel wielkiego zwierzęcia. Stali w milczeniu i patrzyli na krew, która zbierała się w kałużę koło łba. Sucha ziemia prędko ją wchłonęła.

- Kiedy powrócisz do Wielkiej Matki Ziemi, podziękuj jej od nas - powiedział Jondalar do martwego jelenia.

Ayla przytaknęła. Była przyzwyczajona do tego rytuału. Jondalar wymawiał podobne słowa za każdym razem, kiedy zabijali jakieś zwierzę, nawet niewielkie, ale czuła, że nigdy nie było to zrobione machinalnie, po to tylko, by zadośćuczynić obyczajowi. W słowach Jondalara było uczucie i szacunek. Jego podziękowania były szczerze.

Pofałdowane równiny ustąpiły miejsca stromym wzgórzom, wśród zarośli pojawiły się brzozy, a potem całe lasy grabów i buków zmieszanych z dębami. Na początku lasy tego regionu przypominały zalesione wzgórza, koło których podróżowali przy delcie Wielkiej Matki Rzeki. Wspiąwszy się wyżej, zaczęli także widywać jodły, świerki, kilka modrzewi i sosen wśród potężnych drzew liściastych. Doszli do bezdrzewnego pagórka, nieco wystającego ponad otaczające lasy. Jondalar zatrzymał się, żeby ustalić pozycję, a Aylę zachwycił widok. Znajdowali się wyżej nad poziomem morza, niż sądziła. Na zachodzie, ponad wierzchołkami drzew, widziała w oddali Wielką Matkę Rzekę, jak przeciskała się przez głęboki wąwóz ze skalnych ścian. Zrozumiała teraz, dlaczego Jondalar skrzył, żeby znaleźć drogę okrężną.

- Pokonywałem ten przełom łodzią. Nazywa się Brama.

- Brama? Jak brama, którą robi się w ogrodzeniu? Żeby zamknąć otwór i zatrzymać zwierzęta w pułapce? - spytała Ayla.

- Nie wiem. Nigdy nie spytałem, ale może od tego pochodzi ta nazwa. Chociaż to bardziej przypomina płot, który budujesz z obu stron i który prowadzi do bramy. Tak jest na dość długim odcinku. Chciałbym móc ci to kiedyś pokazać. - Uśmiechnął się. - Może mi się uda.

Poszli na północ, ku górcom, w dół zboczem pagórka, a potem po równym terenie. Przed nimi, jak nie kończąca się ściana, znajdowała się linia potężnych drzew, początek głębokiego, gęstego, mieszanego boru liściasto-iglastego. W chwili, w której weszli w cień wysokich liściastych baldachimów, znaleźli się w odmiennym świecie. Zabrakło kilku chwil, zanim ich oczy

przestawiły się z jasnego słońca na przyćmiony, milczący cień dziewiczego lasu, ale natychmiast poczuli chłód powietrza i bogaty wilgotny zapach rosnących i rozkładających się roślin. Gęste mchy pokrywały grunt płachtą zieleni, wspinały się na głązy narzutowe, rozpościerały na obłych kształtach dawno padłych drzew i częściowo otaczały gnijące stojące pnie oraz żywe drzewa. Wilk, który biegł pierwszy, wskoczył na omszały pień. Przełamał go, aż do pradawnego, przegniłego środka, który powoli rozpuszczał się z powrotem w glebie, i odsłonił białe pędraki, zaskoczone światłem dziennym. Ayla i Jondalar wkrótce zsiadli z koni, bo tak było łatwiej znajdować drogę przez leśne poszycie, usiane szczątkami życia i jego odradzającym się potomstwem.

Pędy kielkowały z omszałych, gnijących pni i młode drzewka współzawodniczyły ze sobą o miejsce w słońcu tam, gdzie powalone przez piorun drzewo pociągnęło za sobą w upadku wiele innych. Muchy bzyczały wokół chwiejących się, różowo kwitnących kolców gruszyczki, oświetlonych promieniami, które przez przerwę w liściastej koronie docierały do poszycia lasu. Cisza była niesamowita; najcichszy dźwięk ulegał wzmocnieniu. Bez żadnego powodu mówili do siebie szeptem.

Rosło tam niezmiernie bogactwo grzybów; gdziekolwiek spojrzeli, znajdowali grzyby najróżniejszych rodzajów. Bezlistne zioła, jak bukowe krople, łuskiewnik różowy i rozmaite małe orchidee o kolorowych kwiatach, często bez zielonych liści, wyrastały wszędzie z korzeni innych żywych roślin albo z ich rozkładających się resztek. Ayla zobaczyła wiele małych, białych, woskowych, bezlistnych łodyg z chwiejącymi się czubkami i zatrzymała się, żeby je zebrać.

- To pomoże na oczy Wilka i koni - wyjaśniła i Jondalar zobaczył ciepły, smutny uśmiech na jej twarzy. - To jest roślina, której Iza używała do moich oczu, kiedy płakałam.

Zebrała również kilka grzybów, co do których jadalności była pewna. Nigdy nie ryzykowała; szczególnie ostrożnie postępowała z grzybami. Wiele z nich było bardzo smacznych, wiele mniej, ale nieszkodliwych, niektóre były dobre na leki, po niektórych można się było niegroźnie rozchorować, kilka pomagało w zobaczeniu świata duchów, a parę było śmiertelnie trujących. I dość łatwo było je pomylić.

Włók z szeroko rozstawionymi drągami sprawiał im kłopoty w lesie. Ciągłe zaczepiał o ciasno rosnące drzewa. Kiedy Ayla wymyśliła tę prostą, ale skuteczną metodę wykorzystywania siły Whinney do pomocy w transporcie przedmiotów zbyt dla niej ciężkich, wpadła również na sposób, żeby koń mógł wspinać się po stromej, wąskiej ścieżce do jaskini. Ściągała mianowicie pale blisko siebie i tak je związywała. Ale z zamontowaną na nich łódką nie mogli przesuwac długich drągów, a trudno było obchodzić wszystko dookoła i ciągnąć je za sobą. Włók nadawał się znakomicie do nierównego terenu, nie zapadał się w dziury, rowy czy błoto, ale potrzebował otwartej przestrzeni. Walczyli z włókiem przez całą resztę popołudnia. Jondalar odwiązał wreszcie

łódkę i ciągnął ją sam. Zaczęli poważnie myśleć o porzuceniu jej. Była niezmiernie pomocna w przeprawach przez rzeki i małe dopływy Wielkiej Rzeki Matki, nie byli jednak pewni, czy warta jest tych kłopotów, jakie z nią mieli w gęstym lesie. Nawet jeśli przed nimi było jeszcze wiele rzek do przekroczenia, z pewnością potrafią się przez nie przeprawić i bez łódki, która tutaj tak opóźniała ich marsz.

Ciemność zaskoczyła ich w lesie. Rozbili obóz, ale oboje czuli się nieswojo i mieli wrażenie, że są bardziej narażeni na niebezpieczeństwo niż pośrodku otwartych stepów. Na stepach, nawet w mroku, zawsze coś widzieli: chmury i gwiazdy, zarysy poruszających się kształtów. W gęstym lesie, z masywnymi pniami wysokich drzew, za którymi mogły się ukrywać duże nawet stworzenia, ciemność była całkowita. Cisza, która wydawała im się niesamowita, kiedy weszli do tego zadrzewionego świata, była przerażająca w nocy, chociaż starali się tego po sobie nie pokazać.

Konie były także spięte i trzymały się bardzo blisko znajomego, bezpiecznego ogniska. Również Wilk został w obozie. Ayla cieszyła się z tego, chociaż w każdym przypadku zatrzymałaby go przy sobie. Nawet Jondalar był z tego zadowolony; duży, przyjacielski wilk w pobliżu dodawał otuchy. Mógł wywęszyć niebezpieczeństwo, a tego człowiek nie potrafi.

Noc w lasach była zimna, a wilgoć tak obfita, że niemal się miało wrażenie deszczu. Wcześniej wpełzli do swoich futer i chociaż byli zmęczeni, rozmawiali do późna, niezbyt pewni, czy odważą się zasnąć.

- Nie wiem, czy powinniśmy dalej ciągnąć łódkę - powiedział Jondalar. - Konie potrafią przechodzić przez mniejsze strumienie bez zamoczenia czegokolwiek. A przed głębszymi rzekami możemy podnosić kosze na ich grzbiety, zamiast pozwolić im wisieć na bokach zwierząt.

- Kiedyś przywiązałam moje rzeczy do pnia. Po odejściu z klanu, gdy szukałam podobnych do mnie ludzi, doszłam do szerokiej rzeki. Przepłynęłam ją, popychając pień.

- To musiało być bardzo trudne i może bardziej niebezpieczne, bo nie miałas wolnych rąk.

- Było trudne, ale musiałam przeprawić się na drugą stronę, a nie mogłam wymyślić żadnego innego sposobu.

Milczała przez chwilę, zamyślona. Leżący obok niej mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy zasnęła; wtedy nagle się znowu odezwała:

- Jondalarze, jestem pewna, że pokonaliśmy dużo dłuższą drogę niż ja, zanim znalazłam moją dolinę. Zaszliśmy daleko, prawda?

- Tak, zaszliśmy daleko - odpowiedział ostrożnie. Przewrócił się na bok i uniósł na łokciu, żeby ją widzieć. - Ale nadal jesteśmy bardzo daleko od domu. Czy już zmęczyło cię podróżowanie?

- Trochę. Chciałabym odpocząć przez pewien czas. Potem będę znowu gotowa do podróży. Skoro tylko mogę być z tobą, nie dbam, jak daleko musimy iść. Po prostu nie wiedziałam, że świat jest taki duży. Czy gdzieś jest koniec?

- Na wschód od mojego domu ziemia kończy się na Wielkich Wodach. Nikt nie wie, co leży poza nimi. Znam jednego człowieka, który twierdzi, że podróżował jeszcze dalej i widział wielkie wody na wschodzie, chociaż wielu wątpi w jego słowa. Większość ludzi wędruje na niewielkie odległości, trudno więc im uwierzyć w historie o długich podróżach, o ile nie widzą czegoś, co ich może przekonać. Ale zawsze znajdzie się kilku, którzy podróżują daleko. - Zaśmiała się ironicznie. - Nigdy jednak nie spodziewałem się, że będę jednym z nich. Wymez podróżował wokół południowych mórz i stwierdził, że ląd ciągnie się jeszcze dalej na południe.

- Znalazł także matkę Raneca i zabrał ją ze sobą. Trudno wątpić w opowieść Wymeza. Czy widziałeś kiedyś człowieka o tak brązowej skórze jak Ranec? Wymez musiał podróżować bardzo daleko, żeby znaleźć taką kobietę - powiedziała Ayla.

Jondalar przypatrywał się twarzy jaśniejszej w świetle ogniska. Czuł wielką miłość do tej kobiety i wielki o nią niepokój. Ta rozmowa o długich podróżach zmusiła go do myśli o tym, jaka długa droga była jeszcze przed nimi.

- Na północy ziemia kończy się lodem - ciągnęła Ayla. - Nikt nie może przedostać się poza lodowiec.

- Chyba że popłynię łodzią - odparł Jondalar. - Ale mówiono mi, że znajdzie tylko krainę lodu i śniegu, gdzie żyją białe duchy niedźwiedzi, i jeszcze powiadają, że są tam ryby większe od mamutów. Kilku ludzi z zachodu twierdzi, że są tak potężnymi szamanami, iż potrafią przywołać je na ląd. A jak raz osiadą na brzegu, nie potrafią wrócić, ale...

Nagle pośród drzew rozległ się łomot. Oboje podskoczyli ze strachu i zamarli bez ruchu, nie wydając żadnych dźwięków, niemal nie oddychając. Z gardzieli Wilka wydobył się niski, warkliwy pomruk, ale Ayla trzymała go mocno i nie zamierzała puścić. Jeszcze przez chwilę dochodziły dźwięki szamotań, a potem wszystko ucichło. Po chwili Wilk przestał warczeć. Jondalar nie był pewien, czy w ogóle potrafi zasnąć tej nocy. Wreszcie wstał i dołożył drewna do ogniska, wdzięczny, że udało mu się wcześniej znaleźć solidne złamane drzewo, które porąbał na kawałki małą krzemienną siekierą o trzonku z kości słoniowej.

- Lodowiec, który musimy przejść, nie jest na północy, prawda? - spytała Ayla, kiedy już wrócił na posłanie. Jej myśli wciąż krążyły wokół podróży.

- No cóż, jest na północ stąd, ale nie tak daleko jak ściana lodu. Na zachód stąd znajduje się inny łańcuch górski, a na północ od niego, na wyżynie, lodowiec, przez który musimy przejść.

- Czy trudno jest przejść przez lodowiec?

- Tam jest bardzo zimno i czasami są straszliwe śnieżyce. Wiosną i latem śnieg topi się trochę i lód również. Otwierają się szerokie rozpadliny. Jeśli wpadniesz w głęboką szczelinę, to nikt nie potrafi cię wyciągnąć. Zimą wszystko wypełnione jest śniegiem i lodem, ale i tak może być niebezpiecznie.

Aylę przeszedł dreszcz.

- Ale powiedziałaś, że istnieje droga okrężna. Dlaczego musimy iść przez lodowiec?

- To jedyny sposób, żeby uniknąć terytorium pła... klanu.

- Miałaś zamiar powiedzieć: terytorium płaskogłowych.

- Aylo, to jest nazwa, którą zawsze słyszałem - próbował wyjaśnić Jondalar. - Wszyscy ich tak nazywają. Będziesz musiała przywyknąć do tego słowa. Ludzie go używają.

Zignorowała to wyjaśnienie i spytała:

- Dlaczego musimy ich unikać?

- Były kłopoty z nimi. - Zmarszczył czoło. - Nie jestem zresztą pewien, czy ci północni płaskogłowi są tacy sami jak twój klan. - Przerwał, a po chwili kontynuował: - Ale to nie oni spowodowali kłopoty. Po drodze w tę stronę słyszeliśmy o grupie młodych mężczyzn, którzy... dokuczali im. To byli Losadunai, ludzie mieszkający niedaleko płaskiego lodowca.

- Dlaczego Losadunai chcą powodować kłopoty z klanem? - Ayla była zdziwiona.

- To nie Losadunai. Nie wszyscy z nich. Oni nie chcą kłopotów. To tylko ta grupka młodych ludzi. Oni chyba myślą, że to zabawa, a przynajmniej tak się zaczęło.

Ayla pomyślała, że to, co niektórzy ludzie uważali za zabawę, nie brzmiało specjalnie zabawnie dla niej, ale nie mogła oderwać myśli od podróży i tego, ile jeszcze muszą przejść. Ze słów Jondalara wynikało, że to bardzo daleko. Uznała, iż lepiej będzie, gdy przestanie rozmyślać o tym, co ich czeka. Wpatrywała się w górę i pragnęła zobaczyć niebo poprzez wysokie korony drzew.

- Jondalarze, chyba widzę gwiazdy. Widzisz je?

- Gdzie? - spytał, patrząc w górę.

- Tam. Musisz spojrzeć prosto do góry, a potem troszkę do tyłu. Widzisz?

- Tak... Tak, chyba widzę. Nie jest to mleczna droga Matki, ale widzę kilka gwiazd - odpowiedział Jondalar.

- Co to jest mleczna droga Matki?

- To inna część opowieści o Matce i jej dziecku.

- Opowiedz mi.

- Nie jestem pewien, czy pamiętam. Chwileczkę, to idzie jakoś tak... - Zaczął wybijać rytm, a potem znalazł słowa w połowie zwrotki.

Jej krew wyschła, skrzepla w ochrę czerwoną, Ale promienne dziecko było bólu osłodą.

Radość Matki wielka Syn jasny, światłość wszelka.

Góry się podniosły, ze szczytów trysnęły płomienie, Podała mu pierś górzystą z cichym westchnieniem.

Ssał tak łapczywie, aż iskry trysnęły płonące, W gwiazdną drogę zastygło Matki mleko gorące.

- Zelandoni byłaby ze mnie zadowolona, że zapamiętałem.

- To cudowne, Jondalarze. Ogromnie mi się podoba. - Zamknęła oczy i kilka razy głośno powtórzyła wiersz.

Jondalar słuchał i znowu uświadomił sobie, jak szybko umiała zapamiętywać. Powtórzyła wiersz bezbłędnie po jednym tylko wysłuchaniu. Chciałby mieć równie dobrą pamięć i umiejętność uczenia się nowych języków.

- Ale to niezupełnie jest prawda? - spytała Ayla.

- Co nie jest prawdą?

- Że gwiazdy są mlekiem Matki.

- Nie myślę, żeby naprawdę były z mleka - odpowiedział Jondalar. - Myślę jednak, że prawda jest w znaczeniu tej opowieści. Całej opowieści.

- Co ta opowieść znaczy?

- Mówi o początkach, o tym, skąd się wzięliśmy. Że zrobiła nas Wielka Matka Ziemia ze swojego własnego ciała. Że ona żyje w tym samym miejscu co słońce i księżyc i jest również dla nich Wielką Matką Ziemią. I że gwiazdy są częścią ich świata.

Ayla przytaknęła.

- To może być prawdą. - Podobała jej się ta koncepcja, chciałyby spotkać Zelandoni i poprosić ją o opowiedzenie całej historii. - Creb powiedział mi, że gwiazdy to serca ludzi, którzy żyją w świecie duchów. Wszystkich ludzi, którzy tam wrócili, oraz wszystkich jeszcze nie narodzonych. I że jest to dom duchów totemów.

- To też może być prawdą - odparł Jondalar. Płaskogłowi istotnie muszą być niemal ludzcy - pomyślał. Żadne zwierzę by tego nie wymyśliło.

- Kiedyś pokazał mi, gdzie jest dom mojego totemu, Wielkiego Lwa Jaskiniowego - powiedziała Ayla, stłumiła ziewnięcie i odwróciła się na bok.

Ayla próbowała dostrzec drogę przed sobą, ale potężne, pokryte mchem pnie drzew zasłaniały jej widok. Wspinała się dalej, niepewna, dokąd idzie i po co, marząc tylko o możliwości zatrzymania się i odpoczynku. Była taka zmęczona. Gdyby tylko mogła usiąść. Powalony pień czekał przed nią zachęcająco, gdyby tylko mogła dojść do niego, ale ciągle wydawał się jeszcze o

krok dalej. Nagle stała na nim, ale się załamała, rozpadając na przegniłe drewno i wijące się robaki. Zapadała się w to, łapiąc się ziemi i próbując wspiąć z powrotem.

Nagle gęsty las zniknął i wdrapywała się znajomą ścieżką na stromą górę koło rzadko rosnących drzew. Na szczycie była górską łąka, gdzie pasło się matę stadko jeleni. Krzaki leszczyny rosły przy skalistej ścianie góry. Bala się, a za nimi było bezpiecznie, lecz nie mogła znaleźć drogi do środka. Wejście było zablokowane krzakami leszczyny, które rosty, rosły do wielkości potężnych drzew z omszałymi pniami. Próbowwała wypatrzeć drogę przed sobą, ale widziała tylko drzewa. Zaczynało się robić ciemno. Bala się, ale wtedy, w oddali, zobaczyła kogoś poruszającego się w głębokim cieniu.

To był Creb. Stał przed wejściem do malej jaskini, zagradzał jej drogę i ręką dawał znak, że nie może tu zostać. To nie jest jej miejsce. Musi odejść, znaleźć inne miejsce, miejsce, do którego należy. Próbował pokazać jej drogę, ale było ciemno i nie mogła zobaczyć, co jej mówi, poza tym, że nakazywał jej, by szła dalej. Potem wyprostował swoje zdrowe ramię i wskazał.

Kiedy spojrzała przed siebie, drzewa zniknęły. Znowu zaczęła się wspinać, ku wejściu do innej jaskini. Chociaż wiedziała, że nigdy przedtem jej nie widziała, wydawała się dziwnie znajoma, z dziwnym, źle umieszczonym kamieniem narzutowym, którego sylwetka odznaczała się na niebie powyżej jaskini. Kiedy spojrzała w tył, Creb odchodził. Zawołała do niego błagalnie:

- Creb! Creb! Pomóż mi! Nie odchodź!

- Aylo! Obudź się! To sen - mówił Jondalar i łagodnie nią potrząsał.

Otworzyła oczy, ale ognisko wygasło i było ciemno. Przywarła do mężczyzny.

- Och, Jondalarze, to był Creb. Zagradzał mi drogę. Nie chciał mnie wpuścić - nie pozwolił mi zostać. Coś próbował mi powiedzieć, ale było tak ciemno, że nie widziałam. Pokazywał w kierunku jaskini i coś w niej było znajomego, lecz sam nie chciał zostać.

Jondalar czuł, że trzęsie się cała, i trzymał ją mocno, pocieszając samą swoją obecnością. Nagle usiadła.

- Ta jaskinia! Ta, którą zagradzał, to była moja jaskinia. Tam poszłam po urodzeniu Durca, kiedy bałam się, że mi go nie pozwolą zatrzymać.

- Trudno zrozumieć sny. Czasami Zelandoni potrafi ci powiedzieć, co oznaczają. Może nadal czujesz rozpacz, że odeszłaś od syna.

- Może. - Rzeczywiście czuła rozpacz, że musiała zostawić Durca, ale jeśli to właśnie miał oznaczać sen, to dlaczego przyśnił jej się teraz? Dlaczego nie wtedy, gdy stała na wyspie i wpatrywała się w Morze Czarne, starając się dostrzec półwysep i wypłakując swoje ostateczne pożegnanie? Wreszcie się uspokoiła i oboje zdrzemnęli się trochę. Kiedy się znowu zbudzili, wstał już dzień, choć nadal byli skryci w ponurym cieniu lasu.

Rano wyruszyli na północ piechotą. Związali razem pale włóka i przymocowali do okrągłej łądki. Każde z nich niosło jeden ich koniec i w ten sposób mogli znacznie łatwiej nimi manewrować, gdy napotykali przeszkody, niż kiedy pale ciągnęły się za koniem. Dawało to również odpoczynek koniom, które teraz miały tylko kosze do noszenia i własne kopyta, na które musiały uważać. Jednak bez jeźdźca na grzbiecie Zawodnik coraz to odchodził na bok, by skubać zielone liście młodych drzew, ponieważ nie miał zbyt wiele możliwości pasienia się. I tym razem oddalił się spory kawałek, kiedy wyczuł woń trawy na małej polance, gdzie silny wiatr powalił szereg drzew i wpuścił światło słoneczne.

Jondalar, którego zmęczyło nieustanne bieganie za nim i przyprowadzanie go z powrotem, spróbował trzymać zarówno wodze Zawodnika, jak i końce pali, ale trudno było uważać na to, kiedy Ayla unosi pale nad przeszkodami, na to, gdzie się stawia własne nogi, a jednocześnie ostrożnie prowadzić młodego konia, żeby nie wszedł w jakiś dół albo jeszcze coś gorszego. Marzył o tym, żeby Zawodnik chciał chodzić za nim bez cugli i uprzęży, tak jak Whinney szła za Aylą. Wreszcie, kiedy niechcący pchnął końce pali ze swojej strony i dość mocno uderzył Aylę, dziewczyna zaproponowała:

- A może przywiążesz postronek Zawodnika do Whinney? Wiesz, że ona idzie za mną i uważa na to, gdzie stawia kopyta, nie zaprowadzi więc go na manowce, a on jest przyzwyczajony do chodzenia za nią. Wtedy nie będziesz musiał się martwić, że gdzieś powędruje albo wpadnie w jakieś tarapaty, i będziesz musiał uważać tylko na swój koniec pali.

Zatrzymał się, zastanowił chwilę i nagle szeroko się uśmiechnął.

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Cały czas pięli się powoli pod górę, a kiedy teren stał się bardziej stromy, las dość raptownie zmienił charakter. Drzewa rosły tu rzadziej i wkrótce zostawili za sobą duże drzewa liściaste. Dominować zaczęły świerk i jodła, a nieliczne drzewa liściaste były znacznie mniejsze niż dotąd.

Doszli do grzbietu i spojrzeli na drugą stronę, gdzie rozciągała się rozległa, nieznacznie tylko nachylona płaszczyna. Iglasty las ciemnozielonych jodeł, świerków i sosen, z rozrzuconymi tu i ówdzie modrzewiami, których igły przybierały złotawy kolor, porastał ten płaskowyż. Gdzieś jaśniały zielonozłote łąki i lśniły niebieskie i białe stawy górskie, odbijające czyste niebo nad nimi lub dalekie chmury. Płynęła tam wartka rzeka, karmiona przez potężny wodospad, który opadał kaskadami wody w dół z drugiego krańca zbocza górskiego. Ponad płaskowyżem wznosił się wypełniający niebo wysoki szczyt, pokryty bielą i częściowo przysłonięty chmurami. Wydawał się tak blisko, że Ayla czuła, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by go dotknąć. Słońce za jej plecami wydobywało kolory i kształty górskich skał: jasno-brązowy kamień, wystający z

bladoszarych ścian; niemal białe płaszczyzny kontrastujące z ciemnoszarym kolorem dziwnie regularnych kolumn, które wynurzyły się z ognistego wnętrza ziemi i zastygły w pochyłych formach swej zasadniczo krystalicznej struktury. Powyżej migotał piękny, niebieskozielony lód prawdziwego lodowca, posypany białym śniegiem, który nadal nie ustąpił z najwyższych szczytów. Kiedy tak się wpatrywali, słońce i deszczowe chmury stworzyły tęczę i rozpięły ją wielkim łukiem ponad górą.

Ludzie wpatrywali się z zachwytem, upajając się pięknem i spokojem. Ayla zastanawiała się, czy tęcza jest jakimś znakiem, choćby tego, że są tu mile widziani. Zwróciła uwagę na chłód i rzeźkość powietrza i wciągała je z ulgą w nozdrza, zadowolona, że jest daleko od otepiających upałów równin. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że zniknęły rojące się, dokuczliwe małe muszki. Jeśli o nią chodzi, nie odczuwała potrzeby pójścia o krok dalej. Mogła natychmiast tu urządzić swój dom. Odwróciła się do Jondalara i uśmiechnęła. Oszłomiła go na chwilę siła jej uczuć, jej zachwyt nad pięknem tego miejsca i jej marzenie, żeby tu zostać, ale odebrał to jako własny zachwyt nad jej urodą i własne pożądanie. Chciał ją mieć natychmiast i to pragnienie odbiło się w jego niebieskich oczach oraz w spojrzeniu pełnym miłości i tęsknoty. Ayla dostrzegła te uczucia w jego twarzy, jak odbicie jej własnych, ale przetworzonych i wzmocnionych.

Siedząc na koniach, wpatrywali się w siebie, unieruchomieni czymś, czego nie umieli określić, ale czuli tego moc: ich równie silnych, choć odmiennych uczuć; potęgę charyzmy każdego z nich i siłę ich wzajemnej miłości. Bezwiednie wyciągnęli ku sobie ręce, ale konie zrozumiały to inaczej. Whinney ruszyła powoli w dół, a Zawodnik poszedł za nią. Ruch przywrócił Ayli i Jondalarowi poczucie rzeczywistości. Z nie dającym się wyjaśnić ciepłem i czułością, oraz z odrobiną zażenowania, bo właściwie nie całkiem wiedzieli, co się zdarzyło, uśmiechnęli się do siebie obiecująco i ruszyli w dół zbocza, skręcając na północny zachód.

Jondalar sądził, że tego dnia mogą dotrzeć do osiedla Sharamudoi. Rano w powietrzu czuć było tchnienie mrozu, zapowiedź zmiany pory roku, co Ayla przyjęła z radością. Kiedy jechali przez zalesione wzgórza, mogła niemal uwierzyć, że już tu kiedyś była, a przecież znalazła się w tej okolicy po raz pierwszy. Nie wiadomo dlaczego, spodziewała się rozpoznać jakiś punkt orientacyjny. Wszystko zdawało się takie znajome: drzewa, rośliny, zbocza, nawet układ terenu. Im więcej dostrzegała, tym bardziej się czuła jak w domu. Kiedy zobaczyła orzechy laskowe, nadal przyklepione do gałęzi w swoich zielonych, kłujących łupkach, ale prawie dojrzałe, dokładnie takie, jakie lubiła, musiała zatrzymać się i trochę nazbierać. Rozgryzła kilka i nagle ją olśniło. Poczucie, że czuje się jak w domu, powodował fakt, iż okolica tak bardzo przypominała górzysty region na czubku półwyspu, wokół jaskini klanu Brana. Wyrosła w miejscu bardzo do tego podobnym.

Teren stawał się również bardziej znajomy dla Jondalara i przyczyna tego była oczywista. Kiedy znalazł wyraźnie zaznaczony szlak, schodzący ku ścieżce, która prowadziła do krańca skalnej ściany, wiedział, że nie są daleko. Czuł narastające podniecenie. Ayla zatrzymała się przy dużym, ciemnym kopczyku z wysokimi, kłującymi pędami pośrodku i gałązkami obciążonymi dojrzałymi, soczystymi jeżynami. Jondalar zirytował się, że opóźnia ich marsz tylko po to, żeby zerwać trochę owoców.

- Jondalarze! Zatrzymaj się. Patrz, jeżyny. - Ayla ześlizgnęła się z Whinney i popędziła do kolczastych zarośli.

- Ale już prawie jesteśmy na miejscu.

- Możemy im trochę przynieść. - Usta miała pełne. - Nie widziałam takich jeżyn, od kiedy odeszłam z klanu. Skosztuj, Jondalarze! Czy kiedykolwiek jadłeś coś tak słodkiego i smacznego? - Ręce i wargi miała poplamione purpurowym sokiem. Zbierała garstki jeżyn i pakowała do ust.

Jondalar patrzył na nią i nagle się roześmiał.

- Powinnaś sama siebie zobaczyć. Wyglądasz jak mała dziewczynka, cała umazana sokiem jagód i ogromnie podniecona. - Potrząsnął głową i zachichotał. Nie odpowiedziała. Jej usta były zbyt pełne jeżyn.

Zerwał kilka, uznał, że są bardzo słodkie i smaczne, i nabrał trochę więcej. Po kilku dalszych garściach zatrzymał się.

- Zdawało mi się, że mieliśmy nabierać jeżyn dla Sharamudoi. Nie mamy jednak niczego, w co by je można było włożyć.

Ayla pomyślała przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

- O tak, mamy - powiedziała. Zdjęła swój poplamiony potem, stożkowaty kapelusz z plecionki i rozejrzała się za jakimiś liśćmi, żeby go nimi wyłożyć. - Użyj kapelusza.

Każde z nich napełniło niemal trzy czwarte kapelusza, gdy usłyszeli ostrzegawczy warkot Wilka. Podnieśli głowy i zobaczyli wysokiego chłopca, prawie mężczyznę, który nadchodził szlakiem, wpatrując się w nich i Wilka szeroko otwartymi ze strachu oczyma. Jondalar spojrzał jeszcze raz.

- Darvo? Darvo, to ty? To ja, Jondalar. Jondalar z Zelandoni - powiedział, idąc wielkimi krokami w kierunku chłopca.

Jondalar mówił językiem, którego Ayla nie знаła, chociaż kilka słów i dźwięków przypominało mamutoi. Patrzyła, jak wyraz twarzy chłopca zmienia się od strachu przez zdumienie do ulgi z powodu rozpoznania.

- Jondalar? Jondalar! Co tu robisz? Myślałem, że poszedłeś i nigdy już nie wrócisz - powiedział Darvo.

Rzucili się ku sobie i objęli; po chwili mężczyzna cofnął się i przyjrzał chłopcu, trzymając go za ramiona.

- Daj na siebie popatrzeć! Nie do wiary, jak wyrosłeś! - Jondalar znowu go objął.

Ayla widziała, że są szczerze przywiązani do siebie, ale po pierwszej gorączce powitania Darvo wydawał się nieco zażenowany. Jondalar zrozumiał tę nagłą powściągliwość. W końcu Darvo był już prawie mężczyzną. Formalne objęcie na przywitanie to jedna rzecz, ale wylewne okazywanie uczuć, nawet wobec kogoś, kto w swoim czasie był jak mężczyzna twojego ogniska, to coś całkiem innego. Darvo spojrzął na Aylę. Zobaczył Wilka, którego trzymała, i oczy znowu mu zogromniały. Potem dostrzegł konie, spokojnie stojące w pobliżu, z przyczepionymi do nich koszami i drągami, i otworzył usta.

- Chciałbym przedstawić cię moim... przyjaciółom - powiedział Jondalar.

- Darvo z Sharamudoi, to jest Ayla z Mamutoi.

Ayla rozpoznała rytm formalnej prezentacji i większość słów. Dała znak Wilkowi, żeby został w miejscu, i podeszła do chłopca z wyciągniętymi rękami i dłońmi skierowanymi ku górze.

- Jestem Darvalo z Sharamudoi - powiedział młody człowiek, ujmując jej ręce, i dodał w języku mamutoi: - Witam cię, Aylo z Mamutoi.

- Tholie cię dobrze nauczyła! Mówisz w mamutoi, jakbyś był wśród nich urodzony, Darvo. Czy też powinienem teraz mówić: Darvalo? - spytał Jondalar.

- Teraz nazywają mnie Darvalo. Darvo to imię dziecka - powiedział chłopak i nagle się zaczerwienił. - Ale możesz nazywać mnie Darvo, jeśli chcesz. Chodzi mi o to, że to imię znasz.

- Myślę, że Darvalo to dobre imię - powiedział Jondalar. - Cieszę się, że kontynuowałeś lekcje z Tholie.

- Dolando uważał, że to dobry pomysł. Powiedział, że będzie mi potrzebna znajomość języka, kiedy pójdę na wyprawę handlową z Mamutoi przyszlą wiosną.

- Czy chciałbyś może przywitać się z Wilkiem, Darvalo? - spytała Ayla.

Młody człowiek zmarszczył w konsternacji czoło. Nigdy w życiu nie spodziewał się spotkania z wilkiem twarzą w twarz i nigdy tego nie pragnął. Jondalar się go jednak nie boi - pomyślał Darvalo - ani kobieta... to dziwna kobieta... mówi także trochę dziwnie. Nie błędnie, ale też nie całkiem tak jak Tholie.

- Jeśli wyciągniesz rękę i pozwolisz mu ją powąchać, to dasz Wilkowi możliwość poznania cię - tłumaczyła Ayla.

Darvalo nie był pewien, czy chce mieć swoją rękę w pobliżu wilczych kłów, ale nie wiedział, jak się wycofać. Ostrożnie wyciągnął rękę. Wilk ją powąchał, a potem nieoczekiwanie polizał. Jego jęzor był ciepły i mokry, ale z pewnością nie zadawał bólu. W rzeczywistości było to

dość przyjemne. Młodziak spojrział na zwierzę i kobietę. Jedno ramię beztrudnie i wygodnie zarzuciła na kark wilka, a drugą ręką klepała go po łbie. Co się czuje, kiedy się klepie żywego wilka po łbie - zastanowił się.

- Chciałbyś dotknąć jego futra? - spytała Ayla.

Darvalo był zaskoczony; powoli wyciągnął rękę, żeby dotknąć zwierzęcia, lecz Wilk przysunął się bliżej, chcąc go powąchać, i chłopiec cofnął się.

- Tutaj - powiedziała Ayla, biorąc jego dłoń i kładąc ją mocno na łbie Wilka. - Lubi także, żeby go drapać, o tak - dodała i pokazała mu.

Wilki nagle poczuł pchłę, albo też niepewne drapanie przypomniało mu o niej. Usiadł na zadzie i gwałtownie zaczął się drapać za uchem tylną łapą. Darvalo uśmiechnął się. Nigdy nie widział wilka w tak zabawnej pozycji, drapiącego się szybko i gwałtownie.

- Powiedziałam ci, że lubi, jak się go drapie. Konie też to lubią - powiedziała Ayla, przywołując Whinney.

Darvalo zerknął na Jondalara. Stał tylko i uśmiechał się, jakby nie było niczego dziwnego w kobiecie, która drapie wilki i konie.

- Darvalo z Sharamudoi, to jest Whinney - Ayla wymówiła imię Whinney jak ciche rżenie, tak jak na samym początku nazwała konia. - To jest jej prawdziwe imię, ale czasami nazywamy ją po prostu Whinney. Jondalarowi to łatwiej wymówić.

- Potrafisz także mówić do koni? - Darvalo był całkowicie oszołomiony.

- Każdy potrafi mówić do konia, ale koń nie każdego słucha. Musicie się najpierw dobrze poznać. Dlatego Zawodnik słucha Jondalara. Poznał Zawodnika, kiedy ten był jeszcze źrebakiem.

Darvalo odwrócił się, żeby spojrzeć na Jondalara, i cofnął się o dwa kroki.

- Siedzisz na koniu!

- Tak, siedzę na koniu. To dlatego, że on mnie zna, Darvo. Chciałem powiedzieć: Darvalo. Pozwala mi nawet siedzieć na swoim grzbiecie, kiedy biega, i możemy się bardzo szybko poruszać.

Młody człowiek wyglądał tak, jakby sam gotów był pobiec, i Jondalar zeskoczył z konia.

- Z tymi zwierzętami mógłbyś nam pomóc, Darvo, jeśli chciałbyś - powiedział. Chłopiec był przerażony i gotowy do ucieczki. - Podróżujemy już od dawna i bardzo chciałbym odwiedzić Dolanda i Roshario, i wszystkich, ale większość ludzi jest trochę nerwowa, kiedy widzi zwierzęta po raz pierwszy. Nie są do nich przyzwyczajeni. Czy poszedłbyś z nami, Darvalo? Myślę, że kiedy wszyscy zobaczą, iż ty się nie boisz stać koło zwierząt, to może też nie będą tacy wystraszeni.

Chłopiec trochę się odprężył. To nie wydawało się zbyt trudne. W końcu już stał obok nich. Ale się wszyscy zdziwią, jak go zobaczą wchodzącego do obozu z Jondalarem i zwierzętami. Szczególnie Dolando, a Roshario...

- Prawie zapomniałem. Obiecałem Roshario, że przyniosę jej trochę jeżyn, skoro sama nie może ich już zbierać.

- Mamy jeżyny - powiedziała Ayla, a jednocześnie Jondalar zapytał:

- Dlaczego nie może ich sama zbierać? Darvalo przeniósł wzrok z Ayli na Jondalara.

- Spadła ze skały na pomost łodzi i złamała ramię. Chyba już nigdy nie będzie w porządku.

Nie zostało nastawione.

- Dlaczego? - zapytali oboje jednocześnie.

- Nie było nikogo, kto potrafiłby nastawić złamane ramię.

- A gdzie jest Shamud? Albo twoja matka? - spytał Jondalar.

- Shamud umarł zeszłej zimy.

- Tak mi przykro...

- A matka odeszła. Jeden Mamutoi przyszedł odwiedzić Tholie wkrótce potem, jak ty nas opuściłeś. On jest krewniakiem, kuzynem. Chyba spodobała mu się, bo poprosił ją, żeby została jego towarzyszką życia. Zdziwiła wszystkich, bo zgodziła się i poszła mieszkać razem z Mamutoi. Poprosił mnie też, żebym z nimi poszedł, ale Dolando i Roshario zaprosili mnie, żebym mieszkał z nimi. No to zostałem. Jestem Sharamudoi, nie Mamutoi - tłumaczył Darvalo. Nagle spojrzał na Aylę i zaczerwienił się. - Ale nie ma nic złego w byciu Mamutoi - dodał pośpiesznie.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewnił Jondalar, a na twarzy malował mu się wyraźny niepokój. - Rozumiem dobrze, Darvalo. Ja nadal jestem Jondalarem z Zelandoni. Jak dawno temu Roshario upadła?

- Gdy zeszedłem razem był Letni Księżyc. Ayla spojrzała pytająco na Jondalara.

- Kiedy ostatnim razem księżyc był mniej więcej w tej samej fazie co teraz - wytłumaczył. - Czy myślisz, że jest za późno?

- Nie będę wiedziała, dopóki jej nie zobaczę.

- Ayla jest uzdrowicielką, Darvalo. Bardzo dobrą uzdrowicielką. Może potrafi pomóc - powiedział Jondalar.

- Zastanawiałem się właśnie, czy jest Shamudem. Z tymi zwierzętami i wszystkim. - Darvalo przerwał na moment, spojrzał na konie i wilka i kiwnął głową. - Musi być bardzo dobrą uzdrowicielką. - Wyprostował się i jakby nagle wyrósł ponad swoich trzynaście lat. - Pójdę z wami, żeby nikt nie bał się zwierząt.

- Czy mógłbyś nieść za mnie te jeżyny? Żebym mogła zostać blisko Wilka i Whinney? One też się czasem boją ludzi.

ROZDZIAŁ 15

Darvalo poprowadził ich w dół przez otwarty, z rzadka porośnięty drzewami teren. U podstawy zbocza skręcili w prawo, w bardziej pochyłą ścieżkę. Ten szlak był korytem potoku, którym spływał nadmiar wody w czasie wiosennych roztopów i w porach deszczowych. Pod koniec gorącego lata zupełnie wysechł, ale dno miał kamieniste i trudno było po nim iść.

Konie zasadniczo były zwierzętami równin, ale Whinney i Zawodnik potrafiły zachować równowagę w górzystym terenie. Nauczyły się tego za młodu, wspinając się stromą ścieżką do jaskini w dolinie. Ayla nadal jednak martwiła się, że mogą zrobić sobie krzywdę na nierównej drodze, i ucieszyła się, kiedy skręcili w inną ścieżkę, która schodziła skądś w dół. Nowy szlak był dobrze wydeptany i miejscami wystarczająco szeroki, żeby dwoje ludzi mogło iść obok siebie, ale nie dwa konie. Po przejściu zakosami stromizny i okrążeniu jej na prawo stanęli przed nagą ścianą skalną. Kiedy doszli do osypiska, Ayla znowu poczuła się swojsko. Widziała podobne nagromadzenie ostrych kamieni u podstawy stromych ścian w górach, w których się wychowała. Zauważyła nawet duże, białe, lejkowate kwiaty sporej rośliny z ząbkowatymi liśćmi. Członkowie Ogniska Mamuta nazywali tę niemiło pachnącą roślinę ciernistym jabłkiem ze względu na jej kolczaste, zielone owoce. Roślina wywołała wspomnienia z dzieciństwa. To był bieluń. Używali go zarówno Creb, jak i Iza, ale do różnych celów.

Jondalar znał to miejsce, ponieważ zbierał tu żwir do wysypywania na ścieżki i obramowywania palenisk. Poczuł falę podniecenia, bo wiedział, że są już blisko. Poniżej kamienistego, obsuwającego się zbocza szlak został wyrównany odłamkami kamiennymi i wił się wokół podnóża wyniosłej ściany. Z przodu, między drzewami i krzakami, widać było niebo i Jondalar wiedział, że zbliżają się do krawędzi urwiska.

- Aylo, myślę, że tutaj powinniśmy zdjąć z koni kosze i drągi. Ścieżka wokół krawędzi tej ściany nie jest zbyt szeroka. Będziemy mogli przyjść po nie później.

Po rozładowaniu wszystkiego idąca za chłopcem Ayla przeszła niewielką odległość wzdłuż ściany skalnej w kierunku otwartego nieba. Jondalar, który szedł za nią, uśmiechnął się. Kiedy doszła do skraju urwiska i spojrzała w dół, szybko cofnęła się. Chwyciła się skały, czując zawrót głowy, potem ostrożnie podeszła znowu i spojrzała. Usta miała otwarte w podziwieniu. Nisko w dole, poniżej niemal pionowej ściany skalnej, płynęła ta sama Wielka Matka Rzeka, wzdłuż której szli, ale Ayla nigdy jej nie widziała z takiej perspektywy. Widziała już wszystkie odnogi rzeki zebrane w jednym korycie, ale oglądała to zawsze z brzegu wznoszącego się niedużo wyżej niż płynąca woda. Była oszołomiona, przykuta tym widokiem na rzekę z wysokości.

Rzeka, tak często rozlana i płynąca meandrami, tu została ściśnięta między skalnymi ścianami, które wznosiły się pionowo z wody. Podczas gdy głęboki prąd denny popędzał uderzający o skały żywioł, uwięzione wody Wielkiej Matki Rzeki toczyły się, spiętrzały, wybrzuszały w fale, które załamywały się i przelewały przez siebie. Chociaż poniżej tego miejsca wiele dopływów doda swoje wody, zanim wspaniała rzeka osiągnie pełne wymiary, nawet tak daleko od delty była już i tak olbrzymia, szczególnie gdy się patrzyło w dół na niezmierną płynącą wodę. Od czasu do czasu sterczący kamień załamywał powierzchnię rzeki i rozdzielał wody, tworząc pasma piany. Ayla zobaczyła kłodę, która objęła się, szukając drogi wokół jednego z takich kamieni. Bezpośrednio pod nimi do skalnej ściany przytulała się niewielka konstrukcja z drewna. Kiedy Ayla wreszcie oderwała oczy od tego widoku, badawczo przyjrzała się niedalekim górcom. Nadal zaokrąglone, były jednak wyższe i bardziej strome niż w dolnym biegu rzeki, niemal dorównujące wysokością ostrzejszym szczytom po tej stronie. Oddzielone tylko szerokością rzeki, te dwa łańcuchy górskie były kiedyś połączone, aż ostrze czasu i wody wycięło w nich drogę.

Darvalo czekał cierpliwie, żeby Ayla napatrzyła się na tę pełną dramatyzmu bramę do domu jego ludzi. Mieszkał tu przez całe życie i traktował ten widok jak coś oczywistego, ale już niejednym raz widział reakcje gości. Czuł się dumny, kiedy ludzi ten pejzaż oszałamiał, i przypatrywał mu się na nowo, widząc go ich oczyma. Kiedy kobieta wreszcie odwróciła się do niego, uśmiechnął się i poprowadził ją wokół krawędzi górskiej ściany, ścieżką, która dużym nakładem pracy została powiększona z naturalnego wąskiego występu w skale. Dwoje ludzi mogło iść obok siebie po ścieżce, jeśli szli bardzo blisko siebie, a więc była dość szeroka również dla kogoś z ładunkiem drewna, z ubitą zwierzyną czy innymi zapasami, jak też dla koni.

Kiedy Jondalar podszedł do krawędzi urwiska, poczuł znajomy ból w lędźwiach od spoglądania w dół w pustą przestrzeń, ból, którego nigdy nie przewyciężył przez cały czas, kiedy tutaj żył. Nie był tak silny, by nie dawało się go ukryć, i naprawdę podziwiał wspaniały widok, jak również pracę włożoną w wykucie ścieżki w solidnej skale wyłącznie przy użyciu kamiennych otoczek i ciężkich krzemienych siekier, ale to nie zmieniało odczuć, jakie go ogarniały w tym miejscu. Było to jednak lepsze niż inny, powszechnie używany sposób wejścia.

Trzymając Wilka blisko siebie i Whinney tuż za sobą, Ayla szła za chłopcem wokół ściany skalnej. Po drugiej stronie była płaska, dość obszerna przestrzeń o półokrągłym kształcie. Kiedyś, w zamierzchłych wiekach, potężna śródlądowa niecka na zachodzie była morzem, a gdy zaczęło się ono przelewać przez przełęcz wyrobioną w skalnej grani, poziom wody był znacznie wyższy i uformowała się tu osłonięta zatoka. Teraz był to osłonięty, mały płaskowyż, wysoko nad rzeką. Zielona trawa pokrywała ziemię i dochodziła aż do urwiska. W pół drogi, głębiej, rosły krzaki, przytulając się do skalnych ścian, rozrastały się następnie i przeradzały w małe drzewa, które rosły

dalej na stromym zboczu z tyłu. Jondalar wiedział, że można wspiąć się na tylną ścianę, chociaż niewielu ludzi to robiło. To było mało dogodne, okrężne wejście, rzadko używane. Za zakrętem z tyłu był nawis z piaskowca, dość duży, by mieściło się pod nim wiele domostw zbudowanych z drewna - wygodna, osłonięta przestrzeń mieszkalna.

Po przeciwnej stronie, na porośniętej zielonym mchem ścianie, znajdowała się wysoko ceniona własność osiedla. Źródło czystej wody tryskało wysoko w górze, woda ściekała po kamieniach, pluskała w dół występów i spadała z mniejszego nawisu z piaskowca długim, wąskim wodospadem do stawu poniżej. Stamtąd woda odpływała wzdłuż ściany naprzeciwko krawędzi urwiska i w dół do rzeki, po skalistych występach.

Wielu ludzi przerwało w pół ruchu swoje zajęcia, kiedy procesja, a szczególnie wilk i konie, zaczęła wynurzać się zza skały. Zanim pojawił się Jondalar, na wszystkich twarzach malował się pełen osłupienia strach.

- Darvo! Co tu przyprowadziłeś?! - zawołał ktoś.

- Hej! - powiedział Jondalar, pozdrawiając ludzi w ich języku. Potem, widząc Dolanda, oddał cugle Zawodnika Ayli, położył rękę na ramionach Darwala i ruszył w kierunku przywódcy jaskini.

- Dolando! To ja, Jondalar.

- Jondalar? To naprawdę Jondalar? - powiedział z wahaniem Dolando, poznając gościa. - Skąd przychodzisz?

- Ze wschodu. Przezimowałem z Mamutoi.

- Kto to jest? - spytał Dolando.

Jondalar wiedział, że przywódca musi być niesłychanie wzburzony, skoro zignorował powszechnie przyjęte normy uprzejmości.

- Na imię ma Ayla, Ayla z Mamutoi. Zwierzęta także podróżują z nami. Słuchają jej i mnie, i żadne z nich nikogo nie skrzywdzi - wyjaśnił Jondalar.

- Nawet wilk? - spytał Dolando.

- Dotykałem łba wilka i głaskałem jego sierść - odezwał się Darvo. - Nawet nie próbował mnie ugryźć.

Dolando spojrzał na chłopca.

- Dotykałeś wilka?

- Tak. Ayla mówi, że po prostu trzeba się z nim zapoznać.

- To prawda, Dolando. Nie przyszedłbym tutaj z nikim ani z niczym, co mogłoby uczynić krzywdę. Chodź, poznaj Aylę i zwierzęta. Sam się przekonasz.

Jondalar poprowadził przywódcę na środek pola. Wielu ludzi podążyło za nimi. Konie zaczęły skubać trawę, ale podniosły łby na widok zbliżającej się grupy. Whinney przysunęła się bliżej do Ayli i stała razem z Zawodnikiem, którego wodze Ayli nadal trzymała. Jej druga ręka opierała się na łbie Wilka. Wielki, północny wilk stał obok Ayli, obserwując ostrożnie, ale nie warczał na nikogo.

- Jak ona to robi, że konie nie boją się wilka? - spytał Dolando.

- Wiedzą, że nie muszą się go bać. Znają go od czasu, gdy był malutkim szczeniakiem - wyjaśnił Jondalar.

- A dlaczego nie uciekają od nas? - spytał przywódca, kiedy podeszli bliżej.

- Chowały się w pobliżu ludzi. Byłem przy urodzeniu się ogiera - odparł Jondalar. - Zostałem ciężko ranny i Ayła uratowała mi życie.

Dolando zatrzymał się nagle i spojrzał surowo i badawczo na idącego koło niego mężczyznę.

- Czy jest Shamudem? - spytał.

- Jest członkiem Ogniska Mamuta. Niska, dość pulchna kobieta zabrała głos:

- Jeśli jest Mamutem, to gdzie jej tatuaż?

- Odeszliśmy, zanim zakończyła trening, Tholie - powiedział Jondalar, uśmiechając się do niej. Młoda kobieta Mamutoi nic a nic się nie zmieniła. Była równie bezpośrednia i szczerą jak zawsze.

Dolando przymknął oczy i pokiwał głową.

- To wielka szkoda - powiedział z rozpaczą w głosie. - Roshario upadła i zraniła się.

- Darvo mi powiedział. Powiedział też, że Shamud umarł.

- Tak, ostatniej zimy. Chciałbym, żeby ta kobieta była kompetentną uzdrowicielką. Wysłaliśmy gońca do innej jaskini, ale ich Shamud poszedł na wyprawę. Posłaniec pobiegł do jeszcze jednej, w górę rzeki, ale oni są bardzo daleko i boję się, że będzie już za późno, żeby mógł cokolwiek zrobić.

- Trening, którego nie dokończyła, nie był treningiem uzdrowicielskim. Ayła jest uzdrowicielką, Dolando. Bardzo dobrą. Uczyła ją... - Jondalar nagle przypomniał sobie jedno z niewielu zaślepień Dolanda - kobieta, która ją wychowała. To długa historia, ale uwierz mi. Jest kompetentna.

Doszli do Ayli, która słuchała i uważnie obserwowała mówiącego Jondalara. Były pewne podobieństwa między językiem, którym się posługiwał, a mamutoi, ale raczej wyczuwała znaczenie jego słów i rozumiała, że próbował przekonać o czymś drugiego mężczyznę. Jondalar zwrócił się do niej.

- Aylo z Mamutoi, to jest Dolando, przywódca Shamudoi, żyjącej na lądzie połowy ludu Sharamudoi - powiedział w mamutoi. Potem odezwał się w języku Dolanda: - Dolando z Sharamudoi, to jest Ayla, córka Ogniska Mamuta u Mamutoi.

Dolando wahał się przez moment, patrząc kątem oka na konie i wilka. Było to piękne zwierzę. Stało czujnie i spokojnie obok wysokiej kobiety. Mężczyzna był zaciekawiony. Nigdy nie znajdował się tak blisko żywego wilka, widział tylko kilka wilczych futer. Niezbyt często polowali na nie i obserwował je tylko z odległości. Wilk przypatrywał mu się tak, jakby z kolei jego oceniał, po czym obrócił łeb i zaczął przyglądać się pozostałym ludziom. Zwierzę nie wydaje się zagrażać nikomu - pomyślał Dolando. - Może kobieta, która tak potrafi panować nad zwierzętami, jest dobrym Shamudem, niezależnie od jej treningu. Wyciągnął do niej obie ręce, z dłońmi otwartymi ku górze.

- W imieniu Wielkiej Matki, Mudo, witam cię, Aylo z Mamutoi.

- W imieniu Mut, Wielkiej Matki Ziemi, dziękuję ci, Dolando z Sharamudoi - powiedziała Ayla i ujęła obie jego ręce.

Ta kobieta mówi z dziwnym akcentem - pomyślał Dolando. Mówi w mamutoi, ale jej wymowa jest jakaś inna. Nie brzmi to jak wymowa Tholie. Może jest z innego regionu. Dolando znał wystarczająco wielu Mamutoi, by to zrozumieć. Wiele razy w życiu podróżował do ujścia wielkiej rzeki, żeby z nimi handlować, i przyprowadził Tholie, kobietę Mamutoi. Tyle przynajmniej mógł zrobić dla przywódcy Ramudoi, żeby pomóc synowi jego ogniska w połączeniu się z kobietą, którą koniecznie chciał mieć. Tholie nauczyła wielu ludzi swojego języka i to przydawało się w wyprawach handlowych.

Fakt, że Dolando zaakceptował Aylę, otworzył drogę pozostałym ludziom do powitania Jondalara i kobiety, którą ze sobą przyprowadził. Tholie wystąpiła naprzód i Jondalar uśmiechnął się do niej. W dość skomplikowany sposób, poprzez zaślubiny Thonolana, byli spowinowaceni i lubił ją.

- Tholie! - powiedział z szerokim uśmiechem i ujął jej obie ręce. - Nie umiem ci powiedzieć, jak się cieszę, że cię widzę.

- Ja także ogromnie się cieszę. I naprawdę nauczyłeś się bardzo dobrze mówić w mamutoi. Muszę przyznać, że czasami wątpiłam, czy kiedykolwiek się nauczysz.

Puściła jego ręce i objęła go na powitanie. Pochylił się nad nią i impulsywnie, ponieważ był tak szczęśliwy, że jest tutaj, podniósł niewielką kobietę i porządnie ją wyściskał. Nieco zmieszana, zaczerwieniła się i uświadomiła sobie, że ten wysoki, przystojny, czasami melancholijny mężczyzna zmienił się. Nie pamiętała, żeby w przeszłości tak spontanicznie okazywał swoje

uczucia. Kiedy postawił ją na ziemi, zaczęła mu się przyglądać, a także kobiecie, którą przyprowadził, pewna, że to jej zasługa.

- Aylo z Obozu Lwa Mamutoi, poznaj Tholie z Sharamudoi, uprzednio z Mamutoi.

- W imieniu Mut czy Mudo, czy też każdego imienia, którym jest nazwana, witam cię, Aylo z Mamutoi.

- W imieniu Matki Wszystkich dziękuję ci, Tholie z Sharamudoi. Szczęśliwa jestem, że cię spotkałam. Tyle już o tobie słyszałam. Masz krewnych w Obozie Lwa, prawda? Zdaje mi się, że Talut wspomniał o jakimś pokrewieństwie, kiedy Jondalar mówił o tobie. - Ayła wyczuwała, że kobieta bacznie ją obserwuje. Jeśli Tholie jeszcze nie wie, to wkrótce odkryje, że Ayła nie urodziła się wśród Mamutoi.

- Tak, jesteśmy spokrewnieni, ale niezbyt blisko. Pochodzę z południowego obozu. Obóz Lwa jest dalej na północ - odpowiedziała Tholie. - Ale oczywiście znam ich. Wszyscy znają Taluta. Trudno go nie znać, a jego siostra, Tulie, jest bardzo poważana.

To nie jest akcent Mamutoi - myślała - i Ayła to nie jest imię Mamutoi. Nie jestem właściwie pewna, czy to sprawa akcentu, to po prostu dziwny sposób wymawiania niektórych słów. Mówi jednak bardzo dobrze. Talut zawsze lubił przyjmować ludzi. Przyjął nawet te wiecznie narzekającą starą kobietę i jej córkę, która wzięła za towarzysza życia człowieka znacznie poniżej jej statusu. Chciałabym wiedzieć więcej o tej Ayli i jej zwierzętach - pomyślała i spojrzała na Jondalara.

- Czy Thonolan został z Mamutoi? - spytała.

Ból, widoczny w jego oczach, dał jej odpowiedź, zanim Jondalar powiedział:

- Thonolan nie żyje.

- Tak mi przykro. Markeno także się zasmuci tą wiadomością. Ale nie mogę powiedzieć, że się jej nie spodziewałam. Jego chęć życia umarła razem z Jetamio. Jedni ludzie potrafią przetrwać tragedię, a inni nie.

Ayli podobał się sposób wyrażania się tej kobiety. Nie bez uczuć, ale otwarty i bezpośredni. Najwyraźniej nadal była Mamutoi.

Pozostali członkowie jaskini pozdrowili Aylę. Wyczuwała pełną rezerwy akceptację, ale i dużo ciekawości. Jondalara witali ze znacznie mniejszym skrepowaniem. Należał do rodziny; nie ulegało wątpliwości, że traktowali go jak swojego i gorąco witali z powrotem w domu.

Darvalo nadal trzymał kapelusz-koszyk z jeżynami i czekał, aż wszyscy się przywitają. Podniósł je i pokazał Dolandowi.

- Tu jest trochę jeżyn dla Roshario - powiedział. Dolando zauważył dziwny kosz; nie był zrobiony w znany im sposób.

- Ayla mi je dała - ciągnął Darvalo. - Zbierali jeżyny, kiedy ich spotkałem. Te już były zerwane.

Obserwując młodego człowieka, Jondalar pomyślał nagle o jego matce. Nie spodziewał się, że nie spotka Serenio, i był rozczarowany. Naprawdę ją kochał na swój sposób, i miał nadzieję ją spotkać. Czy spodziewała się dziecka, kiedy odeszła? Dziecka z jego ducha? Może zapyta Roshario. Powinna wiedzieć.

- No to jej zanieśmy - powiedział Dolando, kiwając głową do Ayli w milczącej podzięce. - Jestem pewien, że będą jej smakowały. Jeśli chcesz wejść, Jondalarze, to myślę, że nie śpi teraz, i wiem, że będzie chciała cię zobaczyć. Weź także Aylę. Zechce ją poznać. Bardzo jej ciężko. Wiesz, jaka jest. Zawsze na nogach, zawsze zajęta, zawsze pierwsza do przywitania gości.

Jondalar przetłumaczył to Ayli, która skinęła głową. Zostawili konie na łące, ale dała znak Wilkowi, żeby trzymał się blisko niej. Widziała, że drapieżnik nadal niepokoił ludzi. Oswojone konie były dziwne, ale nie wydawały się niebezpieczne. Wilk jednak jest drapieżnikiem, zdolnym do wyrządzenia krzywdy.

- Jondalarze, myślę, że najlepiej będzie, jeśli Wilk na razie będzie przy mnie. Spytaj Dolanda, czy mogę go wprowadzić, dobrze? Powiedz mu, że jest przyzwyczajony do przebywania w pomieszczeniach - powiedziała Ayla w mamutoi.

Jondalar powtórzył jej prośbę, chociaż Dolando ją zrozumiał, co Ayla podejrzewała, obserwując jego reakcje. Dobrze wiedzieć, że rozumie mamutoi.

Poszli na tyły kotliny i weszli pod półkę z piaskowca, minęli środkowe palenisko, które najwyraźniej było miejscem zgromadzeń, i podeszli do drewnianej budowli, przypominającej pochyły szafas. Kiedy podchodzili, Ayla studiowała jej konstrukcję. Ukośnie idąca kalenica była wbita w grunt z tyłu i podparta drągiem z przodu. Opierały się o nią zwężające się u końca dębowe deski, które zostały odłupane promieniście z dużego pnia. Deski miały różną wielkość, ustawiono je tak, że najkrótsze były z tyłu, a najdłuższe z przodu. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że zostały połączone cienkimi wtkami wierzbowymi, przeciągniętymi przez wyborowane w deskach otwory.

Dolando odsunął żółtą zasłonę z miękkiej skóry i przytrzymał ją, żeby wszyscy mogli wejść. Przywiązał ją do ramy, by wpuścić więcej światła, choć tu i ówdzie wpadało wąskimi smugami między deskami, jednak większa część ścian pokryta była skórą, żeby ustrzec się przeciągów, mimo że w tej wyciętej w górach niszy, przypominającej zatokę, nie było dużo wiatrów. Przy wejściu znajdowało się niewielkie palenisko, a nad nim krótsze deski tworzyły otwór dymny, ale brakowało pokrywy od deszczu. Skalny nawis chronił chatę przed deszczem i śniegiem. Wzdłuż jednej ściany, w tyle domostwa, było posłanie, szeroka drewniana półka umocowana z

jednej strony do ściany i podparta z drugiej palikami. Pokryta była wypchanym skórzanym siennikiem i futrami. W przyćmionym świetle Ayla z trudem dostrzegła leżącą kobietę.

Darvalo przyklęknął przy pościeli i wyciągnął jeżyny.

- To jeżyny, które ci obiecałem, Roshario, ale ja ich nie zebrałem. Ayla to zrobiła.

Kobieta otworzyła oczy. Nie spała, próbowała tylko odpocząć, lecz nie wiedziała o przybyciu gości. Nie rozumiała imienia wypowiedzianego przez Darvala.

- Kto je zebrał? - spytała słabym głosem.

Dolando pochylił się nad pościelią i położył rękę na jej czole.

- Roshario, patrz, kto tu jest! Jondalar wrócił.

- Jondalar? - zdziwiła się i spojrzała na mężczyznę, który klęczał przy pościeli obok Darvala. Wzdrygnął się na widok bólu wyrytego w jej twarzy. - To naprawdę ty? Czasami śni mi się, że widzę mojego syna albo Jetamio, a potem budzę się i to nie jest prawda. Czy to naprawdę ty, Jondalarze, czy tylko sen?

- To nie jest sen, Rosh - powiedział Dolando. Jondalarowi zdawało się, że widzi w jego oczach łzy. - Naprawdę jest tutaj. I przyprowadził kogoś ze sobą. Kobietę Mamutoi. Na imię ma Ayla. - Skinął na nią, żeby podeszła.

Ayla dała znak Wilkowi, żeby usiadł, i podeszła do kobiety. Poznała natychmiast, że kobieta miała silne bóle. Oczy jej były szkliste i podbite ciemnymi półkolami, tak że robiły wrażenie zapadniętych; twarz była pokryta rumieńcem gorączki. Nawet z odległości i pod lekkim przykryciem Ayla widziała, że ramię leżącej, między barkiem a łokciem, było wygięte pod dziwnym kątem.

- Aylo z Mamutoi, to jest Roshario z Sharamudoi - odezwał się Jondalar.

Daryalo odsunął się i Ayla zajęła jego miejsce.

- W imieniu Matki witam cię, Aylo z Mamutoi. - Roshario próbowała się podnieść, ale dała za wygraną i opadła z powrotem. - Przykro mi, że nie mogę cię właściwie przywitać.

- W imieniu Matki dziękuję ci - odpowiedziała Ayla. - Nie ma potrzeby, żebyś wstawała.

Jondalar przetłumaczył, ale Tholie wciągnęła wszystkich w naukę języka i zbudowała podstawę do rozumienia języka mamutoi. Roshario rozumiała istotę tego, co powiedziała Ayla, i skinęła głową.

- Jondalarze, ona ma straszliwe bóle. Boję się, że bardzo z nią niedobrze. Chcę zbadać to ramię - powiedziała Ayla, przechodząc na zelandoni, żeby kobieta nie rozumiała, jak poważnie traktuje jej ranę, ale nie ukryło to niepokoju w jej głosie.

- Roshario, Ayla jest uzdrowicielką, córką Ogniska Mamuta. Chciałaby zbadać twoje ramię.
- Jondalar spojrział na Dolanda, żeby upewnić się, iż nie ma obiekcji. Dolando był skłonny spróbować wszystkiego, co mogłoby pomóc, o ile tylko zgadzała się na to Roshario.

- Uzdrowicielka? - spytała chora kobieta. - Shamud?

- Tak jak Shamud. Czy może popatrzeć?

- Obawiam się, że jest już zbyt późno na pomoc, ale może popatrzeć.

Ayla odkryła ramię. Było widać, że ktoś próbował je wyprostować. Rana była czysta i goiła się, ale ramię było opuchnięte i kość sterczała pod skórą pod nienaturalnym kątem. Ayla pomacała ramię, starając się robić to tak delikatnie, jak tylko mogła. Kobieta drgnęła z bólu tylko wtedy, kiedy Ayla podniosła ramię, żeby go dotknąć od spodu, ale się nie skarżyła. Ayla wiedziała, że badanie jest bolesne, ale musiała wyczuć kość pod skórą. Obejrzała oczy Roshario, powąchała jej oddech, wyczuła puls na szyi i przegubie dłoni, a potem przysiadła na piętach.

- Zrasta się, ale nie jest właściwie nastawione. W końcu Roshario wyzdrowieje, ale nie myślę, by mogła używać tego ramienia i dłoni, a tak jak to jest teraz, zawsze będzie czuła ból - powiedziała Ayla w języku, który wszyscy do pewnego stopnia rozumieli. Poczekała, aż Jondalar przetłumaczy jej słowa.

- Czy możesz coś zrobić? - spytał Jondalar.

- Chyba tak. Może już być zbyt późno, ale chciałabym spróbować ponownie złamać ramię w miejscu, w którym źle się zrosło, i nastawić je poprawnie. Problem polega na tym, że miejsce, w którym zrasta się złamana kość, jest często mocniejsze. Może się źle złamać. Wtedy będzie miała dwa złamania i więcej bólu, a niczego nie zyska.

Kiedy Jondalar to przetłumaczył, zapadła cisza. Wreszcie przemówiła Roshario:

- Jeśli złamie się źle, nie będzie gorzej, niż jest teraz, prawda? - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. - Chodzi mi o to, że tak jak jest, nie będę mogła używać tego ramienia, więc drugie złamanie nie może tego pogorszyć. - Jondalar tłumaczył jej słowa, ale Ayla już złapała dźwięki i rytm języka sharamudoi i porównywała je do mamutoi. Ton głosu i wyraz twarzy kobiety mówiły jeszcze więcej. Ayla zrozumiała istotę tego, co powiedziała Roshario.

- Ale możesz przeżyć dużo więcej bólu i nic z tego nie mieć - zauważyła, zgadując, jaka będzie decyzja. Chciała jednak, by Roshario w pełni zrozumiała wszystkie konsekwencje.

- Teraz nie mam niczego - powiedziała chora kobieta, nie czekając na tłumaczenie. - Jeśli uda ci się je nastawić, czy będę mogła używać ramienia?

Ayla poczekała, żeby Jondalar powtórzył słowa w języku, który znała, aby upewnić się, że dobrze zrozumiała.

- Może nie będziesz w pełni władała ramieniem, ale przynajmniej trochę. Nikt jednak nie może być tego pewien.

Roshario nie wahała się.

- Jeśli istnieje szansa, że znowu będę mogła używać tego ramienia, chcę, żebyś to zrobiła. Ból nie jest ważny. Ból nic nie znaczy. Każdy Sharamudoi potrzebuje dwojga zdrowych ramion, żeby schodzić szlakiem do rzeki. Na co potrzebna jest kobieta Sharamudoi, skoro nawet nie może zejść do przystani Ramudoi?

Ayla wysłuchiwała tłumaczenia tych słów. Potem, patrząc Roshario w oczy, powiedziała:

- Jondalarze, powiedz jej, że spróbuję pomóc, ale powiedz jej także, że fakt posiadania zdrowych rąk nie jest najważniejszy. Znałam kiedyś mężczyznę z jednym ramieniem i jednym okiem, ale wiódł on pożyteczne życie i był kochany oraz szanowany przez wszystkich swoich ludzi. Myślę, że Roshario też to potrafi. To wiem na pewno. Nie jest kobietą, która łatwo się poddaje. Niezależnie od wyniku tego, co zrobię, ta kobieta nie będzie dla nikogo ciężarem. Znajdzie sposób na to i zawsze będzie kochana oraz szanowana.

Roshario wpatrywała się w Aylę i słuchała jej słów tłumaczonych przez Jondalara. Zaciśnęła lekko wargi i skinęła głową. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy.

Ayla wstała, już myśląc o tym, co jej będzie potrzebne.

- Jondalarze, czy mógłbyś przynieść mój kosz nośny, ten prawy? I powiedz Dolandowi, że będą mi potrzebne wąskie kawałki drewna na łubki. I drewno na opał, i spora miska do gotowania, ale taka, której im nie żal. Potem nie będzie jej już można używać do gotowania. Zrobię w niej silny lek przeciwbólowy.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Będzie mi potrzebne coś, żeby ją uspić na czas przełamywania kości. Iza użyłaby bielunia. Jest bardzo mocny, ale byłby najlepszy na ból i uspiłby ją. Mam trochę suszonego, ale świeży byłby lepszy... zaraz... czy dopiero co nie widziałam bielunia? Zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć. Tak! Widziałam!

- Jondalarze, gdy pójdziesz po mój kosz, to ja w tym czasie poszukam kilku tych ciemnych jabłek, które widziałam po drodze - powiedziała i pobiegła do wyjścia. - Wilk, chodź ze mną. - Była już w pół drogi przez pole, zanim Jondalar ją dogonił.

Dolando stał przy wejściu do chaty i obserwował Jondalara, kobietę i Wilka. Chociaż nic nie powiedział, był cały czas bardzo świadomy zachowań zwierzęcia. Zauważył, że Wilk trzymał się boku kobiety, dostosowując swój bieg do szybkości jej kroków. Widział również nieznaczny ruch dłonią, jaki zrobiła Ayla, kiedy podchodziła do posłania Roshario, i zobaczył, że Wilk natychmiast położył się na brzuchu, chociaż łeb miał uniesiony wysoko i śledził każdy ruch kobiety. Kiedy wychodziła, podniósł się na jej rozkaz i pobiegł znowu za nią. Patrzył, dopóki Ayla

z Wilkiem, nad którym tak całkowicie panowała, nie zniknęli za zakrętem. Wtedy odwrócił się i spojrzął na kobietę na posłaniu. Po raz pierwszy od tego straszego momentu, kiedy Roshario poślizgnęła się i upadła, w sercu Dolanda zaświtała nadzieja.

Wróciwszy z koszem i roślinami bielunia, które umyła w stawie, Ayla zastała kwadratowe drewniane pudło do gotowania, które postanowiła obejrzeć później, drugie, wypełnione wodą, rozpalony gorący ogień w palenisku, gdzie grzało się wiele gładkich, okrągłych kamieni, i kilka małych kawałków deski. Patrząc na Dolanda, skinęła z zadowoleniem głową. Przeszukała swój kosz nośny, wyjęła kilka misek i swoją starą torbę znachorską ze skóry wydry. Małą miską odmierzyła potrzebną jej wodę do pudła do gotowania, dodała wiele całych bieluniów, łącznie z korzeniami, i prysnęła kilka kropel wody na kamienie. Zostawiła je w ogniu, żeby się jeszcze trochę pogrzały, wysypała zawartość torby znachorskiej i wybrała kilka paczuszek. Właśnie odkładała resztę z powrotem, kiedy wszedł Jondalar.

- Z końmi wszystko w porządku, Aylo, pasą się na polu, ale poprosiłem, żeby wszyscy na razie trzymali się od nich z daleka. - Zwrócił się do Dolanda: - Trochę się boją obcych, a nie chciałbym, żeby kogoś kopnęły. Później przyzwyczaimy je do was. - Przywódca kiwnął tylko głową. Nie wiedział, co mógłby na to odpowiedzieć. - Wilk nie jest szczęśliwy na zewnątrz, Aylo, i ludzie się go boją. Naprawdę myślę, że powinnaś go tu zawołać.

- Wołałabym mieć go tutaj, ale myślałam, że Dolando i Roshario mogą chcieć, żeby został na zewnątrz.

- Pozwól mi najpierw porozmawiać z Roshario. Potem będziesz mogła przywołać zwierzę. - Dolando nie czekał na tłumacza i sam mówił mieszaniną mamutoi i sharamudoi, której zrozumienie nie sprawiało Ayli najmniejszych kłopotów. Jondalar spojrzął na niego zdziwiony, ale Ayla po prostu mówiła dalej.

- Muszę również przymierzyć łubki na jej ręce - powiedziała, pokazując na małe kawałki desek. - Chciałabym, żebyś je zaraz tak wygładził, aby nie było żadnych drzazg, Dolando. - Podniosła kawałek dość kruchego kamienia, który leżał koło paleniska. - Pocieraj je tym piaskowcem, aż będą bardzo gładkie. Czy masz jakieś miękkie skóry, które mogłabym pociąć?

Dolando uśmiechnął się, chociaż uśmiech był nieco ponury.

- Z tego jesteśmy znani, Aylo. Używamy skór kozic i nikt nie robi miększych skór niż Shamudoi.

Jondalar patrzył na nich, kiedy tak rozmawiali ze sobą, doskonale się rozumiejąc, mimo że język, którym się posługiwali, nie był bezbłędny, i potrząsnął głową w zdumieniu. Ayla musiała wiedzieć, że Dolando rozumie mamutoi, i sama już trochę mówiła w sharamudoi - gdzie się nauczyła takich słów jak "deska" czy "piaskowiec"?

- Przyniosę kilka, ale najpierw porozmawiam z Roshario - powiedział Dolando.

Podeszli do kobiety na posłaniu. Dolando i Jondałar wytłumaczyli jej, że Ayla podróżuje razem z Wilkiem - na razie nie wspomnieli o koniach - i że chce go wprowadzić do chaty.

- Całkowicie panuje nad tym zwierzęciem - dodał Dolando. - Słucha jej rozkazów i nikogo nie skrzywdzi.

Jondałar rzucił mu zdumione spojrzenie. W jakiś sposób Ayla i Dolando przekazali sobie więcej niż słowa, które on sam słyszał i tłumaczył?

Roshario zgodziła się natychmiast. Chociaż zaciekało ją to, wcale nie była zaskoczona faktem, że Ayla potrafi panować nad zwierzęciem. To tylko jeszcze bardziej rozproszyło jej obawy. Jondałar nawyraźniej przyprowadził potężnego Shamuda, który wiedział, że jej potrzebna jest pomoc, tak samo jak stary Shamud wiedział kiedyś, przed wielu laty, że czeka na nią brat Jondalara, którego pobódł nosorożec. Nie rozumiała, w jaki sposób Ci Którzy Służą Matce dowiadują się takich rzeczy; po prostu wiedzieli, i to jej wystarczyło.

Ayla podeszła do wejścia i zawołała Wilka, a potem podprowadziła go do Roshario.

- Na imię ma Wilk - powiedziała.

W jakiś sposób Wilk zdawał się wyczuwać obawy i słabość chorej. Położył jedną łapę na brzegu posłania. Potem, kładąc uszy po sobie, powoli zaczął podsuwać łeb i ani przez moment nie warcząc, polizał ją w twarz, skomlał niemal tak, jakby czuł jej ból. Ayli nagle przypomniał się Rydag i ścisła więź, jaka nawiązała się między chorowitym dzieckiem a dorastającym wilczym szczeniakiem. Czy to doświadczenie nauczyło go rozumieć ludzkie potrzeby i cierpienie?

Wszyscy byli zaskoczeni łagodnym zachowaniem Wilka, ale Roshario była tym zachwycona. Czowała, że zdarzyło się coś cudownego, co mogło tylko dobrze wróżyć na przyszłość. Wyciągnęła zdrową rękę i dotknęła go.

- Dziękuję ci, Wilku - wyszeptwała.

Ayla położyła kawałki desek obok ramienia Roshario, a potem dała je Dolandowi, pokazując, jaka wielkość jest jej potrzebna. Kiedy Dolando wyszedł, zaprowadziła Wilka do kąta pomieszczenia, znowu sprawdziła kamienie do gotowania i uznała, że są już gotowe. Zaczęła wyjmować kamienie z ogniska dwoma kawałkami drewna, ale podszedł do niej Jondałar z zagiętym drewnianym narzędziem, specjalnie zrobionym do tego celu, i pokazał jej, jak go używać. Po włożeniu wielu kamieni do pudła do gotowania, żeby doprowadzić roztwór bielunia do wrzenia, przyjrzała się bliżej temu niezwykłemu pojemnikowi. Nigdy niczego podobnego nie widziała. Kwadratowe pudło było zrobione z deski, którą zagięto wzdłuż wyżłobionych nacięć z trzech stron; czwarta była przyczepiona kołkami. Kwadratowe dno wpuszczono w rowek wycięty na całej

długości deski. Po zewnętrznej stronie były wyrzeźbione ozdoby, a pokrywka z rączką pasowała dokładnie do wierzchu.

Ci ludzie mieli wiele niezwykłych rzeczy zrobionych z drewna. Ayla uznała, że będzie bardzo ciekawe zobaczyć, jak się je robi. Dolando powrócił z kilkoma żółtymi skórami i podał jej.

- Czy to wystarczy? - spytał.

- Ależ te są zbyt piękne - zaprotestowała. - Potrzebne mi miękkie, chłonne skóry, ale nie muszą być najlepsze, jakie macie.

Zarówno Jondałar, jak i Dolando uśmiechnęli się.

- To nie są nasze najlepsze - powiedział Dolando. - Nigdy nie zaproponowalibyśmy ich na handel. Jest w nich zbyt wiele skaz. Te skóry są do codziennego użytku.

Ayla знаła się na wyprawianiu skór, a te były elastyczne i gładkie, i niesłychanie miękkie w dotyku. Bardzo jej to zaimponowało i chciałyby wiedzieć więcej o obróbce, ale teraz nie był czas po temu. Używając noża, który Jondałar zrobił dla niej, z cienkim, ostrym krzemienym ostrzem w oprawce z mamuciego kła, pocięła skóry na szerokie pasy. Otworzyła jedną z paczuszek i wsypała do małej miski gruboziarnisty proszek z wysuszonych korzeni zapalniczki, której liście przypominały naparstnicę, ale żółte kwiaty były podobne do mniszka. Dodała trochę wrzącej wody z pudła do gotowania. Ponieważ robiła gęsty okład, który pomoże kości się zrosnąć, mały dodatek bielunia nie zaszkodzi, a jego znieczulające właściwości mogą pomóc. Dodała także sproszkowany krwawnik, ze względu na jego przeciwbólowe i gojące właściwości. Wyłowila z wody kamienie i dodała gorące z ogniska, żeby wywar wrzał, po czym powąchała, sprawdzając jego moc. Kiedy uznała, że naciągnął wystarczająco, nabrała pełną miskę, ostudziła ją i zaniosiła do Roshario. Dolando siedział obok niej. Poprosiła Jondalara o dokładne przetłumaczenie wszystkiego, co powie, żeby nie było żadnych nieporozumień.

- Ten lek zarówno zmniejszy ból, jak i uśpi cię - powiedziała Ayla - ale jest bardzo mocny i niebezpieczny. Niektórzy ludzie nie mogą znieść tak silnej dozy. To rozluźni mięśnie, żebym mogła wymacać kości w środku, ale możesz wypuścić mocz albo załatwić się pod siebie, bo te mięśnie też się rozluźnią. Niektórzy ludzie przestają oddychać. Jeśli to się zdarzy, umrzesz, Roshario.

Ayla czekała, aż Jondalar przetłumaczy jej słowa, a potem jeszcze chwilę, by się upewnić, że zostały w pełni zrozumiane. Dolando był w oczywisty sposób wzburzony.

- Musisz tego użyć? Nie możesz złamać ramienia bez tego? - spytał.

- Nie. To byłoby zbyt bolesne i jej mięśnie byłyby zbyt napięte. Opierałyby mi się i utrudniały złamanie we właściwym miejscu. Nie mam niczego innego, co równie dobrze znieczuli.

Bez tego nie mogę złamać i na nowo nastawić kości, ale musicie wiedzieć, jakie jest niebezpieczeństwo. Jeśli nic nie zrobię, ona prawdopodobnie będzie żyć, Dolando.

- Będę jednak bezużyteczna i już nigdy nie uwolnię się od bólu - powiedziała Roshario. - To nie jest życie.

- Będziesz miała bóle, ale to nie znaczy, że będziesz bezużyteczna. Są środki na złagodzenie bólu, chociaż mogą ci coś odebrać. Możesz nie móc myśleć jasno po nich - tłumaczyła Ayla.

- A więc będę albo bez użytku, albo bez rozumu. Jeśli umrę, czy to będzie bezbolesne?

- Zaśniesz i się nie obudzisz, ale nikt nie wie, co może się stać w twoich snach. We śnie możesz odczuwać wielki ból. Ból może nawet pójść z tobą do następnego świata.

- Naprawdę wierzysz, że ból może pójść z człowiekiem do następnego świata? - spytała Roshario.

Ayla pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie wierzę, ale nie wiem na pewno.

- Czy myślisz, że umrę, jeśli to wypiję?

- Nie dawałabym ci tego, gdybym sądziła, że umrzesz. Możesz mieć niezwykle sny. Niektórzy używają tego naparu, inaczej przyrządzonego, do wypraw do innych światów, światów duchów.

Chociaż Jondalar tłumaczył każde słowo, zdawało się, że kobiety i bez tego doskonale się rozumieją.

- Może nie powinnaś ryzykować, Roshario - powiedział Dolando. - Nie chcę stracić także ciebie.

Spojrzała na niego z miłością.

- Matka zawoła jedno z nas do siebie najpierw. Albo ty mnie stracisz, albo ja stracę ciebie. Nic nie może temu zapobiec. Jeśli zechce pozwolić mi na spędzenie z tobą jeszcze kilku lat, Dolando, nie chciałabym ich przeżyć w bólu i bezużytecznie. Wolałabym w takim razie odejść spokojnie teraz. I słyszałaś Aylę, nie jest prawdopodobne, że umrę. Nawet jeśli to nie poskutkuje i nie będę w lepszym stanie, to przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam, i to mi da siłę do dalszego życia.

Dolando siedział koło niej na posłaniu, trzymał jej zdrową rękę i patrzył na kobietę, z którą przeżył taki szmat życia. Zobaczył zdecydowanie w jej oczach. Wreszcie skinął głową. Podniósł wzrok na Aylę.

- Uczciwie wszystko powiedziałaś. Teraz ja muszę być szczery. Nie będę miał ci za złe, jeśli nie uda ci się jej pomóc, ale jeśli umrze, musisz stąd szybko odejść. Nie mogę być pewny, że

potrafię cię za to nie winić, i nie wiem, co w takim razie mógłbym zrobić. Zastanów się nad tym, zanim zaczniesz.

Jondalar znał straty, jakie dotknęły Dolanda: syn Roshario, syn jego ogniska i dziecko jego serca, zabity właśnie, kiedy osiągnął wiek męski; i Jetamio, dziewczynka, która była dla Roshario jak córka i która zdobyła także serce Dolanda. Dorosła, żeby wypełnić pustkę zostawioną przez śmierć ich pierwszego dziecka, po śmierci jej własnej matki. Jej walka o ponowną możliwość chodzenia, o przezwycięzenie paraliżującej choroby, która zabrała tak wielu innych, wyrobiły jej charakter, który zdobywał jej miłość wszystkich, włącznie z Thonolanem. Wydawało się tak niesprawiedliwe, że musiała odejść w bólach porodowych. Zrozumiałby, gdyby Dolando winił Aylę za ewentualną śmierć Roshario, ale zabiłby go raczej, niż pozwolił mu ją skrzywdzić. Zastanawiał się, czy Ayla nie bierze na siebie zbyt dużo.

- Aylo, może się zastanów - powiedział w zelandoni.

- Roshario ma bóle. Muszę spróbować jej pomóc, skoro ona tego chce. Jeśli ona jest gotowa podjąć ryzyko, nie mogę zrobić mniej. Zawsze istnieje ryzyko, ale jestem znachorką; tym właśnie jestem. Nie mogę tego zmienić, tak samo, jak nie mogła zmienić tego Iza.

Spojrzała na leżącą na pościeli kobietę.

- Jestem gotowa, jeśli i ty jesteś, Roshario.

ROZDZIAŁ 16

Ayla pochyliła się nad kobietą na posłaniu, trzymając w rękach miseczkę ostudzonego płynu. Zanurzyła w niej mały palec, żeby sprawdzić temperaturę, i postawiła na ziemi, z gracją osuwając się do siedzącej pozycji. Siedziała przez chwilę w milczeniu.

Myślami wróciła do życia z klanem, a zwłaszcza do nauk, jakie jej dawała świetna i znająca się na rzeczy znachorka, która ją wychowała. Iza zajmowała się zwykłymi chorobami i drobnymi zranieniami w sposób praktyczny i sprawny. Kiedy jednak natykała się na poważny problem - wyjątkowo groźny wypadek przy polowaniu albo zagrażającą życiu chorobę - prosiła Creba, Mogura, aby przywołał wyższe siły na pomoc. Iza była uzdrowicielką, ale w klanie Creb był szamanem, świętym człowiekiem, który miał dostęp do świata duchów. Wśród Mamutoi i - z tego, co mówił Jondalar - również wśród jego ludzi, funkcje uzdrowiciela i Mogura nie musiały być rozdzielone. Ci, którzy uzdrawiali, często zwracali się o pomoc do świata duchów, choć nie wszyscy z Tych Którzy Służyli Matce byli równie biegli w obu dziedzinach. Mamut z Obozu Lwa znacznie bardziej przypominał Creba. Chociaż znał się trochę na pewnych lekach i sposobach leczenia, jego zdolności uzdrawiacza były słabo rozwinięte, i to Nezzie na ogół zajmowała się drobnymi zranieniami oraz chorobami mieszkańców obozu. Na Letnim Spotkaniu Ayla spotkała uzdrowicieli wśród Mamutów i wymieniała z nimi wiedzę i doświadczenia.

Nauczyła się jednak tylko praktycznych sposobów. Tak jak Iza, była znachorka, uzdrowicielką. Uważała, że wie zbyt mało o świecie duchów, i pragnęła w tym momencie mieć obok siebie kogoś takiego jak Creb. Chciała otrzymać potrzebną, jej zdaniem, pomoc sił większych niż jej własne. Chociaż Mamut zaczął uczyć ją rozumienia duchowego królestwa Wielkiej Matki, nadal bliższy był jej duch Wielkiego Lwa Jaskiniowego. To był duch klanu, ale wiedziała, że jest potężny, a Mamut powiedział, że duchy wszystkich zwierząt, właściwie wszystkie duchy, są częścią Wielkiej Matki Ziemi. Włączył nawet jej opiekuńczy totem w ceremonię adopcyjną, a umiała prosić swój totem o pomoc. Roshario nie była z klanu, ale Ayla miała nadzieję, że duch Wielkiego Lwa Jaskiniowego jej pomoże.

Ayla zamknęła oczy i zaczęła wykonywać piękne, płynne gesty starodawnego świętego, milczącego języka klanu, który znany był wszystkim klanom i używany do zwracania się do świata duchów.

Wielki Lwie Jaskiniowy, ta kobieta, która została wybrana przez ducha potężnego totemu, jest wdzięczna za to, że została wybrana. Ta kobieta jest wdzięczna za Dary, jakie otrzymała, a najbardziej wdzięczna za Dary wewnętrzne, za naukę i zdobyta wiedzę.

Wielki, Potężny Opiekunie, który wybierasz mężczyzn tego godnych i potrzebujących wielkiej protekcji, ale który wybrałeś tę kobietę i zaznaczyłeś ją znakiem totemu, kiedy była małą dziewczynką, ta kobieta jest wdzięczna. Ta kobieta nie wie, dlaczego duch Wielkiego Lwa Jaskiniowego klanu wybrał dziewczynkę, do tego pochodzącą z Innych, ale ta kobieta jest wdzięczna, że została uznana za godną, i wdzięczna za opiekę wielkiego totemu.

Wielki Duchu Totemie, ta kobieta, która już uprzednio prosiła o pokazanie drogi, znowu chce poprosić o wsparcie. Wielki Lew Jaskiniowy prowadził tę kobietę, żeby nauczyła się, jak być znachorka. Ta kobieta zna się na uzdrawianiu. Zna leki na choroby i rany, zna napoje i roztwory, okłady i inne leki z roślin, ta kobieta umie wykonywać zabiegi i leczyć. Jest wdzięczna za tę wiedzę i za tę jeszcze jej nie znaną, do której Totem Duch może ją doprowadzić. Ale ta kobieta nie zna świata duchów.

Wielki Duchu Lwa Jaskiniowego, który mieszkasz z gwiazdami w świecie duchów, kobieta, która leży tutaj, nie jest z klanu; jest jedną z Innych, tak samo jak kobieta, którą wybrałeś, ale proszę cię o pomoc dla tej kobiety. Ma wielkie bóle, ale najgorszy jest ból wewnętrzny. Zniosłaby ból, ale boi się, że bez obu ramion będzie bezużyteczna. Ta kobieta chce być dobrą kobietą, użyteczną kobietą. Znachorka chce jej pomóc, ale pomoc może być niebezpieczna. Prosi więc o wsparcie ducha Wielkiego Lwa Jaskiniowego i innych duchów, które wybierze Wielki Totem, żeby prowadzić tę kobietę oraz pomóc kobiecie leżącej tutaj”.

Roshario, Dolando i Jondalar milczeli, gdy Ayla wykonywała swoje niezwykle ruchy. Z całej trójki tylko Jondalar wiedział, co ona robi, i obserwował pozostałych dwoje. Chociaż jego znajomość języka klanu była tylko podstawowa - był to język znacznie bardziej skomplikowany, niż to sobie potrafił wyobrazić - zrozumiał jednak, że prosi o pomoc świat duchów.

Jondalar po prostu nie widział niektórych niuansów tej metody porozumiewania się, która została rozwinięta na całkowicie innej zasadzie niż język werbalny. Był to zresztą sposób komunikacji niemożliwy do dokładnego przełożenia na język słowny. W najlepszym wypadku każde tłumaczenie na słowa wydawało się prymitywne, ale uważał, że jej pełne wdzięku ruchy są piękne. Przypomnił sobie, że był czas, kiedy wstydził się jej zachowania, i uśmiechnął się nad własną głupotą, ale ciekawiło go, jak zareagują Roshario i Dolando.

Dolando był zaskoczony i trochę zaniepokojony, ponieważ to, co robiła, było mu całkowicie obce. Niepokoił się o Roshario, i wszystko obce, nawet jeśli użyte w dobrym celu, zdawało się nieco groźne. Kiedy Ayla skończyła, Dolando spojrzał pytająco na Jondalara, ale młody mężczyzna tylko się uśmiechnął.

Rana osłabiła Roshario, która miała gorączkę. Nie majaczyła, ale była wycieńczona i zdezorientowana. Koncentrowała się na tej obcej kobiecie i czuła dziwne wzruszenie. Nie miała

najmniejszego pojęcia, co oznaczały gesty Ayli, ale podziwiała ich pełną wdzięku płynność. Wyglądało to, jakby kobieta tańczyła rękami, a właściwie nie tylko rękami. Swoimi ruchami przywoływała subtelne piękno. Jej dłonie i ramiona, nawet całe ciało zdawało się integralną częścią jej tańczących dłoni, odpowiadając na wewnętrzny rytm, który miał jakiś określony cel. Chociaż tak samo nie pojmowała tego, jak nie rozumiała, skąd Ayla wiedziała, że potrzebna jest jej pomoc, Roshario była pewna, że to jest ważne i że ma to coś wspólnego z jej powołaniem. Była Shamudem; to wystarczało. Miała wiedzę wykraczającą poza zasięg wiedzy zwykłych ludzi, i wszystko, co wydawało się tajemnicze, przydawało jej wiarygodności.

Ayla wzięła miseczkę i uklękła koło postania. Znowu sprawdziła płyn małym palcem i uśmiechnęła się do Roshario.

- Niechaj Wielka Matka Wszystkich czuwa nad tobą, Roshario - rzekła i uniosła głowę oraz barki chorej kobiety na tyle, by mogła swobodnie pić. Przyłożyła jej do warg małą miszkę. Był to gorzki napój o niemiłym zapachu i Roshario skrzywiła się, lecz Ayla nalegała, by wypić wszystko. Ayla ostrożnie położyła ją z powrotem i uśmiechnęła się znowu, żeby dodać jej otuchy, lecz już wypatrywała efektów leku.

- Powiedz mi, kiedy poczujesz się senna - powiedziała, chociaż miało to tylko potwierdzić inne znaki, które mogła dostrzec, takie jak zmiana wielkości źrenic czy głębokości oddechu.

Znachorka nie mogła wiedzieć, że właśnie podała lek, który porażał parasympatyczny układ nerwowy i paraliżował końcówki nerwów, ale umiała dostrzec jego efekty i miała dosyć doświadczenia, by wiedzieć, kiedy są właściwe. Gdy zobaczyła, że powieki Roshario zaczynają opadać, pomacała jej klatkę piersiową i brzuch, żeby skontrolować rozluźnienie mięśni gładkich przewodu pokarmowego, chociaż nie tak by to opisała, i uważnie obserwowała jej oddech, żeby zobaczyć reakcje płuc i oskrzeli. Kiedy była pewna, że kobieta śpi wygodnie i nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, wstała.

- Dolando, lepiej, żebyś teraz wyszedł. Jondalar zostanie i pomoże mi - powiedziała cicho, ale stanowczo, a jej pewność siebie i widoczna kompetencja dodawały jej autorytetu.

Przywódca zaczął protestować, ale przypomniał sobie, że Shamud również nie pozwalał na obecność bliskiej rodziny, po prostu odmawiał udzielenia pomocy, dopóki bliscy nie wyszli. Może oni wszyscy są tacy - pomyślał Dolando, spojrzawszy raz jeszcze na śpiącą kobietę i wyszedł z pomieszczenia.

Jondalar już wcześniej widział, jak Ayla w takich okolicznościach przejmuje panowanie nad sytuacją. Zdawała się całkowicie zapominać o sobie, skoncentrowana na cierpiącej osobie, i bez wahania wydawała rozkazy innym, by robili to, co niezbędne. Nie przychodziło jej do głowy

zastanawiać się nad swoimi uprawnieniami do udzielenia pomocy komuś, kto tej pomocy potrzebował, i w rezultacie nikt tych uprawnień nie kwestionował.

- Mimo że śpi, to i tak nie jest łatwo patrzeć, jak ktoś łamie kość osobie, którą kochasz - powiedziała Ayla do wysokiego mężczyzny darzącego ją miłością.

Jondalar skinął głową i zastanawiał się, czy to dlatego Shamud nie pozwolił mu zostać, kiedy Thonolan był ranny. To była przerażająca rana, otwarte, poszarpane przebicie, którego widok w pierwszej chwili przyprawił go o mdłości. Myślał, że chce być z Thonolanem, ale prawdopodobnie trudno byłoby patrzeć, jak Shamud robi to, co konieczne. Nie miał nawet pewności, czy chce zostać i pomóc Ayli, ale nie było nikogo innego. Skoro ona może to robić, on przynajmniej spróbuje pomóc.

- Co mam robić?

Ayla badała ramię Roshario, sprawdzając, jak daleko da się wyprostować i jak reaguje na te manipulacje. Roshario zamamrotała coś i poruszyła głową, ale wydawało się, że była to reakcja na jakiś sen czy inną wewnętrzną podniecie, a nie na ból. Ayla wepchnęła palce głębiej w zwiotczałe mięśnie w próbie zlokalizowania pozycji złamanej kości. Kiedy wreszcie skończyła badanie, poprosiła Jondalara, żeby podszedł, i spojrzała na Wilka, obserwującego ją w napięciu ze swojego miejsca w kacie.

- Najpierw chcę, żebyś podtrzymał jej rękę w łokciu, podczas gdy ja będę próbowała ją złamać tam, gdzie się źle zrosła. Po złamaniu będę musiała ją mocno naciągnąć, żeby ją wyprostować i właściwie nastawić. Ponieważ jej mięśnie są takie rozluźnione, kości stawów mogą się rozejść i mogą wybić jej rękę w łokciu lub w barku, będziesz więc musiał mocno trzymać, a może ciągnąć w drugą stronę.

- Rozumiem - powiedział, a przynajmniej sądził, że rozumie.

- Upewnij się, że stoisz wygodnie i pewnie, wyprostuj jej ramię i podtrzymuj łokieć mniej więcej tutaj. Powiedz, kiedy będziesz gotowy.

Ujął ramię chorej i naprężył mięśnie.

- Dobrze, jestem gotowy.

Z rękami po obu stronach złamania, Ayla ujęła ramię Roshario, chwytając je próbnie w wielu miejscach i wymacując pod skórą i mięśniami wystające końce źle zrosniętej kości. Jeśli zrosła się zbyt solidnie, nigdy nie będzie w stanie przełamać jej na nowo gołymi rękami i będzie musiała spróbować innych środków, a może w ogóle jej się nie uda. Stała nad posłaniem w pozycji dającej jej najlepszy chwyt, odetchnęła głęboko i silnymi rękami mocno nacisnęła z obu stron złamania.

Ayla poczuła, że kość się złamała. Jondalar usłyszał wzbudzający mdłości trzask. Roshario podskoczyła spazmatycznie przez sen, a potem znowu się uspokoiła. Ayla wymacała przez mięśnie nowo złamaną kość. Stare złamanie nie było jeszcze mocno zrosnięte, prawdopodobnie dlatego, że końce nie przystawały do siebie dużą powierzchnią ze względu na nienaturalną pozycję. Udało się je czysto przełamać. Ayla odetchnęła z ulgą. Ta część pracy została wykonana. Grzbietem dłoni otarła pot z czoła.

Jondalar patrzył na nią ze zdumieniem i podziwem. Potrzeba bardzo silnych rąk, żeby złamać taką kość, nawet jeśli jest tylko częściowo zrosnięta. Zawsze podziwiał jej siłę fizyczną, odkąd zdał sobie z niej sprawę. Wiedział, że potrzebowała jej w swym samotnym życiu. Nie znał pełnych jej rozmiarów, ale był pewien, że dziewczyna miała dobrze rozwinięte mięśnie, gdyż wszystko musiała robić sama. Siła Ayli nie pochodziła tylko z tego, że musiała walczyć w samotności o przeżycie w swojej dolinie; rozwijała się od czasu, kiedy zaadoptowała ją Iza. Zwykle czynności, których wykonywania oczekiwano od niej, stały się treningiem siłowym. Po to tylko, żeby osiągnąć minimalny poziom kompetencji kobiety klanu, stała się wyjątkowo mocną kobietą Innych.

- Udało się, Jondalarze. Teraz chcę, żebyś znowu zebrał siły i trzymał jej ramię tutaj, przy barku - powiedziała Ayla, wskazując mu miejsce. - Nie wolno ci puścić, a jeśli poczujesz, że ci się wyślizguje, musisz mi natychmiast powiedzieć. - Ayla rozumiała, że kość, która nie zrosła się zbyt mocno, bo przylegała do siebie pod kątem, była nieco łatwiejsza do złamania, niż gdyby była prosta przez tak długi okres. Mięśnie i ścięgna musiały jednak zrosnąć się i zaleczyć. - Kiedy wyprostuję ramię, niektóre mięśnie się rozedrą, tak jak wtedy, kiedy zostało złamane, a ścięgna zostaną naciągnięte. Trudno je będzie rozciągnąć, a potem będzie to dla niej bardzo bolesne, ale to trzeba zrobić. Powiedz mi, kiedy będziesz gotowy.

- Skąd wiesz to wszystko, Aylo?

- Iza mnie nauczyła.

- Tak, pamiętam, ale skąd wiesz o tym właśnie? O ponownym łamaniu kości, która zaczęła się zrastać?

- Kiedyś Brun poszedł z myśliwymi na polowanie. Nie było ich bardzo długo, nie pamiętam, jak długo. Jeden z myśliwych złamał sobie rękę zaraz po wymarszu, ale nie chciał zawrócić. Przywiązał ją do boku i polował jedną ręką. Kiedy wrócił, Iza musiała ją poprawić - szybko wyjaśniała Ayla.

- Ale jak mógł iść ze złamaną ręką? - Jondalar patrzył na nią z niedowierzaniem. - Nie bolało go?

- Oczywiście, że go bardzo bolało, ale nikt się tym zanadto nie przejmował. Mężczyźni klanu wolą umrzeć niż przyznać się do bólu. Tacy są. Tak są wychowani. Jesteś gotowy?

Miał jeszcze wiele pytań, ale teraz nie było na nie czasu.

- Tak, jestem gotowy.

Ayla ujęła mocno ramię Roshario powyżej łokcia, a Jondalar trzymał je poniżej barku. Z powolną, ale stałą siłą Ayla zaczęła ciągnąć je do siebie, nie tylko wyprostowując, ale również odciągając na bok, żeby uniknąć szorowania kości o kość, jak również żeby uchronić więzadła od zerwania. W pewnym momencie musiała ją wyciągnąć lekko poza pierwotny kształt, żeby wsunąć kość na właściwą pozycję.

Jondalar nie rozumiał, jak jej się udawało utrzymać tak silny kontrolowany nacisk, skoro on z trudem przytrzymał ramię. Ayla dygotała z wysiłku, pot spływał jej po twarzy, ale nie mogła teraz przerwać. Kość musiała być wyprostowana jednym ciągłym, płynnym ruchem. Gdy jednak raz minęła lekko wystający punkt poza złamany koniec kości, ramię niemal samo ułożyło się we właściwej pozycji. Poczwała, jak wskoczyło na miejsce, ostrożnie położyła je na pościeli i wreszcie puściła.

Jondalar spojrzał na nią. Dygotała, oczy miała zamknięte i ciężko dyszała. Zachowanie kontroli przy takim napięciu było najtrudniejsze, i walczyła teraz o panowanie nad własnymi mięśniami.

- Myślę, że ci się udało, Aylo.

Odetchnęła głęboko kilka razy, spojrzała na niego i uśmiechnęła się szerokim, szczęśliwym uśmiechem zwycięzcy.

- Tak, myślę, że mi się udało - powiedziała. - Teraz muszę założyć łubki. - Ostrożnie przeciągnęła dłoń wzdłuż prostego ramienia, które wyglądało zupełnie inaczej niż przedtem. - Jeśli się dobrze zagoi, jeśli nie uszkodziłam za silnie, kiedy było bez czucia, to myślę, że będzie go mogła używać, ale na razie będzie bardzo posiniaczone i spuchnięte.

Ayla zamoczyła pasy kozłej skóry w gorącej wodzie, położyła na nich zapalniczkę oraz krwawnik i luźno owinęła je na ramieniu, a potem powiedziała Jondalarowi, żeby zapytał Dolanda, czy łubki są już gotowe.

Kiedy Jondalar wyszedł przed chatę, powitał go tłum ludzi. Nie tylko Dolando, ale wszyscy pozostali, Shamudoi i Ramudoi, czuwali na miejscu zgromadzeń obok dużego paleniska.

- Ayli potrzebne są łubki, Dolando.

- Udało się? - spytał przywódca, wręczając mu kawałki wygładzonego drewna.

Jondalar uważał, że to powinna powiedzieć Ayla, ale uśmiechnął się. Dolando przymknął oczy, odetchnął głęboko i poczuł niezmierną ulgę.

Ayla założyła łubki i owinęła wokół nich dodatkowe pasy skóry. Ramię spuchnie i okład trzeba będzie zmienić. Łubki miały utrzymywać ramię, aby ruchy Roshario nie naruszyły świeżego złamania. Później, kiedy opuchlizna zejdzie i Roshario zechce chodzić, zamoczona w gorącej wodzie kora brzozowa, owinięta wokół ramienia, zastygnie w sztywny odlew.

Jeszcze raz zbadła oddech chorej, puls na szyi i przegubie, przyłożyła ucho do piersi i uniosła powieki, po czym wyszła przed chatę.

- Dolando, teraz możesz wejść - powiedziała do mężczyzny, który stał tuż przed wejściem.
- Czy nic się jej nie stało?
- Wejdz i sam zobacz.

Mężczyzna wszedł, uklęknął przy śpiącej kobiecie i wpatrzył się w jej twarz. Obserwował ją chwilę, upewniając się, że naprawdę oddycha, a potem spojrzał na jej ramię. Zarys ramienia pod opatrunkami był inny niż przed zabiegiem.

- Wygląda świetnie! Czy będzie go znowu mogła używać?

- Zrobiłam, co mogłam. Z pomocą duchów i Wielkiej Matki Ziemi będzie mogła się nim posługiwać. Może nie w pełni, jak przedtem, ale będzie nim poruszać. A teraz musi spać.

- Zostanę z nią - oznajmił Dolando, starając się przekonać ją autorytatywnym tonem, ale wiedział, że gdyby nalegała, wyszedłby.

- Tak myślałam, że zechcesz - zgodziła się. - Teraz jednak, gdy jest już po wszystkim, ja bym coś chciała.

- Powiedz tylko. Dam ci wszystko, czego pragniesz - powiedział bez wahania, ale zastanawiał się, czego od niego zażąda.

- Chciałabym się umyć. Czy w tym stawie można myć się i pływać?

Nie tego się spodziewał i przez moment czuł się zaskoczony. Nagle zauważył po raz pierwszy, że dziewczyna poplamiona jest sokiem jeżyn, ramiona ma podrapane przez kolczaste krzaki, ubranie znoszone i brudne, a włosy w nieładzie. Z wyrazem wstydu na twarzy i zakłopotanym uśmiechem powiedział:

- Roshario nigdy mi nie wybaczy braku gościnności. Nikt nie ofiarował ci nawet łyka wody. Musisz być bardzo zmęczona po tak długiej podróży. Zawołam Tholie. Wszystko, co chcesz, jeśli tylko to mamy, będzie twoje.

Ayla rozcierała bogate w saponiny kwiaty w mokrych dłoniach, aż wytworzyła się piana; potem wcierała ją we włosy. Piana z kwiatów prusznika nie była tak obfita jak z mydlnicy, ale to było ostatnie mycie i niebieskie płatki zostawiały przyjemny, delikatny zapach. Pobliski teren i roślinność były tak znajome, że Ayla była pewna, iż znajdzie znane jej rośliny do umycia się, ale przyjemnie ją zaskoczyło znalezienie zarówno mydlnicy, jak prusznika w drodze po kosze i włók.

Zatrzymali się na chwilę przy koniach i Ayla obiecała sobie, że spędzi później trochę czasu na czesaniu Whinney, częściowo, żeby zobaczyć stan jej sierści, a częściowo dla poczucia bezpieczeństwa.

- Czy zostało trochę tych pieniających się kwiatów? - spytał Jondalar.

- Tam, na kamieniu koło Wilka - odpowiedziała Ayla - ale to już resztki. Możemy nazbierać więcej następnym razem. Miło będzie również trochę ususzyć i zabrać ze sobą. - Zanurzyła głowę, żeby splukać włosy.

- Tutaj jest kilka skór, żebyście się mogli wytrzeć - odezwała się Tholie, podchodząc do stawu. Na ramieniu niosła kilka miękkich, żółtych skór.

Ayla nie zauważyła, kiedy kobieta się zbliżyła. Przybyła starała się trzymać tak daleko od Wilka, jak to tylko było możliwe, i okrążyła go, nadchodząc z drugiej strony. Mała, trzylub czteroletnia dziewczynka, która szła za nią, złapała teraz nogę matki i wpatrywała się w obcych okrągłymi oczyma, z palcem w buzi.

- Zostawiłam dla was coś do przegryzienia - powiedziała Tholie, kładąc skórzane ręczniki.

Jondalar i Ayla dostali poślanie wewnątrz domostwa, którego ona i Markeno używali, kiedy byli na łądzie. To była ta sama chata, którą dzielili z Thonolanem i Jetamio, i Jondalar przeżył na początku kilka trudnych chwil, rozpamiętując tragedię, która spowodowała odejście brata i w rezultacie jego śmierć.

- Ale nie zepsujcie sobie apetytu - przestrzegła ich Tholie. - Dzisiaj będzie wielka uczta na cześć powrotu Jondalara. - Nie dodała, że jest to również uczta na cześć Ayli za pomoc udzieloną Roshario. Kobieta nadal spała i nikt nie chciał wyzywać losu przez mówienie o tym głośno, zanim było pewne, że się obudzi i wyzdrowieje.

- Dziękuję, Tholie. Za wszystko - powiedział Jondalar. Uśmiechnął się do małej dziewczynki. Opuściła głowę i schowała się jeszcze bardziej za matkę, ale nadal zerknęła na Jondalara. - Zniknęły chyba wszystkie resztki czerwieni od tamtego oparzenia. Niczego nie widzę na buzi Shamio.

Tholie podniosła dziewczynkę, żeby Jondalar mógł się jej lepiej przyjrzeć.

- Jak się bardzo uważnie przypatrzysz, to zobaczysz, gdzie było oparzenie, ale prawie się tego nie widzi. Jestem taka wdzięczna, Matka była dla niej łaskawa.

- To takie śliczne dziecko. - Ayla uśmiechnęła się do nich. Patrzyła na małą dziewczynkę ze wzruszeniem. - Taka jesteś szczęśliwa. Chciałabym mieć kiedyś córkę. - Zaczęła wychodzić ze stawu. Woda była odświeżająca, ale za zimna, żeby w niej długo siedzieć. - Powiedziałaś, że na imię ma Shamio?

- Tak, i rzeczywiście jestem szczęśliwa, że ją mam - powiedziała młoda matka i postawiła dziewczynkę na ziemi. Tholie nie umiała oprzeć się komplementowi pod adresem swojego dziecka i uśmiechnęła się ciepło do wysokiej, pięknej kobiety, która jednak nie była tym, za kogo się podawała. Tholie zdecydowała się traktować ją z rezerwą i ostrożnością, dopóki się więcej nie dowie.

Ayla podniosła jedną ze skór i zaczęła się wycierać.

- To jest takie miękkie i przyjemne w dotyku - powiedziała, po czym owinęła się w skórę. Podniosła drugą, żeby wytrzeć włosy, i zawiązała ją wokół głowy. Zobaczyła, że Shamio obserwuje Wilka, nadal ucieszona matki, ale najwyraźniej bardzo zadowolona. Wilk interesował się nią także, skracając się z ochoty do zabawy, ale siedział grzecznie, gdzie mu kazano. Przywołała zwierzę do siebie, uklękła i objęła je ramieniem.

- Czy Shamio chciałaby poznać Wilka? - Ayla skierowała to pytanie do dziewczynki. Kiedy kiwnęła główką, Ayla spojrzała na matkę, czy ta się zgadza. Tholie patrzyła ze strachem na wielkie zwierzę z ostrymi zębami. - Nie zrani jej, Tholie. Wilk kocha dzieci. Wyrósł z dziećmi Obozu Lwa.

Shamio puściła już matkę i zrobiła jeden nieśmiały krok w ich kierunku, zafascynowana stworzeniem, które patrzyło na nią z równą uwagą. Dziecko spoglądało poważnymi oczyma, bez cienia uśmiechu, a Wilk skomlał radośnie. Postawiła wreszcie jeszcze jeden krok i wyciągnęła do niego obie ręce. Tholie zachłysnęła się, ale ten dźwięk utonął w chichotach Shamio, kiedy Wilk polizał jej buzię. Odepchnęła liżący jeźor, chwyciła za futro, straciła równowagę i upadła na niego. Wilk czekał cierpliwie, aż dziewczynka wstanie, i znowu polizał jej buzię, co wywołało kolejny chichot zachwytu.

- Chodź, lik - powiedziała dziewczynka, łapiąc go za futro na karku i ciągnąc, żeby poszedł za nią, już go uważając za swoją własną żywą zabawkę.

Wilk spojrzał na Aylę i szczerknął krótko. Jeszcze nie dała mu sygnału, że jest wolny.

- Możesz iść z Shamio, Wilku. - Dała mu znak, na który czekał. Mogłaby niemal uwierzyć, że w jego spojrzeniu malowała się wdzięczność, a nie było żadnych wątpliwości co do jego zachwytu z powodu pozwolenia na pójście z dzieckiem.

Nawet Tholie się uśmiechnęła.

Jondalar wycierał się i z zainteresowaniem obserwował tę scenę. Wziął swoje ubranie i razem z obydwoma kobietami poszedł w kierunku nawisu z piaskowca. Tholie na wszelki wypadek nie spuszczała wzroku z Shamio i Wilka, ale oswojone zwierzę ją także intrygowało. I nie ją jedną. Wielu ludzi obserwowało dziewczynkę i Wilka. Kiedy trochę starszy od Shamio chłopczyk podszedł do nich, powitało go mokre zaproszenie do wspólnej zabawy. W tym momencie dwoje innych dzieci wyszło z jednego z pomieszczeń, kłócąc się o jakiś drewniany

przedmiot. Mniejsze dziecko rzuciło go przed siebie, żeby to drugie go nie dosięgło, co Wilk uznał za sygnał, że chcą się bawić w jego ulubioną zabawę. Popędził za naciętym patykiem, przyniósł go z powrotem i położył na ziemi przed dzieckiem. Ozór miał wywieszony, machał ogonem i był gotów do dalszej zabawy. Chłopiec podniósł patyk i rzucił znowu.

- Masz rację, on się z nimi bawi. Musi lubić dzieci - stwierdziła Tholie. - Ale dlaczego miałyby lubić zabawę? Przecież to wilk!

- Wilki i ludzie są pod pewnymi względami podobni - odparła Ayla. - Wilki lubią zabawę. Kiedy są małe, rodzeństwo w miocie się bawi, a na wpół dorosłe i nawet całkiem dorosłe wilki uwielbiają igrać ze szczeniakami. Wilk nie miał żadnego rodzeństwa, kiedy go znalazłam. Tylko on został, a zaledwie otwierały mu się ślepka. Nie wyrósł w wilczym stadzie, wyrósł, bawiąc się z dziećmi.

- Ale spójrz na niego. Jest taki wyrozumiały, taki łagodny. Jestem pewna, że kiedy Shamio ciągnie go za sierść, musi to boleć. Dlaczego się na to zgadza? - pytała Tholie, próbując zrozumieć.

- Dla dorosłego wilka łagodne obchodzenie się ze szczeniakami stada jest naturalne, więc nie było trudno go tego nauczyć. Jest wyjątkowo łagodny wobec małych dzieci i niemowląt i od nich przyjmie niemal wszystko. Nie uczyłam go tego, on taki właśnie jest. Jeśli obchodzą się z nim zbyt brutalnie, odchodzi, ale potem wraca. Nie zniesie tego samego od starszych dzieci i wydaje się odróżniać, kiedy któreś robi mu krzywdę niechcący, a kiedy umyślnie. Nigdy nikogo nie zranił, ale potrafi uszczypnąć - takie lekkie przygryzienie zębami - żeby przypomnieć starszemu dziecku, które szarpie go za ogon albo wyrywa sierść, że pewne rzeczy sprawiają ból.

- Sam pomyśl, żeby ktokolwiek, a już szczególnie dziecko nawet zamarzyło o szarpaniu wilka za ogon, jest trudny do wyobrażenia... albo byłby, do dzisiaj - zauważyła Tholie. - A ja nie wierzyłabym, że dożyję dnia, w którym Shamio będzie się bawić z wilkiem. Dałaś... kilku ludziom dużo do myślenia, Aylo... Aylo z Mamutoi. - Tholie chciała powiedzieć więcej, zadać więcej pytań, ale nie chciała przecież oskarżać jej o kłamstwo, nie po tym, co zrobiła dla Roshario, a przynajmniej co wydawało się, że zrobiła. Nikt nie wiedział jeszcze tego na pewno. Ayla wyczuwała ostrożność Tholie i było jej przykro. Powodowało to pewne nieokreślone napięcie między nimi, a podobała jej się ta niska, pulchna kobieta Mamutoi. Przeszły kilka kroków w milczeniu, obserwując Wilka z Shamio i innymi dziećmi, i Ayla znowu pomyślała, że bardzo chciałaby mieć takie dziecko jak córka Tholie... córkę tym razem, nie syna. Była tak śliczną małą dziewczynką i imię świetnie do niej pasowało.

- Shamio to piękne imię, Tholie, i niezwykle. Brzmi jak imię Sharamudoi, ale także jak imię Mamutoi - powiedziała Ayla.

Tholie znowu nie umiała powstrzymać uśmiechu.

- Masz rację. Nie wszyscy o tym wiedzą, ale to właśnie próbowałam osiągnąć. Gdyby była Mamutoi, nazywałaby się Shamie, chociaż nie znalazłabyś pewnie takiego imienia w żadnym obozie. Pochodzi z języka Sharamudoi, a więc jej imię jest w obu językach. Teraz jestem Sharamudoi, ale urodziłam się przy Ognisku Jelenia, linii o wysokim statusie. Moja matka upierała się przy wysokiej Cenie Panny Młodej za mnie od ludzi Markena, chociaż on nie jest Mamutoi. Shamio może być równie dumna ze swojego pochodzenia z Mamutoi, co z dziedzictwa Sharamudoi. Dlatego chciałam zawrzeć oba w jej imieniu.

Tholie umilkła, jakby coś sobie uświadomiła. Odwróciła się i spojrzała na gościa.

- Ayla to także niezwykle imię. Przy którym ognisku się urodziłaś? - zapytała i pomyślała: Dobrze, teraz chciałabym usłyszeć, jak wytłumaczysz to imię.

- Nie urodziłam się wśród Mamutoi, Tholie. Zostałam adoptowana przez Ognisko Mamuta - odpowiedziała Ayla, zadowolona, że kobieta wreszcie zadała pytanie, które ją najwyraźniej niepokoiło.

Tholie była pewna, że przyłapała tę kobietę na kłamstwie.

- Ognisko Mamuta nie adoptuje ludzi - oznajmiła z pewnością w głosie. - To jest Ognisko Mamutów, szamanów. Ludzie, którzy wybierają drogi duchów, mogą być zaakceptowani przez Ognisko Mamuta, ale nie są adoptowani.

- Tak jest normalnie, Tholie, ale Ayla została adoptowana - wtrącił się Jondalar. - Byłem przy tym. Talut miał ją zaadoptować do Ogniska Lwa, ale Mamut zaskoczył wszystkich i przyjął ją do Ogniska Mamuta jako swoją córkę. Widział w niej coś; dlatego zaczął ją uczyć. Twierdził, że urodziła się przy Ognisku Mamuta, niezależnie od tego, czy urodziła się jako Mamutoi.

- Zaadoptowana do Ogniska Mamuta? Z zewnątrz? - powiedziała zdziwiona Tholie, ale nie wątpiła w słowa Jondalara. W końcu przecież znała go, był powinowatym, ale była jeszcze bardziej zaciekawiona. Teraz, kiedy już nie czuła się tak skrępowana i zmuszona do ostrożności, jej naturalna, prostolinijna ciekawość wzięła górę. - A gdzie jesteś urodzona, Aylo?

- Nie wiem, Tholie. Moi ludzie zginęli w trzęsieniu ziemi, kiedy byłam dzieckiem niewiele starszym od Shamio. Wychował mnie klan.

Tholie nigdy nie słyszała o żadnych ludziach zwanych klanem. To musi być któryś z tych wschodnich szczepów - pomyślała. To by dużo wyjaśniało. Nic dziwnego, że ma taki dziwny akcent, chociaż mówi bardzo dobrze jak na kogoś z zewnątrz. Ten Mamut z Obozu Lwa to mądry starzec. Zdawało się, że zawsze był stary. Nawet kiedy była dziewczynką, nie było nikogo, kto pamiętał go młodym, i nikt nie wątpił w jego wnikliwość.

Wiedziona naturalnym odruchem matki, Tholie rozejrzała się za swoim dzieckiem. Zobaczywszy Wilka, raz jeszcze pomyślała, jakie to dziwne, że zwierzę może chcieć towarzystwa

ludzi. Potem spojrzała w drugą stronę, na konie, które spokojnie i z zadowoleniem pasły się na polu, tak blisko ich przestrzeni mieszkalnej. To, że Ayla panowała nad zwierzętami, było nie tylko zdumiewające, lecz i interesujące ze względu na ich przywiązanie do niej. Wilk wydawał się ją uwielbiać. I wystarczy spojrzeć na Jondalara. Jest w sposób oczywisty oczarowany tą piękną blondynką, a Tholie nie sądziła, że powodem tego jest wyłącznie uroda. Serenio także była piękna i ogromnie wiele atrakcyjnych kobiet robiło wszystko, by go zainteresować poważnym związkiem. Najbliższy był swojemu bratu i Tholie przypomniała sobie, jak się zastanawiała, czy jakakolwiek kobieta dotrze do jego serca, ale tej dziewczynie to się udało. Nawet bez umiejętności uzdrowicielki wydawała się mieć jakieś niezwykle przymioty. Stary Mamut miał rację. Przynależność do Ogniska Mamuta była jej prawdopodobnie przeznaczona.

W chacie Ayla rozczesała włosy, związała je z tyłu kawałkiem skórzanego paska i nałożyła czystą tunikę oraz krótkie spodnie, które trzymała nie używane na wypadek spotkania ludzi, żeby nie musiała składać wizyty w poplamionym ubraniu podróżnym. Potem poszła sprawdzić stan Roshario. Uśmiechnęła się do Darvala, który siedział apatycznie przed domem, skinęła głową w kierunku Dolanda i podeszła do leżącej na pościeli kobiety.

Zbadała ją pobieżnie, tylko żeby się upewnić, iż wszystko jest w porządku.

- Czy powinna nadal spać? - spytał Dolando, marszcząc z niepokoju czoło.

- Wszystko jest, jak trzeba. Jeszcze pośpi przez dość długi czas. - Ayla spojrzała na swoją torbę znachorską, ale zdecydowała, że to dobra pora na zebranie świeżych ziół na orzeźwiający napój, który pomoże wyprowadzić Roshario ze spowodowanego bieluniem snu, kiedy istotnie zacznie się budzić. - Widziałam lipę, kiedy szliśmy tutaj. Chcę zerwać trochę kwiatów na herbatę dla niej oraz inne zioła, jeśli je znajdę. Jeśli Roshario obudzi się, zanim wrócę, możesz jej dać trochę wody. Będzie oszołomiona i trochę będzie jej się kręciło w głowie. Łubki powinny trzymać jej ramię prosto, ale i tak nie pozwól jej się dużo poruszać.

- Czy znajdziesz drogę? - spytał Dolando. - Może powinnaś wziąć ze sobą Darva.

Ayla była pewna, że znalezienie drogi nie sprawi jej żadnych kłopotów, lecz postanowiła zabrać ze sobą chłopca. Niepokojąc się stanem Roshario, wszyscy o nim trochę zapomnieli, a również on był o nią niespokojny.

- Dziękuję, wezmę go.

Darvalo, który słyszał tę wymianę zdań, stał już gotowy do drogi, zadowolony, że się do czegoś przyda.

- Chyba wiem, gdzie rośnie lipa - odezwał się. - O tej porze roku jest tam zawsze mnóstwo pszczół.

- To jest najlepsza pora na zbieranie kwiatów, pachną jak miód. Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć jakiś koszyk, w którym będę je mogła przynieść?

- Roshario trzyma swoje kosze tutaj, z tyłu - powiedział Darvalo, pokazując Ayli przestrzeń składową z tyłu chaty. Wybrali stamtąd parę koszy.

Kiedy wyszli spod nawisu, Ayła zobaczyła, że obserwuje ją Wilk, i przywołała go. Nie chciała jeszcze zostawiać go samego z ludźmi, chociaż dzieci narzekały, kiedy odszedł. Później, gdy wszyscy zapoznają się ze zwierzętami, może będzie inaczej.

Jondalar był na polu z końmi i dwoma mężczyznami. Ayła podeszła do nich, żeby mu powiedzieć, dokąd idzie. Wilk pobiegł naprzód i wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć, jak potarli się z Whinney nosami, a kobyła zarżała na powitanie. Potem Wilk przybrał pozycję zapraszającą do zabawy i pisnął jak szczeniak do młodego ogiera. Zawodnik z parsknięciem uniósł łeb i uderzył kopytami w ziemię, odwzajemniając gest. Kobyła podeszła do Ayli i położyła jej łeb na ramieniu. Ayła objęła jej kark i opierały się o siebie w znajomej postawie pociechy i bezpieczeństwa. Zawodnik postąpił kilka kroków w ich kierunku, dotknął obu pyskiem, również szukając bliskości. Objęła jego kark, potem go poklepała i pogłaskała, zdając sobie sprawę z tego, że w miejscu, w którym było tylu obcych, zwierzęta cieszyły się na widok znajomej postaci.

- Chciałbym cię przedstawić, Aylo - powiedział Jondalar. Zwróciła się do obu mężczyzn. Jeden był niemal tak wysoki jak Jondalar, ale szczuplejszy, drugi był niższy i starszy, niemniej jednak byli do siebie uderzająco podobni. Niższy mężczyzna wystąpił pierwszy z wyciągniętymi rękami.

- Aylo z Mamutoi, to jest Carlono, przywódca Ramudoi.

- W imieniu Mudo, Matki Wszystkiego w wodzie i na lądzie, witam cię, Aylo z Mamutoi - powiedział Carlono, ujmując jej rękę. Mówił mamutoi nawet lepiej niż Dolando, dzięki wielu wyprawom handlowym do ujścia Wielkiej Matki Rzeki, jak również naukom Tholie.

- W imieniu Mut dziękuję za twoje powitanie, Carlono z Sharamudoi - odpowiedziała.

- Musisz wkrótce przyjść do naszej przystani - ciągnął Carlono. Zwrócił uwagę na dziwny akcent Ayli. Nigdy takiego akcentu nie słyszał, a słyszał wiele. - Jondalar mi powiedział, że obiecał ci przejażdżkę prawdziwą łodzią, a nie tą dużą miską Mamutoi.

- Bardzo bym chciała - przyznała Ayła i promiennie się do niego uśmiechnęła.

Carlono zapomniał natychmiast o jej dziwnej wymowie i patrzył na nią z zachwytem. Kobieta, którą Jondalar przyprowadził, to prawdziwa piękność. Uznał, że pasuje do niego.

- Jondalar opowiadał mi o waszych łodziach i o polowaniu na jesiotry - mówiła dalej Ayła.

Obaj mężczyźni roześmiali się, jakby powiedziała jakiś dowcip, i spojrzeli na Jondalara, który także się uśmiechał, ale miał lekko zaczerwienione policzki.

- Czy opowiedział ci, jak upolował połowę jesiotra? - spytał wysoki, młody mężczyzna.

- Aylo z Mamutoi - przerwał mu Jondalar - to jest Markeno z Ramudoi, syn ogniska Carlona i towarzysz życia Tholie.

- Witaj, Aylo z Mamutoi - odezwał się Markeno, wiedząc, że już wiele razy została powitana właściwą formułą. - Czy spotkałaś Tholie? Będzie zadowolona, że tu jesteś. Czasami tęskni za swoimi krewniakami. - Mówił niemal bezbłędnie językiem swojej towarzyszki życia.

- Tak, spotkałam ją. I Shamio także. To śliczna mała dziewczynka.

Markeno rozpromienił się.

- Też tak uważam, chociaż człowiek nie powinien mówić tego o córce własnego ogniska. - Potem zwrócił się do chłopca: - Jak się czuje Roshario, Darvo?

- Ayła nastawiła jej ramię. Jest uzdrowicielką.

- Jondalar powiedział nam, że nastawiła poprawnie złamanie - Carlono zachował rezerwę. Wołał poczekać i zobaczyć, jak się ramię zaleczy.

Ayła zauważyła rezerwę przywódcy Ramudoi, ale uznała, że w tych okolicznościach jest to zrozumiałe. Niezależnie od ich ciepłych uczuć wobec Jondalara ona była przecież obca.

- Idę razem z Darvałem, żeby nazbierać ziół, jakie widziałam po drodze tutaj - powiedziała.

- Roshario nadal śpi, ale chcę zrobić jej specjalny napój, kiedy się zbudzi. Dolando jest z nią. Nie podoba mi się także wygląd oczu Zawodnika. Później poszukam więcej tych białych roślin, żeby mu pomóc, ale nie chcę teraz na to tracić czasu. Mógłbyś spróbować przemyć je zimną wodą. - Uśmiechnęła się do wszystkich, dała sygnał Wilkowi, kiwnęła na Darvala i poszła ku krawędzi polany.

Widok ze ścieżki przy końcu ściany skalnej był nie mniej wspaniały, niż kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Patrzyła w dół z zapartym tchem i nie mogła oderwać wzroku. Darvalo prowadził i była z tego zadowolona, bo pokazał jej drogę na skróty. Wilk badał otoczenie ścieżki i z przejściem pędził za intrygującymi woniami, ale potem ich doganiał. Pierwszych kilka razy nagłe pojawienie się Wilka przestraszyło chłopca, ale w trakcie drogi Daryalo zaczął się przyzwyczajać do jego zniknięć i pojawień.

Duża, stara lipa oznajmiła im o swojej obecności na długo, zanim do niej doszli silnym zapachem przypominającym miód i brzęczeniem pszczoł. Drzewo wyłoniło się za zakrętem ścieżki i zobaczyli źródło słodkiego zapachu - małe, zielonożółte kwiaty zwisające z podłużnych, skrzydlatych przylistków. Pszczoły były tak zajęte zbieraniem nektaru, że nie zwracały uwagi na ludzi, którzy im przeszkadzali, chociaż kobieta musiała wytrząsnąć kilka owadów ze ściętych kwiatów. Poleciały po prostu z powrotem na drzewo i znalazły inne kwiaty.

- Dlaczego to jest dobre dla Roshario? - spytał Darvalo. - Ludzie zawsze przecież robią lipową herbatę.

- Smaczna jest, prawda? Ale jest także pomocna. Jeśli jesteś zmartwiony, zdenerwowany, czy nawet zły, bardzo uspokaja. Ożywia cię, kiedy jesteś zmęczony. Może przepędzić ból głowy i uspokoić zaburzenia żołądka. Roshario będzie odczuwała wszystkie te dolegliwości z powodu tego napoju, jaki jej dałam na sen.

- Nie wiedziałem, że może tyle zrobić - powiedział chłopiec, patrząc na znajome, rozłożyste drzewo z gładką, ciemną korą, pełen podziwu, że coś tak zwykłego może mieć tyle niezwykłych właściwości.

- Jest jeszcze jedno drzewo, które chciałabym znaleźć, ale nie znam jego nazwy w mamutoi - ciągnęła Ayla. - To małe drzewo, czasami rośnie jak krzak. Ma ciernie i liście są uformowane trochę jak dłoń z palcami. Ma kępki białych kwiatów wcześniej latem, a o tej porze roku okrągłe, czerwone owoce.

- Nie chodzi ci o różę?

- Nie, ale dobrze zgadłeś, jesteś blisko. To, czego szukam, jest na ogół większe niż krzaki róży, ale kwiaty ma mniejsze i inne liście.

Darvalo zmarszczył czoło w skupieniu i nagle się uśmiechnął.

- Chyba wiem, o co ci chodzi, kilka rośnie niedaleko. Wiosną zawsze zrywamy pączki liści i jemy je, kiedy tam chodzimy.

- Tak, to brzmi, jakby to było to. Możesz mnie tam zaprowadzić?

Wilka nie było w polu widzenia, więc Ayla gwizdnęła. Pojawił się niemal natychmiast i spojrzał na nią z entuzjastycznym oczekiwaniem. Dała mu znak, żeby poszedł z nimi. Przeszli niewielki dystans i doszli do zarośli głogu.

- Właśnie tego szukałam, Darvalo! - ucieszyła się Ayla. - Nie byłam pewna, czy wystarczająco jasno je opisałam.

- A jakie to ma działanie? - spytał, kiedy zbierali owoce i trochę liści głogu.

- To jest na serce, wzmacnia je, stymuluje i powoduje mocniejsze uderzenia, ale jest łagodne, dobre na zdrowe serce. To nie jest dla kogoś o chorym sercu, kto potrzebuje silnego leku - wyjaśniała Ayla, starając się znaleźć słowa, żeby chłopiec zrozumiał to, co ona wiedziała z obserwacji i doświadczenia. Nauczyła się tego od Izy w języku, który był bardzo trudny do przetłumaczenia. - Jest także dobre do mieszania z innymi lekami. Wzmacnia je, sprawia, że lepiej działają.

Darvalo uznał, że zbieranie roślin z Ayla to pouczające zajęcie. Wiedziała o tylu rzeczach, o których nikt inny nie miał pojęcia, i wszystko mu wyjaśniała. W drodze powrotnej zatrzymała się przy nasłonecznionym, suchym zbocz i nacięła mile pachnące, purpurowe kwiaty hyzopu.

- A do czego jest to? - spytał.

- Oczyszcza piersi, pomaga oddychać. A to - powiedziała, zrywając kilka miękkich, pokrytych puszkami liści Jastrzębca, który rósł w pobliżu - wzmacnia wszystko. Jest mocniejsze i ma dość niemiły smak, więc wezmę tylko trochę. Chcę jej dać coś smacznego do wypicia, ale to pomoże rozjaśnić jej umysł, pozwoli poczuć się różnie.

W drodze powrotnej Ayla zatrzymała się jeszcze raz i narwała duży bukiet ładnych, różowych goździków. Darvalo spytał, do czego one służą, i spodziewał się, że się dowie jeszcze trochę o uzdrowicielstwie.

- Dają tylko ładny zapach i słodki, korzenny smak. Wezmę trochę do herbaty, a resztę wstawię do wody przy jej posłaniu, żeby jej było przyjemnie. Kobiety lubią ładne, miło pachnące rzeczy, Darvalo, szczególnie kiedy są chore.

Uznał, że on też lubi ładne, miło pachnące rzeczy, takie jak na przykład sama Ayla. Podobał mu się sposób, w jaki się do niego zwracała i zawsze mówiła: Darvalo, a nie Darvo, tak jak wszyscy inni. Nie przeszkadzało mu, kiedy tak go nazywał Dolando albo Jondalar, ale miło było słyszeć w jej ustach swoje dorosłe imię. Jej głos też był przyjemny, chociaż niektóre słowa wymawiała trochę śmiesznie. Jednak to tylko sprawiało, że się zwracało uwagę na to, co mówiła, a po chwili również na jej głos. Kiedyś pragnął najbardziej, żeby Jondalar połączył się z jego matką i został z Sharamudoi. Towarzysz życia jego matki zmarł, kiedy Darvalo był jeszcze bardzo mały, i nigdy nie mieszkali z żadnym mężczyzną, dopóki nie przyszedł wysoki Zelandończyk. Jondalar traktował go jak syna swojego ogniska - zaczął nawet uczyć go pracy w krzemieniu - i Darvalo czuł się bardzo dotknięty, kiedy odszedł. Marzył o tym, że Jondalar wróci, ale właściwie się tego nie spodziewał. Kiedy jego matka odeszła z mężczyzną Mamutoi, Gulekiem, był pewien, że nawet jeśli Jondalar wróci, to nie będzie miał powodu zostać. Ale teraz, kiedy przyszedł i przyprowadził ze sobą inną kobietę, jego matka nie musi tu być. Wszyscy lubili Jondalara, a od wypadku Roshario wszyscy mówili o tym, jak bardzo potrzebny jest uzdrowiciel. Był pewien, że Ayla jest dobrą uzdrowicielką. Dlaczego oboje nie mieliby zostać?

- Zbudziła się raz - powiedział Dolando w momencie, w którym Ayla weszła do chaty. - A przynajmniej tak mi się zdaje. Może tylko rzucała się we śnie. Uspokoiła się i znowu śpi.

Czuł ulgę na jej widok, ale nie zamierzał tego okazywać. Inaczej niż Talut, który był całkowicie otwarty i przyjacielski; jego przywództwo opierało się na sile charakteru, umiejętności słuchania, akceptowania różnic i wypracowywania kompromisów... oraz na głosie dość donośnym,

by zdobyć uwagę hałaśliwej grupy w samym środku gorącej kłótni... Dolando przypominał jej bardziej Bruna. Był powściągliwszy i chociaż umiał słuchać i ostrożnie rozważał sytuację, nie lubił ujawniać swoich uczuć. Ayla miała jednak wprawę w interpretowaniu subtelných sygnałów takich mężczyzn.

Wilk wszedł razem z nią i poszedł do kąta, jeszcze zanim dała mu znak. Odstawiła kosz z ziołami, żeby sprawdzić stan Roshario, i powiedziała zaniepokojonemu mężczyźnie:

- Ona się wkrótce zacznie budzić, ale powinno starczyć mi czasu na przygotowanie specjalnej herbaty, by ją wypić, gdy się ocknie.

Dolando poczuł zapach kwiatów, gdy tylko Ayla weszła, a parujący płyn, który z nich przyrządziła, miał ten sam kwiatowy aromat. Przyniosła kubek również dla niego.

- Na co to jest? - spytał.

- Zrobiłam to, żeby pomóc Roshario obudzić się, ale ty też może uznasz, że jest odświeżające.

Pociągnął mały łyk, spodziewając się lekkiego wywaru z kwiatów, i zdumiał go nieco słodki, silny smak płynu.

- To jest smaczne! - powiedział. - Co w tym jest?

- Zapytaj Darvala. Myślę, że ci z przyjemnością opowie. Mężczyzna skinął głową, rozumiejąc aluzję.

- Powinienem być bardziej się nim zająć. Tak się martwiłem o Roshario, że nie myślałem o niczym innym, a jestem pewien, że on też się o nią niepokoi.

Ayla uśmiechnęła się. Zaczynała rozumieć przymioty, które uczyniły go przywódcą grupy. Podobała jej się bystrość jego umysłu i szybko zaczynała go lubić. Roshario poruszyła się i ich uwaga nagle skupiła się na niej.

- Dolando? - odezwała się słabym głosem.

- Jestem tutaj - odpowiedział, a czułość w jego głosie wywołała ucisk w gardle Ayli. - Jak się czujesz?

- Trochę mi się w głowie kręci i miałam najdziwniejsze sny.

- Mam coś do picia dla ciebie. - Kobieta skrzywiła się, pamiętając poprzedni napój, który dostała. - Ten ci powinien smakować. Masz, powąchaj - powiedziała Ayla i podniosła kubek tak, że jego wspaniały zapach był tuż koło jej nosa. Grymas zniknął z twarzy kobiety. Uzdrowicielka uniosła głowę Roshario i przyłożyła kubek do jej warg.

- To jest smaczne - stwierdziła Roshario po kilku łykach, a potem wypić wszystko. Położyła się z powrotem i przymknęła oczy, ale nagle je znowu otworzyła. - Moje ramię! Co z moim ramieniem?

- A co czujesz? - spytała Ayla.

- Trochę boli, ale nie za mocno i inaczej niż przedtem. Pozwól mi zobaczyć. - Wykręciła szyję, żeby spojrzeć na ramię, a potem spróbowała usiąść.

- Pomogę ci - powiedziała Ayla i podtrzymała ją.

- Jest proste! Moje ramię wygląda, jak trzeba. Zrobiłeś to! - wykrzyknęła kobieta. Kiedy się znowu położyła, miała łzy w oczach. - Teraz nie będę beużyteczną starą kobietą.

- Może nie będziesz w nim miała pełnej władzy, ale jest właściwie zestawione i ma szansę na wyleczenie się.

- Dolando, to przecież nie do wiary. Teraz wszystko będzie dobrze... - Łkała, ale były to łzy radości i ulgi.

ROZDZIAŁ 17

- Ostrożnie teraz - powiedziała Ayla, pomagając Roshario przesunąć się w kierunku Jondalara i Markena, którzy stali pochyleni przy posłaniu po obu jej stronach. - Temblak podtrzyma ci ramię, ale musisz je mieć blisko ciała.

- Pewna jesteś, że może wstać tak szybko? - spytał pełen niepokoju Dolando.

- Ja jestem pewna - odpowiedziała Roshario. - Już i tak zbyt długo leżałam na posłaniu. Nie chcę stracić obchodów powitania Jondalara.

- O ile tylko zanadto się nie zmęczy, to prawdopodobnie pobyt z ludźmi dobrze jej zrobi - zawyrokowała Ayla. Zwróciła się do Roshario: - Ale niezbyt długo. Teraz najlepszym uzdrowicielem jest odpoczynek.

- Chcę po prostu zobaczyć dla odmiany szczęśliwych ludzi. Za każdym razem, kiedy przychodzili mnie odwiedzić, widać było, jak im mnie żal. Chcę, by wiedzieli, że wyzdrowieję - powiedziała kobieta, przesuając się z posłania w czekające ramiona dwóch młodych mężczyzn.

- Ostrożnie teraz, uważaj na temblak - ostrzegła Ayla. Roshario zdrowym ramieniem objęła kark Jondalara. - Dobrze, razem, podnieście ją.

Mężczyźni wstali, trzymając między sobą kobietę, i przesunęli się trochę do przodu, żeby się móc wyprostować pod skośnym dachem chaty. Byli niemal tego samego wzrostu i nieśli ją z łatwością. Chociaż Jondalar był bardziej umięśniony, Markeno był też potężnym młodym mężczyzną. Szczuplejsza budowa ukrywała jego siłę, ale wiosłowanie i walka z olbrzymimi jesiotrami, na które Ramudoi regularnie polowali, zapewniały masę ćwiczeń jego płaskim, twardym mięśniom.

- Jak się czujesz? - spytała Ayla.

- Jakbym fruwała w powietrzu - Roshario uśmiechała się do obu mężczyzn. - Z góry jest inny widok.

- Jesteś więc gotowa?

- Jak wyglądam, Aylo?

- Tholie bardzo dobrze uczesała i ułożyła ci włosy. Uważam, że wyglądasz świetnie - odparła Ayla.

- Lepiej się także poczułam, kiedy umyłyście mnie. Przedtem nie chciało mi się myć ani czesać. To musi znaczyć, że jestem zdrowsza - powiedziała Roshario.

- Częściowo to działanie leku przeciwbólowego, który ci dałam. To przestanie działać. Koniecznie powiedz mi, jak tylko zaczniesz czuć ból. Nie próbuj tego ukrywać. I powiesz mi, kiedy się poczujesz zmęczona, dobrze?

- Na pewno. A teraz jestem gotowa.

”Patrz, kto idzie!” “To Roshario!” “Musi być zdrowsza!” - rozległo się szereg okrzyków, kiedy kobietę wyniesiono z chaty.

- Posadźcie ją tutaj - rzekła Tholie. - Przygotowałam dla niej miejsce.

Kiedyś, w przeszłości, duży kawałek piaskowca odłamał się z nawisu i zarył koło miejsca zgromadzeń. Tholie oparła o niego ławę i pokryła futrami. Mężczyźni zanieśli tam Roshario i ostrożnie ją posadzili.

- Wygodnie ci? - spytał Markeno, kiedy już siedziała na wymoszczonej ławie.

- Tak, tak, wszystko jest dobrze - odpowiedziała Roshario. Nie była przyzwyczajona do takiego zainteresowania.

Wilk szedł za nimi i gdy tylko usiadła, znalazł sobie miejsce i położył się koło niej. Roshario zdziwiła się, ale kiedy zobaczyła sposób, w jaki patrzył na nią, i zauważyła, jak obserwował każdego, kto się do niej zbliżał, miała dziwne, ale wyraźne uczucie, że postanowił ją ochraniać.

- Aylo, dlaczego Wilk kręci się w pobliżu Roshario? Chyba powinnaś mu kazać odejść - powiedział Dolando, zastanawiając się, czego to zwierzę może chcieć od kobiety tak słabej i chorej. Wiedział, że watahy wilcze często polowały na chore, stare albo słabe zwierzęta.

- Nie, nie każ mu odchodzić - zaprotestowała Roshario i zdrową ręką poklepała łeb Wilka. - Nie sądzę, żeby chciał mi zrobić krzywdę, Dolando. Myślę, że się mną opiekuje.

- Też tak myślę, Roshario - przytaknęła Ayła. - W Obozie Lwa był chłopiec, słabe, chorowite dziecko, ale Wilk się do niego szczególnie przywiązał i był bardzo opiekuńczy. Myślę, że on rozumie, iż jesteś słaba, i chce cię ochraniać.

- Czy to nie Rydag? - spytała Tholie. - Ten, którego adoptowała Nezzie, który był... - Przerwała, przypomniawszy sobie nagle silne i irracjonalne uczucia Dolanda. - ...obcy?

Ayła zauważyła jej wahanie i wiedziała, że nie powiedziała tego, co pierwotnie zamierzała. Zastanawiała się dlaczego.

- Nadal jest z nimi? - Tholie była nieco zmieszana.

- Nie. Umarł wczesnym latem, na Letnim Spotkaniu. - Śmierć Rydaga nadal sprawiała Ayli ból i smutek, i to było widać.

Ciekawość Tholie walczyła o lepsze z jej oceną sytuacji; chciała zadać więcej pytań, ale to nie była właściwa pora na rozmowę o tym właśnie dziecku.

- Czy nikt poza mną nie jest głodny? Dlaczego nie zabieramy się do jedzenia?

Kiedy wszyscy się najedli, włącznie z Roshario, która choć niedużo, i tak zjadła więcej niż kiedykolwiek od czasu upadku, ludzie zebrali się wokół ognia z kubkami herbaty lub lekko sfermentowanego wina z mniszka. Nadeszła pora na opowieści, przypominanie sobie przeżytych przygód, dowiedzenie się czegoś więcej o gościach i ich niezwykłych towarzyszach podróży.

Stawili się wszyscy Sharamudoi, poza kilkoma, którzy byli na wyprawach: Shamudoi, którzy przez cały rok żyli na łądzie, na małym płaskowyżu otoczonym górami, i ich żyjący na rzece krewniacy, Ramudoi. Podczas cieplejszych pór roku rzeczni ludzie mieszkali na pływającym pomoście, przycumowanym tuż poniżej, ale zimą przeprowadzali się na wysoki górski taras i dzielili chaty swoich ceremonialnie zaślubionych współtowarzyszy. Podwójne pary były uważane za tak blisko spokrewnione jak towarzysze i dzieci obu rodzin traktowano jak rodzeństwo.

Był to najbardziej niezwykły układ blisko spowinowaconych grup, z jakim Jondalar się spotkał, ale funkcjonował dobrze dzięki związkom pokrewieństwa i wyjątkowej wzajemnej zależności, która była korzystna dla obu stron. Istniało wiele praktycznych i rytualnych więzi między dwiema połowami tego ludu, ale Shamudoi przede wszystkim dostarczali produktów ziemi i bezpiecznego schronienia na zimę, podczas gdy Ramudoi - darów rzeki i sprawnego transportu wodnego.

Sharamudoi traktowali Jondalara jak krewnego, ale był powinowatym tylko przez swojego brata. Kiedy Thonolan zakochał się w kobiecie Sharamudoi, zaakceptował ich sposób życia i postanowił zostać jednym z nich. Jondalar mieszkał z nimi przez dłuższy czas i traktował ich jak rodzinę. Nauczył się żyć jak oni, ale nigdy nie przeszedł przez żaden rytuał, który przyłączyłby go do grupy. Nie był w stanie zrezygnować z więzów ze swoimi własnymi ludźmi i nie chciał na stałe osiedlić się wśród obcych. Jego brat stał się Sharamudoi, ale Jondalar był nadal Zelandoni. Wieczorna rozmowa rozpoczęła się od pytań o jego brata.

- Co stało się po waszym odejściu z Thonolanem? - spytał Markeno.

Jakkolwiek bolesne byłoby wspomnianie o tym, Jondalar wiedział, że Markeno ma prawo wiedzieć. Markeno i Tholie byli współtowarzyszami Thanolana i Jetamio; Markeno był w równie bliskim stosunku pokrewieństwa z Thonolanem co on sam, a on był bratem, zrodzonym z tej samej matki. Pokrótce opowiedział im o podróży w dół rzeki w łodzi, którą dał im Carlono, o kilku niebezpiecznych przygodach, o spotkaniu z Brezie, przywódczynią Mamutoi z Obozu Wierzby.

- Jesteśmy spokrewnione! - wykrzyknęła Tholie. - Ona jest bliską kuzynką.

- Dowiedziałem się o tym później, kiedy mieszkaliśmy w Obozie Lwa, ale była dla nas bardzo dobra, nawet zanim dowiedziała się, że jesteśmy spowinowaceni - powiedział Jondalar. - Dlatego Thonolan postanowił iść na północ i odwiedzić inne Obozy Mamutoi. Mówił o polowaniu

na mamuty razem z nimi. Próbowałem go przekonać, żeby wrócił ze mną. Doszliśmy już do ujścia Wielkiej Matki Rzeki, a zawsze opowiadał, że tam chce dojść. - Przymknął oczy i potrząsał głową, jakby chciał zaprzeczyć faktom, a potem pochylił głowę z rozpaczą. Ludzie czekali, dzieląc jego ból.

- Ale to nie chodziło o Mamutoi. To była tylko wymówka. Po prostu nie mógł przestać rozpaczać za Jetamio. Chciał iść za nią do następnego świata. Powiedział mi, że będzie podróżował, aż Matka go zabierze. Twierdził, że był gotowy, bardziej niż gotowy. Tak bardzo chciał pójść, że ryzykował. Dlatego umarł. A ja też nie byłem uważny. Było głupotą z mojej strony iść za nim, kiedy pogonił lwicę, która zabrała mu zdobycz. Gdyby nie Ayla, umarłbym razem z nim.

Ostatnie zdanie Jondalara podsycało ciekawość ludzi, ale nikt nie chciał zadawać pytań, które zmusiłyby go do dalszego rozpamiętywania swojej rozpacz. Tholie przerwała ciszę.

- Jak spotkałeś Aylę? Czy byliście niedaleko od Obozu Lwa? Jondalar spojrzał na Tholie, a potem na Aylę. Mówił w sharamudoi i nie był pewien, ile z tego zrozumiała. Pragnął, by znała ich język i sama mogła opowiedzieć własną historię. Nie była łatwa do wyjaśnienia, a raczej do takiego wyjaśnienia, żeby w nie można było uwierzyć. Z upływem czasu to wszystko nawet jemu wydawało się nierealne, ale kiedy Ayla opowiadała, łatwiej to było zaakceptować.

- Nie. Nie znaleźliśmy wtedy Obozu Lwa. Ayla mieszkała sama w dolinie wiele dni drogi od Obozu Lwa - powiedział.

- Sama? - spytała Roshario.

- No, nie całkiem sama. Miała w jaskini parę zwierząt, dla towarzystwa.

- Miała drugiego wilka, takiego jak ten? - zaciekała się kobieta, klepiąc Wilka po łbie.

- Nie. Nie miała wtedy Wilka. Znalazła go, jak mieszkaliśmy w Obozie Lwa. Miała Whinney.

- Co to jest Whinney?

- Whinney to koń.

- Koń? Chcesz powiedzieć, że miała także konia?

- Tak. Tego, co tam stoi - powiedział Jondalar, wskazując na stojące na polu konie, których sylwetki odcinały się od zabarwionego na czerwono wieczornego nieba.

Roshario szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, co wywołało uśmiechy u wszystkich. Im minął już początkowy szok, ale ona widziała konie po raz pierwszy.

- Ayla mieszkała z tą parą koni?

- Nie całkiem. Byłem tam, jak urodził się ogier. Przedtem żyła tylko z Whinney i z... lwem jaskiniowym - zakończył Jondalar niemal szeptem.

- I z czym? - Roshario przeszła na swój niedoskonały mamutoi. - Aylo, lepiej opowiedz sama. Jondalar coś chyba płacze. I może Tholie by nam tłumaczyła.

Ayla rozumiała to i owo z wymiany zdań, ale spojrzała na Jondalara, żeby jej przetłumaczył. Wyglądał, jakby mu niezmiernie ulżyło.

- Obawiam się, że nie opowiadałem dobrze, Aylo. Roshario chce to usłyszeć od ciebie. Może im sama opowiesz o życiu w dolinie z Whinney i Maluszkciem i o tym, jak mnie znalazłaś.

- I o tym, dlaczego żyłaś sama w dolinie - dodała Tholie.

- To jest długa opowieść - powiedziała Ayla i westchnęła. Ludzie uśmiechnęli się i usadowili wygodniej. To właśnie chcieli usłyszeć, długą, ciekawą, nową opowieść. Ayla łyknęła herbaty i zastanowiła się, od czego zacząć.

- Powiedziała Tholie, że nie pamiętam moich ludzi. Zginęli w trzęsieniu ziemi, kiedy byłam małą dziewczynką. Znalazł mnie i wychował klan. Iza, kobieta, która mnie znalazła, była znachorką, uzdrowicielką, i zaczęła mnie uczyć uzdrawiania, gdy jeszcze byłam bardzo mała.

No cóż, to by tłumaczyło, w jaki sposób tak młoda kobieta może mieć takie umiejętności - myślał Dolando, podczas gdy Tholie tłumaczyła opowieść na sharamudoi.

- Mieszkałam z Izą i jej bratem, Crebem. Jej towarzysz życia umarł w tym samym trzęsieniu ziemi, które zabrało moich ludzi. Creb był jak mężczyzna ogniska. Pomógł mnie wychować. Iza umarła kilka lat temu, ale powiedziała mi przed śmiercią, że powinnam odejść i poszukać moich ludzi. Nie zrobiłam tego, nie mogłam... - Ayla zawahała się i próbowała zdecydować, ile ma powiedzieć. - ...nie wtedy, ale później... umarł Creb... musiałam odejść.

Ayla zrobiła przerwę i napiła się herbaty, a Tholie przekładała jej słowa, trudząc się nieco z dziwnymi imionami. Opowiadanie wzbudziło w Ayli na nowo potężne uczucia, jakie przeżywała wtedy, i potrzebowała trochę czasu, żeby się opanować.

- Próbowałam znaleźć moich własnych ludzi, tak jak mi kazała Iza, ale nie wiedziałam, gdzie szukać. Szukałam przez całą wiosnę aż do środka lata i nikogo nie znalazłam. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek mi się to uda, i byłam już zmęczona podróżowaniem. Wtedy natrafiłam pośrodku suchych stepów na małą, zieloną dolinę, w której była płytka rzeka, a także zaciszna, nieduża jaskinia. Miałam wszystko, co mi było potrzebne... poza ludźmi. Nie wiedziałam, czy kogokolwiek znajdę, ale wiedziałam, że zbliża się zima i jeśli się do niej nie przygotuję, nie przeżyję do wiosny. Zdecydowałam się przezimować w dolinie.

Jej opowieść tak wciągnęła ludzi, że zaczęli komentować, potakiwać, mówić, że tak, że tylko to można było zrobić. Ayla ciągnęła ją dalej: o tym, jak złapała konia w wykopaną pułapkę; jak odkryła, że to karmiąca kobyła, a potem zobaczyła stado hien atakujących małego źrebaka.

- Nie mogłam się powstrzymać - powiedziała. - To było maleństwo i takie bezbronne. Odeгнаłam hieny i zabrałam źrebaka do jaskini. Cieszę się, że to zrobiłam. Rozproszył samotność, którą teraz dawało się znieść. Stał się moim przyjacielem.

Przynajmniej kobiety potrafiły zrozumieć uczucia wobec bezbronnego oseska, nawet jeśli to koński osesek. Sposób, w jaki Ayla to wyjaśniła, wydawał się całkowicie racjonalny, chociaż nikt wcześniej nie słyszał o adoptowaniu zwierząt. Ta opowieść jednak zafascynowała nie tylko kobiety. Jondalar obserwował przysłuchujących się ludzi. Kobiety i mężczyźni byli równie oczarowani i zdał sobie sprawę z tego, że Ayla stała się dobrym gawędziarzem. Nawet on słuchał z ciekawością, a przecież znał tę historię. Przyglądał się Ayli uważnie, próbując zobaczyć, co czyniło ją tak pociągającą, i zauważył, że poza słowami posługuje się subtelnymi, ale wymownymi gestami.

Nie było to świadome, czy też robione dla wywołania jakiegoś specjalnego efektu. Ayla wyrosła, porozumiewając się na sposób klanu, i naturalną kolejną rzeczą posługiwała się gestami na równi ze słowami, ale kiedy po raz pierwszy użyła ptasich świergotów oraz rzeń końskich, zaskoczyła słuchaczy. Kiedy mieszkała sama w dolinie i słyszała tylko dźwięki wydawane przez zwierzęta, nauczyła się je powtarzać z niesłychaną wiernością. Po pierwszym szoku zebrani słuchali zafascynowani. W miarę rozwoju opowieści, szczególnie gdy zaczęła mówić o początkach jazdy na koniu, nawet Tholie nie mogła się doczekać, kiedy skończy tłumaczenie słów Ayli, żeby usłyszeć ciąg dalszy. Młoda kobieta Mamutoi doskonale mówiła w obu językach, ale nie mogła rzeć jak koń czy ćwierkać jak ptaki, to jednak nie było konieczne. Ludzie po części rozumieli Aylę, trochę ze względu na podobieństwo języków, ale także ze względu na jej ekspresyjny sposób wyrażania się. Rozumieli kontekst, w jakim wydawała te dźwięki, i czekali na tłumaczenie Tholie, żeby powiedziała im to, czego nie zrozumieli.

Ayla wyczekiwała słów Tholie z równą niecierpliwością co pozostali, ale z zupełnie innej przyczyny. Od czasu, kiedy zaczął ją uczyć własnego języka, Jondalar był pełen podziwu dla jej zdolności szybkiego uczenia się i zastanawiał się, jak ona to robi. Nie wiedział, że jej zdolności językowe są wynikiem wyjątkowego zbiegu okoliczności. Żeby móc funkcjonować wśród ludzi, którzy korzystali z wiedzy swoich przodków, nagromadzonej od urodzenia w ich olbrzymich mózgach jako rodzaj wyewoluowanej i świadomej formy instynktu, dziewczynka Innych musiała rozwinąć własne zdolności zapamiętywania. Trenowała szybkie zapamiętywanie, żeby pozostali członkowie klanu nie uważali jej za głupią. Zanim została przez nich adoptowana, była normalną, gadatliwą, małą dziewczynką i chociaż straciła większość swojego werbalnego języka, kiedy zaczęła mówić jak klan, wzory mówienia słowami były już w niej utrwalone. Jej namiętna potrzeba ponownego nauczenia się słownego języka, żeby móc porozumieć się z Jondalarem, dodała bodźca

jej naturalnym zdolnościom. Proces uczenia się, który zastosowała wtedy nieświadomie, rozwinął się jeszcze bardziej, kiedy zamieszkała w Obozie Lwa i musiała nauczyć się jeszcze jednego języka. Zapamiętywała słowa po jednym usłyszeniu, chociaż składnia i gramatyka zabierały jej nieco więcej czasu. Język sharamudoi miał gramatykę zbliżoną do mamutoi i wiele podobnych słów. Ayla słuchała uważnie, jak Tholie tłumaczy jej słowa, ponieważ w ten sposób uczyła się ich języka.

Już historia o adoptowaniu żrebaka była fascynująca, ale nawet Tholie musiała przerwać i poprosić Aylę o powtórzenie słów jeszcze raz, kiedy opowiedziała o znalezieniu rannego lwiątko. Może samotność potrafi zmusić kogoś do mieszkania z trawozernym koniem, ale z drapieżnikiem? Dorosły lew samiec osiągał niemal wysokość niedużego stepowego konia, a był znacznie masywniejszy. Tholie chciała wiedzieć, jak ktoś może nawet zastanawiać się nad wzięciem lwiątko.

- Nie był wtedy taki duży, nawet nie taki jak mały wilk, był dzieckiem... i to rannym.

Chociaż Ayla miała zamiar porównać go do mniejszego zwierzęcia, ludzie zerknęli na Wilka, który siedział koło Roshario. Wilk pochodził z północy i był duży nawet jak na swą rasę. Pomysł wzięcia lwa tej wielkości nie wydawał się pociągający.

- Imię, jakie mu nadała, znaczy "maluszek" i tak go nazywała, nawet gdy stał się całkiem dorosły. To był największy maluszek, jakiego ja kiedykolwiek widziałem - powiedział Jondalar, co wywołało śmiech.

Jondalar też się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.

- Też myślałem, że to zabawne, ale dopiero później. Kiedy go zobaczyłem pierwszy raz, nie było w tym nic zabawnego.

Maluszek to lew, który zabił Thonolana i omal nie pozbawił mnie życia. - Dolando znowu spojrzął z niepokojem na Wilka siedzącego obok Roshario. - Czego jednak innego możesz się spodziewać, kiedy włączysz do legowiska lwów? Chociaż widzieliśmy, że lwica odeszła, i nie wiedzieliśmy, że został tam Maluszek, było głupotą tam wchodzić. Jak się okazało, miałem dużo szczęścia, że to był właśnie ten lew.

- Co to znaczy "szczęścia"? - spytał Markeno.

- Byłem ciężko ranny i nieprzytomny, ale Ayla powstrzymała go, zanim mnie zabił - powiedział Jondalar.

Wszyscy zwrócili się z powrotem do kobiety.

- Jak mogła powstrzymać lwa jaskiniowego? - zdziwiła się Tholie.

- Tak samo, jak powstrzymuje Wilka i Whinney - odparł Jondalar. - Powiedziała mu, żeby się zatrzymał, i posłuchał.

Głowy trzęsły się z niedowierzaniem.

- Skąd wiesz, że to zrobiła? Powiedziałeś, że byłeś nieprzytomny! - zawołał ktoś.

Jondalar spojrział na mówcę. To był młody mężczyzna Ramudoi, którego znał, ale niezbyt dobrze.

- Ponieważ widziałem, jak zrobiła to samo później, Rondo. Maluszek przyszedł kiedyś z wizytą, gdy jeszcze nie w pełni wyzdrowiałem. Wiedział, że jestem obcy, a może pamiętał mnie, kiedy razem z Thonolanem wszedłem do jego legowiska. Niezależnie od przyczyny nie chciał mnie w pobliżu jaskini Ayli i natychmiast rzucił się do ataku. Ayła stanęła przed nim i powiedziała mu, żeby przestał. I zatrzymał się. To było niemal śmieszne, sposób, w jaki skulił się w środku skoku, ale wtedy byłem zbyt przerażony, żeby to zauważyć.

- A gdzie teraz jest lew jaskiniowy? - dociekał Dolando, spojrział na Wilka i zastanowił się, czy także lew idzie jej śladami. Nie miał szczególnej ochoty na wizytę Lwa, niezależnie od tego, jak dobrze Ayła potrafiła nad nim panować.

- Wiedzie teraz własne życie - powiedziała Ayła. - Został ze mną, aż dorósł. Potem, jak niektóre dzieci, opuścił mnie, żeby znaleźć towarzyszkę życia, i teraz ma ich pewnie kilka. Whinney także opuściła mnie na trochę, ale wróciła żrebna.

- A co z Wilkiem? Czy myślisz, że też cię kiedyś opuści?

Ayła złapała oddech. To było pytanie, nad którym - jak dotąd - nie chciała się zastanawiać. Wiele razy jej się nasuwało i zawsze je od siebie odpychała, nie chciała go nawet uznać. Teraz było wypowiedziane głośno i domagało się odpowiedzi.

- Wilk był taki mały, kiedy go znalazłam, że chyba wierzy, iż ludzie Obozu Lwa to jego stado - odparła. - Wiele wilków zostaje ze swoimi stadami, ale niektóre odchodzą i stają się samotnikami, aż znajdą innego samotnika na towarzysza życia. Wtedy zakładają nowe stado. Wilk jest nadal młody, niewiele starszy od szczeniaka. Wygląda doroślej, bo jest taki duży. Nie wiem, co zrobi, Tholie, ale czasem się tym martwię. Nie chcę, żeby odszedł.

Tholie przytaknęła.

- Odchodzenie jest trudne, zarówno dla tego, który odchodzi, jak i dla tych, których zostawia - powiedziała, myśląc o własnej, trudnej decyzji opuszczenia swoich ludzi i pójścia z Markenem. - Wiem, bo sama to przeżyłam. Czy nie powiedziałaś, że opuściłaś ludzi, którzy cię wychowali? Jak ich nazywasz? Klan? Nigdy o nich nie słyszałam. Gdzie mieszkają?

Ayła zerknęła na Jondalara. Siedział nieruchomo, pełen napięcia, i miał dziwny wyraz twarzy. O coś się niepokoił i nagle zastanowiła się, czy nadal wstydzi się jej pochodzenia i ludzi, którzy ją wychowali. Sądziła, że przezwyciężył już te uczucia. Ona nie wstydziła się klanu.

Pomimo Brouda i udręki, jaką spowodował, pragnęła do nich wrócić. Z odrobiną gniewu i uczuciem urażonej dumy zdecydowała, że nie zaprze się tych, których kochała.

- Mieszkają na półwyspie nad Morzem Czarnym.

- Na półwyspie? Nie wiedziałam, że na półwyspie mieszkają jacyś ludzie. To jest terytorium płaskogłowych... - Tholie przerwała. To przecież niemożliwe... Czy możliwe?

Nie tylko Tholie rozumiała, co to może oznaczać. Roshario zerknęła ukradkiem na Dolanda, próbując ocenić, czy on także coś skojarzył, ale nie chciała dać po sobie poznać, że zauważyła cokolwiek niezwykłego. Dziwne imiona, które wspomniała, te, które było tak trudno wymówić, czy to mogły być imiona, jakie nadała zwierzętom innego rodzaju? Ale powiedziała przecież, że kobieta, która ją wychowała, nauczyła ją uzdrowicielstwa. Czy mogła mieszkać z nimi jakaś kobieta? Jaka kobieta zdecydowałaby się na życie z nimi, szczególnie uzdrowicielka? Czy Shamud żyłby z płaskogłowymi?

Ayla zauważyła dziwne reakcje kilkorga ludzi, ale kiedy spojrzała na Dolanda i zobaczyła jego wbity w siebie wzrok, poczuła dreszcz strachu. Wydawał się nie tym samym człowiekiem, opanowanym przywódcą, który okazywał taką czułość swojej kobiecie. Nie patrzył na nią z ulgą i wdzięcznością, jaką wywołały jej umiejętności uzdrowicielki, ani nawet z ostrożną akceptacją, jak przy ich pierwszym spotkaniu. Zamiast tego zobaczyła głęboko ukryty ból i narastający dystans; złowrogi, ostry gniew napełniał mu oczy, jak gdyby wzrok miał zaćmiony czerwoną mgłą wściekłości.

- Płaskogłowi! - wybuchnął. - Żyłas z tymi plugawymi, morderczymi zwierzętami! Chciałbym zabić wszystkie. A ty z nimi żyłas. Jaka przyzwoita kobieta może z nimi żyć?

Z zaciśniętymi pięściami ruszył w jej kierunku. Jondalar i Markeno skoczyli, żeby go zatrzymać. Wilk stał przed Roshario z niskim warkotem w gardzieli. Shamio zaczęła płakać, Tholie ją podniosła i opiekuńczo objęła. W normalnej sytuacji nigdy nie obawiałaby się o swoje dziecko w obecności Dolanda, ale w sprawie płaskogłowych nie był racjonalny i przez moment zdawało jej się, że jest w szponach nieopanowanego szaleństwa.

- Jondalarze! Jak śmiałeś przyprowadzić tutaj taką kobietę! - krzyknął Dolando i próbował wyrwać się trzymającym go mężczyznom.

- Dolando! Co ty mówisz? - Roshario próbowała wstać. - Ona mi pomogła! Co za różnica, gdzie się wychowała. Pomogła mi!

Ludzie, którzy zgromadzili się, żeby powitać Jondalara, siedzieli osłupiali i nie wiedzieli, co zrobić. Carlono wstał, żeby pomóc Markenowi i Jondalarowi w uspokojeniu przywódcy.

Ayla także osłupiała. Impulsywna reakcja Dolanda była tak nieoczekiwana, że kobieta nie wiedziała, co począć. Zobaczyła, że Roshario próbuje wstać i odepchnąć na bok Wilka, który stał

przed nią w postawie obronnej, tak zdeorientowany jak wszyscy inni, ale zdecydowany bronić kobiety, którą uznał za swoją podopieczną. Nie powinna wstawać - pomyślała Ayla i pospieszyła ku niej.

- Odejdź od mojej kobiety! Nie chcę, żebyś ją skaziła swoim plugastwem! - krzyczał Dolando, starając się wyrwać przytrzymującym go mężczyznom.

Ayla zatrzymała się. Chociaż pragnęła pomóc Roshario, nie chciała spowodować jeszcze więcej kłopotów z Dolandem. Co się z nim dzieje? - zastanawiała się. Zobaczyła, że Wilk jest gotowy do ataku, i dała mu znak, żeby do niej podszedł. Ostatnią rzeczą, jaka była jej potrzebna, to Wilk raniący kogoś. Wilk najwyraźniej walczył ze sobą. Chciał albo pozostać na miejscu, albo skoczyć do walki, ale nie chciał się wycofywać; a jednak wszystko było tak zagmatwane. Drugiemu gestowi Ayli towarzyszył gwizd i to przeważyło. Podbiegł do niej i w postawie obronnej stanął przed nią.

Chociaż Dolando mówił w sharamudoi, Ayla zrozumiała, że krzyczał coś o płaskogłowych i kierował do niej pełne złości słowa, ale ich znaczenie nie było całkiem jasne. Podczas kiedy stała z Wilkiem i czekała, nagle dotarło do niej znaczenie jego wrzasków i sama zaczęła być zła. Ludzie klanu to nie są plugawi mordercy. Dlaczego myśl o nich doprowadzała go do takiej wściekłości?

Roshario wstała i próbowała podejść do szamoczących się mężczyzn. Tholie podała Shamio komuś, kto stał obok, i pobiegła jej na pomoc.

- Dolando! Dolando, uspokój się! - zawołała Roshario. Zdawało się, że jej głos dotarł do niego. Przestał walczyć, lecz spojrzał ze złością na Jondalara.

- Dlaczego ją tutaj przyprowadziłeś?

- Dolando, czyś ty oszalał? Spójrz na mnie! - Roshario stała przed nim. - Co by się stało, gdyby jej nie przyprowadził? To nie Ayla zabiła Doralda.

Spojrzał na Roshario, jakby po raz pierwszy zobaczył tę słabą, wycieńczoną kobietę z ręką na temblaku. Wstrząsnął się i, jak opadające wody, jego furia opadła.

- Roshario, nie powinnaś być na nogach - powiedział i chciał wyciągnąć do niej rękę, ale mężczyźni nadal go trzymali. - Możesz mnie puścić - zwrócił się do Jondalara tonem zimnego gniewu.

Jondalar puścił go. Markeno i Carlono czekali, póki się nie upewnili, że nie podejmie na nowo walki, ale na wszelki wypadek stali obok.

- Dolando, nie masz powodu złościć się na Jondalara - tłumaczyła Roshario. - Przyprowadził Aylę, ponieważ jej potrzebowałam. Zdenerwowałeś wszystkich, Dolando. Chodź tutaj, usiądź i pokaż im, że jesteś spokojny.

Zobaczyła upór w oczach Dolanda, ale poszedł z nią do ławy i usiadł. Jedna z kobiet przyniosła obojgu herbaty i podeszła do miejsca, gdzie Ayla, Jondalar, Carloni i Markeno stali razem z Wilkiem.

- Chcielibyście trochę herbaty albo wina? - zwróciła się do nich.

- Może masz przypadkiem trochę tego wspaniałego wina z czarnych jagód, Carolio? - spytał Jondalar. Ayla zauważyła jej podobieństwo zarówno do Carlona, jak i Markena.

- Nowe wino jeszcze nie jest gotowe, ale może coś zostało z zeszłego roku. Dla ciebie też? - zapytała Aylę.

- Tak, jeśli Jondalar chce, to ja też spróbuję. Chyba nie spotkałyśmy się przedtem - dodała.

- Nie - odparła kobieta, a Jondalar już chciał wstać i przedstawić je sobie. - Nie musimy dopełniać formalności. Wszyscy wiemy, kim jesteś, Aylo. Na imię mi Carolio i jestem jego siostrą - pokazała na Carlona.

- Widzę... podobieństwo. - Ayla szukała słowa i Jondalar nagle zorientował się, że mówi w sharamudoi. Spojrzał na nią z podziwem. Jak jej się udało tak szybko nauczyć?

- Mam nadzieję, że wybaczysz wybuch Dolanda - powiedziała Carolio. - Syn jego ogniska, syn Roshario, został zabity przez płaskogłowych i on ich wszystkich nienawidzi. Doraldo był młodym mężczyzną, kilka lat starszym od Darva, pełnym energii i fantazji, właśnie zaczynał życie. Dolandowi było bardzo ciężko. Właściwie nigdy się z tym nie pogodził.

Ayla kiwnęła głową, ale zmarszczyła brwi. Klan nie zabijał Innych. Co ten młody człowiek zrobił? - pomyślała. Zobaczyła, że Roshario ją przyzywa. Chociaż spojrzenie Dolanda było nadal niechętne, pospieszyła ku niej.

- Jesteś zmęczona? Może już pora wrócić na posłanie. Boli cię?

- Trochę. Nie bardzo. Położę się wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Chciałam ci tylko powiedzieć, jak mi przykro. Miałam syna...

- Carolio mi powiedziała. Mówi, że został zabity.

- Płaskogłowi... - mruknął Dolando pod nosem.

- Może wszyscy pospieszyliśmy się - rzekła Roshario. - Powiedziałaś, że mieszkałaś z... jakimiś ludźmi na półwyspie?

Nagle zapadła absolutna cisza.

- Tak - odparła Ayla. Spojrzała na Dolanda i głęboko odetchnęła. - Z klanem. Wy nazywacie ich płaskogłowymi, ale oni mówią na siebie: klan.

- Jak? Oni nie mówią! - zawołała jakaś młoda kobieta. Jondalar zobaczył, że siedziała obok Chalona, innego młodego człowieka, którego znał. Ją też znał, ale nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Ayla upредиła jej dalsze słowa:

- Nie są zwierzętami. Są ludźmi i mówią, ale nie mają wielu słów, chociaż kilku używają.

Ich język składa się z gestów i sygnałów.

- Czy to właśnie robiłaś? - spytała Roshario. - Zanim mnie uspiłaś? Myślałam, że tańczysz rękami.

Ayla uśmiechnęła się.

- Rozmawiałam ze światem duchów, prosiłam ducha mojego totemu, żeby ci pomógł.

- Świat duchów? Mowa rękami? Co za bzdura! - Dolando splunął.

- Dolando... - Roshario położyła mu rękę na ramieniu.

- To prawda, Dolando - wtrącił Jondalar. - Ja też się trochę nauczyłem. I cały Obóz Lwa.

Ayla nauczyła nas tego, żebyśmy się mogli porozumiewać z Rydagiem. Wszyscy byli zdziwieni, że mógł mówić w ten sposób, chociaż nie umiał wymawiać słów. Dzięki temu zrozumieli, że nie był zwierzęciem.

- Chodzi ci o tego chłopca, którego wzięła Nezzie? - spytała Tholie.

- Chłopca? Mówisz o tej ohydzie z mieszanych duchów, którą wzięła jakaś zwariowana kobieta Mamutoi.

Ayla wysoko podniosła głowę. Teraz była naprawdę zła.

- Rydag był dzieckiem. Może pochodził ze zmieszanych duchów, ale jak możesz winić dziecko za to, kim jest? Nie postanowił sam, że się taki urodzi. Czy nie mówicie, że to Matka wybiera duchy? Był więc takim samym dzieckiem Matki jak wszyscy inni. Jakie masz prawo nazywać go ohydą?

Ayla patrzyła oburzonym wzrokiem na Dolanda, a wszyscy patrzyli na nią i - zdziwieni tym wystąpieniem - zastanawiali się, jak zareaguje Dolando. Był równie zaskoczony jak wszyscy inni.

- I Nezzie nie jest zwariowana. Jest dobrą, kochającą kobietą, która zaopiekowała się osieroconym dzieckiem i nie zważała na to, co pomyślą inni - ciągnęła Ayla. - Była jak Iza, kobieta, która zajęła się mną, kiedy nikogo nie miałam, chociaż byłam odmienna, byłam jedną z Innych.

- Płaskogłowi zabili syna mojego ogniska! - krzyknął Dolando.

- Tak, ale to nie jest ich zwykle zachowanie. Klan raczej unika Innych - tak nazywają ludzi takich jak my. - Ayla przerwała i spojrzała na mężczyznę, który nadal cierpiał takie udreki. - Ciężko jest stracić dziecko, Dolando, ale posłuchaj o kimś innym, kto też stracił dziecko. To była kobieta, którą poznałam na Zgromadzeniu Klanu - to jest jak Letnie Spotkanie, ale oni nie spotykają się tak często. Razem z innymi kobietami zbierała chrust w lesie, kiedy nagle otoczyło je

wielu ludzi, mężczyzn z Innych. Jeden z nich chwycił ją, żeby ją zmusić do tego, co wy nazywacie przyjemnościami.

Wśród ludzi rozległy się odgłosy zaskoczenia i niedowierzania. Ayla poruszyła temat, o którym się nigdy otwarcie nie mówiło, chociaż wszyscy poza najmłodszymi dziećmi o tym wiedzieli. Niektóre matki uważały, że powinny zabrać swoje dzieci, ale nikt nie chciał odchodzić.

- Kobiety klanu robią to, czego życzą sobie mężczyźni, nie trzeba ich zmuszać, ale mężczyzna, który chwycił tę kobietę, nie mógł czekać. Nie poczekał nawet, aż ona odłoży swoje dziecko. Chwycił ją tak brutalnie, że niemowlę upadło na ziemię, a on tego nawet nie zauważył. Dopiero potem, kiedy pozwolił jej wstać, stwierdziła, że główka dziecka uderzyła o kamień przy upadku. Niemowlę nie żyło.

Kilkoro słuchaczy miało łzy w oczach. Jondalar zabrał głos:

- Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. Słyszałem o kilku młodych ludziach, mieszkających daleko na zachód stąd, którzy zrobili sobie sport z tego. Wielu z nich rzucało się na płaskogłową kobietę i przymuszało ją.

- To zdarza się tutaj także - przyznał Chalono.

Kobiety spojrzały na niego ze zdziwieniem, że to powiedział, a mężczyźni w ogóle unikali spojrzenia w jego kierunku, poza Rondem, który patrzył na niego, jakby widział robaka.

- Chłopcy się tym zawsze przechwalają - dodał Chalono, próbując się bronić. - Ale niewielu już to robi teraz, szczególnie po tym, co zdarzyło się Doral... - Przerwał nagle, rozejrzał się wokół i spuścił wzrok, żałując, że w ogóle otworzył usta.

Nastała niespokojna cisza, którą przerwała Tholie:

- Roshario, wyglądasz na bardzo zmęczoną. Nie sądzisz, że pora na powrót do łóżka?

- Tak, pora.

Jondalar i Markeno pospieszyli, żeby jej pomóc, a wszyscy inni uznali to za sygnał do rozejścia się. Nikt nie miał ochoty siedzieć tego wieczoru przy ognisku, rozmawiać czy grać. Dwaj młodzi mężczyźni zanieśli kobietę do chaty, a osłupiały Dolando powlókł się za nimi.

- Dziękuję, Tholie, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli dziś w nocy będę w pobliżu Roshario - powiedziała Ayla. - Mam nadzieję, że Dolando nie zaprotestuje. Wiele przeszła, a ta noc będzie dla niej trudna. Również kilka następnych dni nie będzie łatwych. Ramię już puchnie i będzie ją bolało. Nie jestem pewna, czy powinna była wstawać dziś wieczór, ale tak się upierała, że chyba jej nie potrafiła powstrzymać. Powtarzała, że się dobrze czuje, ale to dlatego, że ten napój, który ją uspił, znieczula także ból i jeszcze działał. Dałam jej jeszcze coś na ból, lecz to przestanie skutkować w ciągu nocy i wtedy chcę przy niej być. Zanim Ayla weszła do chaty, spędziła trochę czasu na czesaniu i szczotkowaniu Whinney. Bliskość tego stworzenia zawsze ją odprężała i

uspokajała, kiedy była wzburzona. Jondalar podszedł do niej na chwilę, ale wyczuł, że chce być sama, więc tylko kilka razy klepnął i podrapał ogiera, rzuciwszy mu parę ciepłych słów, i zostawił ich.

- Może Darvo mógłby zostać z wami - zaproponował Jondalar. - Pewnie lepiej by spał. Przykro mu patrzeć na jej cierpienia.

- Oczywiście - odparł Markeno. - Pójdę po niego. Chciałbym móc przekonać Dolanda, żeby też został na trochę u nas, ale nie wiem czy mi się uda, szczególnie po dzisiejszym wieczorze. Nikt mu nigdy nie opowiedział całej historii śmierci Doralda.

- Może lepiej, że to się wreszcie wydało. Może w końcu uda się zamknąć ten rozdział - powiedziała Tholie. - Przez długi czas pielęgnował zaciekłą nienawiść do płaskogłowych. To wydawało się niegroźne, nikt i tak specjalnie o nich nie dba - przepraszam, Aylo, ale to prawda.

Ayla pochyliła głowę.

- Wiem.

- I rzadko kiedy się na nich natykamy. Pod wieloma względami jest dobrym przywódcą - ciągnęła Tholie - poza czymkolwiek, co ma związek z płaskogłowymi. Łatwo jest pociągnąć za sobą ludzi przeciwko nim. Taka silna nienawiść musi wyrzucić piętno. Myślę, że zawsze najgorsza jest dla osoby, która nienawidzi.

- Chyba pora na odpoczynek - wtrącił Markeno. - Musisz być kompletnie wyczerpana, Aylo.

Jondalar, Markeno i Ayla z Wilkiem przy nodze przeszli razem do sąsiedniej chaty. Markeno zaskrobał w płachtę wejściową i czekał. Zamiast zawołać, Dolando podszedł do wejścia, odsunął zasłonę i stanął w cieniu, patrząc na nich.

- Dolando, Roshario będzie miała trudną noc. Chciałabym być blisko niej - powiedziała Ayla.

Mężczyzna spojrział w ziemię, a potem do wnętrza chaty na leżącą kobietę.

- Wejdz - rzekł.

- Chcę zostać razem z Ayla - odezwał się Jondalar. Był zdecydowany nie zostawiać jej samej z człowiekiem, który dopiero co groził jej i wymyślał, chociaż teraz był już spokojny.

Dolando kiwnął głową i odsunął się o krok.

- Przyszedłem spytać, czy Darvo nie chciałby spędzić nocy u nas - powiedział Markeno.

- Myślę, że byłoby dobrze - odparł Dolando. - Darvo, weź rzeczy ze swojego posłania i idź z Markenem.

Chłopiec wstał, zgarnął swoje futra i poszedł do wyjścia. Ayla pomyślała, że wygląda, jakby mu ulżyło, ale nie był szczęśliwy.

Gdy tylko weszli, Wilk usadowił się w swoim kącie. Ayla weszła głębiej, by sprawdzić stan Roshario.

- Czy masz lampkę albo pochodnię, Dolando? Chciałabym mieć więcej światła - powiedziała.

- I może jeszcze trochę rzeczy na posłanie - dodał Jondalar. - Czy też mam poprosić Tholie?

Dolando wolałby być sam w ciemności, ale wiedział, że jeśli Roshario obudzi się w bólach, to ta młoda kobieta potrafi jej pomóc znacznie lepiej. Zdjął z półki płytką miseczkę z piaskowca, która została ukształtowana przez uderzanie i wydlubywanie innym kamieniem.

- Futra na posłania są tam - zwrócił się do Jondalara. - W tym pudle koło wejścia jest trochę tłuszczu do lampy, ale muszę najpierw rozniecić ogień, bo wygaś.

- Ja rozniecę - zaproponowała Ayla. - Jeśli mi pokażesz, gdzie trzymacie hubkę i podpałkę.

Dał jej nie tylko to, o co prosiła, lecz także okrągły patyk, zwęglony z jednego końca, oraz płaski kawałek drewna z wieloma okrągłymi dziurami, wypalonymi od rozniecania ognia. Nie użyła ich jednak. Zamiast tego wyjęła dwa kamienie z woreczka u pasa. Dolando patrzył z ciekawością, jak ułożyła mały kopczyk z suchych, lekkich wiórków drzewnych i pochylając się nisko nad nimi, uderzyła jednym kamieniem o drugi. Ku jego zdumieniu duża, jasna iskra skoczyła z kamieni i wylądowała na podpałce. Ayla pochyliła się jeszcze bliżej i dmuchnęła, aż podpałka wybuchnęła płomieniem.

- Jak to zrobiłaś? - Był zaskoczony i trochę przestraszony. Coś tak zdumiewającego i nieznanego zawsze wywoływało trochę strachu. Czy nie ma końca magii tej kobiety?

- To siedzi w kamieniu ognistym - wyjaśniła Ayla i dodała kilka patyczków, żeby utrzymać płomień, a potem kilka większych kawałków drewna.

- Ayla odkryła to, kiedy mieszkała w dolinie - powiedział Jondalar. - Leżały wszędzie na kamienistym brzegu i zabrałem ich zapas. Jutro pokażę ci, jak to działa, i dam ci jeden, żebyś wiedział, jak wyglądają. Może tutaj też są. Jak widzisz, znacznie łatwiej nimi skrzesać ogień.

- Gdzie, mówileś, jest tłuszcz? - spytała Ayla.

- W tym pudle przy wejściu. Przyniosę. Knoty też tam są - odpowiedział Dolando. Włożył kawał miękkiego, białego łoju - tłuszczu rozpuszczonego w gotującej się wodzie i zebranego po ostudzeniu - do kamiennej miski, koło krawędzi wepchnął skręcone pasmo wysuszonych porostów i zapalił je patyczkiem z ogniska. Zaskwierzało i zamigotało; na dnie miski utworzyła się kałuża z roztopionego tłuszczu, a nasączony nim knot z porostów zaczął się palić równym płomieniem, rozświetlając mrok drewnianej chaty.

Ayla włożyła kamienie do gotowania do ogniska i sprawdziła poziom wody w drewnianej skrzyni. Skierowała się z nią do wyjścia, ale Dolando odebrał jej pojemnik i sam poszedł po wodę.

Podczas jego nieobecności Ayla z Jondalarem przygotowali swoje posłanie na jednej z platform. Potem Ayla wybrała suszone zioła ze swojej torby znachorskiej, żeby zrobić dla wszystkich uspokajającą herbatę. Do jednej z misek włożyła inne składniki, chcąc mieć je w pogotowiu, kiedy Roshario się zbudzi. Niedługo po powrocie Dolanda z wodą podała każdemu kubek herbaty.

Popijali gorący płyn w milczeniu, co Dolando przyjął z ulgą. Bał się, że zechcą rozmawiać, a nie był w nastroju do rozmów. Dla Ayli nie była to kwestia nastroju. Po prostu nie wiedziałyby, co powiedzieć. Przyszła tu ze względu na Roshario, chociaż wolałyby wcale tu nie być. Perspektywa spędzenia nocy w domu człowieka, który szalał z wściekłości na nią, nie była przyjemna i czuła wdzięczność dla Jondalara, że z nią został. Jondalarowi także brakowało słów i czekał, żeby ktoś inny się odezwał. Kiedy jednak nikt nie przerwał milczenia, uznał, że cisza jest najbardziej właściwa w tej sytuacji.

Jakby to było zaplanowane w czasie, właśnie kiedy kończyli herbatę, Roshario zaczęła jęczeć i rzucać się. Ayla podniosła lampę i podeszła do niej. Postawiła lampę na drewnianej ławie koło posłania, która służyła także jako stół, i odsunęła wilgotny drewniany kubek z pachnącymi goździkami. Ramię kobiety było spuchnięte i gorące, nawet poprzez opatrunki, które teraz ciasniej przylegały. Światło i dotyk obudziły chorą. Jej oczy, zamglone bólem, skoncentrowały się na uzdrowicielce. Starła się uśmiechnąć.

- Cieszę się, że się obudziłaś - powiedziała Ayla. - Muszę zdjąć temblak i poluzować opatrunki i łubki, a tak się rzucałaś przez sen. Powinnaś trzymać ramię nieruchomo. Zrobię świeży okład, który powinien zmniejszyć opuchliznę, ale najpierw chcę ci przyrządzić coś przeciw bólowi. Mogę cię na chwilę zostawić?

- Tak, idź i zrób, co masz zrobić. Dolando może tu zostać i rozmawiać ze mną - odezwała się Roshario, patrząc na jednego z dwóch mężczyzn, którzy stali za plecami Ayli. - Jondalarze, czy nie sądzisz, że powinienes pomóc Ayli?

Skinął głową. Było oczywiste, że chciała porozmawiać z Dolandem na osobności, a on nie miał nic przeciwko zostawieniu ich. Przyniósł więcej drewna na ognisko i więcej wody oraz kilka wygładzonych przez rzekę kamieni używanych do grzania płynów. Jeden z kamieni pękł po przeniesieniu z ognia do świeżej, zimnej wody, której Dolando nabrał na ich herbatę. Przyglądał się Ayli przygotowującej leki i nasłuchiwał cichego szmeru głosów z tylnej części chaty. Cieszył się, że nie słyszy, co mówią. Kiedy Ayla skończyła zabiegi przy Roshario i ułożyła ją wygodnie, wszystkich ogarnęło zmęczenie i senność.

Rano Aylę obudził radosny gwar dziecięcych głosów, pełnych śmiechu i zabawy, oraz mokry nos Wilka. Kiedy otworzyła oczy, Wilk zerkał na otwór wyjściowy, skąd dochodziły te dźwięki. Potem spojrzął na nią i zaskowytał.

- Chcesz się pójść bawić z dziećmi, prawda? - spytała, a Wilk znowu zaskowytał w odpowiedzi.

Odrzuciła przykrycie i usiadła. Jondalar leżał nadal rozciągnięty jak długi w głębokim śnie. Przeciągnęła się, przetarła oczy i zerknęła na Roshario. Kobieta była jeszcze pogrążona we śnie; miała za sobą wiele nie przespanych nocy do nadrobienia. Owinięty w futra Dolando spał na ziemi koło jej postania. On także spędził wiele bezsennych nocy.

Kiedy Ayla wstała, Wilk popędził do wyjścia i stał tam, czekając na nią, przebierając łapami z niecierpliwości. Uchyliła zasłonę i szybko wyszła na dwór, ale kazała Wilkowi zostać przy nodze. Nie chciała, żeby kogoś wystraszył nagłym wtargnięciem, bez ostrzeżenia. Spojrzała przez podwórzec i zobaczyła kilkoro dzieci w różnym wieku, które wraz z paroma kobietami pluskały się w stawie koło wodospadu. Podeszła do nich z Wilkiem przy nodze. Shamio zaczęła pisać na jego widok.

- Chodź, lik. Też masz się wykapać - zawołała. Wilk skomlał i patrzył na Aylę.

- Czy Wilk może wejść do stawu, Tholie? Shamio chce, żeby przyszedł i bawił się z nią.

- Właśnie miałam zamiar wyjść - odparła młoda kobieta. Ale mała może zostać i bawić się z nim, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.

Nikt nie miał zastrzeżeń i Ayla dała znak Wilkowi. Skoczył do wody z wielkim pluskiem i skierował się prosto do Shamio.

Kobieta, która razem z Tholie wychodziła z wody, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Chciałabym, żeby moje dzieci były tak posłuszne jak ten wilk. Jak to robisz, że on zachowuje się dokładnie tak, jak tego chcesz?

- To wymaga czasu. Trzeba kazać mu powtarzać wiele razy, żeby zrobił to, co chcesz, a na początku czasami trudno mu wytłumaczyć, ale jak raz się czegoś nauczy, to już nie zapomina. Jest naprawdę bardzo sprytny, a uczyłam go codziennie podczas podróży.

- To przypomina uczenie dziecka - powiedziała Tholie - ale dlaczego wilk? Nie wiedziałam, że w ogóle można je nauczyć czegokolwiek. Dlaczego to robisz?

- Wiem, że ludzie, którzy go nie znają, mogą się go bać, a nie chcę, żeby kogokolwiek wystraszył - odparła Ayla. Obserwowała Tholie, która wyszła ze stawu i wycierała się, i nagle uświadomiła sobie, że ta kobieta jest w ciąży. Jeszcze niezaawansowanej, a jej pulchność ukrywała to, kiedy była ubrana, ale z pewnością była w ciąży. - Też chciałabym się umyć, ale najpierw muszę pójść za potrzebą.

- Jeśli pójdziesz tą ścieżką z tyłu, znajdziesz świeżo wykopany rów. To jest spory kawałek w górę, za tamtą daleką ścianą, żeby wszystko spływało na drugą stronę, ale tędy jest bliżej - wskazała Tholie.

Ayla miała zamiar zawołać Wilka, ale zawahała się. Jak zwykle uniósł zadnią łapę w krzakach - nauczyła go, żeby wychodził poza osiedle, ale nie w jakieś specjalne miejsca. Obserwowała dzieci, które się z nim bawiły, i wiedziała, że wolałyby zostać, ale nie była pewna, czy powinna mu na to pozwolić. Była przekonana, że wszystko będzie w porządku, ale nie wiedziała, co myślą matki tych dzieci.

- Możesz go chyba zostawić, Aylo - zauważyła Tholie. - Widziałam go razem z dziećmi. Masz rację, wszystkie będą rozczarowane, gdy go stąd zbyt szybko zabierzesz.

Ayla uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Zaraz wrócę.

Poszła ścieżką biegnącą na ukos przez najbardziej stronie nachylenie jednej ze ścian skalnych, a potem zawracającą ku drugiej. Kiedy doszła do najdalszej ściany, wspięła się na nią po kilku stopniach, zrobionych z przyciętych pni. Przytrzymały je żerdzie wbite z przodu w ziemię, żeby pnie się nie stoczyły, a z tyłu przestrzeń była wypełniona kamieniami i żwirem.

Rów i płaska przestrzeń przed nim, otoczona niskim płotem z gładkich, okrągłych pni, na których można było usiąść, były wykopane w pochyłości terenu po drugiej stronie skalnej ściany. Zapach i bzyczące muchy nie pozostawiały wątpliwości co do przeznaczenia tego miejsca, ale przeświecające przez gałęzie drzew promienie słoneczne i świergot ptaków czyniły, że było tu przyjemnie. Zobaczyła obok stertę wysuszonego mchu i odgadła jego przeznaczenie. Zupełnie nie drapał i był dość chłonny. Kiedy była gotowa, zauważyła świeżą ziemię, którą ktoś niedawno rozsypał na dnie rowu.

Ścieżka szła dalej w dół i Ayla postanowiła przejść nią kawałek. Okolica była tak podobna do terenu wokół jaskini, w której wyrosła, że prześladowało ją uczucie, iż kiedyś już tu była. Natrafiała na układ skał, który wyglądał znajomo, albo przetęcz w kamiennej grani czy też nieobcą roślinność. Zatrzymała się, żeby zerwać kilka orzechów laskowych z krzaka przy skalnej ścianie i nie mogła się powstrzymać przed odsunięciem niskich gałęzi, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa się za nimi mała jaskinia.

Znalazła dużą kępę jeżynowych krzewów z długimi, ciernistymi pędami, ciężkimi od słodkich, dojrzałych owoców. Szybko je wepchnęła do ust i zaczęła się zastanawiać, co się stało z jeżynami, które zebrała poprzedniego dnia. Potem sobie przypomniała, że jadła je na powitalnej uczcie. Postanowiła tu wrócić i nazbierać więcej dla Roshario. Nagle uświadomiła sobie, że chora mogła się obudzić i potrzebować jej pomocy. Lasy wydawały się tak znajome, że Ayla zapomniała na moment, gdzie jest. Wędrując po wzgórzach, czuła się znowu jak dziewczynka używająca wymówki, że szuka leczniczych roślin dla Izy, aby móc swobodnie buszować po lasach.

Może dlatego, że było to jej drugą naturą, albo dlatego, że zawsze pilniej szukała roślin w drodze powrotnej, by mieć co przynieść ze swoich wypraw, Ayla uważnie obserwowała roślinność. Niemal krzyknęła z podniecenia i ulgi, kiedy zobaczyła małe, żółte pędy o małych liściach i kwiatach, które owijały się wokół innych roślin, martwych i suchych, zadławionych tymi złotawymi, podobnymi do nici pędami.

To jest to! To jest złota nić, magiczna roślina Izy - pomyślała. Tego potrzebuję do mojej porannej herbaty, żeby dziecko nie zaczęło we mnie rosnąć. I jest tego tutaj mnóstwo. Mam już tak mało, że nie wiedziałam, czy mi starczy na całą podróż. Ciekawe, czy również szałwia antylopie rośnie w pobliżu. Powinna. Wrócę tu i poszukam.

Znalazła roślinę o dużych liściach, które splótła razem z gałązkami w prowizoryczny pojemnik i nazbierała tyle tych małych roślin, ile tylko mogła, ale zostawiła trochę na rozrost.

Wybrała teraz nieco inną drogę, przez gęstszy, bardziej zacieniony odcinek lasu, w poszukiwaniu woskowatej, białej rośliny na obolałe oczy koni, chociaż teraz były w nieco lepszym stanie. Uważnie badała grunt pod drzewami. Napotykać tak wiele znajomych rzeczy, nie powinna się niczemu dziwić, ale kiedy zobaczyła zielone liście jednej, specjalnej rośliny, wstrzymała oddech i poczuła zimny dreszcz przeszywający jej ciało.

ROZDZIAŁ 18

Ayla siedziała na wilgotnej ziemi, wpatrując się w roślinę, i głęboko oddychała pachnącym leśnym powietrzem. Zalały ją fale wspomnień. Tajemnica tego korzenia była mało znana nawet w klanie. Wiedza o nim należała do linii Izy i tylko potomkowie wspólnego przodka - lub ci, których nauczyła - znali skomplikowany proces jego obróbki, niezbędny, aby otrzymać właściwy specyfik. Ayla pamiętała wyjaśnienia Izy na temat niezwyklej metody suszenia rośliny, tak żeby jej właściwości skoncentrowały się w korzeniu, i wiedziała, że nabierał mocy, im dłużej się go przechowywało, pod warunkiem, że nie był wystawiany na światło.

Chociaż Iza dokładnie i wielokrotnie tłumaczyła jej, jak przygotować napój z wysuszonego korzenia, nie mogła pozwolić Ayli na przygotowanie go przed Zgromadzeniem Klanu; wymagało to właściwego rytuału, a Iza podkreślała z naciskiem, że napój jest zbyt święty, by go wylać. Dlatego Ayla wypła resztki, jakie zostały na dnie starodawnej miski Izy po przygotowaniu napoju dla Mogurów, mimo że kobiecie nie wolno było tego pić. Po prostu nie mogła tego wylać. Nie myślała wtedy jasno. Zbyt dużo działało się dookoła, inne płyny zaćmiły jej umysł, a napój z tego korzenia był tak potężny, że nawet ta nieznaczna ilość, którą połknęła w trakcie przygotowywania, miała silny efekt.

Szła wąskim przejściem przez głębokie, wielokomorowe jaskinie i kiedy zobaczyła Creba i innych Mogurów, nie potrafiłaby wrócić, nawet gdyby próbowała. I wtedy to się stało. W jakiś sposób Creb wiedział, że tam jest, i zabrał ją wraz z innymi do początków pamięci. Gdyby tego nie zrobił, na zawsze zgubiłaby się w tej czarnej próżni, ale tej nocy stało się coś, co go zmieniło. Potem przestał być Mogurem; nie miał do tego już więcej serca, aż do ostatniego razu.

Kiedy odchodziła z klanu, wzięła ze sobą kilka korzeni. Trzymała je w torbie znachorskiej w świętym, czerwonym woreczku. Niesłychanie zainteresowały Mamuta, kiedy mu o nich powiedziała. Mamut nie miał jednak mocy Mogura albo też roślina inaczej działała na Innych. Oboje z Mamutem zostali wciągnięci w czarną próżnię i omalże przepadli.

Siedząc na ziemi i wpatrując się w pozornie niewinną roślinę, z której można było zrobić coś tak potężnego, wspominała to doświadczenie. Nagle przeszedł ją kolejny dreszcz, wyczuła cień mroku, jakby chmura przepływała jej nad głową, i już nie tylko wspominała; przeżywała na nowo dziwną podróż z Mamutem. Zielone lasy zamgliły się i zniknęły, a ona znalazła się jakby w mrocznej ziemiance. Głęboko w gardle czuła smak ciemnego, zimnego szlamu i grzybów starodawnej, pierwotnej puszczy. Poczwała, że porusza się z wielką szybkością przez dziwne światy, po których podróżowała z Mamutem, i czarna próżnia przejęła ją grozą. Wtedy z daleka usłyszała

cichy głos Jondalara, pełen przerażenia i miłości, który ją przywoływał, wyciągał z powrotem. Nagle znów znalazła się w lesie, przemarznięta do kości w słonecznym cieple późnego lata.

- Jondalar przyprowadził nas z powrotem! - powiedziała głośno. Wtedy o tym nie wiedziała. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz, ale zaraz potem już go nie było, a zamiast niego Ranec podawał jej gorącą herbatę, żeby ją rozgrzać. Mamut wytłumaczył jej, że ktoś im pomógł wrócić. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, że to był Jondalar, ale teraz nagle wiedziała na pewno.

Starzec powiedział, że już nigdy więcej nie użyje korzenia, i ostrzegł ją także, ale dodał również, iż jeśli kiedykolwiek się na to zdecyduje, musi się upewnić, że jest koło niej ktoś, kto potrafi ją wezwać z powrotem. Korzeń - przestrzegł ją - jest gorzej niż zabójczy. Może ukraść jej ducha; mogłaby na zawsze zgubić się w tej czarnej próżni i nigdy nie powrócić do Wielkiej Matki Ziemi. Ale to i tak nie miało znaczenia. Nie został jej ani jeden korzeń. Zużyła wszystko razem z Mamutem. Teraz jednak natknęła się na tę roślinę.

Sam fakt, że tu rośnie, jeszcze nie oznacza, że muszę ją zabrać - pomyślała. Gdy jej nie zerwie, to nigdy nie będzie musiała się martwić, że jej znowu kiedyś użyje i straci swojego ducha. Powiedziano jej przecież, że ten napój jest dla niej zabroniony. Był dla Mogurów komunikujących się ze światem duchów, nie dla znachorki, która tylko miała przyrządzić go dla nich, ale już dwukrotnie ten napój piła. A ponadto Broud obłożył ją klątwą śmierci; dla klanu była martwa. Kto miałby jej teraz zabraniać?

Ayla nie zastanowiła się nawet, po co to robi, kiedy chwyciła złamaną gałąź i użyła jej jako kopaczki, żeby ostrożnie - nie uszkadzając korzeni - wyciągnąć wiele roślin. Była jedną z niewielu osób na świecie, które znały ich właściwości oraz sposób przyrządzenia. Nie mogła ich zostawić. Nie chodziło o to, że zamierzała ich użyć, co samo w sobie nie było niezwykle. Miała wiele preparatów roślinnych, których nigdy, być może, nie użyje, ale to było coś odmiennego. Te inne miały potencjalne lecznicze zastosowania. Nawet złota nić, magiczny lek Izy do zwalczania zapładniających esencji, była dobra na ugryzienia i użądlenia, kiedy stosowało ją się zewnętrznie, ale - o ile wiedziała - ta roślina nie miała żadnego innego zastosowania. Korzeń był czystą magią duchów.

- Tutaj jesteś! Zaczynaliśmy się niepokoić! - zawołała Tholie kiedy zobaczyła schodzącą ścieżką Aylę. - Jondalar chciał już wysłać po ciebie Wilka.

- Aylo, co ci zabrało tyle czasu? - spytał Jondalar, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Tholie powiedziała, że poszłaś tylko na chwilę. - Bez zastanowienia się mówił w zelandoni, co jej uświadomiło, jak bardzo się niepokoił.

- Ścieżka ciągnęła się dalej i postanowiłam kawałek nią pójść. Ta okolica bardzo przypomina miejsce, w którym wyrosłam. A potem znalazłam potrzebne mi rośliny. - Pokazała swoje zbiory. - Niektórych z nich nie widziałam od czasu odejścia z klanu.

- Dlaczego są takie ważne, że musiałaś zbierać je teraz? Do czego jest ta? - spytał Jondalar, wskazując na złotą nić.

Ayla знаła go już wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, iż gniewny ton wynika z jego niepokoju, ale to pytanie zaskoczyło ją.

- To jest... to na ugryzienia... i użądlenia - powiedziała zaczerwieniona i zmieszana. Miała wrażenie, że kłamie; chociaż całkowicie prawdziwa, jej odpowiedź nie była pełna.

Ayla została wychowana jako kobieta klanu, a kobiety klanu nie potrafiły odmówić odpowiedzi na bezpośrednie pytanie, zwłaszcza jeśli zostało postawione przez mężczyznę. Iza powtarzała jej jednak wielokrotnie i z naciskiem, żeby nigdy nie powiedziała nikomu - a już szczególnie mężczyźnie - o mocy zawartej w tych małych, złotawych niciach. Sama Iza nie potrafiłaby powstrzymać się przed udzieleniem Jondalarowi pełnej odpowiedzi, ale też nigdy nie znalazłaby się w takiej sytuacji. Żadnemu mężczyźnie klanu nie przyszłoby do głowy wypytywanie znachorki o jej rośliny lecznicze czy zabiegi. Izie chodziło o to, żeby Ayla nigdy nie powiedziała o tym nie pytana.

Powstrzymanie się od udzielenia odpowiedzi było akceptowane, dawało możliwość zachowania jakiejś dozy prywatności, ona zaś wyszła daleko poza to. Świadomie ukryła informację. Mogła podawać ten lek, o ile uważała, iż jest potrzebny, ale Iza jej powiedziała, że może być niebezpieczne, jeśli ludzie, a szczególnie mężczyźni, zorientują się, że wie, jak pokonać najsilniejsze duchy i zapobiec ciąży. To była tajna wiedza, przeznaczona wyłącznie dla znacherek.

Nagle nasunęła jej się myśl. Skoro magiczny lek Izy potrafił powstrzymać Matkę przed pobłogosławieniem kobiety, czy znaczy to, że jest od niej silniejszy? Jak to jest możliwe? Ale to przecież Matka stworzyła wszystkie rośliny, a więc musiała i tę stworzyć w określonym celu! Jej celem musiała być pomoc kobietom, kiedy byłoby dla nich zbyt niebezpiecznie lub trudno być w ciąży. W takim razie dlaczego kobiety o tym nie wiedzą? A może wiedzą. Ponieważ nić rosła tak blisko, może kobiety Sharamudoi je znają. Mogłaby zapytać, ale czyby jej powiedziały? A jeśli nie wiedzą, jak mogłaby zapytać, nie mówiąc im? Ale jeśli Matka przeznaczyła to dla kobiet, to czy nie należy im o tym powiedzieć? Pytania kłębiły się w głowie Ayli, lecz nie miała na nie żadnych odpowiedzi.

- Dlaczego akurat teraz potrzebne ci rośliny na ukąszenia? - zapytał Jondalar, a w jego oczach nadał widać było niepokój.

- Nie miałam zamiaru cię zdenerwować - powiedziała Ayla i uśmiechnęła się. - Po prostu ta okolica tak bardzo przypomina mi dom, że chciałam ją poznać lepiej.

Nagle on także się uśmiechnął.

- I znalazłaś kilka jeżyn na śniadanie? Teraz wiem, co ci zabrało tyle czasu. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tak lubił jeżyny jak ty. - Zauważył jej zażenowanie, ale był zachwycony myślą, że odkrył, dlaczego tak niechętnie opowiadała o swojej wyprawie.

- No cóż, tak, znalazłam kilka. Będziemy tam mogli wrócić później i nazbierać dla wszystkich. Są teraz takie dojrzałe i smaczne. I jest jeszcze trochę innych rzeczy, których chcę poszukać.

- Mam wrażenie, że przy tobie jeżyn nam nie zabraknie. - Jondalar pocałował jej poplamione sokiem jeżynowym usta.

Widząc jego zadowolenie z siebie, że ją przyłapał i odkrył jej słabość do słodkich jeżyn, tylko się do niego uśmiechnęła i pozwoliła mu myśleć, co chciał. Rzeczywiście lubiła jeżyny, ale prawdziwą słabość czuła do niego i nagle miłość ogarnęła ją z takim żarem, że żałowała, iż nie są sami. Chciała go objąć, dotykać i dawać mu przyjemności, i czuć przyjemności, które on tak dobrze umiał jej dawać. Te uczucia odmalowały się na jej twarzy i natychmiast odbiły się i zwielokrotniły w jego oczach. Poczwała drzenie głęboko w środku i musiała się odwrócić, żeby się opanować.

- Jak się czuje Roshario? - spytała. - Czy się obudziła?

- Tak, i mówi, że jest głodna. Carolio przyszła na górę z przystani i przygotowuje coś dla nas, ale postanowiliśmy poczekać z jedzeniem na ciebie.

- Pójdę zobaczyć, jak się czuje, a potem chciałabym się umyć. Ruszyła w kierunku chaty, a jednocześnie Dolando odsunął zasłonę, żeby wyjść, i ze środka wypadł Wilk. Skoczył na nią, położył łapy na jej ramionach i polizał po twarzy.

- Wilk, na ziemię! Mam pełne ręce! - krzyknęła.

- Ciesz się, że cię widzi - powiedział Dolando. Zawahał się, a potem dodał: - Ja też się cieszę, Aylo. Roshario cię potrzebuje.

To było jakieś tam uznanie, a przynajmniej przyznanie, iż nie chce jej trzymać na odległość od swojej towarzyszkich życia, mimo że ogarnął go szal poprzedniego wieczoru. Wiedziała o tym już wtedy, kiedy pozwolił jej na wejście do chaty, choć tego nie powiedział.

- Czy coś ci jest potrzebne? Czy mogę ci coś przynieść? - Zauważył, że miała zajęte ręce.

- Chciałabym wysuszyć te rośliny i potrzebny mi stojak - odpowiedziała. - Sama mogę wszystko zrobić, ale potrzeba mi do tego drewna i rzemyków albo ściągien na wiązania.

- Mam chyba coś lepszego. Shamud też suszył rośliny na swoje potrzeby i wiem, gdzie są jego stojaki. Chciałabyś ich użyć?

- To będzie znakomite, Dolando - powiedziała. Kiwnął głową i odszedł, a Ayla weszła do środka. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że Roshario siedzi na posłaniu. Odłożyła rośliny i podeszła do niej.

- Nie wiedziałam, że Wilk wszedł z powrotem do chaty - zwróciła się do niej Ayla. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzał.

- Nie. Pilnował mnie, jestem tego pewna. Kiedy wszedł - już się nauczył, jak odsuwać zasłonę - przyszedł prosto do mnie. Poklepałam go, a on poszedł położyć się w tym kącie i tylko na mnie patrzył. To jest teraz jego miejsce - odparła Roshario.

- Dobrze spałaś? - spytała Ayla, poprawiając posłanie kobiety i otulając ją futrami, żeby jej było wygodniej.

- Lepiej niż kiedykolwiek od czasu upadku. Szczególnie po odbyciu długiej rozmowy z Dolandem - powiedziała. Patrzyła na tę wysoką blondynkę, obcą kobietę, którą przyprowadził Jondalar i która wprowadziła takie zamieszanie w ich życiu oraz spowodowała wiele zmian w tak krótkim czasie. - On właściwie nie myślał tego, co o tobie powiedział, Aylo, ale był bardzo wzburzony. Od lat żył ze świadomością śmierci Doralda i nigdy nie był w stanie pogodzić się z nią. Nie znał wszystkich faktów aż do wczorajszego wieczoru. Teraz próbuje pogodzić lata nienawiści i przemocy wobec, jak sądził, złośliwych zwierząt z tym wszystkim, czego się o nich dowiedział, i o tobie.

- A ty, Roshario? To był twój syn - rzekła Ayla.

- Też ich nienawidziłam, ale wtedy umarła matka Jetamio i wzięliśmy ją do siebie. Nie zastąpiła go, to nie jest możliwe, ale była taka chora i potrzebowała tyle opieki, że nie miałam czasu na rozpamiętywanie jego śmierci. Kiedy nauczyłam się ją kochać jak własną córkę, mogłam dać spocząć pamięci mojego syna. Dolando także pokochał Jetamio, ale chłopcy są czymś specjalnym dla mężczyzn, szczególnie chłopcy urodzeni przy ich ognisku. Nie mógł pogodzić się z utratą Doralda, właśnie kiedy osiągnął męski wiek i miał przed sobą całe życie. - W oczach Roshario błyszczały łzy. - A teraz nie ma też Jetamio. Prawie że bałam się wziąć Darva, ze strachu, że też umrze młodo.

- Nigdy nie jest łatwo stracić syna - powiedziała Ayla - czy córkę.

Roshario zdawało się, że zobaczyła wyraz bólu na twarzy młodej kobiety, która wstała i podeszła do ogniska, żeby zacząć swoje przygotowania. Kiedy wróciła, przyniosła leki w jednej ze swoich drewnianych misek. Roshario nigdy niczego podobnego nie widziała. Większość narzędzi, przyborów i pojemników zdobiły rzeźby lub malunki, a czasem jedno i drugie, zwłaszcza zaś

rzeczy Shamuda. Miski Ayli były znakomicie zrobione, gładkie i dobrze uformowane, ale zupełnie proste. Nie było tam żadnych ozdób, poza słojami samego drewna.

- Bardzo cię teraz boli? - zapytała Ayla i pomogła Roshario położyć się.

- Trochę, ale nie tak jak przedtem - odpowiedziała kobieta, a młoda znachorka zaczęła zdejmować opatrunki.

- Myślę, że opuchlizna zeszła nieco - stwierdziła Ayla po zbadaniu ramienia. - To dobry znak. Założę łubki i temblak z powrotem, na wypadek gdybyś chciała wstać na chwilę. Wieczorem zrobię świeży okład. Jak już w ogóle nie będzie spuchnięte, owinę je korą brzożową, którą musisz nosić, aż kość się zagoi; przynajmniej przez jeden pełen cykl księżycy i do połowy drugiego - wyjaśniała Ayla, sprawnie zdejmując wilgotne pasma skórki koziej i patrząc na rozległy siniak, spowodowany jej manipulacjami poprzedniego dnia.

- Kory brzożowej?

- Jak jest namoczona w gorącej wodzie, to mięknie i łatwo ją kształtować i dopasowywać. Twardnieje po wyschnięciu i utrzyma sztywno twoje ramię, żeby kość mogła się prosto zrosnąć, nawet jak wstaniesz i będziesz chodzić.

- Chcesz powiedzieć, że będę mogła wstać i robić coś, zamiast tylko leżeć tutaj? - spytała Roshario z uśmiechem zachwyty.

- Będziesz mogła używać tylko jednej ręki, ale nie ma powodu, dla którego nie mogłabyś stać na dwóch nogach. To ból trzymał cię tutaj.

Roshario kiwnęła głową.

- To prawda.

- Jedno chciałabym jeszcze wiedzieć, zanim nałożę z powrotem opatrunki. Jeśli możesz, spróbuj poruszyć palcami. To może boleć.

Ayla starała się nie okazać niepokoju. Jeśli jakieś wewnętrzne uszkodzenie nie pozwoli Roshario na poruszenie palcami, może to być wskazówką, że nie będzie w pełni władała tą ręką. Obie z napięciem wpatrywały się w dłonie i obie uśmiechnęły się z ulgą, kiedy chora najpierw poruszyła środkowym palcem, a potem pozostałymi.

- Dobrze! - ucieszyła się Ayla. - A teraz, czy możesz zgiąć palce?

- Oj, to czuję! - powiedziała Roshario.

- Czy to zanadto boli, żebyś mogła zacisnąć pięść?

- Boli, ale mogę to zrobić.

- To znakomicie. A na ile możesz poruszyć dłonią? Czy możesz zgiąć ją w przegubie?

Roshario miała skurczoną z wysiłku twarz i ciężko oddychała, ale zgięła posłusznie dłoń.

- Wystarczy - orzekła Ayla.

Obie odwróciły się, gdy Wilk krótkim szczeknięciem, które brzmiało jak ochryply kaszel, zaanonsował Jondalara, i obie się do niego uśmiechnęły.

- Przyszedłem zobaczyć, czy coś mogę zrobić. Chcesz, żebym pomógł Roshario wyjść na dwór? - spytał Jondalar. Spojrzał na nagie ramię Roshario i szybko odwrócił wzrok. Ta spuchnięta, sina rzecz nie wyglądała dobrze.

- Nie teraz, ale w ciągu kilku następnych dni będę potrzebowała szerokich pasów świeżej kory brzozonej. Jeśli zobaczysz przypadkiem sporą brzozę, zapamiętaj, gdzie rośnie, żebyś mi mógł pokazać. Jest potrzebna do usztywniania jej ramienia w trakcie gojenia - odpowiedziała Ayla, zakładając łubki.

- Nie powiedziałaś mi, o co chodziło z tym poruszaniem palcami, Aylo - odezwała się Roshario. - Co to oznacza?

Ayla uśmiechnęła się.

- To znaczy, że jak wszystko pójdzie dobrze, masz duże szansę pełnego władania ramieniem, albo prawie pełnego.

- To naprawdę dobra nowina - powiedział Dolando. Usłyszał jej uwagę, kiedy wchodził do chaty, trzymając jeden koniec krzyżaka do suszenia. Drugi koniec niósł Darvalo. - Czy to się nada?

- Tak, i bardzo dziękuję za wniesienie do środka. Niektóre rośliny muszą schnąć z dala od światła.

- Carolio mówi, że poranny posiłek jest gotowy - poinformował chłopiec. - Chce wiedzieć, czy będziecie jeść na dworze, skoro jest taki ładny dzień.

- Ja bym chciała - powiedziała Roshario i zwróciła się do Ayli: - Jeśli uważasz, że mogę.

- Pozwól mi tylko włożyć rękę do temblaka, a potem możesz wyjść, jeśli Dolando cię trochę podtrzyma - zgodziła się Ayla. Uśmiech przywódcy Shamudoi był niezwykle jak na niego szeroki. - A jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, chętnie wykapałabym się przed jedzeniem.

- Jesteś pewien, że to jest łódź? - spytał Markeno, pomagając Jondalarowi oprzeć pokrytą skórą, okrągłą ramę o ścianę, obok długich drągów. - Jak można sterować taką miską?

- Nie jest tak łatwa do kierowania jak wasze łodzie, ale używa się jej na ogół do przepraw na drugą stronę rzek, a wiosła działają wystarczająco dobrze, by ją przepchnąć przez rzekę. Oczywiście, z końmi, przyczepiamy ją po prostu do drągów i pozwalamy im przeciągnąć - powiedział Jondalar.

Obaj spojrzeli na łąkę, gdzie Ayla wyczesawała sierść Whinney. Zawodnik stał koło nich. Jondalar już wcześniej wycesał sierść ogiera i zauważył, że nagie plamy, gdzie sierść wypadła na gorących równinach, zaczynały się wypełniać. Ayla leczyła oczy obu koni. Teraz, kiedy przebywali na większych wysokościach, z daleka od gryzących muszek, nastąpiła widoczna poprawa.

- Najbardziej zdumiewające są konie - powiedział Markeno. - Nigdy mi do głowy nie przyszło, że chciałyby przebywać w pobliżu ludzi, ale te dwa wydają się to lubić. Choć na początku bardziej zaskoczył mnie Wilk.

- Teraz już się do niego przyzwyczaiłeś. Ayla trzymała go przy sobie, bo myślała, że ludzie będą się go bardziej lękali niż koni.

Zobaczyli Tholie, idącą w stronę Ayli z Shamio i Wilkiem goniącymi się wokół jej nóg.

- Shamio go uwielbia - zauważył Markeno. - Spójrz na nią. Powinienem się bać, to zwierzę mogłoby rozerwać ją na strzępy, ale wcale nie stanowi groźby. Bawi się z nią.

- Konie także potrafią się bawić, a nie masz pojęcia, co to za uczucie jechać na grzbiecie ogiera. Możesz spróbować, jeśli chcesz, chociaż tu jest zbyt mało miejsca, żeby naprawdę mógł się rozpędzić.

- Nie szkodzi, Jondalarze. Wolę okiełznywać łodzie - zapewnił Markeno. Zobaczył kogoś na krawędzi urwiska i dodał: - To Carlono. Myślę, że pora na przewiezienie Ayli łodzią.

Wszyscy zgromadzili się koło koni, a potem razem podeszli do urwiska. Stali w miejscu, gdzie mały strumień przelewał się przez krawędź i spadał do Wielkiej Rzeki Matki poniżej.

- Naprawdę uważasz, że powinna schodzić w dół? To jest duża wysokość i dość przerażająca - zaniepokoił się Jondalar. - Nawet ja się trochę niepewnie czuję. Już dawno tego nie robiłem.

- Powiedziałeś, że chcesz dać się jej przejechać w prawdziwej łodzi, Jondalarze - powiedział Markeno. - I może chce zobaczyć naszą przystań.

- To nie jest takie trudne - dodała Tholie. - Tam są oparcia dla nóg i sznury, żeby się trzymać. Mogę jej pokazać.

- Nie musi schodzić urwiskiem - uspokajał go Carlono. Możemy ją spuścić w koszu, tak samo jak wciągnęliśmy ciebie za pierwszym razem, Jondalarze.

- Tak byłoby chyba lepiej - zdecydował Jondalar.

- Chodź ze mną na dół, to przyślemy kosz na górę.

Ayla przysłuchiwała się tej dyskusji i spoglądała na rzekę oraz niebezpieczną ścieżkę, którą schodzono na dół - ścieżkę, z której spadła Roshario, mimo że ją znakomicie znała. Zobaczyła mocne sznury z węzłami, przymocowane drewnianymi kołkami, wbitymi w ciasne szpary w skale, które szły od szczytu, tam gdzie stali. Obserwowała Carlona, który z wprawą przestąpił przez krawędź, złapał sznur jedną ręką i stopą wymacał pierwszy, wąski występ. Zobaczyła, że Jondalar przybladł trochę, odetchnął głęboko i ruszył za nim w dół, nieco wolniej i ostrożniej. W tym czasie Markeno z Shamio, która chciała pomóc, podniósł duży zwój grubego sznura zakończony pętlą. Zarzucił ją na potężny słup wbity w połowie drogi między skalnymi ścianami i krawędzią kotliny.

Resztę długiego powrozu zrzucił w dół urwiska. Ayla zastanawiała się, jakich włókien używali do zrobienia sznurów. To były najpotężniejsze powrozy, jakie kiedykolwiek widziała.

Wkrótce potem wrócił Carlono, niosąc drugi koniec sznura. Podszedł do innego słupa, który stał obok, i zaczął wciągać sznur, starannie składając go w zwój. Niebawem na krawędzi urwiska między słupami pojawił się duży, płaski, podobny do kosza przedmiot. Pełna ciekawości Ayla podeszła bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Podobnie jak powrozy kosz był wyjątkowo solidny. Płaskie, splecione dno, wzmocnione i usztywnione drewnianymi deskami, było uformowane w długi owal i miało wokół proste boki, przypominające niski płotek. Kosz był dość duży, by utrzymać leżącego człowieka albo średniej wielkości jesiotra z łbem i ogonem przewieszonymi przez brzegi. Olbrzymi jesiotr, jedna z dwóch odmian, jakie żyły tylko w rzece i jej największych dopływach, sięgał dziesięciu metrów długości i ważył koło półtora tysiąca kilogramów, musiał być dzielony na kawałki, zanim go można było wciągnąć na górę.

Kosz opleciono dwoma sznurami, przeciągniętymi przez cztery zrobione z włókien pierścienie, przychepione po dwa z obu długich stron kosza. Każdy sznur szedł w dół przez jeden pierścień i w górę przez pierścień umieszczony po przekątnej z drugiej strony. Sznury krzyżowały się na spodzie. Cztery końce sznurów były splecione razem i tworzyły dużą, grubą pętlę nad koszem, przez którą przeciągnięty był powróż, zrzucony przedtem ze zbocza.

- Po prostu wejdź do środka, Aylo. Przytrzymamy kosz i spuścimy cię na dół - wyjaśnił Markeno i nałożył parę ciasno dopasowanych, cienkich skórzanych rękawic. Owinął długi koniec powrozu wokół drugiego słupa w przygotowaniu do opuszczenia kosza.

Kiedy się wahała, Tholie powiedziała:

- Jeśli wolisz zejść, pokażę ci, jak. Nigdy nie lubiłam jazdy w koszu.

Ayla znowu spojrzała na stromą ścieżkę. Żaden sposób nie wyglądał zbyt nęcąco.

- Teraz spróbuję kosza.

Ściana urwiska w tym miejscu była stroma, ale wystarczająco nachylona, by z trudem dawało się nią wspinać; pośrodku, na wysokości słupów, nawis skalny wystawał poza ścianę. Ayla weszła do kosza, usiadła na dnie i zaciśniętymi kurczowo rękami trzymała się jego krawędzi.

- Jesteś gotowa? - spytał Carlono. Ayla odwróciła głowę, nie puszczać uchwytu, i skinęła.

- Opuść ją, Markeno.

Młody mężczyzna poluźnił uchwyt, a Carlono manewrował koszem ponad krawędzią skały. Markeno pozwalał, by powróż prześlizgiwał się między jego okrytymi rękawicami dłońmi, kontrolując szybkość opadania za pomocą sznura zakręconego wokół słupa. Pętla na szczycie kosza przesuwiała się wzdłuż grubej liny i Ayla, zawieszona w pustej przestrzeni ponad przystanią, była powoli opuszczana w dół.

Pomysł na transportowanie towarów i ludzi między położoną na górze osadą i przystanią na dole był prosty, ale skuteczny. Wykorzystywano siłę mięśni, a sam kosz, chociaż solidny, był stosunkowo lekki, więc nawet jeden człowiek mógł przenosić dość duże ładunki. Kilku ludzi było w stanie przetransportować całkiem spore ciężary.

Kiedy kosz przeszedł przez szczyt nawisu, Ayla zacisnęła powieki i przywarła do dna, słysząc walenie własnego serca. Gdy jednak poczuła, że wolno opada, ostrożnie otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Z zachwytu rozchyliła usta. Nigdy przedtem nie miała widoku z takiej perspektywy, i już pewnie nigdy więcej niczego takiego nie zobaczy.

Zawieszona nad wielką rzeką, płynącą przy stromej skalnej ścianie przełęczy, Ayla miała wrażenie, że szybuje w powietrzu. Skała po drugiej stronie rzeki była oddalona o ponad półtora kilometra, lecz miało się wrażenie, że jest całkiem blisko. W innych miejscach wzdłuż Bramy skalne ściany znajdowały się dużo bliżej siebie. Był to dość prosty odcinek rzeki i kiedy patrzyła wzdłuż jej biegu na wschód i na zachód, czuła jej potęgę. Już blisko pomostu spojrzała w górę i zobaczyła białą chmurę nad krawędzią skały, potem zauważyła dwie figurki ludzkie - dość małe - i Wilka, spoglądające na nią. Pomachała ręką. Wylądowała z lekkim podskokiem. Zobaczyła uśmiechniętą twarz Jondalara i powiedziała:

- To było podniecające!

- Niesłychane widowisko, prawda? - rzekł, pomagając jej wyjść z kosza.

Czekał na nią tłum ludzi, ale bardziej interesowało ją to miejsce niż ludzie. Kiedy wyszła z kosza na drewniane deski, poczuła kołysanie i zrozumiała, że unoszą się na wodzie. To był obszerny pomost, dość duży, by zmieściło się na nim kilka chat, podobnych do tych pod nawisem z piaskowca, oraz otwarta przestrzeń. Paliło się tam ognisko, zbudowane na odłupanym kawale piaskowca i otoczone kamieniami.

Kilka intrygujących łodzi, jakie widziała już uprzednio w dole rzeki - wąskich i zbiegających się w ostre czubki z tyłu i z przodu - było przywiązanych do pływającego mola. Miały różną wielkość, nie było dwóch dokładnie takich samych, od małych, zaledwie na jedną osobę, do długich, z wieloma siedzeniami.

Odwróciła się i zobaczyła dwie bardzo duże łodzie, które ją zaskoczyły. Przedłużone dzioby przeradzały się w głowy dziwnych ptaków, a boki pomalowane były w różne geometryczne wzory, które dawały wrażenie piór. Blisko linii wody namalowano dodatkową parę oczu. Na największej łodzi nad środkową częścią rozciągał się baldachim. Spojrzała na Jondalara z okrzykiem zachwytu i zdumienia i spostrzegła, że przymknął oczy i zmarszczył czoło w udręce. Zrozumiała, że ta duża łódź musi mieć coś wspólnego z jego bratem. Żadne z nich jednak nie miało zbyt dużo czasu na rozmyślanie. Grupa ludzi przesuwała ich do przodu, z zapalem zarówno pokazując swoje

niezwykle statki, jak i chcąc popisać się swoimi umiejętnościami na wodzie. Ayla zobaczyła, że ludzie przechodzili po podobnej do drabiny konstrukcji między pomostem a łodzią. Kiedy skierowano ją w tę stronę, zrozumiała, że oczekują od niej tego samego. Większość ludzi przechodziła przez tę kładkę, z łatwością zachowując równowagę, mimo że łódź i pomost poruszały się chwilami w odwrotnych kierunkach, ale Ayla była wdzięczna, że Carlono podał jej rękę.

Usiadła pod baldachimem, między Markenem i Jondalarem, na ławce, która mogła pomieścić jeszcze więcej ludzi. Inni siedzieli na ławach z tyłu i z przodu, a wielu trzymało wiosła o bardzo długich trzonach. Zanim się zorientowała, co się dzieje, zrzucili liny, które przytrzymywały łódź przy pomoście, i znaleźli się na środku rzeki.

Siostra Carlona, Carolio, zaczęła wyśpiewywać silnym głosem rodzaj rytmicznego skandowania, które wybiło się ponad szum Wielkiej Rzeki Matki. Ayla patrzyła zafascynowana na wiosłarzy, którzy wiosłowali pod prąd, zaintrygowana ich równomiernymi uderzeniami wiosel do taktu pieśni, i zdziwiło ją, jak szybko i bez szarpnięć poruszali się w górę rzeki.

Na zakręcie rzeki ściany kamiennego wąwozu zbliżyły się do siebie. Między wznoszącymi się skałami szum wody rozlegał się donośniej i był intensywniejszy. Ayla poczuła, że powietrze zrobiło się chłodniejsze i bardziej wilgotne. Czowała mokry, czysty zapach rzeki i życia w niej - tak odmienny od rześkich, suchych zapachów równin.

Przełęcz rozszerzyła się znowu i po obu stronach rzeki pojawiły się drzewa, które dochodziły do samej wody.

- To miejsce wygląda znajomo - powiedział Jondalar. - Czy to jest miejsce budowy łodzi? Tam się zatrzymamy?

- Nie teraz. Popłyniemy dalej i zawrócimy przy Półrybie.

- Półryba? - spytała Ayla. - Co to takiego?

Siedzący przed nią mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął. Ayla przypomniała sobie, że jest to towarzysz życia Carolio.

- Jego powinnaś zapytać - odezwał się, wskazując na Jondalara. Ayla spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę, którego twarz pokrył rumieniec zażenowania. - Tam właśnie stał się pół-Ramudoi. Nie opowiedział ci o tym? - Wielu ludzi roześmiało się.

- Dlaczego jej nie opowiesz, Barono? - mruknął Jondalar. - Jestem pewien, że to nie będzie pierwszy raz.

- Jondalar ma rację - rzekł Markeno. - To jest jedna z ulubionych opowieści Barona. Carolio mówi, że już się zmęczyła słuchaniem, ale wszyscy wiedzą, że on nie umie się powstrzymać przed opowiedzeniem dobrej historii, niezależnie od tego, ile razy już ją powtarzał.

- No cóż, musisz przyznać, że to było zabawne - powiedział Barono do Jondalara. - Ale to ty powinieneś ją opowiedzieć.

Jondalar uśmiechnął się mimo woli.

- Może to było zabawne dla innych. - Ayla patrzyła na niego zaintrygowana. - Właśnie uczyłem się kierowania małą łodzią - zaczął. - Miałem ze sobą harpun - oszczep na ryby - i wiosłowałem pod prąd, kiedy zobaczyłem przepływające jesiotry. Pomyślałem, że to jest okazja złapania mojej pierwszej sztuki, i nie zastanowiłem się, jak sam wyciągnę taką dużą rybę na ląd ani co się stanie w tak małej łodzi.

- Ta ryba zabrała go na przejażdżkę, jakiej w życiu nie zaznał! - dorzucił Barono.

- Nie miałem nawet pewności, czy potrafię wbić w nią harpun. Nie byłem przyzwyczajony do oszczepów z linkami - ciągnął dalej Jondalar. - Powinienem być się raczej martwić, co się stanie, jeśli mi się uda.

- Nie rozumiem - powiedziała Ayla.

- Kiedy polujesz na łądzie i trafisz oszczepem jakieś zwierzę, na przykład jelenia, to nawet jeśli tylko go zranisz i oszczep wypadnie, możesz zawsze iść jego śladami - tłumaczył Carlon. - Nie możesz iść za rybą do wody. Harpun ma haczyki skierowane do tyłu i przyczepioną mocną linkę, tak że jak raz go wbijesz, zostaje i ryba nie zginie w wodzie. Drugi koniec linki przyczepiony jest do łodzi.

- Jesiotr, którego nadział na harpun, pociągnął go pod prąd, z łodzią i wszystkim - znowu przerwał Barono. - Byliśmy na tamtym brzegu i zobaczyliśmy, jak nas mija, uwieszony u sznura, który był przywiązany do łodzi. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo pędzącego z taką szybkością. To była najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Jondalar myślał, że złapał rybę, ale to ryba złapała Jondalara!

Ayla śmiała się razem z wszystkimi innymi.

- Kiedy ryba wreszcie straciła dość krwi i zdechła, byłem daleko w górze rzeki - opowiadał dalej Jondalar. - Łódź wypełniła się wodą niemal po brzegi i skończyło się na tym, że musiałem płynąć wplaw. W zamieszaniu łódź spłynęła z powrotem z prądem, ale ryba została na płyciznie przy brzegu. Wyciągnąłem ją. Byłem już wtedy dość przemarznięty, ale zgubiłem nóż i nie mogłem znaleźć suchego drewna czy czegokolwiek na rozniecenie ognia. Nagle pojawił się płaskogłowy... z klanu... chłopak.

Oczy Ayli otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Opowieść zaczęła nabierać nowego znaczenia.

- Zaprowadził mnie do swojego ogniska. Była tam również starsza kobieta. Trząśłem się tak bardzo, że dała mi futro wilcze do okrycia się. Kiedy się już rozgrzałem, wróciliśmy nad rzekę.

Pła... chłopak chciał połowę ryby i z przyjemnością mu ją dałem. Przeciął jesiotra wzdłuż i zabrał swoją połowę. Wszyscy, którzy widzieli, jak mnie ryba przeciągnęła obok nich, poszli mnie szukać i właśnie wtedy mnie znaleźli. Mogą się śmiać, ale ja byłem szczęśliwy na ich widok.

- Trudno uwierzyć, że jeden płaskogłowy uniósł sam pół ryby. Pamiętam, że nas trzeba było trzech czy czterech, żeby przenieść pozostałą połowę - powiedział Markeno. - To był duży jesiotr.

- Mężczyźni w klanie są silni - zauważyła Ayla. - Ale nie wiedziałam, że w tym regionie mieszkają jacyś ludzie klanu; myślałam, że tylko na półwyspie.

- Było ich kiedyś całkiem sporo po drugiej stronie rzeki - wyjaśnił Barono.

- Co się z nimi stało? - spytała Ayla.

Ludzie w łodzi, nagle wyraźnie zażenowani, odwrócili wzrok. Wreszcie Markeno powiedział:

- Po śmierci Doralda Dolando zebrał dużo ludzi i... napadł na nich. Po pewnym czasie większość z nich... zniknęła... Może odeszli.

- Pokaż mi to jeszcze raz - poprosiła Roshario, marząc o wypróbowaniu tego własnymi rękami. Tego ranka Ayla nałożyła jej na ramię korę brzożową. Chociaż jeszcze niezupełnie sucha, lekka kora była już wystarczająco sztywna, by trzymać bezpiecznie ramię, i Roshario cieszyła się z większej możliwości ruchu, na jaką ten opatrunek pozwalał. Ayla nie chciała jednak, by już próbowała używać dłoni.

Siedziały razem z Tholie na słońcu, otoczone wieloma miękkimi skórami z kozic. Ayla wyjęła swój pojemnik na przybory do szycia i pokazywała im przeciągacz nici, który wymyśliła i zrobiła przy pomocy Obozu Lwa.

- Najpierw trzeba wyciąć dziurki szydłem w obu kawałkach skóry, które chcesz zszyć - powiedziała Ayla.

- Zawsze tak robimy - odpowiedziała Tholie.

- Ale tego używa się do przeciągania nici przez te dziury. Nitka przechodzi przez tę malutką dziurkę na końcu, więc kiedy wkładasz szpic w nacięcia w skórze i przeciągasz na drugą stronę, ciągnie za sobą nitkę przez oba kawałki, które chcesz połączyć. - W trakcie demonstracji kościanej igły Ayli przyszedł do głowy pomysł. A gdyby był dość ostry, ciekawe, czy przeciągacz nici mógłby również robić dziurki? Skóra bywa oporna.

- Daj zobaczyć - zaciekała się Tholie. - Jak przedostaje się nitka przez tę dziurkę?

- O tak, popatrz - pokazała jej Ayla i oddała igłę kobiecie. Tholie spróbowała kilku ściągów.

- To bardzo łatwe! - ucieszyła się. - Niemalże mogłabym to robić jedną ręką.

Roshario, która się uważnie przypatrywała, uznała, że Tholie chyba ma rację. Chociaż nie wolno jej było poruszać złamanym ramieniem, mogła spróbować przytrzymać dłonią razem dwa kawałki skóry; za pomocą takiego przeciągacza nici będzie w stanie szyć swoją zdrową ręką.

- Nigdy niczego takiego nie widziałam. Jak to wymyśliłaś? - spytała Roshario.

- Nie wiem - odparła Ayla. - Sam pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy nie umiałam czegoś zszyć, ale wielu ludzi mi pomogło. Myślę, że najtrudniej było zrobić krzemienne wiertło dość małe, aby wywiercić nim tę małą dziurkę na końcu. Jondalar pracował nad tym razem z Wymezem.

- Wymez to łupacz krzemienia w Obozie Lwa - Tholie wyjaśniła Roshario. - O ile wiem, jest świetnym łupaczem.

- Wiem, że i Jondalar jest świetnym łupaczem - powiedziała Roshario. - Wymyślił i usprawnił tyle narzędzi, których używamy do robienia łodzi, że wszyscy nie przestawali się tym zachwycać. Małe rzeczy, a taka wielka różnica! Zanim odszedł, zaczął uczyć Darva. Jondalar umie przekazywać wiedzę młodzieży. Może będzie mu mógł pokazać więcej.

- Jondalar powiedział, że się dużo nauczył od Wymeza.

- Może, ale wy oboje potraficie wymyślać lepsze sposoby wykonywania różnych rzeczy - stwierdziła Tholie. - Ten twój przeciągacz nici niesłychanie ułatwi szycie. Zawsze jest trudno przepychać nici szydłem, nawet jak się to umie, a ten miotacz oszczepów Jondalara podniecił wszystkich. Kiedy pokazaliście, co nim można dokonać, niektórzy myśleli, że każdy to potrafi, ale ja nie sądzę, żeby to było takie łatwe, jak się wydaje, kiedy wy to robicie. Myślę, że musieliście niemało się naćwiczyć.

Jondalar i Ayla dali pokaz rzutów miotaczem oszczepów. Dość bliskie podejście do kozicy, żeby ją zabić, wymagało wielkiej zręczności i cierpliwości, kiedy więc myśliwi Shamudoi zobaczyli, na jaką odległość można rzucać oszczep za pomocą miotacza, pełni zapału chcieli go wypróbować podczas polowania na nieuchwytne górskie antylopy. Wielu łowców jesiotra z Ramudoi zapałało takim entuzjazmem, że postanowili dostosować miotacz do harpuna, chcąc sprawdzić, czy zadziała. Jondalar wspominał o swoim pomysle dwuczęściowego oszczepu, z długim tylnym drzewcem oraz z mniejszym, dającym się oddzielić przodem, zakończonym grotem. Słuchacze natychmiast docenili zalety tego wynalazku i w ciągu następnych kilku dni obie grupy wypróbowywały szereg różnych możliwości.

Nagle na dalekim końcu pola powstało zamieszanie. Trzy kobiety spojrzały i zobaczyły wielu ludzi wciągających na górę kosz dostawczy. Kilku wyrostków biegło ku nim.

- Złapali rybę! Złapali rybę miotaczem harpunów! - krzyczał Darvalo do kobiet. - I to samice.

- Chodźmy zobaczyć! - Poderwała się Tholie.

- Idę pierwsza. Dogonię cię, ale najpierw chcę schować przeciągacz nici.

- Poczekam na ciebie, Aylo - powiedziała Roshario. Zanim dołączyły do innych, pierwsza część jesiotra została już rozładowana i posłano kosz w dół po następną. To była wielka ryba, zbyt duża, by ją wciągnąć za jednym razem, ale najlepszą część posłano na górę najpierw: niemal sto kilogramów maleńkich, czarnych jaj jesiotra. Wydawało się pomyślnym znakiem, że rezultatem pierwszego polowania z nową bronią była duża samica.

Na skraj pola przyniesiono stojaki do suszenia ryb i większość ludzi zajęła się krojeniem olbrzyma na małe kawałki. Wielką masę kawioru zanesiono jednak do mieszkalnej części osiedla. Odpowiedzialność za jej rozdział należała do Roshario. Poprosiła Aylę i Tholie, żeby jej pomogły, i dała im trochę na skosztowanie.

- Nie jadłam tego od lat! - wykrzyknęła Ayla i wzięła jeszcze jedną garść. - Najlepiej smakuje świeże, prosto z ryby, i tyle tego jest!

- Całe szczęście, bo inaczej nie zjadłybyśmy zbyt wiele - powiedziała Tholie.

- Dlaczego? - zdziwiła się Ayla.

- Bo ikra jesiotra to jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że skóra z kozic jest taka miękka - wytłumaczyła Tholie. - Większość ikry zużywamy w tym celu.

- Chciałabym zobaczyć, co robicie, żeby skóry były takie miękkie - poprosiła Ayla. - Zawsze lubiłam wyprawianie skór i futer. Kiedy mieszkałam w Obozie Lwa, nauczyłam się farbować skóry i zrobiłam jedną czerwoną. Grozie pokazała mi też, jak się robi białą skórę. Ale podoba mi się również ten wasz żółty kolor.

- Dziwię się, że Grozie była skłonna ci to pokazać - rzekła

Tholie. Spojrzała znacząco na Roshario. - Myślałam, że robienie białej skóry jest tajemnicą Ogniska Żurawia.

- Nie powiedziała, że to tajemnica. Mówiła, że nauczyła się tego od swojej matki, a jej córka nie interesuje się wyprawianiem skór. Wydawała się zadowolona z tego, że ma komu przekazać wiedzę.

- No tak, obie należałyście do Obozu Lwa, więc byłyście rodziną - powiedziała Tholie, chociaż nadal była zdziwiona. - Nie sądzę, że pokazałaby komuś z zewnątrz, tak samo jak my tego nie robimy. Sposób wyprawiania skór kozic jest tajemnicą Sharamudoi. Wszyscy podziwiają nasze skóry i dlatego mają dużą wartość przy wymianie handlowej. Gdyby wszyscy wiedzieli, jak je zrobić, nie byłyby takie wartościowe, no więc nie dzielimy się tymi umiejętnościami.

Ayla kiwnęła głową, ale jej rozczarowanie było widoczne.

- Taak, takie są śliczne, a żółty kolor jest taki jasny.

- Żółty kolor daje woskownica rosnąca na bagnach, ale nie używamy jej z tego powodu. To się dzieje przy okazji. Woskownica sprawia, że skóry zachowują miękkość nawet po zamoczeniu - rzuciła mimowolnie Roshario i zamilkła. Po chwili dodała: - Gdybyś została z nami, Aylo, moglibyśmy cię nauczyć, jak robi się żółte skóry z kozic.

- Została? Jak długo?

- Jak długo zechcesz. Jak długo będziesz żyć, Aylo - powiedziała Roshario, patrząc jej prosto w oczy. - Jondalar to krewniak. Uważamy go za jednego z nas. Nie trzeba dużo, żeby uczynić z niego Sharamudoi. Nawet już kiedyś pracował przy zrobieniu łodzi. Powiedziałas, że jeszcze nie jesteście połączeni. Z pewnością znalazłaby się para, która zechciałaby was na współtowarzyszy, a wtedy moglibyście się połączyć tutaj. Wiem, że wszyscy by was przyjęli z otwartymi rękami. Od czasu, jak zmarł nasz stary Shamud, potrzebujemy uzdrowiciela.

- My bylibyśmy chętni do połączenia się z wami - odezwała się Tholie. Chociaż propozycja Roshario była spontaniczna, wydawała się jak najbardziej właściwa od momentu, kiedy ją wypowiedziała. - Będę musiała pomówić z Markenem, ale jestem pewna, że się zgodzi. Po Jetamio i Thonolanie trudno było znaleźć inną parę, którą chcielibyśmy na współtowarzyszy. Brat Thonolana byłby doskonały. Markeno zawsze lubił Jondalara, a ja będę szczęśliwa, dzieląc chatę z inną kobietą Mamutoi. Uśmiechnęła się do Ayli. - I Shamio będzie zachwycona, gdy będzie miała swojego "Ilka" cały czas obok siebie.

Propozycja zaskoczyła Aylę. Kiedy w pełni zrozumiała jej znaczenie, poczuła się wstrząśnięta. Łzy cisnęły jej się do oczu.

- Roshario, nie wiem, co powiedzieć. Czułam się tu jak w domu od pierwszej chwili. Tholie, to byłoby cudowne dzielić z tobą... - Łzy pociekły jej po policzkach.

Obie kobiety Sharamudoi uznały, że łzy są zaraźliwe, i starały się je odpędzić gwałtownym mruganiem. Uśmiechały się jedna do drugiej, jak gdyby obmyśliły jakiś cudowny plan.

- Jak tylko Markeno i Jondalar wrócą, powiemy im. Markeno poczuje taką ulgę...

- Nie wiem, jak się zachowa Jondalar. - Przerwała Ayla. - Chciał tu przyjść. Nawet zrezygnował z pójścia krótszą drogą, żeby się z wami zobaczyć, ale nie wiem, czy zechce zostać. Mówi, że pragnie wrócić do domu, do swoich ludzi.

- Ale my jesteśmy jego ludźmi - przekonywała Tholie.

- Nie, Tholie. Chociaż mieszkał tu równie długo co jego brat, Jondalar jest nadal Zelandoni. Nigdy nie mógł o tym zapomnieć. Myślałam, że to dlatego nie darzył zbyt silnym uczuciem Serenio - odezwała się Roshario.

- To matka Darvala? - spytała Ayla.

- Tak. - Starsza kobieta zastanawiała się, ile Jondalar opowiedział Ayli o Serenio. - Ale ponieważ jego uczucia do ciebie są oczywiste, więc może po tak długim czasie więzy z jego własnymi ludźmi osłabły. Czy nie podróżowaliście już wystarczająco dużo? Dlaczego macie iść dalej, w taką długą podróż, skoro możecie mieć dom tutaj?

- Poza tym pora dla nas na wybranie pary do połączenia się... przed zimą i przed... nie powiedziałam ci, ale Matka mnie znowu pobłogosławiła... i powinniśmy się połączyć, zanim to dziecko się urodzi.

- Tak mi się zdawało. To cudowne, Tholie - powiedziała Ayla. Jej oczy nabrały rozmarzonego wyrazu. - Może, któregoś dnia, też będę miała niemowlę do przytulenia...

- Gdybyśmy były współtowarzyszkami, dziecko, które noszę, byłoby także twoje, Aylo. I miło byłoby mieć w pobliżu kogoś, kto wiedziałby, jak pomóc. Tylko na wszelki wypadek... chociaż nie miałam żadnych kłopotów przy porodzie Shamio.

Ayla myślała, że któregoś dnia chciałyby mieć własne dziecko, dziecko Jondalara, ale co, jeśli nie będzie mogła? Pilnie piła codziennie swoją poranną herbatę i nie zaszła w ciążę, lecz jeśli to nie z powodu herbaty? Jeśli nie jest w stanie począć w sobie dziecka? Czy nie byłoby cudownie wiedzieć, że dzieci Tholie byłyby również dziećmi jej i Jondalara? To prawda, ta okolica tak bardzo przypominała jej okolicę wokół jaskini klanu Bruna, że czuła się tu jak w domu. Ludzie są tu mili... chociaż nie była pewna Dolanda. Czy rzeczywiście zechce, żeby tu została? I niepokoiła się końmi. Miło było dać im odpocząć, ale czy starczy tu paszy na zimę? I czy jest dość miejsca dla nich na bieganie? A najważniejsze: co z Jondalarem? Czy zechce zrezygnować z podróży z powrotem do krainy Zelandoni i osiąść tutaj?

ROZDZIAŁ 19

Tholie stanęła przed dużym paleniskiem. Jej sylwetka rysowała się na tle czerwonych głowni i wieczornego nieba obramowanego wysokimi ścianami skalnej kotliny. Większość ludzi nadal była na miejscu zgromadzeń tuż pod nawisem z piaskowca, dojadając resztki jeżyn lub popijając herbatę czy świeżo sfermentowane jagodowe wino. Uczta z jesiotra zaczęła się od odrobiny kawioru z wcześniej złapanej samicy. Reszta tych oleistych jaj rybich zostanie zużyta do wyprawienia miękkich skór kozic.

- Chcę coś powiedzieć, Dolando, skoro jesteśmy tu wszyscy razem - oznajmiła Tholie.

Przywódca kiwnął głową, ale to i tak nie miało znaczenia. Tholie ciągnęła dalej, nie czekając na jego przyzwolenie.

- Sądzę, że mówię w imieniu wszystkich, kiedy stwierdzam, że bardzo cieszymy się z obecności Ayli i Jondalara. - Wielu ludzi głośno przytaknęło. - Wszyscy martwiliśmy się o Roshario, nie tylko dlatego, że cierpiała wielkie bóle, ale i dlatego, że baliśmy się, iż utraci możliwość używania ręki. Ayła to zmieniła. Roshario mówi, że nie czuje już bólu, a jak wszystko pójdzie dobrze, jest duża szansa, że będzie mogła w pełni używać ramienia.

Rozległ się chór przyjaznych głosów, wyrażających wdzięczność i życzenia pomyślności.

- Jesteśmy również wdzięczni naszemu krewniakowi Jondalarowi - mówiła dalej Tholie. - Kiedy był z nami przedtem, jego pomysły usprawnień narzędzi były bardzo pomocne, a teraz pokazał nam miotacz, dzięki któremu mamy tę ucztę. - Grupa ludzi znowu wyraziła swoją aprobatę dla jej słów. - Gdy mieszkał z nami, polował zarówno na jesiotry, jak i na kozice, ale nigdy nie powiedział, czy woli łąd, czy wodę. Myślę, że byłby z niego dobry człowiek rzeki...

- Masz rację, Tholie. Jondalar jest Ramudoi! - zawołał jakiś głos.

- A przynajmniej jest pół-Ramudoi! - dodał Barono, co wywołało powszechny śmiech.

- Nie, nie, uczył się o rzece, ale wie dużo o łądzie - powiedziała jedna z kobiet.

- Racja! Zapytaj go! Miotał oszczepem, zanim użył po raz pierwszy harpuna. Jest Shamudoi! - dodał starszy mężczyzna.

- Nawet lubi kobiety, które polują!

Ayła zerknęła, żeby zobaczyć, kto rzucił tę ostatnią uwagę. Była to młoda kobieta, nieco starsza od Darvala, o imieniu Rakario. Lubiała kręcić się zawsze w pobliżu Jondalara, co go trochę irytowało. Skarżył się, że ciągle włazi mu pod nogi.

Jondalar uśmiechał się szeroko na te dobroduszne sprzeczki. Zamieszanie było rezultatem przyjaznego współzawodnictwa między dwiema połowami tego ludu; rodzinną rywalizacją, która

budziła emocje, ale której nigdy nie pozwolono wyjść poza pewne starannie określone ramy. Dozwolone były dowcipy, przechwałki i nawet drobne złośliwości, lecz cokolwiek, co mogło znanadto obrazić czy spowodować prawdziwy gniew, było szybko tłumione i obie strony wspólnymi siłami starały się uspokoić nastroje i załagodzić zranione uczucia.

- Jak powiedziałam, uważam, że z Jondalara byłby dobry rzeczny człowiek - mówiła dalej Tholie, kiedy wszyscy się uciszeli. - Ayla jednak najlepiej zna ład i chciałabym namówić Jondalara, żeby przystał do myśliwych, jeśli tego chce i jeśli oni go zaakceptują. Gdyby Jondalar i Ayla zostali tu i stali się Sharamudoi, chcielibyśmy złożyć im propozycję partnerstwa, ale ponieważ Markeno i ja jesteśmy Ramudoi, oni musieliby zostać Shamudoi.

Wybuchło wielkie podniecenie. Rozległo się wiele zachęcających słów i nawet gratulacji dla obu par.

- To wspaniały pomysł, Tholie - powiedziała Carolio.

- To jest pomysł Roshario - odparła Tholie.

- Ale co sądzi Dolando o przyjęciu Jondalara i Ayli, kobiety wychowanej przez tych, którzy mieszkają na półwyspie? - spytała Carolio, patrząc na przywódcę Shamudoi.

Zaległa cisza. Wszyscy zrozumieli znaczenie jej pytania. Po tak gwałtownej reakcji czy Dolando będzie teraz skłonny zaakceptować Aylę? Ayla miała nadzieję, że jego atak szału zostanie zapomniany, i dziwiła się, że Carolio o tym przypomniwała, ona jednak musiała to zrobić. Było to jej obowiązkiem. Carlono i jego towarzyszka życia byli pierwotnie współtowarzyszami z Dolandem i Roshario i razem założyli tę grupę Sharamudoi, kiedy wraz z kilkoma innymi odeszli ze swojego dość zatłoczonego miejsca urodzenia. Przywódca musiał być zaakceptowany przez wszystkich, w ich grupie - naturalną kolejną rzeczą - pozycję tę zajęli oni. W praktyce towarzyszka życia przywódcy na ogół przejmowała obowiązki przywódczyni, ale kobieta Carlona zmarła, kiedy Markeno był mały. Przywódca Ramudoi nigdy nie wziął innej kobiety i jego siostra bliźniaczka, Carolio, zaopiekowała się chłopcem, jak również przejęła obowiązki jego towarzyszki życia. Z czasem została zaakceptowana jako przywódczyni i do niej należało zadanie tego pytania.

Ludzie wiedzieli, że Dolando pozwolił Ayli na dalsze leczenie swojej kobiety. Roshario potrzebowała pomocy i Ayla w sposób oczywisty dla wszystkich mogła jej udzielić. Nie znaczyło to jednak, że chciałby mieć tę dziewczynę w pobliżu na stałe. Mógł tylko na razie opanowywać swoje uczucia, a chociaż grupa potrzebowała uzdrowiciela, to jednak nie chcieli przyjmować obcego, który mógłby być kłopotliwy dla ich przywódcy i spowodować wśród nich niesnaski.

Kiedy Dolando zastanawiał się nad odpowiedzią, serce podeszło Ayli do gardła. Miała niemiłe uczucie, że zrobiła coś złego i teraz jest za to sądzona. A jednak wiedziała, że niczego złego nie zrobiła. Zirykowało ją to i rozzłościło trochę. Chciała wstać i odejść. Zawiniła tylko tym,

że była sobą. To samo zdarzyło się u Mamutoi. Czy tak będzie już zawsze? Czy to stanie się i wśród ludzi Jondalara? No cóż - pomyślała. Iza i Creb oraz klan Bruna zaopiekowali się nią, i nie zamierza wypierać się tych, których kocha, ale czuła się wyizolowana i wystawiona na ciosy. Nagle poczuła, że ktoś cicho stanął obok niej. Odwróciła głowę, uśmiechnęła się z wdzięcznością do Jondalara i odprężyła się nieco. Wiedziała jednak, że rozprawa toczy się nadal i Jondalar czeka na jej wynik. Uważnie go obserwowała i była pewna, jaka będzie jego odpowiedź na propozycję Tholie. Jondalar czekał jednak na to, co powie Dolando, zanim sam zabierze głos.

Nagle pełną napięcia ciszę przerwał perlisty śmiech Shamio. Razem z kilkorgiem innych dzieci wybiegła z jednego z szałasów, a Wilk pędził w środku gromadki.

- Czy to nie zdumiewające, że Wilk bawi się z dziećmi? - powiedziała Roshario. - ICilka dni temu nie uwierzyłabym, że będę przyglądać się takiemu zwierzęciu wśród dzieci, które kocham, i nie bać się o nie. Może w tym jest coś godnego uwagi.

Gdy poznasz zwierzę, którego kiedyś bałeś się i nienawidziłeś, to możesz je bardzo polubić. Myślę, że lepiej jest starać się zrozumieć niż ślepo nienawidzić.

Dolando zastanawiał się, jak odpowiedzieć na pytanie Carolio. Wiedział, że dużo zależało od tego, co powie, lecz nie był zupełnie pewny, jak ma sformułować swoje myśli i uczucia. Uśmiechnął się do kobiety, którą kochał, wdzięczny za to, że tak dobrze go zna. Zrozumiała, czego mu było potrzeba, i pokazała mu sposób odpowiedzi.

- Ślepo nienawidziłem - zaczął - i ślepo odbierałem życie tym, których nienawidziłem, ponieważ zabrali życie komuś, kogo kochałem. Myślałem, że są krwiożerczymi zwierzętami, i chciałem ich wszystkich zabić, ale to nie spowodowało Doralda z powrotem. Teraz dowiedziałem się, że nie zasługiwali na taką nienawiść. Zwierzęta czy nie, to oni zostali sprowokowani. Muszę z tym żyć, ale...

Dolando przerwał, zaczął coś mówić o tych, którzy wiedzieli więcej, niż mu powiedzieli, a jednak wspierali go w szaleństwie, ale zmienił zdanie.

- Ta kobieta - powiedział, patrząc na Aylę - ta uzdrowicielka powiada, że oni ją wychowali, że nauczyła się swojej sztuki uzdrowicielskiej od jednego z tych, jak sądziłem, złośliwych zwierząt. Nawet jeśli nadal ich nienawidzę, nie mogę czuć tego samego do niej. Dzięki niej została mi zwrócona Roshario. Może pora na próbę zrozumienia. Myślę, że pomysł Tholie jest bardzo dobry. Będę szczęśliwy, jeśli Shamudoi zaakceptują Aylę i Jondalara.

Ayla poczuła niezmierną ulgę. Teraz rozumiała w pełni, dlaczego ten mężczyzna został wybrany na przywódcę swojego ludu. Żyjąc z nim na co dzień, poznali go dobrze i znali zalety jego charakteru.

- No więc, Jondalarze - odezwała się Roshario. - Co powiesz? Nie uważasz, że już czas zrezygnować z tej długiej podróży? Pora osiąść, założyć własne ognisko, pora dać Matce szansę na pobłogosławienie Ayli dzieckiem albo i dwójgim dzieci.

- Brakuje mi słów na wyrażenie wdzięczności za to, że tak nas przyjmujecie, Roshario - zaczął Jondalar. - Czuje, że Sharamudoi są moimi ludźmi, moimi krewnymi. Bardzo łatwo byłoby urządzić sobie dom wśród was i kusi mnie wasza propozycja. Muszę jednak powrócić do Zelandoni. - Zawahał się na moment. - Choćby tylko dla Thonolana.

Przerwał i Ayla spojrzała na niego. Wiedziała, że odmówi, ale oczekiwała, że powie coś innego. Zauważyła, że niemal niedostrzegalnie skinął głową, jakby jeszcze coś przyszło mu na myśl. Potem uśmiechnął się do niej.

- Kiedy umarł, Ayla dała duchowi Thonolana tyle pociechy, ile mogła, na jego podróż do następnego świata, ale obawiam się, że jego duch nie spoczął, mam wrażenie, że wędruje zagubiony i samotny, próbując znaleźć drogę powrotną do Matki.

Jego słowa zaskoczyły Aylę i uważnie mu się przyglądała, kiedy kontynuował.

- Muszę coś zrobić. Ktoś musi mu pomóc znaleźć drogę, ale znam tylko jedną osobę, która jest zdolna to zrobić: Zelandoni, Shamud, bardzo potężny Shamud. Była przy jego urodzeniu. Może przy pomocy Marthony - jego i mojej matki - Zelandoni potrafi odnaleźć jego ducha i poprowadzić go na właściwą ścieżkę.

Ayla wiedziała, że nie to było przyczyną jego pragnienia powrotu, a przynajmniej nie główną przyczyną. Wyczuwała, że to, co powiedział, jest prawdą, ale nagle zdała sobie sprawę, że tak jak odpowiedź, którą mu dała, kiedy pytał o roślinę złotej nici, nie jest to cała prawda.

- Byłeś poza domem tak długo - powiedziała Tholie z widocznym rozczarowaniem. - Nawet jeśli one mogłyby mu pomóc, to skąd wiesz, że twoja matka i ta Zelandoni nadal żyją?

- Nie wiem, Tholie, ale muszę spróbować. Nawet jeśli nie potrafią pomóc, to myślę, że Marthona i pozostali nasi krewni chcieliby wiedzieć, jak szczęśliwy był tutaj z Jetamio, tobą i Markenem. Moja matka z pewnością lubiłaby Jetamio i wiem, że polubiłaby ciebie. - Kobieta próbowała tego nie okazać, ale przyjemnie jej się zrobiło od tych słów mimo rozczarowania. - Thonolan odbył wielką podróż, i to zawsze była jego podróż. Ja tylko poszedłem za nim, żeby go pilnować. Chcę o tym opowiedzieć. Przeszedł do końca Wielkiej Rzeki Matki, a co ważniejsze, znalazł tutaj miejsce, wśród ludzi, którzy go kochali. Ta historia zasługuje na opowiedzenie.

- Jondalarze, mam wrażenie, że nadal próbujesz iść za swoim bratem, opiekować się nim nawet na drugim świecie - odezwała się Roshario. - Jeśli musisz to zrobić, to możemy ci tylko życzyć powodzenia. Myślę, że Shamud powiedziałby nam, że musisz iść swoją własną drogą.

Ayla zastanawiała się nad słowami Jondalara. Propozycja Tholie i Sharamudoi, żeby przystali do nich, nie była uczyniona bez głębokiego namysłu. Było to okazanie przyjaźni i uhonorowanie, i dlatego bardzo trudno odmówić takiej propozycji, nikogo nie obrażając. Tylko silna potrzeba wypełnienia jakiegoś wyższego celu, konieczność podążenia za czymś, czego nie można zlekceważyć, mogła usprawiedliwić odmowę. Jondalar postanowił nie wspominać, że chociaż uważał ich za krewnych, nie byli tymi, za którymi tęsknił, a to, co przemilczał, pozwoliło, że obie strony zachowały godność i honor.

W klanie powstrzymanie się od powiedzenia wszystkiego do końca było dozwolone, aby zapewnić element prywatności w społeczeństwie, w którym trudno ukryć cokolwiek, ponieważ uczucia i myśli mogły tak łatwo być odczytane z postawy, wyrazu twarzy i nieznacznych gestów. Jondalar okazał wrażliwość i niezbędny szacunek ofiarodawcom. Ayla miała wrażenie, że Roshario podejrzewa, jaka jest prawda, ale akceptuje jego wymówkę. Dostrzegła subtelność tej gry, ale chciała nad tym pomyśleć, i zrozumiała, że hojne propozycje mogą być kłopotliwe.

- Jak długo zostaniesz, Jondalarze? - spytał Markeno.

- Zaszliśmy dalej, niż sądziłem, że dojdziemy o tej porze. Spodziewałem się, że dotrzemy tutaj jesienią. Myślę, że to z powodu koni poruszamy się szybciej, niż przewidywałem. Nadal jednak mamy przed sobą bardzo daleką drogę i wiele trudnych przeszkód. Chciałbym pójść dalej tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Jondalarze, nie możemy odejść zbyt szybko - wtrąciła się Ayla. - Nie mogę odejść, póki ramię Roshario nie będzie wyleczone.

- Ile to zabierze czasu? - Jondalar zmarszczył czoło.

- Powiedziałam Roshario, że kora brzozowa musi unieruchamiać jej ramię przez jeden cykl księżyca i przez pół następnego.

- To zbyt długo. Nie możemy czekać aż do tego czasu!

- A jak długo możemy? - spytała Ayla.

- Dużo krócej.

- Ale kto zdejmie korę? Kto będzie wiedział, kiedy jest właściwa pora?

- Wysłaliśmy posłańca po Shamuda - wtrącił się Dolando. - Czy inny uzdrowiciel nie będzie tego wiedział?

- Chyba tak, ale wolałabym porozmawiać z tym Shamudem. Jondalarze, czy przynajmniej nie moglibyśmy zostać, aż on tu przyjdzie?

- Jeśli to nie potrwa zbyt długo. Ale może rozważysz, czy nie mogłabyś powiedzieć Dolandowi i Tholie, co robić, tak na wszelki wypadek.

Jondalar wyczesał Zawodnika i zdawało mu się, że sierść ogiera urosła i zrobiła się gęstsza. Rano wyczuł w powietrzu wyraźny przymrozek, a ogier wydawał się wyjątkowo rozbrykany.

- Zdaje się, że jesteś równie chętny do dalszej podróży jak ja - powiedział. Koń zastrzygł uszami, a Whinney podrzuciła łeb i zarżała. - Także chcesz już ruszyć, prawda, Whinney? To właściwie nie jest dobre miejsce dla koni. Potrzebna wam otwarta przestrzeń, miejsce, gdzie możecie biegać. Muszę przypomnieć o tym Ayli.

Klepnął Zawodnika po zadzie i zawrócił pod nawis skalny. Roshario wygląda znacznie lepiej - pomyślał, kiedy ją zobaczył przy dużym palenisku. Siedziała sama i próbowała szyć jedną ręką za pomocą przeciągacza nici.

- Wiesz, gdzie jest Ayli? - zapytał.

- Poszła gdzieś z Tholie. Zabrały Wilka i Shamio. Powiedziały, że idą do miejsca budowy łodzi, ale myślę, że Tholie chciała pokazać Ayli Drzewo Marzeń i złożyć ofiarę z prośbą o łatwy poród i zdrowe dziecko. Już widać teraz, że jest pobłogosławiona.

Jondalar przykucnął obok niej.

- Roshario, chciałem cię o coś zapytać, o Serenio. Okropnie się czułem, że tak ją zostawiłem. Czy była... szczęśliwa, kiedy stąd odeszła?

- Z początku była bardzo nieszczęśliwa. Powiedziała, że chciałaś nawet zostać, ale kazała ci iść z Thonolanem. Jemu byłeś bardziej potrzebny. Wtedy niespodziewanie przyszedł kuzyn Tholie. Bardzo jest do niej podobny i też mówi, co myśli.

Jondalar uśmiechnął się.

- To ich sposób bycia.

- Jest do niej również podobny z wyglądu. Jest dużo niższy od Serenio, ale silny. Szybko podjął decyzję. Spojrzał na nią jeden raz i uznał, że to jest kobieta dla niego - nazywał ją "piękna wierzba". Nie przypuszczałam, że uda mu się ją przekonać, niemalże powiedziałam mu, iż szkoda jego zachodu - oczywiście, nic, co bym powiedziała, nie powstrzymałoby go - ale uważałam to za beznadziejne. Sądziłam, iż ona nikim się nie potrafi zadowolić po tobie. Jednak któregoś dnia zobaczyłam, jak się razem śmiali, i zrozumiałam, że nie mam racji. To było jak powrót do życia po długiej zimie. Rozkwitła. Nie widziałam jej takiej szczęśliwej od czasów, kiedy żył jej pierwszy mężczyzna i kiedy urodziła Darva.

- Cieszę się - powiedział Jondalar. - Zasługuje na szczęście. Zastanawiałem się jednak, kiedy odchodziłem... Powiedziała, że może Matka ją pobłogosławiła. Czy Serenio była w ciąży? Czy poczęła nowe życie, może z mojego ducha?

- Nie wiem, Jondalarze. Pamiętam, iż po twoim odejściu powiedziała, że może jest w ciąży. Jeśli tak, to byłoby to szczególne błogosławieństwo jej nowego związku, ale nie powiedziała mi nic pewnego przed odejściem.

- Ale jak myślisz, Roshario? Czy wyglądała, jakby była? Chodzi mi o to, czy można to stwierdzić tylko na oko, jeśli ciąża jest wczesna?

- Chciałabym móc ci odpowiedzieć, Jondalarze, ale nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że to jest możliwe.

Roshario przyglądała mu się uważnie i zastanawiała, dlaczego był tego tak ciekawy. Dziecko nie byłoby przecież dzieckiem jego ogniska - zrzekł się tego, odchodząc - chociaż, jeśli Serenio była w ciąży, dziecko najprawdopodobniej byłoby z jego ducha. Nagle uśmiechnęła się na myśl o synu Serenio, wzrostu Jondalara, urodzonym przy ognisku niskiego mężczyzny Mamutoi. Roshario uznała, że prawdopodobnie byłby z tego zadowolony.

Jondalar otworzył oczy i zobaczył koło siebie odrzucone skóry i puste posłanie. Odsunął przykrycie, usiadł na krawędzi spalnej platformy, ziewnął i przeciągnął się. Rozejrzał się wokół i zdał sobie sprawę, że zaspał. W chacie nie było nikogo. Poprzedniego wieczoru przy ognisku mówiono coś o polowaniu na kozice. Ktoś widział je, jak schodziły z wysokich turni, a więc sezon polowań na te górskie, podobne do kóz antylopy wkrótce się zacznie.

Ayla była bardzo podniecona perspektywą polowania na kozice, lecz kiedy się położyli i cicho ze sobą rozmawiali, Jondalar przypomniał jej, że wkrótce muszą odejść. Kozice schodziły na dół, gdy na wysokich łąkach robiło się zimno, a to oznaczało zmianę pory roku. Mieli jeszcze daleką drogę przed sobą i powinni już wyruszyć. Nie kłócili się właściwie, ale Ayla dała do zrozumienia, iż nie chce iść. Mówiła o ramieniu Roshario, choć bez wątplenia chciałyby też zapolować na kozice. Właściwie był pewien, że chce zostać z Sharamudoi, i zastanawiał się, czy odsuwa moment wymarszu w nadziei, że on zmieni zdanie. Bardzo się już zaprzyjaźniła z Tholie, a wszyscy inni zdawali się ją lubić. Cieszyła go łatwość, z jaką zdobywała sympatię ludzi, ale to tylko utrudniało odejście, a im dłużej zwlekali, tym trudniej będzie jej się z nimi rozstać.

Leżał bezsennie do późna w nocy i rozmyślał. Zastanawiał się, czy nie powinni zostać ze względu na nią, ale w takim razie równie dobrze mogli zostać z Mamutoi. Doszedł wreszcie do wniosku, że muszą odejść jak najszybciej, nazajutrz albo najdalej za dwa dni. Wiedział, że Ayla będzie z tej decyzji niezadowolona, i nie był pewien, jak jej to powiedzieć.

Wstał, nałożył spodnie i poszedł do wyjścia. Odsunął zasłonę, wyszedł na dwór i poczuł ostry, zimny wiatr na gołej piersi. Będę musiał się cieplej ubrać - pomyślał, idąc szybko w stronę miejsca, gdzie mężczyźni zwykle oddawali mocz. Zamiast chmury kolorowych motyli, które na ogół latały w pobliżu - zastanawiał się, co je tak przyciągało do tego ostro cuchnącego miejsca -

nagle zauważył opadające liście i zobaczył, że te, które jeszcze były na drzewach, zaczęły zmieniać kolory.

Dlaczego nie widział tego wcześniej? Dni mijały tak szybko i pogoda była taka przyjemna, iż nie zwracał uwagi na zmianę pory roku. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że osada była zwrócona w południowym kierunku i że sama kraina jest położona na południu. Może być już znacznie później, niż sądził, i znacznie zimniej na północy, dokąd szli. Kiedy biegł z powrotem do chaty, był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany odejść stąd jak najprędzej.

- Wstałeś - powiedziała Ayla, która weszła razem z Darvalem, kiedy Jondalar się ubierał. - Właśnie miałam cię obudzić, zanim całe jedzenie zostanie schowane.

- Ja tylko nakładam coś ciepłego. Jest zimno na dworze - odparł. - Wkrótce będzie pora na zapuszczenie brody.

Ayla wiedziała, że mówi jej więcej, niż znaczyły same słowa. Kontynuował rozmowę z poprzedniego wieczora; pogoda się zmieniała i muszą odejść. Nie chciała o tym mówić.

- Chyba powinniśmy rozpakować zimowe ubrania i upewnić się, czy się nie zniszczyły. Czy kosze nośne są nadal u Dolanda? - spytał.

Wie, że tam są. Dlaczego mnie pyta? Dobrze wiesz, dlaczego - powiedziała do siebie i próbowała wymyślić sposób na zmianę tematu.

- Tak, są tam - odezwał się Darvalo, starając się pomóc.

- Potrzebna mi cieplejsza koszula. Pamiętasz, w którym koszu są moje zimowe ubrania, Aylo?

Oczywiście, że pamiętała. I on również.

- Ubrania, jakie teraz nosisz, zupełnie nie są podobne do tych, w których przyszedłeś pierwszy raz - zauważył Darvalo.

- Dostałem je od kobiety Mamutoi. Kiedy przyszedłem do was po raz pierwszy, nadal nosiłem ubrania Zelandoni.

- Próbowałem nosić tę koszulę, którą mi dałeś. Jeszcze jest na mnie za duża, ale już nie tak bardzo.

- Nadal masz tę koszulę, Darvo? Prawie zapomniałem, jak wygląda.

- Chcesz ją zobaczyć?

- Tak, chciałbym - powiedział Jondalar. Wbrew samej sobie również Ayla była ciekawa.

Przeszli kilka kroków do drewnianej chaty Dolanda. Z półki nad swoim posłaniem Darvalo zdjął porządnie zapakowaną paczkę. Rozwiązał sznurek, rozwinął opakowanie ze skór i wyjął koszulę.

Jest niezwykła - pomyślała Ayla. Ozdobne wzory, jak również dłuższy i luźniejszy krój zupełnie nie przypominały odzieży Mamutoi, do której była przyzwyczajona. Ale jedna rzecz zdumiała ją najbardziej: koszula była ozdobiona czarno zakończonymi, białymi ogonami gronostajów.

Nawet Jondalarowi wydała się obca. Tak wiele zdarzyło się od czasu, kiedy po raz ostatni nosił tę koszulę, że wydała mu się niemal osobliwie staromodna. W ciągu lat, kiedy mieszkał z Sharamudoi, nie nosił jej często, bo wolał ubierać się jak wszyscy inni, i chociaż minęło niewiele więcej ponad rok od czasu, gdy podarował ją Darvowi, zdawało mu się, że już od wieków nie widział ubrania ze swoich stron rodzinnych.

- To ma być luźne, Darvo. Nosi się je z rzemieniem w pasie. Dalej, nakładaj. Pokażę ci. Masz coś do przewiązania? - spytał Jondalar.

Chłopak wciągnął przez głowę ozdobną skórzaną koszulę, przyciętą jak tunika, i podał Jondalarowi długi skórzany rzemyk. Jondalar kazał mu się wyprostować i związał rzemyk dość nisko, niemal na biodrach. Koszula zwieszała się nad rzemieniem tak, że gronostajowe ogony wisały luźno.

- Widzisz? Wcale nie jest na ciebie za duża, Darvo - powiedział Jondalar. - Co sądzisz, Aylo?

- Jest niezwykła, nigdy nie widziałam takiej koszuli. Ale wygląda znakomicie, Darvalo - odrzekła.

- Podoba mi się. - Młody człowiek podniósł ramiona i spoglądał w dół, żeby zobaczyć, jak wygląda. Może nałoży ją następnym razem, gdy pójdą w odwiedziny do Sharamudoi, którzy mieszkają w dole rzeki. Może jej się spodoba, tej dziewczynie, którą tam zauważył.

- Dobrze, że miałem szansę pokazać ci, jak to nosić... - powiedział Jondalar - zanim odejdziemy.

- Kiedy odchodzicie? - zapytał zaskoczony Darvalo.

- Jutro albo najdalej pojutrze - odparł Jondalar, patrząc prosto na Aylę. - Jak tylko będziemy gotowi.

- Po tej stronie gór mogą zacząć się deszcze - powiedział Dolando. - A pamiętasz, jaka jest Siostra, kiedy jest wezbrana.

- Mam nadzieję, że nie będzie tak źle - rzekł Jondalar. - Potrzebowalibyśmy jednej z waszych dużych łodzi, żeby ją przebyć.

- Jeśli chcecie podążać łodzią, to możemy was zabrać aż do Siostry - zaproponował Carlono.

- I tak potrzebujemy woskownicy - dodała Carolio. - A tam właśnie rośnie.

- Wspaniale byłoby popłynąć w górę rzeki w waszej łodzi, ale nie sądzę, że zmieszczą się w niej konie - zauważył Jondalar.

- Mówiłeś przecież, że potrafia przepłynąć rzekę. To może potrafia płynąć za łodzią - podsunął Carlono. - A Wilk mógłby siedzieć w łodzi.

- Tak, konie potrafia przepłynąć rzekę, ale do Siostry jest daleka droga. O ile pamiętam, trwa wiele dni - odparł Jondalar. - Nie sądzę, by mogły płynąć pod prąd na taką odległość.

- Jest droga przez góry - powiedział Dolando. - Będziecie musieli trochę się cofnąć, potem pójść w górę i dokoła jednego z niższych szczytów, ale szlak jest oznaczony i doprowadzi was blisko miejsca, gdzie Siostra łączy się z Matką. Tam jest taki wysoki grzbiet zaraz na południe, który łatwo dostrzec nawet z odległości, jak raz zejdziesz na zachodnie niziny.

- Ale czy to jest najlepsze miejsce na przekraczanie Siostry? - spytał Jondalar, pamiętając szeroko rozlane, wirujące wody.

- Może nie, ale stamtąd możecie iść wzdłuż Siostry na północ, póki nie znajdziecie lepszego miejsca, choć to nie jest rzeka łatwa do przekraczania. Jej dopływy schodzą z gór szybkimi strumieniami, prąd ma dużo bardziej wartki niż Matka i jest bardziej zdradliwa - dorzucił Carlono. - Kiedyś płynęliśmy nią w górę przez prawie pełen cykl księżyca. Cały czas była szybka i kłopotliwa.

- Żeby wrócić do domu, muszę iść wzdłuż Matki, a to oznacza przejście Siostry - rzekł Jondalar.

- Mogę ci tylko życzyć szczęścia.

- Będziecie potrzebowali żywności - odezwała się Roshario. - Mam coś dla ciebie, Jondalarze.

- Nie mamy wiele miejsca na dodatkowe rzeczy.

- To jest dla twojej matki. Ulubiony naszyjnik Jetamio. Trzymałam go, żeby dać Thonolanowi, kiedy wróci. Nie zajmie dużo miejsca. Po śmierci matki Jetamio potrzebna była pewność, że gdzieś przynależy. Powiedziałam jej, by zawsze pamiętała, że jest Sharamudoi. Zrobiła naszyjnik z zębów kozic i kręgów małego jesiotra, żeby reprezentowały ląd i wodę. Myślę, że twoja matka chciałaby mieć coś, co należało do kobiety wybranej przez jej syna.

- Masz rację. Chciałaby - odrzekł Jondalar. - Dziękuję. Wiem, że to będzie dużo znaczyło dla Marthony.

- Gdzie jest Ayla? Także dla niej coś mam. Myślę, że znajdzie na to miejsce - powiedziała Roshario.

- Jest z Tholie, pakują rzeczy - odparł Jondalar. - Ona właściwie nie chce odejść, a przynajmniej chce poczekać, aż twoje ramię się zagoi. Ale my naprawdę nie możemy dłużej czekać.

- Z pewnością nic mi się nie stanie. - Roshario poszła z nim razem do chaty. - Ayla zdjęła wczoraj starą korę i nałożyła nową. Poza tym, że ramię schudło od nieużywania, wygląda na wygojone, ale ona chce, żebym jeszcze trochę to nosiła. Mówi, że jak zacznę posługiwać się ramieniem, to się z powrotem wypełni.

- Z pewnością.

- Nie wiem, dlaczego jeszcze tu nie dotarli posłaniec z Shamudem, ale Ayla wytłumaczyła nam, co trzeba zrobić, nie tylko mnie, pokazała także Dolandowi, Tholie, Carolio i kilku innym. Z pewnością damy sobie radę, chociaż wolałabym, żebyście oboje zostali tutaj. Jeszcze nie jest za późno na zmianę decyzji...

- To, że przyjęliście nas tak ciepło, znaczy dla mnie więcej, niż potrafię ci powiedzieć, Roshario... Szczególnie z Dolandem i Ayli... wychowaniem...

Zatrzymała się i spojrzała na wysokiego mężczyznę.

- To cię niepokoiło, prawda? Jondalara zalała gorąca fala wstydu.

- Tak - przyznał. - Teraz już nie, ale wiedząc, co Dolando myśli na ich temat, zdecydowaliście się ją zaakceptować, co czyni... Nie umiem tego wytłumaczyć. Czuję ulgę. Nie chcę, żeby ją ktoś zranił. Przeżyła już wystarczająco dużo.

- I to dodało jej siły - powiedziała Roshario, widząc niepokój i zmartwienie w jego oczach. - Byłeś poza domem bardzo długo, Jondalarze. Poznałeś wielu ludzi, nauczyłeś się innych obyczajów, innych zachowań, nawet innych języków. Twój własny ludzki mogą cię nie poznać - nie jesteś tym samym człowiekiem, który od nich odchodził, a oni mogą być nieco inni, niż pamiętasz. Będziecie myśleć o sobie wzajemnie w kategoriach tego, kim byliście, a nie tego, kim jesteście.

- Tak się martwiłem o Aylę. Nie pomyślałem o tym, ale masz rację. Minęło bardzo dużo czasu. Ona może pasować tam lepiej niż ja. Będą dla niej obcy i szybko się o nich wszystkiego nauczy, tak jak to zawsze robi...

- A ty będziesz się spodziewał tego, co zostawiłeś - dodała Roshario, znowu ruszając w stronę drewnianych szałasów. Zanim weszli, stanęła jeszcze raz. - Zawsze będzie tu dla ciebie miejsce, Jondalarze. Dla was obojga.

- Dziękuję, ale to jest taka daleka droga. Nie masz pojęcia, jak daleka, Roshario.

- To prawda. Nie mam pojęcia. Ale ty masz i jesteś przyzwyczajony do podróżowania. Gdybyś kiedykolwiek zdecydował, że chcesz tu wrócić, droga nie wyda ci się tak daleka.

- Dla kogoś, kto nigdy nie pragnął ruszać się z miejsca, podróżowałem za dużo - przyznał Jondalar. - Gdy raz wrócę, dni mojej wędrówki przeminą. Miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że pora osiąść, ale łatwiej mi będzie na nowo przywyknąć do domu, skoro będę wiedział, że mam wybór.

Odsunął zasłonę wejściową, ale w środku znaleźli tylko Markena.

- Gdzie jest Ayla? - spytał Jondalar.

- Poszła razem z Tholie po te rośliny, co się suszą. Nie widziałaś ich, Roshario?

- Szliśmy od pola. Myślałem, że jest tutaj - powiedział Jondalar.

- Była. Ayla opowiadała Tholie o swoich lekach. Kiedy zbadała wczoraj twoje ramię, Roshario, i zaczęła wyjaśniać, co należy z nim robić, nie rozmawiały o niczym innym, tylko o roślinach leczniczych. Ta kobieta wie mnóstwo, Jondalarze.

- O, tak. Nie rozumiem, jak ona to wszystko pamięta!

- Poszły rano i wróciły z pełnymi koszami. Wszystko w nich było. Nawet maleńkie, żółte jakby nitki roślinne. Teraz opowiada, jak się je przygotowuje - ciągnął Markeno. - Straszna szkoda, że odchodzicie, Jondalarze. Tholie będzie bardzo tęsknić za Ayla. Wszystkim nam będzie was brakować.

- Nie jest łatwo odejść, ale...

- Wiem. Thonolan. To mi przypomina, że coś chcę ci dać. - Markeno zaczął przeszukiwać drewniane pudło, wypełnione różnymi narzędziami i przyrządami z drewna, kości i rogu.

Wyciągnął dziwnie wyglądający przedmiot, zrobiony z pierwszego rozgałęzienia poroża, z odciętymi odnogami i dziurą tuż pod miejscem, gdzie się łączyły. Ozdabiały go ryty, ale nie geometryczne i stylizowane formy ptaków i ryb, typowe dla Sharamudoi. Zamiast tego wokół uchwytu wyrzeźbione były piękne, realistyczne podobizny zwierząt, jelenia i koziorożca. Z jakiegoś powodu Jondalara przeszedł dreszcz. Przyjrzał się bliżej i rozpoznał.

- To jest prostownik oszczepów Thonolana! - Ileż razy widział swojego brata używającego tego narzędzia. Nawet pamiętał, kiedy Thonolan go dostał.

- Pomyślałem, że może to zechcesz na pamiątkę. Może też okaże się pomocne w poszukiwaniu jego ducha. Poza tym, kiedy złożycie go... jego ducha... na odpoczynek, to może tego chcieć - powiedział Markeno.

- Dziękuję, Markeno. - Jondalar wziął narzędzie i przyjrzał mu się z zachwytem i szacunkiem. Było tak bardzo zrosnięte z jego bratem, że przyniosło falę wspomnień. - To bardzo dużo dla mnie znaczy. - Podniósł prostownik, mając wrażenie obecności Thonolana. - Chyba masz rację. Jest w tym tak dużo z niego, że niemal go czuję.

- Mam coś dla Ayli i to chyba właściwa pora, żeby jej dać - powiedziała, wychodząc, Roshario. Jondalar przyłączył się do niej.

Ayla i Tholie szybko podniosły głowy, kiedy weszli do chaty Roshario, i przez moment kobieta miała dziwne uczucie, że przerwali coś osobistego czy tajnego, ale powitalne uśmiechy rozproszyły jej obawy. Poszła na tyły chaty i zdjęła z półki paczkę.

- To dla ciebie, Aylo - rzekła. - Za pomoc, jakiej mi udzieliłaś. Owinęłam to, żeby się nie zabrudziło w czasie podróży. Możesz potem używać opakowania jako ręcznika.

Ayla, zdziwiona i zadowolona, odwiązała sznurek i rozwinęła miękką skórę kozicy. Ujrzała złożoną żółtą skórę, pięknie ozdobioną paciorkami i kolcami. Podniosła ją i zaparło jej dech. To była najpiękniejsza tunika, jaką kiedykolwiek widziała. Pod nią leżała para kobiecych spodni, pełna ozdób z przodu nogawic i wokół siedzenia, odpowiadających wzorowi na tunice.

- Roshario! To jest takie piękne. Nigdy nie widziałam niczego równie wspaniałego. Zbyt piękne, żeby to nosić - wykrzyknęła.

Odłożyła prezent i uściskała Roshario. Po raz pierwszy Roshario zauważyła dziwny akcent Ayli, ten specyficzny sposób wymawiania niektórych słów, ale nie było to nieprzyjemne.

- Mam nadzieję, że będzie na ciebie pasowało. A może przymierzysz, żebyśmy zobaczyli? - zaproponowała Roshario.

- Naprawdę myślisz, że mogę? - spytała Ayla, niemal bojąc się dotknąć ubrania.

- Musisz wiedzieć, czy to pasuje, żebyś mogła włożyć na ceremonię zaślubin z Jondalarem.

Ayla uśmiechnęła się do Jondalara, podniecona i szczęśliwa z tego prezentu, ale powstrzymała się przed powiedzeniem, że ma już zaślubinową tunikę, którą jej dała Nezzie z Obozu Lwa. Nie mogła przecież nosić obu naraz, ale z pewnością znajdzie się jakaś szczególna okazja do włożenia tej pięknej, nowej odzieży.

- Też mam coś dla ciebie, Aylo. Nic tak pięknego, ale za to praktycznego - odezwała się Tholie i podała jej garść miękkich skórzanych podpasek, które miała schowane w woreczku zwieszającym jej się u pasa.

Ayla wzięła je, unikając wzroku Jondalara. Dobrze wiedział, do czego służą.

- Skąd wiedziałaś, że potrzebuję nowych podpasek na mój czas księżycowy?

- Kobiecie zawsze przydadzą się dodatkowe, szczególnie w podróży. Mam również dobrą, wchłaniającą wyściółkę. Rozmawialiśmy o tym z Roshario. Pokazała mi to ubranie i też chciałam ci dać coś pięknego, ale nie możesz brać ze sobą dużo w podróż. No więc zaczęłam myśleć o tym, co ci może być potrzebne - Tholie tłumaczyła się ze swojego bardzo praktycznego podarunku.

- To jest doskonałe. Nie mogłaś wymyślić niczego bardziej mi przydatnego. - Ayla odwróciła głowę i zamrugała powiekami. - Będzie mi ciebie brakować.

- Dobrze, dobrze, jeszcze nie odchodzisz. Dopiero jutro rano. Teraz jeszcze nie pora na łzy - powiedziała Roshario, chociaż jej własne oczy były podejrzenie wilgotne.

Wieczorem Ayla wyjęła zawartość obu koszy nośnych i rozłożyła wszystko, co chciała zabrać, próbując zdecydować, jak to wszystko zmieścić, włącznie ze sporą ilością żywności, jaką dostali. Jondalar weźmie część tego, ale on też nie ma dużo miejsca. Wielokrotnie dyskutowali sprawę miskowej łódki, zastanawiając się, czy jej przydatność przy przeprawach przez rzeki

347 warta jest wysiłku transportowania jej przez zalesione górskie zbocza. Wreszcie zdecydowali się ją zabrać, ale nie bez obawy.

- Jak zmieścisz to wszystko w dwóch tylko koszach? - spytał Jondalar, patrząc na stertę tajemniczych zawiniątek i paczek i martwiąc się, że zabierają zbyt dużo. - Jesteś pewna, że to wszystko jest ci potrzebne? Co jest w tej paczce?

- Wszystkie moje letnie ubrania. Jeśli muszę, to tę właśnie paczkę zostawię, ale będzie mi potrzebne ubranie następnego lata. Cieszę się tylko, że już nie muszę pakować zimowego ubrania.

- Hmmm! - mruknął, nie umiejąc znaleźć błędu w jej rozumowaniu, ale nadal zatroskany o wielkość ładunku. Obejrzał stertę i spostrzegł paczkę, którą już kiedyś widział. Nosiła ją od początku podróży, ale nadal nie wiedział, co w niej jest. - A co jest w tej?

- Jondalarze, nie pomagasz - powiedziała Ayla. - Weź lepiej te placki podróźnej żywności, które dostaliśmy od Carolio, i zobacz, czy się nie zmieszczą w twoim koszu nośnym.

- Wolno, Zawodnik. Spokojnie - powiedział Jondalar. Ściągnął do dołu postronek i trzymając go mocno, poklepał ogiera po łbie oraz pogłaskał po karku, starając się go uspokoić. - On chyba wie, że jesteśmy gotowi i chce już wyruszyć.

- Ayla na pewno zaraz przyjdzie - rzekł Markeno. - One się niezmiernie zaprzyjaźniły w tym krótkim czasie. Tholie płakała zeszłej nocy; chciała, żebyście zostali. Prawdę mówiąc, też mi przykro, że odchodzicie. Rozglądaliśmy się i rozmawialiśmy z kilkorgiem ludzi, ale nie znaleźliśmy nikogo, z kim chcielibyśmy się stowarzyszyć, aż wyście przyszli. Już wkrótce musimy się zdecydować. Jesteś pewien, że nie zmienisz decyzji?

- Nie wiesz, Markeno, jak trudno było ją podjąć. Kto wie, co nas czeka, kiedy już dojdziemy? Moja siostra będzie dorosła i pewnie mnie nawet nie pamięta. Nie mam pojęcia, co się dzieje z moim starszym bratem. Mam tylko nadzieję, że moja matka nadal żyje, jak również Dalanar, mężczyzna mojego ogniska. Moja bliska kuzynka, córka jego drugiego ogniska, jest już pewnie matką, a ja nawet nie wiem, czy ma towarzysza życia. Jeśli ma, to ja go najprawdopodobniej nie znam. Właściwie nikogo tam już nie będę znać, a czuję się tak bliski wszystkim tutaj. Muszę jednak iść.

Markeno pochylił głowę. Whinney cicho zarżała i oboje spojrzeli w górę. Roshario, Ayla i Tholie, która trzymała Shamio na rękach, wychodziły z chaty. Na widok Wilka mała dziewczynka zaczęła się wyrywać.

- Nie wiem, co zrobię z Shamio, jak Wilk odejdzie - powiedział Markeno. - Chce cały czas mieć go w pobliżu. Spałaby z nim, gdybym jej pozwolił.

- Może znajdziesz dla niej wilczego szczeniaka - doradził podchodzący Carlono. Właśnie wszedł na górę z przystani.

- Nie pomyślałem o tym. To nie będzie łatwe, ale może uda mi się wyciągnąć szczeniaka z wilczego gniazda - zadumał się Markeno. - A przynajmniej mogę jej obiecać, że spróbuję. Coś jej muszę powiedzieć.

- Jeśli się na to zdecydujesz - ostrzegł Jondalar - to pamiętaj, żeby był bardzo mały. Wilk jeszcze ssał, kiedy jego matka umarła.

- Jak Ayla go wykarmiła, skoro nie było matki, która dawałaby mu mleko? - zaniepokoił się Carlono.

- Mnie to też zastanawiało - odparł Jondalar. - Ona mówi, że dzieci mogą jeść wszystko to, co jedzą ich matki, ale musi to być miększe i łatwiejsze do żucia. Gotowała zupę, moczyła w niej kawałek skóry i dawała mu to ssać. Mięso kroila mu na malusieńkie kawałeczki. Teraz je to wszystko, co i my, ale lubi polować dla siebie. Czasem nawet płoszy zwierzynę dla nas i pomógł nam upolować tego jelenia, którego mięso przynieśliśmy.

- Jak go jednak zmuszacie, żeby robił to, co chcecie? - spytał Markeno.

- Ayla poświęca temu wiele czasu. Pokazuje mu i powtarza wielokrotnie, aż zapamięta. To zdumiewające, ile on się potrafi nauczyć i jak chce, żeby była z niego zadowolona - powiedział Jondalar.

- To widać. Czy myślisz, że to może się udać tylko jej? W końcu jest Shamudem - zastanawiał się Carlono. - Czy każdy potrafiłby namówić zwierzęta, żeby wykonywały jego wolę?

- Jeżdżę na grzbiecie Zawodnika, a nie jestem Shamudem.

- Nie byłbym tego zbyt pewien - powiedział Markeno ze śmiechem. - Pamiętaj, że widziałem cię w towarzystwie kobiet. Myślę, że każdą potrafiłbyś namówić, aby robiła to, co chcesz.

Jondalar zaczerwienił się. Od dawna już o tym nie myślał. Kiedy Ayla podeszła, zastanowił ją ten rumieniec, ale wtedy dołączył się Dolando, który nadszedł z drugiej strony.

- Pójdę z wami część drogi, żeby pokazać szlak i najlepsze przejście przez góry - powiedział.

- Dziękuję. To będzie duża pomoc - rzekł Jondalar.

- Ja też pójdę - dodał Markeno.

- I ja chciałbym pójść - rozległ się głos Darvala.

Ayla spojrzała na chłopca i zobaczyła, że ma na sobie koszulę, którą dostał od Jondalara.

- Ja też idę - odezwała się Rakario.

Darvalo spojrział na nią ze zirytowaną miną, sądząc, że wpatruje się w Jondalara, ale kobieta patrzyła na niego z pełnym podziwu uśmiechem. Ayla obserwowała, jak na jego twarzy irytacja ustąpiła zdziwieniu, potem zrozumieniu i pokryła się rumieńcem zażenowania.

Niemal wszyscy zgromadzili się na środku pola, żeby pożegnać gości. Wielu zgłosiło chęć pójścia z nimi przez część drogi.

- Ja nie pójdę - powiedziała Roshario, patrząc na Jondalara, a potem na Aylę. - Ale chciałabym, żebyście oboje tu zostali. Życzę wam pomyślności w podróży.

- Dziękuję, Roshario. - Jondalar objął kobietę. - Mogą nam się przydać twoje życzenia, zanim dotrzemy na miejsce.

- Chcę ci podziękować, Jondalarze, za przyprowadzenie Ayli. Nie chcę nawet myśleć o tym, co by się ze mną stało, gdyby nie przyszła. - Wyciągnęła rękę do Ayli.

Uzdrowicielka ujęła ją, a potem także drugą, nadal na temblaku, i obie uścisnęła, zadowolona, że odpowiedział jej silny uścisk obu dłoni. Potem objęły się. Pożegnali się jeszcze z kilkorgiem innych ludzi, ale większość postanowiła pójść z nimi kawałek drogi.

- Idziesz, Tholie? - zapytał Markeno.

- Nie. - Jej oczy błyszczały od łez. - Nie chcę iść. Nie będzie łatwiej pożegnać się na szlaku niż tutaj. - Podeszła do wysokiego Zelandończyka. - Teraz trudno mi być dla ciebie uprzejmą, Jondalarze. Zawsze cię lubiłam, a polubiłam cię jeszcze bardziej, gdy przyprowadziłeś tutaj Aylę. Tak bardzo chciałam, żebyście tu zostali, ale się nie zgodziłeś. Chociaż rozumiem, dlaczego, nie czuję się z tego powodu lepiej.

- Tak mi przykro, Tholie - powiedział Jondalar. - Gdyby tylko było coś, co mógłbym zrobić, żeby ci było łatwiej!

- Jest, ale tego właśnie nie chcesz zrobić.

To było dla niej charakterystyczne - mówiła, co myślała. To właśnie w niej lubił. Nigdy nie musiał zgadywać, co myśli.

- Nie gniewaj się na mnie. Gdybym mógł zostać, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż połączenie się z tobą i z Markenem. Nie wiesz, jaki jestem dumny z tego, że nas poprosiliście, ani jak trudno mi teraz odchodzić, ale coś mnie ciągnie. Uczciwie mówiąc, nie wiem nawet, co to jest, ale muszę iść, Tholie. - Patrzył na nią niebieskimi oczyma, pełnymi niekłamanego żalu i troski.

- Jondalarze, nie powinieneś mówić takich miłych rzeczy i tak na mnie patrzeć. Tylko jeszcze bardziej chcę, żebyście zostali. Po prostu obejmij mnie.

Pochylił się i objął młodą kobietę, która trzęsła się od powstrzymywanych z wysiłkiem łez. Odsunęła się i spojrzała na wysoką blondynkę obok niego.

- Och, Aylo. Nie chcę, żebyś odchodziła - załkała, kiedy padły sobie w ramiona.

- Ja również. Chciałabym, żebyśmy mogli zostać. Nie jestem pewna dlaczego, ale Jondalar musi iść, a ja podążam razem z nim - powiedziała zapłakana Ayla.

Nagle Tholie wyrwała jej się, podniosła Shamio i pobiegła ku chatom.

Wilk ruszył za nimi.

- Zostań, Wilk! - rozkazała Ayla.

- Ilek! Ja chcę Ilka - płakała mała dziewczynka i wyciągała ręce do kudłatego, czworonożnego drapieżnika.

Wilk zaskomlał i spojrzał na Aylę.

- Do nogi, Wilk! Odchodzimy.